

Ciało i krew

Kellerman Jonathan



calibre 0.9.43

Jonathan Kellerman

Ciało i krew

(Flesh and blond)

Przełożył Jan Hensel

Moim dzieciom,

Jesse, Rachel,

Ilanie i Alizie

Smutna prawda jest taka: gdyby była po prostu jedną z pacjentek, prawdopodobnie bym jej nie pamiętał.

Tyle lat słuchania, tyle twarzy. Kiedyś pamiętałem każdą z nich. Zapominanie przychodzi z doświadczeniem. Nie przeszkadza mi to tak bardzo jak kiedyś.

Jej matka zadzwoniła do mnie do pracy w sobotę rano tuż po Nowym Roku.

– Dzwoniła jakaś Jane Abbot – oznajmiła sekretarka. – Mówi, że jej córka była kiedyś pańską pacjentką. Lauren Teague.

„Jane Abbot” nic mi nie mówiło, ale „Lauren Teague” przywołało nieprzyjemne uczucie nostalgii. Numer telefonu zaczynający się na 818 wskazywał, że to gdzieś w Valley. Kiedy znałem tę rodzinę, mieszkali w zachodnim Los Angeles. Postanowiłem przeszukać swoją starą kartotekę, zanim oddzwonię.

Teague, Lauren Lee. Data przyjęcia – dziesięć lat temu, pod koniec mojej praktyki przy Wilshire Boulevard. Wkrótce potem zainkasowałem pieniądze za nieruchomość, chciałem zrezygnować z pracy, poznałem piękną dziewczynę, zaprzyjaźniłem się ze smutnym, błyskotliwym detektywem i dowiedziałem się więcej o złych rzeczach, niżbym chciał. Od tego czasu unikałem angażowania się w długotrwałe terapie. Ograniczyłem się do konsultacji sądowych i pracy z policją, do łamigłówek, które trzymały mnie z daleka od mojego gabinetu.

Lauren miała wtedy piętnaście lat. Skąpa dokumentacja: jedno długie spotkanie z rodzicami, a po nim dwie sesje z dziewczyną. Potem nie przyszła na umówioną wizytę, brak wytłumaczenia. Następnego dnia ojciec zostawił wiadomość, że rezygnuje z leczenia. Ostatnia sesja niezapłacona: pamiętam, że podjąłem bez przekonania parę prób odzyskania pieniędzy, ale w końcu dałem spokój.

Kiedy odzywa się dawny pacjent, to zwykle po to, by pochwalić się, jak świetnie mu idzie. Albo wręcz przeciwnie. W każdym razie zwykle dają o sobie znać osoby, z którymi udało mi się nawiązać kontakt. Lauren Teague nie była jedną z nich. Jeśli mnie nawet pamiętała, to byłem prawdopodobnie ostatnim człowiekiem, jakiego chciałyby zobaczyć. Dlaczego teraz jej matka chce się ze mną porozumieć?

Problemy: kiepskie wyniki w szk., nie słucha rodziców. Uwagi klin.: ojciec poddenerwow.; matka prawdop. w st. depres. Ojciec i matka spięci – kłopoty małżeńskie? Rodzice zgadzają się co do tego, że zachowanie Lauren stanowi gł. problem. Poród bez powikłań, jedyne dziecko, brak śladów problemów zdrów. Skontaktować się z pediatrą, żeby potwierdzić. Szkoła: matka: „Lauren jest bardzo bystra”. „Kiedyś lubiła czytać, teraz tego nienawidzi”. Do ostatniego roku średnia cztery, potem „zmiana nastawienia”, nowi znajomi – „męty” (ojciec), wagary, dwójki i trójki. Dominujący nastrój – „ponura”. „Brak komunik”. Rodzice próbują rozmawiać, brak reakcji. Podejrzewają narkotyki.

Kiedy przeglądałem dokumentację, zacząłem sobie niewyraźnie przypominać twarze Jane i Lyle'a Teague'ów. Ona: chuda poddenerwowana blondynka, była stewardesa, teraz „pełnoetatowa mama”. Dużo pali – czterdzieści pięć minut bez papierosa było dla niej torturą.

Ojciec Lauren miał przymrużone oczy, kamienną twarz i nie chciał brać udziału w rozmowie. Jego żona mówiła szybko, gestykulowała, na granicy płaczu. Kiedy szukała u niego poparcia, odwracał się.

Oboje mieli po trzydzieści dziewięć lat, ale on sprawiał wrażenie starszego. Pracował chyba w branży budowlanej... o, jest, „elektryk”. Wyglądał na silnego mężczyznę, walczącego z początkiem wieku średniego za pomocą długich, spryskanych lakierem włosów, które opadały mu na ramiona. Czarna gęsta broda. Muskulatura uwydatniona przyciasną koszulką polo i obcisłymi dżinsami. Grubo ciosane, ale harmonijne rysy twarzy... złoty łańcuszek na ogorzałej szyi... złota bransoleta z inicjałami. Jak ja sobie przypominałem tę bransoletę? Słowem, ubierz go w jelenie skóry, a będziesz miał trapera polującego na grizzly.

Lyle Teague siedział z szeroko rozstawionymi nogami, co chwila spoglądał na zegarek i bawił się swoim pagerem, jakby w nadziei, że ktoś przerwie rozmowę. Niezdolny do utrzymania kontaktu wzrokowego, co jakiś czas obdarzał mnie niewidzącym spojrzeniem. Kłopoty z koncentracją? Czyżby Lauren również je miała? Ale kiedy zapytałem o wyniki w nauce, patrzył na mnie bezradnie, a jego żona oznajmiła, że dwa lata temu Lauren była badana przez szkolnego psychologa, który stwierdził, że jest „normalna i niezwykle bystra”.

– Bystra – podchwycił dość obojętnie. – Z jej mózgiem nie dzieje się nic tak złego, czego nie wyleczyłaby odrobina dyscypliny. – Oskarżające spojrzenie w kierunku żony.

Wykrzywiła usta, ale powiedziała:

– Przyszliśmy właśnie, żeby się o tym przekonać. Lyle Teague uśmiechnął się krzywo.

– Panie Teague – powiedziałem – myśli pan, że z pańską córką jest coś nie w porządku oprócz tego, że jest rozpieszczona?

– Nieee, to zwyczajne kłopoty z nastolatkami. – Kolejne spojrzenie w kierunku żony. Tym razem w poszukiwaniu potwierdzenia.

– Lauren to dobra dziewczyna – oznajmiła pani Teague.

– To dlaczego, do diabła, tu przyszliśmy? – zaśmiał się ostro Lyle. – Ależ kotku...

– Tak, tak, w porządku.

Chciał się wyłączyć z rozmowy, ale mu na to nie pozwoliłem i w końcu udało mi się namówić go, żeby powiedział, czym różni się Lauren od tej „słodkiej, małej dziewczynki”, którą kiedyś zabierał swoją ciężarówką na place budowy. W miarę jak wspominał, jego twarz ciemniała, a głos stawał się urywany. Pod koniec swojej przemowy oznajmił, że córka jest „naprawdę trudna. Mam, cholera,

nadzieję, że przemówi jej pan do rozumu”.

Dwa dni potem w mojej poczekalni pojawiła się spóźniona o pięć minut Lauren bez rodziców. Wysoka szczupła dziewczyna o kasztanowych włosach i wydatnym biuście, z którą dobrze obszedł się wiek dojrzewania.

Piętnastolatka, ale mogła uchodzić za kobietę dwudziestoletnią. Miała na sobie biały top z dżerseju, skąpe wygodne szorty z niebieskiego drellichu i białe sandały na absurdalnie wysokich obcasach. Jej strój podkreślał gładkie opalone ramiona i długie nogi. Pomalowane na różowo paznokcie u nóg przyciągały wzrok. Pasek od małej, czarnej skórzanej torebki przecinał nagie ramię. Jeśli uczyła się mody od dziwek z Sunset Boulevard, to niewątpliwie była bardzo pojętna.

Gdy młode dziewczyny starają się za wszelką cenę podkreślić swoje wdzięki, rezultat często bywa komiczny. Wydawało się jednak, że Lauren Teague jest dumna ze swojego ciała. Jaki tatuś, taka córka?

Karnacją przypominała ojca, a budową matkę, ale nie była specjalnie podobna do żadnego z rodziców. Miała proste grube włosy w kolorze palonej umbry z rdzawym połyskiem, spadające do połowy pleców, z przedziałką pośrodku i ekstrawaganckimi loczkami na skroniach. Wydatne kości policzkowe, szerokie, pomalowane na różowo usta, dominujący, ale doskonale proporcjonalny podbródek, oczy podkreślone błękitnymi cieniami – niebieskie i szydercze. Mocny, prosty, zadarty nos pokryty był piegami, które starała się zatuszować grubą warstwą pudru. Jej twarz, otynkowana od czoła aż po brodę, wyglądała jak maska.

Kiedy się przedstawiałem, szybko wkroczyła do mojego gabinetu, stawiając długie swobodne kroki na swoich nieprawdopodobnych obcasach. Nie należała do licznej grupy przygarbionych skulonych nastolatek i nastolatków. Trzymała się prosto i wypinała biust. Bardzo ładna dziewczyna z urodą ukrytą pod krzykliwym wyzywającym makijażem.

Wybrawszy krzesło najbliżej mnie, usiadła, jak gdyby była tu już sto razy.

– Fajne meble – rzuciła.

– Dziękuję.

– Jak w którejś z tych bibliotek na starych filmach. – Zamrugowała, skrzyżowała i rozkrzyżowała nogi, ziewnęła, przeciągnęła się, złożyła i rozłożyła ręce, które nagle opadły wzdłuż ciała. Istny koncert bezbronności.

Zapytałem, dlaczego ją tu przysłano.

– Moi rodzice myślą, że jestem do niczego.

– Do niczego?

– No...

– A ty, co o tym myślisz?

Zaśmiała się drwiąco i odrzuciła włosy do tyłu. Czubek języka prześlizgnął się po dolnej wardze.

– Może i jestem. – Wzruszenie ramionami. Ziewnięcie. – To co... Czas porozmawiać o moich problemach, nie?

Jane i Lyle Teague'owie twierdzili, że córka nie była przedtem poddawana terapii, ale zachowanie Lauren sprawiło, że miałem co do tego wątpliwości. Zapytałem ją o to.

– Nie, nigdy. Pedagog w szkole próbował porozmawiać ze mną parę razy.

– O?

– O moich ocenach.

– Pomogło?

Zaśmiała się.

– Jasne, jasne. To co, gotowy pan na moją neurozę?

– Neurozę – powtórzyłem.

– Mamy w tym roku psychologię. Głupi przedmiot. To co, gotowy pan?

– Jeśli ty jesteś gotowa, to ja też.

– Jasne, jasne. O to chodzi, no nie? Powinnam wyrzucić z siebie wszystkie głęboko ukryte mroczne tajemnice.

– Nie chodzi o to, co powinnaś.

– Wiem, wiem – odparła. – Psychoanalitycy zawsze tak mówią: Nikt cię nie będzie do niczego zmuszał.

– Dużo wiesz o psychoanalitykach.

– Wiem, ile trzeba. Niektóre z moich kumpelek się u nich leczyły. Jednej z nich pier... mówiono, że ma się do niczego nie zmuszać. A w tydzień później ten sam lekarz wysłał ją do wariatkowa.

– Dlaczego?

– Chciała popełnić samobójstwo.

– To wygląda na całkiem niezły powód.

Wzruszyła ramionami.

– Jak się czuje twoja przyjaciółka?

– W porządku. Ale pana to przecież nie obchodzi. – Przewróciła oczami.

Nie odpowiedziałem.

– No tak, kolejna wasza sztuczka. Po prostu siedzieć i się gapić. Mówić „aha” i „uhm” i odpowiadać pytaniami na pytania. Nie?

– Aha.

– Bardzo śmieszne – powiedziała. – Do czego pan zmierza? Nie będę tu przychodziła przez całe życie. A on pewnie zadzwoni, żeby się przekonać, czy na pewno przyszedłem i czy mi dobrze poszło, więc jedźmy dalej.

– Twojemu tacie się śpieszy?

– No. Więc niech mi pan wystawi dobrą ocenę, dobra? Proszę mu powiedzieć, że byłam w porządku. Nie chcę kłopotów.

– Powiem mu, że współpracowałeś.

– Niech pan mówi, co pan chce.

– Ale nie będę się wdawał w szczegóły, ponieważ...

– Tak, tak, wiem, tajemnica zawodowa i pełna dyskrecja. Nieważne, co pan powie. Nic mnie to nie obchodzi.

– Nie masz tajemnic przed mamą i tatą?

– Po co? – Bawiąc się włosami, obdarzyła mnie znudzonym uśmiechem. – I tak nie mam żadnych fajnych sekretów. Moje życie to nuda. Tym gorzej dla pana. Niech się pan postara nie zasnąć.

– Więc – powiedziałem – twój tata chce się z tym szybko uporać?

– Nieważne – odparła, nadal zajmując się włosami.

– Co właściwie twój tata powiedział, że masz tu osiągnąć, Lauren?

– Mam wziąć się w garść, nie popalać i być dobrą dziewczynką. – Zaśmiała się, założyła nogę na nogę i położyła rękę na łydce.

– Nie popalać trawki?

– Tak, oni mają świra na tym punkcie. Ale sami palą.

– Marihuanę?

– Maryskę, papieroski. Troszkę po obiadku. Czasem golną sobie koktajlik. „Jesteśmy na tyle dorośli, żeby nad tym zapanować, Lauren”. – Roześmiała się. – Jane była kiedyś stewardesą. Pracowała na prywatnych lotach czarterowych dla dzianych gości. Nadal mają kolekcję tych małych buteleczek. Ja lubię melonowe – Midori. Ale nie mogę ich ruszać, dopóki nie skończę osiemnastu lat. – Znowu śmiech. – I tak mam to gdzieś.

– Trawka ci nie odpowiada?

– Zielsko to nuda. Robi z człowieka przygłupa: Hej, koleś, poudawajmy, że jesteśmy dzieci kwiaty. Najarajmy się, pogapmy w gwiazdy, siądnijmy w kółeczku i porozmawiajmy o Bogu. – Kolejny wybuch śmiechu, boleśnie pozbawiony radości. – Z nich trawa na pewno robi nudnych tępaków. Ona tylko wtedy się rozluźnia. A on po prostu siedzi przed telewizorem, chrupie czipsy i tak dalej. Ale miałam nie mówić o ich złych nawykach, to ja muszę się zmienić.

– Zmienić? W jaki sposób?

– Sprzątać pokój – wyklepała – wynosić śmieci, nie nazywać mamy dziwką przestać mówić „kurwa”, „chuj”, „pizda”. Chodzić do szkoły, uważać na lekcjach, poprawić średnią, mieć porządnym przyjaciół, a nie męty. – Obracała ręką jak kołowrotkiem.

– I ja mam cię skłonić do robienia tych wszystkich rzeczy?

– Lyle mówi, że nic z tego. Nigdy się to panu nie uda.

– Lyle?

Jej oczy rozbliły radośnie.

– To kolejna rzecz, której mam nie robić. Mówić mu po imieniu. Nienawidzi tego, strasznie się wkurza.

– Więc nie przestaniesz tego robić?

– Kto wie, co zrobię? – Odparła, bawiąc się puklem włosów.

– Jak on reaguje, gdy robisz rzeczy, które go drażnią?

– Ignoruje mnie. Odchodzi i zaczyna się zajmować czymś innym.

– Ma jakieś hobby? Majsterkuje?

– On? Gdzie tam! On tylko pracuje, je, jara trawkę, napycha gębę czipsami i ogląda telewizję. Nie wierzy we mnie. W pana zresztą też. – Konspiracyjny uśmieszek. – Myśli, że psychoanalitycy to banda przepłacanych błaznów, którzy nie potrafią nawet sami wkręcić głupiej żarówki, a ja wpuszczę pana w maliny, jak wszystkich innych. Płaci panu tylko dlatego, że Jane naprawdę go wkurza ciągłym gadaniem.

– Mama bardziej wierzy w psychoanalizę?

– Mama jest totalnie zdołowana. Lubi cierpieć. Oni są... o, to pikantny szczegółik dla pana: pobrali się tylko dlatego, że musieli. Któregoś dnia szukałam stanika w szufladzie Jane i znalazłam akt ślubu. Dwa miesiące przed moim urodzeniem. Zostałam poczęta w grzechu. No i co pan o tym sądzi?

– Czy to dla ciebie problem?

– Po prostu myślę, że to śmieszne.

– Dlaczego?

– Bo są niby tacy moralni, nakazy, zakazy i tak dalej.

Podniosła swoją tandetną torebkę, rozpięła ją, zajrzała do środka, znowu zatrzęsnęła.

– Mama lubi cierpieć? – podjąłem.

– No, nienawidzi swojego życia. Kiedyś latała po całym świecie z milionerami na pokładzie. Żałuje, że kiedykolwiek dotknęła Ziemi. Lauren przesunęła się na krawędź krzesła.

– Jak długo muszę tu jeszcze siedzieć?

– Pół godziny – odpowiedziałem, zamiast wdawać się w subtelne rozważania na temat wolnej woli.

Znowu otworzyła torebkę, wyjęła kosmetyczkę, przejrzała się w lusterku, wyskubała rzęsę i strząsnęła ją na podłogę.

– Pół godziny – powtórzyła. – Jezu, nie mam problemów na pół godziny. Chce pan o nich wszystkich usłyszeć?

– Jasne.

Rozpoczęła długą nużącą opowieść o głupich czepialskich koleżankach, głupich byłych chłopakach na tyle tępych, żeby myśleć, że ciągle są w jej łaskach, głupich nauczycielach, którzy wiedzą mniej od uczniów, głupich imprezach, o całym głupim świecie.

Mówiła bez przerwy jednostajnym głosem przygotowanego do rozprawy świadka, patrząc wszędzie, tylko nie na mnie.

Kiedy skończyła, powiedziałem:

– Więc wszyscy cię denerwują?

– No, właśnie tak... Długo jeszcze?

– Dwadzieścia pięć minut.

– Kurde, aż tyle? Powinien pan tu mieć zegar. Żeby ludzie nie tracili poczucia czasu.

– Zwykle ludzie nie chcą tu mieć poczucia czasu.

– Dlaczego?

– Nie chcą, żeby coś im przeszkadzało.

Obdarzyła mnie gorzkim uśmiechem i przysunęła krzesło jeszcze bliżej.

– Ale ja chciałabym wyjść wcześniej, dobra? Tylko dzisiaj. Proszę. Znajomi na mnie czekają, muszę być w domu o wpół do szóstej, bo Jane i Lyle się wściekną.

– Dlaczego ci znajomi czekają?

– Po prostu, dla zabawy.

– Mają po ciebie wpaść?

Kiwnęła głową.

– Gdzie?

– Powiedziałam im, że spotkamy się na następnej ulicy. To co, mogę już iść?

– Lauren. Nie zmuszam cię...

– Ale jeśli wyjdę wcześniej, to mnie pan zakabluje, nie?

– Posłuchaj – powiedziałem – to tylko dwadzieścia minut. Skoro już tu jesteś, to dlaczego tego nie wykorzystać?

Oczekiwałem protestu, ale ona po prostu siedziała dalej, marudząc:

– To niesprawiedliwe. Przecież już wszystko powiedziałam. Wszystko jest ze mną w porządku.

– Nie mówię, że jest inaczej.

– To o co panu chodzi?

– Chciałbym cię trochę lepiej poznać...

– Nie jestem tego warta. Moje życie to nuda. Już to panu mówiłam. – Położyła ręce na piersi. – To naprawdę cała ja. Nic interesującego.

Milczałem przez parę chwil, potem zapytałem:

– Lauren, czy wszystko ci się tak dobrze układa?

Wpatrywała się we mnie spod grubych, czarnych rzęs, znowu sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej paczkę virginia slims.

Kiedy sięgnęła po zapalniczkę, pokręciłem głową.

– Niech mi pan pozwoli, proszę.

– Przykro mi.

– Jak pan to może robić? Ludzie tu przychodzą cali zestresowani. Nie narzekają? Jane to wytrzymała? Pali jak lokomotywa.

– Przyjmuję tu głównie dzieci i nastolatków. Ludzie jakoś to wytrzymują.

– Nastolatki! – Wydała z siebie krótki zimny śmiech. – Każdy nastolatek, jakiego znam, pali. Jest pan uczulony czy co?

– Niektórzy z moich pacjentów są.

– Dlaczego wszyscy muszą cierpieć z powodu nielicznych? Czy to jest demokracja?

– Przez wzgląd na innych – odparłem.

– Dobra. – Wtłoczyła papierosy do torebki. – Ile czasu teraz zostało?

Na drugą sesję spóźniła się dwadzieścia minut, wpadła do mojego gabinetu, wymamrotawszy coś, co brzmiało jak przeprosiny. Ubrana w tym samym stylu, lecz zmienił się układ kolorów: czarny top, różowe szorty, usta pociągnięte intensywną czerwienią.

Te same wątpliwej urody sandały i tandetna torebeczka. Roztaczała wokół siebie nieprzyjemną ciężką woń papierosów i różanych perfum. Miała wypieki na policzkach i rozwiane włosy.

Długo sadowiła się na krześle, w końcu powiedziała:

– Coś nas zatrzymało.

– Ciebie i twoich przyjaciół?

– No. – Odrzuciła włosy do tyłu. – Przepraszam.

– Gdzie? – Przy... moło.

– W Santa Monica? – zapytałem.

– Lubimy plażę. – Rozmasowała nagie opalone ramię.

– Ładny dzień – powiedziałem z uśmiechem. – Wcześniej skończyliście lekcje.

Spomiędzy jej karminowych warg buchnął wesoły śmiech.

– Jasne.

– Niezbyt lubisz szkołę, co?

– Niezbyt to ja ją lubię, kiedy mam dobry dzień. – Wyciągnęła paczkę papierosów i zaczęła ją odbijać o swoje błyszczące kolano. – Kiedy byłam mała, sprawdzali mój iloraz inteligencji. Podobno jestem superinteligentna. Oni mówią, że powinnam się więcej uczyć, a ja, że jestem wystarczająco inteligentna, by wiedzieć, że to strata czasu.

– Nie interesuje cię żaden przedmiot? – zapytałem.

– Odżywianie. Uwielbiam pieczywo czosnkowe. Czy dzisiaj porozmawiamy o seksie?

To mnie zaskoczyło.

– Nie pamiętam, żebyśmy coś takiego planowali.

– Ale oni to zaplanowali. Poinstruowali mnie, że mam o tym z panem porozmawiać.

– Kto? Rodzice?

– No.

– Dlaczego?

– To pomysł Lyle’a. Jest przekonany, że się „szlajam z czarnuchami”, zajdę w ciążę i podrzucę mu wnuczka Murzynka. Że niby, jak bym była w ciąży, rozmowa z panem by mi pomogła. Myślą, że jak nie rozmawiam z nimi, to wygadam wszystko przed jakimś obcym facetem.

– Czasem rozmowa z kimś obcym może być bezpieczniejsza.

– Może dla niektórych – odparła. – Ale niech mi pan wytłumaczy taką sprawę. Kiedy jesteś młoda, każdy do znudzenia kładzie ci do głowy: nie rozmawiaj z obcymi, strzeż się obcych, uważaj na obcych. A teraz płacą za to, że bym opowiedziała wszystkie swoje tajemnice obcemu. – Rozcięła czubkiem paznokcia celofan na paczce papierosów i zaczęła się nim bawić: – Co za bzdura.

– Może liczą, że w końcu przestaniesz mnie traktować jak obcego?

– Mogą sobie liczyć, na co tylko chcą. – Śmiech. – Hej, nie zamierzam być nieuprzejma, tylko tak mi jakoś wychodzi. Przepraszam, wydaje się pan miłym facetem, tylko że ja nie powinnam tu być. Prawda jest taka, że oni posługują się panem, żeby mnie ukarać. Tak jak poprzednio próbowali mnie uziemiać i grozili, że nie zrobię prawka w przyszłym roku. Tamto nie poskutkowało, to też nie skutkuje.

– Za co chcą cię ukarać, Lauren?

– Mówią że to przez moje nastawienie – powiedziała. – Ale wie pan co? Ja myślę, że mi po prostu zazdroszczą.

– Czego?

– Mojego szczęścia.

– Ty jesteś szczęśliwa, a oni nie?

– Udają, że niby mają wszystko... pod kontrolą. Zwłaszcza on. – Zniżyła głos, parodiując zirytowany baryton: – „Lauren, schrzanisz sobie życie. Ta cała gówniana terapia drogo mnie kosztuje. Masz tam pójść i wszystko mu powiedzieć”.

– Więc – kontynuowałem – twoi rodzice nie są szczęśliwi. Wyzywają się z tego powodu na tobie, a ja jestem ich bronią.

– Ugrzęźli w swoim zafajdanym bagienku, a ja jestem na luzie, wolna, korzystam z życia. I to ich wnerwia. Jak tylko zacznę zarabiać, zmywam się stąd. Pa, pa, Lyle i Jane!

– Wiesz, jak chcesz zarabiać?

Wzruszyła ramionami.

– Coś się wykombinuje. Nie mówię, że teraz, od razu. Wiem, że nawet w McDonalddie nie zatrudnią mnie bez ich zgody. Ale któregoś dnia...

– Chcesz pracować w McDonalddie?

Skinęła głową.

– Chcę mieć własne pieniądze. Ale oni powiedzieli „Nie. Żadnej pracy, dopóki nie poprawisz ocen”. A ja wcale nie poprawię, więc niech się wypchają z takim interesem.

– Dlaczego nie poprawisz ocen?

– Bo nie chcę.

– To znaczy, że jeszcze się kilka lat pomęczysz.

Przewróciła oczami.

– Coś się wymyśli. Niech pan posłucha, zapomnijmy o tym seksie. Nie chcę o tym z panem gadać. Ani o innych rzeczach. Bez obrazy, ale po prostu nie chcę się przed panem wywnętrzać.

– W porządku.

– Serio? Świetnie. – Skoczyła na równe nogi. – No to do zobaczenia za tydzień.

Mieliśmy jeszcze dziesięć minut, więc powiedziałem:

– Może jeszcze chwilę posiedzisz?

– Czy powie im pan, że wcześniej wyszłam?

– Nie, ale...

– Dzięki – powiedziała. – Nie, naprawdę nie mogę dłużej zostać. Od tego wszystkiego rozboleła mnie głowa. Ale wie pan co? Za tydzień przyjdę punktualnie i zostanę do samego końca, dobra? Obiecuję.

– To tylko dziesięć minut.

– Dziesięć minut za dużo.

– Lauren, spróbuj. Nie musimy rozmawiać o twoich problemach.

– To o czym?

– Opowiedz mi, czym się interesujesz.

– Plażą, w porządku? – powiedziała. – Wolnością, czyli właśnie tym, czego teraz potrzebuję. Za tydzień będę dobrą dziewczynką, naprawdę.

Za tydzień. Nabierała mnie, czy rzeczywiście zamierzała przyjść?

– Muszę się stąd wyrwać.

– Jasne – odparłem. – Trzymaj się.

Obdarzyła mnie szerokim uśmiechem. Odgarnęła włosy.

– Jest pan cudowny.

Wyszła szybko, kołyszając torebką. Dogoniłem ją w poczekalni, kiedy wyciągała zapalniczkę.

Wetknąwszy w usta papierosa, ruszyła do drzwi. Patrzyłem na nią, jak biegła korytarzem w aureoli szarego dymu.

Myślałem o niej jeszcze kilka razy. Typowy obraz autodestrukcyjnej ucieczki. Z czasem i o tym zapomniałem.

Sześć lat później zostałem zaproszony na wieczór kawalerski zaplanowany na weekend przed Halloween.

Pewien czterdziestopięcioletni radiolog z Zachodniego Szpitala Pediatrycznego żenił się z pielęgniarką. Konsylium lekarzy i urzędników szpitalnych zafundowało mu w prezencie apartament prezydencki w hotelu Beverly Monarch.

Steki, żeberka, zimne piwo, szwedzki bufet, kubańskie cygara, budyniowate deserki. Moja znajomość z przyszłym żonkosiem – burkliwym nietowarzystkim samotnikiem – ograniczała się do kilku drętwych i jałowych rozmów na temat pacjentów, więc zastanawiałem się, dlaczego w ogóle mnie zaproszono. Pewnie im więcej ludzi, tym lepiej.

Spóźniłem się. Kiedy w końcu przyszedłem, ludzi nie brakowało. Apartament był duży. Składał się z szeregu nastrojowo oświetlonych pokoi z czarnymi dywanami, po których dreptali spoceni mężczyźni. Było to jedno z ostatnich pięter – z pewnością ze wspaniałym widokiem, ale kotary były zasunięte, a powietrze ciężkie i duszne. Marynarki i krawaty leżały rzucone na wersalce koło drzwi, obok odręcznie napisanego obwieszczenia: Nie obowiązują stroje wieczorowe! Zacząłem się przedzierać wśród harmidru pieprzonych dowcipów, przypadkowych poklepywań po plecach, błękitnej mgły dymu z cygar, pijackich toastów.

Przy barze panował tłok. W końcu udało mi się upolować szaszłyk z wołowiny teriyaki i grolscha. Pobekiwanie, oklaski i śmiechy z pobliskiego pokoju poprowadziły mnie do większej sali. Wszedłem i na stucalowym telewizorze, w jaki hotel zaopatrzył prezydentów, zobaczyłem przymrużone, nieprzytomne oczy.

Mignięcia nagiej skóry powiększone do nadludzkich rozmiarów. Ciała gniotące się, ściskające i objijające o siebie w rytm astmatycznych dźwięków saksofonu. Mężczyźni wokół mnie gapili się na ekran i udawali, że zachowują się normalnie. Wszedłem stamtąd, dołożyłem sobie jedzenia. Stałem z boku, przeżuając i zastanawiając się, co tu, do diaska, robię, dlaczego nie wycieram sobie ust i nie wracam do domu.

Wtedy napatoczył się pewien znajomy patolog ze szklaneczką whisky w garści.

– Hej! – zawołał, łypiąc porozumiewawczo na wielki ekran. – Czy to nie ty masz się zajmować wytlumaczeniem, dlaczego to robimy?

– Chyba mnie pomyliłeś z antropologiem.

Zarechotał.

– Raczej z paleontologiem. Idę o zakład, że już jaskiniowcy malowali sprośne obrazki. Może nagramy to na wideo i pokażemy na Grand Rounds?

– Albo na balu dobroczynnym?

– No. Ćwierćmetrowe kutasy i soczyste cipki. Musimy mieć pod ręką tlen dla pani Prince i innych szczodrobliwych matron.

Ryki od strony ekranu sprawiły, że obaj odwróciliśmy głowy. Dźwięk sztuców, okrzyki proszących o ciszę i w końcu porykiwania umilkły, ustępując rzeźżącej ścieżce dźwiękowej filmu porno. Pojękiwania biły w uszy z dwóch głośników. Kobięcy głos zachęcał: „Rznij mnie, Jezu, rznij”, wywołując wśród publiczności wybuchy nerwowego śmiechu. Potem napięta, kłopotliwa cisza.

Grubokościsty różowutki człowieczek, trzymający prawie pełny kufel piwa – urzędnik z działu finansów o nazwisku Beckwith – wkroczył w przestrzeń łączącą dwa pokoje. Okulary zsunęły mu się na mięsisty nos, a kiedy je poprawiał, piwo wylało się i zapieniło na czarnym dywanie.

– Dalej, Jim! – krzyknął ktoś.

– Przebadaj sobie układ nerwowy!

– Właśnie dlatego gryzpiórki nie mogą być chirurgami!

Beckwith zataczał się przez chwilę, potem się uśmiechnął.

– Panowie, panowie, spójrzcie tylko! Czy to nie odlotowa impreza?! Brawa, pohukiwania, toasty.

– Ty już na pewno odleciałeś, Jim!

Beckwith potarł oczy i nos, zasalutował, a piwo znowu chlapnęło na podłogę.

– Skoro wszyscy, jak tu stoimy, jesteśmy wielce poważnymi prawymi obywatelami, skoro przynigdy nie opuścilibyśmy naszego kraju, naszych drogich żon i nie narazili na szwank naszej nienaganej reputacji, gdyby nie zaszła taka konieczność... – Chrypliwy śmiech. – Bogu niech będą dzięki, iż z najwyższą koniecznością mamy do czynienia, bracia! Oto nasz najdroższy, jedyny i niepowtarzalny brat i kumpel, doktor Phil Hamsberger, pan radioaktywnego promienia, lepiej znany jako El Terminador vel Ten, Który Czai Się Za Ołowianymi Drzwiami, został skazany na spętanie najświętszym węzłem małżeńskim! Chodź tu, Phil! Gdzie jesteś, drogi chłopcze?

Pana młodego ani śladu. Beckwith złożył dłonie przy ustach.

– Wzywam doktora Promieńśmiertelskiego! Doktor Promieńśmiertelski proszony na środek sceny! Dalej, pokaż się, Phil!

– Phil, Phil, Phil, Phil... – podjęto. – Oooo, tu jesteś!

Ozwały się gromkie owacje, gdy tłum wypychał w kierunku Beckwitha przyklepionego do szklanki martini Phila Harnsbergera.

Łysiejący i zwykle blady radioterapeuta z rudawym wąsikiem, porastającym górną wargę, zarumienił się. Do twarzy miał przyklepiony uśmiech paranoika i wydawało się, że zaraz się przewróci. Ubrany był w spodnie od garnituru i o wiele za dużą czarną koszulkę z krótkimi rękawami, sięgającą do kolan. Żółty obrazek przyprasowany na przodzie koszulki przedstawiał solidnie zbudowaną, mrugającą zawadiacko pannę młodą, trzymającą na smyczy prostatę pana młodego. Oboje stali przed sędzią. Napis pod spodem głosił: NIKOGO, WYSOKI SĄDZIE, NIE ZABIŁEM! DLACZEGO DOŻYWCIE?

Beckwith klepnął Harnsbergera po ramieniu. Harnsberger cofnął się i spróbował łyknąć martini. Większość płynu ściekła mu po podbródku, który otarł rękawem.

– Odkazanie! – krzyknął ktoś.

– Pierdolona kultura bakterii!

Beckwith znowu klepnął Harnsbergera, a ten uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Hej, Phil, słuchaj, stary... No, a naprawdę jesteś stary, skoro już o tym mowa... Czy nie czas, żebyś stracił kwiat swego dziewictwa?!

Beckwith schylił się, jakby szukał czegoś na podłodze, dokładnie obejrzał mankiety Harnsbergera, w końcu wyprostował się i wyjął z jego szklanki żółtą parasolkę.

– Aaaa, tutaj jest! Zżółkł całkiem ze starości!

Tłum zaczął wiwatować. Harnsberger uśmiechnął się, ale spuścił głowę.

– Phil – powiedział Beckwith – może i jesteś żaloszny, ale wiesz, że cię kochamy.

– Jasne, Jim, wiem... – wymamrotał Harnsberger.

– Co wiesz? – kontynuował Beckwith.

– Że mnie kochacie.

Beckwith odsunął się trochę od Harnsbergera.

– Nie tak szybko, samotny strzelcu! – powiedział, po czym zwrócił się do zebranych: – Może brak pytań na ten temat jest dobry dla gości z marynarki, ale czy nie powinniśmy o tym poinformować panny młodej?

Harnsberger poczerwieniał. Tłum wybuchł dzikim śmiechem. Beckwith znów przysunął się do swego celu, tak że stanęli nos w nos:

– Ale poważnie, Phil, czy na pewno dobrze się bawisz?

– O tak, naprawdę świetnie...

Beckwith sięgnął ręką za Harnsbergera i wymierzył mu kolejne klepięcie, na tyle mocne, że ten upuścił szklanekę. Beckwith rozgniół ją podeszwą buta i wtarł rozbite szkło w dywan.

– Jak to mówią Żydzi, *mazel tow*, szczęśliwego wieczoru kawalerskiego, Phil! Mam, do cholery, nadzieję, że smakuje ci twój ostatni posiłek. No, jak żarcie? W porządku?

Harnsberger kiwnął potakująco głową.

– Napileś się, ile trzeba?

– Tak...

– Bo wiesz, żaden z nas nie chce, żebyś się wkurzył i poprze świetlał tymi swoimi śmiercionośnymi promieniami, Philly.

Okrzyki potwierdzenia. Harnsberger z wysiłkiem wyszczerzył zęby. Beckwith ciągnął:

– Zresztą z tego samego powodu nikt z nas nie chce przy tobie być, kiedy dostaniesz za tę imprezkę rachunek!

Chwilowa panika w oczach Harnsbergera. Beckwith znowu go klepnął.

– A to cię przestraszyłem, co? Nieee, niech cię o to głowa nie boli. Zadbaliśmy o wszystko. Odciągniemy to z funduszu pacjentów. – Beckwith potarł palec wskazujący o kciuk. – Przykro nam. Żadnych refundowanych przeszczepów nerek w tym miesiącu!

Rozweselone okrzyki.

Beckwith chwycił Harnsbergera za ramię.

– To co? Na pewno dobrze się najadłeś?

– Na pewno, Jim.

– A może... nie.

Beckwith uśmiechnął się i zamachał ręką Harnsbergera. Przez chwilę nic się nie działo; potem światła przygasły, a zza gigantycznego telewizora puszczone głośną dynamiczną muzykę disco, która zagłuszyła dźwięki filmu porno.

Tłum rozsunął się, a przez powstałe przejście wkroczyły dwie kobiety w długich czarnych płaszczach. Gdy Beckwith zniknął z pola widzenia, zajęły miejsca po obu stronach Harnsbergera.

Młode kobiety – wysokie, zgrabne, smukłe, szły, wysoko podnosząc nogi w pantoflach na szpilkach. Posyłały szerokie uśmiechy, jakby rozdawały dzieciom cukierki, kręciły biodrami, wykonywały przesadne ruchy wytrenowanych tancerek. Jedna miała kruczoczarne długie włosy, a druga krótkie platynowe, postawione na żel.

Obie wiły się i ocierały o Harnsbergera w rytm muzyki, gładziły go po szyi, całowały w policzki. Para języków pieściła uszy radiologa, które teraz były pąsowe. Na jego twarzy odbijały się podniecenie i strach.

Dziewczyny tańczyły, przytupując, i pokrzykiwały, gładziły swoje podbrzusza, udawały, że rozpinają Harnsbergerowi rozporek. Odrzuciły głowy do tyłu i zaczęły pantomimicznie naśladować głośny śmiech. Potem popychały między sobą lekarza do przodu i do tyłu w sposób, w jaki młode szakale bawią się zajęcem.

Muzyka stała się szybsza. Czarne płaszcze opadły na podłogę. Obie dziewczyny nosiły identyczne staniki z czarnej skóry, czarne pasy, podwiązki oraz kabaretki.

Kilka taktów podskoków i kręcenia biodrami. Patrzyłem razem ze wszystkimi, widziałem ich biuściaste profile, słyszałem, jak śmieją się i drocąc z Harnsbergerem. Brunetka łaskotała go pod brodą, przytulała się, targała mu włosy na głowie. Blondynka zajęła się jego twarzą, całowała go długo i mocno w usta, gdy próbował się wyrwać, wymachując desperacko rękami. Nagle przestał się wzbraniać i dał się ponieść pocałunkowi. Dotknął ręką jej pośladka, wtedy odepchnęła go i zrobiła zręczny przysiad. Podnosiła się, tańcząc i wymachując głową zsunęła na chwilę stanik, odsłaniając sutek, potem pozwoliła powrócić biustonoszowi na swoje miejsce.

Ciemnowłosa dołączyła do koleżanki w wyzywającym zsynchronizowanym tańcu. Oba staniki powędrowały w dół, a po chwili zostały zdarte i rzucone w tłum.

Pełne, młode piersi kołysały się. Dziewczyny szczypały sutki, aż stały się twarde. Pochyliły się, wykonały idealny szpagat, podskoczyły na równe nogi, tańczyły dziko, bawiąc się stringami.

Wskazując go palcami, zbliżyły się znowu do Harnsbergera, ale tym razem wyprowadziły go ze sceny i wróciły same, trzymając się za ręce. Znowu tańczyły, naciągając i puszcżając stringi, które strzelały o ich jędrne płaskie podbrzusza.

Jeszcze trochę zabawy w chowanego z genitaliami w roli głównej i czarnowłosa dziewczyna opadła na czworaki. Kręcąc pośladkami, chwyciła blondynkę za kostkę. Blondynka stała, przecząco kręcąc głową, wydymając wargi, udając opór. Chrapliwe krzyki zachęty z tłumu. Wszyscy bacznie obserwują.

W okamgnieniu obie dziewczyny nie miały na sobie nic prócz pasów do pończoch i kabaretek. Muzyka stała się ckliwa i słodka, a one zaczęły pieścić się, uwodzić, gładzić, całować.

Czarnowłosa opadła na dywan, położyła się na wznak, uniosła biodra. Blondynka usadowiła się między nogami partnerki, uklękła, skłoniła głowę jak do modlitwy, pieściła brzuch ciemnej nastroszonymi platynowymi włosami.

Wsunęła język w pępek szatynki. Ciemnowłosa wiła się w rozkoszy. Blondynka podniosła wzrok, położyła palec na ustach, jakby zastanawiała się, co teraz zrobić. Wielkooka trawestacja niewinności, wyciągająca ramiona, jakby oczekiwała od zgromadzonych rady.

Tłum bił brawo i pokrzykiwał zachęcająco.

Znów pochyliła głowę ku podbrzuszu koleżanki, zaczęła ją całować, lecz nagle podniosła twarz. Klęczała nieruchomo, a brunetka, ciągle wypinając w górę biodra, chwyciła ją łapczywie za ramię.

Blondynka obserwowała publiczność. Omiatała spojrzeniem salę.

Gdy zwróciła się w moim kierunku, mogłem zobaczyć jej twarz.

Pociągła, owalna pod srebrzystym jeżem włosów. Blade oczy pod wyskubanymi brwiami, dominujący, ale doskonale zharmonizowany podbródek.

Poczułem w piersi ukłucie. Rozpoznałem ją.

Ona mnie też. Chytry wyraz jej twarzy ustąpił... niepewnemu uśmieszkowi.

Wpatrywała się we mnie, jej głowa znieruchomiła nad biodrami ciemnowłosej, wijącej się partnerki. Wydawało mi się, że lekko kręci głową – opierała się jakiejś myśli?

Muzyka sączyła się nadal. Brunetka wciąż się wiła, ale zaczęła się orientować, że coś się stało. Chwyciła Lauren za głowę.

Lauren nie ugięła się.

Potem jednak pochyliła głowę.

Gdy pozwoliła się ściągnąć w dół, uciekłem.

Jechałem do domu prawie oślepiony wstydem, przecinając ciemne chłodne ulice, nie zwracając uwagi na to, co się wokół mnie dzieje.

Nie mam dzieci, ale może dlatego podobnie traktuję pacjentów; ludzi, dla których jestem oparciem. Spotkanie Lauren sprawiło, że zacząłem rozumieć, przez co muszą przechodzić rodzice prostytutek i przestępców.

Wyraz jej twarzy, kiedy mnie rozpoznała – wystudiowana, pokazowa mina striptizerki zastąpiona wskazującym na brak równowagi zmieszaniem. Niepewność, której nie okazywała jako nastolatka.

Teraz miała dwadzieścia jeden lat. Legalna praca. Ta myśl sprawiła, że głośno się roześmiałem.

Po kiego diabła w ogóle pojechałem na tę idiotyczną imprezę? Dlaczego nie wyszedłem, kiedy ton wieczoru stał się oczywisty?

Bo, jak u większości mężczyzn, coś we mnie dopominało się o mocną dawkę świeżych erotycznych obrazów.

Robin czekała na mnie, ale tej nocy byłem bardzo kiepskim kochankiem.

Źle spałem, obudziłem się następnego ranka, zastanawiając się, co, jeśli cokolwiek, powinienem zrobić w związku z tym spotkaniem. O ósmej zadzwoniłem do mojej sekretarki, która poinformowała mnie, że o północy nagrała się Lauren i prosiła o spotkanie.

– Chyba jej się śpieszyło – powiedziała sekretarka. – Wiedziałam o odwołanej sesji o drugiej, więc zadzwoniłam do niej i umówiłam ją na tę godzinę. Mam nadzieję, że tak będzie dobrze, doktorze Delaware.

– Jasne – odpowiedziałem chory z przerażenia. – Dziękuję. Punktualnie o drugiej po południu usłyszałem dzwonek do bocznych drzwi. Serce podskoczyło mi do gardła.

Pacjenci, którzy nigdy nie byli u mnie w domu, zwykle zatrzymują się przed bramą. Dzwonek do drzwi oznaczał, że Lauren otworzyła furtkę, przeszła przez podjazd i ogród. Żadnego ostrzegawczego szczekania psa; Robin wyjechała o świcie do Carpinteria kupić drewno i zabrała Spike'a ze sobą.

Odstawiłem kubek z kawą, której nawet nie tknąłem, i poszedłem otworzyć drzwi.

Po drugiej stronie – nowa twarz.

Świeża, jasna, bez wyrazu. Śnieżne włosy opadały miękko na czoło i skronie.

Żadnego makijażu. Te same niebieskie oczy, ale twardsze, bardziej zdecydowane. Twarz nienaznaczona ciężkimi doświadczeniami, prócz oczu.

Jako dwudziestojednolatka wyglądała młodziej niż w wieku lat piętnastu.

Jasna drelichowa koszula i luźne dzinsy okrywały ją aż po nadgarstki i kostki. Zapiętą pod samą szyję koszulę ozdabiała turkusowa broszka. Na nogach białe espadryle. Przewieszona przez ramię duża torba z cielęcej skóry – bogate wykończenie, subtelne zdobienia, złote zatrzaski – wyglądała na bardzo drogą.

– Witam, Lauren.

Utkwiwszy wzrok w punkcie znajdującym się gdzieś za moimi plecami, podała mi rękę. Jej dłoń była zimna i sucha. Nie było mi wcale do śmiechu, ale kiedy nasze spojrzenia w końcu się spotkały, udało mi się uśmiechnąć. Jej się to nie udało.

– Pracuje pan teraz w domu? Przytulne miejsce.

– Dzięki. Proszę, wejdź.

Zaprowadziłem ją do gabinetu. Poruszała się szybko, jakby chciała tak bardzo się tam znaleźć, jak kiedyś wydostać.

– Bardzo tu ładnie – powiedziała, gdy byliśmy na miejscu. – Nadal przyjmuje pan dzieci i nastolatków?

– Właściwie skończyłem już z praktyką terapeutyczną.

Zatrzymała się.

– Pańska sekretarka nic mi o tym nie mówiła.

– Nadal działam, tyle że ograniczam się głównie do konsultacji – odparłem. – Do spraw sądowych, pracy z policją. Ale zawsze jestem do dyspozycji byłych pacjentów.

– Praca z policją. Tak, czytałam o panu w gazecie. O tej strzelaninie w szkole. Więc teraz jest pan bohaterem.

Patrzyła za mnie. Przewiercała mnie wzrokiem.

– Wejdź, proszę – powiedziałem.

– To się nie zmieniło – powiedziała, wskazując starą skórzaną kanapę.

– To taki mój antyk – odparłem.

– Nie jest pan... Nie zmienił się pan za bardzo.

Usiadłem za biurkiem.

– Ja się zmieniłam.

– Wydoroślałaś.

– Tak pan sądzi? – Siedziała sztywno, chciała sięgnąć do torby, ale zatrzymała się i uśmiechnęła. – Nadal zakaz palenia?

– Przykro mi, tak.

– Okropny nałóg – powiedziała. – Odziedziczyłam go po mamie. Kilka lat temu nieźle się wystraszyła, gdy odkryto plamę na jej zdjęciu rentgenowskim. Potem okazało się, że to tylko jakiś cień. Głupi lekarz. Ale dzięki temu rzuciła palenie. Wydawałoby się, że też będę miała nauczkę. Ludzie są słabi. Pan to wie. W końcu pan na tym zarabia.

– No cóż, każdy ma jakieś wady. Jedna z jej nóg zaczęła podskakiwać.

– Jak kiedyś przychodziłam, musiałam być nieznośna.

– Nie bardziej niż inni.

– Może nie było tego widać, ale pomysł terapii zaczynał mi się nawet podobać. Nastawiłam się na nią, ale oni mieli inne zdanie.

– Twoi rodzice?

Zaskoczenie w moim głosie sprawiło, że poczerwieniała.

– Nie powiedzieli panu? – Uśmiechnęła się zimno. – Twierdzili co innego. Ale zawsze mnie to zastanawiało.

– Zadzwonili tylko i powiedzieli, że rezygnują z dalszej terapii – powiedziałem. – Żadnych wyjaśnień. Dzwoniłem do was do domu kilka razy, ale nikt nie odbierał.

– A to sukinsyn – powiedziała z nienawiścią. – Dupek jeden.

– Twój ojciec?

– Zakłamany kutafon. Obiecywał, że wszystko panu wytłumaczy. To była jego decyzja. Ciągłe narzekał na brak pieniędzy. Tego dnia, kiedy miałam do pana przyjść, odebrał mnie ze szkoły. Myślałam, że chce mieć pewność, że do pana dotrę, bo pan mnie okłamał i zakablował, że się spóźniłam. Byłam na pana wściekła. Ale zamiast do gabinetu pojechaliśmy w odwrotnym kierunku, do Valley, na minigolfa w Familijnym Centrum Rozrywki. Wie pan, bejsbol, gry, fippery i tak dalej. On parkuje, gasi silnik i mówi: „Potrzebujesz więcej czasu ze swoim ojcem, a nie opieki do dziecka za sto dolców”. – Przygryzła wargi. – Czy to nie brzmi tak, jakby był o pana zazdrosny?

Gdy zamierzałem jej odpowiedzieć, dodała:

– Jakby mnie uwodził, nie sądzi pan?

Wciąż się namyślałem. W końcu wypaliłem:

– Lauren, czy nie zdarzyło się...

– Nie – powiedziała. – Nigdy. Nic z tych rzeczy, nigdy mnie nie tknął. Nie okazywał mi nawet normalnej czułości. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek mnie dotknął. Jest zimny jak śnięta ryba. A wie pan co? On i mama w końcu się rozwiedli. Skołował sobie jakąś lafiryndę, wy włókę, którą spotkał w pracy. Więc nigdy nie powiedzieli panu, że to nie ja zrezygnowałam. Do przewidzenia. Wychowywali mnie w kłamstwie.

– Jakim kłamstwie?

Jej błękitne oczy stężały.

– Nieważne.

– Ten dzień w centrum rozrywki. Co się wtedy stało?

– Nic się nie stało. Pograliśmy trochę w golfa, aż tak się znudziłam, że chciałam wracać do domu. Próbował mnie przekonać. A ja usiadłam na trawie i nie chciałam się ruszyć. Wkurzył się. Zrobił się jak zwykle czerwony, ale w końcu odwiózł mnie do domu. Mama siedziała w swoim pokoju, było jasne, że płakała. Myślałam, że przeze mnie. Myślałam, że wszystko to była moja wina i tkwiło to we mnie jak jakiś guz na mózgu. Teraz wiem, że sami byli kompletnie popaprani.

Skrzyżowała nogi.

– Kilka tygodni później odszedł. Wniósł o rozwód, nic jej o tym nie mówiąc. Chciała wycisnąć od niego alimenty, ale twierdził, że interes kiepsko idzie. Nigdy nie dostałyśmy od niego ani grosza. Mówiłam jej, żeby go ciągała po sądach, ile tylko wlezie. Ale nie chciała. Nie umie walczyć o swoje. Nigdy nie umiała.

– Więc mieszkałaś z matką?

– Przez jakiś czas, jeśli to można to tak nazwać. Straciłyśmy nasz dom i musiałyśmy się wynieść do mieszkania w Panorama City. Straszna dziura, burdy, strzelaniny i tak dalej. Ogólnie było do dupy, byliśmy splukane, a ona ciągle płakała. Za to ja świetnie się bawiłam, bo już nawet nie próbowała mnie wychowywać. Mogłam robić, co chciałam. Ze mną też nie chciała walczyć.

Wyjęła chusteczkę ze strategicznie przeze mnie ustawionego pudełka, zwinęła ją w kulkę, a po chwili rozwinęła.

– Mężczyźni są do dupy – powiedziała, wpatrując się we mnie. – Porozmawiajmy teraz o ostatniej nocy.

– Można to nazwać nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Jej oczy błysnęły.

– Nieszczęśliwy zbieg okoliczności? Tylko to może mi pan powiedzieć? Wie pan, co jest nie tak z tym gównianym światem? Nikt nigdy nie mówi, że mu przykro.

– Lauren...

– Nieważne. – Zamachała chusteczką jakby coś od siebie odganiała. – Nie wiem, dlaczego w ogóle tu przyszedłam.

Zaczęła grzebać w torbie.

– Koniec sesji. Ile pan teraz bierze? Pewnie jeszcze więcej niż wtedy. Jest pan przecież w gazetach.

– Lauren, proszę...

– Nie – odparła, podnosząc się z krzesła. – To mój czas, więc niech mi pan nie mówi, co z nim robić. Nikt mi już nie rozkazuje. Właśnie to lubię w swojej pracy.

– Że masz władzę?

Spojrzała na mnie z góry.

– Wiem, że wciska mi pan psychoanalityczny kit, ale w tym akurat przypadku ma pan rację. Wczoraj był pan pewnie zbyt podniecony, żeby to zauważyć. Ale to ja kontrolowałam sytuację, ja i Micheile. Wszyscy się śliniliście na nasz widok. Więc niech mnie pan nie osądza, jakbym była jakąś bezmózgową kurewką.

– Nie osądzam.

Zacisnęła pięści i podeszła do mnie.

– Dlaczego pan się zmył? Wstydział się mnie pan?

Kiedy zamierzałem już odpowiedzieć, uśmiechnęła się z triumfem i dodała:

– Podnieciłam pana i dlatego pan spanikował.

Odparłem:

– Gdybym cię nie znał, pewnie bym został. Wyszedłem, bo wstydziłem się samego siebie.

Obdarzyła mnie afektowanym uśmiechem.

– Pewnie by pan został?

Nie odpowiedziałem.

– Ależ my się wcale nie znamy. Jak może pan mówić, że jest inaczej? – Fakt, że tu jesteś...

– To co?

– Lauren, kiedyś przyszedł do mnie po pomoc, a ja miałem obowiązek ci jej udzielić. To tak, jakbym był zastępcą twoich rodziców. Czułem, że ciebie też zawstydziłem, ale to mój wstyd sprawił, że wyszedłem.

– Jak szlachetnie! – powiedziała. – Jezu, ale pan kręci. Wszyscy faceci to... Dobra, dostałam, po co przyszedłam. Czas na zapłatę.

– Daj spokój, nie ma żadnej zapłaty.

Pokiwała palcem.

– O nie. Ma pan tytuł, renomę, szacunek. W pana oczach jestem tylko jakąś rozbierającą się wywłoką. Ale jak zapłacę, siły się wyrównają.

– Nie oceniam cię, Lauren.

– Tak pan twierdzi? – Wyciągnęła z kieszeni zwitek banknotów. – Ile płacę, doktorze?

– Porozmawiajmy o...

– Ile? – nalegała. – No, ile za godzinę?

Powiedziałem jej. Gwizdnęła.

– No, nieźle.

Odliczyła kwotę i wręczyła mi pieniądze.

– Proszę. Nie musi pan nawet tego deklarować w urzędzie skarbowym, znajdę drogę do wyjścia.

I tak ją odprowadziłem. Kiedy dotarliśmy do drzwi, powiedziała: – Te pieniądze, z których panu zapłaciłam... Widział pan, ile tego było? To moje napiwki, kotku. Dostaję duże napiwki.

Teraz, cztery lata później, miałem rozmawiać z jej matką. Pani Jane Abbot.

Więc ponownie wyszła za męża. Czy tym razem życie lepiej się z nią obeszło? Czy na jej płucach znów pojawiła się plamka? Byłem ciekaw, ale mógłbym żyć bez wiedzy na ten temat.

Życie byłoby znacznie prostsze, gdybym nie czuł się zobowiązany do odpowiadania na telefony.

Moja mała pompatyczna przemowa do Lauren o byciu zastępczym rodzicem wciąż dźwięczała mi w uszach. Może trochę odłożyć ten telefon? Włączyłem ekspres do kawy, posprzątałem i tak czystą kuchnię, sprawdziłem zapasy w spizarce. Kiedy wróciłem do kuchni, odkryłem, że zapomniałem nasypać kawę do ekspresu, i zacząłem całą akcję od nowa. Słuchanie bulgotania ekspresu zajęło mi kilka kolejnych minut. W końcu usiadłem, dodałem do kawy parę kropel brandy i zacząłem ją leniwie sączyć, przeglądając gazetę, którą wcześniej przeczytałem od deski do deski.

Nadszedł czas na to, co nieuniknione. Gapiąc się na wielką sosnę, która prawie całkowicie zasłaniała kuchenne okno, wklepałem numer telefonu.

Dwa sygnały.

– Halo?

– Pani Abbot?

– Tak, kto mówi?

– Doktor Delaware.

Dwie sekundy ciszy.

– Nie sądziłam, że pan oddzwoni. Pamięta mnie pan?

– Mama Lauren.

– Tak, mama Lauren – powiedziała. – Mój powód do dumy. – Jej głos się załamał. – Dzwonię do pana właśnie w sprawie Lauren, doktorze Delaware. Ona zaginęła. Tydzień temu. Wiem, że współpracuje pan z policją. Widziałam pana nazwisko w gazetach. Lauren też widziała. Bardzo jej to zaimponowało. Zawsze pana lubiła, wie pan. To mój mąż, mój były mąż, odwołał dalsze wizyty. To był... to jest bardzo zły człowiek. Lauren nie widuje się z nim od lat. Ale nie o to chodzi... Chodzi mi o to, że nie mogę jej znaleźć. Od dawna już mieszka sama, ale boję się o nią. Trzeciego dnia zadzwoniłam na policję, ale powiedzieli mi, że jest dorosła i jeśli nie ma dowodów przestępstwa, mogą tylko sporządzić raport. Czułam, że nie traktują mnie poważnie. Ale ja wiem, że Lauren nie wyjechałaby ot tak, bez powiadomienia mnie.

– Czy ma zwyczaj podróżować?

– Tylko od czasu do czasu. Ale nigdy nie wyjeżdża na tak długo. Zawsze mówi, dokąd się wybiera.

– To znaczy, że jest z nią pani w stałym kontakcie? – zapytałem, zastanawiając się, czy Lauren nadal rozbiera się dla pieniędzy i czy jej matka o tym wie.

Pauza.

– Tak, oczywiście. Ja dzwonię do niej, ona do mnie. Udaje nam się utrzymać kontakt, doktorze Delaware. Wie pan, ja teraz mieszkam w Valley – dodała, jakby to tłumaczyło brak bezpośredniego kontaktu.

– A gdzie mieszka Lauren?

– W mieście. Niedaleko Miracle Mile. Nie odeszłaby tak bez słowa, doktorze. Nie powiedziała nic swojemu współlokatorowi. I wygląda na to, że niczego ze sobą nie zabrała. Czy nie sądzi pan, że to przerażające?

– Może jest jakieś wytłumaczenie...

– Proszę, panie doktorze, wiem, jak to się odbywa. Trzeba mieć znajomości. Pan pracuje z policjantami, pana posłuchają. Musi pan znać kogoś, kto mógłby mi pomóc.

– Jaki jest adres Lauren?

Podawała mi numer domu przy ulicy Hauser.

– To blisko Szóstej ulicy. Niedaleko od muzeum, Smoliste Bagna La Brea. Zabierałam ją tam, kiedy była mała. Bardzo proszę, doktorze Delaware, niech pan porozmawia ze znajomymi w mojej sprawie. Pan ma kontakty.

Moim głównym kontaktem był Milo. Jego rejon obejmował Zachodnie Los Angeles, a Hauser koło Szóstej to Wilshire. Petra Connor, mój drugi i jedyny po Milo znajomy z policji Los Angeles, pracował w hollywoodzkim wydziale zabójstw. Para detektywów od morderstw. Jane Abbot nie chciała o tym słyszeć.

– Podzwonię – powiedziałem.

– Bardzo, bardzo dziękuję, panie doktorze.

– A jak się w ogóle wiedzie Lauren?

– Byłby pan z niej bardzo dumny. Ja jestem. Ona... Miałyśmy kilka trudnych lat po tym, jak jej ojciec od nas odszedł. Zrezygnowała z nauki w szkoli średniej... To było trochę... Ale potem wzięła się w garść, skończyła szkołę, i otrzymała licencjat z honorami, a ostatniej jesieni przeniosła się na uniwersytet. Właśnie zakończyła pierwszy semestr nauki, ma same piątki.

Specjalizuje się w psychologii, chce być terapeutką. Wiem, czyj to wpływ. Podziwia pana,

doktorze. Zawsze mówiła, że jest pan dobry.

– Dziękuję – powiedziałem, czując, że zaraz stracę kontakt z rzeczywistością. – Na uczelni mamy teraz przerwę semestralną. Będzie trwała parę tygodni. Studenci czasem podróżują.

– „Nie – odpowiedziała – Lauren nie wyjechałaby nigdzie bez mojej wiedzy. I bez bagażu.

– Zrobię, co będę mógł.

– Jest pan dobrym człowiekiem, zawsze to czułam. Świetnie pan na nią wpłynął, doktorze. Widział ją pan tylko parę razy, ale to wystarczyło. Pewnego razu powiedziała mi, że żałuje, że to nie pan jest jej ojcem.

Zadzwoiłem najpierw do Mila do domu, nikt nie odpowiadał, tylko taśma z głosem Ricka Silvermana. Spróbowałem więc na policji.

– Sturgis.

– Cześć, postanowiłem cię obudzić.

– Do tego to ja mam wschód słońca, chłopie.

– Wzięłeś nadgodziny w weekend?

– Co to jest weekend?

– Wydawało mi się, że krzywa morderstw poszła w dół – powiedziałem.

– No właśnie – odparł. – Dlatego teraz wszyscy jesteśmy przykuci do starych spraw. Co się urodziło?

– Czy wyświadczysz mi przysługę? – Opowiedziałem mu o Lauren, dając do zrozumienia, że była moją pacjentką. Wiedziałem, że zrozumie, co mogę, a czego nie mogę powiedzieć.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia pięć. Ci z Osób Zaginionych powiedzieli jej matce, że może tylko złożyć raport.

– I co? Złożyła?

– Nie pytałem.

– Chce, żeby ktoś pociągnął za sznurki... Problem polega na tym, że Osoby Zaginione mają rację. Dziewczyna jest dorosła, brak śladów upośledzenia, krwi czy prześladowającego ją chłopaka. Przez pierwsze tygodnie wszystko sprowadza się do rutynowych działań.

– A gdyby chodziło o córkę mera?

Długie westchnięcie.

– A gdybym tak, lecąc małym samolocikiem z dala od wybrzeża, spadł przy Cape Cod? Byłby fuks, gdyby drużyna ratunkowa składała się z dwóch pijanych wioślarzy w łódce, o niszczycielu marynarki wojennej i flocie śmigłowców w ogóle nie wspomnę. Dobra, przedzwonię do Zaginionych. Coś jeszcze, co powinienem wiedzieć o tej dziewczynie?

– Studiuje na uniwersytecie, ale możliwe, że wplątała się w coś niebezpiecznego.

– No?

– Cztery lata temu pracowała jako striptizerka – powiedziałem. – Prywatne zamówienia. Możliwe, że nadal się rozbiera.

– Jej matka ci o tym powiedziała?

– Nie, sam się dowiedziałem. Ale nie pytaj, jak.

Cisza.

– W porządku. Przeliteruj mi jej imię i nazwisko.

Przeliterowałem, a on powiedział:

– Czyli mówimy o niegrzecznej dziewczynce?

– Tego nie wiem – odparłem ze złością. – Wiem tylko, że tańczyła.

Nie zareagował na moje zdenerwowanie.

– Cztery lata temu. Co jeszcze?

– Jej matka twierdzi, że pierwszy semestr na uniwersytecie skończyła z piątkami od góry do dołu.

– Mamusia wie najlepiej?

– Tak to już jest z niektórymi mamusiami.

– Czy to jedna z nich?

– Nie wiem. Jak powiedziałem, dawno jej nie widziałem, Milo.

– Widzę, że na ciebie też się walą stare sprawy.

– Coś w tym rodzaju.

Milo obiecał, że się ze mną skontaktuje tak szybko, jak będzie mógł. Podziękowałem mu i odłożyłem słuchawkę. Poszedłem pobiegać, wróciłem do domu zlany potem, wziąłem prysznic, ubrałem się, nakarmiłem rybki w stawie, nie podziwiając w ogóle ich kolorów. Wróciłem do gabinetu i zająłem się sprawami o opiekę sądową.

Skończyło się na tym, że zacząłem myśleć o Lauren.

Od striptizu do piątek na uniwerku... Postanowiłem zadzwonić do Jane Abbot i poinformować ją, co do tej pory zdziałalem. Może na tym cała sprawa się zakończy.

Tym razem odpowiedziała automatyczna sekretarka. Męski głos, trochę sztuczny. Jedno z tych nagrań, jakich używają samotne kobiety dla bezpieczeństwa. Zostawiłem wiadomość, popracowałem kilka godzin. Po dwunastej pojechałem do południowego Westwood, kupiłem włoską kanapkę na wynos i piwo u Wally'ego, zawróciłem do parku Holmby, gdzie usiadłem na ławce i zjadłem swój posiłek, starając się nie wyglądać dziwnie wśród bogatych dzieciaków, niań i staruszków, korzystających z drzew i zielonej trawy pośród odgłosów przejeżdżających samochodów. Kiedy wróciłem do domu, czerwona lampka mojej automatycznej sekretarki mrugała, oznajmiając, że mam wiadomość.

Jeden telefon. Głos Mila wydawał się jeszcze bardziej zmęczony:

– Cześć, Alex. Chodzi o Lauren Teague. Oddzwoń, kiedy będziesz mógł. Wykręciłem numer. Odebrał jakiś inny detektyw i zajęło kilka chwil, zanim usłyszałem Mila.

– Matka złożyła raport. Wczoraj. Osoby Zaginione sprawdziły Lauren. – Zakasłał. – Ma kartotekę, Alex. Jeszcze nie powiadomili o tym matki. I chyba nie powinni.

– Jaką kartotekę? – zapytałem.

– Prostyucja.

Milczałem.

– To na razie tyle – powiedział.

– Czy to znaczy, że nikt nie będzie jej tak naprawdę szukał?

– Chodzi o to, że właściwie nie ma od czego zacząć. Pytali matkę o znajomych córki, ale nie potrafiła nikogo wskazać. Detektyw z Zaginionych podejrzewa, że matka nie jest wtajemniczona w życie osobiste Lauren. A może jej podróż nie jest wcale taka niespodziewana? Aresztowali ją nie tylko tutaj, w Nevadzie też.

– W Las Vegas?

– W Reno. Wiele dziewczyn pracuje na tej trasie. Robią jedno – lub dwudniowy objazd, żeby szybko zarobić grubszą kasę. Więc może wyjazd bez wieści jest po prostu częścią jej stylu życia. Bez względu na to, czy jest studentką, czy nie.

– Nie ma jej już od tygodnia. Czy to nie za długo na szybką rundkę?

– Może gra w Vegas. Albo podłapała jakiegoś nadzianego gościa i chce z niego wyciągnąć, ile się da. Sęk w tym, że nie mówimy o niewinnym dziewczęciu, które zaginęło w drodze do kościoła.

– Kiedy ją ostatnio aresztowano? – zapytałem.

– Cztery lata temu.

– Tu czy w Nevadzie?

– W starym dobrym Belverly Hills. Była jedną z dziewczynek Gretchen Stengel. Aresztowano ją w hotelu Beverly Monarch.

To tam, gdzie odbywał się wieczór kawalerski Harnsbergera. Przed oczami stanęła mi na moment kremowa rokokowa fasada hotelu. „Napiwki. Dostaję świetne napiwki”.

– Jaki to był miesiąc? – spytałem.

– Co za różnica?

– Ostatnio widziałem ją cztery lata temu w listopadzie.

– Poczekaj, zaraz sprawdzę... dziewiętnasty grudnia.

– Gretchen Stengel – powiedziałem.

– Burdelmama zachodniej dzielnicy we własnej osobie. Przynajmniej nie zarabiała na ulicy na prochy.

Ścisnąłem słuchawkę tak mocno, że poczułem ból w palcach.

– Czy ma jakiś zapis o narkomanii?

– Nie, tylko prostytutka. Ale dziewczynki Gretchen nieźle imprezowały. Słuchaj, Alex, wiesz, że nie oceniam ludzi po ich życiu seksualnym, a o narkotykach nawet nie myślę, jeśli nie prowadzą do czyjejś śmierci. Ale fakt, że Lauren była pracującą dziewczyną, musi zostać wzięty pod uwagę. Najprawdopodobniej wyjechała, żeby sobie dorobić, a jej współlokator kryje ją przed mamusią. Nie widzę powodu do paniki.

– Pewnie masz rację – odparłem. – Mama może nie być wtajemniczona. Chociaż trochę się chyba orientuje: powiedziała mi, że Lauren miała w życiu trudny okres, a jej głos drżał, kiedy mi o tym mówiła. Ale jeśli ostatnie aresztowanie było cztery lata temu, to może Lauren rzeczywiście się zmieniła. W końcu zaczęła studia.

– Możliwe.

– Tak, tak, wiem. Jestem niepoprawnym optymistą.

– Hej, to część twojego chłopięcego uroku... Więc leczyłeś ją cztery lata temu?

– Nie, dziesięć. Widziałem ją raz sześć lat później.

– No cóż – odparł. – Dziesięć lat to szmat czasu.

– Cholerny eon.

Długa pauza.

– Ciągłe ci na niej zależy.

– Po prostu wykonuję swoją pracę. – Byłem zaskoczony złością w moim głosie. Nie drążyłem tematu i podziękowałem Milowi, że zajął się sprawą Lauren.

– Detektyw od Zaginionych zgodził się podzwonić po szpitalach.

– Po kostnicach też?

– Tak. Alex, wiem, że nie chcesz słuchać o jej kartotece, ale w tym przypadku to może być dobry znak. Dziewczyna miała powód, żeby zniknąć bez wieści. Najlepsze, co można zrobić, to czekać. W dziewięciu przypadkach na dziesięć zaginiona osoba się odnajduje.

– A jeśli nie, to i tak jest za późno, żeby jej pomóc.

Nie odpowiedział.

– Przepraszam. Zrobiłeś więcej niż musiałeś.

– Nie – zaśmiał się miękko. – Musiałem.

– Może zjemy kiedyś lunch? – zapytałem.

Jasne, jak wygrzebię się z tych pleśniejących raportów.

– Tak stare te sprawy?

– Kurz włazi mi nawet do dupy.

– Nad czym ślęczysz?

– Taki tam groch z kapustą. Zabójstwo dziecka sprzed dziesięciu lat. Prawdopodobnie zrobili to rodzice, ale brak dowodów. Dwunastoletni, spaprany napad na sklep, żadnych świadków, brak nawet porządnej analizy balistycznej, bo źli faceci użyli strzelby. Pijak zaciukany w ciemnej ulicy osiem lat temu. I moja ulubiona sprawa: staruszka uduszona we własnym łóżku za czasów prezydenta Nixona. Powinienem pisać pracę z historii starożytnej.

- Literatura angielska też nieźle pasuje.
- Doprawdy?
- Każdy ma jakąś opowieść – powiedziałem.
- Tak, ale te, których ja wysłuchuję, nie kończą się happy endem.

Współlokator ją kryje...

Czyżby i on prowadził takie życie jak Lauren? Jeśli tak, to dlaczego rozmawiał z Jane? Zainteresowanie policji też nie byłoby mu na rękę.

Jane Abbot twierdziła, że Lauren mnie uwielbiała. Jakoś trudno mi było w to uwierzyć, ale może Lauren mówiła coś o mnie swojemu współlokatorowi.

Zadzwoiłem do Lauren pod numer zaczynający się na 323, jaki podała mi Jane. Odezwał się kolejny męski robot z sekretarki. Odłożyłem słuchawkę, nie zostawiwszy wiadomości.

Poświęciłem jeszcze trochę czasu na refleksję nad tym, jaką drogę życiową obrała Lauren. Biorąc pod uwagę, jak mało wiedziałem na temat jej życia rodzinnego, nie powinienem być zaskoczony. W końcu jednak znowu zacząłem szukać w tym swojej winy.

Dziesięć lat temu. Dwie sesje.

Ojciec zakończył terapię, ale czy ja nie odpuściłem wtedy zbyt łatwo? Wydawało mi się, że nie. Lyle Teague nigdy nie zaakceptował pomysłu terapii. Nawet jeśli bym się do niego dodzwonił, nie ma powodu przypuszczać, że zmieniłby zdanie.

Nie miałem podstaw, żeby czuć się winny. Powtarzałem sobie, że dobrze się z tym czuję. Ale gdy nadeszło popołudnie, zniknięcie Lauren nadal mnie prześladowało. Zaraz po drugiej wyszedłem z domu, wjechałem swoim starym seville'em na Sunset, skierowałem się na wschód przez Beverly Hills do wesołomiasteczkowej kolejki, która wieńczyła La Cienega.

Wjechawszy w Trzecią, zaraz za Centrum Beverly, skręciłem w Szóstą na Crescent Heights i przejechałem obok Smolistych Bagien. Gipsowe mastodonry stawały dęba, a gromady szkolnych wycieczek gapiły się na nie. Codziennie wydobywają tam jakieś kości. Jedna z największych atrakcji turystycznych Los Angeles, to w istocie gigantyczny cmentarz.

Mieszkanie Lauren na Hauser znajdowało się w pół drogi między Szóstą i Wilshire, w sześciopiętrowym pudełkowatym domu z rdzawą elewacją, który był na tyle stary, że miał zewnętrzne schody przeciwpożarowe. Po betonowym chodniku dotarłem do szklanych drzwi z żelazną kratą. Przez szybę widać było słabo oświetloną klatkę schodową, wyłożoną ciemnym dywanem. Podpis na domofonie mówił, że T_{EAGUE}/S_{ALANDER} mieszkają pod czwórką.

Nacisnąłem odpowiedni przycisk. Ku memu zaskoczeniu, ktoś natychmiast otworzył. Klatka schodowa pachniała proszkiem do prania i gulaszem. Dywan z wełny – różowawe liście na błotnisto-brązowym tle, kiedyś bardzo drogi, teraz był wytarty i zdeptany. Mahoniowe drzwi zostały ponownie pomalowane i pociągnięte zbyt grubą warstwą lakieru. Zza żadnych z nich nie dobiegała muzyka ani odgłosy rozmowy. Terakotowe poobijane schody w tyle budynku zaprowadziły mnie na górę.

Mieszkanie numer 4 znajdowało się od strony ulicy. Zapukałem i nim zdążyłem opuścić rękę, drzwi się otworzyły. Stał w nich młody mężczyzna, trzymający kawałek białej szmatki.

Metr siedemdziesiąt, sześćdziesiąt kilo, jasnowłosy, drobny, ubrany w białą podkoszulkę bez rękawów, bardzo niebieskie džinsy z czarnym skórzanym paskiem i wysoko sznurowane, ciężkie czarne buty. Z przedniej kieszeni spodni zwieszał się solidny srebrny łańcuch.

– O, myślałem, że to... – powiedział dźwięcznym wysokim głosem.

– ... ktoś inny – dokończyłem. – Przepraszam, jeśli w czymś przeszkodziłem. Nazywam się Alex Delaware.

W piwnych oczach malowało się zaskoczenie. Jego brązowożółte włosy były obcięte na krótkiego jeża. Ciało pozbawione tłuszczu, ale nieumięśnione, tylko żylaste. W prawym uchu niewielki złoty kolczyk. Czarno-niebieski kunsztowny tatuaż z napisem „Nie panikuj!” na lewym ramieniu. Prawy biceps okalała cierniowa opaska wytatuowana w tych samych barwach. Wyglądało na to, że był mniej więcej w wieku Lauren. Miał okrągłą gładką twarz, różowe policzki i uniesione brwi rozpieszczonego dziecka. Kiedy mierzył mnie wzrokiem z góry do dołu, zaskoczenie ustąpiło miejsca podejrliwości. Ścisnął mocno białą ściereczkę i odchylił do tyłu głowę.

– Jestem dawnym znajomym Lauren – powiedziałem. – Jednym z jej lekarzy, ściślej mówiąc. Jej matka zadzwoniła do mnie zaniepokojona, że Lauren nie ma od tygodnia.

– Jeden z lekarzy? A... ten psycholog. Tak, mówiła mi o panu. „Nazywa się pan jak któryś ze stanów... Czy jest pan Indianinem?”

– Raczej mieszańcem.

Uśmiechnął się, pociągnął za srebrny łańcuch i wyjął z kieszeni zegarek wielkości talerza.

– Jezu, za dwadzieścia trzecia! – Potarł ręką oko. – Zdrzemnąłem się, usłyszałem dzwonek, zerwałem się, myślałem, że jest za dwadzieścia czwarta.

– Przepraszam, że pana obudziłem.

Machnął ściereczką.

– Proszę nie przepraszać. Wyświadczył mi pan właściwie przysługę. Stary... przyjaciel ma do mnie wpaść. Potrzebuję czasu, żeby się ogarnąć. Ale dlaczego właściwie rozmawiamy w korytarzu? – Kościste ramię wyciągnęło się w moim kierunku. Żelazny uścisk ręki. – Jestem Andrew Salander – powiedział, przeciągając drugą sylabę. – Mieszkam z Lauren.

Otworzył drzwi na oścież, odsunął się na bok i wprowadził mnie do dużego salonu z wysokim obelkowanym sufitem. Okna zasłaniały ciężkie rubinowożłote zasłony, nie wpuszczając do środka światła. Uderzył mnie bukiet aromatów: woda kolońska, kadzidelka, ledwo wyczuwalny zapach sadzonych jajek.

– Niech stanie się światłość – powiedział Andrew Salander, odsuwając zasłony. Nad dachami budynków po drugiej stronie ulicy unosił się smog. Światło oświetliło cytrynowe ściany ze złoceniami. Belkowanie także było złocone. Francuskie sztychy, ckiwe stare krajobrazy w zniszczonych ramach i wystrzępione hafty porozwieszane na ścianach współistniały w przedziwnej harmonii. Przeładowany art deco, sztuką wiktoriańską i nowoczesnymi meblami z cylindrycznymi nóżkami pokój stwarzał nastrój intymności. Jednak po bliższym przyjrzeniu okazywało się, że rzeczy te pochodzą ze sklepów ze starociami.

Salander powiedział:

– Więc pani A. dzwoniła do pana. Do mnie też. Codziennie przez ostatnie trzy dni. Na początku myślałem, że przechodzi menopauzę. Ale minęło już ponad sześć dni i sam zaczynam się niepokoić o Lo.

Ściągnął wytartą jedwabną narzutę z oliwkowej, aksamitnej otomany.

– Proszę usiąść. Przepraszam za nieład. Czy mogę zaoferować panu coś do picia?

– Nie, dziękuję. Do nieładu tu daleko.

– Niech pan da spokój. – Machnął ręką. – Ciągłe pracujemy nad wystrojem. Z marnym skutkiem. Lo i ja zaczęliśmy się tym zajmować, odkąd się wprowadziłem. Spędzamy niedziele w Rose Bowl Swap Meet, na Zachodniej Alei, od czasu do czasu udaje się nam coś znaleźć w La Brea. Problem polega na tym, że oboje nie mamy właściwie czasu, żeby się tym porządnie zająć. W każdym razie da się tu już mieszkać. Kiedy Lo mieszkała sama, ściany były zupełnie gołe. Myślałem, że jest jedną z tych osób bez zmysłu artystycznego. A tu okazało się, że ma wyśmienity gust. Tylko nie robiła z niego użytku.

– Jak długo mieszkanie razem?

– Sześć miesięcy – odparł. – Przedtem też mieszkałem w tym budynku, tylko na dole, pod dwójką. – Zmarszczył brwi, usiadł na otomanie ze sztucznego futra lamparta, skrzyżował nogi. – Już miałem się przeprowadzić... Potem sytuacja się zmieniła, jak to zwykle bywa, a właściciel wynajął moje mieszkanie komu innemu i nagle znalazłem się na bruku. Mieliśmy z Lo dobry kontakt, często gadaliśmy w pralni. Łatwo się z nią rozmawia. Kiedy się dowiedziała, że nie mam gdzie mieszkać, zaproponowała, żebym się do niej wprowadził. Na początku odmówiłem, bo nie lubię zdawać się na łaskę innych. Ale w końcu mnie przekonała, że dwie sypialnie to dla niej aż nadto i mógłbym się dołożyć do czynszu.

Czubkiem palca pogładził wyskubaną brew.

– Prawdę mówiąc, chciałem, żeby mnie przekonała. Samotność jest taka... mroczna. A Lo to wspaniała osoba, tylko teraz dokądś odleciała. Doktorze Delaware, czy mamy powody, żeby się martwić? Nie chcę się martwić, ale muszę przyznać, że mnie to gryzie.

– Czy Lauren zasugerowała w jakiś sposób, dokąd się wybiera? – Nie, nie zabrała nawet

samochodu. Stoi na parkingu za blokiem. Więc może rzeczywiście odleciała, dosłownie. Trudno ją nazwać autokarową dziewczyną. Pracuje jak demon; studiuje, prowadzi badania.

– Badania na uniwerku?

– Uhm.

– Na jaki temat?

– Nigdy mi nie mówiła, tylko twierdziła, że miała czas zjeść obiad między wykładami a badaniami. Myśli pan, że wyjechała w związku z pracą?

– Może – odparłem. – Nie wie pan, dla kogo pracowała?

Salander pokręcił przecząco głową.

– Kumplujemy się i w ogóle, ale Lo chodzi swoimi drogami, a ja swoimi. Mamy inaczej ustawione zegary biologiczne. Ona jest rannym ptaszkiem, i ja nocnym markiem. Idealny układ: ona jest do rzeczy rano, kiedy jedzie na zajęcia, a ja, kiedy zbliża się czas mojej pracy. Kiedy się budzę, jej już zwykle nie ma. Dlatego zajęło mi parę dni, nim zorientowałem się, że nie spała w swoim łóżku. – Zaczął się niepewnie kręcić na otomanie. – Sypialnie to nasza prywatna przestrzeń, ale pani A. miała tak zaniepokojony głos, że zgodziłem się zajrzeć do pokoju Lo.

– Całkiem słusznie – powiedziałem.

– Mam nadzieję.

– Czym się pan zajmuje, panie Salander?

– Andrew. Miksturologią stosowaną. – Uśmiechnął się. – Jestem barmanem w Cloisters. To taki lokal w zachodnim Hollywood.

Milo i Rick czasami chadzali do Cloisters.

– Znam to miejsce.

Jego brwi podskoczyły jeszcze wyżej.

– Naprawdę? To dlaczego nigdy tam pana nie widziałem?

– Wpadałem tam tylko przejazdem.

– A – powiedział. – Cóż, moje martini bombajskie to prawdziwe dzieło sztuki, powinien pan kiedyś skosztować. – Jego twarz spochmurniała. – Proszę posłuchać, Lauren nie ma, a ja tu gadam. Nie, panie doktorze, nie wiem, dokąd się mogła wybrać. Ale nie panikowałem, dopóki nie zadzwoniła pani A. Lauren wyjeżdża od czasu do czasu.

– Na tydzień?

Zmarszczył brwi.

– Nie, na jedną, dwie noce. W czasie weekendu.

– Jak często?

– Co dwa miesiące, co sześć tygodni, nie potrafię dokładnie powiedzieć.

– Dokąd wyjeżdżała?

– Któregoś razu powiedziała, że była na plaży. W Malibu.

– Sama?

Pokiwał głową.

– Mówiła, że wynajęła pokój w motelu, potrzebowała trochę czasu, żeby się odstresować, a szum oceanu ją uspokaja. Jeśli chodzi o pozostałe wypadki, to nic nie wiem.

– Czy jeździła na takie wycieczki swoim samochodem?

– Tak, zawsze... – Rozmasował ręką cierniowy tatuaż, krzywiąc się, jakby rysunek był nowy, a ból jeszcze świeży. – Czy sądzi pan, że stało się coś złego?

– Nie mam dość informacji, żeby cokolwiek sądzić. Ale pani Abbot chyba się martwi.

– Może pani A. przesadza. Matki zwykle przesadzają.

– Czy widział ją pan?

– Tylko raz, jakiś czas temu. Minęły może dwa, trzy miesiące. Przyszła zabrać Lo na obiad i trochę rozmawialiśmy, kiedy Lo się szykowała. Wydała mi się dość miła, chociaż raczej *passé*, jeśli wolno tak powiedzieć. Starannie dobrany kostium, ale trochę się już sypie. Wyglądała, jakby została wycięta z magazynu z lat pięćdziesiątych. Jak ktoś, kto jeździ chryslerem imperialem z wszystkimi szykanami i tylnym siedzeniem wypełnionym zakupami z Bullocks Wilshire.

– Konserwatywna – podrzuciłem.

– Chce się zakonserwować – dodał. – Teatralnie smutna. Jest jedną z tych kobiet, które chcą walczyć z czasem makijażem, odpowiednim doborem butów, małymi kanapeczkami z poobcinanymi skórkami od chleba.

– Niepodobna do Lauren.

– Nie. Lauren jest *très naturelle*. – Jeszcze raz machnął szmatką. – Jestem pewien, że wszystko z

nią w porządku. Musi być w porządku. – Westchnął, znowu rozmasował tatuaż.

– Więc kiedy poznałeś panią Abbot, wybierały się zjeść obiad? – spytałem.

– Długi obiad. Jakies trzy godziny. Kiedy Lo wróciła, nie wyglądała, jakby dobrze się bawiła.

– Była zdenerwowana?

– Zdenerwowana i rozkojarzona, jakby ją ktoś uderzył w głowę. Podejrzewałem, że wydarzyło się coś ważnego, więc przyrządziłem jej ulubionego drinka i zapytałem, czy chce porozmawiać. Pocałowała mnie w policzek i powiedziała, że to nic takiego. Ale kiedy wypila koktajl do ostatniej kropli, a ja siedziałem przy niej, emitując fale, że ją wysłucham, powiedziała: „W końcu tym się właśnie zajmuję”... – przerwał. – Czy powinienem to panu opowiadać?

– Dyskrecja to część tego, czym ja się zajmuję.

– Słusznie. Lauren mówiła, że pana lubi... W porządku, to i tak nic straszego czy złego. Po prostu powiedziała mi, że całe dzieciństwo walczyła z tym, że ją kontrolowano, znalazła własną drogę w życiu, a teraz matka próbowała ją znowu kontrolować.

– Kontrolować?

Skinął głową.

– Czy powiedziała, w jaki sposób?

– Nie, przykro mi, doktorze. Nie czuję się dobrze, tyle gadając. I tak nie ma nic więcej do opowiadania. To właściwie wszystko.

Uśmiechnąłem się do niego. Dalej nie chciał mówić.

– Naprawdę wszystko panu już powiedziałem. I to dlatego, że wiem, że Lo pana lubi. Zobaczyła pana nazwisko w gazecie, to był artykuł o jakiejś policyjnej sprawie, i powiedziała: „Hej, Andrew, znałam tego faceta. Próbował mnie wyprostować”. Zrobiłem jakąś uwagę o tym, że się to panu nie udało. Uznała, że to zabawne, i powiedziała, że może przez takie przypadki jak ona rzucił pan terapię i zaczął pracować z policją. Ja... – jego policzki poczerwieniały – podśmiewałem się, że psychoanalitycy są bardziej świrnięci od swoich pacjentów i zapytałem, czy pan też był taki. Powiedziała, że nie, wydawał się pan całkiem... chyba powiedziała: konwencjonalny. Zauważyłem, że w takim razie musiał pan być nudny. Ale ona odpowiedziała, że nie, i że tego właśnie potrzebowała. Powiedziała też, że schrzaniła sprawę i nie wykorzystwała dostatecznie terapii z panem, ale i tak jej się to przydało.

– Co ma pan na myśli? – zapytałem.

– Zdała sobie sprawę, że rodzice zrobili z, niej buntowniczkę. Starali się użyć pana jako broni przeciwko niej, ale pan nie dał się wciągnąć w ich grę. Nie ugiął się pan. „Na pewno nie chce pan nic do picia?”

Wyschło mi w gardle, więc powiedziałem:

– Wystarczy cola.

Zaśmiał się.

– Bezalkoholowo?

– Trochę dla mnie za wcześnie.

– Proszę mi wierzyć, nigdy nie jest za wcześnie. Ale w porządku, jedna cola *por favor*. Z cytryną czy limonką?

– Z limonką.

Poszedł do kuchni i wrócił z wysoką szklanką coli z lodem dla mnie i kieliszkiem białego wina dla siebie. Usiadł, oparł łokieć na kolanie, ukrył podbródek w dłoni i popatrzył mi prosto w oczy.

– Więc Lauren uważała, że matka chce ją kontrolować, ale nie powiedziała jak?

– A następnego dnia zajęła się swoimi sprawami i nawet nie wspomniała o matce. Prawda jest taka, że chyba matka nie liczyła się za bardzo w jej życiu. Lo od lat mieszkała sama. To już absolutnie wszystko, co mogę panu powiedzieć o jej życiu rodzinnym, więc niech pan pije. – Wyciągnął z kieszeni zegarek.

– Pana przyjaciel – powiedziałem.

Drgnął.

– Tak.

– Czy Lauren ma jakichś przyjaciół, z którymi mógłbym porozmawiać?

– Nie.

– W ogóle?

– Ani jednego. Nie umawia się na randki, nie przyjaźni z innymi dziewczynami. Oboje jesteśmy odludkami. To kolejna rzecz, która nas łączy.

– Ranny ptaszek i nocny marek...

– To naprawdę świetny układ. Jeszcze z nikim tak dobrze mi się nie mieszkało. Lauren jest naprawdę słodka i dlatego mam nadzieję, że nic się jej nie stało. A teraz, jeśli pan chce, mogę panu przelać colę do styropianowego kubeczka, żeby mógł ją pan zabrać ze sobą...

Najbardziej czarujące wyproszenie, z jakim zdarzyło mi się spotkać. Wstałem, odstawivszy

szkłankę.

– Jeszcze tylko kilka pytań. Pani Abbot powiedziała, że Lauren nie spakowała żadnej walizki...

– Ja jej to powiedziałem – odparł. – Znam każdą rzecz z jej garderoby. Ma wspaniałe rzeczy. Kiedy się przeprowadziłem, zrobiłem jej porządek w szafie. Lo ma dwie stylowe walizki Samsonite, które kupiliśmy na pchlim targu w Santa Monica, i obie tutaj są. Tak samo jej szkolny plecak. I jej książki. Więc pewnie zamierza tu wrócić. – Upił łyk wina. – To niedobrze, prawda? Tak zniknąć bez bagażu?

– Chyba że Lauren jest impulsywna.

– Że niby spotkała jakiegoś przystojniaka i poleciała do Cuernavaca? To byłoby miłe – powiedział z powątpiewaniem.

– Mało prawdopodobne?

– Cóż – odparł – to nie w jej stylu. Gdyby się zakochała, wiedziałbym o tym. To zorganizowana dziewczyna, miała swój plan zajęć: wstawiała, biegała, jechała na zajęcia, uczyła się, kładła spać, wstawiała i tak na okrągło. Prawdę mówiąc, była kujonką.

– Ścisła dyscyplina i tylko okazyjne wyjazdy?

– Tak.

– Ale przecież ma właśnie przerwę semestralną na uniwerku – powiedziałem. – Co robiła w czasie wakacji?

– Pracowała.

– Brała udział w badaniach?

– To kujonka – odparł. – Każdą wolną chwilę spędzałaby na nauce, gdybym nie wyciągał jej do sklepów ze starzyzną.

– Taka postawa musiała przynosić efekty. Pani A. mówiła, że Lauren miała same piątki.

– Lo była z nich bardzo dumna. Pokazywała mi wydruk z ocenami. To było takie słodkie.

– Co takiego?

– To, że dorosła kobieta tak się tym emocjonuje. Studiuje psychologię, chce być terapeutką. Musiał pan na nią dobrze wpłynąć. Nie tknął pan swojego drinka, nie smakuje panu?

Podniosłem szkłankę i napiłem się.

– Wyśmienity.

– To meksykańska limonka, a nie z Bearss. Ma więcej goryczy.

Wypiłem jeszcze trochę.

– Czy te badania wystarczają na opłacenie rachunków?

– Może częściowo tak, ale Lo także inwestuje.

– Inwestuje?

– Oszczędności, jakie odłożyła, kiedy pracowała na pełnym etacie. Powiedziała mi, że minie następnych kilka lat, zanim będzie musiała wrócić na wybieg. Szanuję ją za to, porzuciła taką lukratywną pracę, żeby studiować.

– Na wybieg?

– Tak, pracowała jako modelka – odparł. – Nic w rodzaju okładek „Vogue’a”. Pracowała na Fashion Mart, odkąd skończyła osiemnaście lat. Zarabiała niezłe pieniądze, ale nie chciała być traktowana jak bezmyślny manekin... Bardzo mi przykro, panie doktorze, ale jestem umówiony z kimś, kto... mnie zranił. Długo zbierałem się na odwagę i w końcu jestem gotów spojrzeć mu w twarz. Proszę.

Wskazał na drzwi i wyprowadził mnie.

– Bardzo dziękuję za poświęcenie mi czasu – powiedziałem. – Jeśli pan pozwoli, chciałbym się przyjrzeć samochodowi Lauren. Jaka to marka?

– Szara mazda. Niech jej pan nie ukradnie. – Nerwowy śmiech.

Położyłem rękę na sercu.

– Dzisiaj żadnych przejazdów.

Głośniejszy śmiech.

– Nie będę się martwił – powiedział. – Chyba nie ma powodu.

– Z pewnością.

– Będę tu siedział, zamartwiając się do nieprzytomności, a Lo wejdzie cała w skowronkach. Niezłe ją obsztorcuje, że tak nas nastraszyła.

Wyprowadził mnie na klatkę, spojrzał w kierunku schodów. Przygryzł wargi.

– Umie pan słuchać. Jeśli myśli pan o zmianie zawodu, mogę panu załatwić pracę w Cloisters.

Uśmiechnąłem się.

– Będę o tym pamiętał.

Zaśmiał się.

– Nie, nie będzie pan. Z mnóstwa powodów.

Na parkingu za budynkiem stał tylko jeden samochód. Kilkuletnia mazda z licznymi zadrapaniami i wgnieceniami w karoserii pokrytej kilkudniowym kurzem i z beżowawym płóciennym dachem. Naklejka miasteczka uniwersyteckiego na tylnym zderzaku, mapa w kieszeni drzwi przy siedzeniu kierowcy, para okularów przeciwsłonecznych za skrzynią biegów. Nic więcej.

Wróciłem do swojego seville'a, próbując poukładać sobie to, czego dowiedziałem się od Salandera.

Żadnych przyjaciół, żadnych randek. Kujonka.

Dzielenie mieszkania z gejem wskazywało na to, że Lauren potrzebowała towarzystwa, ale nie seksu.

Czy dlatego, że dzięki niemu zarabiała na życie?

Pracowała na wybiegach Fashion Mart od osiemnastego roku życia. Może naprawdę pracowała trochę jako modelka, a może była to tylko przykrywka dla zarabiania ciałem w inny sposób.

Samotne wyjazdy na weekend. Raz do Malibu. Gdzie jeszcze, nie wiadomo. Czyżby spotykała się wtedy ze swoimi klientami?

Nocny marek i ranny ptaszek. Jeśli zależało jej na prywatności, Salander był idealnym współlokatorem. A jednak Salander był spostrzegawczy. Gdyby Lauren nadal uprawiała prostytutkę, chyba by to zauważył?

Może zresztą zauważył, tylko nie chciał mi o tym powiedzieć? Coś mi mówiło, że był szczery, ale nigdy nie wiadomo...

Pomyślałem o tym, co mi powiedział o dochodach Lauren. Inwestycje. Oszczędności z dawnej pracy. Dość, żeby nie musieć pracować przez następne kilka lat.

„Dostaję duże napiwki”.

Nosi drogie ubrania, ale żyje raczej skromnie. Zanim Salander się wprowadził, właściwie nie miała żadnych mebli. To i stary samochód wskazywało, że Lauren wiedziała, jak się oszczędza.

Zaciskała pasa, ale wydawała na drogie ubrania.

Czyżby ubierała się do pracy?

Zastanawiałem się nad obiadem z matką. Lauren wróciła wściekła i rozkojarzona, narzekając, że Jane chce ją kontrolować. Ale to było dwa, trzy miesiące temu. Nie ma powodu, żeby łączyć ten incydent z jej zniknięciem.

Ale zniknęła. Pomimo zapewnień składanych Salanderowi, przed oczami stawał mi najczarniejszy scenariusz.

Siedem dni, bez bagażu, bez samochodu, bez słowa wyjaśnienia.

Może Lauren wróci za chwilę cała w skowronkach? Piątkowa studentka wraca z badań – jakiś profesor poprosił ją o udział w spotkaniu naukowym lub sesji za miastem.. Poleciała samolotem – to by tłumaczyło, dlaczego zostawiła samochód. Ale nie rozwiązuje problemu pozostawionych ubrań. I dlaczego nikogo nie zawiadomiła?

Chyba że Salander nie znał rzeczy Lauren tak dobrze, jak twierdził, a ona jednak coś ze sobą wzięła. Wrzuciła do torby trochę zwykłych wygodnych ciuchów.

Badania... Jakiś projekt na mojej Alma Mater. Specjalizacja z psychologii, więc pewnie i psychologiczne badania. Wykształcił mnie ten właśnie wydział.

Na Wilshire skierowałem się na zachód i utknąłem w korku na Crescent Heights. Ubrani na pomarańczowo ludzie z Caltrans, najgłupszej agencji w tym stanie, czerpali małoduszną satysfakcję z zablokowania dwóch pasów ruchu. Siedziałem, próżnując i posuwając się do przodu o jeden, dwa metry na godzinę. I tak do momentu, aż przejechałem przez La Cienega. Nie zwracałem uwagi na hałas i kurz. Miałem przed sobą nowy cel: chciałem czuć się potrzebny.

Do miasteczka uniwersyteckiego dotarłem około czwartej trzydzieści. Więcej ludzi wyjeżdżało niż przyjeżdżało, ale pierwsze dwa parkingi, na których próbowałem się zatrzymać, były w remoncie. Oficjele uniwersyteccy ciągle mówią o ograniczeniach budżetowych, ale robotnicy zawsze pracują tu po godzinach. To czas boomu dla Los Angeles. Potrwa pewnie, dopóki ziemia znowu nie zacznie się trząść.

Była prawie piąta po południu, kiedy pośpiesznie wchodziłem po schodach budynku psychologii, mając nadzieję, że kogoś zastanę. Betonowo-tynkowa, wafłowa elewacja została przemalowana. Biel zastąpiono złotawym beżem z zielonkawym odcieniem. Niezwykle radosne barwy jak na miejsce poświęcone badaniom nad sztuczną inteligencją i przepuszczaniu szczurów ze zoperowanymi mózgami przez coraz bardziej makiaweliczne labirynty. Może boom nie wpłynął na ilość i wysokość grantów na badania, a nowe kolory miały nastawiać sponsorów ciepło i przyjaźnie. Jeśli tak właśnie miało być, to efekt rujnowała pudełkowa architektura w stylu Skinnera, której klinicznym przykładem jest ośmiopiętrowy budynek.

Kiedy dotarłem do głównego biura, połowa świateł była już zgaszona i została tylko jedna sekretarka, która właśnie zamykała biuro. Była to właściwa sekretarka – pulchna, rudowłosa młoda kobieta, Mary Lou Whiteacre, której pięcioletniego syna miałem okazję leczyć w zeszłym roku.

Brandon Whiteacre był miłym, małym chłopczykiem, delikatnym i wrażliwym, z rudą czupryną i oczami wystraszonego króliczka. W stłuczce samochodowej jego babcia doznała zmiążdżenia biodra, on sam trafił do szpitala na obserwację. Wyszedł z wypadku bez złamań, jeśli nie liczyć złamanej pewności siebie. Wkrótce zaczął się moczyć w nocy i budzić z krzykiem. Mary Lou znalazła mnie na liście absolwentów, ale wydział nie chciał zapłacić za leczenie chłopca. Kobieta miała ciągle kłopoty finansowe, próbując stanąć na własnych nogach po rozwodzie. Leczyłem Brandona za darmo.

Odgłosy kroków sprawiły, że spojrzała w moim kierunku, i chociaż uśmiechnęła się, wyglądała na wystraszoną. Tak jakbym przyszedł, by poinformować ją, że jej syn jest nadal chory.

– Doktor Delaware.

– Witam, Mary Lou. Jak leci?

Przyklepała nieposłuszny kosmyk rudych włosów.

– Brandon ma się świetnie. Pewnie powinnam była do pana zadzwonić. – Podeszła do dzielącego nas pulpitu. – Dziękuję za pomoc, doktorze Delaware.

– Cała przyjemność po mojej stronie. A jak pani mama?

Zmarszczyła brwi.

– Jej biodro wolno się goi, a ten drugi kierowca okazał się szują, nie chce się przyznać do winy.

W końcu wynajęliśmy adwokata, ale wszystko strasznie się ciągnie. Co pana tutaj sprowadza?

– Staram się namierzyć studentkę, która brała udział w badaniach.

– Po magisterium?

– Nie, przed. Macie chyba spis aktualnych projektów badawczych?

– No cóż – odparła – ogólnie rzecz biorąc, to nie są informacje przeznaczone do powszechnego obiegu, ale jestem pewna, że ma pan dobry powód...

– Ta dziewczyna zniknęła. Nie ma jej od tygodnia, Mary Lou. Policja nie może nic zrobić, a matka dostaje spazmów ze strachu.

– Ale przecież mamy przerwę semestralną. Studenci wyjeżdżają.

– Nie powiedziała nic ani swojej matce, ani współlokatorowi, chociaż mówiła, że będzie tu przyjeżdżała nawet w trakcie przerwy, żeby kontynuować badania. Więc może wyjechała w związku z pracą. Na konferencję albo na jakąś robotę w terenie.

– Nie powiedziała nic matce?

– Ani słowa.

Przeszła na drugi koniec pokoju, gdzie znajdowała się kartoteka. Ten sam złotawy beż. Czyżby to był wynik jakiegoś eksperymentu z zakresu percepcji kolorów? Wyciągnęła gruby plik wydruków komputerowych, rozłożyła go na biurku i zaczęła przeglądać.

– Jak się nazywa?

– Lauren Teague.

Szukała przez chwilę, pokręciła głową.

– Nikt o takim nazwisku nie prowadzi badań za granty federalne lub stanowe, sprawdźmy jeszcze fundacje prywatne. – Znowu pokręciła głową. Popatrzyła na mnie, a w jej oczach malowało się to samo zmartwienie, jakie ujrzałem, kiedy po raz pierwszy odwiedziła mój gabinet. Kodeks etyczny psychologów zabrania czerpania profitów ze znajomości z pacjentem. Wiele mi i zawdzięczała, więc zacząłem się zastanawiać, czy nie przesadziłem.

– Nic. Może to jakieś nieporozumienie – powiedziałem.

– Dziękuję.

Przyłożyła palec do ust.

– Chwileczkę, gdy chodzi o prace nie na pełny etat, profesorowie zatrudniają często przez biura

pośrednictwa. Tak jest taniej.

Kolejna kartoteka, kolejny plik wydruków.

– Nie, żadna Lauren Teague nie figuruje. Wygląda na to, że wcale tu nie pracuje. Jest pan pewien, że chodziło o badania z zakresu psychologii?

Niektóre wydziały mają granty na badania behawioralne. Socjologia, biologia.

– Zakładałem, że to psychologia, ale może ma pani jednak rację – odrzekłem.

– Pozwoli pan, że zadzwonię jeszcze do administracji i sprawdzę, czy nie ma jej w centralnym banku danych o zatrudnionych. – Spojrzała na ścienny zegar. – Mam nadzieję, że kogoś tam jeszcze zastanę.

– Naprawdę bardzo pani dziękuję, Mary Lou.

– W ogóle nie ma o czym mówić. Też jestem matką.

Lauren nie figurowała w żadnym spisie pracujących na terenie miasteczka uniwersyteckiego. Mary Lou wyglądała na zażenowaną; uczciwa osoba w obliczu kłamstwa.

– Ale – powiedziała – jest naszą studentką. Specjalizacja psychologiczna, przeniesiona z college'u w Santa Monica. Wie pan co, wyciągnę kopię jej świadectwa semestralnego. Nie mogę podać panu jej ocen, ale mogę powiedzieć, w jakich zajęciach uczestniczyła i kto je prowadził. Może jej profesorowie będą coś wiedzieli.

– Świetnie.

– Niech mi pan wierzy – powiedziała – to ja powinnam panu dziękować... Dobrze, oto jej świadectwo. W zeszłym semestrze chodziła na wszystkie cztery zajęcia dla pierwszoroczników: wstępna teoria uczenia się z profesorem Hallem, psychologia percepcji z profesorem de Maartensem, rozwojowa z Ronningerem, wstęp do psychologii społecznej z Dałbym.

– Gene'em Dałbym? – Uhm.

– Był ze mną na roku – powiedziałem. – Nie wiedziałem, że zrezygnował z praktyki klinicznej, żeby nauczać społecznej.

– Przyszedł do nas na pełny etat parę lat temu. Dobry człowiek, jeden z mniej napuszonych. Chociaż jeździ jaguarem. – Jej oczy zaokrągliły się i udała, że uderza się dłonią w nadgarstek. – Proszę zapomnieć, że to powiedziałam. – Zaczęła chować świadectwo do szuflady.

– Lauren mówiła matce, że ma same piątki.

– Jak już powiedziałam, doktorze Delaware, oceny są poufne. – Popatrzyła na kartkę i uśmiechnęła

się nieznacznie. – Ale gdybym była jej matką, byłabym bardzo dumna. Taka mądra dziewczyna. Jestem pewna, że nie powiadomiła matki, bo miała poważny powód. Pozwoli pan, że zapiszę panu nazwiska tych profesorów. Ronninger jest na urlopie naukowym, ale pozostali uczą przez cały rok, chociaż wątpię, czy są u siebie. Tak czy inaczej, życzę powodzenia.

– Dziękuję, byłaby pani świetnym detektywem.

– Ja? – powiedziała. – Nigdy. Nie lubię niespodzianek.

Zamknęła biuro, po czym odprowadziłem ją do holu. Nasze buty stukały o czarną posadzkę. Kiedy wyszła, skierowałem się do wind, żeby zobaczyć na planie, gdzie znajdują się pokoje interesujących mnie wykładowców. Pokój Simona de Maartensa mieścił się na piątym piętrze, a pokój Stephen'a S. Halla i Gene'a Dalby'ego na szóstym.

Nacisnąłem przycisk, czekałem i rozmyślałem o kłamstwie Lauren. Nie brała udziału w żadnych badaniach. Zapewne była to przykrywka dla jej prawdziwej pracy. Prostytutki, striptizerki, obu naraz. Wróciła do dawnego sposobu życia. Albo nigdy z niego nie zrezygnowała.

Bystra dziewczyna, ale studia i dobre oceny nie wykluczają zarabiania własnym ciałem na utrzymanie. Kiedy Lauren pracowała dla Gretchen Stengel, burdelmama zatrudniała kilka dziewcząt z college'u. Piękne młode kobiety zarabiające łatwe pieniądze. Duże pieniądze. Dla kogoś zdolnego do suchej racjonalizacji logika takiego wyboru była żelazna: Dlaczego rezygnować z roboty za pięćset dolców na rzecz mycia butelek za sześć dolców za godzinę na pół etatu?

Salander mówił, że Lauren żyła z inwestycji. Teraz zastanawiałem się, czy najważniejszą z nich nie było jej ciało. Jeśli tak, jej zniknięcie mogło być tylko międzysemestralnym wyskokiem, żeby zarobić nieco grosza.

Nie zabrała samochodu, bo poleciała samolotem. Z jakimś szejkiem, rekinem finansjery lub gigantem przemysłu komputerowego, z kimkolwiek na tyle bogatym i oderwanym od świata, żeby kupić tego rodzaju przyjemność.

Lauren, służąc przez parę dni jako rozrywka, wróci do domu nieźle doinwestowana.

Ale jeśli tak było, to dlaczego pozwoliła matce tak się niepokoić i nie sprzedała jej jakiejś zastępczej historyjki? I dlaczego niczego ze sobą nie wzięła?

Ponieważ właśnie ten numerek wymagał nowej garderoby?

Zabrała przecież torebkę, wzięła więc także karty kredytowe. Czegóż więcej mogła potrzebować balująca dziewczyna prócz chęci i magicznego plastiku?

A może, znikając bez wieści, chciała ukarać Jane? Dać matce do zrozumienia, że nie da się kontrolować?

Odpowiedź mogła zresztą być najprostsza na świecie: odpoczynek i rekreacja po ciężkim

zakuwaniu. Może wypoczywała właśnie w jednym z miejsc, które już odwiedzała: w miłym spokojnym moteliku w Malibu, o ile chociaż to było prawdą.

Albo pojechała na swoją dawną trasę z Los Angeles do Reno, zorientowała się, że nieźle zarobi i została na dłużej... Drzwi do windy otworzyły się ze świstem, wjechałem na piąte piętro. Drzwi pokoju profesora de Maartensa udekorowane były komiksowymi rysunkami i gazetowym wycinkiem na temat śmierci łosi, spowodowanej kwaśnym deszczem. Zamknięte. Zapukałem. Żadnej odpowiedzi. Gałka klamki nie chciała się przekręcić.

Nie miałem również szczęścia z nieprzystrojonymi drzwiami do pokoju Stephena Halla, ale drzwi do gabinetu Gene'a Dalby'ego były otwarte, a Gene siedział bez butów przy biurku, ubrany w białą wymiętą koszulę i spodenki w kolorze khaki, z szarym laptopem spoczywającym na chudych udach. Wklepywał coś, mruczał i przebierał palcami u stóp. Para meksykańskich sandałów spoczywała nieopodal nóg jego krzesła. W starym białym ekspresie buzowała kawa. Jedyne okno wychodziło na dachy domów i północny kraniec ogrodu botanicznego. Z magnetofonu na półce płynęła muzyka gitarowa. *Crossfire* Steviego Raya Vaughana.

– Oo... dzień dobry, panie psorze – powiedziałem. – Czy możemy porozmawiać o moich ocenach?

Gene odwrócił głowę. Ta sama koścista pociągła twarz, odstające uszy i niesforna burza rudych włosów. Posiwał tylko na skroniach. Okulary do czytania w czarnych oprawkach powędrowały w dół, po grzbiecie krzywego haczykowatego nosa. Uśmiechnął się, położył okulary na biurku, to samo zrobił z laptopem.

– Nie ma mowy. Oblałeś.

Podsłoczywszy na równe nogi, stanął przede mną wyprostowany. Dwumetrowy patyczak z długimi kończynami i kołyszącą się, nienaturalnie wielką głową uściśnął mnie i pokręcił w zdumieniu głową jakby mój widok zwiastował powtórne nadejście nie wiadomo czego.

Gene jest jedną z najbardziej towarzyskich osób, jakie znam. To istny wzór nieskrępowanej przyjacielskości, maestro gromkich powitań. Jego radosny nastrój trwa niemal bez przerwy, a on sam unika skomplikowanych sytuacji. Niezwykłe cechy charakteru jak na psychologa. Tak wielu z nas było introwertycznymi dziećmi o zbyt bujnej wyobraźni, które zainteresowały się psychologią aby dowiedzieć się, czemu nasze matki były nieszczęśliwe bez względu na to, co robiliśmy. Wielu studentów na studiach doktoranckich uważało, że Gene tylko udaje prostotę i dlatego nie należy mu ufać. Między nami nie było nigdy żadnych scysji, zawsze nieźle się dogadywaliśmy, chociaż nasza znajomość rzadko wykraczała poza opowiadanie sobie dowcipów i wspólne lunchy.

– No, Alex, ile to już lat?

– Sporo.

– Lata świetlne, człowieku. Chodź, siadaj. Kawy?

Usiadłem na krześle obok, przyjąłem kubek czegoś mocnego, gorzkiego i mgliście

przypominającego kawę. Kopnął sandały pod biurko. Gabinet był niewielki, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wymiary jego rezydenta. Gene garbił się jak zwierzak dręczony przez okrutnego właściciela przymałą klatką.

– Pracujesz w czasie przerwy?

– To najlepszy okres. Nikt nie przeszkadza. Poza tym, kiedy jeszcze prowadziłem praktykę, widywałem po pięćdziesięciu, sześćdziesięciu pacjentów. To dopiero była praca. Nauczanie akademickie to właściwie zalegalizowana kradzież. Przez dziewięć miesięcy w roku sam wyznaczasz sobie godziny. – Zaśmiał się. – Ci faceci uwielbiają narzekać, ale są na płatnych wakacjach.

– Kiedy się przerwuciłeś na nauczanie?

– Trzy lata temu. Sprzedałem praktykę moim współdziałowcom i złożyłem wydziałowi propozycję nie do odrzucenia: Oni dają mi niepełny etat, nie płacą za mnie żadnych składek ubezpieczeniowych, a ja dostaję w zamian porządny ładunek godzin nauczania, profesurę i zwolnienie z prowadzenia badań.

– Nie musisz publikować?

– Dokładnie. Ale najzabawniejsze jest to, że choć tego nie planowałem, i tak prowadzę badania. Po raz pierwszy od lat. Zadaję pytania, które naprawdę mnie interesują, zamiast produkować makulaturę w hołdzie bogom własności. I uwielbiam uczyć, człowieku. Dzieciaki są świetne. Wbrew temu, co twierdzą skretyniali profesorowie, studenci uczą się czegoś.

– Co badasz? – zapytałem.

– Nastawienie polityczne u małych dzieci. Chodzimy do podstawówek i próbujemy określić, jak dzieciaki postrzegają kandydatów. Byłbyś zaskoczony, jak dużo ci gówniarze wiedzą o cwaniakach ubiegających się o urząd. Czuje się jak w domu; psychologia społeczna to moja pierwsza miłość. Zająłem się kliniczną, bo ją też lubiłem i myślałem, że byłoby miło pomagać ludziom i w ogóle. Ale głównie dlatego, że potrzebowałem kasy. Żonaty, z dziećmi, nie tak jak ty, nigdy nie prowadziłem wystawnego żywota kawalira.

– Ja też nie, Gene.

– Nie sądzę, człowieku. Dobrze pamiętam, że byłeś pierwszym obiektem westchnień naszego wydziału. Nawet dziewczyny, które nie goliły nóg, patrzyły na ciebie w ten sposób.

– Jakoś mi to umknęło – powiedziałem.

Uśmiechnął się.

– Spójrzcie, co za skromność. To część twojego uroku. Zresztą... świetnie wyglądasz, Alex.

– Ty też.

– Daj spokój – powiedział. – Wyglądam tak jak zawsze. Jak Ichabod Crane na metamfetaminie. Ale robię, co mogę, żeby być w formie, wciągnąłem się w biegi na przełaj. Ostatniego lata zrobiliśmy z Jan trasę Johna Muira, a rok wcześniej byliśmy na Alasce.

Przyciszył Steviego Raya. Znałem tytuł tej piosenki.

– Stevie Ray to był gość. Smutne, nie? Przez całe życie walczy z dragami i alkoholem, gra za grosze w obskurnych barach, w końcu trzeźwieje, osiąga sukces, a jego cholerny samolot się rozbija. To jak lekcja pogładowa.

– Żyj na najwyższych obrotach – powiedziałem.

– Żyj i się nie martw. *Don 't worry, be happy*, jak w tej piosence. Powtarzałem to swoim pacjentom od lat, teraz sam stosuję się do tej rady. Chociaż wcale nie potrzebowałem jakiegoś emocjonalnego przełomu. Po prostu mi się poszczęściło; kupiłem za grosze akcje początkującej firmy software'owej i opłaciło się. Przez dziesięć lat słuchałem złych rad giełdowych szwagra i wreszcie jedna okazała się dobra. Nie mówimy oczywiście o prywatnym odrzutowcu, ale jeśli teraz coś mi nie smakuje, nie muszę tego jeść. Dzieciaki są w college'u, a praktyka prawnicza Jan idzie świetnie. Życie jest szokująco dobre dzięki szaleństwu na punkcie Internetu. Firma schodzi na psy, ale już sprzedałem akcje.

– Gratulacje.

– No, dzięki – odpowiedział. – Nawet przesiadłem się z hondy na jaguara. Nie miej mi za złe, że jestem piękny i bogaty. – Poprawił się w krześle i strzelił palcami. – To powiedz wreszcie, co cię do mnie sprowadza. Też nauczysz?

– Nie, staram się namierzyć studentkę o nazwisku Teague.

– Namierzyć, to znaczy...

Opowiedziałem Gene'owi o tygodniowej nieobecności Lauren, dałem do zrozumienia, że była kiedyś moją pacjentką, podkreśliłem, jak bardzo zamartwia się Jane Abbot.

– Biedna kobieta – powiedział. – Więc byłeś w okolicy i wpadłeś?

– Nie, sądziłem, że mógłbyś mi pomóc. Lauren mówiła swojemu współlokatorowi, że pracuje tu przy jakichś badaniach, ale wydaje się, że to nieprawda. Chodziła w zeszłym semestrze na cztery kursy, jednym z nich był wstęp do społecznej. Odwiedzam wszystkich jej profesorów, żeby zobaczyć, czy któryś ją zapamiętał.

– Lauren Teague – powiedział. – Nie przypominam sobie. Miałem ponad pięćset dzieciaków. Na co jeszcze chodziła?

Wymieniłem jej zajęcia.

– Pomyślmy – powiedział. – Herb Ronninger wyjechał gdzieś nad Ocean Indyjski, badać przemoc

wśród dzieci. Przez jego zajęcia przewinęło się ponad sześciuset studentów, więc wątpię, czy może być pomocny. De Maartens i Hall są nowymi nabytkami uniwersytetu, a teoria uczenia się i percepcja odbywają się w nieco mniejszych grupach. Pozwól, że do nich zadzwonię.

– Już sprawdzałem ich gabinety. Masz ich telefony domowe?

– Jasne. – Znalazł i przepisał je dla mnie.

– Dzięki.

– Lauren Teague – powiedział, zakładając ponownie okulary. Otworzył dolną szufladę biurka, pogrzebał przez chwilę w papierach, w końcu wyciągnął listę studentów i ich ocen. – A tak, była na moich zajęciach... Dobrze jej poszło. Bardzo dobrze; była osiemnasta na pięćset szesnaście osób... Dobra, mocna piątka z egzaminu... Czwórka plus z pracy. – Po chwili poszukiwań wyjął kolejną listę. – *Ikonografia w przemyśle mody*. A, to ona.

– Pamiętasz ją?

– Ta modelka – powiedział. – Myślałem o niej w ten sposób, bo wyglądała na modelkę: wysoka blondynka, atrakcyjna. A jak czytałem jej pracę, wydało mi się, że pisała z własnego doświadczenia. Poza tym rzucała się w oczy, bo była znacznie starsza od pozostałych studentów. Ma pod trzydziestkę, prawda?

– Dwadzieścia pięć.

– O – powiedział. – Wyglądała na starszą. Może dlatego, że ubierała się bardziej dojrzałe: kostiumy, sukienki, drogie rzeczy. Pamiętam, jak myślałem: Ta dziewczyna ma pieniądze. Była też mało towarzyska. Zawsze siadała sama z tyłu i bez przerwy notowała. Nigdy nie widziałem jej w towarzystwie innych studentów. Ale dlaczego dałem jej tylko czwórkę plus z pracy? Jeśli studenci chcą prace z powrotem, to je zwracam, ale trzymam karty z komentarzem. – Pochylił się nisko, zaczął wyrzucać papiery z szuflad, aż na biurku utworzyła się góra kartek. – Okej, jest. – Wydobył komplet błękitnych karteczek w gumowej oprawie. – Zanotowałem: „Dużo złości, mało danych”. Jeśli dobrze pamiętam, praca była trochę przydługa.

– Złość na przemysł mody? – spytałem.

– O ile pamiętam, tak. Pewnie zwyczajne feministyczne gadanie – kobieta jako mięso, uległość wymuszona przez nierealistyczne pojęcie kobiecości. Dostaję z dwa tuziny takich prac co semestr. Wszystko to wartościowe spostrzeżenia, ale często poparte gniewem, a nie faktami. Naprawdę nie pamiętam tej konkretnej pracy, ale jeśli miałbym zgadywać, to tak właśnie wyglądała. Więc mówisz, że wyjechała, nic nie mówiąc matce? Czy to coś niezwykłego?

– Według matki, tak.

Podrapał się w brodę.

– Tak, jako rodzic martwiłbym się na jej miejscu. – Położywszy dłonie na kolanach, popatrzył na

mnie znad okularów. – To zabawne, właściwie bardzo zabawne, że przychodzisz do mnie w sprawie zaginionej studentki. Tknęło mnie, gdy mi o tym powiedziałaś, bo coś podobnego wydarzyło się tu w zeszłym roku. Zaginęła jakaś inna dziewczyna, jakaś miss campusu. Shane jakaś tam albo Shana... Shanna, nie pamiętam dokładnie. Któregoś wieczoru wyszła z akademika i nigdy nie wróciła. Przez kilka dni był tu wielki raban, potem sprawa ucichła. Dotknęło mnie to, bo wtedy posłaliśmy z Jan naszą córę do Oberlin. Ona się nie bała, ale my po jej wyjeździe odchodziliśmy od zmysłów. Właśnie przestałem ją zamęczać dwunastoma telefonami dziennie, a tu wyskakuje ta sprawa z Shanną.

– Nigdy jej nie odnaleziono?

Pokręcił przecząco głową.

– Najgorszy koszmar dla rodzica. Niepewność, brak wiedzy, to najgorsze, co może nam się przydarzyć. Właśnie w takich sytuacjach najbardziej denerwują mnie banały z popularnych poradniczków o „zagojeniu ran”. Co za bzdura. Takie rany się nie goją to zostaje w nas na zawsze. Ale jestem pewien, że to nie dotyczy panny Teague, tak tylko mi się przypomniało.

– Gene, czy mogłem pominąć jakąś robotę przy badaniach? Sprawdzałem granty stanowe, federalne i prywatne, łącznie z zajęciami na niepełny etat.

Pomyślał przez chwilę.

– Może coś poza kampusem? Płatne obiekty badań. Widuję takie ogłoszenia w „Daily Cub”. „Czujesz się źle, masz huśtawki nastrojów? Możesz mieć depresję i kwalifikować się do naszych superowych klinicznych testów”. Badania farmaceutyczne. Oczywiście duże firmy nie gardzą opłacanymi królikami doświadczalnymi. „Cub” nie będzie wychodził do końca przerwy, ale może zdołasz coś wyszperać. Ale czy dowiesz się w ten sposób, gdzie jest ta dziewczyna?

– Pewnie nie – odparłem. – Chyba że Lauren zapisała się na badania, bo miała jakiś konkretny problem, na przykład depresję. Ludzie w depresji często znikają.

– Jej matka nie wiedziałaby, że córka tak źle się czuje?

– Trudno powiedzieć. Dzięki za radę, Gene, skorzystam z niej. Wstałem, odstawiłem kawę na stół i skierowałem się do drzwi.

– Naprawdę cię to wciągnęło, Alex. – Nawet nie pytaj.

Popatrzył na mnie, ale nic nie powiedział.

Nie prowadził już praktyki, ale wiedział wystarczająco dużo, żeby nie drążyć tematu.

Historię Shawny Yeager, bo tak się nazywała, łatwo było znaleźć. Piękna buzia w kształcie serca, gładka, zwieńczona burzą jasnych loków. Migdałowe oczy, szokująco ciemne. Podbródek jak u wróżki, doskonałe zęby. Jej urody nie umniejszała ani czarnobiała, gruboziarnista fotografia, ani metalowa rama maszyny do przeglądania mikrofilmów, ani stęchłe powietrze biblioteki.

Wpatrywałem się w śliczne ramiona, wystające znad sukni bez ramiączek; w połyskujące półkule piersi. W tej sukni Shawna Yeager wystąpiła podczas koronacji na Miss Oliwkowego Festiwalu. Diademik wysadzany sztucznymi kamieniami wpięty w kręcone włosy, na twarzy uśmiech najszcześniejszej dziewczyny na świecie.

Konkurs urody odbył się dwa lata temu w jej rodzinnym miasteczku o nazwie Santo Leon, położonym na wschód od Fallbrook. Shawna Yeager w jednej ręce trzymała berło, a plastikową, gigantycznych rozmiarów oliwkę w drugiej.

Artykuł w „Daily Cub” informował, że ukończyła szkołę średnią z piątą lokatą. W jednym akapicie podsumowano jej historię do momentu wstąpienia do college’u: miss piękności z małego miasteczka i wzorowa uczennica wyjeżdża do miasta, żeby wstąpić na uniwersytet. Shawna zaskoczyła swoich przyjaciół, wybierając mieszkanie w olbrzymim akademiku, a nie przystępując do jakiegoś dziewczęcego bractwa. Zmieniła się w kujonkę.

Specjalizowała się w psychobiologii, chciała iść na medycynę. Pieniądze, które dostała na konkursach piękności i które zarobiła, pracując w charakterze pomocy nauczycielskiej w letniej szkole, przeznaczyła na opłacanie studiów.

Zaledwie półtora miesiąca po przyjęciu na studia, w późny październikowy wieczór wyszła pouczyć się do biblioteki, poinformowawszy o tym współlokatorkę. O północy współlokatorka, niejaka Mindy Jacobus, zasnęła. O ósmej rano Mindy obudziła się, zauważyła, że łóżko Shawny jest puste, trochę się martwiła, ale poszła na zajęcia. Kiedy Shawny nie było także o drugiej po południu, Mindy skontaktowała się z policją.

Mundurowi przeczesywali rozległy teren miasteczka uniwersyteckiego, o zniknięciu dziewczyny zawiadomiono oddziały policji w Zachodnim Los Angeles, Beverly Hills, w Santa Monica, Oddziały Pacyfiku i szeryfów z zachodniego Hollywood.

Ani śladu Shawny Yeager. Gazetka studencka rozpisywała się o niej przez cały tydzień. Nikt nie widział dziewczyny, nie było nawet fałszywych doniesień.

Jej matka, Agnes Yeager, owdowiała kelnerka, została ściągnięta przez biuro rektora z Santo Leon do Los Angeles, gdzie na okres trwania poszukiwań zapewniono jej mieszkanie w akademiku dla doktorantów.

Podsumowujący artykuł w „Daily Cub” – nadal żadnych wieści – mówił, że poszukiwania trwały trzy tygodnie.

Potem – cisza.

Wróciłem do bibliotekarza od mikrofilmów, wypełniłem rewersy, otrzymałem szpule z „Timesem” i „Daily News”. Zniknięcie Shawny okupowało przez dwa dni dwudziestą stronę periodyków, potem pijany syn senatora rozbił swoje porsche, zabijając siebie i dwóch pasażerów. Ta historia wyparła sprawę Shawny.

Powróciłem do szpuli z „Daily Cub”, zanotowałem nazwisko dziennikarza Adama Greena i jeszcze przez chwilę studiowałem zdjęcie Shawny, usiłując dopatrzeć się podobieństwa do Lauren.

Obie blondynki łączyła z pewnością nieprzeciętna uroda, ale poza tym żadne podobieństwo nie rzucało się w oczy. Obie miały bardzo dobre oceny. Psychologia, psychobiologia.

Obie też same się utrzymywały, jedna z pieniędzy zdobytych na konkursach, druga ze swoich „inwestycji”. Czyżby obie szukały okazji, żeby dorobić? Rozejrzały się za pracą w kampusie i zaangażowały w jedno z badań, o których mówił Gene Dalby?

Starłem się znaleźć więcej zbieżności. Nie znalazłem. W każdym razie nic istotnego. A różnic było wiele:

Shawna zaginęła, mając dziewiętnaście lat, czyli była znacznie młodsza od Lauren. Tam małomiasteczkowa oliwkowa królowa, a tu wielkowiejska „dziewczyna do towarzysstwa”. Rozwiedziona matka, owdowiała matka. Poza tym Shawna zniknęła w drugim miesiącu semestru, a Lauren w czasie przerwy międzysemestralnej.

Przewijałem szpulę z „Daily Cub” do tyłu w poszukiwaniu ogłoszeń, aż znalazłem w dziale PRACA ofertę opublikowaną dwa tygodnie przed zniknięciem Shawny:

Zmęczona? Zagubiona? Niewymownie smutna?

To mogą być zwykłe zmiany nastroju albo oznaki depresji.

*Przeprowadzamy testy kliniczne na depresję i poszukujemy **\$\$PŁATNYCH\$\$***

ochotników. Oferujemy Ci darmowe badania, a jeśli się zakwalifikujesz,

możemy Cię poddać eksperymentalnemu leczeniu, za które

otrzymasz szczodre wynagrodzenie.

Brak adresu, tylko numer telefonu zaczynający się od 310. Przepisałem ogłoszenie, a dalej znalazłem jeszcze dwie podobne oferty z tego samego miesiąca. Jedną o fobiach z innym numerem telefonu z cyframi 310 na początku; drugą, reklamującą badania nad „ludzką intymnością”, z telefonem na 714.

„Ludzka intymność” sugerowała coś związanego z seksem. Pikantne badania w Orange County? Seks był dla Lauren profesją. Czy taka reklama nie zwróciłaby jej uwagi?

Wyciągnąłem mikrofilm „Daily Cub” z ostatniego kwartału, sprawdzałem jeden dział reklam po drugim. Ani śladu reklamy z „ludzką intymnością”. Nie ma niczego nawet odrobinę przypominającego to ogłoszenie, a jedyne płatne badania, jakie zdołałem znaleźć, zajmowały się „żywieniem i trawieniem”, obok widniał numer telefonu szkoły medycznej w kampusie. Zanotowałem go jednak, opuściłem bibliotekę i ruszyłem do samochodu.

Dwie zaginione w rocznym odstępie czasu dziewczyny, bardzo niewiele podobieństw.

Shawny nigdy nie odnaleziono. Mogłem mieć tylko nadzieję, że zniknięcie Lauren okaże się mniej poważne.

Jechałem do domu, próbując przekonać samego siebie, że Lauren zjawi się jutro trochę bogatsza i bardzo opalona, wyśmiewając nas wszystkich.

Gene Dalby ocenił ją na trzydziestkę i może miał rację, że jest dojrzała. Od lat żyła na własną rękę, ulica niejednego ją nauczyła. Więc nie będzie to niczym szokującym, jeśli okaże się, że ostatni tydzień spędziła w Las Vegas, Puerto Vallarta, a nawet w Europie. Pieniądze czynią świat mniejszym.

Jechałem szeroką ulicą wiodącą do mojego domu, wyobrażając sobie Lauren, która zabawia się z jakimś potentatem. Wkrótce dostrzegłem ciemną stronę mojej fantazji: takie przygody mogą się bardzo szybko przemienić w koszmar.

Czy Lauren wplątała się w coś, czego nie przewidywała?

To głupio, że daję się ponieść takim rozmyślaniom. Ledwo znałem tę dziewczynę.

Dziewczynę? Już dawno nie była dzieckiem. Nie ma sensu ulegać obsesji.

Jutro poprzekadkam jeszcze trochę Milowi, opowiem mu o Shawnie Yeager, wysłucham oczywistej reakcji, logicznej reakcji detektywa: „Ciekawe, Alex, ale...”

Zajechałem przed wiatę, ucieszyłem się, że stoi pod nią ford Robin, byłem gotów przestać rozmyślać o prawie nieznanym mi osobie i zająć się kimś, na kim mi naprawdę zależało.

Ale gdy zaparkowałem i wchodziłem po schodach do domu, zacząłem się zastanawiać, co powiem Jane Abbot.

Wiedziałem, że raczej nie powiem Robin, jak spędziłem dzisiejszy dzień.

Dyskrecja chroni pacjentów, ale co robi z życiem osobistym terapeutów, to całkiem inne zagadnienie. Z natury mało wścibska, Robin nigdy nie przejmowała się tym, że mało rozmawiam z nią o swojej pracy. Jak większość artystów, żyje zaprzątnięta własnym, wewnętrznym światem, lubi samotność i nienawidzi plotek.

Miewaliśmy niezwykle romantyczne kolacje, podczas których ani ja, ani ona nie wypowiedzieliśmy nawet słowa. To po części jej zasługa, ale ja też często milknę i pograżam się w rozmyślaniach. Czasami czuję, że jest przy mnie tylko ciałem, wiem też, że zdarzają się chwile, że traktuje mnie jak kogoś z innej planety.

Najczęściej jednak udaje nam się porozumieć.

– Luuuucey, wróciłem, babalu! – zawołałem.

A ona odkrzyknęła:

– Ricky!

Miała na sobie czarną luźną koszulkę i dzinsy, które wspaniale się wypełniły, kiedy przykucnęła, żeby napełnić Spike'owi miskę, nucąc piosenkę płynącą z radia. Stacja country. Alison Krauss i Keith Whitley śpiewali *When You Say Nothing at All*. Silny baryton Whitleya wydobywał się z grobu. Technologia może zapisać fale dźwiękowe, ale nie może ukoić żalu matki.

Robin skończyła nasypywać psu jedzenie, wstała, wyprostowała się do swojego metra sześćdziesięciu. Nie miała stanika i kiedy przytuliłem ją do siebie, jej piersi przywarły do mojego torsu. Jej kasztanowe loki opadały luźno i wydawały się dłuższe niż zazwyczaj – sięgały niemal do pasa. Kiedy wybiera się do ulubionego salonu fryzjerskiego w Beverly Hills, wypełnionego oparami lakieru do włosów i ludźmi, którzy za bardzo się starają, wizyta pochłania pół dnia i dobrze ponad sto dolarów. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tam była. Zajmowała się robieniem i naprawianiem gitar. „To i tak lepsze od nicnierobienia”, mawiała, gdy twierdziłem, że za dużo pracuje. Kilka tygodni temu nagrała na sekretarce nową wiadomość:

Witam, tu Robin Castagna. Kleję i dłubię w warsztacie, bardzo chciałabym porozmawiać, jednak minie trochę czasu, nim będę mogła być uprzejma. Jeśli masz pilną sprawę, proszę zostaw szczegółową wiadomość, ale...

Całowaliśmy się jeszcze trochę, a Spike skomlał protestując. Spike jest buldogiem francuskim, o czarnej podpalanej sierści, nietoperzowych uszach i zwodniczo miękkich, brązowych oczach. To ja ocaliłem go pewnego skwarne go, letniego dnia, ale czy był mi za to wdzięczny? Gdy tylko uśmiechała się do niego Robin, zaczynałem mu jedynie zawadzać.

Trzymając jedną dłoń na jej pośladku, położyłem teczkę na stole. Spike ocierał się o nogę Robin.

– Poczekaj, przystojniaku – powiedziała.

– No, dalej – zachęciłem ją – napompuj jeszcze jego ego.

– Tobie też nie żałuję – roześmiała się.

Spike odwrócił mordę i spojrział na mnie. Przysiągłbym, że rozumie, co mówimy. Wydał z siebie przytłumione warknięcie i zaczął skrobać łapami o podłogę.

– Tomek Śliniak gotowy do rozmowy – powiedziałem.

Dwa warknięcia.

– Nie sprzeczczaście się, chłopcy – powiedziała Robin, pochylając się, żeby pogłaskać psa. – Ciężki dzień, słonko?

– To do mnie, czy do psa?

– Do ciebie.

Wydawało mi się, że radość w moim głosie zabrzmiała szczerze; zastanawiałem się, dlaczego zapytała.

– Dość ciężki. Na szczęście już się kończy.

Spike zaślinił się. Otrząsnął. Bryzgnęła ślina.

– Zostaję na noc. Pogódź się z tym, koleś.

Przewrócił oczami i beknął. Pocałowałem Robin w szyję. Spike zaczął podskakiwać wyżej, niż pozwalały mu na to jego krótkie łapki i Robin dodała mu do miski coś z lodówki. Nos Spike'a znalazł się w jedzeniu, jeszcze zanim miska stanęła na ziemi.

– Czy to wczorajszy strogonow?

– Uznałam, że nie będziemy go już jeść.

– Teraz na pewno nie.

Zaśmiała się, schyliła, podniosła skrawek wołowiny i podała Spike'owi. Dysząc ciężko, z powrotem wpakował łeb do michy.

– *Bon appétit, monsieur.*

– Wolałby *foi gras* i dobrego burgunda – powiedziałem – ale jakoś to przeboleje.

Objęła moją szyję.

– To co słyhać?

– Co zjemy na kolację?

– Nie zastanawiałam się nad tym – odpowiedziała. – Jakies pomysły?

– Może dojemy resztki?

– Bardzo zabawne. – Chciała odejść, ale zatrzymałem ją, zacząłem pieścić jej szyję, ramiona, wsunąłem rękę pod koszulę, nakryłem dłonią piersi...

– Najpierw jedzenie – powiedziała. – A potem zobaczymy.

– Co zobaczymy?

– Czy będzie bara-bara. Zależy, czy będziesz grzeczny.

– Postaw swoje warunki.

– Później. Więc co ci dzisiaj poszło nie tak?

– Czy coś takiego mówiłem?

– Nie, ale wyglądasz na zdenerwowanego.

– To tylko zmarszczki – powiedziałem. – Efekt procesu starzenia.

– Kręcisz. – Jej filigranowa dłoń zakryła moją rękę.

– Patrz – powiedziałem, rozciągając wargi kciukami – jak się uśmiecham. Nie odpowiedziała. Siedziałem i patrzyłem na jej piękną twarz. Kolejna buzia w kształcie serca. Oliwkowa, na długiej gładkiej szyi, okolona masą loków. Prosty nos, pełne wargi, lekko spuchnięte od przygryzania, niewyraźne początki kurzych łapek i zmarszczek mimicznych pod migdałowymi oczami w kolorze gorzkiej czekolady.

– Naprawdę nic mi nie jest – powiedziałem.

– W porządku. – Przeczesała ręką włosy.

– A jak twój dzień?

– Nikt mi nie przeszkadzał, więc zrobiłam więcej, niż planowałam. – Jej ręka powędrowała na paluszkach do mojej, zaczęła się bawić moim kciukiem. – Powiedz mi tylko, Alex, czy to jedna z twoich spraw, czy znowu pomagasz Milowi?

– To pierwsze – odparłem.

– Kapuję – powiedziała, odejmując palce od ust. – Czyli że to nic groźnego. Nie chcę się powtarzać, ale...

– Naprawdę nic mi nie grozi – powiedziałem. Pamiętałem rozmowę sprzed roku. Kiedy zadałem się z grupą eugenicznych psychopatów i omal nie zostałem zabity. Przyrzekłem jej wtedy...

– To dobrze – powiedziała. – Bo jak cię widzę... takiego przybitego, zaczynam się zastanawiać, czy nie czujesz się przeze mnie ograniczany.

– To tylko sprawa z przeszłości, którą mogłem lepiej rozegrać. Muszę trochę podzwonić, a potem pomyślimy o obiedzie, okej?

– Jasne – powiedziała.

I więcej do tego nie wracaliśmy.

Wszedłem do gabinetu, włożyłem zawartość teczek do szuflady biurka, znalazłem numery de Maartensa i Halla, które dostałem od Dalby'ego. Zadzwoiłem. Dwie automatyczne sekretarki. Następny: Adam Green, dziennikarz „Daily Cub”. Informacja podała czterech Adamów Greenów z telefonem na 310. Na tym etapie nie widziałem sensu w ustalaniu, który z czwórki pisał o Shawnie Yeager. Zajmował się tym rok temu przez trzy tygodnie. Co mógł jeszcze dodać?

Porządkując odbitki z „Daily Cub”, odszukałem numery reklamodawców. Telefony firm badających depresję i fobie nie odpowiadały. Studium intymności z Orange County – najlepsze zostawiłem na koniec – zamieniło się już w pizzerię w Newport Beach. W Los Angeles przesuwają się nie tylko płyty tektoniczne.

Na koniec zatelefonowałem do około tuzina hoteli i moteli w Malibu. Jeżeli Lauren zameldowała się w którymś z nich, to nie użyła swojego prawdziwego nazwiska.

Został jeszcze jeden telefon: do Jane Abbot. Ale to może poczekać do jutra.

Może jednak nie. Wykręciłem numer, zaplanowałem, że będę tajemniczy, ale pocieszający, postaram się nie podkopywać jej nadziei. Telefon zadzwonił czterokrotnie, już układałem w głowie mowę, jaką zaszerwuję jej robotycznemu sekretarzowi... A jest: „Nikt nie może podejść teraz do telefonu, ale jeśli... „

Sygnał.

– Pani Abbot, mówi Alex Delaware. Rozmawiałem z detektywem z policji o Lauren. Nic wartego przekazania, ale poinformowałem go o sprawie. Kiedy tylko dowiem się czegoś więcej...

Nagle wtrącił się głos prawdziwego mężczyzny, miękki, urywany.

– Tak?

Przedstawiłem się.

Długa cisza.

– Halo? – powiedziałem.

– Tu pan Abbot. – Bardziej obwieszczenie niż odpowiedź.

– Panie Abbot, rozmawiałem niedawno z pana żoną...

– Pani Abbot – powiedział.

– Tak, proszę pana. Ona i ja...

– Tu pan Abbot, pani Abbot nie ma.

– A kiedy wróci?

Kilka sekund ciszy.

– Dom jest pusty...

– Pańska żona dzwoniła do mnie w sprawie Lauren.

Znowu cisza.

– Chodzi o jej córkę, Lauren – powiedziałem. – Lauren Teague.

Ciągle nic.

– Panie Abbot?

– Żony nie ma – powiedział głos płacząco. – Wychodzi, wraca, wychodzi, wraca.

– Czy nic panu nie jest?

– Jestem na górze, próbuję czytać. Roberta Benchleya. Czytał pan Benchleya? Bardzo śmieszne, ale słowa... słowa robią się małe...

– Zadzwoń później, panie Abbot.

Brak odpowiedzi.

– Proszę pana?

Klik.

Odłożyłem słuchawkę, próbując dojść do ładu z tym, co się właśnie wydarzyło.

Robin zapukała we framugę drzwi.

– Gotowa – powiedziała. Założyła malutki, czarny sweterek i długą spódnicę z szarego tweedu, pomalowała usta. Jej uśmiech sprawił, że szybko zapomniałem o ostatnim telefonie.

Ostatecznie wylądowaliśmy w japońskiej restauracji przy ulicy Sawtelle na południe od Olympic; był to ostatni otwarty w nocy lokal w niewielkim i mało znanym pasażu. Byliśmy jedynymi nie Azjatami, ale nie wzbudziliśmy niczyjej ciekawości. Chuderlawy kucharz kroił za barem coś węgorzowatego. Drobnutka kobiecina wskazała nam miejsce w rogu, gdzie piliśmy sake, trzymaliśmy się za ręce i mówiliśmy niewiele, a potem wcale. Obsługa była dość oschła, ale perfekcyjna; inna drobna kobieta przyniosła ciepłą sake i wyborne jedzenie. Zapanował spokój, światło było przyćmione, a kiedy po półtorej godziny wyszliśmy na zewnątrz, mój umysł był czysty.

Kiedy wróciliśmy do domu, Spike był żałośnie, więc zabraliśmy go na krótki spacer. Potem Robin przygotowała sobie kąpiel, a ja stałem i nic nie robiłem. W końcu poddałem się i sprawdziłem wiadomości, myśląc znowu o mężu Jane Abbot.

Telefony od profesora Halla i de Maartensa. Zamiast Halla odezwał się młody człowiek, który przedstawił się jako „Craig pilnujący domu Hallów” i poinformował mnie radośnie, że „Steven i Beverly są z dziećmi w Loire Valley i wrócą dopiero za tydzień. Przekażę wiadomość”.

De Maartens zadzwonił sam. Miał łagodny, nieco zagubiony głos z obcym akcentem.

– Tu Simon de Maartens. Sprawdziłem swoje listy. Lauren Teague rzeczywiście chodziła na moje zajęcia. Niestety, zupełnie jej nie pamiętam. Przepraszam, że nie mogę panu pomóc.

– Chodź do mnie! – zawołała Robin z łazienki i właśnie wyskakiwałem z ubrania, kiedy zadzwonił telefon. Nie odebrałem i poszedłem się wykapać. Umyłem jej włosy, potem moczyliśmy się w ciepłej wannie. Namydlenie i mycie prowadziło do pieszczot i pocałunków. Kiedy woda zaczęła falować i wylewać się na podłogę, mokrzy i namydleni przenieśliśmy się do sypialni. Kochaliśmy się do utraty tchu, pościel była mokra i pokryta pianą.

Ciągle jeszcze łapałem oddech, kiedy Robin wstała, owinęła się w jeden z moich szlafroków, tanecznym krokiem powędrowała do kuchni i wróciła z dwiema szklankami soku pomarańczowego. Wlała mi sok do gardła, przy czym spora ilość płynu wylała się, co bardzo ją rozbawiło. Moja zemsta była mokra i musieliśmy zmienić pościel. Kiedy poszła wysuszyć włosy, włożyłem koszulę z krótkim rękawem i szorty, wyszedłem na tylny taras, oparłem łokcie o barierkę i wpatrywałem się w czarne sylwetki sosen, cedrów i drzew gumowych, które porastają wzgórza za naszą posesją.

Poczułem się jak gość z Kalifornii.

Nie zdążyłem się do końca rozmarzyć, kiedy dobiegł mnie głos Robin:

– Kotku?! Dzwoni Milo. Mówi, że dzwonił pół godziny temu. Telefon, który zignorowałem.

– Możesz odebrać tutaj – oznajmiła. – Ja idę nad staw.

Wszedłem do środka, odebrałem w sypialni.

– Co słyszeć?

– Twoja dziewczyna – powiedział Milo – ta Teague, to teraz moja działka.

Dziewiąta wieczorem, Sepulveda Boulevard. Ulica ze sklepami. Na południe od Wilshire, na północ od Olympic. Pogotowie dla zwierząt, artykuły metalowe, sklep meblowy. Wszystko zamknięte, oprócz weterynarza. Zamiauczał kot.

Zachodnia strona ulicy, jak powiedział Milo. W alei.

Niedaleko restauracji, w której opychałem się trzy godziny temu. Teraz na myśl o jedzeniu ścisnęło mnie w żołądku.

Aleję blokował samochód policyjny, błyskały rubinowo-szafirowe światła; klejnoty z korony kłopotów. Mundurowy z nogą opartą o zderzak – młody, nabuzowany i nieufny – wyrzucił do przodu rękę, kiedy podjechałem moim seville'em. Wystawiłem głowę i krzyknąłem, jak się nazywam. Nie usłyszał, spojrzał groźnie na maskę i kazał odjechać. Krzyknąłem głośniejszym głosem, podszedł do mnie wolno, marszcząc brwi, z ręką na kaburze. Byłem rozdygotany, ale starałem się mówić powoli i uprzejmie. W końcu porozumiał się z kimś przez radio i postanowił mnie wpuścić. Kiedy wysiadłem, wskazał mi drogę:

– To tam – powiedział, jakby dzielił się ze mną jakąś niesłychanie ważną informacją.

Ruszyłem w dół alei. Pod liniami wysokiego napięcia ujrzałem stłoczone, błyszczące samochody. Gdy zbliżałem się do miejsca zbrodni, uderzył mnie odór rozkładających się obić tapicerskich, benzyny i gnijących warzyw.

Spostrzegłem Mila. Stał koło samochodu koronera, zgarbiony i notował coś pośpiesznie. Jedną z jego nóg była przygięta, spod marynarki wystawał wałek brzucha. Poślinił ołówek, przestąpił z nogi na nogę.

Jasne reflektory sprawiały, że jego twarz była biała, jakby obsypana mąką. Światło uwydatniało worki pod oczami i zmarszczki. Szedłem odrętwiały w jego kierunku. Było mi niedobrze, czułem się nie na miejscu.

Kiedy znalazłem się jakieś trzy metry od niego, podniósł wzrok. Teraz jego twarz wydawała się dziwnie rozmyta, jakbym nagle przestał ostro widzieć. Tylko oczy były wyraźne. Błyszczały nienaturalnie; rozbiegane, szafirowo-zielone oczy kojota, rozjaśnione przez reflektory do koloru morskiej piany. Miał na sobie sportową, poliestrowo-welnianą marynarkę, luźne brązowe spodnie,

białą koszulę z małym, zwijającym się kołnierzem, cienki zielony krawat, który połyskiwał jak żel do mycia zębów. Jego włosy wymagały strzyżenia; zbyt długie na czubku głowy, czarne jak węgiel, strzelały jak zwykle na wszystkich strony, a ocieniająca czoło grzywka opadała łukiem na długi nos. Na skroniach były ostrzyżone na krótko i zupełnie siwe od uszu do końca elvisowatych baków. Nienaturalny kontrast; ostatnio zaczął na siebie mówić „El Skunko”, opowiadał więcej dowcipów o starości i śmierci. Był niespełna rok starszy ode mnie, ale bardzo ostatnio się posunął. Robin mówiła mi, że wyglądam młodo, kiedy myślała, że tego potrzebuję. Zastanawiałem się, co Rick mówił Milowi.

Zamknął notatnik, potarł twarz, potrząsnął głową.

– Gdzie ona jest? – zapytałem.

– Już w samochodzie – odpowiedział, wskazując głową auto koronera. Drzwi były zamknięte, kierowca siedział za kierownicą.

Zacząłem iść w kierunku samochodu, Milo chwycił mnie za rękę. – Nie musisz jej oglądać.

– Dam sobie z tym radę.

– Nie musisz przez to przechodzić. Więc po co?

Szedłem dalej, a on otworzył drzwi samochodu, wysunął nosze, odpiął pierwsze pół metra suwaka. Uderzył mnie smród rozkładającego się ciała. Zobaczyłem zniekształconą, zielonoszarą twarz, fioletowawe napuchnięte powieki, wysunięty nabrzmiały język, długie strąki jasnych włosów. Milo zasunął worek i odprowadził mnie na bok.

Kiedy koroner odjeżdżał, Milo westchnął, znowu potarł twarz, jakby ją mył.

– Nie żyje już od jakiegoś czasu, Alex. Cztery, pięć dni przeleżała na dnie kontenera ze śmieciami.
– Wskazał palcem. – O, tamtego, za patio sklepu meblowego. Ktoś owinął ją kawałem folii przemysłowej. Noce były chłodne, ale i tak...

– Kto ją znalazł? – zapytałem.

– Sklep zatrudnia prywatną firmę śmieciarską. Wywożą raz w tygodniu, w nocy, pokazali się tu parę godzin temu. Wypadła, kiedy opróżniali kontener. Naprawdę chcesz tego słuchać?

– Mów dalej.

– Jej noga potoczyła się na ulicę. Kierowca wyszedł zobaczyć, co się stało. Odkrył resztę ciała. Była związana. Dwa strzały w tył głowy z bliskiej odległości. Koroner mówi, że jeden strzał by wystarczył. Ktoś chciał mieć pewność. Albo był wściekły. Albo jedno i drugie. Albo po prostu lubi się bawić pukawką.

– Duży kaliber?

– Dość duży, żeby osmalić jej oczy i zniekształcić twarz. Alex, dlaczego w ogóle...

– Wygląda na egzekucję – powiedziałem cicho i bezdźwięcznie. Moje oczy napęłniły się łzami, otarłem je.

Milo nie odpowiedział.

– Cztery, pięć dni – kontynuowałem. – Wkrótce po jej zniknięciu.

– Na to wygląda.

– Jak ją rozpoznałeś?

– Jak tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, kim jest. Kiedy rozmawiałem o niej z Zaginionymi, przysłali mi jej papiery ze zdjęciem.

– No cóż – powiedziałem. – Teraz możesz się oderwać od tych starych spraw.

– Przykro mi, Alex.

– Właśnie zostawiłem jej matce wiadomość. Powiedziałem, że ciągle szukam Lauren. Nie ma to jak sukces, co? – Do oczu znowu napłynęły mi łzy, tym razem przetarcie ich ręką nie wystarczyło. Kiedy sięgałem po chusteczkę, Milo odwrócił głowę.

Stałem tam, pozwalając łzom płynąć. O co w tym wszystkim, do cholery, chodzi? Przecież często stykałem się z nieszczęściem, nauczyłem się utrzymywać dystans.

Lauren została zabita w wieku dwudziestu pięciu lat, ale w moich wspomnieniach widziałem buzię piętnastolatki. Za ostry makijaż, tandetna czarna torebeczka. Idiotyczne buty.

– „Zmieniłam się.

– Wydoroślałaś.

– Tak pan sądzi?”

Zaczęło mnie mdlić i tym razem nie mogłem się powstrzymać. Usłyszałem głos Mila, odległy i niewyraźny.

– Dobrze się czujesz?

Próbowałem wydusić z siebie: „W porządku”. Obróciłem się, pobiegłem w górę alei i zwymiotowałem.

Ryżowe wino, rybi posmak wyśmienitej japońskiej kolacji.

Czekałem w nieoznakowanym samochodzie Mila, kiedy on wykonywał swoją robotę. Drapało

mnie w gardle, byłem złany zimnym potem. A jednak czułem dziwny spokój. Milo zostawił na siedzeniu swoją komórkę, zadzwoniłem do Robin.

Odebrała natychmiast.

– Przepraszam, że zepsułem kolejny wieczór – powiedziałem.

– Co się stało?

– Zabito kogoś. Sprawa, o której ci wspominałem. Ta, o której nie mogłem mówić. Dziewczyna, którą kiedyś leczyłem. Pewnie jutro przeczytasz o tym w gazetach. Właśnie znaleziono jej ciało.

– O Boże, dziecko?

– Młoda kobieta. Była dzieckiem, kiedy ją poznałem. Zaginęła, jej matka poprosiła mnie o pomoc. Pewnie pojedę z Milem ją powiadomić. Nie wiem, kiedy wrócę.

– Alex, tak mi przykro.

Z ust wyrwał mi się śmiech. Niestosowny, niewytłumaczalny. – Kocham cię – powiedziałem.

– Wiem.

Milo usiadł za kierownicą, a ja opowiedziałem mu o Shawnie Yeager.

– Pamiętam ją – powiedział. – Królowa piękności. Na szczęście zajął się nią Leo Riley.

– Trudna sprawa?

– Żadnych dowodów, żadnych świadków. Leo strasznie narzekał. Jego ostatnia sprawa przed emeryturą i musiał ją zostawić otwartą. Podejrzewał, że dobrał się do niej jakiś zboczeniec, zgwałcił i zakopał gdzieś na odludziu, gdzie nikt jej nie znajdzie. – Spojrzał na kosz ze śmieciami. – Ktokolwiek to zrobił, nie troszczył się o ukrycie ciała.

– To prawda – powiedziałem.

– Dlaczego mi mówisz o tej Yeager?

Powtórzyłem mu swoją rozmowę z Dalbym.

– Dwie studentki, blondynki, ładne i rok różnicy – powiedział. – Jeśli Yeager rzeczywiście została zamordowana na tle seksualnym, rok odstępu między ofiarami jest zbyt długi. Nic, co powiedziałeś, nie sugeruje podobieństwa.

– Po prostu pomyślałem, że o tym wspomnę.

– Będę o tym pamiętać, jeśli nie będzie innych tropów. Na razie skierowałem mundurowych do mieszkania Lauren, żeby zabezpieczyli miejsce i mieli oko na współlokatora. Wiesz, jak się nazywa?

– Andrew Salander. Jakies dwadzieścia pięć lat. Jest barmanem w Cloisters.

– Cloisters... – powtórzył, przeczesując ręką włosy. – Mały chudy dzieciak z tatuażami?

– Tak.

– Andy. – Uśmiechnął się lekko. – Twierdzi, że robi mocne martini.

– A nie robi?

– Nie mam zielonego pojęcia. Nie cierpię martini. – Zmarszczył brwi. – Czyli że mieszkała z Andym. Nie wiesz, jak długo?

– Powiedział, że pół roku. Mówił, że wcześniej mieszkał piętro niżej, właściciel wymówił mu mieszkanie, a Lauren zaprosiła go do siebie.

– Ciekawe. – Skierował na mnie zielone oczy. – A co ty o tym sądzisz?

– Może uznała, że jest niegroźny.

– Może i tak.

– Wiesz o nim coś, co kazałoby w to wątpić?

– Nie – odpowiedział. – Ale jest trochę za rozmowny jak na mój gust, choć zawsze wydawał się miły. Z drugiej strony, zabito jego współlokatorkę. Jeszcze się zobaczy. – Poprawił się na siedzeniu. – Na razie kroi się świetna fucha: trzeba zawiadomić matkę.

– Pojadę z tobą.

– Wiem – powiedział. – Nie zamierzam się sprzeciwiać.

Przesiedliśmy się do mojego seville'a i skierowałem samochód na północ Sepulveda Boulevard. Skręciłem w czterysta piątkę, wjechałem na pas szybkiego ruchu, przyśpieszyłem do stu kilometrów na godzinę.

Przed laty autostrada byłaby o tej porze pusta. Dzisiaj mieliśmy spore towarzystwo, głównie wielkie ciężarówki i małe samochodziki... Które śmiały mnie wyprzedzać. A miałem wielkie plany: zniszczyć życie Jane Abbot.

Zastanawiałem się, czy ją zastaniemy. Czy będzie tylko niedołączny mąż? Najpierw Lyle, teraz ten. Wydawało się, że nie ma szczęścia do mężczyzn.

Jeśli będzie w domu, co jej powiem? Jak jej powiem?

– Devana Terrace – powiedział Milo, powtarzając adres, który dostał od drogówki. – Na południe od Ventura Boulevard.

Znałem tę okolicę. Dobra dzielnica. Niezależnie od stanu zdrowia, drugi mąż Jane Abbot umiał zadbać o ich utrzymanie. Przypomniawszy sobie jego słaby głos, zacząłem się zastanawiać, z jakiego powodu za niego wyszła?

– W Valley – powiedziałem. – Ojciec Lauren zabrał ją na minigolfa do Valley tego dnia, kiedy zrezygnował z terapii. – Opowiedziałem Milowi o kłamstwie Lyle’a.

– Miły człowiek – powiedział. – Coś sugerujesz?

– Nie. Lauren mówiła, że nigdy się do niej nie dobierał.

– Ale byłeś na tyle zaniepokojony, że ją o to zapytałeś.

– Było w jego zachowaniu coś uwodzicielskiego. Lauren sama zrobiła aluzję na ten temat, kiedy później do mnie przyszła. Ale bardzo wyraźnie powiedziała, że jej nie molestował.

– Za bardzo zaprzeczała?

– Kto wie? Nie miałem czasu, żeby to sprawdzić.

Odchrząknął.

– Więc po tym, jak tatuś ukatrupił leczenie, widziałeś ją tylko raz?

– Nadal nie jestem pewien, dlaczego się ze mną umówiła. Skończyło się na tym, że wyładowała na mnie swoją złość. Może zresztą tylko o to jej chodziło.

Milczał przez chwilę. Przyśpieszyłem jeszcze bardziej, ale kiedy zaśmiał się nerwowo, zwolniłem do osiemdziesiątki.

– Od buntowniczej nastolatki – powiedział – do striptizerki i prostytutki. Wiele dziewczyn w tym fachu ma za sobą molestowanie seksualne. – Znowu się zaśmiał. – Ale komu ja o tym opowiadam?

– Jeśli ojciec rzeczywiście się do niej dobierał, na pewno teraz się nie przyzna.

– Zobaczymy, jak zareaguje na całą tę sprawę. I to niedługo. Może być kompletnym palantem, ale jako rodzic musi zostać zawiadomiony.

– Jeśli go znajdziemy.

– A dlaczego mielibyśmy go nie znaleźć?

– Już dawno zostawił Lauren i jej matkę, ożenił się drugi raz. Często mężczyźni, którzy uciekają, uciekają daleko.

Wyciągnął telefon komórkowy.

– Lyle Teague?

– Będzie miał teraz koło pięćdziesiątki.

Zaczął wystukiwać numery. Pas szybkiego ruchu był przez ostami kilometr pusty, więc dodałem gazu. Milo powiedział:

– Zmiłuj się nade mną, doktorze de la Monte Carlo. – Zwolniłem. Chwilę później miał adres Lyle’a Teague’a.

– Reseda. Wygląda na to, że wszyscy mieszkają w Valley.

– Lauren mieszkała w mieście.

– No – powiedział – może to coś więcej niż zbieg okoliczności. Z dala od mamusi i tatusia.

– Albo chciała mieszkać bliżej uniwerku.

– To dlaczego nie zamieszkała w Westside?

– Wyższy czynsz – odparłem.

– Ź propoz – dodał – wiesz, z czego się utrzymywała?

– Powiedziała Salanderowi, że z inwestycji, ale nie wdawała się w szczegóły.

– Studentka z inwestycjami – odrzekł. – Powiedz mi wszystko, co o niej wiesz, Alex. Od samego początku. Chcę pełną wersję.

Śmierć zwalnia z tajemnicy zawodowej, mogłem się więc wygadać. Właściwie nie było nic do ukrycia. Leczenie Lauren nie było zaawansowane, a moja opowieść uświadomiła mi, jak niewiele osiągnąłem. Kiedy doszedłem do imprezy Hamsbergera, zacząłem mówić głośniej i szybciej. Milo wciąż patrzył w swój notatnik i podniósł wzrok tylko wtedy, gdy pojawiła się autostrada Ventura, a ja zapomniałem skręcić w prawo. Zdawszy sobie sprawę z pomyłki, przeciąłem trzy pasy ruchu, a Milo chwycił mocno za poręcz siedzenia. Zdoławszy zeskoczyć na wschodnie pobocze szosy, przez następne parę kilometrów dobijałem resory, w końcu wjechałem od południa do Valley, skręcając w Van Nuys.

– No cóż – powiedział – to podniosło mi ciśnienie. Nie muszę już dzisiaj ćwiczyć.

– A kiedy ostatnio byłeś w sali gimnastycznej?

– W plejstocenie, o ile pamiętam. Łupałem granit z innymi neandertalczykami.

Jechałem Van Nuys, aż dotarłem do Valley Vista, skręciłem w lewo, znalazłem Devana Terrace, którym jechałem powoli, szukając domu Jane Abbot.

Ciemna ulica. Ładna ulica. Zakończyłem opowieść o striptizie Lauren, o tym, jak się rozpoznaliśmy.

Milo nie chciał się bawić w spowiednika, zamachał ołówkiem, zapytał:

– Pamiętasz, jak nazywała się ta druga dziewczyna?

– Michelle.

– Michelle jaka?

– Lauren nigdy mi tego nie powiedziała.

– W tym samym wieku co Lauren?

– Mniej więcej. Podobnego wzrostu. Ciemne włosy. Chyba Latynoska.

– Blondynka i brunetka – powiedział i wiedziałem, co myślał: Ktoś zamówił taką parę na wieczór?

Jak daleko posunęły się Lauren i Michelle, gdy wyszedłem?

– Czy ktoś wspomniał, dla jakiego klubu pracowały?

– Nie. Zresztą nawet jeśli znajdziesz ludzi, którzy organizowali tamtą imprezę, na pewno wszystkiemu zaprzeczą. Mówimy tu o profesorach szkół medycznych i ludziach z finansjery. A to było cztery lata temu.

– Właśnie wtedy Lauren pracowała dla Gretchen Stengel. Więc może Gretchen obstawiała także prywatne imprezy.

– Gdzie teraz jest Gretchen?

– Nie wiem. Odsiedziała kilka lat za pranie brudnych pieniędzy i unikanie podatków, ale mogą tylko zgadywać, co się z nią teraz dzieje. – Zamknął notatnik. – Inwestycje, mówisz... Więc może Lauren nadal była w obiegu. Byłoby interesujące, gdyby nadal pracowała z Michelle.

– Andrew Salander mówił, że Lauren nie miała żadnych przyjaciółek.

– Może były rzeczy, o których nie mówiła Andy’emu. Albo o których on nie chciał ci powiedzieć.

– Możliwe.

Myślałem: Lauren kłamała na temat badań naukowych, więc może wymyśliła też inne rzeczy. Miała tajemnice.

Teraz wszystkie te tajemnice nie były nic warte.

Bez trudu odnaleźliśmy rezydencję Abbotów. Był to biały dwupiętrowy dom w stylu kolonialnym, usytuowany na końcu ulicy. Czarne wysokie sztachety żelaznego ogrodzenia rozświetlono reflektorami. Okna z zielonymi okiennicami, półokrągły podjazd, dwie bramy, z których jedną oznaczono jako „Wjazd”. Kiedy parkowałem, Milo poprawił krawat. Wysiedliśmy i podeszliśmy do bramy. Noc wydawała się pozbawiona życia, może dotyczyło to tylko naszego zadania.

Z kilku górnych okien dochodziło żółte światło żarówek, w półokrągłym oknie nad frontowymi drzwiami świecił zyrandol. Widok samych drzwi blokował nam biały cadillac fleetwood. Z nieskazitelnym błyszczącym lakierem mógł uchodzić za nowy, ale model tak dużych rozmiarów wycofano już z produkcji. Tablica rejestracyjna z oznaczeniem osoby niepełnosprawnej. Za wielkim autem stał, też wypucowany, metaliczno-niebieski mustang coupe, jak posłuszne dziecko podążające za rodzicem.

Milo spojrział na domofon, potem na mnie.

– Chcesz zadzwonić?

Przycisnąłem guzik. Zadzwieczał kod cyfrowy, potem telefon.

Jane Abbot zapytała zaspanym głosem:

– Tak?

– Pani Abbot, tu doktor Delaware. Głęboki oddech.

– O... o co chodzi?

– O pani córkę, Lauren. Możemy wejść?

– Tak, tak, oczywiście... Sekundkę, muszę... proszę poczekać. – Ton jej głosu podnosił się z każdym zdaniem, ostatnie słowo było prawie piskiem. Kilka chwil później otworzyły się drzwi i wybiegła z upiętymi włosami i owinięta w jedwabny pikowany szlafrok. W dłoni trzymała pilota, którego wycelowała w bramę. Żelazne kraty rozsunęły się. Była już tylko pół metra od nas, kiedy wkroczyliśmy na teren posesji.

Nie widziałem jej od dziesięciu lat. Nadal dobrze się trzymała: drobnokoścista, rozjaśnione włosy blond, były ciut ciemniejsze od platyny, w której gustowała Lauren. Dziesięć lat zwiotczyło skórę jej twarzy i wyżłobiło zmarszczki. Biegła ku nam zdyszana. Puszyste kapcie kłapały na chodniku.

Milo wyciągnął swoją odznakę, ale nie było to potrzebne. Grobowy wyraz jego twarzy mówił wszystko. Jane Abbot szybko zrozumiała, dlaczego przyszliśmy. Nakryła rękami głowę, odskoczyła od Mila i wpatrywała się we mnie. Nie miałem jej nic lepszego do powiedzenia, a ona krzyczała, biła się w piersi, potknęła się, zgubiła kapeć. Różowe kapcie, takie rzeczy się zapamiętuje.

Złapaliśmy ją równocześnie. Biła nas, ale jej ręce ześlizgiwały się dziwnie po naszych ciałach. Jej żal był głośny i chrypliwy. Nikt inny nie pojawił się w drzwiach domu. Nie było też żadnej reakcji sąsiadów. Nagle poczułem osamotnienie, w jakim przyjdzie jej odtąd żyć.

Podniosłem kapeć i odprowadziliśmy ją przez podjazd do domu.

Oprócz zapalonego zyrandola w przedpokoju i lampy w kształcie ula stojącej na stole w pierwszym pokoju, dom był ciemny. Milo włączył górne oświetlenie; ukazało się pomieszczenie zaskakująco skromnej wielkości: niskie sufity, biały dywan od ściany do ściany, meble, które były kosztowne w latach pięćdziesiątych, różowo-beżowe ściany obwieszane obrazami Picassa, Braques'a i impresjonistów, wyglądającymi na autentyczne. W zachodnią ścianę wbudowano białe półki, na których stały książki w twardej oprawie i woluminy z czarnymi grzbietami, poprzetykane dyplomami w ramkach i pozłacanymi figurkami. Przez tylną oszkloną ścianę nie było nic widać. Posadziliśmy Jane Abbot na twardej, ciemno-turkusowej kanapie. Usiadłem obok niej, czując zapach jej perfum i potu. Milo zajął fotel naprzeciwko nas, za mały na jego gabaryty. Nie wyjął notatnika. Wkrótce zapewne to zrobi.

Jane trzęsły się ręce, zaplątane w szlafrok zamieniły się w ptasie, sparaliżowane szpony. Jej płacz osłabł do westchnień i pociągania nosem, potem nastąpiły konwulsyjne, miotające całym ciałem piski.

Milo obserwował ją dyskretnie. Rozluźniony, ale niezblazowany. Ile razy już to robił? Nagle Jane Abbot zastygła, zapanowała cisza. Zimny, rozkładający bezwład.

Gdzie był jej mąż?

– Przykro mi – powiedział Milo.

– Mój Boże, mój Boże, co się stało?

– Lauren została znaleziona parę godzin temu.

Pokiwała głową, jakby to, co usłyszała, miało sens. Milo zaczął swoje wyjaśnienia wolno, wyraźnie, niskim, miękkim głosem. Ona potakiwała, zaczęła się bujać w rytm jego słów. Odsunęła się ode mnie i przesunęła w jego kierunku. Logiczne przesunięcie. Przyjąłem je z radością.

Skończył, czekał na odpowiedź, a kiedy wciąż milczała, powiedział:

– Wiem, że przeżywa pani ciężkie chwile i to nie najlepszy czas na zadawanie pytań, ale...

– Proszę pytać o wszystko. – Znow chwyciła się za głowę, jej twarz wykrzywiła się.

– Moje maleństwo, moje kochane maleństwo!

Więcej łez. Zabrzęczał pager. Milo sięgnął po swój, Jane Abbot wyjęła swój spod szlafroka.

– Moje drugie maleństwo – oznajmiła znekowanym głosem. Podniosła się niepewnie, jedna stopa

nadal była bosa. Wręczyłem jej kapeć. Wzięła go, uśmiechnęła się gorzko, pośpieszyła do następnego pokoju i zapaliła światło. Jadalnia. Podrabiany chippendale, więcej ładnych obrazów.

Dotknęła czegoś przy bocznych drzwiach, ściany zamruczały, drzwi odsunęły się ze świstem. Winda.

– Zaraz wracam. – Zniknęła w windzie.

Milo odetchnął, wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Zatrzymał się przy półkach, wskazał jedną ze statuetek.

– Hmm.

– Parę nagród Emmy... z lat pięćdziesiątych... wczesnych sześćdziesiątych. Nagroda Gildii Pisarzy, a ta od Gildii Producentów... Melville Abbot. Wszystko za komedie. Tu jest zdjęcie Eddiego Cantora... Sid Caesar... „Drogemu Melowi”. Słyszałeś kiedyś o nim?

– Nie odparłem.

– Ja też nie. Scenarzysta telewizyjny. O nich nigdy się nie mówi... Wyjął jeden z woluminów z czarnym grzbietem.

– Scenariusz – wymamrotał, kiedy drzwi windy otworzyły się i wyszła zza nich Jane Abbot, popychająca mężczyznę na wózku inwalidzkim. Jej różowy szlafrok zastąpiło długie, czarno-srebrne jedwabne kimono. Na nogach miała te same różowe kapcie.

Mężczyzna był ubrany w nienagannie uprasowaną jasnoniebieską piżamę z białymi wykończeniami. Wyglądał na osiemdziesiątkę albo więcej. Nogi okrywał mu brązowy kaszmirowy koc. Mała jajowata głowa była całkiem łysa, prócz białego puchu na skroniach. Jego nos wyglądał jak na wpół oklapły różowy balonik, pozbawione warg usta, obwisły podbródek. Małe, brązowe oczy – wesole oczy – spojrzały na nas. Zachichotał. Jane Abbot usłyszała to i drgnęła. Stała za nim, nerwowo zaciskając uchwyty wózka, patrząc ponuro i z wyrzutem.

Uniósł kciuk i zawołał sztucznie gromkim głosem:

– Dobry wieczór! *Les gendarmes? Bon soir!* Mel Abbot! – Decybele znacznie przekraczały słabowity głos, jaki słyszałem przez telefon.

Jane stęknęła cicho. Abbot uśmiechnął się.

– Miło mi pana poznać – powiedział Milo, podchodząc do wózka.

– *Les gendarmes* – powtórzył Abbot. – *Les gendarmes du Marseilles*, policja na posterunku, *les nieuguiante hommes de pravo*, brawo, brawo! – Odchylił do tyłu głowę, próbował spojrzeć na żonę. – Czy alarm znowu wysiadł, najdroższa?

– Nie – powiedziała Jane. – To nie to... To co innego, Mel. Stało się... Mel, stało się coś

straszego.

– Zaraz, zaraz – odparł Abbot, mrugając na nas. – Jak bardzo straszego? Przecież wszyscy żyjemy.

– Proszę, Mel...

– Zaraz, zaraz, zaraz – nalegał Abbot. – Zaraz, zaraz, słoneczko. – Uniósł trzęsącą się rękę, próbował dosięgnąć żonę, bez skutku. W końcu Jane chwyciła jego palce i zamknęła oczy.

Znowu do nas mrugnął.

– To jak wtedy, kiedy zapytali Chevaliera: „Jak to jest, jak się skończy osiemdziesiątkę?” A Chevalier mówi: „Jak to jest? – Wystudiowana pauza. – Powiem wam, jak to jest. Biorąc pod uwagę alternatywę, jest naprawdę świetnie!”

– Mel...

– Zaraz, zaraz, najdroższa. Jak to się mówi o fałszywym alarmie? *Asi es la vida*, gra się, buli się, stać nas na to, *danke* Bogu. – Melville Abbot uwolnił swoją rękę i zamachał wiotkimi palcami. Jego głowa tańczyła, jakby nie mogła złapać równowagi, ale zdołał znowu mrugnąć. – Najważniejsze, że wszyscy żyjemy, jak wtedy, kiedy zapytali Chevaliera, jak to jest, jak się skończy osiemdziesiątkę. – Mrugnięcie. – A Chevalier mówi...

– Mel! – Jane nagle pochyliła się do przodu i złapała go za rękę.

– Ależ, najdroższa...

– Żadnych dowcipów, Mel. Proszę. Nie teraz. Żadnych dowcipów. Abbot spuścił wzrok. Jego krepinowa twarz wyrażała upokorzenie chłopca złapanego na masturbacji.

– Moja żona – zwrócił się do nas. – Powiedziałbym, żebyście ją zabrali, nie nieszczercze. Nie można z nimi wytrzymać, nie można bez nich. Policjant zatrzymuje faceta na autostradzie, facet mówi: „Nie przekroczyłem szybkości”. A policjant: „Nie zauważył pan, jak kilometr stąd wypadła panu z samochodu żona?” Facet na to: „Ufff, a już myślałem, że głuchnę”.

Jane musiała zbyt mocno ścisnąć jego palce, bo wykrzywił twarz i syknął. Podeszła do przodu wózka i uklękła przed mężem.

– Mel, posłuchaj. Stało się coś złego, coś okropnego. Dla mnie.

Oczy Abbota zaszyły mgłą. Spojrzał na nas, poszukując pomocy. Zbyt duże zęby, zbyt białe, zbyt równe, kontrastowały z resztą jego zniszczonego ciała.

Pochylił się do przodu, Jane położyła dłonie na jego wąskich ramionach.

– Co jest złego w odrobinie humoru? Czym byłoby życie bez niego, najdroższa?

– Chodzi o Lauren, Mel. Ona... – Jane zaczęła płakać. Starzec wpatrywał się w nią, oblizwał wargi. Pogłaskał jej włosy. Położyła głowę na jego kolanach, a on pogładził ją po policzku.

– Lauren – powiedział, jakby zaznajamiał się z tym imieniem. Zamknął oczy. Widać było, jak przewraca nimi pod powiekami. Przeglądał strony w swoim myślowym notatniku? Kiedy ponownie je otworzył, był uśmiechnięty.

– Ta ładna?

Jane wyprostowała się, a wózek odjechał kilka centymetrów w tył. Wciągnęła powietrze i zaciskając zęby, zaczęła bardzo wolno tłumaczyć:

– Lauren, moja córka, Mel. Moje dziecko, moje maleństwo. Jak twój Bobby.

Abbot odwrócił się od żony. Wydał wargi.

– Bobby nigdy mnie nie odwiedza.

Jane krzyknęła:

– Bo Bobby...! – Powstrzymała się. – Boże, Boże – wyszeptała. Pocałowała go mocno w czubek głowy. Wyglądało to raczej na uderzenie niż na wyraz przywiązania. Zakryła twarz ręką.

– Bob jest lekarzem – powiedział Abbot. – Chirurgiem plastycznym. Michał Anioł ze skalpelem, ma doświadczenie, wie, gdzie zagrzebane są wszystkie zmarszczki. – Rozweselił się, odwrócił w kierunku żony. – Co powiesz na to, żebyśmy wyszli na śniadanie? My wszyscy? Załadujemy się do cadillaca, pojedziemy do Solly'ego i zamówimy... – sekunda zagubienia. – ...coś z cebulą... Omlet? Może bajgla z łososiem? – Do nas: – Z wami, panowie. Ja stawiam, o ile nie wlepicie nam mandatu za fałszywy alarm.

Jane kłamała mu o planowanym śniadaniu, odwożąc go z powrotem do windy. Mówiła mu o łososiu, o cebuli, o naleśnikach; potrzebowała czasu, żeby się doprowadzić do porządku, on powinien pomyśleć o tym, w co chce się ubrać, a ona wróci do niego za kilka minut.

Przyjechała winda, wepchnęła wózek do środka.

– Założę tę wełnianą marynarkę – powiedział, kiedy drzwi zamykały się za nimi. – Tę dobrą, od Sy Devore'a.

– No, no – powiedział Milo, kiedy zostali sami. – Spójrz tylko. Groucho, Milton Berle, facet znał całą śmietankę. To zdjęcie z pikniku urządzonego na jego cześć przez Friars Club dwadzieścia lat temu... Każda gwiazda gaśnie. To pozwala mi z nadzieją patrzeć w przyszłość.

Ja przyglądałem się podpisom na obrazach. Picasso, Childe Hassam, Louis Rittman, Max Ernst. Mały szkic Renoira.

Od windy trzęsły się ściany. Drzwi rozsunęły się ciężko i wybiegła stamtąd Jane Abbot, jakby zabrakło jej powietrza. Jej oczy były zapadnięte i szkliste, wyglądała staro. Próbowałem wyobrazić ją sobie jako młodą uśmiechniętą stewardesę.

– Przepraszam, on po prostu... jego stan się pogarsza. O Boże! Opadła na kanapę i rozplakała się. Kiedy przestała, zaczęła mówić cicho, ze spuszczoną głową:

– Bobby, jego syn, zginął dziesięć lat temu. Wypadek narciarski. Był jedynym dzieckiem Mela. Żona Mela Doris od jakiegoś czasu była chora. Miała straszny artretyzm, doszło do tego, że w ogóle nie mogła się ruszać. Śmierć Bobby’ego pogorszyła jej stan i w końcu potrzebowała całodobowej opieki. Kiedy się rozwiodłam, poszłam do szkoły pielęgniarstwa, dostałam licencję, pracowałam na prywatne zlecenia. Opiekowałam się Doris do jej śmierci. Silna kobieta, nigdy nie traciła dobrego humoru. Opiekowałam się nią przez pięć lat, często na dwie zmiany pod rząd. Właściwie się tu wprowadziłam. Mel był od niej starszy, ale wtedy był w świetnej formie. Bardzo dobrze nam się żyło we trójkę. Mel miał niespotykane poczucie humoru. Uboje mieli. – Poglądziła policzek. – Mel był naprawdę kochany. I błyskotliwy. Miał w repertuarze tysiące dowcipów, sypał z nimi z rękawa, na każdy lemat. Znał co najmniej dwadzieścia gagów. Po pogrzebie Doris wyprowadziłam się i załatwiłam sobie pracę w domu spokojnej starości. Dwa miesiące później zadzwonił do mnie Mel. Kiedy zaprosił mnie na kolację, myślałam, że robi to ze względu na dawne czasy, żeby mi podziękować. Kiedy pokazał się w moim mieszkaniu wystrojony, z kwiatem w butonierce, byłam zaskoczona. Ale nie chciałam zranić jego uczuć, więc z nim poszłam. Zabrał mnie do Palm, zamówiliśmy steki i dobre wino i okazało się, że świetnie się razem bawimy. On był... Długo się spotykaliśmy. W końcu dwa lata temu zgodziłam się za niego wyjść. Ze względu na jego zdrowie rzuciłam palenie. Wiem, że różnica wieku jest... ale to nie tak, jak się wydaje.

– Nie musi nam pani tłumaczyć.

– Ależ muszę – powiedziała. – Muszę. Zawsze trzeba tłumaczyć. Wiem, myślicie, że wyszłam za niego dla pieniędzy. Ale to nie tak. Mel ma pieniądze, same tylko obrazy... Ale mamy intercyzę i nie znam szczegółów jego finansów. Nie chcę ich znać. Mam osobny fundusz. Nigdy nie prosiłam go, żeby zmienił testament. On jest najmilszym człowiekiem na świecie. Do niedawna...

– Proszę pani.

– ... świetnie się bawiliśmy. Podróżowaliśmy, jeździliśmy na wycieczki. Lauren spotkała go tylko kilka razy, ale go polubiła. Mówił jej, jaka jest śliczna, jak Marilyn. Jej ojciec nigdy jej takich rzeczy nie mówił. Może to była moja wina.

Zacząła popłakiwać. Usiadłem przy niej.

– Czyli że Lauren nie wpadała zbyt często – powiedział Milo.

– Ciągłe była zajęta. Szkołą i tak dalej, ale kiedy przychodziła, uwielbiała dowcipy Mela. – Zmarszczyła gniewnie brwi. – Lyle nigdy nie opowiadał jej dowcipów. Lyle nie znał chyba żadnego, a nawet gdyby... Nie było nam do śmiechu. Na pewno pan pamięta, doktorze Delaware.

Pokiwałem głową.

– Nasze życie było takie ponure. Mel nauczył mnie, jak powinno wyglądać prawdziwe życie. Potem, rok temu, miał pierwszy wylew. Potem następny. I następny. Najpierw poszły jego nogi, potem umysł. Czasami odzyskuje przytomność, ale głównie jest w takim stanie jak teraz. Moje drugie maleństwo. Dzięki Bogu, wstawiono tu windę dla Doris, inaczej bym sobie nie poradziła. A tak nie jest najgorzej. Jest lekki jak piórko, posadzenie go na wózku to żaden problem, uczono mnie tego. Kąpanie go jest trochę... Ale nic strasznego, przeważnie wszystko idzie gładko. – Jej twarz wykrzywiła się, z oczu popłynęły łzy. – Przeważnie wszystko idzie bardzo, bardzo gładko.

Wzięłem ją za rękę. Jej skóra była zimna i sucha.

– Niedługo po mnie zadzwoni – powiedziała. – Tęskni, kiedy mnie nie ma.

– Proszę robić, co konieczne, proszę pani – powiedział Milo. – Jesteśmy tu po to, żeby z panią współpracować.

– Dziękuję. Jesteście tacy mili. O, to jest... o... – Wyrzuciła w górę ramiona i roześmiała się przeraźliwie.

– Kilka pytań, proszę pani. Jeśli czuje pani, że da radę...

– Dam sobie radę ze wszystkim – odpowiedziała bez przekonania. – Niektóre z tych pytań mogą się wydać głupie, ale muszę je zadać.

– Proszę pytać.

– Czy może przypomina sobie pani kogoś, kto mógł chcieć skrzywdzić Lauren?

– Nie – odparła szybko. – Wszyscy ją uwielbiali. Była kochana.

– Może jakiś były chłopak? – Nigdy nie miała chłopaka.

– Nigdy? – dopytywał się Milo.

Cisza.

– Dużo jeździła. Wymagała tego praca i nauka. Nie miała czasu na chodzenie z kimś.

– Czy mówiła to pani?

– Mówiła Melowi. Kiedy tu przychodziła, on mówił: „Jesteś taka śliczna, lalczko. Dlaczego nie ma przy tobie żadnego przystojniaka?” Albo coś w tym stylu. Wtedy ona uśmiechała się i mówiła, że nie chce marnować czasu na mężczyznę, a Mel żartował, że gdyby tylko był dwieście lat młodszy... Kiedy dotrze do niego, co się stało, będzie załamany.

Zaczęło cieknąć jej z nosa, podałem jej chusteczkę.

– Jej praca – powiedział Milo.

– Była modelką. Zaoszczędziła całkiem sporą sumę. To pozwoliło jej wrócić do szkoły.

– Nie miała czasu na chłopaków, nawet na jednego?

– Nikogo takiego nigdy nie spotkałam. – Spuściła oczy i byłem pewien, że coś ukrywa. Czy wiedziała o prawdziwej pracy córki?

– Była zajęta nauką... – podjął Milo.

– Tak. Uwielbiała się uczyć. Uwielbiała psychologię, chciała zrobić doktorat. – Do mnie: – Zainspirował ją pan. Uważała, że jest pan świetny.

– Czy oprócz studiów – drążył Milo – miała jakąś pracę związaną z psychologią?

– Ma pan na myśli udział w eksperymentach? Nie sądzę.

– Może przeprowadzała jakieś badania?

– Nie – powiedziała Jane. – Nigdy mi o tym nie wspominała.

– A podróże?

– Wyjeżdżała od czasu do czasu. Ale tylko na dzień lub dwa. Nie na tydzień. Dlatego wiedziałam, że coś się z nią stało. Andy, jej współlokator, też to wiedział. Poznałam po jego głosie przez telefon. Martwił się. Wiedział, że coś jest nie w porządku.

– Andy – powiedział Milo. – Lauren dobrze się z nim dogadywała?

– Świetnie, byli jak dwie papuzki. Namówił Lauren, żeby w końcu urządzić mieszkanie. Ma wyśmienity gust. Jak większość z nich.

– Z nich?

– Gejów. Tacy już są. To był bardzo dobry układ. Tak powiedziałam Lauren. Żadnego seksu, a na dodatek on ma dryg do urządzania wnętrz.

– Co pani córka na to?

– Zgodziła się ze mną.

– Więc – powiedział Milo – nie wie pani o żadnych konfliktach między nią a Andym?

Popatrzyła na Mila.

– Z Andym? Nie, nie, to niedorzeczne. Nie miałyby żadnego powodu. Jest bardziej jak dziewczyna niż chłopak. Byli jak dwie siostry.

– Nie było powodu do kłótni, bo nie było napięcia seksualnego.

Pobladła.

– No cóż, tak... nie ma wielu takich rzeczy... fizycznych... jak mężczyźni krzywdzący kobiety, bo są... nienormalni.

– Myśli pani, że to mogła być zbrodnia na tle seksualnym?

– No cóż – westchnęła – nic nie myślę. Co ja mogę wiedzieć? Czy było... czy ten ktoś ją zgwałcił?

– Nic na to nie wskazuje, proszę pani, ale będziemy musieli poczekać na koronera.

– Na koronera. – Jane zaczęła znowu płakać. Wyjąłem następną chusteczkę, a Milo pisał coś w notatniku. Nie zauważyłem, kiedy go wyjął.

– A więc nigdy nie opowiadała pani szczegółów, po prostu mówiła, że wyjeżdża – powiedział.

– Lauren miała dwadzieścia pięć lat, panie detektywie. – Zniosła się płaczem. – Przepraszam, uświadomiłam sobie, że nigdy nie będzie miała dwudziestu sześciu... Lauren chroniła swoją prywatność. Wiedziałam, że muszę to uszanować, jeśli chciałam... się z nią dogadywać. Mieliśmy... problemy rodzinne. Doktor Delaware może panu podać szczegóły. Lauren była naprawdę buntowniczą nastolatką. Nawet jako małe dziecko, jeśli mówiłam, że coś jest czarne, to ona musiała powiedzieć, że białe. Kiedy odszedł od nas mój były i z dnia na dzień stałyśmy się biedne, Lauren nie mogła się z tym pogodzić. Uciekła, kiedy miała szesnaście lat, i nigdy później ze mną nie mieszkała. Przez lata prawie się ze mną nie kontaktowała. Próbowałam... – Popatrzyła na mnie w poszukiwaniu oparcia.

Kiwnąłem głową ze zrozumieniem.

– Udało nam się nawiązać na nowo kontakt – kontynuowała. – Przez wszystkie te lata prawie się nie odzywała, a teraz chciała się ze mną spotykać. Bałam się, że jeśli będę się dopytywać, to ją stracę. Więc... nie pytałam. A teraz... może gdybym...

– Nie ma się pani o co obwiniać – powiedziałem.

– Nie? Naprawdę tak pan myśli, czy mówi pan to wszystkim swoim... kimkolwiek dla pana jestem?

Oparła głowę na dłoniach. Jej szyja była mokra od potu. Myślałem o tym obiedzie, który wyprowadził Lauren z równowagi. Narzekła, że Jane chce ją kontrolować. To nie pasowało do przemówienia Jane o powstrzymywaniu się od zadawania pytań.

Nagle podniosła głowę, zarumieniona, z zimnym wzrokiem.

– Staram się powiedzieć, że chciałam ją znowu poznać. Poznać swoją córkę. I wydawało mi się, że nieźle mi idzie. A teraz... powinnam móc powiedzieć panom więcej, ale nie mogę. Bo nie wiem.

Doszło do tego, a ja nie wiem.

– Dobrze sobie pani radzi.

Roześmiała się.

– Tak, świetnie. Moje maleństwo nie żyje, to drugie zaraz po mnie zadzwoni. A mnie świetnie idzie, po prostu fantastycznie.

– Zrobię wszystko, co w...

– Znajdźcie tego, kto to zrobił. Potraktujcie to poważnie i znajdźcie go. Nie tak jak gliniarze potraktowali zniknięcie Lauren.

– Oczywiście...

– Znajdźcie go! Żebym mogła spojrzeć mu prosto w oczy. Potem obetnę mu jaja.

Milo przepytawał ją jeszcze przez chwilę, skupiając się na finansach Lauren, na pracach, jakie mogła podejmować między siedemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, na zawodowych znajomościach.

– Wiem tylko, że pracowała jako modelka – odpowiedziała Jane.

– Na wybiegach?

Przytaknęła.

– Jak została modelką proszę pani?

– Chyba po prostu... zgłosiła się. Jest... była piękną dziewczyną.

– Czy wspominała kiedykolwiek, dla której agencji pracowała?

Jane potrząsnęła głową. Była przybita. Widziałem to samo u innych rodziców, którzy stracili swoje dzieci. Ból niewiedzy, nagła świadomość, że nie znało się własnego dziecka. – Sama się utrzymywała, panie detektywie, a to więcej, niż można powiedzieć o większości dzieciaków. – Spojrzała w kierunku windy. – Nie lubię, kiedy zachowuje się tak cicho. Źle sypiam, boję się, że coś mu się stanie. – Błady uśmiech. – To tylko zły sen, prawda? Obudzę się i okaże się, że was tu nigdy nie było.

Wstała, pobiegła do windy, a my opuściliśmy dom Abbotów. Gdzieś wśród wzgórz zahukała sowa. W Los Angeles jest dużo sów. Jedzą szczury.

Milo spojrzał na dom.

– Więc ona nic nie wie. Myślisz, że była szczerą?

– Trudno powiedzieć. Kiedy zapytałeś ją o podróżę Lauren, nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. I kiedy zaczęła mówić o pracy modelki – też.

Więc może wie albo podejrzewa, jak Lauren naprawdę zarabiała na czynsz.

– I jeszcze coś – dodał. – Koniecznie chciała nas poinformować o intercyzie Mela. Ale nawet jeśli wyszła za niego dla pieniędzy, nie widzę, jaki to ma związek z Lauren. Ale i tak chcę się dowiedzieć, jak Lauren zarabiała. To wszystko śmierdzi mi pieniędzmi.

– Seksem i pieniędzmi.

Usiadłem za kierownicą i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Zegarek na desce rozdzielczej pokazywał 1. 14.

– Za późno na Lyle’a w Resedzie?

Milo zapiął pasy.

– Nieee, na dobrą zabawę nigdy nie jest za późno.

Dojechałem do Van Nuys Boulevard, skręciłem w prawo, a potem w 101 na Riverside. Droga prawie opustoszała, tylko znaki drogowe rozblyskiwały, gdy je mijaliśmy.

Kiedy wysiadałem, Milo zauważył:

– Mamusia i tatuś mieszkają blisko siebie. Ciekawe, czy podtrzymują znajomość.

– Mamusia mówi, że nie.

– Tak blisko, a jednak tak daleko. Ładna metafora wyobcowania, nie? Chociaż nie jestem w nastroju do takiego ględzenia.

Ulica Lyle’a była bezdrzewna i brudna, w powietrzu unosił się zapach nieurodzajnej ziemi i lakieru samochodowego. Domostwa, które wyglądały, jakby postawiono je w weekend, nie komponowały się z pozbawionymi wdzięku pudełkami domków jednorodzinnych. Półciężarówki i samochody osobowe, które zjechały z linii produkcyjnych wiele lat temu, tłoczyły się na krawężnikach i trawnikach. Rozgniecione puszkę po piwie i puste pojemniki z fast-foodów walały się na asfalcie. Nasz niespieszny przejazd wywołał wściekły jazgot psów. „Złych psów”.

Dom Teague’a przysiadł na trzech akarach czegoś, co wyglądało jak zamieciony parking. Otoczony był dwupółmetrowym ogrodzeniem. Pewne podobieństwo z byłą żoną: oboje lubili się odgradzić.

Dom był ciemny, na zewnątrz nie paliła się żadna lampa. Milo użył swojej małej latarki, żeby oświetlić teren. Wąski promień światła długo spacerował po posesji Teague’a, świecił w drzwi i okna dość długo, by wywołać czyjeś podejrzenia, ale ani to, ani ciągły psi koncert nie nakłonił nikogo do wyjścia na zewnątrz.

Światło latarki nadal krążyło, padło na tabliczkę: UWAGA! ZŁY PIES!, ale nie pojawiło się żadne zwierzę, żeby potwierdzić ostrzeżenie. Łańcuch dość ciężki, żeby przycumować jacht, łączył bramę z ogrodzeniem. Kłódka wielkości pięści na powitanie. Sam dom był pudełkowaty, z frontem tak płaskim jak pysk Spike’a, ale bez osobowości mojego zwierzaka. Jasny tynk na górze, ciemne drewno poniżej. Półciężarówka z wielkimi oponami i chromowanymi rurami wydechowymi stała przed położonym kilka stóp od domu garażem z prefabrykatów. Była za wysoka, żeby zmieścić się do środka.

– Nie ma domofonu ani dzwonek – powiedział Milo, przyglądając się bramie.

– Inny próg podatkowy niż Jane.

– Facet może być drażliwy. – Zagrzechotał łańcuchem, zawołał Teague’a. Bez odpowiedzi.

Wyciągnął komórkę, wystukał numer, odczekał. Pięć sygnałów, potem po drugiej stronie ryknął głos. Nie mogłem zrozumieć słów, ale ton mówił wszystko.

– Panie Teague, proszę nie odkładać słuchawki. Mówi detektyw Sturgis z policji Los Angeles... Tak, naprawdę, chodzi o pańską córkę... Lauren... Tak, obawiam się, że tak... Proszę nie odkładać słuchawki... To nie jest dowcip... Proszę wyjść z domu, stoimy przed bramą... Tak, przed bramą... Dziękuję. – Schował telefon do kieszeni. – Obudziliśmy go i nie jest zadowolony.

Czekaliśmy. Dwie minuty, trzy, pięć. Nadal żadnych świateł w domu. W końcu drzwi się otworzyły i zobaczyliśmy zarys stojącego człowieka. Milo zawołał:

– Panie Teague?! Jesteśmy tutaj.

Żadnej odpowiedzi. Minęły dwie sekundy. Potem:

– Aaa, widzę was. – Chropawy głos. Niższy niż pamiętałem, ale w ogóle źle go pamiętałem. – Wylegitymujcie się!

Milo wyciągnął odznakę i zamachał nią. Skrawek księżyca niewiele tu pomógł i zastanawiałem się, co Teague może widzieć z takiej odległości.

– Pokaż jeszcze raz.

Milo uniósł brwi.

– Dobrze. – Znowu zamachał.

Teague zrobił kilka kroków do przodu. Bose stopy, mogłem je teraz zobaczyć. Zobaczyłem też nagą beczkę jego brzucha. Nie miał na sobie nic oprócz szortów. Jedną dłonią osłaniał oczy, drugą trzymał przy boku.

– Mam przy sobie strzelbę, więc jeśli nie jesteście tymi, za których się podajecie, ostrzegam was. Jeśli jesteście policjantami, nie wkurzajcie się, po prostu się bronię.

Zanim skończył swoją przemowę, Milo zrobił krok do przodu. Jedną rękę schował pod marynarką wyciągnął szyję.

– Proszę odłożyć broń, wrócić do domu i zadzwonić do Oddziału Policji Zachodniego Los Angeles pod numer, który podam. Może mnie pan sprawdzić:

Milo Sturgis, trzeci detektyw, Wydział Zabójstw. – Wyrecytował numer odznaki, a potem numer telefonu.

Teague ugiął rękę, ale strzelbę nadal skrywał mrok.

Milo powiedział:

- Panie Teague, proszę natychmiast odłożyć broń. Nie chcemy tu żadnych wypadków!
- Wydział Zabójstw – powtórzył niepewnie Teague.
- Tak, proszę pana.
- Mówicie... że chodzi o Lauren? Mówicie, że ona...
- Obawiam się, że tak, panie Teague.
- Kurde, co się, do cholery, stało?
- Musimy porozmawiać. Proszę odłożyć broń.

Strzelba nadal przylegała do boku Teague'a. Zbliżył się do nas na tyle, że oświetlił go księżyc. Ale światło zatrzymało się na jego ramionach i zamienił się w bezgłowego mężczyznę: biały tors, białe ramiona, białe nogi, podchodzące do nas niepewnie.

– Kurwa – szepnął Milo, cofając się. – Proszę natychmiast odłożyć broń.

– Lauren... – Teague zatrzymał się, splunął, uklęknął. Położył strzelbę na ziemi, wyprostował się, podniósł ręce do góry. Zaśmiał się i znowu splunął. Był na tyle blisko, że usłyszałem jak ślina uderza w ziemię.

– Lauren, Jezu Chryste, ale się pojebało.

Podszedł do bramy, opuszczona głowa, ręce w górze. Sięgnąwszy do kieszeni szortów, wyjął po dłuższej chwili kluczyk, próbował otworzyć bramę, dłubał przy dziurce, kłął, zaczął walić ręką w kłódkę.

– Pozwoli pan, że pomogę – zaofiarował się Milo.

Teague zignorował go, wymierzył kłódcę kolejne uderzenie, znowu bez skutku. Sapał ciężko. Czulem od niego zapach potu, sałatki warzywnej i na wpół przetrawionego piwa. Przywalił w ogrodzenie, zaklął siarczyście. Kiedy przyglądałem mu się z bliska, przypomniało mi się, jak wyglądał kiedyś. Ta sama twarz, ale rysy stały się wyrazistsze, a oczy mniejsze. W dół od prawego oka szła blizna. Nadal nosił brodę i długie włosy, ale teraz były szpakowate i związane w kucyk, który zwisał nad grubym barkiem.

Kiedy atakował ogrodzenie, jego bicepsy i klatka piersiowa napinały się. Wielkie, ale sflaczałe mięśnie, jak na wpół opróżnione bukłaki wina.

– Ja spróbuję – powiedział Milo.

Teague przestał uderzać, spojrzał na kłódkę, jeszcze raz spróbował włożyć klucz do dziurki. Jego palce nabiegły krwią, a posiwiałe włosy wysunęły się spod gumki. Strzelba, leżąca na ziemi jak kawał gałęzi, mogła sprawiać, że czuł się młodszy, silniejszy.

W końcu udało mu się otworzyć zamek, zerwał łańcuch i odrzucił go za siebie. Otworzył ze zgrzytem bramę, trzymając obronnie ręce przy piersiach, dając do zrozumienia, że nie chce być pocieszany.

– Do środka – powiedział, wskazując kciukiem dom. – Niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żeby zobaczyli mnie ci skurwiele. – Łypał na mnie z ukosa, przyglądał się, czekałem aż mnie rozpozna. On jednak odwrócił się do nas plecami i ruszył do drzwi wejściowych.

Poszliśmy zanim.

– Ci skurwiele to sąsiedzi? – odezwał się Milo.

Teague mruknął twierdząco.

– Ma pan kłopoty z sąsiadami? – spytał Milo.

– A jak pan myśli, dlaczego wyszedłem ze spluwą? Gdyby te dupki były ludźmi, można by ich nazwać sąsiadami. To pierdolone zwierzęta. Parę miesięcy temu otruli mi rottweilera. Rzucili mu mięso z ligolem, biednemu bydłakowi wysiadły nerki i zaczął srać na zielono. Od lata mieliśmy tu trzy napady. We wszystkich tych norach mieszkają lumpy. Pierdolone Meksykańce, jebani pueblosi, gangsterzy. Nie jestem uprzedzony, zatrudniałem ich kiedyś sporo, w większości harowali jak woły. Ale te szumowiny, tam? – Wskazał kudłatą brodą okolice. – Mieszkam w wojennej strefie. A kiedyś to była taka porządna dzielnica.

Milo podniósł z ziemi strzelbę, rozładował i schował amunicję do kieszeni.

Teague zaśmiał się.

– Nie bój nic. Nie mam zamiaru nikogo rozwalić. Jeszcze. – Znowu na mnie spojrzął, chwilę się zastanawiał, odwrócił się.

– Jeszcze – powiedział Milo. – To nie brzmi zbyt pocieszająco.

– Nie jestem po to, żeby was pocieszać. – Teague zatrzymał się, wziął się pod boki, splunął na ziemię, znowu zaczął iść. Szorty opadły mu niżej, ukazując siwe, kręcone włosy nad pasem. Przypomniałem sobie, jak się ubierał, żeby podkreślić swoje męskie ciało. – Macie się dowiedzieć, jaki skurwysyn zabił moją córkę, i wsadzić jego dupę za kratki.

– Jasne – powiedział Milo. – Ma pan jakieś sugestie?

Teague znowu się zatrzymał.

– Do czego pan zmierza?

– Ma pan jakiegoś konkretnego skurwysyna na myśli?

– Nie – powiedział Teague – Tak tylko mówię... Jak ją... co jej zrobili?

– Została zastrzelona.

– Skurwiele... Nie, nie potrafię nic pomóc. Lauren nigdy nic mi nie mówiła. – Wilczy uśmiech. – Widzicie, nie bardzo się lubiliśmy. Uważała mnie za gnoja, za kawał śmierdzącego gówna i korzystała z każdej okazji, żeby mi o tym powiedzieć.

Doszliśmy do domu. Drzwi wciąż były otwarte. Teague zapalił światło. Z sufitu pokoju, którego ściany wyłożono sosnową boazerią, zwisała naga żarówka. Czerwone linoleum na podłodze, wyblakły, okrągły dywan, kanapa z czarno-brązowym pledem, stolik do kawy, na którym stało sześć butelek budweisera, w tym pięć pustych. Zielony, obity tweedem fotel na biegunach, zwrócony w kierunku dużego telewizora. Na nim nielegalny dekodery do kablówki. Ciasno. Na tylnej ścianie dwa wejścia, jedno do kuchni, drugie na korytarz. Po jego prawej stronie znajdowały się dwie pary drzwi. Zapach musztardy, piwa, solonych orzeszków, ale posprzątane. Dywan był stary, ale czysty, linoleum wytarte. Inny próg podatkowy.

– Możecie usiąść, jeśli chcecie – powiedział Teague. – Ja postoję. Stał obok fotela, skrzyżował ręce na piersi. Blizna na jego policzku była koloru taniej margaryny i biegła od oka do szczęki. Prawe oko poruszało się znacznie wolniej od lewego.

Nie usiedliśmy. Teague przyglądał się nam, przechylając głowę, żeby lewe oko mogło zobaczyć całą moją twarz.

– Czy my się znamy?

– Alex Delaware. Lauren była moją pacjentką.

– Psycholog? – Wysunął do przodu szczękę. – Kurwa, a co pan tu robi?

– Doktor Delaware – powiedział Milo – jest konsultantem policji. W sprawie pana...

Jedne drzwi w korytarzu otworzyły się i kobiecy głos zawołał:

– Lyle, wszystko w porządku?

– Wracaj do pokoju – warknął Teague. Drzwi zamknęły się cicho. – Konsultantem? A co to, do cholery, znaczy? Wie pan coś o Lauren? Znowu zaczęła do pana przychodzić?

– Nie – odpowiedziałem. – Lauren zaginęła i pańska była żona zadzwoniła do mnie, bo słyszała, że mam kontakty w policji.

– Kontakty? – Teague podrapał się w brodę. Do Milo: – Co to za kit?

– Jest tak, jak powiedział pan doktor. A teraz chciałbym zadać kilka pytań...

– Zaginęła? Kiedy?

– Kilka dni temu.

– Skąd?

– Ze swojego mieszkania.

– A gdzie to jest?

– Na Hauser, w Los Angeles.

– Mieszkała w różnych miejscach – powiedział Teague. – Na ulicy. Kiedy uciekła. Odbiło jej tak, że ślepy by zauważył.

– Na ulicy? Gdzie?

– Nie mam zielonego pojęcia. Jane dzwoniła do mnie, żebym jej szukał, nigdy mi się nie udało. Hauser... tam ją zabił?

– Została znaleziona w zachodniej części Westside – powiedział Milo. – Na tyłach sklepu meblowego na Sepulveda. Ktoś ją zastrzelił i porzucił zwłoki na śmietniku.

Opowiedział wszystko ze szczegółami, obserwując reakcję Teague'a.

– Zachodnie Los Angeles. Kiedyś tam mieszkaliśmy, niedaleko Rancho Park – powiedział Teague i przygarbił się. – Jezu, ale gówno. Moje życie nie może być już bardziej popierdolone.

Drzwi znowu się otworzyły i w przedpokoju zapaliło się światło. Wyszła kobieta ubrana w długą niebieską podkoszulkę Dodgersów i nic więcej. Gdy nas zobaczyła, zakryła ręką brzuch i schowała się w pokoju, kilka sekund później pojawiła się znowu, tym razem w marmurkowych dżinsach.

– Lyle, coś się stało?

– Mówiłem, wracaj do pokoju.

Kobieta przypatrywała się nam.

– Co się dzieje? – Zamglone oczy, lekki południowy akcent. Znacznie młodsza od Teague'a, może trzydziestka, z długimi kasztanowymi włosami, złą cerą, szerokimi biodrami, iksowatymi nogami. Pełna twarz wykrzywiona zdziwieniem. Proporcjonalne, ale pozbawione większego wdzięku rysy twarzy. Jako dziecko musiała być słodka.

– Lyle?

Teague odwrócił się szybko twarzą do niej.

– To cholerna policja. Lauren została dzisiaj zamordowana.

Kobieta zakryła ręką usta.

– O mój Boże! O Booże!

– Wracaj do łóżka. – Boże, Boże...

Milo wyciągnął rękę.

– Detektyw Sturgis.

Kobieta zadrzała. Złapała dłoń Mila.

– Tish. Tish Teague.

– Patricia – poprawił ją mąż. – Ciszej. Obudzisz dzieci.

– Dzieci – powtórzyła głucho Tish Teague. – Nie potrzebujecie ich, prawda?

– Chryste – powiedział Teague. – Po cholere im dzieci? Wracaj do pokoju i śpij. To ciebie nie dotyczy. Nie znałaś Lauren, na nic się nie przydasz.

Zadrzały jej usta.

– Będę tutaj, jeśli będziesz mnie potrzebował, Lyle.

– Tak, tak, jasne. Idź.

– Miło mi było panów poznać – powiedziała Tish Teague.

– Do widzenia pani – powiedział Milo.

Uciekła, przygryzając wargi.

– Zostawiłem dla niej matkę Lauren – powiedział Teague, śmiejąc się. – Spotkałem ją na budowie. Była wtedy dziewiętnastoletnią dupencją, jeździła garbuskiem. Teraz mamy dwoje dzieci.

– Ile lat mają państwa dzieci? – zapytał Milo.

– Sześć i cztery.

– Dziewczynki, chłopcy?

– Dwie dziewczynki. Kiedy zadzwoniliście i powiedzieliście, że coś się stało mojej córce, myślałem, że chodzi o którąś z nich. Trochę mnie to skołowało. – Potrząsnął głową. – Lauren. Niewiele ją widywałem.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Dawno temu – powiedział Teague; – Wieki temu. Miała mi za złe.

– Co takiego?

– Wszystko. Rozwód, pecha... życie. Całe gównno tego świata zwałała na mnie. Tak mi mówiła. Zadzwoniła do mnie parę lat temu i powiedziała, że jestem samolubnym sukinsynem, który nie ma prawa żyć. – Chory uśmiech. – Bo nie chciałem zostać z tą zimną flądram Jane. – Podciągnął szorty. – Nasze małżeństwo było do dupy od pierwszego dnia. – Do mnie: – To był problem, to przez to Lauren tak się zachowywała. My. Jane i ja. To wszystko. Przyrowadzenie do pana Lauren nic by nie dało. Pomysł żony. Bo nie umiała się pogodzić z rzeczywistością. Że niby Lauren się wyprostuje, żyjąc w naszym cholernym towarzystwie. Jane nie była z panem szczerą, kiwała cię, koleś. Jedną, wielką, szczęśliwą rodziną. Dlatego to zakończyłem. Marnowaliśmy pana czas i moje pieniądze. Same pierdoły.

Znowu wziął się pod boki. Lewe oko patrzyło na mnie twardo. Milczałem, jego szyja zaczęła pulsować.

– Dlaczego on musi tu być? – zwrócił się do Mila.

– Chcę rozwiązać sprawę zabójstwa pana córki. Doktor Delaware pomógł nam już w wielu sprawach. Jeśli to panu nie odpowiada, może poczekać w samochodzie. Ale myślę, że zależy panu na postępach śledztwa.

Oczy Teague'a rozblęły.

– Moja córka. Za każdym razem, kiedy pan tak mówi, myślę o Brittany i Shayli. – Do mnie: – Nie zmienił się pan zbyt. Ma pan młodą twarz... gładką. Pamiętam pana ręce, człowieku, naprawdę gładkie. Miłe masz, człowieku, życie, nie? – Z powrotem do Mila: – Postępy w śledztwie, tak? Cóż, obawiam się, że nie mogę pomóc. Po rozwodzie nie widziałem Lauren przez... chyba cztery, pięć lat. Aż któregoś wieczoru wpada tu, mówi, że jestem gnój i wesołych świąt.

– Przyszła na Gwiazdkę?

– No, to było cztery lata temu. Shayla urodziła się parę miesięcy wcześniej, w październiku. Lauren musiała się jakoś dowiedzieć, chociaż nie wiem, jak. Bo wpadła, chciała zobaczyć dziecko. Nigdy nie widziała Brittany, która miała już dwa latka, mówiła, że ma prawo zobaczyć siostry. Prawo! Przytaskała nawet prezenty dla dziewczynek. A prezentem dla mnie były same obelgi.

Wieczór kawalerski Harnsbergera odbył się cztery lata temu w listopadzie. Następnego dnia Lauren przyszła do mojego gabinetu, mówiła, że ojciec ponownie się ożenił. Nie wspomniała o przyrodnich siostrach, ale wkrótce potem przyszła, żeby je poznać.

Obszedł fotel i usiadł. Fotel zaczął się lekko bujać, ale Teague go zatrzymał.

– Proszę siadać. Nie ma pcheł. Usadowiliśmy się na kanapie.

– Cztery lata temu – podjął Milo. – Czy później też pana odwiedzała?

– Tylko raz, rok temu – powiedział Teague. – Znowu w święta, ten sam scenariusz. Po prostu

wparowała z prezentami. Właśnie ubieraliśmy choinkę. Prezenty dla dzieciaków, dla mnie i Patricii nic. Dała nam to jasno do zrozumienia. Patricia nigdy jej nic nie zrobiła, więc nie wiem, co miała przeciwko niej, ale w ogóle jej nie zauważała. Traktowała ją jak powietrze. Przytargała stos rupieci, zabawki, cukierki i tak dalej. Zignorowała mnie i Patricię i podeszła prosto do dziewczynek. Mogłem ją wykopać, ale co mi tam, były pieprzone święta. Dziewczynki nie wiedziały, kto to, ale prezenty im się bardzo spodobały. Patricia zaproponowała jej kawałek placka, ale ona mówi „nie, dziękuję”, ja poszedłem po piwo, a kiedy wróciłem, już jej nie było.

– Jeszcze jakieś wizyty?

– Nie... zaraz, tak. Jeszcze raz, kilka miesięcy później, po Wielkanocy. To samo. Zabawki dla dzieciaków. Te wielkie czekoladowe króliki, jakieś sukienki z drogich sklepów z Beverly Hills. Francuskie gówno.

– Od tej pory żadnych spotkań.

– Nie. – Teague nachmurzył się. – Za każdym razem dzieci zaczynały wariować. Mijało kilka dni, nim zdołaliśmy je uspokoić. – Spojrzał na mnie w poszukiwaniu poparcia.

– Za dużo bodźców – powiedziałem.

Mrugnął zdrowym okiem;

– O, właśnie.

– Czy podczas tych trzech wizyt mówiła coś panu... czy mówiła, jak jej idzie? – zapytał Milo.

– Nie, tylko rzucała mi spojrzenie pod tytułem „pierdol się”, gdzie są dzieci, fru do nich, prezenty i do widzenia.

– Nie mówiła nic o swoim życiu? Żadnych szczegółów?

– Trochę się przechwalała – powiedział Teague. – Na jaki temat?

– O college’u. Pieniądzach. Miała drogie ciuchy, zwłaszcza ostatnio, na Wielkanoc. Elegancki kostium, buty. Miałem własne teorie, jak zdobywała pieniądze, ale trzymałem gębę na kłódkę. Po co zaczynać?

– Jakie teorie, proszę pana?

– No, wiecie.

Milo wzruszył z niewinną miną ramionami. Teague popatrzył na niego z powątpiewaniem.

– No, wiecie... nocne życie.

– Coś nielegalnego?

– Prostytycja – powiedział Teague. – Przymknęli ją za to kilka lat temu. Nie wiecie o tym?

– Dopiero zaczęliśmy śledztwo.

– No cóż, zacznijcie od przejrzenia własnych papierów. Lauren została zatrzymana za prostytucję, kiedy miała dziewiętnaście lat. W Reno, w Nevadzie. Nie miała kasy, zadzwoniła, żebym wpłacił za nią kaucję. Całe lata się nie odzywa, a tu proszę, dzwoni do mnie. Potem przez parę lat cisza i nagle zjawia się jak wielka dama, a ja jestem kawał gówna.

– Nie wspomniał o aresztowaniu Lauren, kiedy była jedną z dziewczynek Gretchen Stengel. Gazety rozpisywały się o burdelmamiie zachodniej dzielnicy, ale nie ujawniono danych żadnej z jej pracownic. Ani klientów.

Milo gryzmolił coś w notesie.

– Więc skontaktowała się z panem przed tymi świętami?

– Nie liczyłem telefonów.

– Były jeszcze jakieś inne telefony?

– Nie.

– Czy wysłał jej pan pieniądze?

– A skąd. Powiedziałem jej, że nie ma mowy, jak sobie posłałaś, tak się wyśpisz. Powyzywała mnie i rzuciła słuchawkę. – Teague odchrząknął. – Chciała mnie zbajerować, powiedziała, że to wszystko pomyłka, pracowała w jednym z kasyn, towarzyszyła dzianym facetom, nic nielegalnego, a gliniarze „przesadzili z reakcją”. Powiedziała, że złapali ją bez kasy i musi teraz tylko wrócić do domu po karty kredytowe i załatwiłaby wszystko, gdybym przysłał pieniądze. Karty kredytowe! Chciała mi dać do zrozumienia, że świetnie sobie radzi, a ja siedzę na dupie w domu i wracam do zdrowia.

– Był pan chory? – zapytał Milo.

Teague wskazał na bliznę.

– Kiedyś prowadziłem własną firmę od elektryki. Pracowałem w Calabasas. Ktoś coś pojebał, a ja trafiłem w śpiączce do szpitala. Przez pół roku widziałem podwójnie. Nadal mam bóle głowy. – Łypnął na puszki po piwie. – Wytoczyłem proces, który trwał latami, a większość kasy zgarnął adwokat. A tu Tish mówi, że jest w ciąży. – Odwrócił głowę w kierunku kuchni. – Byłem na lekach przeciwbólowych, na wpół przytomny, a Lauren dzwoni i zaczyna mi narzekać, że policja przesadziła z reakcją.

W jego głosie była złość. Nawet po śmierci Lauren grała mu na nerwach.

– Jak zapłaciła kaucję? – zapytał Milo.

– A skąd mam wiedzieć? – Teague potrząsnął głową, pogładził brodę. – Mogłem ją wyrzucić, jak tu pierwszy raz przyszła, ale chciałem być w porządku. Mogła się nie uważać za moją córkę. Ale byłem zbyt dojrzały, żeby dać się wciągnąć w tę jej grę.

– Powiedziała panu, że nie uważa się za pana córkę?

Teague roześmiał się.

– Lauren i ja... my nigdy... zawsze były z nią kłopoty. Od samego początku strugała ze mnie głupka. Cokolwiek mówiłem bądź robiłem, było bez wycucia. I głupie. – Położył dłoń na sercu. – Lauren była... czasem zdarzają się ludzie, z którymi po prostu nie możemy się dogadać, czego byśmy nie robili. Miałem nadzieję, że może pewnego dnia dorośnie, zrozumie, może zacznie być... uprzejma. Potrząsnął głową. Łzy napłynęły mu do oczu. – Przynajmniej mam jeszcze dwie córki. Kochają mnie, te dwie. Nie obrażają mnie. Naprawdę nie wiecie, kto to mógł zrobić?

– Jeszcze nie – powiedział Milo.

– Myślałem, że to nie będzie zbyt trudne. Szukajcie wśród mętów. Lauren zadawała się z typami spod ciemnej gwiazdy. Drogie ciuchy i tak dalej. Kiedy ostatnio tu przyszła, przechwalała się college'em, ale miałem wątpliwości.

– Jakie?

– Czy jest studentką. Wykombinowałem, że to jej kolejny bajer. – Do mnie: – Kłamała, odkąd tylko wyrosła z pieluch. Czy widział pan to, czy nie, taka była prawda. Kiedy miała cztery, pięć lat, pokazywała czerwony, wmawiała ci, że to niebieski, i prawie jej się udawało. Nie wyglądała mi na studentkę. Nigdy nie widziałem tak ubranej studentki, z całą tą biżuterią.

– Drogą?

– Na moje oko, tak. Ale co ja tam wiem, nie robię zakupów na Rodeo. Jej matka też lubiła się stroić, robiła mi niezłe dziury w budżecie. Wtedy dobrze mi szły interesy, ale kto chce wydawać pieniądze na to gówno? – Pochylił się do przodu. Uśmiechnął. – Wyszła za starego pryka. Moja była. Jest z nim dla kasy, czeka, aż bałwan wykituje. Czy mówiliście już jej o Lauren?

– Właśnie od niej przyjechaliśmy, proszę pana. Przestał się uśmiechać. Podejrzliwie przymrużył oczy.

– Pewnie wam powiedziała, że jestem skończonym dupkiem?

– Nie rozmawialiśmy o tym – powiedział Milo. – Tylko o Lauren. A nawiasem mówiąc, rzeczywiście chodziła na uniwersytet.

– Tak? No proszę, jak daleko zaszła. – Rozsiadł się w fotelu. Wystrzelił podnózek i Teague rozprostował nogi. Podeszwy jego stóp były czarne, a skóra zrogowaciała. – Wiem, że uważacie mnie za dupka, bo nie udaję, że wszystko między mną a Lauren było cacy. Ale przynajmniej jestem szczerzy. Dobra, więc Lauren studiowała. Ale to nie znaczy, że nie zadawała się z przestępcami. Nie

usłyszycie tego od mojej byłej, ona żyje w świecie snów. Lauren była dla niej aniołkiem. Jak to zniosła?

– Ciężko – powiedział Milo. – Utrzymuje pan z nią jakieś kontakty?

– Tak jak z Lauren. Co jakiś czas dzwoni, żeby mi powiedzieć, co o mnie myśli.

– Kiedy ostatnim razem?

Teague pomyślał.

– Rok temu. – Uśmiech powrócił na jego twarz. – Ale ona nigdy nie odwiedza dzieciaków. Wkurwia ją, że mam dzieci. Chcieliśmy z nią mieć całą gromadkę dzieciaków, ale przez te wszystkie lata tylko Lauren udało nam się zmagajstrować. Widać, że to była jej wina. Tak czy inaczej, przyjrzyjcie się, jak Lauren żyła. Tak wam radzę. Miała kasy jak lodu, ale nie za friko.

– Niewiele jest rzeczy za friko – powiedział Milo.

– Myli się pan – powiedział Teague. – Nic nie jest za darmo.

Książę wśród ludzi – zauważył Milo.

Jechaliśmy Ventura Boulevard. Zaciemnione wystawy sklepów, wyludnione chodniki. Zerwał się wiatr, tu i tam tańczyły kawałki śmieci. Ciepły wiatr. Nieoczekiwany w czasie zimy. – Nienawidził jej, mam rację, Alex?

– Uważasz go za podejrzanego? – spytałem.

– Trudno go od razu wyeliminować. Czy tylko ja wyczułem paranoję? – Nieszczęśliwy facet – powiedziałem. – Jest w nim dużo złości. Ale nie hamował się. Czy to nie znaczy, że nie ma nic do ukrycia?

– A może próbuje nas przechytrzyć, może to podwójny bluff? Ale rodzinka. Im więcej o niej wiem, tym bardziej żal mi Lauren.

Wiedziałem, co się działo z Milem: zaczęło się od zwłok Lauren i jak każda inna sprawa, od perspektywy stosu formularzy, które musiał za każdym razem wypełniać. Kiedy dowiadywał się o niej coraz więcej, postać Lauren nabierała życia, a on zaczynał jej współczuć. Zwykle tak właśnie reagował.

– Nie zapytałeś go, gdzie był, kiedy Lauren została zamordowana – powiedziałem.

– Bo nie wiem, kiedy to było. Muszę poczekać na raport koronera. Poza tym nie było powodu, żeby straszyć go na samym początku. Jeśli nic innego nie wypali, znowu się do niego zgłoszę. Może tym razem złożę mu poranną wizytę, zobaczę, jaki jest na trzeźwo.

– I nie ma przy sobie strzelby.

– No, to było niezłe, co? Taki pętaś ma dwururkę. Właśnie o to musiało chodzić Ojcom Założycielom... * [Ojcowie Założyciele (*Fowiding Fathers*) – zbiorowe określenie architektów niepodległości Ameryki.] Żonka numer dwa wydaje się owieczką. Myślisz, że ją bije?

– Dominuje nad nią.

– Ciekawe, czy w domu Lyle'a i Jane dochodziło do rękoczynów. Jane ciągle powtarzała, że był zły. Może to też wpłynęło na Lauren. Nie wyszło nic takiego, kiedy ją leczyłeś?

– Narzekała na rodziców, ale nigdy nie wspomniała o przemocy. Ale leczenie nie trwało długo.

– Dwie wizyty. – Potarł twarz ręką. – Dwadzieścia pięć lat i co z tego miała oprócz modnej garderoby? Ludzkie brudy. Niezłą mamy pracę.

– Hej – powiedziałem. – To i tak lepsze od bycia rozluźnionym i bogatym.

Zaśmiał się.

– Więcej ci tego nie powiem, ale masz cięższą robotę ode mnie.

– Dlaczego?

– Ja tylko dowiaduję się, jacy ludzie są. A ty próbujesz ich zmienić.

Kiedy skręciłem w Laurel Canyon, zadzwonił policjant z mieszkania Lauren. Andrew Salander jeszcze nie wrócił do domu.

– Pracuje na nocną zmianę – powiedziałem. – Chcesz zajrzeć do Cloisters?

– Jasne – potwierdziłem. – To jedna z moich ulubionych knajp.

Znowu się zaśmiał.

– No jasne. Byłeś kiedyś w barze dla gejów?

– Sam mnie do jednego zabrałeś – odpowiedziałem.

– Nie pamiętam. Kiedy?

– Lata temu – odparłem. – Taki mały lokal w Studio City. Muzyka disco, ostre picie, mnóstwo facetów, którzy wcale nie wyglądali tak jak ty. Za Universal City, na tyłach sklepu motoryzacyjnego.

– A, tak – powiedział. – Fender. Już dawno zamknęli tę budę. Naprawdę cię tam zabrałem?

– Zaraz po naszej pierwszej wspólnej sprawie, po morderstwie Handlera. Myślę, że zaczynała się rozwijać nasza przyjaźń, ale ty nadal byłeś spięty.

– Dlaczego?

– Bo jesteś gejem. Już mi to wyznałeś. Nie odrzuciło mnie to za bardzo, ale pewnie stwierdziłeś, że trzeba mnie jeszcze sprawdzić.

– Czekaj – powiedział – dlaczego miałem cię sprawdzać? – Test na tolerancję. Czy naprawdę sobie z tym poradzę.

– Dlaczego w ogóle tego nie pamiętam?

– Bo się starzejesz – powiedziałem. – Mogę ci dokładnie opisać tamten bar: aluminiowy sufit, czarne ściany, Donna Summer z magnetofonu i faceci tańczący w parach.

– No, no – mruknął.

Potem cisza. Kilka mil później powiedział:

– Nie odrzuciło cię to za bardzo. Co to znaczy „za bardzo”?

– To znaczy, że byłem niemile zaskoczony. Wychowałem się w szkole, w której biło się mięczaków i wyzywało od pedałów. Nigdy w tym nie uczestniczyłem, ale też nigdy nie próbowałem tego powstrzymać. Kiedy zacząłem pracować, zajmowałem się głównie dziećmi, homoseksualizm nie pojawiał się na wokandzie. Byłeś pierwszym gejem, którego znałem osobiście. Ty i Rick wciąż jesteście jedynymi homoseksualistami, których dobrze znam. Chociaż czasem nie jestem pewien, czy rzeczywiście cię znam.

Uśmiechnął się.

– Aluminiowe sufity... faceci, którzy nie wyglądali jak ja? To jak wyglądali?

– Bardziej jak Andrew Salander.

– No widzisz – powiedział. – Jestem wielkim indywidualistą.

Cloisters był na Hacienda, trochę na północ od Santa Monica, z nierzucającym się w oczy wejściem na bocznej ścianie szarego, dwupiętrowego budynku. Była prawie pierwsza po północy, ale inaczej niż w Valley ulice były wciąż oświetlone, kafejki otwarte, chodniki zaludnione pieszymi – głównie mężczyznami, ale nie tylko. Zachodnie Hollywood było pierwszą dzielnicą Los Angeles, w której zaczęło się toczyć nocne życie. Teraz ludzie wychodzą na nocne spacerunki także w Beverly Hills, Melrose, Westwood. Kto wie, może któregoś dnia Los Angeles stanie się prawdziwym miastem?

Znalazłem miejsce do parkowania pół ulicy dalej i podeszliśmy do drzwi wejściowych. Nie było żadnego ochroniarza, więc od razu weszliśmy do środka. Zdobyłem się na luksus zgadnięcia, jak wygląda wnętrze: oczekiwałem kamiennych ścian, przyciemnionych szyb i gotyckiego mroku. Okazało się, że w środku są normalne białe ściany, oświetlone nastrojowo lampami we wnękach, duży bar z czarnego granitu i mahoni z mosiężną szyną, obok stołki obite beżowym zamszem, po drugiej stronie kilka odgradzonych stolików. Z niewidocznych głośników sączyła się lekka muzyka klasyczna, a rozmowy były ciche i spokojne. Przy stolikach siedziało około piętnastu mężczyzn. Dobrze ubrani trzydziestolatkowie i czterdziestolatkowie. W barze krewetki i klopsiki, misternie ułożone wykałaczki. Gdyby nie fakt, że byli tu sami mężczyźni, lokal mógł uchodzić za zwykłą restaurację w dobrej podmiejskiej okolicy.

Łatwo było zauważyć Andrew Salandera; krzątał się samotnie za barem, wycierając granit, napełniając szklanki. Ubrany był w jasnobłękitną koszulę i fartuch w biało-niebieskie prążki. Stanęliśmy przy barze i po chwili nas zauważył – najpierw mnie, potem Mila. Znowu popatrzył na mnie i znowu na Mila. Jeden z siedzących przy barze mężczyźni zauważył zwierzęcy strach w oczach Andy'ego i odwrócił się do nas z wrogą miną. Milo oparł się o bar i skinął w jego kierunku głową, mężczyzna powrócił do swojej szkockiej.

– Pan Sturgis? – spytał Salander.

– Cześć, Andy. Ma cię kto zastąpić?

– Hm... Tom ma przerwę. Proszę poczekać, pójdę po niego. – Po chwili pojawił się z wysokim młodym mężczyzną w podobnej koszuli i fartuchu, z papierosem w dłoni. Tom zgasił papierosa i uśmiechnął się, a Salander wyszedł do nas zza baru.

– Proszę powiedzieć, że nie jest pan ze służbową wizytą – rzekł do Milo.

Milo poprowadził go w kierunku drzwi. Poczekał z powiedzeniem:

„Przykro mi”, aż wyszliśmy na zewnątrz.

Salander płakał.

– To niemożliwe, nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego ktoś chciałby ją skrzywdzić?

– Miałem nadzieję, że pomożesz nam to ustalić, Andy.

– Nie mogę. Doktor Delaware już to wie. Wszystko mu już powiedziałem. Prawda, panie doktorze?

– Czy pamiętasz może coś jeszcze?

– Co? Uważa pan, że coś ukrywałem?

– Kiedy rozmawialiśmy, myśleliśmy, że Lauren wróci. Widziałem, że nie chciałeś naruszać jej prywatności. Ale teraz...

– To prawda, starałem się być dyskretny. Ale i tak nie mogę wam powiedzieć więcej.

– Lauren nie dała ci do zrozumienia, dokąd się wybiera? – zapytał Milo.

– Nie. To nie było zresztą niezwykle, jej wyjazd. Mówiłem już doktorowi, że wyjeżdżała od czasu do czasu.

– Na dzień lub dwa.

– Tak.

– Ale teraz nie było jej cały tydzień.

– Wiem, ale... Naprawdę chciałbym pomóc – powiedział Salander.

– Tamte wycieczki były krótkie – rzekł Milo. – Czy miałeś kiedyś powody przypuszczać, że wyjeżdżała nie tylko po to, żeby odpocząć?

– Co ma pan na myśli?

– Czy Lauren kiedykolwiek wymieniła jakiś inny cel podróży?

– Nie. Dlaczego?

– Dobrze, Andy, cofnijmy się do ostatniego razu, kiedy ją widziałeś.

– To było w zeszłą niedzielę – powiedział Salander. – Źle spałem, wstałem koło południa i Lo była w kuchni.

– Jak była ubrana?

– Spodnie, jedwabna bluzka. Dyskretna elegancja, jak zwykle. Rzadko nosiła džinsy.

– Rozmawialiście?

– Niewiele, taka zwyczajna rozmowa. Zjedliśmy coś lekkiego, zanim wyszła. Jajka i tosty. Mogę jeść śniadanie o każdej porze dnia. Niedługo potem wyszła. Mniej więcej o pierwszej trzydzieści, może trochę wcześniej.

– Ale nie powiedziała dokąd?

– Założyłem, że na uniwersytet.

– Do pracy przy badaniach?

– Tak sądziłem.

– W niedzielę?

– W inne niedziele też pracowała, detektyw Sturgis.

– Ale tym razem nie pojechała samochodem.

– Skąd mogłem to wiedzieć, skoro nie odprowadziłem jej na dół?

– A nie odprowadziłeś?

– Nie, oczywiście, że nie...

– Kiedy zorientowałeś się, że zostawiła samochód?

– Kiedy poszedłem do swojego samochodu.

– Czyli kiedy?

– Tego samego dnia wieczorem, kiedy jechałem do pracy. Około wpół do ósmej.

– I co sobie pomyślałeś, jak zobaczyłeś samochód Lauren na parkingu?

– Nic. Nie zainteresowało mnie to.

– Czy to było typowe dla Lauren, że nie wzięła samochodu?

– Nie całkiem. Po prostu nie zastanawiałem się wtedy nad tym. Nie potrafię nawet powiedzieć, czy to sobie naprawdę uświadomiłem. Kiedy wróciłem do domu, nie było jej, ale to też nic niezwykłego. Często wracała dopiero rano. Zresztą mamy inny rytm życia; czasami mijały całe dnie, nim na siebie wpadliśmy. Zacząłem się trochę martwić w środę, ale wie pan... Była dorosła. Pomyślałem, że miała powód, żeby nie robić tego, co zwykle. Czy miałem rację?

– Że miała powód?

– Że nie zareagowałem wcześniej. Co mogłem zrobić?

Milo nie odpowiedział.

– Po prostu... niedobrze mi. To niewiarygodne – jęknął Salander.

– Wróćmy do tamtej niedzieli, Andy. Co robiłeś, kiedy Lauren wyszła?

– Hm, próbowałem zasnąć, nie udało się, wstałem i poszedłem na zakupy do Beverly Center. Pomyślałem, że kupię jakieś koszule, ale nic nie znalazłem, więc poszedłem do kina na film *Happy Texas*. Bardzo śmieszny. Widzieliście go?

Milo pokręcił głową.

– Powinniście – powiedział Salander. – Bardzo zabawny.

– Co robiłeś po zakupach?

– Wróciłem do domu, zjadłem obiad, przebrałem się do pracy, przyjechałem tutaj. Następnego dnia spałem do trzeciej. Dlaczego mnie o to pytacie? Chyba nie myślicie...

– Standardowe pytania – powiedział Milo.

– Zupełnie jak w telewizji – zauważył Salander. – Jak detektyw Columbo. – Spróbował się uśmiechnąć.

– Dobrze, Andy – rzekł Milo. – W twoim mieszkaniu są policjanci. Będzie trochę zamieszania. Zgodnie z prawem, nie potrzebuję twojej zgody do przeszukania, ale wolałbym wiedzieć, że chcesz z nami współpracować.

– Jasne. Oczywiście. Ma pan na myśli także mój pokój?

– Jeśli tak się stanie, masz coś przeciwko temu?

Salander kopnął jednym butem o drugi.

– To znaczy, nie chciałbym żadnej demolki.

– Sam będę przeszukiwał, Andy. Dopilnuję, żeby wszystko wróciło na swoje miejsce.

– Jasne. Ale czy mogę zapytać dlaczego, panie Sturgis? Co mój pokój ma tu do rzeczy?

– Muszę być skrupulatny.

Salander wzruszył wąskimi chudymi ramionami.

– Chyba tak. Czemu nie, nie mam nic do ukrycia. Nic nie będzie już tak jak kiedyś, prawda? Czy mogę wrócić do pracy?

– Kiedy kończysz zmianę?

– O czwartej. Potem sprzątam.

– Policjanci mogą jeszcze być, kiedy wrócisz. Czy wracasz prosto do domu?

– A co innego mogę zrobić? Przynajmniej na razie.

– Na razie?

– Nie wiem, czy będzie mnie stać na opłacanie całego czynszu... O Boże, to takie okropne. Czy cierpiała?

– Nie mam jeszcze wyników szczegółowych oględzin.

– Kto to mógł zrobić? – zapytał Salander. – Jaki szaleniec... O, panie Sturgis, czuję, że wszystko mi się sypie.

– Tak, będzie ci ciężko – powiedział Milo.

Spojrzał na ruch na Santa Monica. Potem na mnie.

– Andrew – powiedziałem – chodzi mi o ten obiad Lauren z jej matką, kiedy powiedziała, że nie chciała być kontrolowana. Czy wiesz może, co miała na myśli?

– Nie. I nawet kiedy była wściekła na panią A., mówiła, że wie, że matka ją kocha.

– A co z ojcem? Rozmawialiście na jego temat?

– Nie, nigdy o nim nie mówiła. Nie chciała. Tylko najeżyła się, kiedy spróbowałem ją na ten temat zagadnąć. To jasne, że nie był jej do niczego potrzebny.

– Ale nigdy nie powiedziała dlaczego?

Pokręcił głową.

– Ale pewnie miała mnóstwo powodów, prawda? Tak wielu facetów nie umie być ojcami.

– Więc – ciągnąłem – nie wiesz, o co chodziło z tym kontrolowaniem?

– Po prostu pomyślałem, że to jakieś zwykłe spięcie rodzinne, wie pan. Nie wspominała nigdy o żadnych wielkich awanturach, jak u Jerry’ego Springera. – Salander oparł tył głowy o ścianę.

– To straszne. Okropne.

– Co takiego, Andy?

– Mówienie o Lauren w czasie przeszłym, myślenie o tym, czy cierpiała. Mogę wracać do pracy?

– Życie musi toczyć się dalej? – zapytał Milo.

Salander znieruchomiał.

– To było niesprawiedliwe, panie Sturgis. Zależało mi na Lauren, naprawdę. Troszczyliśmy się o siebie, spędzaliśmy razem czas, ale nie, nie zwierzała mi się. Czy mogłem coś na to poradzić? To, co powiedziałem doktorowi o tym lunchu, to wszystko, co pamiętam. Wróciła do domu, wyglądała na wstrząśniętą, nie chciała o tym rozmawiać, a ja próbowałem, żeby się otworzyła. Ale nie bardzo mi się udało.

– Co ci wtedy powiedziała? Tak dokładnie, jak tylko pamiętasz – spytałem.

– Coś o tym, że zaszła tak daleko sama i nie da się teraz nikomu kontrolować. To wszystko. Może nawet nie mówiła, że właśnie pani A. chce ją kontrolować, a ja tylko to sobie dośpiewałem, bo właśnie wróciła z obiadu z nią. – Zrobił krok w stronę wejścia do Cloisters.

– Wróćmy jeszcze do tych badań – powiedział Milo. – Co jeszcze wiesz na ten temat?

– To były jakieś badania psychologiczne. A może to też sobie dośpiewałem? Jestem tak wstrząśnięty, że nie wiem nawet, co wiem.

– Kiedy zaczęła tę pracę?

Salander zastanowił się.

– Wkrótce po rozpoczęciu tego semestru, czyli jakieś dwa, trzy miesiące temu. A może nawet zanim zaczął się semestr. Nie dam głowy.

– Czy chodziła do pracy codziennie? – indagował Milo.

– Nie, od czasu do czasu. Czasami pracowała przez cały tydzień, a potem miała dłuższą przerwę. Ale nie zwracałem zbytnio uwagi na jej plan dnia. Zwykle kiedy ona była na nogach, ja spałem.

– Co jeszcze mówiła na temat tej pracy?

– Tylko to, że jej się podoba.

– Nic więcej?

– Nic.

– Czy wspomniała, dla kogo pracuje? Co to były za badania?

– Nie, tylko, że jej się podobają. Jestem pewien, że możecie to sprawdzić na uniwerku.

– Szkopuł w tym, Andy – powiedział Milo – że chyba wcale tam nie pracowała.

Salander otworzył usta ze zdziwienia.

– Jak to? To musi być jakaś pomyłka. Na pewno mówiła mi, że pracuje w kampusie. To pamiętam.

– Cóż... – rzekł Milo.

– Dlaczego miałyby zmyślać coś takiego?

– Dobrze pytanie, Andy.

– Kurczę... Myśli pan, że ta praca ma coś wspólnego z...

– Nic takiego nie powiedziałem, Andy. Ale kiedy ludzie nie mówią prawdy...

– Och, Lauren – jęknął Salander. Przycisnął plecy do ściany budynku, zakrył dłońmi oczy. – O mój Boże.

– O co chodzi?

– Teraz jestem zupełnie sam.

Kiedy jechaliśmy na Hauser i Szóstą, Milo sprawdził Salandera. Jeden mandat w zeszłym roku, żadnych listów gończych, nie ma kryminalnej kartoteki. Milo zamknął oczy, a ja zdałem sobie sprawę, jaki jestem odrętwiwały; zmęczony, prawie nieżywy. Resztę drogi przejechaliśmy w ciszy. Ulice były ciemne i puste.

Przed blokiem Lauren stały dwa policyjne radiowozy i samochód techniczny. Wejścia pilnował jeden mundurowy. Na górze był następny. Ktoś otworzył drzwi mieszkania numer 4. Na podłodze w salonie klęczała młoda, czarnoskóra kobieta z pędzelkiem.

– Loretta – powiedział Milo.

– Cześć, Milo.

– Znalazłaś coś?

– Dużo odcisków, jak zwykle. Na razie nie ma krwi, a nasienie tylko na łóżku współlokatora. Wygląda, że nic tu nie zaszło.

– Współlokatora – powtórzył Milo.

– Zrobiliśmy obydwie sypialnie – oznajmił techniczny.

– Doskonale – skwitował Milo.

– Nic nie jest doskonałe – rzuciła Loretta. – Nawet ja.

Najpierw weszliśmy do pokoju Salandera. Granatowe aksamitne ściany i tanio wyglądające, ciężkie zasłony sprawiały, że ubogie pomieszczenie skrywał mrok. Większą część podłogi, którą niemal całkowicie pokrywał podrabiany perski dywan, zajmowało czarne duże, żelazne łóżko z baldachimem z czegoś, co wyglądało jak gaza. Podobne poślacane belkowanie sufitu co w salonie. Mały telewizor i wideo na jasnobłękitnym biurku, ozdobionym wycinankami różowych różyczek. Kopie rosyjskich ikon i kunsztowne krzyże wisiały na ścianie razem ze zdjęciem w białej ramce, przedstawiającym Salandera i zblazowaną parę pięćdziesięciolatków. W dolnej części ramki ktoś napisał czarnym flamastrem: „Mama i Tata, Bloomington, Indiana – Wieś Olde”.

W górnej szufladzie biurka Milo znalazł porządnie poskładane ubrania, chusteczki, krople do oczu, pudełko szkieł kontaktowych, sześć opakowań prezerwatyw i książeczkę oszczędnościową Washington Mutual Savings.

– Czteryście dolców – powiedział, przerzucając strony. – Najwyższy stan konta małego Andy’ego w tym roku wynosił tysiąc pięćset. – Jeszcze kilkakrotnie przejrzał książeczkę. – Co dwa tygodnie wpłaca dziewięćset. Piętnastego wyjmuje sześć stów – czynsz – wydaje około ośmiuset. Oszczędza co miesiąc około czterech stów, ale potem i tak to wydaje.

– Ale budżet – powiedziałem. – Będzie miał kłopoty z samodzielnym opłacaniem czynszu.

Zmarszczył brwi i odłożył książeczkę na miejsce.

– Będzie miał dobry powód, żeby zniknąć nam z oczu.

– Podejrzewasz go? Zapytałeś go, co robił w dniu zaginięcia Lauren.

– Nie mam po temu żadnych powodów – powiedział. – Ale i nie mogę go skreślić. Jest ostatnią osobą, która widziała Lauren żywą, a to jest zawsze interesujące.

Otworzył drzwi szafy, obejrzał parę dzinsów, niebieskich i khaki, dwie pary czarnych garniturowych spodni, kilka błękitnych koszul jak ta, w której go dzisiaj widzieliśmy, czarną skórzaną kurtkę. Para czarnych sznurowanych pantofli, brązowe mokasyny, adidas, koło łóżka para półbutów. Górna półka pusta. Dużo wolnego miejsca.

– Okej – powiedział Milo. – Czas na danie główne.

Sypialnia Lauren była o połowę większa niż pokój Salandera. Niczym nieprzykryta dębowa podłoga, ściany pomalowane najjaśniejszym odcieniem żółci, niskie, wąskie, pojedyncze łóżko bez zagłówka potęgowało wrażenie przestronności. Biały kredens z trzema szufladami, a obok, powieszony trochę krzywo, półki z drewna tekowego. Każdą półkę wypełniały książki w twardej oprawie.

Przy łóżku stało tekowe biurko do kompletu. Milo zaczął właśnie od szuflady biurka. Wkrótce znalazł to, czego szukał.

– Konto brokerskie u Smitha Barneya. Poza miastem, w Seattle.

– Chciała zachować anonimowość? – spytałem, myśląc: Lauren uwielbiała tajemnice. Wszystko sobie podzieliła i posegregowała.

Przewracał strony, przeglądał kolumny cyfr.

– Częścią pieniędzy obracała na giełdzie, resztę umieszczała na wysoko oprocentowanym koncie... No, no, no, spójrz tylko: grała w zupełnie innej lidze niż mały Andy. W ciągu czterech lat zebrała trzysta czterdzieści tysięcy dolarów i ma jeszcze trochę drobnych... Pierwsza wpłata wysokości stu tysięcy cztery lata temu, w grudniu... Potem przez następne trzy lata po pięćdziesiąt tysięcy. Ostatnia wpłata trzy tygodnie temu. No ładnie, ciekawe, skąd brała tę forszę.

„Dostaję duże napiwki”. Otworzył następną szufladę.

– Zobaczmy, czy trzyma swoje zeznania podatkowe. Ciekawe, jak zaklasyfikowała swoją pracę.

Znalazł plik rachunków złotej karty kredytowej, a ja patrzyłem mu przez ramię.

Rachunki za ostatnie pół roku. Lauren niewiele wydawała: supermarkety, stacje benzynowe, księgarnia uniwersytecka. I rachunki od Neiman-Marcusa oraz z kilku innych markowych butików – dziewięćdziesiąt procent wszystkich wydatków.

Ubierała się do pracy.

Żadnych rachunków z hoteli czy moteli. To miało sens, płaciła gotówką, żeby wykołować policję skarbową. A może płacił za nią kto inny?

W dolnej szufladzie kredensu też schowane były papiery.

– O, są – powiedział. – Między kaszmirowymi sweterkami. Zeznania podatkowe z ostatnich czterech lat... Wygląda na to, że sama je wypełniała. Przedtem nic. Wszystko zaczęło się, kiedy miała dwadzieścia jeden lat. Przejrzał formularze. – Opisała się jako pracująca na zlecenia fotomodelka-studentka, korzystała z ulg na samochód, książki i ubrania... To wszystko... Żadnych kredytów studenckich... Nie ma nic o żadnych badaniach... Przez ostatnie cztery lata deklarowała dochód w wysokości pięćdziesięciu tysięcy, po odpisaniu ulg wychodziło trzydzieści cztery do

opodatkowania.

– Co rok dochód w wysokości pięćdziesięciu tysięcy – powiedziałem – i zdołała zainwestować każdego centa?

– Tak. To słodkie, prawda? – Podeszedł do szafy, otworzył drzwiczki. Zobaczyliśmy duży wybór jedwabnych bluzek i sukienek, kostiumów w różnych kolorach, skórzane i zamszowe kurtki. Dwa futra, jedno krótkie i srebrzyste, drugie czarne. Ze trzydzieści par butów.

– Versace – powiedział, spoglądając na metkę. – Yestimenta, Dries Van Noten, Moschino, lis polarny od Neimana... a to czarne to... – Odsłonił metkę długiego futra. – Prawdziwe norki. Od Moutona przy Beverly Drive. Podaj mi jeszcze te rachunki z karty kredytowej... Średnio wydawała na ciuchy około tysiąca dolarów miesięcznie. To mniej niż kosztuje jeden taki kostium, musiała wydawać więcej. Miała gotówkę, której nie deklarowała.

Zamknął szafę.

– Okej, możesz dodać unikanie podatków do listy jej hobby... Ponad trzysta tysięcy zaoszczędzone w wieku dwudziestu pięciu lat. Jak mówiła mamusia, sama się utrzymywała.

– Ta stówka plus trzy pięćdziesiątki to razem dwieście pięćdziesiąt – powiedziałem. – Skąd wzięła się reszta, z obrotu na giełdzie?

Wrócił do papierów giełdowych, przesunął palec do końca kolumny.

– Tak, dziewięćdziesiąt tysięcy pięćset dwa dolary. Wygląda na to, że nasza dziewczynka oprócz tego, że handlowała ciałem, była niezłym graczem giełdowym.

– Ciężka harówka. Od pucybuta do milionera. Nie dzwoniła do mamy, bo mama była bez grosza.

– I nie chciała wtajemniczać Jane w swoje sprawy. – Wziąłem od niego papiery giełdowe, wpatrywałem się w ciągi zer. – Pierwsze sto tysięcy prawdopodobnie zaoszczędziła wcześniej. Kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, postanowiła zacząć inwestować. Ciekawe, czy zarobiła te pieniądze na wielu klientach, czy tylko na kilku bogaczach?

– Dlaczego cię to interesuje?

– Stały klient mógł po nią przysłać swój wóz i dlatego nie wzięła samochodu w niedzielę.

– Ciekawe – powiedział Milo. – Kiedy wzejdzie słońce, sprawdzę firmy taksówkowe. Trzeba też będzie popytać ludzi w okolicy, czy widzieli, jak wsiada do samochodu. Jeśli jechała do jakiejś grubej ryby, to facet pewnie chciał to załatwić po cichu, więc nie mogła czekać na samochód przed domem. Ale może nie odeszła daleko. – Wyciągnął notatnik, zaczął pośpiesznie pisać.

– Jest coś jeszcze – powiedziałem. – Jeśli zarabiała gotówkę i chciała mieć pieniądze na bieżące wydatki, mogła mieć w torebce dużo forsy.

Spojrzał na mnie.

– Myślisz, że ją obrabowano?

– To możliwe, prawda?

– Chyba tak... Tak czy inaczej, te pieniądze śmierzdzą.

Położył zeznania podatkowe na biurku. Na jego blacie leżały wyłącznie papiery. Zastanowiło mnie to.

– A gdzie jest komputer? – spytałem.

– Kto mówił, że miała komputer?

– Była studentką. Każdy student ma komputer, a Lauren była wzorową studentką.

Ponownie przeszukał kredens. Znalazł tylko kieszonkowy kalkulator, odchrząknął z niezadowoleniem. Zajrzał jeszcze raz do szafy, przeszukał wszystkie półki i kąty. – *Nada*. Więc może miała dane, które ktoś chciał jej odebrać. Jakiś dziany gość, który ceni sobie prywatność.

– W zeszyciku lub w komputerze – powiedziałem. – Była w końcu nowoczesną dziewczyną.

Zmarszczył brwi.

– Podpytam Salandera, czy widział kiedyś u niej komputer. I pomyślałem, że nie ma tu czegoś jeszcze, co powinno być. Antykoncepcja. Żadnych pigułek ani diafragmy.

– Nie płaciła też za leczenie kartą. Więc albo płaciła lekarzowi gotówką, albo korzystała z Uniwersyteckiej Służby Zdrowia.

– Dziewczyny do towarzystwa badają się regularnie – powiedział. – Ekskluzywne prostytutki muszą być bardzo ostrożne, Alex. Sprawdzę jeszcze w łazience. A ty przejrzyj książki.

Zacząłem od górnych półek: wymagane lektury z dwóch lat.

Podstawy matematyki, algebra, geometria, podstawy nauki, biologia, chemia.

Ekonomia, nauki polityczne, historia, rodzaj książek, w których gustują wykładowcy angielskiego. Podkreślenia różowym markerem. Naklejki z napisem „Używane” z księgarni college’u Santa Monica. Na drugim regale socjologia i psychologia – podręczniki z pozaginanymi rogami, kolekcja czasopism w przezroczystych plastikowych pudełkach. Książki na górnej półce pasowały do zajęć, na które chodziła w ostatnim semestrze. Więcej różowych podkreśleń, „Używane” z księgarni uniwersyteckiej. Zarabiała pięćdziesiąt tysięcy rocznie, ale ciułała każdy grosz.

Zająłem się czasopismami. Otworzyłem pierwsze plastikowe pudełko i ujrzałem zbiór

trzydziestopięcioletnich wydań „Psychologii Rozwojowej”, każde z wyblakłym stemplem sklepu Armii Zbawienia na Western Avenue i nalepką z ceną: dziesięć centów. Żadnego rachunku ani daty sprzedaży Reszta czasopism pochodziła z podobnego okresu i miejsc: antykwariat Amerykańskiego Towarzystwa Badań nad Rakiem, Hadassah, Miasto Nadziei. W egzemplarzu *W stronę psychologii bycia* Masłowa znalazłem rachunek z Goodwill sprzed sześciu lat.

Sześć lat temu.

Lauren zaczęła się uczyć w wieku dziewiętnastu lat, prawie cztery lata przed wstąpieniem do college’u.

Rozbudzona intelektualnie. Ambitna. Same piątki. Żadna z tych cech nie powstrzymała jej od prostytucji. Ale niby dlaczego miało być inaczej? Wiedza daje władzę w wielu dziedzinach życia.

Przyjrzałem się dokładniej pozycjom, które Lauren kupiła przed powrotem do szkoły. Większość poświęcona stosunkom międzyludzkim i teorii osobowości. Żadnych podkreśleń; wtedy podchodziła do książek z nabożeństwem nowicjuszek.

Potrząsnąłem każdym woluminem. Nie znalazłem żadnych karteczek.

Wróciłem do podręczników na górnej półce. Nie podkreśliła niczego interesującego. Była kolejną studentką, która próbowała zgadnąć, co znajdzie się na egzaminach.

Już miałem skończyć, kiedy moją uwagę przyciągnęła notatka na marginesie jednej ze stron podręcznika do teorii uczenia się. Drukowanymi starannymi literami, jakie widziałem już w jej szkolnych papierach, napisano:

LUDZ. INTYMN. 714 555 3342

Dr D.

Przypomniał mi się anonis na temat badań nad „ludzką intymnością”, jaki pojawił się w „Daily Cub” trzy tygodnie przed zaginięciem Shawny Yeager. Dołączony telefon w Orange County i pizzeria w Newport. Inny numer, ale z tego samego rejonu.

Nie miałem żadnych dowodów, że Shawna Yeager kiedykolwiek widziała tę reklamę czy postanowiła się tam zgłosić, ale studiowała przecież psychobiologię... potrzebowała pieniędzy.

„Ludz. Intym”.

W centrum zainteresowań Lauren? Uznała to za „pracę przy badaniach”.

Ale Lauren nie potrzebowała pieniędzy.

Może była pazerna? Albo co innego przyciągnęło ją do tej reklamy.

Może coś osobistego, jak sugerował Gene Dalby.

Intymność. Piękna kobieta, która udawała intymność dla pieniędzy.

„Dr D”.

Dalby? Nie, Gene twierdził, że ledwo ją pamięta, nie miałem powodu, żeby mu nie ufać. I zajmował się polityką, a nie intymnością.

Jeszcze jeden z jej wykładowców miał nazwisko zaczynające się na D – de Maartens. Psychologia percepcji. Dużo doktorów na D.

Kogo ja chciałem oszukać? Wiedziałem, czyj inicjał zanotowała.

„Miał pan na nią duży wpływ, doktorze”.

Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, zapłaciła, żeby wyładować na mnie swoją złość. Podobnie traktowała swojego ojca.

Lata później przypomniała sobie o mnie, zanotowała inicjał.

Intymność.

Czy chciała czegoś ode mnie? Nigdy nie zdobyła się na odwagę, żeby zapytać.

Pomyślałem o ostatnim, pełnym złości spotkaniu, o Lauren potrząsającej banknotami. Zawsze przeczuwałem, że przyszła po coś więcej.

Co myślała, kiedy podniosła słuchawkę i wykręciła mój numer?

Czego jej nie dałem?

Milo wrócił z łazienki, kręcąc głową.

– Nic. Może trzymała pigułki w torebce.

– Ja coś znalazłem – powiedziałem, pokazując notatkę na marginesie. Opowiedziałem o ogłoszeniu, które opublikowano trzy tygodnie przed zniknięciem Shawny Yeager.

– Pewnie takie reklamy pojawiają się cały czas.

– Niezupełnie – powiedziałem. – Z tego, co zdążyłem zauważyć, wynika, że raczej pojawiają się i znikają.

– Czy znalazłeś jakieś ogłoszenia przed zaginięciem Lauren? – Nie, ale mogła je zobaczyć gdzie indziej. – Brzmiało to mało przekonująco, obaj to wiedzieliśmy. Jako przyjaciel nie wypomnił mi tego, ale jego milczenie mówiło samo za siebie.

– Tak, wiem o tym – powiedziałem. – Dwie dziewczyny, w odstępie roku, żadnego istotnego związku. Ale może były też jakieś inne dziewczyny?

– Blondynki znikające na Westside? Wiedziałbym o nich. Na tym etapie niczego nie mogę wykluczyć, ale mam pełne ręce roboty: sprawdzić telefony Lauren, dowiedzieć się, czy miała komputer, poszukać świadków, którzy mogliby widzieć, jak wsiadała do samochodu. Może także znaleźć jakichś jej znajomych. Musiał być ktoś, kto ją znał, oprócz matki i Salandera. Jeśli żaden z tych tropów donikąd nie zaprowadzi, zajmę się Shawną Yeager. – Zwrócił mi podręcznik. – Jesteś pewien, że „dr D.” to ty?

– Teoretycznie mógłby to być także któryś z jej wykładowców, Gene Dalby albo de Maartens. Żaden z nich jej nie pamięta. Mieli za dużo studentów na zajęciach.

– Cóż – powiedział – nie mogę ich przesłuchiwać z tak błahego powodu. Ta notatka może w ogóle nic nie znaczyć. Na razie najważniejsze są pieniądze. Jej praca i sposób, w jaki została zabita; z zimną krwią profesjonalnie, ciało w śmietniku, może jako ostrzeżenie. To mi mówi, że nadepnęła komuś na odcisk. Dlatego nie zajmę się na razie Shawną Yeager. Leo Riley czuł, że tamta sprawa miała tło seksualne. Jeżeli Lauren odkładała w banku pięćdziesiąt tysięcy rocznie, kto wie, ile pieniędzy dostawała. A to każe mi się zastanawiać, czy część z tych pieniędzy nie pochodziła z podejrzanych źródeł. Na przykład z szantażu. Komu łatwiej wywlec brudne tajemnice i próbować na nich zarobić niż ekskluzywnej prostytutce?

– To mógł być także powód zniknięcia komputera.

– *Precisimoso*. Mówimy o wielkiej forsie. Wykładowcy college’u należą do trochę innej kategorii.

– Niektórzy z nich są jednak bogaci. Taki Gene Dalby, na przykład.

– Ciągłe o nim wspominasz. Masz wobec niego jakieś podejrzenia?

– Nie, wcale – powiedziałem. – Stary kolega ze studiów, chciał mi pomóc.

– W takim razie idziemy dalej.

– Więc mamy na razie odpuścić „ludzką intymność”? To może być nadal aktualny numer.

Znowu wziął podręcznik, wyciągnął telefon komórkowy.

– Pewnie dostanę raka ucha – wymamrotał. Wystukał numer. Nic w jego oczach nie mówiło, że ktoś odebrał, ale wkrótce wygrzebał z kieszeni notatnik, zapisał coś i się rozłączył.

– Rynek i Motywacje z Newport Beach – powtórzył. – Przyjazny kobiecy głos: „Przyjmujemy od dziesiątej ple ple ple”. Wygląda mi to na jedną z tych firm marketingowych.

– Intymność i marketing – powiedziałem.

– Czemu nie? Intymność sprzedaje towary. Lauren na pewno o tym wiedziała. Zaświeciła jej lampka. Lubiła pieniądze, wzięła kolejną robotę. Pasuje?

– Pasuje jak ulał.

– Słuchaj – powiedział – jak chcesz, możesz pójść tym tropem. Zadzwoń też do tego wykładowcy, de coś tam. Jak się czegoś dowiesz, to mi powiedz. Zastanawia mnie brak komputera. Muszę pojechać na posterunek, zabrać samochód, zobaczyć, czy nie wpłynęły jakieś wiadomości, a potem się zbieram. Chcesz porobić za szofera, czy mam poprosić któregoś chłopca w mundurku?

– Zawiozę cię – odparłem.

– Dobry z ciebie gość – powiedział wesoło, gdy wychodziliśmy z pokoju Lauren.

O dziewiątej następnego ranka zadzwoniłem do doktora Simona de Maartensa do domu. Odpowiedział takim głosem, jakbym mu w czymś przeszkodził. Kiedy się przedstawiłem, jego ton stał się chłodny.

– Już odpowiedziałem na pański telefon.

– Tak, bardzo dziękuję, ale mam kilka pytań.

– Jakich pytań? – spytał. – Mówiłem już, że nie pamiętam tej dziewczyny.

– Nie pamięta pan, czy rozmawiała z panem na temat jakichś badań?

– Badań? Oczywiście, że nie. Do badań dopuszczani są tylko doktoranci. A...

– Czy zajęcia z percepcji, w których brała udział Lauren, były podzielone na mniejsze grupy?

– Tak. Zwykle tak się robi.

– Czy mógłbym dostać listę studentów z grupy Lauren?

– Nie – powiedział. – To niemożliwe. Twierdzi pan, że jest wykształconym psychologiem, i prosi mnie pan o taką rzecz? Nie do wiary. Jako kto w ogóle pan ze mną rozmawia?

– Znałem Lauren. Jej matka przechodzi teraz przez piekło i poprosiła mnie, żebym zajął się tą sprawą.

– No cóż... Przykro mi, ale obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

– Chodzenie w jakiejś grupie na zajęcia jest tajne? – spytałem. – Nie czytałem o tym ostatnio w kodeksie etycznym Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego.

– Wszystko, co dotyczy wolności akademickiej, jest tajne, doktorze Delaware.

– Świetnie – powiedziałem. – Dziękuję za poświęcony mi czas. Prawdopodobnie skontaktuje się z panem policja.

– Wtedy powiem im to samo, co panu.

Odłożyłem słuchawkę.

Zadzwoniłem do Mila. W domu nikt nie odbierał. W samochodzie i w pracy również. Nagrałem się na jego pocztę głosowej: – „De Maartens nie współpracował. To zwraca uwagę”.

Żywy kobiecy głos w Rynku i Motywacjach z Newport Beach poinformował mnie znudzonym tonem, że biuro jest zamknięte.

– Czy to usługa telefoniczno-sekretarska?

– Tak, proszę pana.

– A kiedy biuro będzie otwarte?

– Przeprowadzają się.

– Czy mają jeszcze jakieś inne biuro?

– Tak, proszę pana.

– Gdzie?

– W Los Angeles.

– Czy ma pani jego numer?

– Chwileczkę, muszę odebrać drugi telefon.

Czekałem tak długo, że zacząłem się zastanawiać, czy się nie rozłączyła. W końcu odezwała się, podając numer zaczynający się od 310. Zadzwoniłem, odebrał jej kolega po fachu.

– Biuro jest zamknięte.

– A kiedy będzie otwarte?

– Nie wiem, proszę pana. To tylko usługa telefoniczna.

– Mogę prosić o adres biura?

– Chwileczkę, muszę odebrać drugi telefon.

Odłożyłem słuchawkę i sprawdziłem adres w książce telefonicznej. Wilshire Boulevard 12000. To w Brentwood, nieco na wschód od Santa Monica. Kilka mil od uniwerku i nawet bliżej od Sepulveda, gdzie znaleziono ciało Lauren.

Nie było sensu tam jechać tylko po to, żeby pocałować klamkę. Włączyłem komputer i wklepałem: Rynek i Motywacje.

Trzy trafienia. Pierwsze to artykuł w „Chicago Tribune” sprzed czterech lat o schronisku dla bitych kobiet w South Side oraz o świadczonych tam usługach. Mieszkanie, konsultacje medyczne, terapie indywidualne i grupowe, „oferowane przez prywatną firmę Rynek i Motywacje, udzielającą się społecznie, zwłaszcza w dziedzinie kontaktów międzyludzkich”. Artykuł skupiał się na historiach kilku bitych kobiet, które odzyskały siłę emocjonalną o firmie już nie wspominał.

Drugie trafienie zawierało skróconą wersję tego samego artykułu. Trzecie okazało się streszczeniem referatu wygłoszonego na regionalnym zjeździe Wschodniego Towarzystwa Psychologicznego w Cambridge dwa lata temu.

Buffington Sandra, Lindquist Monique, Dugger B. J. Wielowymiarowe badanie intymności: Analiza przestrzeni osobistej (PO) i osobistego poczucia przestrzeni kontrolowanej, lęku, atrakcyjności osobistej, samoświadomości i ekstrawersji.

Tyle, jeśli chodzi o pikantne badania.

Buffington i Lindquist występowały z ramienia Uniwersytetu Chicago, a B. J. Dugger – z Rynku i Motywacji.

„Dr D”.

Wyciągnąłem almanach Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego i sprawdziłem Dugger, zgadując, że to kobieta. Barbara Jean, Barbara Jo – Benjamin John. Nie mój dzień na zgadywanki.

Data urodzin czyniła Duggera trzydziestosiedmiolatkiem. Uzyskał tytuł magistra psychologii na Uniwersytecie Clark w Worcester w Massachusetts w wieku dwudziestu jeden lat, a doktorat z zakresu psychologii społecznej na uniwersytecie w Chicago dziesięć lat później. Asystentura na uniwersytecie w San Diego, potem dwuletnia przerwa do jego pierwszej i jedynej pracy: dyrektor Rynku i Motywacji w Newport Beach w Kalifornii. Dziedzina zainteresowań: sformalizowane mierzenie przestrzeni społecznej oraz stosowane badanie motywacji. Podany adres: Balboa Boulevard, Newport, numer telefonu na 714, pod który właśnie dzwoniłem.

Nie prowadzi praktyki klinicznej, więc nie potrzebuje stanowej licencji. To znaczyło, że telefon do Stowarzyszenia Psychologów po dalsze informacje nic nie da. I tak zadzwoniłem. Nic.

Próbowałem także znaleźć w książce telefonicznej doktora B. J. Duggera. Bez skutku. Sprawdziłem w Internecie, wyszukiwarka wskazała tylko to samo streszczenie referatu w Cambridge, które jeszcze raz przeczytałem.

Naukowy żargon, cyfry, statystyka, nuda. Bardzo mało erotyczne.

Ale i tak to właśnie telefon Duggera widniał w książce Lauren. Więc chociaż nie podobał mi się de Maartens, Dugger był najpoważniejszym kandydatem na „Dr D”. I to on publikował swoje reklamy w czasie, gdy zniknęła Shawna Yeager. Milo miał prawdopodobnie rację, że między tymi sprawami nie ma związku, ale jednak...

Pomyślałem o tym jeszcze trochę. Życiorys Duggera był równie interesujący, co podręcznik używania pługu.

Nieciekawego.

Przeczytałem życiorys jeszcze raz i coś mnie tknęło.

Dwie przerwy: dziesięć lat między magisterium a doktoratem, następne dwa między zakończeniem nauki a podjęciem pierwszej pracy.

Niezłej pierwszej pracy. Większość doktorów wkracza na rynek pracy z długami i jest zmuszona przyjmować czasowe stanowiska wykładowców za najniższą stawkę. Benjamin J. Dugger zniknął na dwa lata, żeby pojawić się ponownie na stanowisku dyrektorskim.

Biura w Newport Beach i Brentwood. Firma stoi na tyle dobrze, że angażuje się w nieodpłatne akcje społeczne. A co miały ze sobą wspólnego badania nad przestrzenią społeczną i maltretowane kobiety?

Wszystko wskazywało na pieniądze.

Niektórzy wykładowcy są bogaci. Jak Gene Dalby.

Wrogość Simona de Maartensa spowodowała, że zacząłem się zastanawiać nad jego sytuacją majątkową. Czas dowiedzieć się więcej na temat obu doktorów D.

Baza danych Owidiusz w bibliotece uniwersyteckiej wypłuka czterdzieści pięć publikacji de Maartensa, wszystkie na temat widzenia u człekokształtnych. Miał trzydzieści trzy lata i żadnej przerwy w karierze naukowej: magisterium na uniwersytecie Lejdzie w Holandii, w wieku dwudziestu pięciu lat doktorat w Oksfordzie z psychologii eksperymentalnej, dwuletnie studia na Harvardzie, gdzie potem wykładał przez trzy lata, później asystentura na naszym uniwerku i szybka promocja dwa lata później na samodzielnego wykładowcę. Członkostwo we wszystkich możliwych towarzystwach, więcej niż zwykle nagród, łącznie z grantem i nagrodą Instytutu Braille'a prawdopodobnie jego badania nad szympanсами miały znaczenie także dla ludzi.

Benjamin J. Dugger był mniej płodny: pięć artykułów, ostatni sprzed dwóch lat, wszystkie w tym samym suchym żargonie. Ostatnie trzy napisane wspólnie z Sandrą Buffington i Monique Lindquist, pierwsze dwa – samodzielne: wyniki badań z pierwszego roku studiów doktoranckich i streszczenie doktoratu oraz pomiary osobniczej przestrzeni u zakapturzonych szczurów, poddanych zmiennym parametrom społecznym. Daty publikacji pozwoliły stwierdzić, że Dugger rozpoczął badania cztery lata przed otrzymaniem doktoratu. Zostało więc sześć lat między Uniwersytetem Clark i Chicago.

Nie mając nic innego do roboty, zadzwoniłem do obu instytucji i zweryfikowałem uzyskane dane. Jak dotąd, nic wzbudzającego podejrzenia. Cóż w tym zresztą dziwnego? Działiałem zupełnie na ślepo.

Myśląc o zwłokach Lauren wypadających ze śmietnika, zadzwoniłem znowu do Chicago i poprosiłem profesor Buffington lub Linquist. Pierwsza z nich była na urlopie naukowym na Hawajach, za to gdy zadzwoniłem do Linquist, usłyszałem wysoki, radosny głos:

– Monique, słucham?

– Dzień dobry, pani profesor. Mówi Lew Holmes z Zachodniego Serwisu Informacyjnego. Natknęliśmy się na artykuł o badaniach prowadzonych przez panią i pani kolegów na temat przestrzeni osobistej i zastanawialiśmy się, czy któreś z państwa mogłoby nam pomóc. Piszemy artykuł o randkach w latach dziewięćdziesiątych.

– Obawiam się, że nie – powiedziała ze śmiechem. – Tamte badania były dość ezoteryczne; dużo matematyki i nic o randkach. Gdzie się natknęliście na ten artykuł?

– Wskoczył w naszej bazie danych – odpowiedziałem. – Więc raczej nam pani nie pomoże?

– Gdybyście napisali o naszych badaniach, wasi czytelnicy by zasnęli.

– Och, trudno. Przepraszam, że panią niepokoiłem. Chyba nie ma sensu, żebym rozmawiał z profesorem Duggerem?

– Profesorem... ach, z Benem. Wątpię, czy będzie mógł państwu pomóc.

– Podwójne trudno – powiedziałem. – Jesteśmy z Kalifornii, a nasi klienci zawsze szukają lokalnych źródeł do cytowania. Profesor Dugger mógłby nam się bardzo przydać.

– Trudno mi mówić za Bena, ale wątpię, czy wam pomoże.

– No cóż, pozwoli pani, że zapytam, czy prowadzi pani jakieś inne badania, które mogłyby zainteresować naszych klientów?

– Nie, przykro mi. Ale jestem pewna, że znajdziecie kogoś odpowiedniego. Zwłaszcza w Kalifornii. Do widzenia...

– A co z profesorem Duggerem? Może on robi coś, co nas zainteresuje? – Na przykład o seksie? Do tego pan zmierza?

– Cóż... – powiedziałem – wie pani, jak to jest.

– Oczywiście. Nie wiem, co Ben Dugger ostatnio robi. Minęło już sporo czasu, odkąd współpracowaliśmy.

– W takim razie może do niego jednak zadzwonię – powiedziałem. – Mam go w Newport Beach i Brenwood. – Przeczytałem adresy. – Ma firmę Rynek i Motywacje. Czym się zajmuje? Reklamą?

– Badaniem rynku. – Znów się zaśmiała.

– Powiedziałem coś zabawnego, pani profesor?

– Jak każdy dziennikarz, szuka pan czegoś związanego z seksem. Jeśli o to chodzi, nie ma pan u Duggera czego szukać.

– Dlaczego, pani profesor?

– To.. wszystko, co mogę powiedzieć. Do widzenia panu.

– Jakieś zahamowania? – powiedział Milo. – Jest raczej pruderyjny.

– Jest coś jeszcze – powiedziałem.

– Czy dała do zrozumienia, że to coś brzydkiego?

– Nie – przyznałem. – Potraktowała to raczej jako dowcip.

– Więc może facet jest jakimś księdzem?

– Życiorys nic o tym nie mówił.

Odchrząknął w słuchawkę. Było prawie południe. Odezwał się dwie godziny po moim telefonie. Andrew Salander potwierdził, że Lauren miała laptop Toshiba. Potem Milo siedział w kostnicy, nadzorował sekcję zwłok Lauren. Koroner nie znalazł żadnych śladów gwałtu ani niedawnego stosunku. Żadnych chorób, blizn, śladów operacji czy brania narkotyków. Pierwsza kula – 9 mm – wystrzelona w rdzeń mózgowy Lauren, niemal natychmiast zatrzymała jej funkcje życiowe. Do tego momentu była zdrową dziewczyną.

– Więc zapewne nie cierpiała – powiedział. – Zadzwoiłem do jej matki i powiedziałem, że na pewno nie cierpiała. Ta kobieta mówiła tak, jakby ktoś ją wyprał i odwirował. A więc de Maartens jest nieprzyjemnym bucem, a Dugger nie lubi rozmawiać o seksie.

– Dugger może też mieć pieniądze. – Uzasadniłem swój wniosek.

– Jeśli miałbym wybierać, postawiłbym na Holendra, bo był wrogo nastawiony. Chcesz go odwiedzić?

– Jeśli pojawisz się przed jego drzwiami, zatrzaśnie ci je przed nosem. Uprzedziłem go, że policja może się nim zainteresować.

– Obiecanki cacanki. Spróbuję się z nim kiedyś spotkać. Na razie nie mamy potwierdzenia, że Lauren wsiadła do jakiejś taksówki czy limuzyny. Jej broker w Seattle zna ją tylko jako głos w telefonie. Zadzwoiła do niego kilka lat temu, miała pieniądze do zainwestowania. To nietypowe, bo zwykle dzwonią ci, którzy chcą sprzedawać, więc natychmiast się zgodził. Powiedział, że Lauren odrobiła swoją pracę domową o giełdzie, wiedziała, czego chce, ale słuchała także jego rad. Ogólne wrażenie: bystra. Zdziwił się, że miała tylko dwadzieścia pięć lat, myślał, że ma co najmniej dziesięć lat więcej.

– Jak chciała inwestować swoje pieniądze?

– W akcje pewniaków i była na tyle cierpliwa, żeby je przetrzymywać. Zgadywał, że była wziętą prawniczką albo jakimś dyrektorem. Oddelegowałem dwóch mundurowych, żeby popytali o nią sąsiadów. Kilku pamięta, jak uprawiała jogging, jeździła kabrioletem, ale nikt nie widział, jak wsiadała do czyjegoś samochodu. Nigdy, ani w dzień, kiedy zniknęła, ani wcześniej. Ściągnąłem listę jej telefonów z ostatnich sześciu miesięcy. Co parę tygodni rozmawiała z matką, ostatnio dwa dni przed zniknięciem. Żadnych telefonów do Lyle'a. Jedyna rzecz, która wyglądała na interesującą, to pięć telefonów przez ostatnie dwa miesiące pod ten sam numer w Malibu. Okazało się, że to automat w Point Durne.

– Lauren mówiła kiedyś Salanderowi, że pojechała do Malibu, żeby odpocząć. Czy to telefon blisko jakiegoś motelu?

– Nie. Koło domu handlowego na Kanan-Dume Road.

– Czy miała telefon komórkowy albo korzystała z jakiejś firmy telefoniczno-sekretarskiej?

– Na razie nic o tym nie wiem.

– Nie sądzisz, że to dziwne, zakładając, że umawiała się na spotkania?

Pauza.

– Trochę..

– Chyba że – powiedziałem – nie potrzebowała żadnej usługi telefonicznej, bo nie zarzucała swojej sieci. Miała jednego klienta, który płacił za wszystko. Może kogoś w Malibu, kto nie chciał, żeby żona o wszystkim wiedziała, i korzystał z budki telefonicznej.

– Ponad pięćdziesiąt tysiaków od jednego gacha? Niezłe przyzwyczajenie.

– Dużo pasji – powiedziałem. – Kiedy takie związki się psują to psują się bardzo brzydko.

– Pojadę tam dzisiaj, zobaczę, jakie sklepy tam mają. Może coś zauważę. W drodze powrotnej wpadnę do de Maartensa. Gdzie mieszka?

– Nie wiem, ale jego numer zaczyna się na 310.

– Dowiem się. Dzięki za pomoc, Alex.

– Bezużyteczną.

– Hej – powiedział – nigdy nie wiadomo, co z tego wyjdzie. Kłamał jak z nut. Od czego są przyjaciele?

Zaraz po pierwszej po południu wsiadłem w samochód i pojechałem do biura Rynku i Motywacji w Brentwood.

Budynek był jednym z grupy wieżowców, które wyrosły na Wilshire podczas jednego z poprzednich boomów. Czteropiętrowy parking, osiem pięter biur, ściany w żebrowate pasy z białego aluminium i czarnego szkła.

Przeszedłem obok pustego biurka w recepcji w kierunku listy mieszczących się tu firm: konsultantów komputerowych, agentów ubezpieczeniowych, prawników, kilku psychoterapeutów. Rynek i Motywacje mieściły się pod numerem 717, za trzecimi drzwiami w głębi korytarza z szarymi ścianami i śliwkową wykładziną na podłodze. Czarne drzwi z małymi chromowanymi napisami. Biuro Duggera sąsiadowało z ELEKTROMĄDROŚCIĄ oraz KANCELARIĄ PRAWNICZĄ NORMANA I REBRIGUE'A.

Żadnej poczty pod drzwiami, a kiedy zajrzałem przez dziurkę, zobaczyłem nieoświetloną poczekalnię, i znowu żadnych listów na biurku. Albo ktoś często odbierał pocztę, albo wędrowała pod inny adres. Nie zapukałem – brakowało mi tylko ugrzęźnięcia w mętnych wytłumaczeniach.

Wróciłem do windy, czekałem, aż wjedzie z powrotem z parteru na górę, kiedy drzwi numer 717 otworzyły się i na korytarz wyszedł mężczyzna niosący brązową skórzaną teczkę. Zatrzasnął drzwi, zaczął iść w moim kierunku, wywijając kluczami.

Między trzydziestką piątką a czterdziestką, metr siedemdziesiąt pięć, sześćdziesiąt pięć kilo. Krótkie przerzedzone ciemne włosy, na czubku głowy łysinka pokryta piegami. Ubrany był w bezkształtną, jasnobieżową, sportową marynarkę z brązowymi skórzanymi łatami na łokciach, białą koszulę w niebieskie prążki, wyblakłe beżowe spodnie, które pasowałyby na Mila, gdyby były pięć rozmiarów szersze, oraz brązowe sznurowane buty wytarte na czubkach. W kieszeni marynarki miał złożony egzemplarz „Timesa”. W kieszonkę na piersi wetknięte trzy czarne plastikowe długopisy. Na łańcuszku u szyi dyndały okulary ze szklami o turkusowym połysku.

Doszedł do windy właśnie w momencie, kiedy otworzyły się drzwi, zaczekał, aż wejść, wsiadł i stanął z przodu. Postawił teczkę na podłodze, wcisnął przycisk P3 i spytał miłym głosem:

– A pan gdzie? – Prosty nos, proste usta, małe uszy, proporcjonalny podbródek. Harmonijne rysy, ale dość niewyraźne, co sprawiało, że nie był zbyt przystojny. Kłapa jego marynarki była wytarta w miejscu, w którym spotykała się z koszulą. Z kołnierzyka wystawały dwie luźne białe nitki.

– W to samo miejsce, dziękuję.

Przyciskając guzik, odwrócił się łysiną w moją stronę. Zauważyłem na teczce wytarty złoty monogram – BJD. Zaczął pogwizdywać, przebierając palcami w rytm muzyki. Pod prawym uchem i na szczęce skóra była zacięta w trakcie golenia. Pachniał wodą i mydłem.

Przestał gwizdać.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie ma za co.

– Kiedyś puszczała tu muzykę. Ktoś musiał złożyć skargę. – Niektórzy tak robią.

– W rzeczy samej.

Nie rozmawialiśmy więcej, zjechaliśmy na P3; zostałem z tyłu, a mężczyzna wyszedł na parking. Kiedy swobodnie kierował się w stronę samochodu, przypatrywałem mu się zza betonowego filara.

Jeździł białym standardowym volvem sedanem, liczącym już kilka lat. Nie usłyszałem wyłączanego alarmu. Otworzył drzwiczki, rzucił teczkę na siedzenie, wsiadł, zapalił silnik, z rury wydechowej uniosła się chmura czarnego dymu. Zbiegłem na parking koło recepcji. Kiedy zbliżałem się do swojego seville’a, zobaczyłem, jak wjeżdża na Wilshire i kieruje się na zachód.

Był dziesięć budynków przede mną i złamałem kilka przepisów ruchu, żeby go dogonić. Trzymałem się w odległości dwóch długości samochodu, jadąc drugim pasem. Starłem się nie stracić go z oczu. Trzymał obie ręce na kierownicy; jego wargi poruszały się, a głowa kiwała. Albo rozmawiał przez telefon, albo coś sobie podśpiewywał. Zgadywałem, że to drugie: wyglądał na całkowicie rozluźnionego.

Podjechał do apteki Longa w Santa Monica, przebywał w niej około dziesięciu minut, wrócił do samochodu, niosąc dużą siatkę. Przez Wilshire dojechał do Broadwayu i Siódmej, gdzie zatrzymał

się przed białym, wąskim, wiktoriańskim budynkiem, który był kiedyś trójpiętrową rezydencją, a teraz kościołem. Jeden z niewielu starych budynków, które przetrwały trzęsienie w Northridge.

Ściany świeżo odmalowane. Podwórze zamykało niewysokie ogrodzenie. Piaskownice, huśtawki, mały gaj. Trzy tuziny brązowoskórych i ciemnowłosych dzieciaków bawiły się i pokrzykiwały, podskakiwały lub kucąły w piasku. Trzy młode kobiety w długich, jasnych sukniach i z warkoczami obserwowały gromadkę. Na ogrodzeniu wisiał tęczy napis: RELIGIA DLA DZIECI, WIOSENNE ZAPISY.

Doktor Benjamin Dugger zaparkował przy krawężniku, przekroczył furtkę, wszedł do kościoła. Jeśli miał wyrzuty sumienia, na pewno nie zdradzał tego jego sprężysty krok. Przebywał w środku około kwadransa, wrócił bez torby z apteki.

Z powrotem na Wilshire. Następny przystanek w smażalni ryb niedaleko Czternastej ulicy, skąd wyszedł, niosąc kolejną torbę, mniejszą i zatłuszczoną. Obiad zjadł na ławce w Parku Christine Reed, za kortami tenisowymi, a ja obserwowałem z okna samochodu, jak wsuwał frytki, coś w bułce i popijał colę z puszki, karmiąc okruciami gołębie. Kwadrans później był znowu na Wilshire, tym razem kierował się na wschód. Jechał wciąż tym samym pasem, przestrzegał ograniczeń prędkości.

Wjechał w Westwood Village, zatrzymał się na parkingu na Gayley i skierował do multipleksu. Dwie komedie, jeden thriller szpiegowski, romans kostiumowy. Godziny wyświetlania mówiły, że wybrał albo którąś z komedii, albo romans.

Co za ponury człowiek.

Pojechałem do domu.

O 3.00, zdecydowawszy, że powinienem się skupić na tym, co wiem, zadzwoniłem do rezydencji Abbotów. Odezwała się automatyczna sekretarka i czując ulgę, że nie odebrała Jane ani Mel, odłożyłem słuchawkę.

O 4. 43 zadzwonił Milo.

– Ten płatny telefon znajduje się na stacji benzynowej. Obok jest siłownia, agencja ubezpieczeniowa i kawiarnia. Nikt nie pamięta Lauren. Właściciel stacji nie przypomina sobie, żeby ktoś często korzystał z aparatu. Panuje tam zbyt duży ruch, żeby mógł zauważyć, czy ktoś nie urządził sobie biura w budce. Zajrzałem też do kilku moteli i pokazywałem zdjęcie Lauren. Nic to nie dało. Siedzę teraz przy biurku, chyba zajrzę do gburowatego profesora de Maartensa, który, jak się okazuje, mieszka w Venice. Chcesz do mnie dołączyć?

Zastanawiałem się, czy powiedzieć mu, że śledziłem Benjaminą Duggera. Do tej pory nic nie miałem. Nie było powodu, żeby dzielić się wrażeniami z Milo.

– Jasne – odpowiedziałem. – Brakuje ci mojego uroku osobistego?

– Wręcz przeciwnie. Już raz tego faceta wkurzyłeś. Można to wykorzystać.

Simon de Maartens mieszkał na Trzeciej ulicy, na północ od Rose. Niedaleko na zachód znajduje się plaża. Za Rose rozciąga się terytorium gangów.

Ulica małych domków. Sporadyczne jasne punkty – świeża farba, nowiutkie świetliki w dachach, grządki kwiatów, podparte palikami sadzonki drzew – oznajmiały, że przybyli bogatsi właściciele. De Maartens zajmował połowę otynkowanego na brązowo bliźniaka ze spadzistym dachem, otoczonego szarym trawnikiem. Na podjeździe stał zniszczony niebieski volkswagen. Tylny zderzak mikrobusu był mocno nadwyrężony. Tak jak hipoteza o bogactwie de Maartensa.

– Wygląda na to, że nie uwiodły go materialne dobra tego świata – powiedział Milo. – Czyżby interesowało go tylko życie intelektualne i umysłowe?

– Możliwe. – Zdałem sobie sprawę, że to samo można było powiedzieć o Benjaminie Duggerze; biura w Newport i Brentwood, ale marynarka wytarta.

Nie byli to królowie życia, jakich wyobrażałem sobie przy boku Lauren. Wyłączył silnik.

– Może ja będę prowadził rozmowę i dam ci się włączyć, kiedy zajdzie potrzeba?

– Dobry pomysł.

Byliśmy w połowie drogi do drzwi wejściowych, kiedy z wnętrza domu dobiegło głośne szczekanie, zasłony w oknie rozsunęły się i wyrzał wielki, żółty łeb. Retriever. Miarowe szczekanie, ale bez wrogości, zawiadamiało o naszym przybyciu, nie osądzając nas. Zanim podeszliśmy, drzwi zaczęły się otwierać i młoda rudowłosa kobieta wystawiła uśmiechniętą twarz.

Była wysoka i solidnie zbudowana, miała na sobie czarną koszulkę z krótkim rękawem i zielone workowate spodnie, w ręku trzymała pędzel. Mokry od niebieskiej farby. Jej obcięte na pazia włosy były koloru świeżej rdzy, pod równo przyciętą grzywką lśniły bystre brązowe oczy. Obszerne spodnie i przylegająca koszulka podkreślały miękkie kształty brzucha i krągłości ramion. Tylko ręce miała białe i szczupłe, z długimi palcami. Zza drzwi dolatywał zapach terpentyny i dźwięki muzyki klasycznej – instrumenty dęte drewniane. Ani śladu żółtego psa. Kobieta przestała się uśmiechać.

– Policja, proszę pani – powiedział Milo, błyskając odznaką. – Czy pani de Maartens?

– Anika – wyrecytowała, jakbyśmy byli na przejściu granicznym. – Myszałam, że jeszcze z UPS. – Miała bardziej wyraźny obcy akcent niż jej mąż. A może po prostu się przestraszyła. Nikt nie lubi wizyt policji w ładne słoneczne popołudnia.

– Czeka pani na przesyłkę?

– Mają mi przywiesz przybory do malowania. Z domu. Czy ształa sze aka zbrodnia?

– Nie, wszystko w porządku. Skąd będzie ta przesyłka?

– Z Holandii... Dlaczego tu przyszłyszczce?

– Nic takiego się nie stało, proszę pani. Chcieliśmy tylko porozmawiać z profesorem de Maartensem. Jest w domu?

– Chcecie rozmawiać z Simonem? O czym?

– O jego studentce. – O studentce?

– Lepiej by było, gdybyśmy mogli porozmawiać z panem profesorem osobiście, pani de Maartens. Jest w domu?

– Tak, tak. Już po niego idę, proszę poczekać.

Zostawiła otwarte drzwi i zniknęła we wnętrzu domu. Na jej miejscu zjawił się duży kształt w kolorze masła. Ciężkie szczęki, małe błyszczące oczy, krótka sierść, zwisające uszy. Golden retriever z domieszką brytana.

Pies przyglądał nam się przez chwilę, a potem podążył za swoją panią. Wkrótce wrócił, prowadząc mężczyznę. Człowiek i zwierzę szli w jednym tempie, dłoń pana spoczywała miękko na karku psa.

De Maartens, grubokościsty, miał metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy w kolorze whisky ostrzyżone na jeża, różowy kartoflowaty nos, grube wargi najbardziej okrągłą twarz, jaką kiedykolwiek widziałem. Pomimo sportowego ubrania – szarej koszulki, dżinsowych szortów i gumowych plażowych sandałów – wyglądał jak mieszczanin z obrazu Rembrandta i tylko czekałem, aż wyciągnie zza pazuchy glinianą fajkę.

– Detektyw Sturgis – powiedział Milo, wyciągnąwszy ku niemu dłoń.

De Maartens popatrzył za niego i ciągle szedł w naszym kierunku.

– Tak? – Na dźwięk jego głosu pies nastawił uszu.

Milo zaczął powtarzać swoje nazwisko.

– Słyszałem – powiedział de Maartens. – Nie jestem głuchy. – Stał w drzwiach i uśmiechnął się. Poruszał głową w prawo i w lewo, patrząc w przestrzeń między mną i Milem. Wtedy właśnie zobaczyłem jego oczy: czarne pestki, osadzone tak głęboko, że zdawało się, iż ktoś wydłubał z nich ciało łyżką do lodów. Nieruchome, mętne, pozbawione błysku źrenice.

Niewidomy.

Psychofizjologia wzroku u człekokształtnych.

– Chodzi o tę dziewczynę, Lauren – powiedział.

– Tak, proszę pana.

– Znam niektórych swoich studentów – powiedział de Maartens. – Tych, którzy zadają pytania, przychodzą na moje dyżury. Głosy, które się powtarzają. – Dotknął ucha. Pies spojrzał na niego ufnie. – Lauren Teague nie była jedną z nich. Dostała u mnie piątkę, bardzo mocną piątkę, więc może nie musiała zadawać pytań. Mogę wyciągnąć jej egzaminy, kiedy wrócę za tydzień do pracy. Ale teraz jestem na wakacjach i nie widzę powodu, żebyście mnie do tego zmuszali. Czego macie nadzieję się dowiedzieć o panie Teague z jej prac egzaminacyjnych?

– Więc nie może nam pan nic powiedzieć o panie Teague?

De Maartens wzruszył ramionami. Odwrócił twarz w moim kierunku. Uśmiechnął się.

– Czy to pan, doktorze Delaware? Ciekawa woda kolońska. Po drugim telefonie od pana, kiedy się zdenerwowałem, zadzwoniłem na wydział, żeby się dowiedzieć o oceny tej dziewczyny. Same piątki. Przepraszam, że byłem dla pana nieprzyjemny, ale byłem bardzo zajęty i nie widziałem powodu, żeby rozmawiać o panie Teague. Nadal nie widzę.

Podrapał psa za uchem, wycelował oczodoły w Mila.

– Trzykrotnie w czasie semestru dzieliliśmy studentów na dwudziestoosobowe grupy dyskusyjne, z których każda była pod opieką asystenta. Zajęcia w grupach były nieobowiązkowe, wypowiedzi studentów nie były oceniane. To była jedna z prób uczynienia wydziału bardziej przyjaznym dla studentów. – Kolejny uśmiech. – Skontaktowałem się z rektorem i zapytałem, czy mogę panom podać listę studentów, którzy byli w grupie z Lauren Teague. Opiekowała się nimi Malvina Zorn. Może pan zadzwonić na wydział psychologii i otrzymać jej numer telefonu. Została poinstruowana, żeby podać panu nazwiska tych studentów. Ja i rektor podpisaliśmy odpowiednie upoważnienia. To chyba wszystko, czego wam potrzeba.

– Dziękuję, panie profesorze.

– Proszę bardzo. – De Maartens kiwał się do przodu i w tył. Zatrzymał się. – Co dokładnie stało się panie Teague?

– Zastrzelono ją – powiedział Milo. – Może pan o tym przeczytać w gazecie. De Maartens zaśmiał się nerwowo i zmierzwił sierść psa.

– Może Vincent mi o tym poczyta. Nie, jestem pewien, że żona opowie mi wszystko ze szczegółami. Pożera wszystkie artykuły o zbrodniach i nieszczęściach, bo to miasto ją przeraża.

– To tyle, jeśli chodzi o de Maartensa – skonstatowałem, kiedy wróciliśmy do samochodu.

– Ale niespodzianka – powiedział Milo. – Nie sądzę, żeby akademickie życie Lauren dało nam jakiś punkt zaczepienia. Bardziej interesują mnie ludzie, o których nie mówiła. Ale i tak zadzwonię na wydział i poproszę o nazwiska tych studentów.

Zatelefonował, zapisał dziewięć nazwisk, które przejrzałem, kiedy ruszaliśmy. Trzej mężczyźni, sześć kobiet.

– Wszyscy wyjechali na wakacje – wymamrotał, gdy odjeżdżaliśmy. – Super.

– Nie tylko ty straciłeś czas. – Opowiedziałem mu, jak śledziłem Benjaminą Duggera. Był na tyle miły, że mnie nie wyśmiał.

| – Jeździ starym volvo i zawozi rzeczy dzieciom do kościółka, he?

– Tak, tak – powiedziałem. – Dorzuć jeszcze działalność charytatywną jego firmy, a będziesz miał Matkę Teresę w tweedowej marynarce. Masz rację, tacy faceci jak on nie wpakowali Lauren dwóch kulek w głowę. Żyła w całkiem innym świecie.

– Ź propo – powiedział. – Pomyślałem, że wpadniemy do Gretchen Stengel.

– Wyszła z pudła?

– Od pół roku jest na warunkowym. Zajęła się inną gałęzią biznesu.

– Jaką?

– Podobną do poprzedniej, ale legalną. Ubiera ludzi pozbawionych pewności siebie.

Butik znajdował się na Robertson, nieco na południe od Beverly Hills, pięć witryn na północ od modnej restauracji, gdzie służba parkowała ferrari, a w ogródku klienci śmiali się zbyt głośno, łykając butelkowaną we Francji wodę i uliczny smog.

DÉJÀ VUE

GARDEROBA Z PRZESZŁOŚCIĄ

Witryna dwupółmetrowej szerokości. Za szybą, na tle draperii z czarnego dżerseju stał łysy chromowany manekin bez twarzy, ubrany w powiewną, szkarłatną suknię. Żeby wejść, trzeba było nacisnąć dzwonek.

W środku lustrzane ściany i podłoga z czarnego granitu wibrowały do taktu *Young Americans* Davida Bowie, z basami podkreconymi tak, że głowa pękała. W lustra wmontowane były żelazne bolce, z których na chromowanych wieszakach zwisały ubrania. Aksamit, krepa, skóra, jedwab, wszystko poniżej rozmiaru dziewięć. Para pomarańczowych, stylizowanych na art deco i zaprojektowanych przez jakiegoś sadystę krzesel zagradzała wąską przestrzeń. Na trapezowej szklanej płycie, która pełniła funkcję stołu, leżały ułożone w wachlarz egzemplarze „Vogue”, „Talk” i „Buzz”. Żadnej lady czy nawet kasy. Za tylną ścianą mieściły się przebieralnie. Po prawej – drzwi z napisem NIE WCHODZIĆ. W powietrzu unosił się słodkawy zapach dymu z dobrej marihuany.

Za jednym z pomarańczowych krzesel stała niebezpiecznie chuda, młoda dziewczyna w niebieskim

kostiumie, wypinając biodra i przyglądając się nam uważnie. Białe sandały na szpilkach zrównywały ją wzrostem z Milem. Różowe białka, rozszerzone źrenice. Nie było ani popielniczki, ani peta. Może go połknęła. Przez materiał kostiumu prześwitywała perłowa skóra. Wydawało mi się, że ma zbyt dużo żeber, i złapałem się na tym, że próbuję je policzyć.

– Tak? – Głęboki głos, prawie męski.

– Potrzebuję czegoś w rozmiarze cztery – powiedział Milo.

– Na kogo?

– Na mój kciuk. – Zbliżył się do niej. Dziewczyna cofnęła się i skrzyżowała ręce na piersi. Muzyka nadal dudniła w najlepsze, zacząłem się rozglądać za głośnikami. W końcu je zauważyłem: małe białe dyski w rogach pomieszczenia.

Milo wyciągnął odznakę. Zamiast się zdenerwować, dziewczyna uspokoiła się.

– Czy jest Gretchen Stengel?

Dziewczyna rozłożyła ręce niedbałym ruchem.

– Nie widzę jej.

Milo sięgnął do jednego z wieszaków i zdjął czarny garnitur.

– Garderoba z przeszłością, hę?

Dziewczyna ani drgnęła. Sprawdził metkę.

– Lagerfeld... Jaką przeszłość ma ten gajer?

– Dwa lata temu był na rozdaniu Oscarów.

– Serio? Czy wygrał i w przemowie podziękował maluczkim?

Dziewczyna prychnęła.

– To gdzie jest Gretchen?

– Jeśli zostawicie nazwiska, powtórzę, że byliście.

– Jejku, wielkie dzięki. A ty się nazywasz...

– Stanwyck.

– Stanwyck jaka?

– Po prostu Stanwyck.

– A – powiedział Milo. Puścił rękaw garnituru, zwrócił się w jej stronę i stanął w jednej z tych póz, które sprawiają, że wygląda na wyższego, niż można by przypuszczać. – Czy w pracy nie wymagają także imienia?

Jej usta złożyły się w różowe kółeczko.

– W czym jeszcze mogę panom pomóc?

– Gdzie Gretchen?

– Wyszła na lunch.

– Późny lunch?

– No tak.

– Gdzie?

Stanwyck zawahała się.

– No, Stan – powiedział Milo. – Albo powiem Oliemu.

Zamrugła nerwowo.

– Nie jestem jej osobistą sekretarką.

– Ale wiesz, gdzie jest.

– Płacami tylko za to, że tu jestem. To wszystko.

– Stan, Stan – westchnął Milo. – Po co to komplikować?

– Gretchen nie lubi rozgłosu.

– Cóż, świetnie to rozumiem. Ale sława jest jak źle ułożony pies, no nie? Karmisz go i myślisz, że masz wszystko pod kontrolą, ale on i tak czasem cię dziabnie. No to gdzie ona, do cholery, jest?

– Na tej samej ulicy. – Podała nazwę modnej restauracji.

Milo skierował się do wyjścia.

– Tylko nie mówcie, że wam powiedziałam! – zawołała Stanwyck.

– Obiecuję – powiedział Milo.

– Jasne – odgryzła się dziewczyna. – I do tego jeździsz porschakiem, masz dom na plaży i nie spuścisz mi się w usta.

Minęliśmy kelnerów i po betonowych schodach, przez małą drewnianą furtkę weszliśmy do przyulicznego ogródka, wzbudzając zaciekawienie gości. Sfrustrowani faceci z włosami związanymi w kucyk, duże białe talerze z małymi porcjami czegoś zielonego. Modnisie, chociaż wiele osób było ubranych jeszcze gorzej niż Milo. Ale znacznie drożej, co każdy od razu zauważył. Dwaj główni kelnerzy, chudzielcy ubrani w białe marynarki i czarne koszulki, byli zbyt zajęci, żeby nas zatrzymać. Ale jeden z nich zauważył, jak wchodziliśmy do jadalni w głębi.

Sala była niska, ciemna, tandetnie urządzona i panował w niej straszliwy hałas. Kiedy przedzieraliśmy się między stolikami, usłyszałem faceta w hawajskiej koszuli za pięćset dolców, zwracającego się do kelnera:

– Proszę mi poopowiadać o krabowych ciasteczkach.

Gretchen Stengel siedziała naprzeciw szczupłej czarnoskórej kobiety przy stoliku w samym rogu. Między nimi stała niebieska butelka wody dla wybrańców losu. Murzynka dłubała w sałatce, a Gretchen wywijiała rakiem nadzianym na wykałaczkę.

Łatwo rozpoznałem burdelmamę zachodniej dzielnicy; trzy lata temu przez miesiące rozpisywały się o niej gazety, a od tego czasu, nie licząc kilku zmarszczek, za bardzo się nie zmieniła.

Zapadnięte policzki, opadające kąciki ust, proste kasztanowe włosy, od pasa w górę chuda, ale z szerokimi biodrami i grubymi nogami. Pamiętam, jak człapała niezgrabnie jak kaczka do sali sądowej i z powrotem. Brązowe oczy, których stan podobno wymagał ciemnych okularów. Dzisiaj okulary też były na swoim miejscu – owalne duże szkła, które pozbawiały twarz wyrazu.

Bładość jej cery można łatwo wytłumaczyć dwuletnim pobytem za kratkami, ale była blada także przed wyrokiem. Kapelusze z szerokimi rondami, białe jak w teatrze kabuki makijaż, ogromne czarne okulary podsycaly plotki, że nienawidzi słońca. Ciekawy wybór, jeśli to był rzeczywiście wybór, jak na dziewczynę, która dorastała na plaży. Ale z drugiej strony, większość córek prawników z Pacific Palisades nie wyrasta na stręczycielki.

Gretchen Stengel wychowała się na dwóch akрах rezydencji z widokiem na ocean, chodziła do szkoły Peabody, jeździła na letnie obozy dla rozpieszczonych dzieciaków lub spędzała wakacje w pałacykach w południowej Francji albo weneckich willach. Zanim wkroczyła w wiek dojrzewania, co najmniej tuzin razy leciała concordem.

A ten wiek dojrzewania był burzliwy. Po jej aresztowaniu dziennikarze wykryli, że miała problemy z nauką została parokrotnie zatrzymana za posiadanie narkotyków, począwszy od czternastego roku życia przeszła około tuzina aborcji. W wieku dwudziestu lat zrezygnowała z nauki w stanowym college'u w Arizonie, nie wybrała sobie nawet specjalizacji. Chodziły też plotki, że zagrała w kilku tanich pornosach z wieloma partnerami, z których nie wszyscy chodzili na dwóch nogach.

Przed aresztowaniem żaden z jej młodzieńczych wybryków nie przeniknął do opinii publicznej, nie została też prawnie ukarana. Mildrew i Andrea Stengelowie byli współwłaścicielami wpływowej kancelarii Munchley, Zaballa i Carter. Po opuszczeniu college'u Gretchen przeprowadziła się z

powrotem do rodzinnej rezydencji i zamieszkała w domku dla gości. Chodziła na wernisaże kiepskiej sztuki, na premiery filmów, które zrobiły klapę, zadawała się ze spoconymi tłumami europejskiego śmiecia, zaludniającego kafejki na Sunset Plaza. Każdemu, kto chciał jej słuchać, wmawiała, że pracuje nad scenariuszem filmowym i lada moment podpisze umowę z jednym z wielkich niezależnych producentów.

W pewnym momencie odkryła długo nieujawniane talenty organizacyjne i zaczęła zbierać wokół siebie małą armię prostytutek; dziewczyn ze świetnymi ciałami, świeżymi buziami i umiejętnością płacenia kartami kredytowymi. Żadna z nich nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat; niektóre znała jeszcze ze szkoły Peabody, inne wypatrzyła na Sunset Boulevard albo na Colony. Wiele z nich nie było prostytutkami. Wszystkie świetnie udawały niewinność.

Centrum operacyjne Gretchen mieściło się w domku za basenem rodziców. Nazywała swoje pracownice „agentkami” i wysyłała je do barów w hotelach z „Beverly” w nazwie. Klienci płacili za pokój i usługę, dziewczyny brały na siebie wydatki na ubrania, kosmetyki i antykoncepcję, a Gretchen fundowała im co kwartał badania lekarskie. Wydatki Gretchen ograniczały się do płacenia za lekarza i za telefon. Kiedy Gretchen miała dwadzieścia pięć lat, zarabiała rocznie siedmiocyfrową sumę, w której przy wypełnianiu zeznań podatkowych pomijała jedno zero.

Nie wiadomo dokładnie, co ją ostatecznie pogrążyło. Wir plotek wyrzucał nazwiska jej sławnych klientów: gwiazd Hollywood, producentów filmowych, polityków, przedsiębiorców. Podobno Gretchen nadepnęła na odcisk policji w Los Angeles. Ale nigdy nie podano listy jej klientów, a sama Gretchen nie pisała podczas rozprawy ani słowa.

Proces rozdmuchano w mediach do rozmiarów reality show. Potem jej obrońca skłonił ją żeby przyznała się do unikania podatków przez jeden rok oraz do prania brudnych pieniędzy, dzięki czemu wytargował wyrok trzydziestu dwóch miesięcy więzienia i grzywny. Gretchen odsiedziała cicho wyrok: żadnych wywiadów, żadnych prób przypodobania się władzom. Za dobre sprawowanie odjęto jej siedem miesięcy.

Teraz sprzedawała używane ciuchy w ekskluzywnym butik, który śmierdział marihuaną i zatrudniała tam swoje były „agentki”.

Sugerowało to nieumiejętność uczenia się na własnych błędach.

Obarczenie winą jej rodziców było łatwe, ale stanowiło tylko wymówkę. Jej starszy brat został zasłużonym chirurgiem, a młodsza siostra prowadziła szkołę muzyczną w Harlem. Po aresztowaniu ktoś zasugerował syndrom średniego dziecka. Równie dobrze można było upatrywać przyczyny w cyklach księżycy. Mildrew i Andrea Stengelowie byli wziętymi adwokatami, ale znajdowali też czas na wychowywanie dzieci. Tydzień po skazaniu Gretchen zrezygnowali z praktyki i przenieśli się do Galisteo w Nowym Meksyku, żeby „wieść prosty żywot”.

Podeszliśmy do stolika. Gretchen musiała nas zauważyć, ale zignorowała naszą obecność i wykręcała ogon raka. Zbliżyła skorupiaka do ust, ale zmieniła zdanie, odsunęła rękę i przytknęła go, jakby chciała go reanimować. Potem znowu ruch w kierunku ust. Polizała go, ale nie ugryzła. Jakaś

sztuczka kobiety na diecie? Baw się kaloriami, ale ich nie pożeraj?

Goście przy sąsiadujących stolikach zaczęli się na nas gapić. Gretchen nie zareagowała. Jej towarzyszce szybciej puszczały nerwy; dłubała w sałatce coraz bardziej nerwowo. Ślimaki z jakąś poszatowaną zieleniną. Była w wieku Gretchen, miała krótkie włosy, wysokie kości policzkowe, lekko skośne oczy, żółtą letnią sukienkę bez rękawów, naszyjnik i kolczyki z różowych koralii. Długie, zakrzywione paznokcie pociągnięte lakierem o jeden odcień bledszym od biżuterii. A wszystkie te kolory na tle nieskazitelnej czarnej skóry.

Za to cera Gretchen była w fatalnym stanie. Jej właścicielka miała na sobie czarną koszulkę i czarne leginsy. Można było odnieść wrażenie, że od tygodnia nie myła włosów. Czarne szkła zrobiły swoje, przenosiły ją w inne miejsce.

Milo stanął tak, żeby móc się uśmiechnąć do ciemnoskórej kobiety.

– Fajna sukienka. Ma jakąś przeszłość?

W odpowiedzi bolesny uśmiech.

– Mam robala – oznajmiła Gretchen, wymachując martwym rakiem. – To jest właśnie robal. – Nosowy, skrzeczący głos. Murzynka skrzywiła się.

– Dzięki za lekcję biologii, panno Stengel – powiedział Milo.

– To właściwie są pająki – powiedziała Gretchen, po czym zwróciła się do Murzynki: – Myślisz, że pająki są smaczne? – Gdy mówiła, jej usta ledwo się poruszały. Ciemnoskóra odłożyła widelec i chwyciła za serwetkę.

– A na przykład stonogi i muchy? – kontynuowała Gretchen. – Albo pijawki.

– Albo Lauren Teague – powiedział Milo.

Murzynka wytarła usta. Gretchen ani drgnęła.

– Lauren... – powtórzył Milo.

– To po prostu imię – odpowiedziała Gretchen.

– Przepraszam – powiedziała jej towarzyszka, wstając od stołu.

– Proszę zostać – powiedział Milo.

– Muszę pójść do toalety. – Sięgnęła po torebkę.

Milo zagroził jej przejście.

– Proszę – powiedziała błagalnie.

Rozmowy przy sąsiednich stolikach umilkły. Podszedł pomocnik kelnera. Spojrzenie Mila sprawiło, że się wycofał, ale chwilę później pojawił się kelner w białej marynarce.

– Panie władzo – powiedział, stając przy boku Mila i uśmiechając się szeroko. – Jest pan funkcjonariuszem policji?

– A ja chciałem być delikatny.

– Proszę pana, to nie czas ani miejsce...

Gretchen bawiła się skorupiakiem, Murzynka spuściła głowę.

– Na co? – zdziwił się Milo.

– Proszę pana – powiedział Biała Marynarka. – Ludzie chcą zjeść w spokoju. Pan przeszkadza.

Milo zobaczył przy jednym z sąsiadujących stolików wolne krzesło, przysunął je sobie i usiadł.

– Czy nadal się wyróżniam?

– Panie władzo, naprawdę.

– Olej to, Damien – powiedziała Gretchen. – Daj nam spokój, znam go.

Damien popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Jesteś pewna, Gretch?

– Tak, tak – machnęła rakiem. – Powiedz Joelowi, żeby go na przyszłość lepiej doprawił.

– Och – zatrzepotał powiekami Damien, wyginając z afektacją usta. – Jest mdły?

– Jeśli masz kubeczki smakowe.

– Och, nie! Pozwól, że przyniosę ci trochę sosu, Gretch...

– Nie, to nic nie da – westchnęła Gretchen. – Za późno. Mięso powinno się poddusić w przyprawach.

– Naprawdę, Gretch...

– Nie, Damien.

Damien uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Tak mi przykro, Gretch. Każę ci zaraz przygotować następną porcję... – Nie trzeba. Nie jestem głodna.

– Okropnie się czuję.

– Nie przejmuj się – powiedziała Gretchen, przytkając raka w ogon. – Tylko postarajcie się następnym razem.

– Tak. Oczywiście. Na pewno. – Do czarnej kobiety: – A twoje dobre?

– Doskonale – odparła ponuro. – Przepraszam, muszę do toalety. – Wstała. Metr osiemdziesiąt bez obcasów, gibka jak pantera. Spojrzała na swoją torebkę, ale jej nie wzięła. Przeszła koło mnie i znikła.

– Naprawdę, Gretch, mogę ci zaraz przynieść drugą porcję – nalegał Damien.

– Nie trzeba – powiedziała, posyłając mu całusa. – Idź już.

Kiedy odszedł, popatrzyła na mnie.

– Siadaj. Na miejscu Ingrid. Jej nie będzie przez jakiś czas. Zapalenie pęcherza. Mówię jej, żeby piła sok z żurawin, ale go nienawidzi.

– Stara znajoma? – zapytał Milo.

– Nowa znajoma.

– Porozmawiajmy o Lauren Teague. Ktoś ją zastrzelił i porzucił ciało na śmietniku.

Wyraz twarzy Gretchen nie zmienił się. Odłożyła raka.

– Co za okropność. Myślałam, że jest na to za mądra.

– Na co?

– Żeby wracać do roboty beze mnie.

– Myślisz, że to ją zabiło?

Zdjęła okulary. Brązowe oczy były przeszywające i skoncentrowane; problemy z nauką w dzieciństwie wydawały się odległe. Zastanawiałem się, ile plotek na jej temat to prawda.

– Ty też tak myślisz – powiedziała.

– Dlatego tu jesteś.

– Czy kontaktowałyście się ze sobą?

Gretchen pokręciła głową.

– Kiedy to rzuciłam, odciąłam się od nich wszystkich.

– Kiedy ostatnio widziałaś Lauren?

Gretchen zaczęła dłubać w zębach. Krótkie paznokcie bardzo się do tego nadawały. Wyjęła z raka wykałaczkę.

– Zrezygnowała, zanim skończyłam działalność.

– Kiedy?

– Jakiś rok wcześniej.

– Dlaczego? – zapytał Milo.

– Nigdy mi nie powiedziała.

– Nie pytałaś?

– A po co? – powiedziała Gretchen. – Nie miałam kłopotów ze znalezieniem zastępstwa.

– Jak sądzisz, dlaczego odeszła?

– To mogło być cokolwiek.

– Nigdy o tym nie dyskutowałyście?

– Nie. Przysłała mi emaila, a ja jej odesłałam odpowiedź.

– Lubiła komputery? – zapytał Milo.

Gretchen się roześmiała.

– Powiedziałem coś zabawnego?

– Zaraz zapytasz, czy lubiła lodówki. – Ponownie nabiła raka na wykałaczkę.

– Więc nie masz pojęcia, dlaczego odeszła?

– Nie.

– Co jeszcze pamiętasz na jej temat?

– Świetne ciało, wiedziała, jak robić makijaż, nie potrzebowała operacji plastycznych. Niektórzy klienci nie lubią silikonu.

– Czy myślisz, że mogła podłapać stałego klienta?

– Wszystko jest możliwe.

– Czy wiesz, że poszła na uniwersytet?

– Serio? – zdziwiła się Gretchen. – No, no, to się nazywa samodoskonalenie. – Skrzyżowała ręce na brzuchu.

– Czy kiedy dla ciebie pracowała, narzekała na jakichś klientów?

– Nie.

– Żadnej skargi?

– Radziła sobie z ludźmi. Żał mi było się z nią rozstać.

– Czy miała jakąś specjalność?

– Oprócz tego, że była wystrzałowa, bystra i dobrze wychowana?

– Żadnych zbereźności?

– Zbereźności? – Uśmiechnęła się.

– No, coś nienormalnego.

Gretchen wybuchnęła śmiechem.

– Jak ja mogę w ogóle zacząć odpowiadać na to pytanie?

– Na przykład „tak” lub „nie”. Potem trochę szczegółów.

Gretchen rozsiadła się, skrzyżowała nogi. Oparła plecy o ścianę.

– Prawda jest taka, że ludzie są przygnębiająco normalni.

– Faceci płacili grubą kasę za zwyczajny seks?

– Płacili za to, żeby mieć seks na własnych warunkach.

– Więc Lauren w niczym się nie specjalizowała?

Wzruszyła ramionami.

– A co ze specjalnymi klientami? Z facetami, którzy prosili właśnie o nią?

Gretchen potrząsnęła głową. Podniosła raka i przypatrywała mu się chwilę.

– Patrzcie na te oczy. Wyglądają, jakby wiedział.

– Co wiedział?

– Że nie żyje.

– Kto zamawiał Lauren? – zapytał ponownie Milo.

– Nikt szczególny nie przychodzi mi do głowy.

Milo przysunął do niej swoje krzesło. Kiedy szepnął jej coś do ucha, a ona się uśmiechnęła, wyglądali jak kochankowie.

– Pomóż mi – powiedział. – Mówimy o morderstwie.

– Mogę ci pomóc, jeśli chcesz kupić sukienkę. – Odchyliła głowę i zlustrowała go od stóp do głów. – Nie sądzę, żebyśmy miały coś w twoim stylu.

Milo nie odpuszczał.

– Ktoś ją związał, strzelił w głowę i wrzucił do kontenera na śmieci. Daj mi jakieś nazwisko. Kogoś, kto domagał się Lauren.

Gretchen dotknęła jego krawata, podniosła i pocałowała jego koniuszek.

– Fajny syntetyk.

– A dziewczyna, która z nią pracowała? To też od ciebie?

– Jeśli dobrze pamiętam, pracowała sama.

– A Michelle?

– Michelle – powtórzyła. – Jaka Michelle?

– Brunetka, która robiła z Lauren striptizy na imprezach, kiedy jeszcze pracowałeś w tym fachu. Czy to była jedna z gałęzi twojego biznesu?

– Nie. Byłam wyspecjalizowana.

– W czym?

– Umawiałam spotkania.

– Samo bara-bara? – uśmiechnął się Milo. – Więc Lauren i Michelle dorabiały na boku?

Gretchen znowu się uśmiechnęła.

– Jesteś słodki.

– Czy Michelle pracowała dla ciebie?

– To często spotykane imię.

– A nazwisko?

Gretchen przysunęła usta do jego ucha i je polizała. Zaśmiała się krótko i nieuprzejmie.

– Nie mam ci nic do zaoferowania, bo jestem niczym. Jestem okruchem w pępku najmniej ważnej istoty we wszechświecie. I to czyni mnie wolną.

– Jesteś czymkolwiek, tylko nie niczym – powiedział Milo. – Powiedziałbym, że jesteś osobistością.

– Jesteś taki słodki – odpowiedziała Gretchen. – Założę się, że dobrze traktujesz kobiety.

Teraz Milo się uśmiechnął.

– No to rzuć mi jakąś kość. Nieoficjalnie. Jak nazywa się ta Michelle?

– Michelle, *ma belle*. *Son les* jakoś tam. – Gretchen zaczęła się bawić rakiem. – Te oczy. On mówi: Pozwólcie mi martwemu i ugotowanemu leżeć na tym talerzu, ale nie naruszajcie mojego ciała. Nie przezuwajcie.

– Lauren została naruszona.

– Naprawdę powinni usunąć oczy – szepnęła Gretchen.

– Więc nic mi nie powiesz?

– Miłego dnia – odparła Gretchen.

Kiedy wychodziliśmy, natknęliśmy się na Ingrid. Milo zaszedł jej drogę.

– Lauren Teague została zamordowana. Lawendowe usta rozwarły się.

– Och. – Potem: – Jaka Lauren?

– Stara znajoma Gretchen.

– Ja jestem jej nową znajomą.

– Nie wydaje mi się, słonko – powiedział Milo. – Myślę, że znacie się od bardzo dawna. Dziesięć do jednego, że w mig wydobanę twoją kartotekę. – Pstryknął jej przed twarzą palcami. – Widziałaś ostatnio Michelle?

– Jaką Michelle?

– No, no, ta sama piosenka. Michelle, wysoka brunetka, która kiedyś tańczyła z Lauren.

Ingrid pokręciła głową. Milo chwycił ją za ramię.

– Możemy o tym pomówić na komisariacie albo będziesz mogła skończyć swój posiłek.

Ingrid wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na Gretchen.

– Nie martw się – rzekł Milo. – Nie zdradzę jej, że mi powiedziałaś.

– Co?

– Jak ma na nazwisko Michelle.

– Nie znam żadnej Michelle. Słyszałam tylko o Michelle Salazar. Czy Gretchen coś zjadła?

– Niewiele.

– Cholera! Ona musi jeść. Proszę, następnym razem nie niepokójcie jej przy jedzeniu.

Milo sprawdził Salazar Michelle w policyjnej bazie danych.

Na ekranie wyświetliły się dane trzech osób: Michelle Angela, 47, drobne kradzieże, Michelle Sandra, 22, odbywa karę za zabójstwo w Arizonie i Michelle Letitia, 26, dwa lata temu aresztowana za prostytutkę, rok później za posiadanie narkotyków.

– To ta – powiedziałem. – Wiek się zgadza.

– Echo Park. Jedziemy. Poznasz ją?

– Raczej nie, było ciemno – powiedziałem. – Ale może...

Michelle Salazar mieszkała w otynkowanym na brzoskwiniowo dwupiętrowym domu przy krętej uliczce nieco na wschód od Micheltoren i dwie ulice na północ od Sunset Boulevard. Brunatne niebo wisiało nisko nad wybojami, kanciaste hieroglify opowiadały sagi gangów, dzieci bawiły się w kurzu. Dwa bloki dalej grupka młodzieńców z wygolonymi głowami w białych podkoszulkach i luźnych portkach otaczała starą białą półciężarówkę, racząc się piwem i papierosami.

Kiedy wyszliśmy z nieoznakowanego samochodu Mila, kilku piwoszy zaczęło się nam przypatrywać. Prawa ręka Mila była rozluźniona, ale kiedy im zsalutował, trzymał ją w pobliżu pistoletu. Grupka z wysiłkiem powstrzymała się od komentarza. Byliśmy na terenie Rampants Dwision, gdzie parę lat temu wybuchł skandal – policjanci zawiązali własny gang przestępczy. Policja Los Angeles tak długo wmawiała opinii publicznej, że źli gliniarze nie istnieją aż straciła wiarygodność.

W drzwiach do budynku brakowało zamka. W środku unosił się odór starego taniego żarcia. Skrzynki pocztowe na prawej ścianie były nieoznakowane i pozamykane na kłódki. Milo zapukał do pierwszych drzwi i nie otrzymał żadnej odpowiedzi, zapukał do następnych i usłyszał okrzyk „*Si*”

– *Policia* – powiedział cicho, ale nie mogło to zabrzmieć zachęcająco.

Długa cisza, potem kobieta zapytała:

– *E?*

– *Policia.*

– *Policia por qué?*

– *Señora, donde está Michelle Salazar, por favor?*

Nic.

– *Señora?*

– *Número seis*. – Radio zostało podkreślone na tyle głośno, by uniemożliwiało dalszą rozmowę. Poszliśmy w stronę schodów.

Na piętrze uderzyły nas odmienne zapachy: pranie, mocz, oranżada.

Milo zapukał. Kolejny kobiecy głos zapytał: „Tak?” i zanim zdążył odpowiedzieć, drzwi uchyliły się na jakieś dziesięć centymetrów. Ukazała się połowa kobiecej twarzy przecięta łańcuchem do drzwi. Jedno brązowe wilgotne oko, na wpół rozwarte wargi, żółtawa cera.

– Michelle Salazar? Detektyw Sturgis. – Drzwi zaczęły się zamykać, zablokował je stopą sięgnął ręką do środka i odpiął łańcuch.

Nie poznałem jej, ale czułem, że to ona.

Kiedy widziałem ją ostatnio, miała obie ręce.

Nosiła nylonowy, wystrzępiony szlafrok. Była jakieś dziesięć kilogramów cięższa niż wtedy, gdy oglądałem ją tańczącą z Lauren. Ładna niegdyś buzia napuchła w niewłaściwych miejscach, na podbródku i czole widniały pryszczki. Te same, wspaniałe, kruczoczarne włosy. W ręku trzymała zapalonego papierosa z ilością popiołu, która urągała prawom grawitacji. Lewy rękaw był spięty na wysokości łokcia i zwisał luźno. Nie miała całej ręki.

– O kurwa – powiedziała. – Nic nie zrobiłam. Zostawcie mnie w spokoju. – Nie przyszliśmy cię gnębić, Michelle.

– No jasne. – Pokój za jej plecami zawalony był brudnymi ubraniami, resztkami jedzenia oraz czymś, co na szarym linoleum wyglądało jak psie kupy. Jakby na potwierdzenie tego spostrzeżenia pojawiło się pozbawione sierści małe coś z białym łebkiem. Chwilę później rozległ się wysoki skowyt.

– Wszystko w porządku, dziecino – powiedziała Michelle.

Pies zaskowyczał jeszcze parę razy, nim, rozdygotany, ucichł.

– Co to jest, meksykański piesek?

– Gówno cię to obchodzi. Peruwiańskoinkaska orchidea – wymamrotała.

W jej oddechu czuć było alkohol. Na szyi miała fioletowy siniak.

– Ktoś się z tobą źle obchodzi? – zapytał Milo.

– Nie – odparła. – To tak dla zabawy. Mam już tego dość, człowieku. Pomęczcie kogoś innego. Zawsze, kiedy macie wolny czas, przychodźcie się na mnie wyżyć.

– Niepokoi panią policja, he?

– Jesteście jak naziści.

– Widzę, że tracą czas – zauważył Milo. – Przecież tu jest jak w kościele.

Michelle podrapała się po brzuchu.

– Po prostu dajcie mi spokój.

– Ci z Ramparts często cię odwiedzają, he?

– Jakbyś nie wiedział.

– Nie wiem. Jestem z zachodniego Los Angeles.

– To znaczy, że zabłądziłeś.

– Nie chodzi o ciebie, Michelle. Tylko o Lauren Teague.

Zamrugła gwałtownie.

– O co?

– Jestem z Wydziału Zabójstw. – Pokazał odznakę. – Lauren Teague została zamordowana. – Kolejny raz przedstawił szczegóły sprawy. Jeszcze się do tego nie przyzwyczailem, więc coś ścisnęło mnie w żołądku.

Michelle zaczęła się trząść.

– O Boże, o Chryste, nie kłamiecie? – Niestety nie, Michelle. Możemy wejść?

– Straszny tu bajzel.

– Nie interesuje mnie dekoracja wnętrza. Chcę porozmawiać o Lauren.

– Tak, ale...

– Nie obchodzi mnie też zawartość twojej domowej apteczki, Michelle. Chodzi wyłącznie o zabójstwo Lauren.

Nadal się trzęsąc, prawą ręką złapała pusty rękaw i ścisnęła go. – Nie o to chodzi, tylko... Ktoś tu jest.

– Ktoś, kto nie powinien słyszeć naszej rozmowy?

– Nie... – spojrzała za siebie. – On nie znał Lauren.

– Jeśli nie wyjdzie i nie zacznie nagle do nas strzelać, nie będzie mi przeszkadzać.

– Poczekajcie – powiedziała. – Muszę mu powiedzieć, że jesteście.

– Chyba nie będziesz próbowała uciekać, Michelle?

– Jasne, wyskoczę przez okno z pierwszego piętra. Jeden z was może poczekać na dole, żeby mnie złapać?

– Zrobmy tak – zaproponował Milo. – Pokażesz nam swojego kochasia, a potem może sobie spać dalej, czy co on tam robi.

– Niech będzie – odparła, idąc do drugiego pokoju. Zatrzymała się. – Lauren naprawdę nie żyje?

– Na sto procent, Michelle.

– Kurwa, niech to. – Orzechowe oczy zaszklily się. – Poczekajcie. Czekaliśmy w drzwiach i po kilku chwilach po lewej stronie pojawił się mężczyzna w czerwonych szortach. Mógł mieć jakieś trzydzieści pięć lat. Rozczochrane jasne włosy, kozia bródka i zaspane, blisko siebie osadzone oczy. Ramiona pokryte tatuażami i sznytami, na piersiach wysypka. Trzymał ręce w górze, przyzwyczajony do poddawania się. Przygotował się do bycia obszukanym. Za jego plecami stanęła Michelle, mówiąc:

– Oni są w porządku, Lance. Wracaj do łóżka.

Lance popatrzył na Mila, czekając na potwierdzenie.

– Miłych snów, Lance.

Mężczyzna wrócił do sypialni, a Milo wszedł do mieszkania, manewrując między psimi odchodami i omiatając wzrokiem cały pokój. Pomieszczenie pełniło funkcję kuchni: palnik elektryczny, mała lodówka i tylko jedna szafeczka, wisząca krzywo na ścianie. Blat z potłuczonymi kafelkami był zastawiony pustymi puszkami po napojach i pudełkami po jedzeniu na wynos. Spod jednego z talerzy w górę ściany wędrowała nitka mrówek. Dwa małe okna brązowe od brudu. Podłoga dudniła od latynoskiej muzyki, puszczonej przez sąsiadów z dołu. Może tych samych, do których poprzednio zapukaliśmy.

Umeblowanie ograniczało się do krzesła i zniszczonej brązowej kanapy zawalonej kolejną partią śmieci: zgniecionymi paczkami po papierosach pudełkami od zapalek i psimi gówienkami. Obok stał ogrodowy stolik do kawy, udekorowany w podobny sposób.

Michelle stała, obserwując nas i miętosząc ręką szlafrok.

– Proszę siadać.

– Dzięki, siedzieliśmy cały dzień. Opowiedz nam o Lauren.

Michelle usiadła i posadziła sobie na kolanach psa, który nie ruszał się, ale był czujny.

– Strasznie mnie zdołowaliście tą wiadomością.

– Przykro mi – powiedział Milo.

– Jasne. – Zadyndała pustym rękawem. – Jestem jak pirat, widzicie? Jak kapitan Hook, tylko nie mam haka. – Pogłaskała psa. – Infekcja. Ale nie AIDS. Jeśli chcecie wiedzieć.

– Od dawna? – zapytałem. Przez chwilę zdawało mi się, że mam do czynienia z pacjentką. Jeśli Milo nie był zadowolony z tego, że się wtrącam, to tego nie okazał.

– Od paru lat – powiedziała Michelle. – To była jedna z tych mięsożernych bakterii. Mówili, że mogłam umrzeć. – Lekki uśmiech. – Może powinnam. Facet, z którym wtedy mieszkałam, nie chciał mnie zabrać do szpitala, tylko powtarzał, że to ugryzienie komara albo pająka. Nawet kiedy rozeszło się na całą rękę. Potem połowa ciała spuchła mi jak balon i wszystko zaczęło się psuć, a on mnie zostawił. Kiedy po mnie przyjechali... Jezu, myślałam, że znikam. I do tego cholernie bolało.

– Przykro mi – powiedział Milo.

– Naprawdę.

– Jasne, a teraz mówicie mi o Lauren... Nie mogę w to uwierzyć.

– Kiedy ją ostatnio widziałaś, Michelle?

Popatrzyła w sufit.

– Rok temu. Nie, później. Jakies pięć, sześć miesięcy temu. Chyba pięć. Wpadła i przyniosła mi pieniądze.

– Czy często tak robiła?

– Nie często, ale co jakiś czas wpadała. Przynosiła jedzenie i inne rzeczy. Zwłaszcza, jak mnie wypuścili ze szpitala. Kiedy byłam w szpitalu, tylko ona mnie odwiedzała. A teraz nie żyje. Po kiego chuja Bóg stworzył cały ten pojebany świat? Jest jakimś pierdolonym sadystą, czy jak?

Opuściła głowę, odgarnęła dłonią włosy, mruczac:

– Porozdwarzane końcówki. Gówniany szampon.

– Pięć miesięcy temu? – indagował Milo. – Jak się wtedy miewała?

Spojrzała na nas.

– Ona? Świetnie.

– Ile pieniędzy ci wtedy przyniosła?

– Siedem stów.

– Hojna.

– Przyjaźniłyśmy się od dawna. – Jej oczy błysnęły. – Na początku to ja jej pomagałam; nauczyłam ją tańczyć. Przedtem tańczyła jak białe dziewczyny. Sporo ją nauczyłam.

– Czego konkretnie?

– Jak sobie radzić w życiu. Złapać odpowiednie nastawienie do rzeczywistości. Techniki. – Uśmiechnęła się, obrysowała usta koniuszkiem palca. – Była bystra, szybko się uczyła. Wiedziała, co robić z pieniędzmi. Zawsze oszczędzała, ile mogła. Ze mną było inaczej, mogłam przepuścić każdą kasę. Jestem porąbana. Nie mam na myśli tych jebanych bakterii, bo nawet przedtem byłam kompletnie porąbana. Psychiczenie.

Uniosła luźny rękaw, puściła go.

– Zostanie dziwadłem nie poprawiło mojego samopoczucia, ale jakoś sobie radzę. Zawsze znajdzie się facet, któremu się to podoba... Ale co was to obchodzi.

Sięgnęła do kieszeni szlafroka i wyjęła papierosa. Bez paczki, po prostu luzem. Łatwiej zapalić, kiedy się ma tylko jedną rękę. Milo wyciągnął zapalniczkę i przypalił jej papierosa.

– Dżentelmen. – Wciągnęła dym. – Więc kto wykończył Lauren?

– Jeszcze nie wiemy, Michelle.

Zmrużyła oczy.

– Serio nie wiecie?

– Dlatego tu jesteśmy.

– O – powiedziała. – A ja myślałam, że zwabiły was moje umiejętności. Cóż, nie mogę wam powiedzieć, kto to zrobił, bo nie wiem. Ja i Lauren... poszłyśmy różnymi drogami. Myślałam, że się pozbierała. Kiedy jeszcze tańczyłyśmy razem, myślałam, że ma większe szanse, żeby wyjść na prostą.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, jak powiedziałam, była bystra. Po drugie, nigdy za bardzo nie ćpała. Nie dostawała też świra na punkcie facetów. Do nikogo nigdy się nie przywiązywała, nie pozwalała się zranić. Prawdę mówiąc, była typem zakonnicy. Wiecie, co mam na myśli?

– Nie imprezowała? – zapytała Milo.

– Nie imprezowała – potwierdziła Michelle. – A nawet kiedy imprezowała, myślami była gdzie indziej, wiecie? Nieważne, co się działo, a robiłyśmy różne rzeczy, wierzcie mi, ona była... robiła

coś, ale nie do końca, rozumiecie?

– Była zdystansowana, niezaangażowana – odpowiedziałem.

– Tak. Na początku mnie to wkurzało. Bałam się, że jakiś klient to zauważy i cały interes weźmie w łeb. Zniknie marzenie, rozumiecie? Bo oni chcą być przez parę minut Bogiem. A widziałam, że Lauren, bez względu na to, co robiła, myślała o klientach jak o kupie gnoju. Na początku sądziłam, że jest jedną z tych dziwek, które uważają, że są lepsze. Potem zdałam sobie sprawę, że to był jej sposób na przetrwanie i zaczęłam ją za to szanować. Sama też tego próbowałam.

Odrzuciła do tyłu włosy.

– Zdystansować się. Ale nigdy mi się to nie udało. Chyba że z pomocą chemii. Zaczęłam ją za to cenić, jakby miała talent. Wiedziałam, że daleko zajdzie. A teraz... – Spojrzała na mnie uważnie. – Nie jesteś gliniarzem.

Popatrzyłem na Mila. Kiwnął głową. – Jestem psychologiem. Znałem Lauren.

– Aa – powiedziała. – To ty się nazywasz Del jakośtam?

– Delaware.

– Tak, opowiadała mi o tobie. Mówiła, że próbowałaś ją wyprostować, kiedy była dzieckiem, ale była za bardzo pokręcona, żeby skorzystać. Czy widzieliście się później? Mówiła, że chce się z panem spotkać.

– Kiedy to mówiła?

– Jak się ostatnio widziałyśmy. Pięć miesięcy temu.

– Nie, nie spotkaliśmy się. Jej matka zadzwoniła do mnie, kiedy Lauren zaginęła.

– Zaginęła?

– Została znaleziona po tygodniu – poinformował Milo. – Zostawiła samochód w garażu, nie wzięła bagaży, nikomu nic nie powiedziała. Wygląda na to, że była z kimś umówiona, a ten ktoś ją załatwił. Wiesz, kto to mógł być?

– Myślałam, że rzuciła tę robotę.

– Tak ci powiedziała?

– Tak, mówiła, że wróciła do szkoły, chciała zostać psychoterapeutką. Powiedziałam jej: „Dziewczyno, nie wyglądasz mi na japiszona, po co chcesz się zgrywać?” – a ona się tylko roześmiała. Potem powiedziałam jej, żeby się dalej uczyła, a kiedy się dowie, dlaczego faceci są tacy popaprani, ma mi dać znać.

– Musiałyście być dobrymi przyjaciółkami – powiedział Milo – kiedy jeszcze pracowałyście razem.

– Zapomina się ich – odparła Michelle. – Twarze i fiuty, jeden wielki obraz, który się gniecie i wyrzuca do kosza. Napatrzyłam się na dość tłustych tyłków i grubych brzuchów. Starczy na pół pobytu w piekle.

– Jak się pracowało dla Gretchen?

– Gretchen. – Jej twarz stężała. – Gretchen jest bez serca. Wylała mnie. Nie mam o niej nic dobrego do powiedzenia.

– A kręciły się koło was jakieś niebezpieczne typy? Klienci, których nie chciałyście widzieć drugi raz?

– Każdy może być niebezpieczny, zależnie od sytuacji.

– Czy ty i Lauren byłyście kiedyś w niebezpieczeństwie?

– My? Nie. To była nuda. Przynieś ochraniacze na kolana i udawaj, że lubisz brać w usta. Ciągłe ta sama śpiewka. Faceci, którzy myśleli, że są górą, a my wiedziałyśmy, że są żałośni – Dlaczego Gretchen cię wylała?

– Twierdziła, że nie można na mnie polegać. To co, że spóźniłam się parę razy. Nie jestem chirurgiem. Co za różnica, czy pojawię się pięć minut wcześniej czy później?

– A Lauren? Jak dogadywała się z Gretchen?

Zaciągnęła się i uśmiechnęła przez dym.

– Lauren dobrze sobie radziła z Gretchen. Całowała ją w dupę, robiła swoją robotę i można było na niej polegać. A potem sana rzuciła robotę. To było niezłe.

– Kiedy odeszła?

– Jakieś... trzy, cztery lata temu.

– Jak Gretchen na to zareagowała?

– Nie wiem, nic na ten temat nie słyszałam.

– Nie wściekła się?

– Raczej nie. Gretchen nigdy się nie wściekała, nigdy nie okazywała żadnych uczuć. Jak powiedziałam, jest bez serca. Rozprujcie ją, a zobaczycie jakiś komputerowy mechanizm. Krzemowe chipy, czy jak to tam.

– Czy Lauren miała jakichś stałych klientów? Kogoś, kto ją naprawdę lubił i było go na to stać? Kogoś, kogo ostatnio widywała?

– Nie. Lauren wszystkich ich nie znosiła. Po prostu wydaje mi się, że nienawidziła mężczyzn.

– A lubiła kobiety?

Michelle roześmiała się.

– Chodzi o seks? Nie. Robiliśmy duety, udawaliśmy to cały czas, ale Lauren w ogóle nie bardzo to wciągało. Wyłączała się. Jak powiedziałeś: była zdystansowana.

– Dlaczego odeszła od Gretchen? – spytał Milo.

– Powiedziała mi, że zaoszczędziła dość forsy, a ja jej wierzyłam. Kiedy do mnie przyszła i to powiedziała, wyglądała świetnie, miała przy sobie ten mały komputer...

– Laptop?

– Tak. Mówiła, że jest jej potrzebny w szkole. I miała na sobie poważne ciuchy, lepsze niż zwykle. To znaczy, Lauren zawsze lubiła ciuchy. Gretchen kazała nam kupować ubrania za własne pieniądze, a Lauren zawsze wiedziała, gdzie dostać tanio coś dobrego. Kiedyś pracowała w Fashion Mart jako modelka. Ale wtedy była naprawdę dobrze ubrana, w markowe rzeczy. Miała na sobie czarny kostium od Thierry'ego Muglera, leżał na niej jak ulał.

I pantofle od Jimmy'ego Choo. A ja byłam akurat w totalnym dołku, mieszkałam w strasznej norze w Highland Park. Powiedziałam jej: „Dziewczyno, igrasz z życiem, przychodząc tu tak odstawiona”. Powiedziała, że umie się obronić, pokazała mi...

Zrobiła pauzę, zaciągnęła się papierosem.

– Co takiego ci pokazała? – zapytał Milo.

– Jak się zabezpieczyła.

– Jak?

– Miała taki mały srebrny pistolecik. Całkiem ładny, mieścił się w torebce. Miała też gaz. Zapytałam: „Co to, dziewczyno, materiały do szkoły?” Powiedziała, że dziewczyna musi mieć się zawsze na baczności.

– Więc wpadła, żeby ci powiedzieć, że rzuca robotę u Gretchen?

– Tak i dała mi trochę pieniędzy. To był pierwszy raz, kiedy przyniosła mi forszę.

– Siedemset dolarów?

– Coś koło tego. Może pięćset. Zwykle przynosiła od pięciuset do siedmiuset.

– Jak często ci pomagała?

– Co parę miesięcy. Czasami po prostu wsuwała pieniądze pod drzwi. Nigdy nie dała mi odczuć, że jestem śmieciem, bo biorę od niej tę forszę. Miała klasę. Powinna się urodzić bogata.

– Czy Lauren kiedykolwiek powiedziała ci coś, co mogłoby nam pomóc w znalezieniu zabójcy? – zapytał Milo. – Na przykład, że ktoś chciał ją skrzywdzić?

– Nie, paplała tylko o nauce. Nauka to, nauka tamto. Spotykała nowych, innych ludzi, profesorów i tak dalej. – Zamrugowała. – Bardzo się emocjonowała tymi intelektualistami, profesorami. Lubiła się z nimi spotykać.

– Czy wymieniła jakieś nazwiska?

– Nie.

– Nie mówiła nigdy, że pracuje z profesorami przy jakichś badaniach?

Wbiła wzrok w podłogę. Przewróciła pieska na plecy i podrapała po brzuszku.

– Chwileczkę, myślę... Nie, nie wydaje mi się. Dlaczego?

– Bo mówiła niektórym, że prowadzi badania.

– Aha. – Znowu zamrugowała. – Mnie nic takiego nie mówiła.

– Nic? Ani słowa?

– Nie. – Rzuciła papierosa na podłogę, przydeptała obcasem, tworząc na linoleum czarną smugę, i wyciągnęła rękę do Mila. – Tyle wam mówię, więc może mnie wspomozesz, przystojniaku?

Milo wyjął portfel i wręczył jej dwie dwudziestki. Potarła palcami banknoty.

– Kiedyś robiłam znacznie mniej za znacznie więcej. Ale nic nie szkodzi. Jesteś w porządku, kochasiu.

– Więc nic nie mówiła o swojej pracy?

– Nic... Jestem już zmęczona...

Milo wręczył jej następną dwudziestkę. Rogiem banknotu połaskotała psa.

– A te pieniądze, które Lauren zaoszczędziła – kontynuował Milo – czy pochodziły z tego, co zarobiła u Gretchen?

– Chyba tak. Jak mówiłam, umiała oszczędzać. Reszta z nas wydawała pieniądze zaraz po

zarobieniu, ale Lauren była jak Scrooge, liczyła się z każdym centem.

Milo popatrzył na mnie.

– Czy Lauren mówiła coś o swojej rodzinie? – zapytałem.

– Kiedyś, na początku, ale potem przestała. Nienawidziła ojca, nie chciała o nim gadać. Mówiła, że mama jest słaba, ale w ogóle w porządku. Wyszła za męża za jakiegoś starca, zamieszkała w ładnym domu. Lauren cieszyła się, że jej się ułożyło. Mówiła, że zaczęły się dogadywać, chociaż tyle rzeczy spaprała.

– Co spaprała? – spytałem.

– No, życie. Jak my wszyscy.

– Czy wspominała kiedykolwiek, że matka chce ją kontrolować?

Wyciągnęła następnego papierosa. Zaczekała, aż Milo go zapali.

– Nie pamiętam nic takiego. Z opowieści Lauren wynikało, że jej mama jest raczej mazgajem, a nie wredną suką. – Wetknęła papierosa do ust, zaciągnęła się, wstrzymała oddech. Kiedy otworzyła usta, wypuściła kłęb dymu.

– Czyli nienawidziła ojca – podjąłem.

– Odszedł od nich, ożenił się z jakąś głupią krową, ma z nią parę bachorów. Takich małych. Powiedziała, że dzieciaki są słodkie, ale nie była pewna, czy złapie z nimi kiedyś normalny kontakt, bo ich tatuś jest dupkiem, a matka głupią cipą, i nie wiedziała, czy chce inwestować w nie swój czas. Zawsze tak mówiła. Wszystko było inwestycją, twarz, ciało, mózg. Trzeba było myśleć o tym jak o pieniądzach w banku, nie dawać nic za darmo. – Znowu głęboko się zaciągnęła. Zakasłała. Paliła gwałtownie, wypalając papierosa do samego filtra. – Była bystra. Nie powinna tak młodo umrzeć. Inni na to zasługują, ale nie ona.

– Inni?

– Wszyscy. Ktokolwiek ją zabił, będzie się za to smażyć w piekle i zjedzą go szczury. – Krzywy uśmiech. – Może będę już wtedy po drugiej stronie i sama te szczury wytrenuję.

– Pistolet i komputer – powiedziałem, kiedy wyszliśmy z budynku. Ponurzy młodzieńcy przy białej półciężarówce wcale się nie rozchmurzyli. Tym razem Milo wpatrywał się w nich, aż odwrócili głowy. – Jak to ujęła Michelle, przybory szkolne to nie były.

– Lauren powiedziała Michelle, że zerwała z prostytutką, ale nadal się sprzedawała – dodał Milo. – Nikt nie mówił, że była podenerwowana lub się czegoś bała. Ani Andy, ani Michelle, ani jej matka. Więc może pistolet miał bronić tego, co znajdowało się w komputerze?

– Dane – powiedziałem. – Coś tajnego. Pomimo że Lauren miała pistolet i wychowała się na ulicy, ktoś zdołał ją związać i zastrzelić. Może zabójca był kimś, kogo Lauren nie podejrzewała. Kimś, kogo znała i komu ufała. Na przykład dziany stały klient, który był dla niej hojny przez parę lat. Nie szantaż, tylko zapłata za usługi. Ale potem klient zdecydował, że już jej nie chce, zdał sobie sprawę z możliwego zagrożenia i postanowił się zabezpieczyć.

Wsiadliśmy do samochodu. Milo usiadł za kierownicą, wgapił się w tablicę rozdzielczą.

– Z tego wynika – zauważyłem – że Lauren została zastrzelona ze swojego pistoletu. Michelle mówiła, że był mały i srebrny. Na rynku jest pełno takich dziewięćmilimetrówek. Zamordował ją ktoś, komu ufała i pozwoliła zbliżyć się do torebki.

Milo nie odpowiadał.

– Może się zagalopowałem – powiedziałem – ale wiesz, że zawsze mówimy o tym, że zdradza nas spojrzenie, że ludzie odwracają wzrok, kiedy kłamią. Michelle zaczęła mrugać i niepokoić się, kiedy pytaliśmy o profesorów.

– Tak, też to zauważyłem. Kiedy mówiła, że Lauren lubi towarzystwo „intelektualistów”. Więc może Lauren mówiła jej o jakimś dzianym kliencie z doktoratem... Ale dlaczego nam tego nie powiedziała?

– Może uznała, że może tę informację wykorzystać.

– Szantażować mordercę? – powiedział. – To nie byłoby zbyt mądre.

– Michelle nie jest specjalnie rozgarnięta. A śmierć Lauren oznacza brak pieniędzy pod drzwiami.

Spojrzał na brzoskwiniowy budynek.

– A może po prostu wolała się powstrzymać z przyzwyczajenia. W tym fachu trzeba umieć trzymać język za zębami... Spróbuję ją jeszcze wypytać za parę dni, zobaczę, czy powie coś o bogatym intelektualistcie.

– Życiorys Bena Duggera; sposób, w jaki dorobił się firmy z biurami w Newport Beach i Brentwood, mówi, że ma forszę. Te przerwy w edukacji też są interesujące.

– Stare volvo i wytarta koszula mówią ci, że lubi szastać pieniędzmi?

– Może wydaje tylko na konkretne przyjemności. Lauren zapisała przecież jego numer telefonu. A uwaga Monique Lindquist, że nie lubi rozmawiać o seksie, ciągle mnie zastanawia. Kiedy jechaliśmy windą, był w całkiem dobrym nastroju. Podśpiewywał. Chodził tanecznym krokiem i zjadł lunch w parku. Więc albo nic nie wie o śmierci Lauren, albo jest zimnym skurwysynem. Może to nie jest teraz najważniejsze, ale chciałbym mu się kiedyś bliżej przyjrzeć.

– Rępropos najważniejsze – podchwycił. – Teraz muszę zrobić co innego. – Włączył policyjny komputer. – Zobaczmy, co o tym intelektualistcie mówią nasze komputery.

Baza danych o przestępstwach nie miała nic o Benjaminie Duggerze. Komputer wypuł tylko jego adres.

Koło plaży. Lodowy biały wieżowiec na Ocean Avenue w Santa Monica, jeden z tych poważnych budynków, które pojawiły się w Los Angeles w latach pięćdziesiątych, zaludnionych początkowo przez emerytów o średnich dochodach, dopóki ktoś nie doszedł do wniosku, że zapierający dech w piersiach widok Pacyfiku i rześkie powietrze nie są ostatecznie takie złe. Teraz ceny mieszkań w tym miejscu zaczynały się od pół miliona.

W latach dziewięćdziesiątych podwyższono standard: odmalowano budynek, zainstalowano nowe okna, zasadzono przywiezione z pustyni palmy i zamontowano drzwi wejściowe otwierane z recepcji. Staliśmy przed wejściem. Milo już trzy razy nacisnął dzwonek.

Zajrzał przez szybę.

– Odźwierny jest na swoim miejscu, gada z jakąś kobietą i udaje, że nic nie widzi i nie słyszy. – Zaklął. – Już wolę dziwki od facetów, którzy myślą, że mają jakąś władzę.

Podróż z Echo Park do Santa Monica w godzinach szczytu była wolna i męcząca. Teraz dochodziła piąta po południu. Ocean Avenue była wypełniona turystami, a restauracje różnych standardów napakowane po brzegi klientami. Po drugiej stronie ulicy pokryte solą deski i biały, radosny łuk zapraszały na nowo przebudowane moło Santa Monica. Diabelski młyn nie został jeszcze uruchomiony. Tu i ówdzie zaczęły się zapalać światła. Starzy Azjaci z wędkami schodzili z nabrzeża, a ich miejsce zajmowały trzymające się za ręce dzieciaki. Ocean o zmroku wyglądał jak płyta z polerowanego srebra.

Niedaleko stąd było Malibu, gdzie Lauren podobno przyjeżdżała, żeby odpocząć. Gdzie łączyła się z płatnym aparatem telefonicznym w Kanan-Dume.

– No, dalej – denerwował się Milo. Zadzwoił jeszcze raz, tupał nogą, zaciskał ręce. – Odwrócił się, sukinsyn. – Kopnął lekko we framugę, uderzył pięścią w szybę. – Nareszcie.

Drzwi się otworzyły. Odźwierny ubrany był w zielony uniform i dopasowaną do niego czapkę. Około sześćdziesiątki, o głowę niższy ode mnie, z poorly zmarszczkami twarzy i utrwalonym grymasem, który mówił: „Nie”.

Przyjrzał się szybko drzwi, pokiwał karcąco palcem.

– Tak nie można, mogły się zbić...

Milo zbliżył się do niego tak szybko, że przez moment myślałem, że go zmiążdży.

Zielony człowieczek cofnął się niepewnie. Jego uniform był wyprasowany, mosiężne guziki

błyszczały. Na piersi miał przyczepioną plakietkę ze złotego plastiku z napisem G_{ERALD}.

– Policja. – Odznaka błysnęła dwa centymetry od oczu Geralda.

– W jakiej sprawie?

– W naszej sprawie, policyjnej. – Milo pchnął energicznie drzwi i wkroczył do środka. Gerald pośpieszył za nim. Złapałem drzwi, nim się zamknęły i dołączyłem do korowodu.

Hol pod łukowym sklepieniem wypełniony był świeżym, słonawym zapachem i leniwymi dźwiękami gitary hawajskiej. Pomimo lustrzanych ścian było dość ciemno. Pluszowy dywan tłumił odgłosy naszych kroków. Drogę do stanowiska recepcjonisty zagradzał komplet niebieskich skórzanych foteli. Obeszliśmy je, kierując się do windy. Rozdrażniony Gerald próbował za nami nadążyć.

– Chwileczkę, proszę zaczekać!

– Już się naczekaliśmy.

– Rozmawiałem przez telefon, proszę pana.

Podeszliśmy do listy lokatorów. B. Dugger: 1053. Ostatnie piętro. Najdroższy apartament.

– To strzeżony bud...

– Czy doktor Dugger jest w domu?

– Muszę najpierw zadzwonić.

– Czy jest w domu?

– Nie wiem, dopóki nie zadzwonię.

– Nie dzwoń pan, tylko mi powiedz. No już! – Wielgachny palec Mila był wycelowany w twarz Geralda.

– Ale...

– Żadnych „ale”!

– Jest w domu.

Drzwi windy zasunęły się przed nosem sinego z wściekłości Geralda.

– Tak, wiem – powiedział Milo. – On tylko wykonuje swoją robotę. Ale gównu mnie to obchodzi.

Na ostatnim piętrze mieściły się trzy apartamenty. Dugger zamieszkiwał jeden z dwóch

wychodzących na ocean i plażę. Odpowiedział na pukanie Mila po paru sekundach. W rękę trzymał zrolowane czasopismo, na łańcuszku na szyi wisały okulary do czytania.

Ubrany w tym samym stylu co wczoraj: biała koszula z rękawami podwiniętymi do łokci, beżowe spodnie, brązowe mokasyny. Czasopismem okazało się „U. S. News”.

– Doktor Dugger? – zapytał Milo, pokazując odznakę.

– Tak, o co chodzi? – Stałem za Milem, więc Dugger nie mógł mi się dokładniej przyjrzeć.

– Chciałbym panu zadać kilka pytań.

– Mnie?

– Tak, proszę pana. Możemy wejść?

Dugger stał zdziwiony. Przez drzwi zobaczyłem okna od podłogi do sufitu, czarną granitową posadzkę i widok na bezkresny ocean. Nieliczne meble wyglądały na tanie i bez charakteru.

– Przepraszam, nie bardzo rozumiem – powiedział.

– Chodzi o Lauren Teague.

– O Lauren? Co się stało?

Milo wytłumaczył.

Dugger zbladł jak trup. Przez moment myślałem, że zemdleje i przygotowałem się, żeby go złapać. Utrzymał się jednak na nogach, tylko drapał się w policzek, jakby miał tam jakieś skaleczenie.

– O nie!

– Obawiam się, że tak, panie doktorze. Dobrze ją pan znał?

– Pracowała dla mnie. To... potworne. Mój Boże. Proszę wejść.

Apartament był bardzo przestronny, a obniżona podłoga w pokoju potęgowała jeszcze wrażenie bezkresnych przestrzeni za szklaną ścianą. Po drugiej stronie szyby nie było tarasu, tylko powietrze i nieskończoność. Jedna z niewielu betonowych ścian była pokryta metalowymi półkami, na których stały czasopisma i książki. Żadnych smakowitych zapachów dolatujących z kuchni. Żadnych śladów zadomowienia, brak kobiecej ręki. Kiedy widziałem Duggera po raz pierwszy, nie przyjrzałem się jego rękom. Zrobiłem to teraz. Nie nosił obrączki.

Usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Kiedy podniósł głowę, spojrzał na Mila.

– Na Boga, co się stało?

– Ktoś ją zastrzelił i wyrzucił na śmietnik, panie doktorze. Czy wie pan, kto mógłby coś takiego zrobić?

– Nie, oczywiście, że nie. To niewiarygodne. – Oddychał ciężko i szybko. Pokręcił głową. – Niewiarygodne...

– Jaką pracę dla pana wykonywała?

– Asystowała przy badaniach, które prowadzę. Jestem psychologiem eksperymentalnym.

– Jakie to badania, panie doktorze?

Dugger machnął ręką.

– Prowadzę małą firmę zajmującą się badaniem rynku. Głównie pracujemy na zlecenie agencji reklamowych: badanie zachowań grup potencjalnych konsumentów, ankiety i takie tam.. Biedna Lauren. Kiedy to się stało?

– Kilka dni temu. Kiedy ją pan ostatnio widział?

– Parę tygodni temu. Mieliśmy przerwę... To jest takie...

– Czym dokładnie Lauren się zajmowała? – zapytał Milo.

– Zatrudniłem ją do badań nad przestrzenią społeczną – powiedział Dugger. – Jakie to ma znaczenie?

Milo nie odpowiedział, tylko patrzył tępo na rozmówcę. To był jeden z jego trików; niektórych wyprowadza to z równowagi. Dugger zareagował inaczej; zaczął mi się przyglądać i wykrzywił usta.

– Wczoraj jechał pan ze mną windą. Śledziliście mnie? Dlaczego? Byliśmy na to przygotowani.

– Wszystko w swoim czasie – uspokoił go Milo. – Proszę nam powiedzieć, czym zajmowała się Lauren.

Dugger przypatrywał mi się przez kilka chwil – Lauren pracowała jako pomocnik doświadczalny. Ale... – Potrząsnął głową nadal błądzący jak ściana.

– Ale co?

– Chciałem powiedzieć, że jej praca nie mogła mieć z tym nic wspólnego. Ale jestem przekonany, że takie zapewnienia was nie interesują.

Milo uśmiechnął się i wyciągnął notes.

– Kto to jest pomocnik doświadczalny?

Dugger dotknął łańcuszka od okularów.

– Kimś, kogo psychologowie nazywają sadzonką. – Nie jestem psychologiem, proszę pana.

– Odgrywała pewną rolę.

– Jak w teatrze?

– W pewnym sensie – powiedział Dugger. – Lauren udawała, że jest jedną z osób poddawanych badaniu.

– Ale tak naprawdę tylko grała?

– Nie grała, tylko uczestniczyła w prowadzeniu badań naukowych. To standardowa procedura w psychologii społecznej. Częściowe wprowadzenie w błąd.

– Częściowe?

– Po zakończeniu badań uświadamiamy badanych.

– Mówicie im, że zostali oszukani?

– No... tak.

– Jak ludzie na to reagują?

– Nie ma żadnych problemów – odparł Dugger. – Dobrze im za to płacimy, a oni są dobrze usposobieni.

– Nikt się na was nie wścieka? – zapytał Milo. – Nikt, kto mógłby wyładować swoją złość na Lauren?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział Dugger. – Nie mówi pan tego poważnie... Chyba jednak tak. Nie, panie detektywie, nigdy nie mieliśmy takich problemów. Poddajemy kandydatów wstępnym testom, wybieramy tylko ludzi zrównoważonych.

– Żadnych świrów, chociaż to eksperyment psychologiczny? – Nie zajmuję się patologiami.

– Klient nie chce popaprańców – podsumował Milo.

Dugger pochylił się do przodu.

– Nie mówimy tu o niczym dziwnym. To zwykłe, kwantytatywne badania rynku.

– Nic seksownego – powiedział Milo.

Dugger się zarumienił.

– Nic kontrowersyjnego. W badaniach rynku próbuje się ustalić normy, zdefiniować to, co typowe. Dewiacja to nasz wróg. Nic, co Lauren dla nas robiła, nie mogło w żaden sposób doprowadzić do jej śmierci. Poza tym jej dane są zawsze trzymane w tajemnicy.

– Ale badani dowiadują się, że zostali przez nią oszukani?

– Tak, ale nazwisko Lauren i jej dane osobowe zawsze były utrzymywane w tajemnicy. – Głos mu zadrżał. – Nie mogę uwierzyć, że... odeszła.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej na temat pańskich badań. – Nie ma w nich nic, co mogłoby was zainteresować.

– Proszę pana, to jest śledztwo w sprawie zabójstwa i muszę wiedzieć, czym zajmowała się ofiara.

Słowo „ofiara” sprawiło, że na twarzy Duggera pojawił się bolesny grymas, na czoło wystąpiły krople potu, które otarł rękawem.

– Lauren – wymamrotał. – To takie... To okropne, po prostu okropne. – Poprawił się na krześle, zaczął się bawić okularami. Wpatrywał się we mnie, przymrużył oczy. – Badania, w których uczestniczyła Lauren, dotyczyły geometrii przestrzeni osobistej. Tego, w jaki sposób ludzie ustawiają się wobec siebie w różnych sytuacjach. Na przykład: jeśli klientem jest firma kosmetyczna, mogą być zainteresowani geometrią sfer bezpieczeństwa.

– Jak bardzo ludzie się do siebie zbliżają – powiedział Milo.

– Jak ludzie się do siebie zbliżają w różnych sytuacjach społecznych. Jak ludzie do siebie podchodzą.

– Kobiety i mężczyźni?

– Kobiety i mężczyźni, kobiety i kobiety, mężczyźni i mężczyźni. Badamy wpływ wieku, kultury, poziomu zakłóceń, atrakcyjności fizycznej. To właśnie była rola Lauren. Była bardzo piękną dziewczyną.

– Chcieliście się dowiedzieć, czy faceci podchodzą bliżej do ładnych kobiet niż do brzydkich?

– To nie takie proste. – Dugger uśmiechnął się blado. – Ale tak, z grubsza.

– W jaki sposób zwerbowaliście Lauren?

– Odpowiedziała na ogłoszenie z gazetki uniwersyteckiej. Ogłoszenie było właściwie skierowane do kandydatów na badanych. Mieliśmy się zgłosić do agencji modelek po sadzonki, ale kiedy zobaczyliśmy Lauren, zdaliśmy sobie sprawę, że świetnie się do tego nada.

– My?

– Moi pracownicy i ja. – Dugger ciągle miał zbolaną minę. Niebo za nim pociemniało, ocean zrobił się czarny, a jego twarz szara.

– Z powodu tego, jak wyglądała?

– Nie tylko – powiedział Dugger. – Także jej zachowania i inteligencji. Była bardzo bystra. Eksperyment wymaga stosowania się do skomplikowanych instrukcji, które zmieniają się zależnie od sytuacji.

– Jakich instrukcji?

– Jak się ustawić w pokoju, jak długo nie zmieniać pozy, co mówić, czego nie mówić, jakie wysyłać sygnały ciałem. To trochę jak scenariusz. Jeśli badany coś mówi, trzeba to i to odpowiedzieć. Kiedy nie rozmawiać. Używamy do badań specjalnego pokoju z czujnikami w podłodze, które są podłączone do naszych komputerów, więc możemy dokładnie śledzić każdy ruch... – Dugger przerwał. – Nie chcecie chyba tego słuchać.

– Wręcz przeciwnie – powiedział Milo.

– To właściwie tyle. Lauren była atrakcyjna, bardzo inteligentna, świetnie radziła sobie z instrukcjami, miała motywację, była punktualna. – Dugger spojrział na sufit, przykrył dłoń dłonią, jego kolana zaczęły drgać.

– Jaką miała motywację?

– Interesowała się psychologią. Chciała zostać psychologiem.

– Rozmawiała o tym z panem?

– To wyszło już podczas rozmowy kwalifikacyjnej – powiedział Dugger. Znowu spojrział w sufit. Człowiek z wykształceniem Duggera wiedział, teoretycznie, jakie są sygnały cielesne, świadczące o chęci uniknięcia rozmowy, ale go to nie powstrzymało. Jego kolana podskakiwały coraz szybciej, nad górną wargą pojawiły się krople potu, Milo coś zapisał, patrzył w notatnik.

– Więc po prostu umieszczaliście Lauren w tym skomputeryzowanym pokoju i mierzyliście, jak faceci na nią reagują.

– Tak.

– Jak długo przebywała w pokoju razem z badanymi?

– To jeden z parametrów, które zmienialiśmy. Czas, temperatura, muzyka, ubiór.

– Ubiór? Wkładała jakiś kostium?

– Nie kostium – powiedział Dugger. – Różne ubrania. O odmiennej kolorystyce i stylu. W tym przypadku Lauren przynosiła swoje rzeczy i wybieraliśmy te, które nam się spodobały.

– W tym przypadku?

– To był właściwie jej pomysł. Powiedziała, że ma zróżnicowaną garderobę i można by to wykorzystać.

– Miała inicjatywę – zauważył Milo.

– Jak powiedziałem, miała motywację. Punktualna, można było na niej zawsze polegać, świetnie radziła sobie z rozmaitymi szczegółami. Do tego miała podejście badacza, była bardzo ciekawa. Tak wielu ludzi mówi, że chce być psychologami, bo mają jakieś blade pojęcie o tym, że będą pomagać innym. To dobrze, nie ma w tym nic złego. Ale Lauren była ponad to. Miała nieprawdopodobne zdolności analityczne. Miała też świetne wyczucie samej siebie w sytuacjach społecznych. Była znacznie bardziej dojrzała od pozostałych studentów, z którymi pracowaliśmy.

– Wygląda na to, że dobrze ją pan poznał.

– Pracowała z nami przez cztery miesiące.

– Od lata?

– Tak, od końca lipca. Opublikowaliśmy ogłoszenie w trakcie letniej sesji. Ale Lauren nie była jeszcze wtedy zarejestrowana jako studentka.

Milczałem.

– Była dojrzała – kontynuował Milo. – Ale była przecież starsza od reszty studentów.

– Tak, to prawda. Ale nawet jak na swój wiek.

– Przez cztery miesiące... Na pełny etat, codziennie?

– Jej grafik był zmienny. Przeprowadzamy badania, kiedy mamy już odpowiednią liczbę kandydatów do eksperymentu. Tak, myślę, że sprowadzało się to do pracy na pół etatu. Czasem dłużej, czasem krócej. – Dugger wytarł wargę wierzchem dłoni. Jego kolana już nie podskakiwały. Mówienie o szczegółach go uspokoiło.

– Jak się pan z nią kontaktował, kiedy była potrzebna? – Daliśmy jej pager.

– Kiedy ostatnio pan po nią zadzwonił?

– Nie potrafię powiedzieć. Ale jeśli zadzwonicie jutro do mojego biura w Newport, dopilnuję, żebyście mogli zobaczyć, w jakich godzinach pracowała.

– Dlaczego w Newport, a nie w Brentwood?

– Biuro w Brentwood jest nowe, jeszcze nie działa.

– Więc dzwonił pan na jej pager, a ona przyjeżdżała do Newport?

– Tak.

– Ilu jeszcze tych, no, sadzonek używaliście w tym konkretnym eksperymencie?

– Jeszcze dwie kobiety i jednego mężczyznę. Nie znali się nawzajem. Żadne nie znało Lauren. To standardowa procedura.

– A z iloma osobami siedziała Lauren w pokoju?

– Nie jestem teraz w stanie odpowiedzieć na to pytanie – stwierdził Dugger.

– A możemy otrzymać takie informacje?

– Nie mogę tak po prostu wręczyć panu listy wszystkich badanych przeze mnie osób. Nie będę panu mówił, jak ma pan wykonywać swoją pracę, ale jestem pewien, że jest wiele bardziej efektywnych sposobów, żeby rozwiązać tę sprawę.

– Na przykład?

– Nie wiem. Chciałem tylko powiedzieć, że to nie ma związku z eksperymentem. Mój Boże, myśl o tym, że ktoś zniszczył to życie przyprawia o dreszcze.

Milo wstał i stanął przy szklanej ścianie. Północnozachodnią część nieba przecięła żółta kreska samolotu.

– Wspaniały widok. Czy utrzymywał pan z Lauren kontakty poza pracą?

Dugger splótł ręce. Znowu spojrzał w sufit.

– Jeśli za takie uważa pan pójdzie na kawę.

– Na kawę?

– Parę razy. – Znowu zbladł. – Po pracy.

– Tylko pan i Lauren?

– Czasem byli z nami także inni współpracownicy. Kiedy pracowaliśmy do późna, wszyscy robili się głodni.

– Ale czasem byliście z Lauren sami – powiedział Milo.

– Nie sami powiedział Dugger przez ściśnięte gardło. – Byliśmy w restauracji, wszyscy nas widzieli.

– W której restauracji?

– Właściwie w kawiarni. W Hacienda na Newport Boulevard, w Ships, w IHOP. – Dugger rozplótł ręce, wyprostował się, przesunął krzesło, żeby móc patrzeć Milowi w oczy. – Chcę, żeby to było jasne; nasza znajomość nie miała nic wspólnego z seksem. Jeśli miałbym scharakteryzować nasze spotkania, powiedziałbym, że przypominały rozmowę nauczyciela i ucznia.

– Dotyczyły psychologii?

– Tak.

– Jakich jej aspektów? – drążył Milo.

Dugger wciąż patrzył mu w oczy.

– Spraw akademickich. Dalszej kariery. Uczniowie często zwierają się nauczycielom.

– Czy Lauren kiedykolwiek rozmawiała z panem o swoich osobistych sprawach? O swojej rodzinie?

– Nie. – Dugger otarł wargę, a jego kolana znowu zaczęły podskakiwać. – Jestem naukowcem, a nie terapeutą. Lauren pytała mnie, jak się projektuje eksperyment. Dlaczego budujemy eksperymenty tak, a nie inaczej, jak stawiamy hipotezy. Miała nawet odwagę, żeby zgłaszać własne sugestie. – Dugger przeczesał nerwowo rzednące włosy. – Miała ogromny potencjał, panie detektywie. To po prostu straszna strata.

– Czy opowiadała panu o swoich innych pracach, o tym, jak zarabiała?

– To będzie w formularzu, który wypełniała.

– Nigdy nie wspomniała o tym podczas rozmowy?

– Nie.

– Chciałbym przejrzeć ten formularz. I wszystkie inne dokumenty z pana firmy, które dotyczą Lauren.

– Postaram się przygotować je na jutro. Przyjedźcie do mojego biura w Newport po jedenastej.

– Dziękuję panu... Więc oprócz wypełnienia formularza Lauren nie mówiła nic o swojej profesji?

– Profesji? – zapytał Dugger. – Chyba nie rozumiem.

– Doktorze Dugger, czy może pan pomyśleć o czymkolwiek, co mogłoby nam pomóc? Czy zna pan kogoś, kto nie lubił Lauren? Kogoś, kto mógłby ją skrzywdzić?

– Nie – powiedział Dugger. – Wszyscy ją lubiliśmy. – Do mnie: – Jak w ogóle połączyliście mnie z Lauren?

– Pańskie nazwisko znajdowało się w notatkach, które znaleźliśmy w jej mieszkaniu.

Milo jeszcze raz mu podziękował i ruszył do drzwi. Nagle przystanął.

– Czy jest pan żonaty, doktorze Dugger?

– Rozwiedziony.

– Od dawna?

– Od pięciu lat.

– Dzieci?

– Na szczęście nie.

– Na szczęście?

– Rozwód rani dzieci – odparł Dugger. – Czy zapyta pan też o moją grupę krwi?

Milo uśmiechnął się.

– Jeszcze nie na tym etapie, proszę pana. A, jeszcze jedno: jak długo prowadzi pan ten eksperyment?

– Ta konkretna faza trwa już około roku – odparł Dugger.

– Jak wiele jest tych faz?

– Kilka – powiedział Dugger. – To nasze główne pole zainteresowań.

– Przestrzeń społeczna?

– Właśnie.

– W tej notatce o panu pojawiło się coś o intymności. Czy to właśnie ten eksperyment?

Dugger się uśmiechnął.

– Więc o to chodzi. Nie, to nie jest związane z seksem. I tak, to ten sam eksperyment. Intymność w psychosocjologicznym znaczeniu tego słowa jest jedną ze sfer przestrzeni społecznej. W ogłoszeniu, na które Lauren odpowiedziała, użyliśmy tego słowa.

– Żeby...

– Przyciągnąć ludzi – powiedział Dugger.

– W celach marketingowych – dorzucił Milo.

– Można to tak ująć.

– W porządku. – Milo nacisnął klamkę. – Więc nie wie pan, jak panna Teague zarabiała przedtem na życie?

– Ciągłe pan do tego wraca.

Milo odwrócił się do mnie.

– Chyba nie chciała o tym rozmawiać z kimś takim jak doktor Dugger.

– Do czego pan zmierza? – zapytał Dugger.

– No, był pan dla niej jak nauczyciel i tak dalej. Kimś, kogo szanowała ceniła. Był pan ostatnią osobą, z którą chciałaby rozmawiać na ten temat.

Otworzył drzwi.

– Na jaki temat?

Wielka twarz Mila odbijała wszystkie nieszczęścia w długiej, smutnej historii Irlandii.

– Cóż, pewnie i tak przeczyta pan o tym w gazetach, więc nie ma sensu tego przed panem ukrywać. Zanim Lauren pojawiła się w pańskim biurze, zanim została studentką, pracowała jako prostytutka i striptizerka.

Ciało Duggera przeszedł dreszcz.

– Nie mówi pan poważnie – wyjąkał.

– Niestety.

– O mój... – jęknął Dugger, opierając się o framugę. – Ma pan rację... Nigdy mi o tym nie wspominała. To bardzo... tragiczne.

– Jej śmierć czy to, że była prostytutką?

Milo odwrócił głowę w kierunku oceanu.

– To wszystko – powiedział. – Jedno i drugie.

Kiedy przechodziliśmy przez hol, Milo ryknął do Geralda radosne „Papa”.

Jechaliśmy Ocean Avenue. Robiło się ciemno, światła uliczne żarzyły się we mgle, w oddali błyszczał ocean.

– Zarumienił się, kiedy pierwszy raz użyłeś słowa „seksowny”. I dużo się pocił – powiedziałem. – Miał rozbiegany wzrok, zwłaszcza kiedy zasugerowałeś coś osobistego między nim a Lauren.

– Tak, ale wyglądał na autentycznie zaskoczonego, kiedy się dowiedział, że Lauren nie żyje.

– To prawda – przyznałem. – Myślałem, że upadnie. Ale to mocna reakcja jak na pracodawcę, nie sądzisz?

Prowadził kierownicę jednym palcem.

– Więc może z nią sypiał? Albo chciał. Ale to jeszcze nie znaczy, że ją zabił.

– Tak. Ale charakterystyka forsiastego intelektualisty do niego pasuje. Niezły apartament. Byłoby ciekawe przyjrzeć się jego kontu bankowemu, zobaczyć, czy niektóre wydatki nie pasują przypadkiem do wpłat na koncie Lauren.

– Nie ma sposobu, żeby to zbadać – powiedział. – Nie na tym etapie. Facet nie budzi podejrzeń, nie ma nawet powodu drugi raz go przesłuchiwać. Ale kiedy zobaczę godziny pracy Lauren, sprawdzę przy okazji te kawiarnie, o których wspomniał. Jeśli ktoś widział, jak się migdalili, zacznę rozmawiać z prokuratorem.

– Chcesz, żebym z tobą pojechał?

Przygryzł wargi.

– Nie, myślę, że lepiej będzie, jeśli pojedę sam. Nie chcę naruszać procedury. Muszę być ostrożny.

– Facet mnie nie lubi?

– No cóż – powiedział z uśmiechem – nie wiem, jak ktoś mógłby cię nie lubić. Co myślisz o tym jego eksperymencie? Wygląda na trefny?

– Trudno powiedzieć. Zastanawiam się, na czyje zlecenie go przeprowadza.

– A jeśli Lauren poznała jednak kogoś z badanych? Zamykasz dwoje ludzi w pokoju i wszystko się może zdarzyć. A może obiekt badań się na nią napalił, chciał dopiąć swego i wszystko źle się skończyło.

– Albo było tak, jak zasugerowałeś. Facet dowiedział się, że został oszukany, i wcale mu się to nie

spodobało. Dugger twierdzi, że wszystkie dane personalne są utajnione, ale gość mógł się zacząć w pobliżu biura i poczekać, aż Lauren wyjdzie.

– Chciałbym zobaczyć listę osób poddanych eksperymentowi, ale jeśli Dugger nie będzie współpracował, możemy o tym zapomnieć. Może zaapeluję do jego poczucia moralności. Sprawia wrażenie faceta, który lubi o sobie myśleć jako o porządnym człowieku. Kupuje rzeczy biednym dzieciom. Już się rozkleił, można by nad tym popracować.

Skręcił w prawo, w Wilshire, przejechaliśmy obok promenady na Trzeciej ulicy. Milo przyglądał się ludziom robiącym zakupy, żebrakom.

– A co z jego byłą żoną? – zapytałem. – Ona raczej nie będzie z niego robić anioła.

Uśmiechnął się.

– Chcesz go zrzucić z piedestału?

– Może i chcę – odparłem. – Coś mi w nim nie pasuje. Jest zbyt cukierkowy.

– No, no, co za cynizm.

– Spędzam z tobą zbyt wiele czasu.

– Nareszcie zaczynasz się uczyć.

Zabójstwu Lauren „Times” poświęcił trzy akapity na jednej z ostatnich stron. Ofiara została opisana jako studentka.

Obudziłem się, myśląc o Benjaminie Duggerze. I Shawnie Yeager.

Milo miał rację; fakt, że ogłoszenie o intymności było drukowane parę tygodni przed zniknięciem obu dziewczyn, nie wskazywał na żadne logiczne powiązania. Ale racjonalność i logika to domena Mila. A ja mogłem sobie pozwolić na głupie domysły.

Po namyśle zdecydowałem się odszukać Adama Greena, studenta-dziennikarza, który pisał o zaginięciu Shawny.

W książce telefonicznej znalazłem czterech Adamów Greenów. W samym Beverly Hills. Bóg jeden wie, ilu Greenów mieszka w pozostałych dzielnicach Los Angeles. Zacząłem dzwonić. Dwa pudła, trzeci telefon został odłączony, wiadomość na sekretarce przy czwartym brzmiała obiecująco:

– Tu Adam Green. Wszedłem poszukać inspiracji albo tkwię przy komputerze, albo po prostu się bawię. W każdym razie, jeśli nie myślisz, że życie jest do dupy, zostaw wiadomość.

– Panie Green – powiedziałem – mówi Alex Delaware. Jestem psychologiem współpracującym z policją z Los Angeles, chciałbym z panem porozmawiać o Shawnie Yeag...

– Tu Adam. O Shawnie? Chyba pan żartuje.

– Nie, nie żartuję.

– Wznawiacie śledztwo? Niemożliwe. Czy coś się stało? Czy została w końcu znaleziona?

– Nie – zaprzeczyłem – nie stało się nic takiego. Jej nazwisko pojawiło się przy okazji innego śledztwa.

– Jakiego śledztwa?

– Czy nadal jest pan dziennikarzem, panie Green?

Śmiech.

– Dziennikarzem? Czy pracuję dla „Cub”, tak? Nie, skończyłem naukę. Teraz jestem niezależnym pisarzem. Nie, proszę to wykreślić, brzmi pretensjonalnie. Jestem copywriterem. Hasło: „Golden Dewdrops, naturalny oddech porannej świeżości” jest w połowie moje.

– O której połowie pan mówi?

– Nie chce pan wiedzieć, proszę mi wierzyć. To co z Shawną? Czego dotyczy to drugie śledztwo?

– Przykro mi, nie mogę o tym rozmawiać – odpowiedziałem. – Ale...

– Ale chce pan, żebym ja z panem porozmawiał. – Znów się roześmiał. – Psycholog, tak? Co to jest, jakaś robota dla FBI?

– Nie, naprawdę współpracuję z policją z Los Angeles. Przyglądałem się sprawie Shawny i natrafiłem na pańskie artykuły w „Daily Cub”. Był pan bardziej dokładny od innych i...

– Teraz to włazi mi pan w dupę. Ale byłem dobry, nie? Chociaż nie miałem zbytnej konkurencji. Nikogo to nie obchodziło. Szkoda, że Shawna nie była córką senatora.

– Nikt się nią nie interesował?

– Tego nie powiem, ale trudno to było nazwać jakąś ofensywą. Mundurowi zrobili swoje, ale nie są geniuszami. A ten detektyw od was to był stary pierdziel, Riley.

– Leo Riley.

– Tak, przygotowywał się do emerytury. I tylko udawał, że pracuje.

– Jak pan zdobył materiały do artykułów?

– Kręciłem się po posterunku, podsłuchiwałem rozmowy mundurowych. Zadawałem im pytania. Traktowali mnie jak wrzód na dupie, którym zresztą byłem, ale zbierałem przecież materiały. Miałem

poczucie, że tylko mnie na tym naprawdę zależy. Oczywiście poza panią Yeager, matką Shawny. Chociaż jej nie wyszło to na dobre; ją też olewali. W końcu zaczęła narzekać i spotkali się z nią jakiś dziekan i oficer, i powiedzieli jej, że naprawdę robią, co mogą. Ona też uważała, że Riley to pozorant. – Przerwał na chwilę. – Myślę, że Shawna nie żyje. Myślę, że nie żyła wkrótce po zniknięciu.

– Dlaczego?

– Tak jakoś czuję. Gdyby żyła, dawno by się znalazła.

– Możemy o tym porozmawiać podczas śniadania, lunchu albo kolacji?

– Policja stawia?

– Ja stawiani.

– W porządziu – odparł. – Jestem teraz wolny. Zobaczmy, która godzina... dziesiąta. Powiedzmy o jedenastej. Mieszkam w Baja Beverly Hills, na Edris i Pico, na wschód od Century City. Na mojej ulicy są Bajgle Noaha... nie, to nora. A może koszerna restauracja na Pico, koło Robertson?

– Dobrze, znam to miejsce.

– A może powinienem wybrać jeszcze droższy lokal?

– Koszerna będzie w sam raz.

– Dobra – powiedział. – Może zamówię sobie jakąś kanapkę na wynos.

Byłem na miejscu dziesięć minut przed czasem, zająłem stolik w kącie sali i czekałem, chrupiąc kwaszone ogórki. Dwie starsze pary pochylały się nad talerzami zupy, jedna młoda ortodoksyjna Żydówka przyprowadziła piątkę swoich dzieci, z których żadne nie miało więcej niż siedem lat. Meksykański sztangista w koszulce bez rękawów i obcisłych spodenkach kolarskich wcinał wątróbkę z kaszą i popijał mrożoną herbatą.

Adam Green zjawił się pięć po jedenastej. Był to wysoki chudy chłopak, ubrany w białą koszulkę pod czarnym swetrem w serek i w klasyczne niebieskie džinsy, które wyglądały na za luźne. Na nogach adidasy. Jego twarz mogłaby uczynić go idolem nastolatek, gdyby nie za mały podbródek. Włosy ciemne, kręcone, ostrzyżone na krótko z bakami o dwa centymetry dłuższym i od bokobrodów Milo. Miał przekłutą prawą brew, którą ozdabiał mały złoty kolczyk. Natychmiast mnie zauważył, klapnął ciężko na krzesło naprzeciwko i chwycił ogórek.

– Straszne korki. To miasto zaczyna ogarniać chaos. – Ugryzł ogórek, przeżuł, uśmiechnął się.

– Jest pan z Los Angeles.

– Tak, moja rodzina mieszka tu od trzech pokoleń. Dziadek pamięta jeszcze konie pasące się w

Boyle Heights i winnice na Robertson. – Podniósł naczynie z musztardą i zaczął je obracać w dłoniach. – Dobra, teraz już się znamy, przejdźmy od razu do sprawy: co jest z Shawną?

– Już panu mówiłem.

– Tak, tak, wiem. Inne śledztwo. Ale dlaczego? Bo jakieś inne dziewczyny znikają z powierzchni ziemi?

– Coś w tym rodzaju – odparłem.

– Coś w tym rodzaju... Zawsze uważałem, że historia Shawny nadaje się na książkę. *Śmierć Królowej Piękności*, coś w tym rodzaju. Ale potrzebne byłoby zakończenie.

Zjawiała się kelnerka. Zamówiłem hamburgera i colę, a Green poprosił o potrójnego indyka pastrami, z wołowiną deluxe i dodatkowym majonezem oraz duże korzenne piwo.

– A na wynos? – zapytałem.

Adam odsłonił rząd białych zębów. – Niech się pan jeszcze nie czuje bezpiecznie.

Kiedy zostaliśmy sami, wyglądał na gotowego do zadania kolejnego pytania, ale ja okazałem się szybszy.

– Więc myślisz, że Shawna nie żyła zaraz po zaginięciu?

– Właściwie to na początku myślałem, że uciekła z jakimś facetem. Rozumie pan. Potem, kiedy nadal nie dawała znaku życia, pomyślałem, że nie żyje. Mam rację?

– Dlaczego miałyby uciec z facetem?

– Bo ludzie tak robią. Czy mam rację, że prawdopodobnie nie żyje?

– Możliwe – powiedziałem. – Czy dowiedziałeś się o Shawnie czegoś, o czym nie napisałeś w gazecie?

Nie odpowiedział, znowu zaczął się bawić musztardą.

– Czego się dowiedziałeś? – ponowiłem pytanie.

Odetchnął głęboko.

– Jest tak. Jej matka to bardzo fajna osoba. Prosta, jak to ludzie ze wsi. Myślę, że już dawno nie była w Los Angeles. Ciągle mówiła, jak tu głośno. Wyrosła w małym miasteczku, sama wychowywała córkę. Tata Shawny zmarł, kiedy była jeszcze bardzo mała. Był kierowcą ciężarówki. To jak z piosenki country. Córka wyrasta na piękność, zostaje wybrana miss piękności.

– Oliwkowa Miss.

– To był pomysł Shawny, żeby startować w konkursie. Matka nigdy jej do tego nie popychała; tak przynajmniej twierdziła, a ja jej wierzę. Pani Yeager ma w sobie coś. Jest solą ziemi, ma kręgosłup. Utrzymywała siebie i córkę, pracując jako kelnerka i sprzątaczką. Mieszkały w domku na kółkach. Shawna była jej największym powodem do dumy, potem wygrała ten konkurs, oznajmiła, że nie cierpi Santo Leon i jedzie do Los Angeles na uniwersytet. Pani Yeager ją puszcza, ale ciągle się martwi o córkę. Obawia się przestępczości. I wtedy to wszystko okazuje się prawdą, spełnia się najgorszy koszmar. Czy wyobraża pan sobie coś gorszego?

Pokręciłem głową.

– Pani Yeager była zdruzgotana. To było wręcz żałosne. Przyjechała tu bez pieniędzy, sama, nie mając pojęcia, jak to jest w dużym mieście. Potem kampus. Sam jego rozmiar ją przeraził. Nie zaplanowała, co będzie robić. W końcu zamieszkała w obskurnym motelu. Koło Alvarado, na miłość boską. Jeździła dwie godziny autobusem, żeby się dostać do Westwood, przeszukiwać po nocy Park MacArthura. Nikt jej nie pomaga, nikt w ogóle się nią nie interesuje. W końcu ktoś kradnie jej torebkę i uniwersytet daje jej mieszkanie w akademiku. Ale nadal nikt tak naprawdę się nią nie przejmuje. Tylko ja. – Zmarszczył brwi. – Szczerze mówiąc, najpierw interesowała mnie tylko historia, uznałem, że to świetny pomysł na artykuł. Potem, kiedy poznałem panią Yeager, zapomniałem o tym. Większość czasu siedziałem z nią, a ona płakała. To trochę zniechęciło mnie do dziennikarstwa.

Postawił musztardę na stole, sięgnął po ogórek.

– Lubieś panią Yeager – zauważyłem. – Dlatego nie odpowiedziałeś na moje pytanie o to, czego nie napisałeś w swoich artykułach. Nie chciałbyś robić nic, co pogłębiłoby żal pani Yeager?

– To nie miałyby sensu, prawda? Skoro nikt dotąd nie znalazł Shawny, to pewnie już nigdy jej nie znajdą. Pan tylko zbiera dane, prawdopodobnie panu też nie zależy. Więc po co? Po co powiększać cierpienia pani Yeager?

– Bo pomoże to rozwiązać inną sprawę – powiedziałem. – A może także sprawę Shawny.

Przeżuwał głośno, pochylił głowę.

– Naprawdę, panie Green.

Brak odpowiedzi.

– Czego dowiedziałeś się o Shawnie? – zapytałem. – Te informacje nie zostaną upublicznione, o ile nie będzie od tego zależało czyjeś życie.

Podniósł głowę.

– Czyjeś życie... To brzmi złowieszczo. – Jego, bystre, błękitne oczy zaświeciły z ciekawości. – O, idzie nasze żarcie.

Kelnerka przyniosła kanapki. Mój hamburger był dobry, zjadłem od razu połowę, zanim go

odstawiłem. Kanapka Adama Greena była ogromna, naładowana mięsem i sałatką coleslaw, zajadał ją z apetytem.

– Nadal nie widzę powodu, żeby cokolwiek panu mówić – odezwał się w końcu.

– Powinien mi pan powiedzieć.

– Tak pan mówi?

– Tak.

Wytarł usta, trzymał kanapkę jak tarczę.

– Chcę coś z tego wszystkiego mieć. Jeśli coś się w sprawie Shawny wyjaśni albo w tej drugiej sprawie, chciałbym się o tym dowiedzieć przed innymi dziennikarzami. Bo może napiszę tę książkę. Albo chociaż duży artykuł. – Znowu otarł usta. – Prawda jest taka, że nadal myślę o Shawnie. Była piękna, bystra, wszystko dobrze jej się układało, była tylko parę lat młodsza ode mnie i nagle wszystko się skończyło. Mam siostrę w jej wieku.

– Też studiuje?

– W Brown. – Odłożył resztę kanapki na talerz nabożnie, jak ofiarę. – Mamy tu świetne elementy na opowieść. Jeśli nie na książkę, to na scenariusz. Jak dowie się pan czegoś, muszę to wiedzieć. Umowa stoi?

– Jeśli sprawa zostanie rozwiązana, będziesz o tym wiedział pierwszy – zapewniłem.

– To nie brzmi zbyt obiecująco.

– Bo nie jest – powiedziałem, nie spuszczać z niego wzroku. Próbował robić minę pokerzysty, ale nie wytrzymał. Był jeszcze dzieciakiem. Czuję, że go wykorzystuję, chociaż powiedziałem sobie, że w świetle prawa jest dorosły, przyszedł tu z własnej woli, próbował coś na tym zyskać.

– No dobra – powiedział – to i tak nic specjalnego. Chodzi o to, że Shawna mogła nie być taką niewinną, wiejską dziewczyną.

Ugryzł wielki kęs kanapki, popił korzennym piwem. Czekałem.

– To nie jest fakt, tylko przypuszczenie, dlatego tego nie opublikowałem, no i nie chciałem zranić pani Yeager. Mówiłem też o tym Rileyowi i mundurowym, ale mnie zignorowali. Fakt, że pan tu jest oznacza, że nawet tego nie zanotowali. Bo jeśli by to zrobili, pan by już o tym wiedział.

– Czego się dowiedziałeś, Adamie?

– Shawna mogła pozować do aktów. Była na sesji zdjęciowej do „Duke’a” albo przynajmniej myślała, że pozuje do „Duke’a”, bo mnie się wydaje, że została oszukana.

– Kiedy to było?

– Mogło być – podkreślił. – Nie wiem. Prawdopodobnie podczas pierwszego semestru. Tak mi się zdaje.

– Niedługo po przyjeździe?

Kiwnął głową.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Widziałem zdjęcie. Jestem prawie pewny, że to było zdjęcie Shawny. A z reakcji jej współlokatorki wnioskuje, że mam rację.

– Mindy Jacobus?

– Tak, Mindy. Często ją nachodziłem, bo była ostatnią osobą, która widziała Shawnę przed zniknięciem. Nigdy nie chciała ze mną rozmawiać, mówiła, że były z Shawną zaprzyjaźnione, ale nie chciała jej oczerniać. Może była szczerą, ale myślę, że także zazdrosną.

– Dlaczego?

– Widział pan zdjęcia Shawny?

Kiwnąłem głową.

– Mindy jest niezła, ale daleko jej do Shawny. Nie mówię, że była do niej wrogo nastawiona, ale sposób, w jaki mówiła o przyjaciółce... wyczułem w nim szczyptę zazdrości. Bez względu na to, jakie miała powody, Mindy nie chciała rozmawiać o Shawnie. Ciągłe ją nachodziłem. W jej pokoju, między zajęciami, grałem super-pismaka. – Uśmiechnął się rezolutnie. – Musiałem jej nieźle zaleźć za skórę. Dzisiaj pewnie kazałaby mnie aresztować. Ale byłem... dostałem hopla. Wiele rzeczy mnie zastanawiało. Na przykład, dlaczego Shawna nie miała chłopaka. Mindy miała. Każda ładna dziewczyna może mieć chłopaka na zawołanie, nie? Mindy odpowiadała, że Shawna była kujonką i tyle. Chodziła na zajęcia, wracała do akademika i uczyła się, potem wychodziła do biblioteki. Ale w bibliotece nikt jej nie widywał, rozmawiałem tam z każdym kujonem i bibliotekarkami. Widziałem też kartę biblioteczną Shawny; nic nie wypożyczyła. Przez cały semestr.

– W artykule napisałeś, że tego wieczoru, kiedy zniknęła, poszła do biblioteki – powiedziałem.

– To oficjalna wersja. Opowieść Mindy. Policja uwierzyła. Ale nie jestem pewien, czy Mindy uwierzyła. Myślę, że kryła Shawnę. Bo zrobiła się bardzo drażliwa, kiedy ją o to wypytywałem. Aż w końcu wyznała, że Shawna nie miała chłopaka, bo wołała starszych facetów. Mindy próbowała ją umówić z kumplem swojego chłopaka, ale Shawna odmówiła. Powiedziała, że woli starszych, „dorosłych”, jak się wyraziła.

– Myślisz, że miała romans ze starszym mężczyzną? – powiedziałem.

– Przyszło mi to do głowy – odparł. – Ale nigdy nie udało mi się niczego na ten temat dowiedzieć. Mindy się wkurzyła i kazała swojemu chłopakowi Steve’owi, kłocowi wielkości lodówki, mnie wyrzucić. Nie chciałem ryzykować życia i zdrowia, więc się wycofałem. Zasugerowałem mundurowym, żeby sprawdzili, czy Shawnę kiedyś widziano ze starszym facetem, może z którymś z wykładowców, ale mnie splawili.

– Dlaczego akurat z wykładowcą?

– Kampus to miejsce dość odizolowane. A z jakimi starszymi ludźmi mogą się tu zetknąć studenci? Ale nikogo to nie obchodziło. Nawet moją redaktorkę. Powiedziała, że potrzebuje artykułów politycznych. – Wzruszył ramionami. – Cała ta apatia i wrogość otworzyły mi oczy. Więc teraz piszę teksty do reklam, to kurestwo, ale dobrze płatne. Płyn do kąpieli i szampon nie zatrząskują mi drzwi przed nosem.

– Opowiedz o tym zdjęciu, które widziałeś.

– To było wtedy, kiedy pierwszy raz przyszedłem do akademika, żeby porozmawiać z Mindy. Może dwa dni po zgłoszeniu zaginięcia Shawny. Nie wiem, czy widział pan akademik, ale pokoje są jak cele. Za małe dla jednej osoby, a co dopiero dla dwóch. Szafy są tak małe, że ludzie trzymają swoje rzeczy na widoku. Shawna musiała mieć świra na punkcie porządku, bo jej rzeczy były złożone na półkach nad łóżkiem. Zaskoczyło mnie, że policja ich nie skonfiskowała. To pokazuje, jak poważnie zajęli się jej sprawą. Tak czy inaczej, zacząłem przeglądać jej rzeczy... miałem wtedy niezły tupet, zauważyłem stertę książek, a wśród nich było to pismo. Najnowsze wydanie „Duke’a”. To mnie zdziwiło. Skąd tutaj „Duke”? Kiedy Mindy stała tyłem do mnie, zdjąłem książki z półki, ale po chwili się odwróciła i zaczęła się wydzierać. Wytrąciła mi wszystko z ręki. Wtedy z „Duke’a” wypadły te zdjęcia. Czarnobiałe. Mindy zabrała je, zanim zdołałem się im dobrze przyjrzeć, wetknęła z powrotem do „Duke’a”, schowała wszystko pod poduszkę. I ciągle wrzeszczała. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko, ale zdążyłem zauważyć świetne ciało i blond włosy, a to pasowało do Shawny. Mindy zaczyna mnie popychać, krzyczeć, że mam się wynosić. Ja pytam: „Co jest z tymi rozbieranymi fotkami?”, a ona, że to nie mój zasrany interes. Potem mówi, że należą do Steve’a, wygania mnie z pokoju, zatrząskuje drzwi.

Znowu ugryzł kanapkę.

– Wyglądało to tak, jakby dała mi jakąkolwiek odpowiedź na odczepnego. Może i należały do Steve’a, ale co robiły na półce Shawny? Wśród jej książek?

– Czy powiedziałeś o tym komuś?

– Mundurowym i Rileyowi, tak jak o teorii ze starszym facetem. Taka sama reakcja: Dziękujemy, zajmujemy się tym. Może się zajęli. Chociaż wydaje mi się, że jeśli to były fotki Shawny, Mindy się ich pozbyła. Żeby zaoszczędzić Shawnie wstydu.

– Wiesz, co się teraz dzieje z Mindy?

– Była starsza od Shawny, teraz pewnie jest na ostatnim roku. Myślę, że łatwo ją będzie znaleźć.

– Ale nie próbowałeś?

– Skończyłem z tym. Napisałem kilka artykułów, zająłem się innymi rzeczami. Ale jak już mówiłem, ciągle myślę o Shawnie. Chociaż nie przypuszczałem, że będę o niej jeszcze rozmawiać. Czy nasza umowa jest nadal ważna?

– Jasne – zapewniłem – Czy uważa pan, że to, co powiedziałem, na coś się przyda?

– Nie wykluczam tego.

Starszy mężczyzna, młoda dziewczyna. Ogłoszenie Duggera. Akty. Zaburzenia seksualne.

Uznałem, że Dugger jest pruderyjny, ale tacy ludzie mogą prowadzić podwójne życie. Może dary Duggera dla dzieci w kościele były częścią pokuty?

Adam Green przypatrywał mi się.

– Więc może starszy mężczyzna w życiu Shawny był fotografem – powiedziałem. – Kimś, kto podawał się za współpracownika „Duke’a”.

– Czemu nie? To znaczy, nie wyobrażam sobie, żeby facet naprawdę pracował dla „Duke’a”, bo to nie w stylu tego pisma, no nie? Muszą być bardzo ostrożni w dobieraniu fotografów, na pewno nie zatrudniają takich czubków, prawda? Ale to Hollywood, są tu całe armie mętów z aparatami i zmyślonymi historyjkami. Wszyscy mówią, że Shawna była bystra, ale mimo wszystko była wiejską dziewczyną. Jaka jest różnica między paradowaniem w skąpym bikini z plastikową koroną na głowie i pozowaniem nago? A jeśli Shawna rzeczywiście lubiła starszych facetów, mogła dać się zbajerować komuś, kto wydawał się dojrzały i wykształcony.

– Całkiem słusznie – odpowiedziałem.

– Nie zgrywa się pan?

– Nie, to dość logiczny scenariusz.

Uśmiechnął się.

– Czasem mi się to udaje. Może jednak napiszę jakiś scenariusz.

Zastanawiając się, czy Mindy Jacobus też specjalizowała się w psychologii, zadzwoniłem do Mary Lou do sekretariatu i zapytałem o współlokatorkę Shawny.

– Ta dziewczyna – powiedziała – Lauren, czytałam o niej. Przykro mi, doktorze Delaware. Biedna matka. Co Mindy ma z tym wspólnego?

– Może nic – odparłem. – Ale wiesz, jak to jest.

– Jasne, proszę poczekać.

Kilka minut później:

– Ona nie jest od nas, więc zadzwoniłam do głównego sekretariatu. Specjalizuje się albo specjalizowała w ekonomii. Nie zapisała się na ten rok. Chyba nie jest...

– Nie – powiedziałem, czując jak wali mi serce. – Czy podała jakiś powód swojej rezygnacji?

– Nie pytałam. Jeśli może pan poczekać, zadzwonię tam jeszcze raz.

– Świetnie.

Po następnych kilku minutach usłyszałem:

– To nic złego, doktorze Delaware. Dzięki Bogu. Wyszła za mąż, zmieniła nazwisko na Grieg, ale jeszcze nie uzupełniono danych w kartotece.

W tym roku chodzi tylko na zajęcia z biznesu, pracuje w Med Center jako specjalista od public relations.

Podziękowałem jej i odłożyłem słuchawkę. Nawet jeśli skontaktuję się z Mindy Jacobus-Grieg, co jej powiem? Proszę wyznać tajemnice pani zaginionej współlokatorki?

Nie miałyby powodu, żeby zareagować inaczej, niż wzywając ochronę.

Był jeszcze jeden powód, że nie chciałem się z nią spotkać. Byłem z innej bajki; moje śledzenie Benjamin Duggera okazało się amatorszczyzną, partactwem. Milo był na tyle miły, że mi tego nie wypomniał, a kiedy Dugger mnie rozpoznał, Milo zręcznie zmienił temat. Nie chciałem powiększać listy swoich gaf. Zapytam Mila, co myśli o rozmowie z Mindy. Ale to później. Pod koniec jego dnia pracy, kiedy okaże się, czy coś znalazł, czy nie.

Nie wiedziałem, jak Milo zareaguje na to, że Shawna pozowała nago do zdjęć. W ogóle miał wątpliwości, czy łączyć ją ze śmiercią Lauren, a moje podejrzenia opierały się wyłącznie na intuicji dziennikarza gazetki studenckiej. Ale gdy tak siedziałem, główkując, nie mogłem zapomnieć o tym, co powiedział mi Adam Green.

Może dlatego, że jego przeczucia pasowały do moich własnych hipotez. Wycieczka Shawny w krainę przemysłu erotycznego wzmocniła powiązanie z Lauren. Poza tym obie dziewczyny studiowały psychologię, chciały zostać terapeutkami. Wyrosły bez ojca; w przypadku Shawny dosłownie, związki z ojcem Lauren były chłodne i wrogie. Leczyłem dostatecznie wiele dziewczyn, które były w podobnej sytuacji, by wiedzieć, dokąd to może prowadzić: do poszukiwania idealnego ojca.

Któż lepiej nadawał się do tej roli niż łagodny starszy pan z doktoratem z psychologii w kieszeni?

Startując jako nastoletnia dziewczyna w konkursach piękności, Shawna stała się obiektem pożądania. Podobne doświadczenia miała Lauren z prostytutką, striptizem i pracą modelki. Pomyślałem o niej i o Michelle, o tym jak grały swoim ciałem, podniecając tłum facetów w średnim wieku.

Dzień później mówiła mi o władzy.

W trakcie moich prób leczenia Lauren – przez te kilka żalonych godzin – nie chciała współpracować, była pasywnie agresywna, uwodzicielska. W czasie ostatniej wizyty zły humor przerodził się w wybuch złości i wrogości. A jednak Jane twierdziła, że Lauren bardzo mnie podziwiała, że wiele dla niej znaczyłem, że znajomość ze mną pomogła jej w wyborze kariery psychologa. Potwierdził to Adrew Salander.

To był dokładnie rodzaj ambiwalencji, jakiej można oczekiwać od dziewczyny z ojcem w typie Lyle'a Teague'a. Czy mogłem być mądrzejszy... Potem pomyślałem o czymś innym: Jane Teague także znalazła sobie starszego mężczyznę. Może Lauren nie była aż tak uniezależniona od wpływu matki, jak myślała?

Lauren i starsi mężczyźni... Gene Dalby uznał Lauren za starszą, niż była. Ubierała się jak dojrzała kobieta. Chciała zwrócić uwagę jakiegoś starszego intelektualisty?

Kiedy Lauren obrzuciła mnie błotem, po prostu cierpliwie słuchałem. To była część mojej pracy. Poza tym czułem się zawstydzony obecnością na imprezie u Hamsbergera. Ale inny mężczyzna – mężczyzna, który wypożyczał ciało Lauren – mógł okazać się nie tak wyrozumiały, kiedy ambiwalencja Lauren wyrażała się w tak ostrych słowach.

Gretchen Stengel doskonale to ujęła: mężczyźni płacą, żeby dyktować własne warunki. A nieliczenie się z nimi lub próby zostawienia sobie jakiegoś marginesu wolności nie są mile widziane.

Lauren nigdy nie chciała być pionkiem, ale to jej: „Dostaję świetne napiwki” oznaczało, że oszukiwała się, że to ona pociąga za wszystkie sznurki.

Sposób w jaki zginęła – związana i zastrzelona – wskazywał na egzekucję. Zabójca dawał do zrozumienia, że właśnie on ma władzę.

Zabójca chciał, żeby wszystko wyglądało na zawodową robotę. A może chciał mieć czyste ręce i wynajął zawodowców?

Po prostu kolejna umowa między biznesmenami.... Na pierwszy rzut oka trudno było sobie

wyobrazić Benjaminą Duggera – chodzącego w starej koszuli, przywożącego prezenty dzieciom – w takiej sytuacji. Ale miał pieniądze i zahamowania seksualne, a to, że był psychologiem, nie oznaczało, że nie był zdolny do najgorszego okrucieństwa.

Tak czy inaczej, ktoś dał Lauren ostatnią straszną nauczkę. Samooszukiwanie jest częścią fachu prostytutki, a wyobrazenie, że wszystko ma się pod kontrolą, nie chroni przed niebezpieczeństwem.

O piątej po południu zadzwoniłem do Mila na posterunek. Nie było go przy biurku, a detektyw o nazwisku Principe powiadomił mnie, że gdzieś wyszedł.

– Gdzie?

– Nie mam pojęcia.

Podaliśmy mu swoje nazwisko, odłożyłem słuchawkę i wyszedłem pobiegać. Kiedy wróciłem, zaszło już słońce, a Milo jeszcze nie oddzwonił. Wziąłem prysznic, przebrałem się. Kilka minut później zatelefonowała Robin, oznajmiając, że wyjechała do Saugus szukać składu klonowego drewna do skrzypiec, które okazało się robaczywe, a na dodatek dębowe.

– Teraz już wracam – powiedziała.

– Przykro mi.

– To chyba i tak nic w porównaniu z dniem innych ludzi.

– Na przykład kogo?

– Nie wiesz?

– Słusznie – powiedziałem.

– Dobrze się czujesz, kochanie?

– Tak, w porządku. Wyjdziemy gdzieś, czy przygotować kolację?

– Świetnie.

Zaśmiałem się.

– Co wolisz?

– Wszystko jedno. Tylko mnie nakarm.

– To brzmi rozsądnie – powiedziałem.

– Nie pakujesz się w nic niebezpiecznego, prawda?

– Nie, czemu?

– Dobre pytanie.

– Naprawdę wszystko gra – powiedziałem. – Kocham cię.

– Ja ciebie też – odparła. Ale w jej głosie wyczułem coś jeszcze oprócz miłości.

Smażyłem steki i czułem się bardzo potrzebny, kiedy znowu zadzwonił telefon i Milo zapytał:

– Jak leci?

– Dowiedziałeś się czegoś nowego o Duggerze?

– Rozmawiałem z jego byłą żoną powiedział. – Namierzyłem ją w Baltimore. Wykłada literaturę angielską na Uniwersytecie Hopkinsa. I zgadnij, co? Uwielbia tego faceta. Jako człowieka. „Ben jest wspaniałym człowiekiem. Nie ma żadnych defektów osobowości”, tak powiedziała.

– Dlaczego się rozwiedli?

– „Rozwijaliśmy się w innych kierunkach”.

– Seksualnie?

– Nie pytałem, doktorze Freud – powiedział, udając przesadną cierpliwość. – To nie byłoby na miejscu. Puenta jest taka: była rozbawiona, że policja może się nim interesować.

– Prawdopodobnie uprzedził ją, że zadzwonisz.

– Nie wydaje mi się. Sprawiała wrażenie autentycznie zaskoczonej. Poza tym wyszło coś innego. Po południu przyszły informacje o zabójstwach z całego miasta i jedna sprawa zwróciła moją uwagę. Dwa ciała pozostawione w uliczce koło Alameda tej nocy albo wcześniej rano. Mężczyzna i kobieta, strzały w głowę, potem podpaleni. Kobieta miała tylko jedno ramię. Prawe. Na początku myśleli, że drugie się spaliło, ale ciała nie paliły się na tyle długo.

– Michelle...

Milo kontynuował:

– Koroner mówi, że to stara amputacja, próbują ściągnąć odciski z tego, co zostało z prawej ręki, ale skóra jest poparzona i szanse są marne. Jedyne nadzieja, że miała dentystę.

– W dzień po rozmowie z nami...

– To samo dotyczy mężczyzny, ale znaleźli trochę jasnych włosów. Biały mężczyzna, około metra osiemdziesięciu.

– Ten ćpun, który z nią mieszkał – powiedziałem. – Lance.

– Poprosiłem narkotykowych z Ramparts, żeby wyciągnęli mi karty wszystkich narkomanów o imieniu Lance. Mam nadzieję, że wkrótce będę je miał.

– Mówisz, jakbyś miał wątpliwości – zauważyłem.

Cisza.

– To oni, teraz się zastanawiam, czy moja wizyta podpisała na nich wyrok. – Użył liczby pojedynczej, całą winę brał na siebie.

– To ktoś, kto nie chciał, żeby Michelle rozmawiała o Lauren?

– Z drugiej strony, Michelle mogła zginąć z innego powodu. Mieszkała w takim miejscu, wszędzie prochy, gangsterzy przed domem. Albo ktoś obserwował jej mieszkanie, uznał mnie za tego, kim jestem, sądził, że Michelle chce sypać i gotowe. Nie zauważyłbym go, nie byłem przygotowany na śledzenie.

– Gretchen wiedziała, że szukasz Michelle. Odesłała cię z kwitkiem, ale Ingrid podała jej nazwisko. Nie trzeba geniusza, żeby zgadnąć, że Ingrid wygadała się Gretchen.

– Tak – powiedział, usiłując się uspokoić – przyszło mi to do głowy, więc poprosiłem kumpla, żeby przez kilka najbliższych dni miał oko na Gretchen. Dotychczas nic to nie dało. Zjadła lunch w tym samym miejscu, też z Ingrid, wróciła do butik, była tam do trzeciej, a potem pojechała swoim małym porsche boxter na plażę...

– Do Duggera?

– Nie, nie, poczekaj. Nie zatrzymała się w ogóle w Santa Monica, ruszyła prosto z Sunset do autostrady Paradise Cove, do samego Malibu jadąc z niedozwoloną prędkością. Wjechała do jednej z dużych posiadłości przy autostradzie. Odsunęła dach, przez całą jazdę gadała przez telefon, wyglądała, jakby nie miała żadnych zmartwień. Nawet kiedy czekała przed bramą, nie przestała rozmawiać. Szybko została wpuszczona, a kumpel nie potrzebował mapy, żeby wiedzieć, gdzie jest. Pracował tam jako ochroniarz na kilku imprezach. To rezydencja Duke'a, pałac Tony'ego Duke'a, zbudowany na zdjęciach cycków. Wygląda na to, że Duke cały czas zatrudnia policjantów po godzinach. Łoży na nasz fundusz, to część strategii zdobywania szacunku. To chyba nie niespodzianka, że Gretchen zna Duke'a. Kiedy jej interes się kręcił, była zapraszana na każde duże przyjęcie.

– Tony Duke – powiedziałem. – Może to coś więcej. – Powiedziałem mu, czego dowiedziałem się od Adama Greena.

– Widzę, że też pracowałeś – powiedział miękko. – Nie widziałem powodu, żeby sobie tego odmawiać.

– Słusznie – rzekł. – Ale wszystko, co widział ten dzieciak, to rozebrane fotki. Nie wie, czy były

robione dla Duke'a.

– Ale były ukryte w egzemplarzu „Duke'a”. Tony Duke lubi młode blondynki, nie? Shawna i Lauren pasują.

– Jestem pewien, że blondynki ustawiają się do niego w kolejce, żeby zostać Daniem Miesiąca, ale on ma reputację Don Juana, a nie Kuby Rozpruwacza. I dlaczego miałyby wydawać pieniądze na prostytutkę?

– Może po prostu mu się spodobała – odparłem.

– Może, ale fantazje jakiegoś dzieciaka z college'u, który chce zostać scenarzystą, i przejażdżka Gretchen do Malibu nie przyprawiają mnie o zawrót głowy.

– Lauren dzwoniła do Malibu, do budki telefonicznej.

– No właśnie. Wyobrażasz sobie Tony'ego Duke'a opuszczającego swoją rezydencję, żeby odebrać telefon na stacji benzynowej?

– Zniesiesz więcej moich hipotez?

– Jasne, wal.

Sprzedałem mu swoją teorię o starszym mężczyźnie, władzy i dominacji, skłonnościach, które mogły łączyć Shawnę i Lauren.

– Tony Duke – zakończyłem – jest starszym facetem.

– A więc zamieniłeś doktora Duggera na Sultana Golizny?

– Adaptuję hipotezę do zmieniających się okoliczności. Pięćdziesiąt tysięcy rocznie dla Lauren to dla Duke'a pestka. On też miałby dobry powód, żeby zabrać jej laptop.

Milo nie odpowiadał. W tle usłyszałem narastający jęk syreny, który po chwili stopniowo zanikł. Znowu nastała cisza.

– Tony Duke – powiedział w końcu. – Chryste, mam nadzieję, że się mylisz. Tylko tego mi trzeba.

– Czego?

– Polowania na grubego zwierza z pieprzoną wiatrówką.

Przez czterdzieści lat Tony Duke nauczał ewangelii znajdowania sensu w przyjemności, nawracając całe pokolenia i zgarniając miliony z tacy na datki.

Łatwe życie stanowiło jego credo. Przez czterdzieści lat ten dogmat rozpowszechniało każde wydanie „Duke’a”.

W trakcie czterech dekad rozkładówki „Duke’a” stały się nieco odważniejsze, ale styl czasopisma nie zmienił się od pierwszej edycji: utrzymane w złotych barwach zdjęcia jędrnych, młodych, nagich ciał uosabiających Danie Miesiąca, sugestywne komiksowe rysunki, braterskie porady, jak się ubrać, co pić, co kupować, szczypta dziennikarstwa politycznego.

Kiedy Duke wydał swój pierwszy numer, zdjęcia nagich piersi, na wpół otwartych ust i zachęcająco rozchylonych ud nie były niczym nowym. Kalendarze z rozebranymi paniami od Jat wisiały na stacjach benzynowych, a „zdjęcia natury” były znane od momentu wynalezienia aparatu fotograficznego. Ale wszystko to sprzedawano spod lady. Był to towar dla smutnych facetów w długich płaszczach i zasłaniających twarz kapeluszach. Zgodnie z najlepszą purytańską tradycją Ameryki, seks był brudny. Rewolucyjne dokonanie Marka Anthony’ego Duke’a polegało na zdobyciu dla zdjęć nagich pań powszechnej akceptacji społecznej. Teraz każdy tatuś z przedmieścia mógł kupić pismo erotyczne w kiosku na rogu ulicy, nie będąc postrzegany jako zboczeniec, ale jako gość z klasą.

Dzięki humorystycznemu logo oraz szczerze obdarowanym przez naturę modelkom o świeżych twarzach „Duke” stał się główną siłą w przełamywaniu barier erotycznej cenzury, a Tony Duke stoczył o swoje pismo wiele bitew w sądach. Ale zwycięstwa na salach sądowych zamieniły się w porażki ekonomiczne, ponieważ pozwalano publikować legalnie coraz śmielsze materiały. Teraz, w świecie, w którym kasety z twardym porno stanowią żelazny punkt oferty w każdej wypożyczalni wideo, delikatne zdjęcia z „Duke’a” stały się wręcz anachroniczne. Jeśli Tony Duke pojawia się dzisiaj w gazetach, to dlatego, że zorganizował przyjęcie dobroczynne na jakiś zbożny cel.

Tak to, jak i wszystko inne, co wiedziałem o Duke’u, przeczytałem w gazetach. Wiejski chłopak z Kalifornii przeobraził się w przymierającego głodem księgarza, potem w niespełnionego scenarzystę, następnie w autora około dwunastu podrzędnych powieści science fiction, wydanych w miękkiej oprawie, w końcu stanął na czele odważnego wydawnictwa, które przyniosło mu dwadzieścia akrów rezydencji nad samym oceanem oraz zabawki, o jakich jego czytelnicy mogli tylko śnić. Ale gazety pisały tylko o tym, o czym pozwolono im napisać, a można być pewnym, że Duke zatrudnił całą armię publicystów.

Musi mieć teraz z siedemdziesiąt lat.

Starszy mężczyzna.

Z tego, co wiedziałem, oskarżano go o wszystko, tylko nie o przemoc. Przeciwnie, miał reputację kogoś, kto naprawdę kocha kobiety. Parę lat temu oglądałem końcówkę telewizyjnego wywiadu z

Dukiem, nadanego przez stację, która oszukiwała się, że jej materiały są coś warte. Duke dał się tam poznać jako wieczny chłopiec. Nieduży, wąskie ramiona, bródka, opalony elf z miłym głosem i przyjaznymi brązowymi oczami.

Drobna brązowa twarz ze stalowoszarą grzywką. Twój ulubiony ekscentryczny wujek, wychodzący z egzotycznego lokalu, sypiący anegdotami, nieprzyzwoitymi dowcipami i niewypowiedzianymi na głos obietnicami, że może kiedyś zabierze cię ze sobą.

Patrzyłem, jak smażą się steki, i ciągle zastanawiałem się. Nad Dukiem, Lauren i Shawną Yeager.

Parę lat temu, kiedy nasz dom był przebudowywany, wynajęliśmy z Robin domek na plaży w zachodnim Malibu. Musiałem przejeżdżać koło rezydencji Duke'a ze sto razy, nigdy nie myśląc o tym, co działo się w środku. Mgliście przypominałem sobie roślinność: palmy i sosny, geranium. Bramę, przez którą wpuszczono Gretchen Stengel.

Tony Duke zbił fortunę na przełamywaniu barier, ale mieszkał za wysokim murem. Milo miał rację; jeśli Duke był zamieszany w całą sprawę, to zaczęliśmy grać w superlidze.

Przyrządziłem sałatkę, dodałem lodu do herbaty, nakryłem do stołu, wywabiłem Spike'a z domu kawałkiem steku. Kiedy Robin wróciła, wszystko było gotowe. Wyglądała na zmęczoną, włosy miała w nieładzie. Piękna kobieta. Zastanawiałem się, czy Tony Duke by to zauważył.

– Wspaniale – powiedziała, przemywając twarz i gładząc mnie po policzku.

Objąłem ją, pocałowałem, rozmasowałem plecy, przeczesalem ręką włosy, uważając, żeby się nie splątały. Dźwięki, jakie wydawała, i sposób, w jaki kleiła się do mnie, mówiły, że dobrze mi idzie, chociaż koncentrowałem się raczej na tym, żeby wyrzucić z myśli twarze nieżyjących ludzi.

Znalazła butelkę caberneta, o której zapomniałem, i kiedy jedliśmy i piliśmy, wrócił mi apetyt. Razem pozmywaliśmy, poszliśmy na spacer bez Spiker, trzymając się za ręce i niewiele mówiąc. Noc była na tyle zimna, że wydechane powietrze zamieniało się w parę, a smog zapewne przeniósł się w inne miejsce. Nadchodziła wreszcie zima w kalifornijskim stylu. Jutro zajmę się ogrodem, może przygotuję róże do zimy, zobaczę, co trzeba zrobić przy stawie. Zwyczajne czynności. Konkretna praca. Trzeba wreszcie zrobić coś pożytecznego.

Kiedy wróciliśmy do domu i pocałowała mnie w policzek, spróbowałem się uśmiechnąć. Robin poszła do łóżka ze stertą czasopism, a ja przeniosłem się do swojego gabinetu i włączyłem komputer.

Gdy wpisałem „Mark Anthony Duke”, wyszukiwarka dała szesnaście trafień. Były to głównie artykuły z gazet oraz oficjalna strona Duke'a, ozdobiona portretem samego wydawcy i małymi zdjęciami Dań Miesiąca w samych stringach – można je było powiększyć kliknięciem myszki.

Przeglądałem kolejne strony i dowiedziałem się tylko jednej nowej rzeczy: dwa lata temu Tony Duke przeszedł w stan „super-spozycynku” i przekazał większość swojej władzy nad Duke Enterprises córce Anicie. Dołączone zdjęcie przedstawiało ubranego w niebieski garnitur Duke'a z

surową atrakcyjną brunetką około trzydziestki, w wieczorowej czarnej sukni bez ramiączek. Anita Duke była około dziesięciu centymetrów wyższa od ojca. Kształtna kobieta z gładkimi brązowymi ramionami, równymi zębami błyszczącymi w sztucznym uśmiechu. Opisano ją jako „finansistkę z magisterium z bankowości Uniwersytetu Columbia i dziesięcioletnim doświadczeniem na Wall Street”. „Dla Duke Enterprises nadchodzą lata wzrostu rynku i koncentracji na klientach – przewidywała. – Wkrótce wkroczymy z impetem do cyberprzestrzeni”.

Poszukiwałem czegoś mniej oficjalnego i znalazłem parę organizacji biblijnych, które określały Duke Enterprises jako „narzędzie szatana”. A także trochę peanów od fanów w stylu „zrób to sam”, gdzie Tony Duke widniał na górnych miejscach listy najbardziej lubianych osobistości. Z jednego z nich dowiedziałem się, że owdowiał dwadzieścia lat temu i ożenił się ponownie dopiero przed czterema laty, kiedy to związał się z byłym Daniem Miesiąca o nieprawdopodobnym nazwisku. Sylvana Spring („dziewczyna, która poskromiła Tony’ego!”) urodziła mu dwójkę dzieci.

Poskromienie okazało się jednak krótkotrwałe. W zeszłym roku Duke i Sylvana rozwiedli się „w przyjaźni”. Dzieci dowodziły, zdaniem zafascynowanego autora strony, „wiecznej męskości Tony’ego Duke’a – wszyscy połykacze viagry obgryzajcie pazury z zazdrości! Piękna Sylvana i dzieci mieszkają nadal w domku gościnnym na terenie rezydencji T. D. w Malibu! Gość jest superhojny i zakręcony jak słoik dżemu!”

Potem strony zeskanowanych rysunków i rozkładówek. Tony tolerował chyba w tym wypadku naruszanie praw autorskich. Jedna wielkooka, o wydatnych ustach twarz za drugą, półkoliste pośladki, geometrycznie wystrzyżone trójkąty włosów łonowych. I piersi. W brzoskwiniowych kolorach, z różowymi sutkami, równe i napompowane w sposób, jaki nigdy nie przyśnił się Matce Naturze.

Wyszedłem z Internetu, wyłączyłem komputer i poszedłem do sypialni. Zaczęły się nocne przymrozki i Robin miała na sobie flanelową koszulę nocną zapiętą pod samą szyję.

– Właśnie miałam po ciebie pójść – oznajmiła. – Gotowy do spania? Bo ja tak.

Miała związane włosy i zmyty makijaż. Jej oczy wyglądały na zmęczone, a wargi były popękane. Na czole pojawił się mały pryszcz, którego wcześniej nie zauważyłem. Wgramoliłem się do łóżka, przysunąłem do niej, wdychałem zapach pasty do zębów i potu. Kiedy zaczęła się ode mnie odsuwać, pocałowałem ją i dotknąłem.

– Okropnie wyglądam – powiedziała. – Nie planowałam..

Potem zamruczała, podciągnęła koszulę i przyciągnęła mnie mocno do siebie. Była wilgotna, kiedy w nią wszedłem, szybko doszła, gryząc mój sutek i wijąc się z rozkoszy. Kiedy jej ciało odkleiło się od mojego, już spała. Leżałem na plecach, czując bicie serca, samotny. Zaczęła lekko pochrapywać, jej ręka powędrowała pod kołdrę i znalazła moją dłoń.

Nie śmiałem się ruszyć. Czekałem, aż przyjdzie sen.

Obudziłem się rano, wiedząc, że coś mi się śniło, ale niezbyt dobrze pamiętając, co. Coś związanego z przyjęciem... Palmy, błękitna woda, nagie ciała. A może mi się tylko wydawało?

Wziąłem bardzo gorący prysznic, ubrałem się, zrobiłem kawę i zaniósłem ją do warsztatu Robin. Miała na sobie fartuch i okulary ochronne, właśnie zabierała się do lakierowania mandoliny. Porozmawialiśmy przez kilka minut i wróciłem do domu. Znowu myślałem o przyjęciach. W stylu Tony'ego Duke'a. O bogactwie, które mogło przyciągnąć taką dziewczynę jak Lauren. Jeszcze prędzej mogło zwabić Oliwkową Królową z Santo Leon. Czy Shawna Yeager zamiast w bibliotece spędzała czas w rezydencji Duke'a?

Pojechałem na uniwersytet, pośpieszyłem do czytelnicy, wyciągnąłem szpule mikrofilmów z „L. A. Times” i przeglądałem je w poszukiwaniu informacji o przyjęciach wydanych w ostatnim roku przez Tony'ego Duke'a.

Nic.

Wziąwszy pod uwagę reputację Duke'a, wydało mi się to dziwne, więc poprosiłem o szpule roku z poprzedniego. Po przejrzeniu następnych sześciu miesięcy nie znalazłem żadnej wzmianki o przyjęciach dobroczynnych u Tony'ego Duke'a w Malibu.

Może organizowano tam imprezy, o których nie pisało się w gazetach? A może, ponownie zostawszy ojcem, Król Łatwego Życia się zmienił.

Wciąż szukałem, w końcu natknąłem się na dwuakapitową wzmiankę sprzed prawie dwóch lat o przyjęciu na rzecz organizacji wolności słowa, na którym pojawiły się liczne gwiazdy, Dania Miesiąca i znane osobistości. Zdjęcia z przyjęcia mogłyby się pojawić w katalogu reklamowym chirurga plastycznego. Była tam też Anita Duke, stojąca za ojcem, w czarnym klasycznym kostiumie, z kanciastym uśmiechem przylepionym do twarzy.

Ojciec zajęty był czym innym. Na kolanach trzymał dwójkę dzieci; pulchnego kilkumiesięcznego bobasa i dwuletniego chłopca z okrągłą buzią, okoloną jasnymi włosami. Tatusz był ubrany dość nobliwie; miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i ciemny krawat. Nie nosił tupetu, od jego łysej czaszki odbijało się słońce. Wyglądał na drobniejszego i starszego niż na oficjalnej stronie „Duke'a” – typowy dziadek.

„Ojcowska duma – głosił podpis. – Mógł czasopism erotycznych, Mark Anthony Duke, odpoczywa z córką Anitą i dziećmi z drugiego małżeństwa, Barterem i Sage. Gdyby nie nieobecność syna Bena, rodzina byłaby w komplecie”.

Syn Ben.

Wybiegłem z pokoju z mikrofilmami, znalazłem półkę z „Who is Who”, wyciągnąłem najnowsze wydanie i przekartkowałem do litery „D”. Jest:

Duke, Marc Anthony (Dugger, Marvin Greorge) ur. 15 IV 1929 roku.

rodz. : *George T. i Margaret L. (Baxter)*

żonaty z: *Leonore Mancherod 2 VI 1953 roku (zm. w 1979 roku) dzieci:*

Benjamin J., Anita C.

żonaty z: *Sylvaną Spring (Cheryl Soames) od 2 VI 1995 (rozw.) dzieci:*

Baxter M., Sage A...

Reszta mnie nie interesowała.

Syn Ben.

W uszach zadźwięczał mi śmiech profesor Monique Lindquist.

„Szuka pan czegoś związanego z seksem. Jeśli o to chodzi, nie ma pan u Duggera czego szukać”.

Dugger żył skromnie, posługiwał się prawdziwym nazwiskiem ojca, uciekał od obiektywów. Odrzucał to, czym był jego ojciec? Chował się? Może jedno i drugie?

Teraz jego badania nabierały sensu.

Matematyka intymności.

Redukcja potu i libido do cyferek i statystyk.

Anty-Duke. Grzechy ojca powodowały, że miał poczucie winy. Czy wizyta w kościele była częścią drogi do rozgrzeszenia?

Starszy mężczyzna. Idealny, żeby zastąpić tatusia.

Kiedy dowiedziałem się o wizycie Gretchen u Duke'a, dałem spokój Duggerowi, ale teraz byłem znowu w miejscu, od którego zacząłem.

Może Gretchen wcale nie przyjechała odwiedzić Tony'ego?

Shawna Yeager pozowała do „Duke'a”. Lauren zapisała, że musi zadzwonić do dr D., żeby porozmawiać o intymności. Pracowała z Duggerem, spędzała z nim czas, przesiadywała w kawiarenkach, rozmawiając, jak twierdzi Dugger, o psychologii. Rumieniec Duggera i pot na czole, kiedy zapewniał, że intymność nie wkradła się do jego znajomości z Lauren. Ale pseudointymność była czymś, co Lauren umiała sprzedawać, a mężczyźni można było wybaczyć, że nie chcieli widzieć prawdy.

Autoiluzja... zastrzelona Lauren. Zastrzelona Michelle... Może dlatego, że Lauren się jej zwierzyła. Shawna, pozująca dla kogoś, kto podawał się za fotografa pracującego dla Duke'a.

Wszystko zaczęło się układać niczym puzzle.

Miałem dla Mila złe wiadomości.

W krotce po piątej po południu oddzwonił Milo.

– Mamy oficjalne potwierdzenie, że to była Michelle i jej facet. – W jego głosie nie było słycać triumfu. – Nazywał się Bartley Lance Flowrig. Doktorat z napadów na sklepy i kradzieży, głównie jakieś drobne sprawki, bez przemocy. Może ich z Michelle przycisnęło i próbowali się włamać do nieodpowiedniego domu. W takiej dzielnicy jak ich, to mogło być niebezpieczne.

– Może – powiedziałem. – Ale zgadnij, czego się doszperałem! Wiadomość o koligacjach Bena Duggera przyjął spokojniej, niż się spodziewałem.

– A więc Dugger to też duża zwierzyna. Może Lauren powiedziała Michelle o czymś, co Dugger wolałby utrzymać w tajemnicy, jakąś brzydką dewiację, coś, co nie pasuje do wizerunku miłego faceta. Coś, co mogłoby zaszkodzić i jemu, i ojcu. Albo po prostu ujawnić powiązania z ojcem. Wygląda na to, że za wszelką cenę starał się ukryć swoje pochodzenie. Kiedy Lauren została zamordowana, Michelle i Lance postanowili zarobić na tym, co wiedzieli. Gretchen domyślała się, że wcześniej czy później do nich trafimy, więc pojechała ostrzec kogoś w rezydencji Duke'ów.

Sapnął z rezygnacją i roześmiał się.

– Tony Duke i doktor Ben. Nigdy bym się nie domyślił.

– I właśnie o to chodzi. Jestem pewien, że ma zahamowania seksualne. Nosi wytarte koszule, dystansuje się od ojca i wszystkiego, co się z nim wiąże. Ale może stara się w ten sposób zakamufłować jakieś mroczne strony swojej natury?

– Ucieka w ten sposób od swoich dziwactw... Więc stawiasz raczej na Duggera juniora. A co z seniorem?

– Cholera go wie – powiedziałem. – Ale teraz wizyta w Newport nie wydaje mi się wcale złym pomysłem. Chociaż Dugger i tak będzie pewnie przygotowany, bo sam cię przecież zaprosił. W odpowiednim momencie wspomnij o Shawnie i zobacz, jak zareaguje. I przyjrzyj się jego pracownikom, może któryś wygląda jakoś podejrzanie.

– Shawna – powiedział – która mogła pozować do „Duke’a”.

– Albo komuś, kogo uważała za człowieka od „Duke’a”. A jeśli Dugger wykorzystywał swoje koligacje tylko od czasu do czasu, żeby zwabić młode, atrakcyjne blondynki? Niezły sposób, zawsze mógł pokazać im jako dowód rezydencję ojca. Może tak nabrał Lauren. Chociaż spędziła tyle lat na ulicy, mogła dać się uwieść wielkiej forsie. Może te telefony do Malibu odbierał junior, który nie chciał, żeby dzwoniła do niego do domu ani do rezydencji tatusia. Ktoś wyglądający tak zwyczajnie jak Dugger mógł skorzystać z budki telefonicznej, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

– Bogaty dzieciak – rzekł – który udaje zwykłego człowieka... Okej, pojedźmy jutro do Newport.

Uwielbiam Orange County. Jak można nie lubić miejsca, gdzie lotnisko nazwano na cześć Johna Wayne'a?

– Na pewno chcesz mnie ze sobą zabrać? – zapytałem. – Dla Duggera jestem złym gliniarzem.

– No właśnie.

O dziewiątej rano Milo zajechał przed bramę. Miałem ze sobą klucze i od razu skierowałem się do mojego seville'a.

– Nie – powiedział, zatraskując drzwi – pojedziemy moim. Chcę, żeby to wyglądało oficjalnie. Ładny krawat. Efektowne prążki. Włoski?

Sprawdziłem metkę.

– Tak napisali. – Spojrzałem na niebieską poliestrową wstążkę, spływającą po jego brzuchu. – A skąd jest twój?

– Z Planety Vulgaro. – Poprawił węzeł, polizał mały palec, udał, że poprawia włosy. – Dobra, odpicowani i gotowi do akcji. Jedziemy.

Kiedy wyjeżdżaliśmy przez bramę, zapytałem:

– Uprzedziłeś Duggera, że go odwiedzimy?

Skinął głową.

– Chce współpracować. Ale był chyba nieco przybity. Widocznie tak działam na ludzi.

Kiedy wjechaliśmy na Sunset, powiedziałem:

– Leo Riley.

– Co z nim?

– Jakbyś go ocenił jako detektywa?

– Przeciętny. A co?

– Adam Green miał wrażenie, że Riley tylko udaje, że szuka Shawny, żeby tylko doczekać do emerytury. Ale z drugiej strony, to dość gadatliwy dzieciak, nie miał Rileyowi nic do zaoferowania oprócz podejrzeń romansu z profesorem.

– Leo... dzwoniłem do niego parę dni temu. Mieszka w Coachella. Zajrzałem do akt Yeager i niewiele znalazłem. Jeszcze do mnie nie oddzwonił.

– Niewiele tam było, bo prawie niczego się nie dowiedzieli. Czy Green miał rację co do Riley'a?

– Może jedno i drugie – odparł. – Nie, Leo nie był pracoholikiem... Ale nie miał też czego się chwycić. Powiedziała współlokatorce, że idzie do biblioteki, i nigdy nie wróciła. Jak ci mówiłem, Leo uznał, że to zbrodnia na tle seksualnym i nie mogę powiedzieć, że się z nim nie zgodziłem. Żartował nawet, że to może być seryjny morderca, który będzie zabijać w najlepsze, kiedy on będzie już sobie grał w golfa na pustyni i hodował raka skóry. Zobaczymy, co powie, jak oddzwoni. Teraz bardziej zastanawia mnie wizyta Gretchen w domu Duke'a. Myślisz, że odbierała zaległe pieniądze?

– Gretchen nigdy nie była zbyt wybredna, jeśli chodzi o towary, które sprzedawała.

– I coś jeszcze – dodał. – To, co powiedział Salander, że Lauren nie chciała być kontrolowana przez matkę. Kiedy ją zawiadamialiśmy o śmierci córki, Jane zareagowała, jak powinna: płakała, krzyczała i tak dalej. Ale w gruncie rzeczy nic nam nie powiedziała. Zwykle rodzina zmarłego podrzuca jakieś pomysły, jakieś podejrzenia, hipotezy, bezużyteczne informacje, czasem dobry trop. Jane płakała jak bóbr i tyle. Dlatego zadzwoniłem do niej wczoraj i nagrałem się na sekretarkę. – Spojrzał na mnie. – Dotąd nie oddzwoniła. To też nie jest typowe, Alex. Kiedy zajmuję się zabójstwem kogoś z klasy średniej, jestem zwykle bombardowany telefonami: czy jest jakiś postęp, kiedy zakończy się autopsja, kiedy możemy zabrać ciało i zorganizować pogrzeb. Zwykle moim głównym problemem jest połączenie funkcji psychoterapeuty i urzędnika i niewiele mam czasu na właściwe śledztwo. A ta kobieta nie tylko do mnie nie dzwoni, ale nawet nie ma czasu, żeby oddzwonić.

– To znaczy?

– To znaczy: czy jest coś jeszcze, co powinienem o niej wiedzieć?

– Nie – odpowiedziałem. – Ledwo ją znałem. Tak jak Lauren.

Uśmiechnął się zimno.

– I zobacz, dokąd cię to zaprowadziło.

– Taka jest cena sławy.

– Myślę, że Jane wie coś, czego nie chce nam powiedzieć. Wątek z Duke'em jest ciekawy i pikantny, ale może wszystko prowadzi z powrotem do rodziny Lauren, do Jane, ojca dupka i tak dalej. Sprawdziłem starego Lyle'a. Parę mandatów, to wszystko. Ale sam wiesz najlepiej, że to nie była idealna szczęśliwa rodzinka. Czy powinienem się im przyjrzeć, zwrócić na coś uwagę?

Zastanawiałem się nad tym, kiedy Sunset Boulevard piął się w górę i łączył z szosą 405. Milo dodał gazu.

– Może Jane nie oddzwania, bo wyjechała, żeby pobyć w samotności – podsunąłem.

– Z Melem? Dokąd? Oboje zameldowali się w domu spokojnej starości? I to ma być twoja odpowiedź, he? Nie rozśmieszaj mnie.

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Trudno. – Na 405 jeszcze przyspieszył, mijając jaguara i prowokując wściekle trąbienie klaksonem. – Sam się pierdol – powiedział do lusterka. – No dobra, Alex, powiedzmy, że sprawa nie ma nic wspólnego z rodziną. A jeśli Lauren zdobyła pikantne informacje na temat Duggera albo Duke’a i wygadała się Jane? Może Jane ostro zareagowała, powiedziała, żeby trzymała język za zębami, i o to właśnie chodziło w tej kłótni, o której opowiadał Salander.

– Lauren od lat nie mieszkała z matką – powiedziałem. – Dopiero niedawno odnowiła z nią stosunki, ale i tak rzadko się widywały. Nie wydaje mi się, żeby opowiadała jej o takich sprawach. Ale może masz rację. Kiedy robi się ciężko, kurczaki wracają do kurnika.

– Więc może Jane się nie odzywa, bo się czegoś boi. Domyśla się, co doprowadziło do śmierci Lauren, i obawia się, że może być następna na liście. To by tłumaczyło, dlaczego niczego nam nie powiedziała. Wiem, wiem, teraz ja spekuluję. Ale kiedy skończę z Duggerem, przycisnę Jane.

– Brzmi sensownie – powiedziałem.

Uśmiechnął się krzywo.

– To wcale nie brzmi sensownie, ale dzięki za wsparcie. Miotam się jak ryba na piasku. Wiem, że stawiasz na Duggera, ale ja nie zauważyłem w nim żadnego poczucia winy. Jasne, że był wstrząśnięty wiadomością o śmierci Lauren, ale każdy by chyba był. Dobra, pocił się i może nawet sypiał z Lauren. Zobaczymy, czy ktoś w tych restauracjach pamięta jakieś poważne obściskiwanie się. Ale facet nie wydaje się przestraszony. Jest przygnębiony, ale nie sra w portki ze strachu... No dobra, może być cholernym psychopata; związał ją, zastrzelił, wyrzucił na śmietnik, potem zjadł batonik i teraz gra mi na nosie. Czy zauważyłeś coś, co wskazywałoby na tego typu zaburzenia? Powinieneś być słyszeć jego byłą żonę! Rozpływała się nad nim.

– Psychopaci się nie boją, ale mogą być przygnębieni. Przyjrzymy mu się dzisiaj dokładniej.

Milo zmarszczył brwi, potarł twarz.

– Jasne. Czemu nie? Przynajmniej zrobimy sobie wycieczkę na plażę.

Przed lotniskiem szosa była coraz bardziej zatłoczona. Jechaliśmy teraz wolno w kierunku El Segundo. Kiedy zaczęła się rozluźniać, Milo zapytał:

– Jak sądzisz, ile wart jest Tony Duke? Parę setek milionów?

– Czasopismo już nie jest tym, czym było kiedyś – powiedziałem – ale wcale by mnie to nie zaskoczyło. Czemu pytasz?

– Tak się zastanawiam... Jeśli Dugger rzeczywiście coś przeszkrobał, stary może mieć olbrzymie kłopoty. Pomyśl tylko, syn zboczeniec, zabijający kobiety. Przecież wizerunek Duke’a jest dobrotliwy i łagodny, nie?

Kilka kilometrów dalej:

– Pomyśl, Alex: lotnisko Johna Wayne’a... Facet spędził drugą wojnę światową w studiach Warnerów, a teraz jest bohaterem wojennym... Witamy w krainie iluzji.

– Może dlatego Duggerowi się tutaj podoba.

Newport Beach znajduje się sześćdziesiąt pięć kilometrów na południe od Los Angeles. Milo złamał wszystkie przepisy, które znał, ale korek przy lotnisku sprawił, że jechaliśmy prawie godzinę. Skręcił w szosę 55, która przechodziła w Newport Boulevard, minął ulice ze sklepami i nowymi centrami handlowymi o wdzięku parków rozrywki na Prozacu. Zobaczyliśmy pierwsze oznaki bliskości oceanu – sklepy z łodziami. Skręciliśmy w Balboa i wkrótce mijaliśmy już smażalnię „świeżych ryb” i ludzi w kostiumach kąpielowych. Srebrzyste, zimowe niebo mówiło, że piasek będzie szary i zimny, ale turystów to nie odstraszało. Otworzyłem okno. O dziesięć stopni cieplej niż w Los Angeles. Zapach soli, czysty i świeży. W drodze stąd do Santa Monica płuca Duggera musiały się robić różowiotkie i zdrowe.

Kilka ulic dalej Balboa Boulevard zwężał się i zmieniał w ulicę rezydencji: po obu stronach migały pięknie położone dwupiętrowe domy, na zachodzie plaża i ocean. Zakręt w Balboa East prowadził nas wśród kolejnych błyszczących okien, kwitnących krzewów, porsche, lexusów i range roverów na podjazdach. Potem pojawiła się krótka uliczka z tanimi sklepami, a Milo powiedział:

– To powinno być gdzieś tutaj.

Witryny sklepów były ocienione kolorowymi markizami i drzewami. Pozamiatane chodniki, miejsca parkingowe, świergot ptaków i odgłos przewalających się leniwie fal. Kafejki, masażyści, butiki z kostiumami kąpielowymi, pralnia chemiczna. Adres podany przez Duggera jako siedziba firmy Rynek i Motywacje pasował do jednopiętrowego domu otynkowanego na kolor morskiej piany na rogu Balboa East Boulevard i A Street. Żadnej tabliczki, tylko tekowe drzwi i dwa zasłonięte okna. W pobliżu znajdował się sklep z ubraniami oraz witryna lokalu nazwanego po prostu: CHIŃSKA RESTAURACJA! Za szybą drobny Azjata smażył coś w głębokim oleju, a obok niego uwijała się kobieta z tasakiem. W powietrzu unosił się zapach jajek i słonej wody.

Zaparkowaliśmy, wysiedliśmy i Milo zapukał do tekowych drzwi. Drewno było wypucowane jak pokład jachtu, pokryte tyłoma warstwami lakieru, że ledwo rezonowało. Otworzył nam Ben Dugger i powiedział:

– Jesteście punktualni.

Miał na sobie białą koszulę, sweter w serek, luźne zielone spodnie i brązowe mokasyny. Na swetrze drobiny łupieżu. Niedawno się golił, ale niezbyt dokładnie, zwłaszcza na szyi. Przez grube szkła okularów patrzyły zaczerwienione, zrezygnowane oczy. Kiedy spojrzały na mnie, ich źrenice powiększyły się.

Uśmiechnąłem się. Odwrócił ode mnie głowę.

– Przyjemna jazda. Ładne widoki.

– Proszę wejść – powiedział Dugger i wprowadził nas do białej poczekalni z beżowymi płóciennymi krzesłami, stolikami z czasopismami i kolorowymi zdjęciami oceanu na ścianach. Przez nieoznakowane drzwi w głębi weszliśmy do przestronniejszego, pustego i cichego pomieszczenia z parą białych drzwi w każdej ze ścian. Drzwi po lewej były uchylone, a za nimi znajdował się pomalowany na błękitno pokój z pojedynczym łóżkiem przy, krytym kocem. Na sosnowym nocnym stoliku leżał stos książek, filiżanka, talerzyk i para okularów. Dugger podszedł do drzwi po prawej, ale Milo przystanął i zajrzał do błękitnego pokoiku.

Dugger zatrzymał się i uniósł brew. Milo wskazał niebieski pokój.

– Macie tutaj łóżko. Badania nad snem?

Dugger uśmiechnął się.

– Nic tak egzotycznego. To zwyczajna sypialnia. Moja. Sypiam tutaj, kiedy jest za późno, żeby wracać do Los Angeles. To był właściwie mój dom, dopóki się nie przeniósłem do miasta.

– Ten cały budynek? – Tylko ten pokój.

– Dość przytulny.

– To znaczy mały? – powiedział Dugger, ciągle się uśmiechając. – Nie mam dużych potrzeb. Wystarcza mi. – Podszedł do zamkniętych drzwi i wyjął pęk kluczy. Dwa zamki i napis P_{RYWATNE}. Otwierał pierwszy zamek, kiedy Milo zapytał:

– To kiedy przeprowadził się pan do Los Angeles?

Opuścił rękę z kluczami, odetchnął głęboko.

– Ciągłe te pytania o mnie. Myślałem, że chodzi o pracę Lauren.

– Po prostu podtrzymuję rozmowę, panie doktorze. Przepraszam, jeśli pana uraziłem.

Zaśmiał się nisko, ledwo słyszalnie.

– Nie, w porządku. Przeprowadziłem się parę lat temu.

– Newport jest zbyt spokojne?

Dugger spojrzał w moją stronę. Znowu się uśmiechnąłem, a on znowu odwrócił wzrok.

– Wcale nie. Bardzo lubię Newport. Ale interesy wymagały częstszego przebywania w Los Angeles, więc otworzyłem biuro w Brentwood. Właściwie jeszcze nie działa na pełnych obrotach. Ale kiedy zacznie, pewnie będę musiał zamknąć to tutaj.

– Dlaczego?

– Za dużo by było zamieszania. Jesteśmy małą firmą.

Dugger otworzył drugi zamek.

– Proszę, poznacie panowie moich pracowników.

Po drugiej stronie drzwi znajdowało się duże widne biuro z wydzielonymi stanowiskami pracy. Banalne szarości i biele, komputery, drukarki, półki, kwiatki w doniczkach, kalendarze, na półkach wypchane zwierzęta, zapach liliowego odświeżacza powietrza, Sheryl Crow w magnetofonie na automacie schładzającym wodę, przy którym stały cztery kobiety.

Wszystkie były dość atrakcyjne, ubrane w swetry i spodnie, które wyglądały prawie jak mundurki. Miały od dwudziestu kilku do trzydziestu paru lat. Dugger przedstawił je: Jilda Thornburgh, Sally Patrino, Katie Weissenbom, Ann Buyer. Trzy pierwsze okazały się asystentkami. Buyer, sekretarka, miała już karty Lauren.

Milo przeglądał karty i przepytывał panie. Tak, pamiętały Lauren. Nie, nie znały jej dobrze, nie miały pojęcia, kto mógłby ją skrzywdzić. W charakterystykach często powracało słowo „punktualna”. Podczas gdy Milo zadawał kolejne pytania, ja starałem się wysledzić oznaki nieszczerości, zauważyłem tylko zmieszanie, jakiego można oczekiwać od uczciwych osób skonfrontowanych z zabójstwem. Ben Dugger wycofał się w głąb jednego ze stanowisk z dużym plakatem towarzystwa przyjaciół zoo na ścianie – słodkie misie koala o sennym spojrzeniu – i odwrócił się do nas plecami.

Od czasu do czasu któraś z kobiet spoglądała w jego kierunku, szukając potwierdzenia.

Kobiety.

Otaczał się kobietami.

Jaki ojciec, taki syn?

– Doktorze Dugger?! – zawołał Milo. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zobaczyć pokój, w którym Lauren pracowała.

Dugger odwrócił się.

– Oczywiście.

Kiedy szedł w naszym kierunku, Milo powiedział:

– Jeszcze jedno; Shawna Yeager. Czy kiedykolwiek pracowała u pana osoba o tym nazwisku?

– Kto? – zapytał Dugger.

Milo powtórzył nazwisko.

– Nie – odparł Dugger bez zmrużenia powiek. – To nazwisko nic mi nie mówi. Ann?

– Jestem pewna, że nie – oznajmiła Butler. – Ale zaraz sprawdzę. – Podeszła do komputera, napisała coś, poklikała myszą. – Nie. Nie ma tu żadnej Shawny Yeager.

– Kto to jest? – zapytał Dugger, patrząc na Mila.

– Pewna dziewczyna.

– Tak myślałem, panie detektywie...

– Chodźmy zobaczyć ten pokój – zaproponował Milo. – Potem nie będę już marnował pańskiego czasu.

Gdy znaleźliśmy się w korytarzu, Milo zapytał:

– Jakich ma pan klientów?

– Chyba nie chce się pan z nimi kontaktować? – powiedział Dugger.

– Tylko jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Nie zajdzie, proszę mi wierzyć – odparł Dugger ostrzejszym tonem.

– Jestem pewien, że ma pan rację, doktorze.

– Bo ją mam, panie detektywie. Ale dlaczego wciąż odnoszę wrażenie, że o coś mnie podejrzewacie?

– Wcale nie, doktorze. To tylko...

– Rutynowe pytania? – podchwycił Dugger. – Naprawdę chciałbym, żebyście panowie przestali marnować swój czas tutaj i poszukali zabójcy Lauren.

– Ma pan jakieś sugestie, gdzie powinniśmy szukać?

– Skąd mam wiedzieć? Wiem tylko, że tutaj na pewno go nie znajdziecie. A jeśli chodzi o klientów, dla których przeprowadzam badania intymności, to takich nie ma. Te badania wynikają z moich własnych zainteresowań, jeszcze od czasów studiów doktoranckich. Nasze usługi badawcze pochłaniają znacznie mniej czasu. Są to badania zachowań określonych grup konsumentów, dotyczą określonych produktów. Pracujemy na zasadzie kontraktu, dlatego są to badania prowadzone nieregularnie. W przerwach między zleceniami skupiam się na badaniu intymności.

– A teraz jest jedna z takich przerw – podsumował Milo.

– Tak. I byłbym wdzięczny, gdyby nie rozmawiał pan o klientach z moimi pracownikami. Zapewniałem je, że na razie nie czekają ich zwolnienia, ale z przeprowadzką...

– Mogą przyjść zmiany w firmie. Więc finansuje pan badania intymności z własnych pieniędzy?

– Nie kosztuje to zbyt dużo – powiedział Dugger. – Ta kobieta, o której pan wspomniał... Shawna. Czy też została zamordowana?

– Możliwe.

– Mój Boże. Więc to... Myśli pan, że Lauren mogła być jedną z wielu? Że mamy do czynienia z seryjnym mordercą? Proszę wybaczyć to wyrażenie.

Milo włożył ręce do kieszeni.

– Nie podoba się panu, panie doktorze?

– Jest wyświechtane – odparł Dugger. – Używa się go w kiepskich filmach.

– Ale to nie czyni problemu mniej rzeczywistym, prawda?

– Chyba nie. Czy naprawdę myślicie, że właśnie to przydarzyło się Lauren? Że zabił ją jakiś psychopatyczny typ? – Ton głosu Duggera podniósł się nieznacznie. Stał wyprostowany. Asertywny. Agresywny. Patrzył Milowi prosto w oczy.

– Czy ma pan jakieś rady w tym względzie jako psycholog? – zapytał Milo.

– Nie – odparł. – Jak już panu mówiłem, nie interesują mnie patologie. Nigdy mnie nie interesowały.

– Dlaczego?

– Wolę normalne zjawiska. W naszym świecie trzeba się skupiać na tym co dobre, a nie na tym co złe. Pokażę panu ten pokój.

Trzy na trzy metry, piaskowo-żółte ściany, sufit z wytłumiającymi dźwięk płytkami w tym samym kolorze, takie same płócienne krzesła jak w poczekalni, podobne stoliki, ale bez czasopism, brak obrazków na ścianach. Dugger podniósł róg dywanu, pod którym znajdowały się płytki z nierdzewnej stali, przymocowane do betonowej podłogi. Od niektórych z nich odchodziły przewody elektryczne i druciki.

– Więc ludzie po prostu tutaj siedzą, a pan ich mierzy? – powiedział Milo.

– Na początku mówimy im, że uczestniczą w badaniu rynku i dajemy im formularze do wypełnienia. Zabiera im to przeciętnie dziesięć minut, a zostawiamy ich tu na dwadzieścia pięć.

– Kwadrans na zapoznanie się z sadzonką?

– Jeśli będą mieli na to ochotę.

– Jak wielu daje się skusić?

– Nie mogę panu podać dokładnych liczb, ale całkiem sporo. Obserwowałem jego usta, słuchałem, jak mówi. Jednostajny ton, twarz bez wyrazu. Nic w jego zachowaniu nie świadczyło o tym, że czuje się zagrożony. Choć może właśnie to wiele o nim mówiło. Milo przechadzał się po pokoju.

– Nie ma żadnych weneckich luster? – zapytał.

Dugger się uśmiechnął.

– Są zbyt oczywiste. Każdy ogląda telewizję.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o procedurach, panie doktorze – powiedział Milo. – Jak pan się zabezpiecza przed tym, żeby badany nie spotkał się z sadzonką po eksperymencie?

– Badany opuszcza pokój wcześniej, a sadzonka jest przenoszona do odizolowanego pokoju za głównym biurem. Monitorujemy badanego, kiedy wychodzi, odprowadzamy do samochodu, obserwujemy, jak odjeżdża. Po prostu nie ma możliwości ponownego kontaktu.

– I nie ma nikogo, żadnego badanego, któremu nie spodobało się bycie oszukiwanym i który mógłby skrzywdzić Lauren?

– Nie – odparł Dugger. – Wszyscy przechodzą podstawowy test psychopatologiczny.

– Nie lubi pan psychopatologii, ale uznaje jej wartość.

Dugger poprawił kołnierzyk.

– Jako narzędzia.

Milo poprzehadzał się jeszcze przez chwilę, oglądając sufit. Zatrzymał się i wskazał mały metaliczny dysk w rogu.

– Obiektyw? Filmujecie ich?

– Jesteśmy przygotowani do nagrywania obrazu i dźwięku. Czasem tego używamy.

– Czy trzyma pan nagrane taśmy?

– Nie, poddajemy materiał obróbce matematycznej i wykorzystujemy kasety ponownie – odpowiedział Dugger.

– Nie ma pan nagrań, które chciałby pan zatrzymać?

– To badania kwantytatywne. Najważniejsze są dla nas bity informacji z czujników, które przechowujemy na twardych dyskach. A także obserwacje sadzonek.

– Składają jakieś raporty? – Przepytujemy je. – Na jaki temat?

Dugger ściągnął usta.

– Pytamy o dane jakościowe, których nie można poddać obróbce matematycznej.

– O dziwne zachowania?

– Nie, raczej o niuanse, które nie mogą zostać zmierzone za pomocą czujników.

– I nie interesuje się pan zjawiskami anormalnymi?

Dugger oparł się o ścianę.

– Nie widzę powodu, żeby dyskutować o moich zainteresowaniach.

– Fakt, że Lauren została zamordowana...

– ... jest bardzo przygnębiający. Samo to, że znało się kogoś, kto został zamordowany jest straszne, ale...

– Jak dobrze ją pan znał, doktorze?

Dugger odsunął się od ściany. Popatrzył na sufit.

– Rozumiem, do czego pan zmierza, ale nie mógł się pan chyba bardziej pomylić. Już za pierwszym razem mówiłem, że nigdy nie spałem z Lauren. Sam ten pomysł wydaje mi się śmieszny i niesmaczny.

Milo zbliżył się do Duggera, aż ten podniósł ręce w obronnym geście. Milo zatrzymał się jednak pół metra przed nim.

– Niesmaczny? Z taką piękną dziewczyną jak Lauren? Co jest niesmacznego w przespaniu się z piękną dziewczyną?

Krople potu pokryły górną wargę Duggera.

– Nic. Nie o to mi chodziło. Była... uroczą dziewczyną. Ale to nie tak. Była moim pracownikiem. To się nazywa profesjonalizm.

– Była pracownikiem, z którym zjadł pan kilka razy kolację.

– Jezu – powiedział Dugger. – Gdybym przypuszczał, że tak pan to zrozumie, nigdy bym o tym nie wspomniał. Rozmawialiśmy o psychologii, o jej planach zawodowych. To wszystko.

– Pięknymi dziewczynami też się pan nie interesuje?

Dugger opuścił ręce, zacisnął pięści, wolno rozluźnił dłonie. Uśmiechnął się, strzepnął łupież ze swetra.

– Skoro już o tym mowa, nie. Nie jako takimi. Jestem pewien, że pan ma na ten temat inne zdanie, ale zapewniam, że zewnętrzne piękno niewiele dla mnie znaczy. A teraz proszę wyjść. Nalegam.

– No cóż – powiedział Milo, nie ruszając się z miejsca – dlaczego mamy się rozstawać w gniewie? Zdaję sobie sprawę, że to ryzyko zawodowe, ale niech pan się lepiej temu wszystkiemu przyjrzy. Lauren chyba na to zasługuje.

Dugger opuścił głowę i zakrył oczy. Widziałem, co stara się ukryć. Łzy.

Nim wsiedliśmy do samochodu, zajrzeliśmy jeszcze do chińskiej restauracji, zamówiliśmy

smażone pierożki z mięsem i sajgonki na wynos i pokazaliśmy azjatyckiej parze zdjęcie Lauren.

– Tak – powiedział kucharz nienaganną angielszczyzną. – Przychodziła tu parę razy. Zamawiała kurczaka ze smażonym ryżem na wynos.

– Sama?

– Zawsze sama. Dlaczego pan pyta?

– Rutynowe śledztwo – odparł Milo. – A doktor Dugger z naprzeciwka?

– Nie – powiedział kucharz. – Przez te wszystkie lata, odkąd jesteśmy sąsiadami, jeszcze nigdy tu nie przyszedł. Może jest wegetarianinem?

Kiedy odjechaliśmy kilka przecznic dalej, Milo zaparkował samochód, dwoma kęsami pożarł sajgonkę, rozsypując okruchy, ale nie próbował ich sprzątnąć. Ja zająłem się pierożkiem, był tłusty i bardzo smaczny.

– Jak zareagował, kiedy wspomniałem o Shawnie? Nie zauważyłem nic podejrzanego.

– Właściwie wcale nie zareagował – odparłem. – Co samo w sobie jest interesujące.

– Albo, jak mi od czasu do czasu przypominasz, niekiedy cygaro jest tylko cygarem. – Otworzył kopertę z kartami, które wręczyła mu Ann Buylar, a ja czytałem je przez ramię. Od dziesięciu do dwudziestu godzin tygodniowo, ostatnia wypłata trzy tygodnie temu.

– To znaczy, że albo Dugger coś ukrywa, albo Lauren okłamała Salandera, że pracuje w czasie przerwy międzysemestralnej – powiedziałem.

– Dugger coś ukrywa? Co? Nie wierzysz, że nie spał z Lauren, że nie interesują go piękne kobiety?

– Znowu się pocił.

– Zauważyłem. A widziałeś te łzy? Co jest grane z tym facetem?

– Coś przed nami ukrywa.

Ciągle jedząc, zapalił silnik, strzepnął okruchy z rękawa.

– Zły, niedobry policjant. Rozplakał się przez ciebie. Jezu, zamieniasz się w potwora – powiedział, przeżuając sajgonkę i sięgając po następną.

– Ta jego firma – powiedziałem. – Coś w niej nie gra. Strasznie się stropił, kiedy zapytałeś o klientów. Twierdził, że teraz nie ma zleceń. Może w ogóle niewiele ich dostaje. I ich nie potrzebuje, bo ma pieniądze z Fundacji Duke'a. A to może podnosić cenę szantażu. Może stary nie chce już sponsorować rzekomo cnotliwego stylu życia juniora? Zwłaszcza że Ben dystansuje się od

wszystkiego, w co wierzy Tony Duke. Jednak bierze pieniądze. A jeśli Duke szuka wymówki, żeby przestać łożyć na Bena? Brzydki skandalik pasowałby do takiego scenariusza. Stawką byłoby coś więcej niż tylko dobra reputacja Duggera.

– No cóż, sprawdzimy, czy ktoś tutaj pamięta, żeby Dugger zachowywał się skandalicznie. Z Lauren albo kimkolwiek innym.

Następne dwie godziny spędziliśmy, objeżdżając Newport, pokazując zdjęcie Lauren kelnerom i wymieniając nazwisko Bena Duggera. Nikt niczego nie pamiętał. Mówiono zwykle: „Taką twarz bym zapamiętał”. Chłopak z restauracji z owocami morza powiedział: „Jeśli ją znajdziecie, mogę dostać jej numer telefonu?”

Kiedy wyszliśmy z ostatniej restauracji, Milo zauważył:

– Jeśli Dugger i Lauren się migdalili, to na pewno nie nad talerzem jedzenia.

– Może jedzenia też nie lubi. A co z motelami?

Mruknął coś, ale pokiwał głową. Przez następną godzinę przepytaliśmy recepcjonistów. Taki sam wynik. Milo kłął całą drogę do szosy 55.

– Może facet jest gejem? – powiedziałem. – Nie wyczułeś nic takiego?

– A co to? Mam niby mieć specjalny radar?

– Robisz się drażliwy.

– To przez niski poziom cukru. Zostało coś jeszcze w torebce?

– Jeden pierożek.

– Dawaj. – Między kolejnymi kęsami: – Może i jest gejem. Albo człowiekiem aseksualnym, albo cnotliwym, albo cholera wie jakim.

– Aseksualny – powiedziałem. – To by było coś, nie? Wielki ogier spłodził cnotliwego syna.

– Nie lubisz go. Też nie poszedłbym z nim na kręgle. Facet jest drętwy. Ale bycie synem Tony’ego Duke’a to jeszcze nie powód, żeby wydać na niego nakaz. Jeśli chodzi o Lauren, jest na razie nietykalny, tak jak jego dane z badań nad intymnością. Kiedy wrócimy, przedzwonię do koronera, zobaczę, jakie są wyniki sekcji Michelle. Jeśli wyciągnęli z niej kulę, która pasuje do dziewięciomilimetrówki Lauren, może będę mógł dostać zgodę na przyciśnięcie Gretchen. Teraz pora spotkać się drugi raz z Jane Abbot.

Milo zadzwonił do Abbotów, znowu odpowiedziała automatyczna sekretarka. Tym razem rozłączył się, nie zostawiwszy wiadomości.

– Muszę jeszcze zadzwonić do obyczajówki i popytać o Gretchen. Byłoby ciekawe, gdyby się

okazało, że wróciła do starej branży. Jeśli jeszcze coś będzie prowadziło do niej i Duke'a, znowu przycisnę juniora. Pojedźmy do Abbotów, zobaczymy, czy sąsiedzi wiedzą, gdzie się wybrali Mel i Jane. Zostawię im wizytówkę w skrzynce pocztowej i jeśli Jane się nie odezwie, naprawdę będę musiał z nią pogadać.

– Może nadłożymy drogi i wstąpimy do Westwood? – powiedziałem. – Mindy Jacobus pracuje w dziale promocji w Med Center. Adam Green czuł, że nie chciała współpracować. Jest o niej mowa w aktach Riley'a?

– Tylko ta opowieść o bibliotece.

– Green sprawdzał bibliotekę. Nikt nie pamięta, żeby Shawna tam przychodziła.

Spojrzał na zegarek, popatrzył na deskę rozdzielczą i na jezdnię. Tylko kilka samochodów i ciężarówek, i my na pasie szybkiego ruchu, pod brązowym niebem, kpiącym z wartości postępu technicznego.

– Mały wypad do Westwood – powiedział. – Czemu nie?

Adam Green twierdził, że Mindy Jacobus nie była tak piękna jak Shawna, ale okazała się całkiem atrakcyjną młodą kobietą z nienaganną, lekko opaloną cerą i zdrowymi, lśniącymi, czarnymi włosami. Wysoka, długonoga sylfida w bladobłękitnej dzianinowej sukience i białych sandałach na wysokich obcasach wymaszerowała z biura promocji na korytarz, który śmierdzał środkiem odkażającym. Trzymała w dłoni złoty długopis Cross i poruszała się z pewnością siebie, która sprawiała, że wyglądała na więcej niż swoje dwadzieścia lat.

Więcej linii prostych niż krągłości; Tony Duke zapewne przeszedłby koło niej obojętnie, więc może dlatego Green twierdził, że nie jest specjalnie atrakcyjna. Ale jej taneczne ruchy biodrami z nadwyżką rekompensowały brak ciała.

– Tak? – zapytała z profesjonalnym uśmiechem na ustach. Na plakietce identyfikacyjnej widniał napis: M. JACOBUS-GRIEG. ASYSTENTKA P.R. Milo przedstawił się, nie podając swojej funkcji. Jej uśmiech zaczął zniknąć. Niemożliwe, żeby taka twarz – ten krawat – oznaczała filantropa ani kogokolwiek oczekiwanego z utęsknieniem.

Kiedy błysnął odznaką, jej pewność siebie ulotniła się całkowicie. Zaczęła wyglądać jak dziecko przebrane za dorosłą osobę.

– O co chodzi?

– O Shawnę Yeager, panno Jacobus...

– To strasznie dziwne...

Znajdowaliśmy się w administracyjnym skrzydle Med Center, daleko od części klinicznej, ale zapach szpitala – smród środków odkażających – przyniósł wspomnienia zbiorowych szczepień na

polio w szkolnych salach. Mojego ojca przyjmującego z uśmiechem ukłucie igłą z tak napiętym bicipsem, że krew spływała strużką w dół ramienia. Mnie, pięciolatka, połykającego łyżę na widok pielęgniarki w białym kitlu, która przemywała skórę zimnym wacikiem...

– Dziwne? – zapytał Milo.

Delikatna dłoń Mindy Jacobus-Grieg mocniej ścisnęła długopis. Zamknawszy za sobą drzwi, przeszła kilka kroków i oparła o pistacjową gipsowaną ścianę. Dekorację wnętrza stanowiły fotografie dziekanów szkoły medycznej i znanych dobroczyńców na czarno-garniturowych galach. Niektóre twarze szczodrych aniołów znałem z ekranów kin i telewizorów, szukałem wśród nich Tony'ego Duke'a, ale go nie znalazłem.

– Znowu słyszeć imię Shawna – odparła. – Minął już ponad rok. Czy coś się w końcu... Czy znaleźliście ją?

– Jeszcze nie, proszę pani.

Skurczyła się na dźwięk słów „proszę pani”.

– To dlaczego tu przyszliście?

– Żeby potwierdzić informacje, których udzieliła pani w początkowej fazie śledztwa.

– Teraz? Po roku?

– Tak, proszę pani...

– Co mogłabym wam powiedzieć, czego nie powiedziałam już wtedy? – No cóż – powiedział Milo – zostaliśmy dopiero co przydzieleni do tej sprawy, staramy się dowiedzieć wszystkiego, co może nam pomóc. A pani była ostatnią osobą, która widziała Shawnę.

– Zgadza się.

– Zaraz przed jej wyjściem do biblioteki.

– Tak mi powiedziała. – Spojrzała na swoją lewą rękę. Na serdecznym palcu miała obrączkę i pierścionek z jednokaratowym brylantem. Potarła palcem kamień. Czyżby przypominała sobie, że od tamtego czasu bardzo się zmieniła, wydorosła?

– Młoda mężatka? – zapytał Milo.

– W czerwcu. Mój mąż jest tu asystentem reumatologiem. Zrezygnowałam na rok ze studiów, żeby pomóc mężowi. Czy matka Shawny wie, że znowu pracujecie nad tą sprawą?

– Czy utrzymuje pani z nią jakieś kontakty?

– Nie – powiedziała. – Już nie. Tylko przez pierwsze kilka miesięcy. Agnes... pani Yeager

przeniosła się do Los Angeles i pomagałam jej się przystosować. Ale rozumie pan...

– Jasne – odparł Milo. – Miło z pani strony, że się nią pani zaopiekowała. Między wargami Mindy pojawił się na sekundę czubek różowego języka.

– Była kompletnie załamana.

– Wie pani, jak możemy do niej dotrzeć?

– Już nie pracuje w Hiltonie?

– W Beverly czy Downtown?

– Beverly – powiedziała Mindy. – Nie ma tego w aktach? Musi wam brakować wielu rzeczy. Ten drugi detektyw, ten stary, wydawał się trochę... Czy to pana przyjaciel?

Milo uśmiechnął się.

– Detektyw Riley? Tak, bywał trochę rozkojarzony.

– Wydawało mi się, że wcale mnie nie słuchał. Tak czy inaczej, tam właśnie Agnes pracowała. Myślałam o niej w święta. Bo Shawna ma urodziny dwudziestego ósmego grudnia i wiedziałam, że jej matka musi przechodzić piekło. Zaprosiłabym ją do domu moich rodziców, ale w końcu całą rodziną pojechaliśmy na Hawaje.

– Co pani Yeager robiła w Hiltonie?

– Sprzątała. Potrzebowała pracy, żeby móc zostać w Los Angeles, a nie mogła znaleźć pracy kelnerki w żadnym porządnym lokalu. Uniwersytet pozwolił jej na parę tygodni zamieszkać w akademiku dla doktorantów, ale potem musiała się stamtąd wynieść. Nie знаła miasta, o mało co nie zamieszkała koło parku MacArthura. Powiedziałam jej, żeby znalazła sobie mieszkanie w pobliżu La Brea i Pico, na Cochran.

– Więc została w Los Angeles.

– Na kilka miesięcy. Może wróciła do domu, nie wiem.

– Do Santo Leon? – spytałem.

– Mhm. – Obracała długopis w palcach.

– Więc ostatnio widziała pani Shawnę tego wieczoru, kiedy powiedziała, że idzie do biblioteki – kontynuował Milo. – Czy pamięta pani, która to była godzina?

– Wydaje mi się, że wpół do dziewiątej. To nie mogło być dużo wcześniej, bo byłam ze Steve'em, moim byłym chłopakiem. – Lekki uśmiech. – Do siódmej miał trening. Zwykle przychodziłam po niego i szliśmy razem na kolację do Coop, a potem on odprowadzał mnie do akademika. Shawna

wyszła niedługo po moim powrocie. Pouczyłam się jeszcze trochę, poszłam spać, a kiedy się obudziłam, jej nadal nie było.

– Czy Shawna zwykle uczyła się w bibliotece?

– Chyba tak.

– Jest pani pewna?

Dłoń trzymająca długopis znowu się zacisnęła.

– W gazetach, głównie studenckich, pisano, że nikt w bibliotece nie pamiętał Shawny. Sugerowali, że Shawna kłamała. Ale biblioteka jest ogromna, więc czego to dowodzi? Nie miałam powodu, żeby jej nie ufać.

Odgłosy kroków i śmiechy sprawiły, że spojrzała w głąb korytarza. Grupa ludzi w garniturach, ktoś wykrzyknął jej imię.

– Hej, cześć – powiedziała, uśmiechając się słonecznie.

Uśmiech zniknął, kiedy znów spojrzała na nas.

– Czy to wszystko?

– Czy kiedy Lauren wychodziła, wzięła ze sobą książki?

– Chyba tak – powiedziała Mindy.

– Chyba tak?

– Nawet jeśli mnie okłamała, to musiała się z tym kryć, prawda? Gdyby wychodziła bez książek, coś bym jej pewnie powiedziała. A nie powiedziałam. Więc pewnie wzięła książki. Zauważyłabym, gdyby było inaczej.

– To brzmi logicznie – zgodził się Milo. – Ale czy przypomina sobie pani, że widziała te książki?

Źrenice jej oczu rozszerzyły się.

– Nie, ale... dlaczego jej pan nie wierzy?

– Po prostu staram się zebrać jak najwięcej szczegółów, proszę pani.

– Nie mogę panu podać żadnych szczegółów po tak długim czasie, ale wydaje mi się logiczne, że wzięła książki. Prawdopodobnie do psychologii. Shawna tylko takie rzeczy czytała, bardzo ją to interesowało; psychologia, medycyna. I cały czas się uczyła.

– Kujonka powiedziałem, przypomniałoby sobie słowo, jakiego użyła w rozmowie z Adamem

Greenem.

– Ale nie w złym tego słowa znaczeniu. Po prostu poważnie traktowała swoją naukę... Czy myślicie panowie, że jeszcze żyje?

– Wszystko jest możliwe – powiedział Milo.

– Ale mało prawdopodobne.

Milo wzruszył bezradnie ramionami. Mindy zamknęła na chwilę oczy.

– Była taka piękna.

– Jeśli Shawna rzeczywiście zmyśliła tę historię o bibliotece, co chciała w ten sposób ukryć?

– Nie sądzę, że kłamała, a jeśli nawet, to nie mam pojęcia dlaczego. – Długopis wypadł jej z ręki, złapała go jeszcze w powietrzu.

– Czy mogła ukrywać fakt, że ma chłopaka? – zapytał Milo.

Mindy zwilżyła językiem usta.

– Dlaczego miałyby to ukrywać?

– Proszę mi powiedzieć – powiedział miękko Milo.

Mindy odsunęła się od niego.

– Nie mam pojęcia.

– Czy Shawna w ogóle miała chłopaka, pani Jacobus-Grieg?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Milo zerknął do notatnika.

– Zabawne, przeglądając akta, przepisałem coś o chłopaku... Z jakiegoś powodu myślałem, że to pani wypowiedź.

– Niemożliwe. Dlaczego miałabym mówić coś takiego?

– To pewnie jakaś pomyłka. Trudno.

Gładka skóra za uchem Mindy zaróżowiła się. Milo zaczął wertować kartki notatnika. Niezapisane. Mindy nie mogła tego zobaczyć z miejsca, w którym stała.

– O, tutaj to mam... „Możliwy chłopak, może starszy mężczyzna. Od MJ”. – Znad notatnika obdarzył Mindy niewinnym spojrzeniem. – Założyłem, że MJ to pani, ale możliwe, że coś

poplątałem.

– Zapewne. – Rumieniec rozszerzył się na policzki.

Milo kopnął lekko ścianę obcasem.

– Porozmawiajmy w takim razie teoretycznie, dobrze? Jeśli Shawna spotykała się ze starszym mężczyzną, kim mógłby być ten facet?

– Skąd mam wiedzieć?

– Po prostu myślałem, że mieszkaliście razem, znaliście się dobrze...

– Mieszkaliśmy razem, ale nie przyjaźniłyśmy się. Zresztą mieszkaliśmy ze sobą tylko przez parę miesięcy.

– Więc nie byliście przyjaciółkami? – zapytałem.

– Dogadywałyśmy się, ale byłyśmy zupełnie różne. Po pierwsze, ja byłam starsza. Coś popieprzyli w administracji i przydzielili mi pierwszorocznika.

– Żyłyście w różnych światach?

– Właśnie – powiedziała Mindy z ulgą że została zrozumiana.

– W czym się różniłyście? – zapytał Milo z uśmiechem na ustach.

– Ja jestem towarzyska – powiedziała. – Lubię ludzi, zawsze miałam wielu przyjaciół. Shawna była raczej typem samotnika.

– Ciekawa cecha u królowej piękności.

– Aa, to. No cóż, to było jeszcze w Santo Leon.

– To się nie liczy?

– Nie, nie, nie o to chodzi. Uznałam po prostu, że w Santo Leon Shawna była kimś ważnym, ale tutaj była tylko pierwszorocznikiem. Ja miałam mnóstwo znajomych jeszcze z liceum, ona nie. Próbowałam ją wprowadzić, bo sama nie zawierała zbyt wielu znajomości. To znaczy, pewnie poznałaby jakichś ludzi, ale był dopiero początek semestru.

– Niezbyt towarzyska? – zapytałem.

– Niezbyt.

– Więc w Santo Leon była dużą rybą w małym stawie, ale w Los Angeles nie potrafiła się znaleźć czy wyróżnić?

– Tak... to znaczy była piękna. Ale trochę... wsiowa. Nieskomplikowana. Nie chcę powiedzieć, że zadzierała nosa, była raczej zamknięta w sobie.

Na przykład kiedy przychodził do mnie Steve, ignorowała go albo wychodziła z pokoju. Mówiła, że chce nam zostawić trochę przestrzeni. Ale...

– Pani uważała raczej, że chciała się odizolować? – podrzuciłem.

– Prawdę mówiąc, tak. Dlatego nie zwracałam na nią zbyt wiele uwagi tamtego wieczoru, kiedy poszła do biblioteki. Często jej nie było.

– Często?

– Tak.

– Wiezorami?

– W dzień też. Właściwie rzadko ją widywałam.

– Czy spędzała noce poza akademikiem?

– Nie – powiedziała. – Rano zawsze była w pokoju. Dlatego kiedy się obudziłam, a jej nie było, pomyślałam, że to dziwne. Ale mimo wszystko...

– Co takiego?

– Nie wpadłam w panikę ani nic takiego. W końcu byliśmy dorośli.

Milo bawił się długopisem. Niebieskim, plastikowym bikiem.

– Więc nie miała żadnego chłopaka, o którym by pani wiedziała.

– Zgadza się.

– A ta druga notatka, o starszym mężczyźnie. Czy Shawna mówiła kiedykolwiek, że gustuje w starszych mężczyznach?

Plecy Mindy przywarły do ściany. Mocno ścisnęła długopis.

– Pani Jacobus-Grieg?

– Czy to... czy to wszystko trafi do gazet?

– Nie jest to naszym celem.

– Bo to właściwie nie było nic takiego. A Agnes...

– O czym pani mówi?

Mindy pokręciła głową.

– Powiedziała dziennikarzowi, takiej gnidzie z „Daily Cub”; a on powtórzył policji o mojej rozmowie z Shawną.

– O czym rozmawialiście?

– O facetach. O czym dziewczyny gadają cały czas? Niepotrzebnie w ogóle o tym paplałam. A ten bałwan nie powinien tego powtarzać.

– Czego powtarzać, Mindy?

Mindy potarła butem o but.

– Nie chciałabym zepsuć jej reputacji.

– W jaki sposób?

– Plotkując. Bo po co? Minał już rok. Dlaczego jej matka miałaby czytać takie rzeczy i się denerwować?

Milo zbliżył się do niej. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Dla pani Yeager najbardziej bolesne jest to, że nie wie, co się stało z Shawną. To dla rodzica piekło, więc wszystko, co może pani zrobić, żeby nam pomóc, będzie dobrym uczynkiem.

Mindy powstrzymała się od płaczu.

– Wiem, wiem, ale jestem pewna, że to nic takiego...

– Proszę nam powiedzieć. Jeśli to nie doprowadzi do rozwiązania, będziemy milczeć.

Rumieniec oblał całą jej twarz.

– To była tylko jedna rozmowa – powiedziała, wycierając oczy. – Jakies trzy tygodnie po rozpoczęciu semestru. Steve miał kumpla, któremu Shawna się podobała, i zapytał ją, czy chce, żeby ich umówił. Shawna powiedziała „nie”, musiała się uczyć, ale potem wyszła, i to wcale nie do biblioteki. To był piątek rano i powiedziała, że coś jej nagle wyskoczyło i musi wcześniej wyjechać na weekend. Do domu, do Santo Leon. Ale chodzi o to, że się wystroiła, umalowała. Nie tak, jak ktoś kto jedzie autobusem do domu. Więc zapytałam, co to za facet. Powiedziała, że nie marnowałyaby szminki i pończoch na jakiegoś frajera z kampusu. I popatrzyła na mnie w ten sposób, że mam się od... chrzanić, rozumie pan? Była naprawdę poważna, prawie zła. Albo raczej wzburzona.

– Jakbyś jej nadepnęła na odcisk? – odpowiedziałem.

– Właśnie. Więc popatrzyła na mnie i powiedziała: „Mindy, nigdy nie umówiłabym się z facetem w moim wieku. Tylko starsi wiedzą, jak się traktuje kobietę”. I wtedy do mnie dotarło: jej ubiór.

Kostium, cały ten makijaż. Ubrała się tak, jakby chciała wyglądać na starszą, więc zaczęłam się zastanawiać. I to powiedziałam tej gnidzie z „Daily Cub”. I to pewnie stąd macie tę notatkę. – Wskazała notes Milo. – Ale nie wiem tego na pewno – dodała.

– Nie pytałaś jej? – zapytał Milo.

– Próbowałam. Potrafię być wścibska, przyznaję. Ale, jak powiedziałam, Shawna była zamknięta. Po prostu się zmyła. Wzięła walizkę i wyszła.

– Więc starsi mężczyźni wiedzą, jak traktować kobietę – powiedział Milo. – Czy myśli pani, że chodziło jej o pieniądze?

– Tak to widzę. Bo Shawna lubiła drogie rzeczy. Mówiła, że zostanie psychiatrą albo chirurgiem plastycznym, kupi duży dom w jednym z Trzech B. , Brentwood, Bel Air, Beverly Hills, jakby wyczytała to w jakimś kolorowym czasopiśmie. Pewnego dnia pojechała nawet autobusem do Beverly Hills, żeby poprzehadzać się po Rodeo Drive. Prosta dziewczyna. Zresztą było jej z tym do twarzy.

– Lubiała drogie rzeczy?

– Ubrania, samochody. Powiedziała, że kiedyś będzie jeździć ferrari.

– Bo będzie chirurgiem plastycznym czy za takiego wyjdzie?

– Może jedno i drugie – odparła Mindy.

– Czy mówiła o jakimś profesorze, który jej się podobał?

– Myśli pan, że to był profesor?

– Profesorowie to jedyni starsi mężczyźni w kampusie.

– Nie, nigdy o nikim takim nie mówiła.

– W porządku, dziękuję że poświęciła nam pani czas – powiedział Milo, przekartkowując notatnik, a potem wciskając go do kieszeni. Mindy uśmiechnęła się i rozluźniła, gdy Milo powiedział:

– Aa, jeszcze jedna sprawa... To też zatrzymamy dla siebie. W aktach jest wzmianka o zdjęciach, do których Shawna pozowała nago, do „Duke’a”...

– No, nie – warknęła – głupi kretyn. To ten pacan z „Daily Cub”. Do przewidzenia.

– Dlaczego pacan?

– Chłopak miał obsesję. Ciągle mnie nachodził. Wpadał do akademika, zgrywał wielkiego reportera. Któregoś dnia okropnie mnie wkurzył. Wpakował się do pokoju i zaczął grzebać w naszych rzeczach. Cała sprawa z „Dukiem” wzięła się stąd, że Steve zostawił u nas swoje

czasopisma – „Sports Illustrated”, „GQ”. I tak, „Playboye” i „Duke” i wie pan, jacy są faceci. A ten bałwan miał czelność w nich grzebać i wtedy wypadły te luźne strony z „Duke’a”, a Green – kretyn! – je podnosi i pyta: „Jejku, czy to Shawna?” No to ja je zabieram i mówię, żeby spadał ze swoimi brudnymi łapami i durnymi pomysłami. A on uśmiecha się do mnie, że niby pozjadał wszystkie rozумы i wie, co jest grane, i pyta: „Co jest, Mindy? Dlaczego Shawna nie miałaby pozować? Bóg dał jej takie ciało” i tak dalej. Wtedy zagroziłam, że zacznę krzyczeć, jeśli zaraz nie wyjdzie. Ale ten się uparł, więc poprosiłam Steve’a, żeby mu przemówił do rozumu. Może powinniście mu się przyjrzeć.

– Czy znał Shawnę, zanim zginęła?

– Nie, nie wydaje mi się. Chodzi mi tylko o to, że był dziwny. W każdym razie to stąd wzięła się ta historia z „Dukiem”.

– Więc Shawna nigdy nie pozowała do żadnych takich zdjęć?

– Oczywiście, że nie. Po co miałaby to robić?

– Z tego samego powodu, co inne dziewczyny. Dla pieniędzy, sławy. A może spotkała starszego faceta, który był fotografem.

– Nie – powiedziała Mindy – nie ma mowy. Shawna chciała być lekarzem, a nie rozkładówką. Nie chciała takich pieniędzy i takiej sławy. Żadna z nas tego nie chce. To upokarzające.

– Shawna zgłaszała się do konkursów piękności – zauważył Milo.

– I nienawidziła ich. Miss oliwy z oliwek czy jakoś tak. Mówiła mi, że zrobiła to dla pieniędzy i dlatego, że uznała, że to będzie dobrze wyglądać w jej papierach na studia. Nie była taką dziewczyną.

– Jaką?

– Głupią blondyną. Była inteligentna. – Błyskawiczne spojrzenie w sufit. Zbielałe kostki palców od ściskania długopisu. Twarz przybrała łososiowy kolor. Oczy skakały jej jak kuleczki w flipperze.

– To upokarzające – powtórzyła.

Milo uśmiechnął się do niej. Pozwolił jej odejść.

Kiedy Mindy wróciła do swojego biura, korytarz zaczął się wypełniać ludźmi.

– Od tego chińskiego żarcia zachciało mi się pić – oznajmił Milo.

Zjechaliśmy zatłoczoną windą do kafeterii szkoły medycznej. Wśród odgłosów tac uderzających o blaty i zapachów jadłodajni zamówiliśmy po coli i usadowiliśmy się przy stoliku w głębi sali. Za sobą mieliśmy przymgloną szybę, za nią było atrium.

– Więc – powiedział – co sądzisz o Mindy?

– Niezbyt dobra z niej kłamczucha – odparłem. – Jej skóra nie chciała współpracować i ścisnęła długopis tak mocno, że bałem się, że go złamię. Zwłaszcza kiedy opowiadała o tych zdjęciach. Adam Green mówił, że to były luźne, czarnobiałe fotografie, a nie strony czasopisma. Mindy chciała z niego zrobić świra, ale mnie wydał się całkiem normalny. A wytłumaczenie Mindy nie bardzo trzyma się kupy. Dlaczego jej chłopak miałby przechowywać pisma z golizną w jej pokoju? Green zastanawiał się, czy obie nie wybrały się pozować. To by tłumaczyło jej nerwowość.

Kiwnął głową.

– Zwłaszcza teraz, kiedy wyszła za męża.

– Nie przyciskałeś jej.

– Czuję, że to wszystko, co można z niej wycisnąć. Na razie. Nawet jeśli Shawna rzeczywiście pozowała do aktów, nie mamy żadnego dowodu, że właśnie do „Duke’a”, a nie dla jakiegoś oszusta z fałszywą wizytówką. Nie sądzę, żeby „Duke” współpracował z jakimś psychopatą. Za duże ryzyko. Nie mogę tak po prostu wmaszerować do firmy Tony’ego i zażądać wglądu w archiwum zdjęć.

Zabrzączał jego pager. Przeczytał numer, zadzwonił z komórki, nie mógł złapać zasięgu, wyszedł z kafeterii. Kiedy wrócił, powiedział:

– Zgadnij, co się stało? Lyle Teague. Mamusia się do mnie nie odzywa, a tatulo i owszem.

– Czego chciał?

– Czy czegoś już się dowiedziałem, czy mógłby jakoś pomóc? Silił się na uprzejmość, aż słyszałem, jak mocno ścisnął słuchawkę. A tu nagle pyta niewinnie, co się stanie z majątkiem po Lauren. Kto zajmuje się jej finansami?

– O kurczę.

Pokręcił głową.

– Sęp zaczyna kołować. Kiedy mu powiedziałem, że nie mam o tym wszystkim pojęcia, wkurzył

się. Biedna Lauren, wychowywana przez takiego faceta. Czasem myślę, że moja praca jest cięższa od twojej.

Kupił następną puszkę coli i opróżnił ją paroma łykami.

– Jedyną rzeczą, którą Mindy potwierdziła – powiedziałem – jest zainteresowanie Shawny starszymi mężczyznami. Powiązanie z „Dukiem” – prawdziwym czy nie – daje nam jakiś łącznik ze sprawą Lauren.

– Dugger – powiedział.

– Starszy mężczyzna, wykształcony, bogaty. Psycholog. Pasuje do upodobań Shawny. A jeśli chodzi o wizytówkę, Dugger mógł się powołać na ojca. Mógł wykorzystać pismo jako przynętę. Tak jak te badania nad intymnością.

– Podwójne życie, he? Pan Czysty jak łąza w dzień, Bóg jeden wie, jaki w nocy.

– Nawet za dnia jest dość dziwny – zauważyłem. – Nie ma aktualnie żadnych klientów, ale cały czas prowadzi badania. Umieszcza ludzi w dziwnym pokoiku i mierzy, jak bardzo się do siebie zbliżają. Wygląda mi to raczej na podglądactwo, a nie na naukę. I publikował swoje ogłoszenie przed zniknięciem Shawny i Lauren.

– Jego pracownicy mówią, że Shawna nigdy nie była w Newport.

– Może zniszczył dokumenty na ten temat. Albo poznał Shawnę w inny sposób. Udawał fotografa albo użył jakiegoś innego podstępów. Mindy powiedziała, że Shawna za bardzo się wystroiła jak na podróż do domu, zgadywała, że idzie na randkę. Shawna miała osiemnaście lat, rwała się do eleganckiego świata, otwarcie mówiła, że lubi starszych facetów. Nie trzeba być geniuszem, żeby umieć to wykorzystać. I jeszcze coś: między zniknięciem Shawny i śmiercią Lauren minął rok, ale to nie znaczy, że nie było także innych ofiar.

– Sprawdzalem to – powiedział. – Zaraz po tym, jak wspomniałeś o Shawnie. Nie znalazłem nic rzucającego się w oczy.

– To się zdarza – odparłem. – Policja nie dowiaduje się o wszystkim. Zwłaszcza, jeśli w grę wchodzi grubsza kasa.

Nie odpowiedział. Ale i nie zaprotestował.

Opuściliśmy Med Center, wyszliśmy przed budynek, gdzie w niedozwolonym miejscu zostawiliśmy nieoznakowane ferrari Mila. Za wycieraczkę zatknięty był mandat. Milo zmiął go i rzucił na tylne siedzenie.

– W każdym razie nie zaszkodziłoby porozmawiać z matką Shawny. Mogłaby potwierdzić ten wyjazd na weekend do Santo Leon. Może nadal pracuje w Hiltonie?

– Trzeba się najpierw zająć inną matką – powiedział. – Ale dobra, wpadnijmy do Hiltona, potem od razu pojedziemy na Sherman Oaks spotkać się z Jane Abbot.

Hotel Beverly Hilton położony jest na zachodnim skraju Beverly Hills, nieco na wschód od klubu Country Los Angeles, gdzie zaczyna się Wilshire. Jazda z Westwood zajęła nam pięć minut. Biuro działu kadr w hotelu było skłonne do współpracy, ale ostrożne, zajęło nam trochę czasu, nim dowiedzieliśmy się, że Agnes Yeager porzuciła pracę w Hiltonie dziewięć miesięcy temu.

– Nie zagrzała tutaj miejsca – powiedział Milo. – Mieliście z nią jakieś problemy?

– Nie, żadnych – powiedział asystent dyrektora kadr, Esai Valparaiso, mały, przyjacielski człowieczek w obcisłym brązowym garniturze. – Nie zwolniliśmy jej, sama odeszła. – Kciuk Valparaiso pocierał krawędź kartki. – Bez uprzedzenia, tak tu napisali.

– Nie wie pan, dokąd się udała?

– Nie, proszę pana, nie śledzimy pracowników.

– A pracowała jako sprzątaczką?

– Tak, proszę pana.

– Czy mogę prosić o jej ostatni adres?

Valparaiso oparł rozłożone szeroko ręce o blat biurka.

– Mam nadzieję, że nie zrobiła nic, co mogłoby narazić na szwank reputację hotelu?

– Nie, chyba że waszemu wizerunkowi szkodzi żal po utracie bliskiej osoby.

– Tysiąc dwieście Cochran – przeczytał na głos Milo napis na karteczce, kiedy kierowaliśmy się do samochodu. – To samo miejsce, o którym mówiła nam Mindy. – Sprawdził Agnes Yeager w policyjnej bazie danych. – Żadnych listów gończych, nakazów sądowych, wykroczeń, ale adres w Santo Leon.

– Może się poddała i wróciła do domu.

Wydostał numer telefonu informacji w Santo Leon, zadzwonił. – Nie ma jej na liście. Dobra, sprawdźmy Cochran. Mieszkanie znajdowało się w sześciopiętrowym budynku zaraz na południe od Olympic, po wschodniej stronie ulicy. Białe otynkowany klocek ozdobiony niebieskimi, symbolizującymi diamenty rombami z resztkami błyszczącej farby w rogach, nieosłonięta przestrzeń parkingowa, zastawiona podstarzałymi sedanami, i czysto zamieciony betonowy chodnik w miejscu, w którym powinien znajdować się trawnik. Na żadnej skrzynce na listy nie widniało nazwisko Yeager i już mieliśmy się stamtąd zabierać, gdy zobaczyliśmy, że w naszym kierunku kuśtyka stary czarny mężczyzna. Zamachał do nas.

Jego skóra miała barwę brązu, czarną zaś pod rondem słomianego kapelusza. Miał na sobie wyblakłą niebieską koszulę, grube brązowe spodnie i czarne, na glanc wypastowane buty.

– Tak? – zapytał Milo.

– Więc kto co komu zrobił, panie władzo? – spytał, gdy spotkaliśmy się na środku parkingu.

– Szukamy pani Agnes Yeager, proszę pana – poinformował go Milo.

Wygiął szare wysuszone wargi.

– Agnes? Czy chodzi o jej córkę? Czy coś się w końcu wyjaśniło?

– Wie pan o jej córce?

– Agnes mi o tym mówiła – oznajmił staruszek. – Mówiła o tym każdemu, kto chciał słuchać. Jestem tu właściwie cały czas, więc często z nią rozmawiałem. – Oparłszy się mocniej na lasce, wyciągnął spracowaną rękę. Milo uściśnął jego dłoń. – William Perdue. Jestem właścicielem tego domu.

– Detektyw Sturgis. Miło mi pana poznać. Mówi pan o pani Yeager w czasie przeszłym. Kiedy się stąd wyprowadziła?

Perdue oparł obie ręce na lasce. Kapelusz był trochę dziurawy i słońce prześwitywało przez słomę, tworząc mały półksiężyc na jego prawym policzku. – Nie wyprowadziła się z własnej woli, zachorowała. Jakies dziewięć miesięcy temu. To się stało właśnie tutaj. Odwiedziła mnie siostrzenica z Las Vegas. Pracuje w tamtejszej policji, w drogówce, na rannej zmianie, dlatego wcześniej się budzi, więc była na nogach już przed świtem. Ona to usłyszała, wielki hałas z mieszkania Agnes. – Odwrócił się wolno i wskazał okno na parterze. – Agnes upadła przy samych drzwiach. Drzwi były otwarte, a na podłodze obok niej leżała gazeta. Wyszła na zewnątrz, żeby ją wziąć, weszła do mieszkania i upadła. Tariana powiedziała, że oddycha, ale słabo. Zadzwoniliśmy po karetkę. Powiedzieli, że to wyglądało na zawał. Nie paliła ani nie piła. To pewnie przez ten smutek.

– Z powodu córki.

– Bardzo ją to dotknęło.

– Czy wie pan, gdzie możemy ją teraz znaleźć, panie Perdue?

– Zabrali ją tu, niedaleko, do szpitala MidTown. Poszliśmy tam z Tariana ją odwiedzić. Była na intensywnej terapii i nie mogliśmy się z nią zobaczyć. Nie miała polisy, więc szybko przenieśli ją do szpitala powiatowego na badania. To dla mnie za daleko, więc tylko do niej zadzwoniłem. Nie bardzo mogła mówić, powiedziała, że nadal nie wiedzą, co jej jest, ale że prawdopodobnie się wyprowadzi i przyśle kogoś po swoje rzeczy. Przeprosiła, że nie zapłaciła za ostatni miesiąc. Powiedziałem, żeby się tym nie przejmowała ani swoimi rzeczami. Nie było ich wiele, wynajęła mieszkanie z meblami. Wszystko spakowałem, dwie walizki, i Tariana zawiozła je do szpitala.

Wtedy ostatni raz się odezwała. Wiem, że wypisali ją ze szpitala, ale nikt nie potrafił mi powiedzieć, dokąd poszła.

– Panie Perdue – spytał Milo – czy miała jakieś przypuszczenia na temat zaginięcia Shawny?

– No pewnie. Myślała, że Shawna została zamordowana, pewnie przez jakiegoś mężczyznę, który jej pożądał.

– Użyła właśnie tego słowa? „Pożądał”?

Perdue uniósł rondo kapelusza.

– Tak, proszę pana. Była dosyć religijną osobą, jedną z tych z silnym poczuciem grzechu. Jak mówiłem, nie piła, nie paliła, a gdy wracała z pracy, całą noc siedziała przed telewizorem.

– Pożądał – powtórzył Milo. – Czy tłumaczyła panu, dlaczego tak myśli?

– Tak po prostu czuła. Że Shawna zadała się z niewłaściwym człowiekiem. Mówiła też, że policja niewiele robiła w tej sprawie. Bez urazy. Że ten policjant, który kierował śledztwem, nie kontaktował się z nią. Raz ją spotkałem przy śmietniku. Oboje wynosiliśmy śmieci, a ona wyglądała na bardzo smutną, więc zapytałem, co się stało, a ona zaczęła się żalić. Wtedy mi powiedziała. Że Shawna była dość trudna w domu, a ona próbowała ją wychować, ale Shawna była uparta.

– Co to znaczy, że była trudna?

– Nie pytałem, proszę pana – odparł Perdue urażony. – Dlaczego miałbym sypać sól na jej rany?

– Oczywiście – zgodził się Milo. – Ale nie podała panu żadnych szczegółów?

– Powiedziała tylko, że żałuje, że tata Shawny zmarł, kiedy córka była małą dziewczynką. Że Shawna nie wiedziała, jak właściwie obcować z mężczyznami. Potem znowu się rozplakała, żaliła się, że robiła, co mogła, jak wtedy, kiedy Shawna oznajmiła, że przyjeżdża tu na studia. To ją przeraziło, bo Shawna była wszystkim, co miała. Ale ją puściła, bo jej nie można było odmówić; robiła, co chciała, jak z tymi konkursami. Agnes nigdy tego nie pochwałała, ale Shawnie nie można było odmawiać. Agnes uznała, że czas odciąć pępowinę. „I patrz, co się stało, Williamie”, tak mi powiedziała. Potem znowu zaczęła płakać. Przykre.

Perdue przesunął palcem po górnej wardze. Jego paznokciec był stwardniały, gruby, ale starannie obcięty.

– Powiedziałem, że to nie jej wina, że takie rzeczy się zdarzają. Straciłem syna w Wietnamie. Ja trzy lata walczyłem z Hitlerem i nawet się nie zadrapałem, a mój chłopak poleciał do Wietnamu i dwa tygodnie później nastąpił na minę. Takie rzeczy się zdarzają, prawda?

– To prawda, proszę pana – potwierdził Milo. – W rzeczy samej.

Dojechaliśmy do Crescent Heights, przecięliśmy Sunset Boulevard koło Laurel Canyon i pojechaliśmy do Valley.

– Kobieta z dobrym sercem – powiedział Milo. – Myślisz, że moja wizyta załamie ją do reszty?

– Co sądzisz o tym, co powiedziała panu Perdue?

– O tym, że Shawna sprawiała trudności?

– Dlatego, że nie miała ojca – dokończyłem. – Była trudna w określony sposób. Myślę, że jej matka wiedziała, że Shawnę pociągają starsi mężczyźni. Może już w Santo Leon dała się poznać z tej strony.

– Może – powiedział. – Ale to może też znaczyć, że historyjka Shawny o wyjeździe na weekend do domu była prawdziwa. Wystroiła się dla jakiegoś faceta z Santo Leon, coś się stało i zakopał ją gdzieś na pustkowiu. I dlatego nigdy jej nie znaleziono. Jeśli tak było, to nie ma żadnego związku z Lauren.

– Nie – powiedziałem. – Agnes mogła wiedzieć, jakie są upodobania Shawny, ale wątpię, czy wiedziała o jakimś konkretnym kochanku z miasteczka. Gdyby tak było, powiedziała by o tym policji, nie? Nawet jeśli nikt jej nie słuchał.

– Leo Riley – przypomniał sobie. – Sukinkot nadal do mnie nie oddzwonił.

– I tak pewnie nie mógłby ci nic powiedzieć. Milo, myślę, że Agnes Yeager wiedziała o skłonnościach Shawny i podejrzewała, co mogło zajść w Los Angeles, ale nie znała żadnych szczegółów.

– To możliwe... Niepokoi mnie, że ktokolwiek zabił Shawnę, nie chciał, żeby została znaleziona. Ale w przypadku Lauren, Michelle i Lance'a było wręcz odwrotnie. Mówimy tu o ciałach zostawionych na widoku, jakby to miało być ostrzeżenie albo pogróżka. Jakby chodziło o sprawę zawodową. To nie pasuje do zbrodni na tle seksualnym.

– Więc motywy były inne – powiedziałem. – Shawna została zabita z żądzy, pozostałe ofiary zamordowano, żeby je uciszyć.

Minęliśmy targ w Laurel Canyon, droga zaczęła piąć się stromo w górę. Milo dodawał gazu, a ferrari warczało. Serce zaczęło mi mocniej bić.

– O, kurczę.

– Co takiego?

– A jeśli śmierć Shawny jest właśnie tą tajemnicą? Lauren jakoś się o tym dowiedziała, chciała wykorzystać sytuację. Za to warto zabić. Milczał aż do Mullholland.

– W jaki sposób Lauren miałaby się o tym dowiedzieć?

Na to pytanie nie znałem odpowiedzi. Podrapałem się w ucho. Wyciągnąłem cygaro, poprosiłem, żebym dał mi ogień, wydmuchnąłem śmierdzący dym przez okno.

– No cóż – powiedział w końcu – może Jane nas oświeci. Dobrze, że tu jesteś. – Zły uśmiech. – To może wymagać wrażliwości psychologa.

Zajechaliśmy pod bramę domu Abbotów parę minut przed czwartą. Zarówno niebieski mustang, jak i wielki biały cadillac stały zaparkowane na swoim miejscu, ale nikt nie odpowiedział na dzwonek do drzwi. Milo spróbował jeszcze raz. Odezwał się elektroniczny sygnał, cztery dzwonki. I nic.

– Ostatnio mieli to podłączone do automatycznej sekretarki – powiedział. – Samochody na podjeździe i nikogo w domu?

– Pewnie tak jak myśleliśmy – zauważyłem. – Pojechali gdzieś taksówką. Trzeci raz przycisnął dzwonek.

– Porozmawiajmy z sąsiadami – powiedział. Odwrócił się od bramy, kiedy rozbrzmiewał jeszcze trzeci dzwonek. Byliśmy już prawie przy samochodzie, kiedy odezwał się głos Mela Abbota.

– Proszę... to nie jest... to nie...

Milo przyjrzał się bramie, podwinął nogawki i chwycił żelazną kratę. Ale ja już zaczepiłem nogę i pierwszy znalazłem się po drugiej stronie.

Podbiegliśmy do frontowych drzwi. Nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Milo walił w drzwi, nacisnął dzwonek.

– Panie Abbot! Policja!

Brak odpowiedzi. Przestrzeń przed prawym skrzydłem domu blokował żywopłot z fikusa. Po lewej stronie znajdowała się obsadzona azaliami brukowana ścieżka prowadząca do kuchennych drzwi. Też zamkniętych, ale jedno z okien na parterze było uchylone.

– Mają tu alarm – powiedział Milo. – Wygląda na to, że nie było włamania. Poczekaj tutaj. – Wyciągnął z kabury pistolet, pobiegł na tyły budynku, wrócił po paru chwilach. – Nie ma żadnych śladów włamania, ale coś jest nie tak. – Włożył broń do kabury, uchylił bardziej okno, krzyknął: – Panie Abbot? Jest tam kto? Cisza.

– Jest urządzenie uruchamiające alarm – oznajmił, patrząc na boczną ścianę. – Wygląda na to, że system jest wyłączony. Dobra, podsadź mnie. – Złożyłem dłonie, przez moment czułem jego olbrzymi ciężar, potem podciągnął się i zniknął w środku.

– Pilnuj tutaj, ja pójdę się rozejrzeć.

Czekałem, wsłuchując się w podmiejską ciszę, ogarniając wzrokiem jak największą część ogrodu za domem: błękitny fragment basenu, tekowe foteliki, stare drzewa zasłaniające widok na sąsiednią posesję, trawnik przygotowany do nawożenia... Ktoś przygotował rośliny na wiosnę.

Minęło osiem minut, dziesięć, dwanaście. Dlaczego tak długo nie wraca? Czy powinienem pójść do samochodu i zadzwonić po posiłki? Co powiem centrali?

Kiedy o tym myślałem, otworzyły się kuchenne drzwi i Milo wciągnął mnie do środka. Jego twarz była biała jak papier.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Zamiast odpowiedzieć odwrócił się do mnie plecami i przeprowadził przez kuchnię. Na niebieskich, granitowych blatach nie było nic oprócz pudełka soku pomarańczowego. Przeszliśmy przez wyklejony kwiecistą tapetą pokój śniadaniowy, spiżarnię, jadalnię, minęliśmy dzieła sztuki na ścianach i nagrody Mela Abbota, windę w bawialni.

Milo wszedł na schody, ja za nim.

Kiedy byłem na półpiętrze, usłyszałem starczy płacz.

Abbot siedział w dużym małżeńskim łóżku obitym niebieskim aksamitem, łysa czaszka odbijała światło żyrandola, po wąskiej wardze spływała ślina. Pokój był duży, niewywietrzony. Dekorator wzorował się zapewne na Wersalu. Złotawy pluszowy dywan, odsłonięte i misternie udrapowane

musztardowo-szkarłatne, ciężkie zasłony, repliki francuskich mebli.

Łoże było tak wielkie, że zdawało się połykać drobną postać Abbota. Rokokowy zagłówek. Mnóstwo satynowych poduszek, kilka na podłodze. Szklany żyrandol był ozdobiony kolorowymi ptakami. Nad łóżkiem wisiał krzywo mały Picasso. Obok ciemny pejzaż, być może Corot. W rogu stał złożony wózek inwalidzki.

Biały puch włosów Melville'a Abbota był przyklepany i pokryty potem. Oczy starca były puste i wystraszone, rzęsy posklejane zielonkawą ropą.

Miał na sobie brązową jedwabną piżamę z białymi wyłogami, a wokół nadgarstków policyjne kajdanki.

Po jego lewej stronie, jakiś metr od łóżka, czerwono-brunatne plamy na złotym dywanie. Największa z nich wypływała spod ciała Jane Abbot.

Leżała obrócona na lewy bok, lewe ramię wyciągnięte do przodu, podkulone nogi, popielaty wachlarz włosów, zadarty do góry srebrzysty peniuar odsłaniał nadal szczupłe nogi i czarne majtki. Nagie stopy, paznokcie pomalowane na różowo. Szare, lekko zielone ciało, fioletowe od nabiegłej krwi kostki i łydki.

Jej oczy były na wpół otwarte, zamglone, powieki opuchnięte i sine. Otwarte usta z podkurczonym, szarawym językiem. Rubinowa dziura w lewym policzku, następna w lewej skroni.

Milo wskazał podłogę przy stoliku nocnym. Pistolet podobny do jego własnej dziewięciomilimetrówki. Wyciągnął z kieszeni spodni magazynek, ponownie go schował.

– Trzymał go, kiedy tu wszedłem.

Abbot wydawał się nic nie słyszeć. Ślina spływała mu po podbródku, mamrotał.

– Co pan mówi, panie Abbot? – zainteresował się Milo, podchodząc do łóżka.

Abbot przewrócił nieprzytomnie oczami, spojrzał w pustkę. Milo odwrócił się w moją stronę.

– Kiedy wszedłem, mierzył we mnie z tego cholernego pistoletu. O mało go nie zabiłem, ale kiedy mnie zobaczył, upuścił broń. Próbowałem się dowiedzieć, co się stało, ale on tylko bredzi. Sądząc po tym, jak wygląda, pani Abbot nie żyje od dobrych paru godzin. Nie będę go naciskał bez adwokata. To sprawa dla tych z Van Nuys. Już do nich zadzwoniłem. Niedługo będziemy mieli towarzystwo.

Mel Abbot zajęczał.

– Proszę się trzymać, panie Abbot.

Starzec wyciągnął do nas ręce, potrząsnął nadgarstkami, zadzwoniły kajdanki.

– Boli.

– Są tak luźne, jak to tylko możliwe, proszę pana.

Brązowe oczy pociemniały.

– Jestem pan Abbot. Kim, do cholery, jesteście?

– Detektyw Sturgis.

Abbot wpatrywał się w niego.

– Sherlock Holmes?

– Coś w tym stylu.

– Policjant – powiedział Abbot. – Policjant zatrzymuje faceta na autostradzie, zna pan to?

– Chyba tak – odparł Milo.

– Oo – powiedział Abbot – nie ma pan poczucia humoru.

Kiedy czekaliśmy, Milo rozglądał się po pokoju. Ja nie widziałem nic oprócz tragedii, jaka się tu wydarzyła, ale jego wyćwiczone oko zlokalizowało dziurę po kuli w ścianie naprzeciw łóżka, niedaleko wózka inwalidzkiego. Obrysował otwór kredą.

Abbot siedział zgarbiony w łóżku, ręce w kajdankach spoczywały bezwładnie na kołdrze. Milo wytarł mu kilkakrotnie podbródek. Za każdym razem Abbot odkręcał głowę jak dziecko, które nie chce jeść szpinaku.

W końcu usłyszeliśmy syreny. Trzy wozy policyjne duo z Dywizji Van Nuys. Ruiz i Gallado, drużyna wesołych pielęgniarzy po Mela Abbota.

Patrzyłem, jak mundurowi zabezpieczają miejsce zbrodni, a sanitariusze rozkładają nosze. Milo i detektywi wyszli z sypialni i omawiali sprawy techniczne, od czasu do czasu rzucając spojrzenia w kierunku staruszka, który nie mógł ich słyszeć. Nad jego górną wargą lśniły mokre i śliskie smarki. Ciało Jane znajdowało się w polu jego widzenia, ale nie próbował na nie patrzeć. Pielęgniarz podszedł do detektywów, zapytać, dokąd go zabrać. Wszyscy trzej zgodzili się, że trzeba go będzie przewieźć do więzienia County General. Niski detektyw Ruiz mruknął:

– Uwielbiam drogę do wschodniego Los Angeles.

– Nie ma jak w domu – powiedział Gallardo. Zarówno on, jak i jego partner byli mocno zbudowani, mieli koło trzydziestki i czarne włosy przycięte równo i zaczesane do tyłu. Gallardo miał jakieś metr dziewięćdziesiąt, Ruiz nie więcej niż metr siedemdziesiąt. Gdyby nie różnica wzrostu, mogliby uchodzić za bliźniaków i zacząłem na nich patrzeć, jak na wynik jakiegoś mendlowskiego eksperymentu: mały gliniarz, duży gliniarz... Za wszelką cenę próbowałem nie myśleć o tym, co się wydarzyło.

Nie podziałało. Nie mogłem się powstrzymać od wyobrażenia sobie ostatnich chwil Jane Abbot. Czy wiedziała, co ją czeka, czy tylko zobaczyła błysk wystrzału i nie zdążyła zdać sobie sprawy z tego, co się stało?

Matka i córka. Obie nie żyją.

Była rodzina, nie ma rodziny.

Niedobra rodzina, ale na tyle troskliwa, żeby parę lat temu szukać pomocy....

Sanitariusze rozłożyli już nosze, odpięli pasy i zbliżyli się do Abbota. Zaczął płakać, ale nie stawiał oporu, kiedy go kładli. Potem spojrzął na zwłoki i krzyknął, zaczął wymachiwać chudymi ramionami. Jeden z pielęgniarzy powiedział znudzonym głosem:

– Już dobrze, spokój. – Trzask, prask i Abbot leżał przypięty pasami do noszy.

Zbiegłem na dół do kuchennych drzwi i obsadzonej azaliami dróżki. Słońce zaczynało zachodzić, niebo nad horyzontem mieniło się pomarańczem i czerwienią. Kilku sąsiadów pojawiło się na ulicy. Kiedy wyszedłem, zbliżyli się do bramy. Ktoś pokazał mnie palcem, oddaliłem się od nich, trzymając się blisko domu, gdy dołączył do mnie Milo.

– Poszedłeś się przewietrzyć?

– Oddychanie wydało mi się dobrym pomysłem – powiedziałem.

– Straciłeś najlepsze. Abbot wyciągnął rękę spod pasa i chwycił jednego z sanitariuszy za włosy. Dali mu zastrzyk uspokajający.

– Biedny facet.

– Biedny, ale niebezpieczny.

– Naprawdę myślisz, że on to zrobił?

– A ty nie? – Wziął się pod boki. – Nie mówię, że zrobił to z premedytacją, ale to on. Trzymał pistolet, a dziura w ścianie pasuje do strzału oddanego z łóżka. To się musiało stać w nocy. Pewnie trzymali pistolet na stoliku, stary jakoś go znalazł, myślał, że to pluszowy miś, Jane weszła do sypialni, zdenerwował się i bum, gotowe.

– Wypadek z pistoletem.

– Ciągłe się to zdarza, Alex. Zwykle dzieciom. A Abbot tak naprawdę jest dzieckiem, nie? Stolik znajduje się w zasięgu jego ramienia. Jest tam jeszcze jeden pistolet, stary rewolwer, trzydziestka ósemka, nienaładowany. Więc może Jane była ostrożna. Tylko że niedostatecznie. Zapomniała o magazynku.

– Tragiczny wypadek – powiedziałem. – W końcu ty jesteś tutaj detektywem.

Popatrzył na mnie.

– No, dawaj, co ci leży na wątrobie?

– Jane była doświadczoną pielęgniarką. Nie wyobrażam sobie, żeby pozwoliła mu mieć dostęp do broni.

– Musiała być bardzo zajęta, Alex. Ludzie są omylni, nie zawsze uważają. Nawet najbardziej troskliwi rodzice mogą nie zauważyć, jak ich berbecę pełźnie w kierunku basenu. – Spojrzał na dom. – Nie ma żadnych śladów włamania. Jane miała w garderobie szkatułkę z biżuterią, a w szafie sypialni jest sejf, na szyfr. Nie wspomnę nawet o tych wszystkich obrazach. Ruiz i Gallardo na pewno sprawdzą najpierw, czy pistolet był zarejestrowany. Tacy porządni obywatele jak oni nie trzymaliby nielegalnego gnata. Jeśli pistolet należał do nich, to sprawa jest jasna.

Przechadzał się małymi kroczkami w kółko, otrzepał spodnie.

– Przynajmniej wiem, dlaczego nie odpowiedziała na mój telefon.

– Masz rację z tymi obrazami – przyznałem. – Jeśli to oryginały, są warte fortunę. Ładny dom, ogródek. Ciekawe, kto to wszystko odziedziczy.

Obrócił się, spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek jak pies obronny.

– Do czego zmierzasz?

– Jedyne dziecko Mela Abbota zmarło dziesięć lat temu, córka Jane kilka dni temu. Teraz Mela uznają za niepoczytalnego i wyznaczą kogoś innego do opieki nad jego majątkiem. Pewnie sąd oddeleguje do tego jakiegoś urzędnika. Krewni zaczęną się ustawiać w kolejce po spadek. Zastanawia mnie, kto z prawnego punktu widzenia będzie miał do niego największe prawa.

– Jakiś kuzyn z Iowa. No i co z tego?

– Może nic – powiedziałem. – Jane wspominała o intercyzie, ale to dotyczy tylko rozwodu, a nie śmierci. Jeśli Mel zostawił wszystko Jane, Lauren dostałaby cały spadek. Ale Lauren nie żyje, więc teraz jej najbliższy krewny może wskoczyć na pierwsze miejsce. A patrz, kto do ciebie dzisiaj zadzwonił i wypytywał o finanse Lauren.

Otworzył szeroko oczy.

– Tatulo nasz najdroższy. Jezu, ale masz pomysły, psychopata by się nie powstydził.

– Przecież zadzwonił do ciebie, nie? Kilka godzin po śmierci Jane.

– Obie go nienawidziły. Nie ma powodu myśleć, że uczyniły go spadkobiercą.

– Czy znaleziono testament Lauren?

– Jeszcze nie.

– Jeśli zmarła bez testamentu – powiedziałem – pewnie wystawią dom na sprzedaż. Nie jestem prawnikiem, ale założę się, że jej najbliższy krewny, Lyle, będzie mógł o niego zawalczyć. Jasne, że będzie musiał odwalić kupę papierkowej roboty, zapłacić podatki, ale jeśli te obrazy są prawdziwe, nawet kawałek spadku może być wart fortunę. Lyle ma kłopoty finansowe. Picasso albo dwa zdziałałyby cuda.

– Wykończył swoją byłą i wetknął staremu pistolet do ręki?

– Jak powiedziałeś, nie kochali się.

– Daj spokój, Alex. Facet nie może być na tyle głupi, żeby to zrobić i zaraz potem do mnie dzwonić. To zbyt oczywiste. – Zmarszczył brwi. – Ale to nie było oczywiste, prawda? Dopóki mnie nie nakręciłeś. Niezłe z ciebie ziółko.

Zaczął się przechadzać wzdłuż domu.

– Telefon od Lyle’a był nierozważny. Ale jak zauważyłeś, ludzie często nie myślą, co robią. Czy wyglądał ci na subtelnego gościa? Facet jest wściekły, w depresji, bez pracy, pije i łązi wokół domu z dwururką. Jeśli on nie ma predyspozycji do zabójstwa, to jestem Miś Uszatek.

– Sugerujesz, że załatwił Jane i Lauren? Zarzucasz hipotezę wielkiego spisku w domu Duke’ów, żeby zatuszować sprawę Shawny?

– Kto wie? – powiedziałem. – Ale zobacz, że wszyscy wokół Lauren umierają. Do Jane też pasuje teoria spisku. A zwalenie wszystkiego na Mela wydaje mi się trochę za proste.

– Teoretycznie założmy, że Lyle to zrobił. Przyszedł do Jane, a ona po prostu go wpuściła?

– Mogła go wpuścić. Nawet przy całej tej wrogości łączyło ich to, co było na początku ich związku, chemia, poza tym dobrze się znali. Widziałem wiele takich przypadków. Przy najgorszych rozwodach. Znałem ludzi, którzy na sali sądowej skakali sobie do gardeł, a kiedy znaleźli się sami, kończyli w łóżku. Może Lyle odegrał wielki żal po stracie córki? To też na pewno ich łączyło. Śmierć Lauren. Może nawet nie przyszedł do niej z zamiarem zabójstwa. Zaczęli rozmawiać, Lyle zaczął pytać o pieniądze, Jane się zdenerwowała i jedno doprowadziło do drugiego.

– Ale dlaczego stary jeszcze żyje?

– Lyle może nie jest geniuszem, ale mógł wpaść na taki pomysł. Wyobraź to sobie w ten sposób: kłótnia zaczyna się na dole. Jane mówi, żeby Lyle się wynosił, on odmawia. Ona biegnie na górę, chcąc się zamknąć przed nim w sypialni i zadzwonić po policję. Lyle biegnie za nią, dopada ją w sypialni i strzela. Jest ciemno, mogli się szamotać przy łóżku, stąd dziura w ścianie. Abbot śpi, pewnie głęboko, bo chyba bierze jakieś leki. Budzi go wystrzał. Siada na łóżku. Nie wie, co się dzieje. Chory starzec obudzony hukami w ciemności. Zaspany. Gdzie były jego okulary?

– Na stoliku.

– Mógł niczego nie widzieć. Lyle go zauważa. Zastanawia się, czy go zabić, zdaje sobie sprawę, że Abbot nie jest groźny i wpada na lepszy pomysł: podłożyć staremu pistolet i cicho się wynieść. Mógł nawet przycisnąć palec Abbota do spustu i wystrzelić w ścianę. Nawet jeżeli Abbot odzyska na chwilę przytomność i przypomni sobie jakieś szczegóły, kto mu uwierzy? Jaką będzie mógł opowiedzieć historię? O tajemniczym intruzie bez śladów włamania? O mordercy, który porzuca broń? Ale Abbot i tak pewnie nic nie powie. Żyje już w innej rzeczywistości. Parę dni w więzieniu i na pewno zamieni się w warzywo.

Trzasnęły frontowe drzwi. Zobaczyliśmy, jak pielęgniarze wynoszą Abbota. Starzec leżał związany, z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. Sanitariusze rozmawiali między sobą i wyglądali na rozluźnionych. Ładunek, który nieśli, już im nie zagrażał. Sąsiedzi wyciągali szyje, gdy pakowano Abbota do karetki. Mundurowi oczyścili przejazd, zawyły syreny, karetka odjechała. Podjechały dwa vany. Jeden biały, ze znakiem koronera na drzwiach, został wpuszczony przez bramę. Drugi, srebrny, telewizyjny, z talerzem anteny satelitarnej na dachu, został zatrzymany przy

krawężniku.

– Zaczyna się – powiedział Milo. – Dobrze, że zajmą się tym Ruiz i Gallardo, a nie ja.

– Już słyszę dzisiejsze wiadomości – powiedziałem, gdy młody rudzielec w żółtym kombinezonie wyszedł z wozu transmisyjnego. – Mężczyzna z Sherman Oaks został dzisiaj aresztowany pod zarzutem zabójstwa żony. Sąsiedzi opisali Melville’a Abbota jako przyjaznego i łagodnego...

– Fakty nadal na to wskazują, Alex.

– Chyba tak – odparłem. – A Ruiz i Gallardo wyglądają na miłych facetów. Po co komplikować im życie?

– Chryste, co takiego wydarzyło się w twoim dzieciństwie, że tak bardzo lubisz komplikacje?

– Kiedy matka była ze mną w ciąży, zaatakował ją obsesyjno-kompulsywny pit buli.

Do bramy zbliżyła się ubrana na żółto prezenterka z kamerzystą i dźwiękowcem. Zaczęła flirtować z mundurowym. Mówiła coś, uśmiechała się szeroko, gliniarz pokręcił głową, reporterka nadąsała się i z całą ekipą podeszła do powiększającego się tłumu gapiów.

– Zmywajmy się stąd – powiedział Milo. – Idź prosto przed siebie i nie patrz nikomu w oczy. Jeśli panna Ćwierkalska cię przydybie, pamiętaj, że to sęp, a nie kanarek.

– Jedziesz do domu?

Zaśmiał się chropawo.

– Żartujesz? Uwielbiam Yalley. Hej, może wstąpimy na Reseda?

Popołudniowy korek. Ventura Boulevard wypełniony samochodami, widok wjazdu na szosę obok przedstawiał martwą naturę z chromowanymi elementami. Milo siedział prosto i wielką łapą przeczesywał raz za razem włosy.

Nie odzywał się. Myślał. Rozważał hipotezę, którą mu sprzedałem.

Mógłbym się czuć winny, ale trybiki w moim mózgu też obracały się jak szalone. Ciągle miałem przed oczami obraz zielonoszarego ciała Jane Abbot i gnijące zwłoki Lauren.

Próbowałem zmienić program, ale inne kanały nie nadawały nic przyjemniejszego. Michelle i Lance spaleni do kości. Zmasakrowana i wrzucona do jakiegoś rowu Shawna Yeager. Agnes Yeager prawdopodobnie wyobrażała sobie piękną twarz swojej jedynej córki, ale teraz z Shawny nie zostało pewnie nic prócz kości.

Matki i córki. Znikały całe rodziny ...

Za Haseltine ruch się rozluźnił. Milo powiedział:

– Wreszcie.

Ten sam zapach ziemi i farby, te same hałaśliwe psy.

Kiedy stanęliśmy przed bramą posesji Lyle’a Teague’a, półkula słońca przybrała barwę cegły, a horyzont – brązowy kolor ekskrementów.

Błede światło latarni ukazywało zaniedbaną okolicę od najgorszej strony. Kilkoro dzieciaków z wygolonymi głowami siedziało niedbale przed domem naprzeciwko, pijąc i rozkoszując się iluzjami niepoprawnego życia. Kiedy zaparkowaliśmy, ich uśmieшки zmieniły się w strach i nieufność. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, dzieciaków już nie było.

Wielka kłódka na bramie Teague’ów znajdowała się na swoim miejscu, ale brakowało furgonetki z chromowanymi rurami i wielkimi oponami, więc mogliśmy zobaczyć zbiór części samochodowych i zepsutych zabawek leżących przed garażem.

– Nie ma go – powiedziałem.

Milo obserwował posesję przez siatkę ogrodzenia.

– To mi się nie podoba. Zadzwonię do niego.

Kiedy sięgał po komórkę, frontowe drzwi domu uchyliły się i wyszła Tish Teague, trzymając za rękę pięcioletnią kasztanowowłosą dziewczynkę. Oczy dziewczynki były szeroko otwarte, ale wyglądała na zasną. Druga pani Teague miała na sobie błękitny top i za ciasne białe szorty, które opinały jej uda. Top robił to samo z jej torsem, przemieniając ją w masę miękkich wałków na białych, iksowatych nogach. Niebieski tatuaż na lewym ramieniu. Włosy związane gumką na czubku głowy, trochę krzywo.

Milo zamachał, ale ona nie ruszyła się z miejsca; błydy pudding ze stoickim wyrazem twarzy.

– Pani Teague – zawołał Milo – czy pani mąż jest w domu?

Pokręciła głową. Usta uformowały się w „nie”, ale nie dotarł do nas żaden dźwięk.

– A gdzie jest, proszę pani?

Zamiast odpowiedzieć, Tish wróciła do domu, pojawiła się ponownie bez dziecka i z rozpuszczonymi włosami. Ruszyła w naszym kierunku, ale zatrzymała się w pół drogi, skrzyżowała dłonie na brzuchu i krzyknęła:

– Poluje!

– Na co?

– Zwykle przywozi jakieś ptaki. Albo jelenia.

– Wyśmienicie – wymamrotał Milo. Do Tish: – Gdzie poluje, proszę pani?

– Niedaleko Castaic. Do czego jest wam potrzebny?

– Musimy jeszcze porozmawiać. Możemy wejść?

– O czym porozmawiać?

– Pani mąż zadzwonił do mnie dzisiaj, chciałem się z nim znowu skontaktować. Jak długo go nie ma?

Tish zamrugła powiekami.

– Parę dni.

– Więc nie dzwonił do mnie z domu. Ma komórkę?

– Nie.

– Ale wziął sprzęt kempingowy?

– Tak.

– Broń też?

– Przecież poluje – zauważyła Tish.

– Ze strzelbą?

– Nie wiem z czym. Wszystko jest zapakowane. Zresztą nie interesuje mnie broń. Po co te wszystkie pytania?

– Po prostu z ciekawości.

– Co, myślicie, że Lyle kogoś zastrzelił?

Milo milczał przez chwilę.

– A czy pani tak myśli?

– Ależ skąd – powiedziała. – Używa broni tylko dla obrony i na polowania, to wszystko. To dobry człowiek, dlaczego go nachodzicie?

– Nie chcieliśmy się naprzykrzać, proszę pani. Więc nie ma pani wiadomości od męża od dwóch dni?

– Już mówiłam, że on nie ma jednego z tych... komórkowców. – Wskazała telefon Mila. Ton jej głosu mówił, że za wspomniany brak ktoś musiał być odpowiedzialny.

– Hm – zdziwił się Milo. – Cóż, do mnie zadzwonił.

– Ale do mnie nie zadzwonił. – W głosie Tish słychać było nieudolnie ukrywany ból. Zrobiła kilka kroków. – Czasami dzwoni z budki. Czego chciał?

– Porozmawiać o Lauren.

– O niej? Po co?

– W końcu była jego córką, proszę pani.

– Nie z jej punktu widzenia.

– Co ma pani na myśli?

Skrzyżowała ręce na piersiach, podeszła jeszcze bliżej, zatrzymała się przed bramą. Bose stopy, palce poszarzałe od ziemi. Paznokcie pociągnięte poodpryskiwanym różowym lakierem.

– Nie była dla nas zbyt miła.

– Lauren?

– Ani dla mnie, ani dla dziewczynek.

– Myślałam, że przyniosła dzieciom prezenty na Gwiazdkę. Uśmiechnęła się zgryźliwie.

– No pewnie. Wielkie mi halo. Przychodzi tutaj w fajowych ciuchach, superowym makijażu i nakręca dzieciaki cukierkami i innymi śmieciami, a kiedy wychodzi, a ja jestem na tyle uprzejma, że proponuję jej placek morelowy, który upiekłam, bo taka już jestem, ona śmieje mi się w twarz, patrzy na placek jak na kawał gówna i mówi: „Nie, dzięki”. A potem: „Przynajmniej masz lepsze maniery niż on. Podziękuj mi, bo nie musiałam tu przychodzić”. A ja na to: „O co ci chodzi?” a ona: „Uwierz mi, że powinnaś mi dziękować, bo gówno ci się ode mnie należy. Nie jesteś dla mnie rodziną, ani nawet on i wasze dzieciaki”. – Jej głos zadrżał. – Tak po prostu. Bezczelna dziewczyna. W jednej chwili bawi się z dziewczynkami, a w następnej mnie obraża. Mogłam się jej odwdzińczyć pięknym za nadobne, ale powiedziałam: „Cóż, szkoda, że nie lubisz morelowego placka. Do widzenia”. A ona znów się śmieje i robi tę minę i mówi: „Przyszłam tu tylko dlatego, że mam klasę. Coś, o czym nie masz zielonego pojęcia, ty tłusta krowo”. A potem wyszła, kręcąc swoim chudym tyłkiem. – Tish rozłożyła ręce. – Kręciła dupą, jakby miała zrobić jeden ze swoich striptizów. Też mi klasa, tancerka i kurwa. I taka zadziera przede mną nosa? Byłam taka wściekła, że dostałam migreny, ale przynajmniej sobie poszła. Ale jak zamykałam drzwi, odwróciła się i zaczęła wracać, a ja sobie myślę: Dobra, Tish, byłaś wyrozumiała, ale ta zdzira sama się o to prosi. Naprawdę myślałam, że dam jej w gębę. Ale musiała się zorientować po tym, że dziewczynki latały jak nakręcone z pokoju do pokoju i krzyczały jak dzikie, albo zwyczajnie stchórzyła. Nieważne.

– Nie wróciła?

– Zatrzymała się w pół drogi, o tam. – Pokazała za siebie. – Wlepiała we mnie gały, a potem zaczęła się śmiać i kręcić dupą. Śmiała się tak głośno, żeby wszyscy sąsiedzi słyszeli. O to jej chodziło. Chciała nas upokorzyć.

– To co teraz robimy? – zapytał Milo.

– Spróbujemy znaleźć Lyle'a?

Wsiadliśmy do samochodu i wjechaliśmy z powrotem na Ventura Boulevard.

– Dobra – powiedział – zadzwonię na policję, niech namierzą skurwiela. A jak go znajdziemy, zrobimy sobie ognisko i poopowiadamy historie o duchach. Przy okazji możemy połowić ryby.

– Ryby i polowanie – powiedziałem. – Ciekawe, ile broni ze sobą wozi.

– Z jednym złym okiem samym łukiem nic zdołała.

– Jane nie żyje, a jego akurat nie ma w domu – zauważyłem.

– Zadzwonię do szeryfa w Castaic, zobaczymy, czy go znajdzie. Ale nie mogę do tego oddelegować całej jednostki. Lyle może mieć urok wściekłego buldoga, ale na tym etapie, przed wynikami balistyki i sprawdzeniem rejestracji, nie jest jeszcze podejrzanym. A jej drugi mąż jest. Wkrótce Ruiz i Gallardo powinni wiedzieć, co i jak.

– Nawet jeśli pistolet był zarejestrowany na Jane albo Mela – powiedziałem – to i tak nie wiadomo do końca, kto strzelał. Powiedzmy, że Jane się przestraszyła, pobiegła do sypialni, złapała za własny pistolet, ale ktokolwiek ją przestraszył, odebrał jej go.

– Jeśli chodzi o teorie, jesteś istnym wulkanem, przyjacielu. Najpierw Dugger w roli doktora Jackylla i mister Hyde'a, teraz Lyle jako Ojciec Roku.

– Zawsze stawiałem na cele.

– Ja też – odparł. – Przynajmniej tak mówił mój nauczyciel w podstawówce. Ale pieprzyć cele. Muszę połączyć te wszystkie punkty, a na razie nie mam nawet ołówka.

Na White Oaks powiedział:

– Jedno mnie dręczy. Zastanawiam się, czy nie za szybko zawęziłem horyzonty. Nie twierdzę, że pomysł na Duggera czy Lyle'a jest zły, ale zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że coś się ominie.

– Co masz na myśli?

– Wiem, że Lauren... coś dla ciebie znaczyła, ale prawda jest taka, że sprzedawała się za

pieniądze, a kobiety, które to robią, prowadzą niebezpieczne życie. Ta cała sprawa może prowadzić po prostu do jakiegoś klienta. Cholera, nawet nie sprawdziłem, czy rzeczywiście pracowała jako modelka, czy miała powiązania w przemyśle odzieżowym. Dla ciebie wszystko jest takie proste.

– A co z Shawną i Dukiem? – zapytałem.

Pokręcił głową, skrzywił się, potarł ręką twarz.

– Nie wiem, Alex. Nadal wydaje mi się, że Shawna nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

– Może masz rację.

– Dzięki, doktorku. – Zobaczymy się na następnej sesji.

Droga do Beverly Glen i Valley Vista, gdzie Milo zaczął zawracać do miasta, minęła w ciszy.

Wydobył z siebie długie, ciężkie westchnienie.

– Ja też szanuję twoją intuicję, Alex, ale nawet pit buli robi przerwę na oddech, zanim ugryzie. Zróbmy sobie obaj małą przerwę. Zrelaksujemy się.

Najpierw córka, a teraz matka? – powiedziała Robin.

Siedzieliśmy na dużej kanapie w bawialni. Ona usiadła na samym skrawku, poza moim zasięgiem, nadal w roboczych spodniach i czerwonej koszulce z krótkimi rękawami. Wróciłem do domu zdecydowany odłożyć wszystko na bok, skończyło się na opowiadaniu o całej sprawie: o przerwanej terapii Lauren, o przyjęciu Phila Hamsbergera, Michelle, Shawnie, Jane Abbot i Melu.

Śmierć kładzie kres dyskrecji.

– To brzmi jak jakaś spowiedź – zauważyła.

– Czyja?

– Twoja, głuptasie. Cała ta okropna historia. Jakbyś zrobił coś złego. Jakbyś od początku grał w tym wszystkim główną rolę, a nie był tylko późnym dodatkiem. – Spojrzała w drugą stronę. – To prawie tak, jakby Lauren cię uwiodła. Nie w seksualnym tego słowa znaczeniu, wiesz, o co mi chodzi. Chyba nie powinnam być zaskoczona. Przecież uwodzeniem zarabiała na życie.

– Wcale tak tego nie widzę.

Wstała, poszła do kuchni, wróciła z dwoma buteleczkami wody, wręczyła mi jedną z nich. Usiadła tam, gdzie przedtem.

– Coś jest nie tak?

– Widziałeś tę dziewczynę, ile – dwa razy, dziesięć lat temu? – ale jesteś przekonany, że to cię zmusza do wyjaśnienia każdego szczegółu z jej życia. Tacy ludzie nie dają rozwiązań, z nimi są zawsze tylko problemy.

– Tacy ludzie?

– Wyrzutki, cierpiące dusze, pacjenci, nazywaj ich, jak chcesz. Czy nie mówiłeś mi, że jedyną rzeczą, której się musisz nauczyć, żeby nie nasiąkać tym wszystkim jak gąbka, jest zdystansowanie się?

– To nie jest kwestia dystansowania się.

– To czego, Alex? – Jej głos był niski, ale wyczułem ostrzejszą nutę.

– Czy jeszcze coś cię niepokoi?

– Zachowałeś się teraz jak psychoterapeuta – powiedziała. – Przepraszam...

– Twój umysł pracuje jak dobrze naoliwiony mechanizm, Alex. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego

jak ty. Jesteś jak szwajcarski zegarek, zawsze tykasz, bez wytchnienia. Ale czasem wydaje mi się, że używasz tego, co dał ci Bóg, żeby kopać pod sobą dołki. Zniżasz się do tych ludzi.

Wyciągnąłem rękę w jej kierunku. Dała się pogłaskać po dłoni, ale nie przysunęła się do mnie, nie mogłem jej objąć.

– Chodzi o to – powiedziała – że jak jesteś już na torach, to gnasz bez przerwy przed siebie. Ludzie związani z tą dziewczyną umierają, Alex, a ty nawet nie próbowałeś rozwiązać tego, że możesz być w niebezpieczeństwie.

– Ci, którzy umarli, dobrze ją znali.

Podniosła się, westchnęła.

– Słuchaj, muszę podgonić robotę, zobaczymy się później.

– Co powiesz na kolację?

– Nie jestem głodna.

– Nie jesteś ze mnie zadowolona?

– Przeciwnie – odparła. – Bardzo mi z tobą dobrze. Dlatego chciałabym, żebyśmy oboje zostali jeszcze przez jakiś czas przy życiu.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Nie postawiłbym cię znowu w takiej sytuacji.

– Mnie? Dlaczego nie zaczniesz myśleć o sobie? Zastanów się do czego chcesz dopuścić, a do czego nie. – Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło. – Nie chcę być okrutna, kotku, ale męczą mnie te wszystkie smutne historie. Zrobiłeś, co mogłeś. Nie zapominaj o tym.

Noc spędziłem sam na słuchaniu muzyki, która wcale mnie nie uspokoiła, na próbach czytania – czegokolwiek, byle nie książek o psychologii – na czekaniu, aż Robin wróci do domu. O jedenastej w nocy nadal jej nie było, poszedłem spać – wcześniej jak na mnie – i obudziłem się o czwartej trzydzieści nad ranem, walcząc z myślą o ucieczce, zmęczony, ale podminowany. Użyłem każdej znanej mi sztuczki relaksującej, żeby znowu zasnąć. Męczyłem się przez następne dwie godziny, aż Robin otworzyła oczy, a ja udałem gotowego do rozpoczęcia nowego dnia skowronka.

Uśmiechnęła się, potargała mi włosy, sama wzięła prysznic, ale za to zrobiła kawę dla nas obojga i usiadła z gazetą w kuchni. Jeśli pisano o zabójstwie Jane Abbot, nie powiedziała mi o tym. Wziąłem połowę gazety, niczego nie znalazłem.

O ósmej Robin wyszła do warsztatu, a ja poszedłem pobiegać, dłużej niż zwykle. Chciałem się zmęczyć, wypocić całą adrenalinę. Obiecałem sobie, że nie zajrzę do gazety, ale kiedy wróciłem, omiotłem wzrokiem tytuły i na dwudziestej piątej stronie znalazłem artykuł o śmierci Jane Abbot. Prawie słowo w słowo tak jak przewidywałem: stary łagodny mąż, zszokowani sąsiedzi, rodzinna tragedia, śledztwo w toku.

Zająłem się raportami sądowymi – parę wypadków, w trakcie których dzieci nabawiły się kłopotów psychicznych oraz walka o opiekę nad dzieckiem między bogatymi opiekunami, które zakończyć mogła tylko śmierć którejś ze stron. Drukowanie, podpisywanie, klejenie i adresowanie kopert do różnych sędziów. Przejrzałem rachunki, żeby sprawdzić, czy będę musiał dopłacić w kwietniu do podatków. O jedenastej trzydzieści wróciła Robin ze Spike’em i poinformowała mnie, że musi dostarczyć dwie pary naprawionych D’Angelico do Los Feliz, do domu gwiazdy filmowej, która zastanawiała się nad przyjęciem roli Elvisa.

– Elvis nigdy nie grał na D’Angelico – zauważyłem.

– To jeszcze nie problem, ale facet ma drewniane ucho. – Mocne cmoknięcie w policzek i już jej nie było.

O dwunastej wychodziłem z siebie.

O dwunastej osiemnaście poddałem się i wsiadłem w samochód.

Na zachód. W kierunku Santa Monica. Nad ocean. Pomyślałem, że pokręcę się trochę koło domu Bena Duggera, a potem zafunduję sobie miłą, relaksującą przejażdżkę na północ po Ocean Front, aż do autostrady Pacific Coast.

Malibu. Dzień na plaży. To nie mogło mieć nic wspólnego z Lauren, bo Lauren nie zostawiła w Malibu żadnych śladów, więc dlaczego miałbym z jej powodu rezygnować z całego wybrzeża?

Przecież jestem Kalifornijczykiem.

Ale kiedy przejeżdżałem koło ekskluzywnego budynku, Dugger akurat przed nim stał. Zwolniłem.

Był sam. Patrzył na zegarek. Wyglądał na podenerwowanego i spiętego. Miał na sobie luźny sportowy płaszcz, białą koszulę, szare garniturowe spodnie. Znowu spojrział na zegarek, a potem na wyjazd z podziemnego garażu.

Okrążywszy blok, zawróciłem, jadąc tak wolno, jak to możliwe bez narażenia się na agresję innych kierowców. To dało mi zaledwie kilka sekund na obserwację, ale wystarczyło, żebym zauważył zieloną postać – odźwiernego Geralda – wysiadającą z podstawionego starego volva Duggera, salutującą i usłużnie przytrzymującą otwarte drzwi.

Dugger wręczył mi napiwek i wsiadł do samochodu.

Podjechałem piętnaście metrów, stanąłem koło hydrantu, poczekałem, aż volvo ruszyło. Przepuściwszy przed sobą trzy samochody, zacząłem za nim jechać, wiedząc, że tym razem nie mogę zostać zauważony. Uznałem, że może mi się udać. Nie miał powodu, by cokolwiek podejrzewać.

Od razu skręcił w Wilshire, jechał na wschód do Lincoln, potem w 10 nadal na wschód, a następnie 405 na południe. Trasa do Newport Beach. Prawdopodobnie wybierał się do swojego

biura.

To było i tak lepsze od siedzenia w domu i tkwienia na kanapie.

Ale zamiast jechać dalej w kierunku Orange County, Dugger skręcił w Century Boulevard i skierował się na zachód.

W stronę lotniska. Wybierał się dokądś? Nie zauważyłem bagażu, ale może włożył go do samochodu jeszcze w garażu.

Utrzymując odległość trzech samochodów, śledziłem go do momentu, gdy zatrzymał się na parkingu naprzeciw terminalu numer cztery. Przylatywały tam głównie samoloty linii amerykańskich. Kierowca przede mną nie wiedział, jak odebrać bilet z parkometru, i kiedy wjechałem do środka, straciłem volvo z oczu.

Wszystkie miejsca na parterze były zajęte, zjechałem więc piętro niżej, mając nadzieję, że Dugger zrobił to samo. Udało się; zobaczyłem volvo, kiedy Dugger wciskał się właśnie między dwie mazdy w rogu. Wysiadł i włączył alarm. Nie miał bagażu. Skierował się do windy. Zaryzykowałem parking w niedozwolonym miejscu i pośpieszyłem za nim.

Kiedy wsiadał do windy, skryłem się za betonowym filarem. Podbiegłem w samą porę, żeby zobaczyć wyświetlane numerki. Dwa piętra w górę. Do wyjścia American Airlines. Wbiegłem po schodach, uchylilem drzwi i zauważyłem, jak przechodzi. Ale nie skierował się na prawo, do ruchomych schodów, które prowadzą do bramek biletowych. Poszedł w kierunku fałszywych zakonnicy i księży polujących na datki na nieistniejące cele charytatywne, wrzucił monetę do jednej ze skarbonki i pośpieszył w stronę wykrywaczy metali.

Długa kolejka podróżnych przed jedynym urządzeniem zdolnym do pracy i sennym strażnikiem, więc nie miałem żadnych problemów z dogonieniem go. Patrzyłem, jak Dugger umieszcza swój portfel i kluczyki na plastikowym talerzu i śledzi je wzrokiem, przechodząc przez bramkę. Ale dwie osoby przede mną uruchomiły alarm w urządzeniu i byłem zmuszony czekać, gdy Dugger zniknął właśnie za rogiem.

W końcu przeszedłem i zacząłem maszerować dziarsko w tłumie podróżnych i ich bliskich, stewardes i pilotów. Ani śladu Duggera. Mógł pójść gdziekolwiek – do toalety, do sklepu, przejść przez którąś bramkę.

Szedłem szybko, starając się wyglądać normalnie i rozglądając się za płaszczem Duggera. Doszedłem do windy jadącej do Klubu Admiratorów. Wstęp tylko dla członków. Za ladą po prawej siedziała kobieta i pisała coś na komputerze.

Dugger był przecież bogaty. Bogactwo mogło tłumaczyć brak bagaży. Mógł mieć własne lokum w Aspen, Hamptons, Jackson Hole, Santa Fe. Kiedy zbliżyłem się do windy, kobieta za ladą uśmiechnęła się.

– Czy mogę zobaczyć pańską kartę członkowską?

Odwzajemniłem uśmiech i odszedłem. Miejsce, z którego mogłem obserwować windę, było zbyt dobrze widoczne. Jeśli Dugger pojechał do klubu, to nie mogłem obserwować jego wyjścia bez ryzyka, że zostanie zauważony.... Ale nie, tu jest, pięć metrów przede mną. Wychodzi z toalety.

Kiedy Dugger wyciągnął chusteczkę i wydmuchiwał nos, dałem susa za automat z ubezpieczeniami lotniczymi. Fala podróżynych dostarczyła dodatkowej osłony. Dugger wetknął chusteczkę do kieszeni i znowu spojrzął na zegarek. Zatrzymał się przy monitorze, a po chwili ruszył dalej.

Sprawdził tablicę przylotów.

Nigdzie się nie wybiera. Czeka na kogoś.

Podążyłem za Duggerem, kiedy wszedł do głównej poczekalni – przestronnej, okrągłej, wypełnionej gwarem sali. Kupił w kiosku precel, ugryzł kawałek, skrzywił się, wyrzucił resztę do kosza na śmieci.

Znowu spojrzął na zegarek.

Zdenerwowany.

W środku sali znajdowało się stoisko z pieczywem i gazetami. Ustawiłem się przed półkami z literaturą popularną, wyciągnąłem Stephena Kinga, schowałem nos w książce. Widziałem Duggera doskonale, kiedy podchodził do wyjścia 49A, stanął przed szklaną ścianą z widokiem na pas startowy i patrzył. Wylądował właśnie wielki, gruby boeing 767.

Podszedł do biurka, zapytał o coś urzędniczkę, która pokiwała głową. W pomieszczeniu było pełno wolnych krzeseł, ale nie usiadł. Znowu spojrzął na zegarek. Ponownie podszedł do szyby. Nie mogłem odcyfrować numeru lotu, ale przeczytałem „Nowy Jork”.

Dugger przechadzał się wzdłuż szklanej ściany. Poprawił kołnierzyk. Podrapał się w łysinę. Kiedy drzwi 49A wreszcie się otworzyły, ruszył w ich kierunku.

Przedarł się na czoło grupki witających, stanął niedaleko trzech kierowców i młodej, ładnej kobiety kołyszącej podwójny wózek z bliźniakami w środku.

Najpierw pojawili się klienci kierowców limuzyn: siwa para, czarny olbrzym w okularach i kremowym garniturze oraz nieogolony dwudziestolatek w poplamionej jedzeniem koszulce i ciemnych okularach, w którym rozpoznałem gwiazdę telewizyjnych komedii.

Potem gość Duggera.

Grubokościsty muskularny mężczyzna koło czterdziestki, w dobrze skrojonym czarnym garniturze i czarnej jedwabnej koszuli. Ostrzyżony na jeża szatyn. Krzaczaste brwi, niskie czoło.

Niewysoki, jakiś metr siedemdziesiąt pięć, ale co najmniej siedemdziesiąt kilo, może trochę więcej. Ubity tłuszcz i mięśnie. Jego brązowa szyja wypływała spod kołnierzyka koszuli. Silny, umięśniony tors podkreślony dobrym krawiectwem. Płaski nos zawodowego boksera. Wielkie

łapska. Przymrużone oczy, wąskie usta.

Taszczył na ramieniu luksusową torbę z czarnej skóry. Dugger zaofiarował się, że ją weźmie.

Jegomość w czarnym garniturze odmówił, ukłonił się lekko. Podał rękę Duggerowi. Nie wymienili uśmiechów, tylko kurtuazyjne niewylewne ukłony, i obaj odeszli. Czarny Garnitur przeczesywał od czasu do czasu ręką swoje krótkie włosy.

Dugger szedł pośpiesznie, żeby nadążyć za potężnym przyjezdnym, który przeciskał się w kierunku znaku T_{RANSPORT}O_{DBIÓR} B_{AGAZY}. Czarny Garnitur wskazał palcem stoisko z gazetami. Spojrzał dokładnie w moją stronę. Powiedział coś. Zmienili kierunek i zaczęli iść ku mnie.

Jak mógł mnie zauważyć? Nie, nie było nic alarmującego w jego spojrzeniu, tylko ta sama, bezekspresyjna... tępota.

Wycofałem się w samą porę, by znaleźć nowe stanowisko obserwacyjne za jedną z kolumn. Podeszli do budki z gazetami. Nie weszli do środka, zatrzymali się koło kasy, przed półką ze słodyczami, a Czarny Garnitur zaczął wybrednie przyglądać się wyborowi gum do żucia. Podnosił opakowania, czytał składniki. W końcu zdecydował się najuicy fruit, wpakował do ust dwie gumy, papierki schował do kieszeni. Żuł energicznie, a Dugger płacił kasjerowi.

Wyszli z głównej poczekalni.

Bagaż Czarnego Garnituru pojawił się na taśmie jeden z pierwszych. Były to dwie drogie walizki z czarnej skóry. Prawdopodobnie cielecej. Karteczki z pierwszej klasy. Jeszcze raz przybysz odmówił pomocy przy niesieniu bagażu. Bez widocznego wysiłku, z torbą na ramieniu chwycił walizki. Podkradłem się do sąsiedniej taśmy, na której pojawiły się bagaże z Denver, i schowałem się w grupie podróżnych. Miałem ich cały czas na oku, starałem się nawet czytać z ruchów ich warg. Bezskutecznie.

I tak niewiele rozmawiali. Dugger rzucał od czasu do czasu jakąś uwagę, a Czarny Garnitur żuł gumę i grał sfinksa.

Śledziłem ich nadal, kiedy szybkim krokiem maszerowali na parking, byłem jakieś dwie minuty za nimi, kiedy volvo opuszczało lotnisko.

Tym razem Dugger pojechał na zachód Wilshire i skręcił w Brentwood. Założyłem, że jedzie do swojego biura w Los Angeles, a wkrótce głównej siedziby jego dziwnej firmy.

Ale jeszcze raz się pomyliłem; volvo przejechało bez zatrzymania koło czarnobiałego biurowca i podążyło w kierunku Santa Monica. Z powrotem na Ocean Front, do domu? Jeśli tak, to dlaczego nie pojechał 10 na zachód? Nie, wjechał w Dziewiętnastą ulicę.

Też zakręciłem, w samą porę, żeby zobaczyć, jak Dugger skręca znowu w prawo.

Znaleźliśmy się w alei z parkingami na tyłach sklepów. Volvo zatrzymało się.

Czerwono-biało-zielony szyld PIZZA FACETÓW z BROOKLYNU, a nad nimi plastikowa pizza.

Zatrzymałem się, cofnąłem do początku uliczki, stanąłem przed pralnią chemiczną, mając cały czas na oku biały samochód.

Dugger wysiadł, jeszcze raz spojrzął na zegarek. Czarny Garnitur był bardziej rozluźniony niż na lotnisku. Z niespodziewaną gracją wyskoczył z auta, spojrzął w niebo, ziewnął, przeciągnął się. Nadal energicznie żuł gumę.

Dugger ruszył w kierunku pizzerii, ale Czarny Garnitur został przy samochodzie, więc Dugger obejrzał się na niego.

Dryblasowaty jegomość przymrużył oczy. Podrapał się w głowę. Zapiął marynarkę i pokręcił szyją. Rozciągał mięśnie po długim locie. Ale oprócz tego nie zauważyłem żadnych oznak złego samopoczucia. Jego szeroka, brązowa, maskopodobna twarz nie wyrażała też lęku. Pan Twardziel.

Powiedział coś do Duggera, który wrócił do samochodu i wyjął białą chusteczkę. Czarny Garnitur wypluł do papierka gumę, zawinął ją i schował do kieszeni. Potem kiwnął głową, poczekał, aż Dugger otworzy mu drzwi do Pizzerii Facetów z Brooklynu, i wszedł królewskim krokiem do środka.

Powitalny obiad dla zbira? Facet wyglądał na rodowitego brooklyńczyka.

„Sposób, w jaki została związana i zastrzelona, mówi mi, że chodziło o interesy”.

Mogłem się założyć, że stoły w tej pizzerii przykryte są obrusami w kratkę, a z sufitu zwieszają się opakowane w słomę butelki chianti. Tylko niektórzy ludzie wymykają się stereotypom. Większość nie ma za grosz wyobraźni.

Zbir podróżujący pierwszą klasą z drogimi walizkami.

Ceniony specjalista. Facet, który żył dobrze, kiedy dziani klienci płacili jego rachunki.

Wjechałem w Dwudziestą ulicę, podjechałem do drogerii, w której Dugger kupował prezenty dla dzieci z kościoła, i kupiłem aparat jednorazowego użytku. Cud techniki – za niewielką dopłatą można było kupić aparat z zoomem.

Wróciłem na Dziewiętnastą, gdzie zaparkowałem na chodniku, i pieszo udałem się w poblizłe wejścia do pizzerii. Ulokowałem się za pojemnikiem na śmieci i modliłem się, żeby nikt mnie nie zauważył. Miałem szczęście. W pobliżu znajdował się sklep z aparatami słuchowymi i agencja pracy i pod żaden z tych przybytków nie podjeżdżały samochody. Ale ze śmietnika śmierdziało zgniłym jedzeniem i minęły trzydzieści trzy smrodliwe minuty, nim Dugger i Czarny Garnitur wyszli.

Wentylator pizzerii pracował tak głośno, że zagłuszył dźwięk mojego pstryk, pstryk, pstryk.

Ładne ostre zdjęcia ich obu ze średniej odległości.

Zbliżenie na Duggera przygryzającego wargę.

Potem na kamienną twarz Czarnego Garnituru.

Pstrykałem zdjęcia przez cały czas, gdy szli do volva. Kroczyli spokojnie, nie wyglądali na przyjaciół. Raczej na partnerów w interesach.

Dugger zapalił silnik i pojechał na zachód. Dałem im dwie minuty i ruszyłem za nimi.

Dugger wjechał w Ocean Avenue. Zabierał płatnego zabójcę do własnego domu? To mnie zaskoczyło.

Ale zamiast skręcić w lewo, wjechał na prawy pas. Między nami była teraz tylko jedna ciężarówka, ale była na tyle wysoka, że mogłem się czuć bezpiecznie, kiedy mknęliśmy w kierunku autostrady Pacific Coast.

Wjechałem na prawy pas, zbliżyłem się na tyle, że widziałem siedzącego sztywno Duggera. Czarny Garnitur rozglądał się na boki. Napawał się widokiem willi stojących wzdłuż Złotego Wybrzeża Santa Monica, białym, sypiącym się pałacem, wybudowanym przez Williama Randolpha Hearsta dla Marion Davies, parkingiem samochodowym przy plaży, za którym widać było srebrzyste wody Pacyfiku pod czarnym, zachmurzonym niebem. Na tle chmur szybowały białe punkty mew. Kilku surferów w mokrych kombinezonach podpływało do linii fal, chociaż woda była spokojna.

Ocean jest zawsze piękny.

Czarny Garnitur umiał to docenić.

Podziwiał widoki.

Dugger patrzył prosto przed siebie i przyśpieszył.

Przejechał przez Palisades do Malibu, minął urwisty, osuwający się brzeg i nędzne efekty prób Caltransa, żeby poskromić naturę za pomocą betonowych murów, worków z piaskiem i różowego szkła. Jeszcze kilka deszczowych zim i nabrzeże zacznie wyglądać jak Disneyland. Czarny Garnitur przestał się rozglądać – zatrzymał wzrok na oceanie. Łatwy wybór: na brzegu wybudowano centra handlowe i pizzerie podobne do tych, które mógł napotkać na Brooklynie.

Śledziłem volvo w drodze przez Carbon Beach, La Costa, przez prywatną drogę do Cove Colony, przez szmaragdowe wzgórza Uniwersytetu Pepperdine, gdzie zabudowa handlowa ustępuje miejsca brunatnym górcom, czarnym wąwozom, pomarańczowym makom. Krajobrazom, które pozwalały uświadomić sobie, jak wyglądało Malibu przed nadejściem białego człowieka.

Latigo Beach, Cove Colony, Escondido. Wiedziałem dokładnie, dokąd Dugger zmierza. Byłem przygotowany, zanim włączył lewy migacz i zjechał na środkowy pas.

Zatrzymał się przed skrzyżowaniem Paradise Cove i Ramirez Canyon. Plastikowa tablica przy drodze reklamowała restaurację Piaskowy Dolar i kawałek należącej do niej prywatnej plaży.

Najbardziej luksusowa część Malibu. Na długości pół kilometra było tylko kilka ręcznie kutych, unikatowych bram, otoczonych starymi drzewami i żywopłotami, zbyt doskonałe klomby, czujne obiektywy kamer, tabliczki z napisem *ZAKAZ WJAZDU*.

Najdroższe z najdroższych: parę wieloakrowych posiadłości z zatoczkami, piaszczystymi plażami i widokiem na morski szlak do Azji.

Dugger zmierzał do misternie wykutej, pokrytej patyną miedzianej bramy, ocienionej palmami i sosnami, a także gigantycznymi kauczukowcami i sago. Musiał mieć własnego pilota, bo brama rozstąpiła się, zanim skończył zakręcać. Miałem przygotowany swój tani aparacik i zdążyłem pstryknąć zdjęcie tyłu volva, znikającego w zieleni.

Pstryk, pstryk, pstryk.

Brama się zamknęła. Nie mogłem jechać dalej.

Ben Dugger przywiózł gościa w czarnym garniturze do rezydencji tatusia. Do siedliska przyjemności o całe lata świetlne odległego od małej celi w Newport, w której Dugger do niedawna mieszkał. Bez względu na pretensje do bycia zwykłym facetem, bez względu na próby zerwania z ojcem i wszystkim, co się z nim wiązało, kiedy zrobiło się ciężko, junior powrócił do rodzinnego gniazda jak udomowiony gołąbek.

Szedł krok w krok z Czarnym Garniturem.

Biznes to biznes. Trzeba załatać wszystkie dziury. Nie dopuścić do przecieków.

Komu teraz na zawsze zamknie usta?

Wróciłem do Santa Monica, znalazłem zakład Ekspresowe Wywoływanie Zdjęć z plakatem *Darmowa druga odbitka!*, wypilem filiżankę kawy, czekając na zdjęcia, potem przejrzałem wyniki swojej pracy. Większość filmu straciłem na fotki z tyłu ze zbyt dużej odległości, żeby do czegokolwiek się nadawały, ale udało mi się zrobić ładne zbliżenie Duggera i jego gościa od przodu, ze średniej odległości oraz dwa portrety. Porządne zdjęcie volvo znikającego w bramie, ale nie dość ostre, żeby zobaczyć rejestrację. Adres Tony'ego Duke'a był tylko częściowo widoczny, resztę ocieniała zieleń. Nie szkodzi; ta brama była i tak jedyna w swoim rodzaju.

Pojechałem do domu. Półciężarówka Robin nie było na podjeździe i zawstydziłem się, że mnie to cieszy. Pobiegłem do swojego gabinetu i zadzwoniłem do Mila.

– Pistolet, z którego zastrzelono Jane, był zarejestrowany – powiedział bez żadnych wstępów. – Zgadnij na kego.

– Na Charlesa Mansona?

– Na Lauren. Kupiła go dwa lata temu w Big Five na San Vicente, niedaleko swojego mieszkania. Pewnie wykombinowała, że w takiej pracy trzeba się zabezpieczać. A może po prostu była jeszcze jedną samotną kobietą, która szukała ochrony w pukawce. Wygląda na to, że pożyczyła go matce, a ojczym z niego skorzystał.

– Następny nieszczęśliwy wypadek.

– Na razie tak to właśnie wygląda, Alex.

– O co oskarżają Mela Abbota? – zapytałem.

– Głowią się nad tym w prokuraturze. To trudna sprawa. Bezbronny staruszek i taki numer. Nikt nie chce przesłuchać starego, dopóki nie zatrudni adwokata, ale na razie nie jest w stanie sam tego zrobić. Ale jest też za bogaty, żeby się kwalifikował do obrońcy z urzędu, choć pewnie i tak czasowo mu takiego przydzielą. Trzeba też rozstrzygnąć, czy go ubezwłasnowolnić. Ruiz i Gallardo szukają krewnych, kogoś, kto chciałby wziąć na siebie odpowiedzialność za opiekę. W międzyczasie Abbot dostał wygodną pryczę w więzieniu, a psychiatrzy mówią że będą mogli przymierzać się do oceny jego zdrowia psychicznego dopiero za kilka dni.

– A co będzie, jak już dostanie obrońcę?

– Nikt nie chce robić z tego afery. Wydaje mi się, że skażą go po cichu.

– Szybko i bez problemów – dodałem.

– Jeśli uważasz, że martwa kobieta i schorowany starzec, kończący żywot w wariatkowie, to żaden problem...

– Wszystko zależy od punktu widzenia – powiedziałem. – Niestety, znowu nabałagałem.

– O czym mówisz?

Opisałem, jak spędziłem popołudnie.

Nie odpowiadał, ale mogłem sobie wyobrazić wyraz jego twarzy.

W końcu:

– Znowu go śledziłeś?

– Tak, wiem, co o tym sądzisz – powiedziałem. – Ale tym razem byłem naprawdę ostrożny. Na pewno mnie nie widział. Ale najważniejsze jest to, co ja widziałem.

– Uważasz, że przywiózł płatnego zabójcę?

– Trzeba było widzieć tego faceta. Na pewno nie wygląda na neurochirurga...

– Nieważne, Alex. Jeśli przyleciał dzisiaj z Nowego Jorku, to nie mógł wczoraj w nocy zabić Jane Abbot.

– Słusznie. Ale mógł zabić Lauren. Oraz Michelle i Lance'a. Może ma jakąś drużynę?

– Bandę mafiosów.

– Gdybym miał forszę, to tak bym to właśnie zorganizował. Zaangażowałbym zawodowców, którzy nie są znani w okolicy i zatarłbym ślady, transportując ich z miejsca na miejsce.

– Te wszystkie przeloty są związane z papierkową robotą, Alex. Jeśli facet jest profesjonalistą, musiałby to brać pod uwagę. A jak powiedziałem, jeśli składasz takie zlecenie, a chcesz uchodzić za porządnego obywatela jak Ben Dugger, dlaczego miałbyś osobiście odbierać gościa z lotniska? Zabierać go na lunch w miejscu publicznym, a potem w świetle dnia zawozić prosto do tatusia, żeby ktoś mógł zrobić po drodze fotki?

– Więc nie chcesz sprawdzić listy pasażerów?

– Do tego potrzebny jest nakaz sądowy. A podstawy...

– Dobra, w porządku – powiedziałem. – Facet lubi czerń, bo jest księdzem, tylko zgubił koloratkę. Tony Duke wezwał go, bo potrzebuje duchowego wsparcia.

– Słuchaj, Alex, doceniam wszystko, co...

– Podrzucić ci te zdjęcia?

Chwila ciszy.

– Masz ostre zdjęcia twarzy tego błazna?

– Wystarczająco. Po dwie odbitki.

Wydał z siebie przeciągłe, zmęczone westchnienie.

– Podjadę do ciebie wieczorem.

Nie dotrzymał słowa.

Była już dziesiąta rano, a Milo ciągle nie dzwonił.

Albo moja fotoreporterska robota przy pizzerii brooklyńczyków przybladła w porównaniu z jakimś nowym tropem, którym zdecydował się podążyć, albo po przespaniu się z tym doszedł do wniosku, że oglądanie moich zdjęć to strata czasu. W każdym razie to nie było w jego stylu tak długo nie dawać znaku życia.

Robin znowu się uśmiechała, kochaliśmy się dzisiaj rano, chociaż wyczułem pewne oddalenie. Pewnie sam sobie to wymyśliłem.

Kiedy masz wątpliwości, pomęcz swoje ciało. Założyłem dres i pobiegłem niemrawo przez wąwóz. Podeszwy ślizgały się po pokrytej rosą trawie, wiatr gnał nade mną chmury po niebie, był lekki przymrozek.

Kiedy wróciłem, dom był pusty, słyszałem tylko stłumiony dźwięk piły mechanicznej z warsztatu Robin. Przebrałem się w bluzę, stare dzinsy i znoszone buty, wetknąłem na głowę czapkę Dodgersów i wyszedłem.

Zrobiło się jeszcze chłodniej, a słońce schowało się za stalowymi chmurami. Zawiał wiatr, zaszeleściły liście. Ziemia pachniała wilgocią i żelazem. Nie była to zima w pełnym tego słowa znaczeniu, ale zima kalifornijska, do której już zdążyłem się przyzwyczać. W Los Angeles nie można za bardzo wydziwiać.

W taki dzień jak dziś ocean nadal był piękny.

Pojechałem Sunset Boulevard w stronę przybrzeżnej autostrady, nie było żadnych korków, więc już o wpół do dwunastej śmignąłem obok miedzianej bramy Tony'ego Duke'a. Nie zauważyłem żadnych zaparkowanych samochodów, wszystkie wjazdy do rezydencji wyglądały odstręcająco i nieprzyjaźnie. Jechałem dalej w stronę skrzyżowania z Paradise Cove, pędziłem po nierównym asfalcie z koleinami od szybkiej jazdy, który kończy się na plaży, w miejscu, gdzie znajduje się restauracja Piaskowy Dolar. Kiedy minąłem plastikowy znak restauracji, zauważyłem drewnianą prostokątną płytę przybitą do pala parę metrów dalej z niedbałym, czerwonym napisem:

Trwa remont Piaskowego Dolara.

Przepraszamy. Pamiętajcie o nas,

kiedy otworzymy podwoje w lecie!

Przejechałem po wertepach obok rzędu oleandrów, które rosły dookoła kempingu po północnej

stronie zatoczki. Asfaltowe pole nie było ogrodzone, a obłamana tabliczka z obwieszczeniem, że parking dla tych, którzy nie jedzą w restauracji, kosztuje dwadzieścia dolarów dziennie, pojawił się w tym miejscu co zwykle, nad reklamą: WYPOŻYCZALNIA KAJAKÓW, DESEK DO SURFINGU I SPRZĘT DO NURKOWANIA. Do tej pory wszystko było w porządku.

Na zachód od Spring Street remont oznaczał zwykle bankructwo. Restauracja Piaskowy Dolar dzieliła losy wszystkich podobnych miejsc w Los Angeles i napawało mnie to smutkiem.

Minęły prawie trzy lata, odkąd jadłem „Śniadanie rybaka” zakupione w okienku tej knajpki. To było wtedy, gdy wynajmowaliśmy z Robin domek na plaży dwadzieścia kilometrów stąd, czekając, aż wyremontują nasz dom po pożarze. W tym czasie koszmary z dzieciństwa pacjentki naprowadziły mnie na trop długo nierozwiązanej sprawy gwałtu i zabójstwa, a ofiarą okazała się kelnerka z Piaskowego Dolara. Pytania, które wtedy zadawałem, przyćmiły półroczny okres hojnych napiwków. Jakiś czas później wpadłem tu znowu na śniadanie, mając nadzieję, że wszystko zostało zapomniane. Nie zostało, a ja nigdy już tutaj nie przyszedłem.

Podjechałem dalsze dwadzieścia metrów i zobaczyłem baraczek, który pełnił funkcję stróżówki. Opuszczony szlaban był raczej symboliczny – mogłem go unieść ręką i przepchnąć mojego seville’a – zastanawiałem się, czy na tym właśnie się skończy. Wtedy zauważyłem ruch w oknie stróżówki i kiedy podjechałem, stróż już na mnie czekał. Pokręcił głową i wskazał palcem następny znak, który informował, że obowiązuje dwudziestodolarowa opłata. Starszy mężczyzna – jakieś siedemdziesiąt pięć lat – z błękitnymi oczami i pomarszczoną zaróżowioną twarzą, ocienioną wymiętym płóciennym kapeluszem. Z magnetofonu w baraczkach dochodziły dźwięki big bandu.

– Zamknięte – oznajmił.

Za nim, przez powykrzywiane gałęzie gigantycznych jaworów, dostrzegłem kawałek oceanu i to, co zostało z restauracji: fasada z sekwojowego drewna, połowa krytego gontem dachu, puste dziury w miejscu dawnych okien, przez które zobaczyłem nagie ściany i pociętą instalację elektryczną. Tam, gdzie kiedyś znajdował się parking – poorana ziemia, wertepy, spychacze i ciężarówki, sterty desek. Ani śladu robotników, żadnego hałasu przy budowie.

– Wielki remont – zauważyłem.

– O tak – odpowiedział staruszek, wychodząc ze stróżówki. Miał na sobie koszulę w kolorze khaki, szare spodnie i brązowy, plastikowy pasek. – Nie zauważył pan znaku? Powinni go umieścić przy samej autostradzie, żeby ludzie w ogóle tu nie wjeżdżali. Podniosę szlaban, żeby pan mógł wykręcić.

– Widziałem znak – powiedziałem, wręczając mu dwudziestkę.

Spojrzał na banknot.

– Nie ma tam co robić, *amigo*.

– Jest przecież plaża.

– Niewiele z niej zostało. Składują tam drewno, betonowe bloki i inne śmiecie. Od miesiący nikt tam nawet nie kręcił filmu. Musieliby chyba robić film katastroficzny. Oni mogą mieć forsy jak lodu, ale niektórzy na tym nie zarabiają.

– Oni?

– Korporacja.

– Od jak dawna to trwa?

– Od miesiący. Prawie rok. – Spojrzał na plac budowy. – Właściciel umarł, odziedziczyły jego dzieci. Zaczęły się kłócić, sprzedały wszystko sieci morskich restauracji, a ci z kolei opchnęli to jakiemuś holdingowi. Mówią, że nadal chcą tu mieć restaurację, tylko lepszą. Głównie przyjeżdżają tu faceci w garniturach. Co jakiś czas przywożą ekipę Meksykanów, którzy powalą trochę młotkiem przez parę dni, a potem tygodniami nic się nie dzieje. Ale ciągle mi płacą i nie niepokoją tych, którzy tu mieszkają. – Wskazał kciukiem przyczepy. – Ale byłoby miło, gdyby można było coś tu zjeść. A tak musimy jeździć aż na Malibu Road.

– Słusznie – powiedziałem, wymachując dwudziestką. – I tak się rozejrzę. Ze względu na dawne czasy.

– Na pewno? Nie wiem nawet, czy latryny nadają się jeszcze do użytku.

– Jakoś sobie poradzę.

– Niech pan tylko poczeka, aż będzie w moim wieku. Ładny samochód. Dużo pan płaci za utrzymanie?

– Trochę. Jest stary, ale ciągle na chodzie.

Uśmiechnął się.

– To tak jak ja. – Wyciągnął rękę po pieniądze, ale potrząsnął głową. – Aa, co tam, niech pan je zatrzyma. Ale jak ktoś zapyta, czy przyjąłem opłatę, niech pan mówi, że tak.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Niech pan zmienia co pięć tysięcy kilometrów olej, to jeszcze sobie pojeździ.

Zaparkowałem na południe od placu budowy, jak najdalej od ciężkich maszyn. Mewy człapały i dziobały ziemię, na pozostałościach dachu rozsiadł się ponad tuzin ptaków. Resztki gontu pokryte były ptasimi odchodami i poszarzałe od słonej wody. Mewy wyglądały na zadowolone, skakały, piszcząc, tu i tam.

Wysiadłem z samochodu, nacisnąłem czapkę na głowę i poszedłem wzdłuż zatoki na południe, zbliżając się ukosem do linii wody. Średnia fala. Żadnych krzeseł czy leżaków, które kiedyś

zapełniały plażę. Tylko kremowy piach. Ocean był jeszcze spokojniejszy niż wczoraj, rozlewał się leniwie. Rozpoczynający się odpływ można było rozpoznać tylko po wolno rosnącej plamie mokrego piasku. Dalej, na południowym skraju zatoczki, stał kolejny barak, niewiele większy od stróżówki. Czarna tablica nad drzwiami była zapisana tymi samymi, koślawymi, czerwonymi literami, które oznajmiały: *KAJAKI! KOMBINEZONY! SPRZĘT DO NURKOWANIA! ZIMNE NAPOJE!* Rdzewiejąca kłódka na drzwiach. Szedłem dalej. Zobaczyłem pięć ustawionych rzędem latryn z jaskrawoniebieskiego plastiku – trzy z nich oznaczone były Panowie, dwie – Panie. Przy męskiej wygodce leżał duży stos czegoś przykrytego niebieską folią.

Skierowałem się do tego, co pozostało z molo Paradise Cove. Parę lat temu sztorm zerwał część pomostu i od tamtej pory go nie naprawiono. Teraz szkielet konstrukcji odgradzono i służył tylko jako kolejne miejsce zebrań krzykliwych mew. W tej chwili korzystał z niego samotny, dystyngowany pelikan, trzymający się z dala od hałaśliwej hałastry.

Kiedy tak szedłem po żółtawym piachu, uderzył mnie promień słońca. Przymrużyłem oczy od nagłego blasku, poprawiłem daszek czapki. Fałszywy świt w zimowe popołudnie. Pierzaste chmury zmieniły kierunek, płynąc teraz w stronę Japonii i pozostawiając skrawek czystego nieba, przez który przedarł się promyk słońca. Padające na plażę słońce było ciepłe, prawie płynne jak złoty deszcz.

Nawet w tak opłakanym stanie zatoczka wyglądała uroczo. Zastanawiałem się, jak wyglądają rezydencje Tony'ego Duke'a i jego sąsiadów. Szedłem dalej wzdłuż brzegu, sądząc, że może uda mi się zobaczyć fragment którejś z nich. Ale brzeg zaczął gwałtownie zakręcać i mogłem dostrzec tylko jeden dom ze szkła i drewna, przysadzisty i nieprzyjazny.

Odgłos otwieranych drzwi od strony latryn sprawił, że odwróciłem się za siebie. Usłyszałem męski głos:

– Fajowo, nie?

Ujrzałem czerwoną ogorzałą twarz z kilkudniowym zarostem. Żyłasty mężczyzna średniego wzrostu, ubrany tylko w czerwone bermudy, stał parę metrów ode mnie, grzechocząc pękiem kluczy. Ani grama tłuszczu, chude ramiona, nienormalnie duże stawy kolanowe. Strzecha tlenionych włosów z czarnymi odrostami okalała jego pociągłą chudą twarz niczym korona cierniowa. Ostry haczykowaty nos był posmarowany maścią cynkową, szyję zdobił wisiorek z muszelek. Zarost na brodzie był tak biały jak maść cynkowa na nosie. Czterdzieści lat, może więcej.

– Przyszedłeś se oblukać domy gwiazd, co? – powiedział, spoglądając na budynek przy plaży. – Wiesz, czyje to?

– Nie, czyje?

– Dave'a Della.

– Tego od teleturniejów?

– No, tego od teleturniejów i miliardowej fortuny. Gość zaczynał jako disc jockey, wykupił

kawałek ziemi w Malibu wieki temu, rozkręcił niezły biznes, człowieku. Jest partnerem tych gości, co to teraz remontują. – Machnął głową w kierunku restauracji. – To goście ze śródmieścia.

– Dobra inwestycja – zauważyłem.

– Po to żyją: forsa, forsa, jak najwięcej forsy, człowieku. Większość pożyczają od innych. – Zaśmiał się. – Tyle że wszystkie te rezydencje oprócz domu Della nie mają dostępu do plaży, tutaj są same skały. Taki facet ma sobie widok na Chiny, ale zero porządnego piachu. Taka już ta geografia. Nawet jak któryś ma trochę plaży, to jest jej tyle, żeby dupę posadzić. I to tylko jak jest mała fala i odpływ. A i tak ocean wszystko z czasem wymyje.

– Serio?

– Jasne, człowieku. Każdego roku znikają z dwa centymetry, może i więcej. Nie słyszałeś o tym?

– Coś kojarzę – odparłem. – Efekt cieplarniany czy coś takiego. Nie wierzyłem, że to prawda.

– Jasne, że prawda. Ocieplenie, *El niño*, *La niña*, *La cucaracha*, dziura ozonowa, całe to gówno. Pewnego dnia będziemy o tym rozmawiać w La Brea, bo tego wszystkiego już nie będzie. – Zaśmiał się znowu, pokręcił głową. Żółta strzecha była sztywna od soli. – Na razie taka łajza jak ja ma ten cały piach za darmo, a oni mają gówniane skały. Zapłaciłeś dwudziechę za wejście? Carleton nie powiedział ci, że wszystko pozamykane?

– Powiedział, ale i tak chciałem wejść. – Wskazałem ręką wybrzeże. – Nadal tu pięknie.

– No. – Uśmiechnął się chytrze. – Zalewasz, co nie, człowieku? Carleton już od nikogo nie bierze kasy. On i reszta gości z przyczep są wkurwieni tym, co zrobili z knajpą, i wpuszczają za darmo każdego, kto chce przyjść. A nie ma zbyt wielu chętnych. – Wzruszył ramionami, muszelki zagrzechotały na jego szyi. – Kiedyś nie można tu było znaleźć miejsca do parkowania i cały czas kręcili tu reklamówki. Teraz to *El quieto*, co mi nawet gra. Świat się zmienia, a potem się umiera. Siema, człowieku. Miłego spacerku.

Kiedy odchodził, powiedziałem:

– Słyszałem, że Tony Duke gdzieś tutaj mieszka.

Zatrzymał się, odwrócił.

– Jasne, że mieszka. Tylko tacy jak on i dupki z Hollywood mogą tu wygrzewać dupska. – Podrapał się w podbródek, spojrzął w słońce. Kiedy stanął w pełnym świetle, zauważyłem czerwoną krostę pod jego wargą. Podobne, wysuszone krosty lśniły na czole, zwiastując niebezpieczeństwo raka. – Duke mieszka jakieś pięć rezydencji dalej. Podpływałem tam kilka razy, myślałem, że zerknę sobie na którąś z laseczek, które tam trzyma. Ale nie miałem farta.

– Szkoda.

Odchrząknął.

– Jakbym wiedział, co zrobić, kiedy taką zobaczę.

– Skąd wiesz, która rezydencja jest jego?

– To proste. Nie widać domu, bo jest w głębi, tak jak większość innych. Ale Duke ma taką kolejkę, co to zjeżdża ze skały na plażę. Taki drewniany wagonik na szynach. Wszyscy inni mają co najwyżej schody. Gość poważnie traktuje odpoczynek, tak jak mówi – kalorie spala seksem, a nie łożeniem po jakichś cholernych schodach. Fajna ta kolejka, ale nie widziałem, żeby ktoś jej używał.

– Kolejka?

– No. Inni faceci też tam pływali, głównie w kajakach. Zwłaszcza kiedy Duke robił imprezę. Każdy chciał się pogapić na gołe dupy, może zobaczyć, jak któraś robi komuś laskę. Coś, żeby można było cyknąć zdjęcie i wysłać mamusi do domu. – Roześmiał się. – Jak mówię, to ustrojstwo na szynach jest zawsze na górze, a jak Duke ma imprezę, to ustawia tam goryli, wielkich chłopów, którzy tylko czekają, aż ktoś ich wkurzy.

– Słyszałem, że to policjanci, którzy sobie dorabiają na boku.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło. Ale to nawet gorzej, no nie?

– Racja.

– Tak czy siak, nikt nigdy żadnej laski tam nie zobaczył.

– Czy Duke często robi imprezy?

– Kiedyś tak. Co jakieś dwa miesiące. Widywało się wtedy te tasiemcowe bryki przy Pacific Coast, kelnerów, samochody cateringowe i tak dalej. Ale już dawno nic nie organizował. – Zastanawiał się. – Od bardzo dawna. Od roku albo i dwóch. Może facet robi się na to za stary? To by było coś, nie? Taki fajowy, stary facet, karmiony kawiozem i viagrą, otoczony tymi wszystkimi dupencjami, a tu odchodzi mu ochota. Bo to nie ma znaczenia, czy jest pomarszczony. Są jedne perfumy, które rozchylają kobiece uda, chociaż nie przeczytasz o nich w *Kamasutrze*. – Potarł kciuk o palec wskazujący, wciągnął powietrze przez nos.

– Pieniądze – powiedziałem.

– *Eau de* gotówka – wyjaśnił. – Działa za każdym razem.

– Więc stary Tony leci na viagrze? – podjąłem.

– To fakt?

– Nie wiem, czy to fakt, człowieku, ale tak się słyszy. Słuchaj, człowieku, koleś musi mieć ile... siedemdziesiątkę, osiemdziesiątkę, setkę? Mój tata kupował jego pismo. Kurde, a może jego ołówek jeszcze się nie stemperował? Ma młodą żonę, widuję ją, przychodzi od czasu do czasu do Dolara na śniadanie. To znaczy przychodziła, kiedy było po co. Takie balony – powiedział, odsuwając dłonie

piętnaście centymetrów od klatki piersiowej. – Nigdy nie wyglądała na szczęśliwą, ale urodziła staremu Tony’emu parę bachorów.

– Dlaczego była nieszczęśliwa?

– Cholera wie! Kolesie, którzy kiedyś pracowali na parkingu, mówią, że ma takiego fajowego SUV expedition – czarnego z szarym pasem na dole, wielkie opony, chromowane felgi. Zawsze sama otwierała sobie drzwi, a potem wkurzała się, że nikt tego nie zrobił za nią. Zawsze jej się śpieszy. Parkingowi żartowali, że tak się śpieszy, bo musi być w domu, kiedy viagra staruszka zacznie działać. Bo tak to cholerstwo działa, wiesz? Połykasz pastylkę, czekasz, aż twój kapral zasalutuje, ale musisz szybko się do wszystkiego zabrać, bo po jakimś czasie kapral znowu patrzy ci na buty. – Machnął ręką. – Może właśnie stąd wzięły się te opowieści o viagrze, że dziewczyna się tak zawsze śpieszy. Tak czy siak, nie wszystko można dostać za pieniądze, racja? Daj mi piach, kilka fal i ja będę górą.

Poskrobał swoje jabłko Adama, dotknął lekko krosty na podbródku. Rozglądałem się za deską surfingową, ale jej nie znalazłem.

– Surfujesz? – zapytałem.

– Kiedy tylko mogę.

– Słabe fale.

Roześmiał się chrapliwie.

– Tutaj zawsze fale są za słabe. Nie surfuje się w takich zatoczkach jak Paradise, człowieku. Tutaj to ja pracuję. To moje biuro. – Wskazał wypożyczalnię.

– Myślałem, że wszystko jest zamknięte.

– Hej, płacą mi, żebym tu był, to jestem. – Podrzucił pęk kluczy.

– Tylko za to? Nie wypożyczasz? – zapytałem.

– Nie nurkowałbym tu teraz, człowieku. Zamulona woda. A przy takim świetle widoczność jest zerowa.

– Myślałem raczej o kajaku.

Jego haczykowaty nos obniżył się, kiedy lustrował mnie wzrokiem.

– Nie wiesz nic o falach, ale nie śmierdzisz mi też turystą.

– Jestem turystą z Los Angeles – odparłem. – Kiedyś mieszkałem w Malibu. Za Leo Carrillo. Przyjechałem ze względu na dawne czasy.

– Przy El Pescador?

– Jeszcze dalej, za El Pescador. Przy granicy powiatu, koło Neptune's Net.

– Livingston Beach – powiedział. – Fajowo się tam surfuje, świetne fale. Próbowalesz tego kiedyś?

– Tak, trochę, na małej desce – odparłem.

– Człowieku, ja przesiadłem się na dużą w trzeciej klasie. Przesurfowałem przez całe liceum. Załapałem się nawet na trzy minuty jazdy w *Demonach Wody II*. Potem dostałem chronicznego zapalenia uszu i doktor zabronił mi pływać. Ale miałem jego zakazy w dupie, tylko że teraz cały czas boli mnie łeb, więc pływam raz na tydzień. Mówisz poważnie o tym kajaku?

– Jasne, czemu nie?

Znowu obejrzał mnie z góry do dołu.

– Dobra. Woda jest zimna, ale nie ma fal. W którą stronę chcesz płynąć? – Na południe. – Uśmiechnąłem się. – Może coś wypatrzę u Tony'ego.

– No tak, do przewidzenia. – Zaśmiał się. – Ale nie napalaj się za mocno. Poprowadził mnie w kierunku wypożyczalni.

– To dobry dzień na wiosłowanie, ale jak będziesz płynąć na południe, musisz wiosłować pod prąd. Wygląda na to, że masz bary, które to wytrzymają. Tylko pamiętaj, co ci powiedziałem, i nie panikuj, dobra?

– Dzięki za radę. Ile kosztuje wypożyczenie?

– Chwileczkę – powiedział. – Jeszcze coś: nieważne, jak gładka jest woda i za jak świetnego wiosłarza się uważasz, twoje ubranie i tak się przemoczy. Ciągłe to ludziom powtarzam, ale oni nie słuchają i wracają cali mokrzy i wściekli. Jedyne sposob, żeby się przed tym uchronić, to założyć kombinezon, człowieku. Mogę ci taki wypożyczyć.

– Dobra: kajak i kombinezon – powiedziałem. – Ile?

Obliznął wargi.

– Po pierwsze, muszę otworzyć tę budę, potem muszę znaleźć latarkę, żeby móc sprawdzić kombinezon, upewnić się, że jest szczelny. Potem muszę sprawdzić, czy nie ma w nim pajaków albo skorpionów, bo to się, niestety, zdarza.

– Skorpiony? – zdziwiłem się. – Blisko plaży?

– Takie małe, czarne paskudztwa. Uważamy je za koleśki z pustyni, ale są tutaj, zahibernowane, czy jak to tam. Pewnie przyjechały autostopem jakąś ciężarówką. Więc muszę sprawdzić kombinezon.

– Jestem wdzięczny. Czy to mnie też będzie kosztowało?

Zaśmiał się.

– No cóż – oznajmił – zwykle biorę dwadzieścia dolców za godzinę od kajaka, dwanaście za kombinezon, sześć za maskę i płetwy, więc to by było trzydzieści osiem na wejście i zwykle zatrzymujemy też prawo jazdy jako zastaw.

– Bez maski i płetw – powiedziałem. – Tylko łódka i kombinezon.

– Stopy ci zmarzną.

– Jakoś przeżyję.

– Twój wybór, człowieku. Jak długo chcesz popływać? Bo nie planowałem tu siedzieć całe popołudnie. Rozumiesz, pojawiaam się w robocie, ale średnio mi zależy, kapujesz?

– Najwyżej parę godzin.

– Parę godzin... dobra, niech będzie. Więc to by były sześćdziesiąt cztery dolce, ale dla ciebie spuszczę do pięćdziesięciu pięciu i nie wezmę nawet prawka, bo niby dokąd miałbyś uciec? Jeśli płacisz gotówką.

Mrugnął porozumiewawczo.

– Oczywiście, gotówką – powiedziałem, sięgając po portfel.

Wybrał z pęku klucz, włożył go w kłódkę na drzwiach baraczk.

– Zardzewiała. Ocean ciągle zre. To odlotowe, nie? Ocean będzie tu nawet za miliard lat, a my nie. Więc po co się martwić?

Kajaki to był właśnie ten stos pod niebieską folią. Dostał mi się żółty, jednoosobowy. Rozebrałem się za wypożyczalnią, a w tym czasie Norris – gdy mu zapłaciłem, wyjawiał mi swoje imię – szykował kajak. Stałem nagi i trząłem się z zimna, ale dwukrotnie sprawdziłem rękawy i nogawki piankowego kombinezonu. Kiedy w końcu włożyłem go na siebie, niemal natychmiast poczułem ciepło.

– Hej! – zawołał Norris, kiedy wyszedłem z domu. Klęczał przy kajaku i wycierał jego wnętrze brudną szmatą. – Człowieku, na lewej nogawce masz zapinaną kieszonkę na portfel i klucze. Resztę rzeczy możesz zostawić w samochodzie. Fajowy wóz, na marginesie. Jak wrócisz na czas, to może go nie ukradnę. Wiosłowałeś już kiedyś?

– Tak.

– Więc na pewno wiesz, że z falami trzeba uważać. Jeśli chcesz nabrać szybkości, musisz trzymać

rytm. I nie puszczaj wiosła. Nie zatonie, ale jak ci wypadnie, odpłynie od ciebie. Jak je zgubisz, to zabulisz. Tak już jest.

Zepchnęliśmy kajak do wody. Norris przytrzymał go, kiedy wsiadałem.

– Dawaj, człowieku! – zawołał, odpychając kajak. – Jak zobaczysz fajną dupę, daj mi znać.

Spokojny ocean oznaczał szerokie mielizny i żeby nie zaryć się w piach, musiałem trzymać się co najmniej cztery metry od brzegu. Ciąłem dziobem wodę, mglista bryza obmywała mi twarz. Po niemrawym, rannym joggingu dobrze było rozruszać ramiona. I znaleźć się samemu pośród fal wielkiego oceanu.

Nabrałem szybkości na wysokości szklanej kuli Dave'a Della. Dom był duży, ale z bliska okazał się zaniedbany – szara farba zniszczona przez sól i wiatr, zasunięte kotary, żadnych śladów życia. Następna posesja rozciągała się przy wijącym się skalistym wybrzeżu, obsadzonym niedbale przyciętymi krzakami i fantastycznie powyginanymi sosnami. Rozklekotane schody na plażę – dolne stopnie zerwane.

Kiedy płynąłem dalej, zaczął wiać mocniejszy wiatr i musiałem się napracować, żeby nie wyrzuciło mnie na brzeg. Kilka minut później pojawiły się spienione grzbiety fal. Kajak to podskakiwał, to miękko opadał na wodę.

Trzy kolejne posesje, tym razem z dobrze utrzymanymi schodami, które były tak strome, że przypominały raczej zwykłe drabiny. Opowieść Norrisa o szybko znikającej plaży mogła być przesadna, ale ślady erozji były wyraźne; głębokie bruzdy i wgłębienia w skałach. W wodę wznosiły się tu i ówdzie kamienne cyple. Powiosłowałem w stronę otwartego oceanu, wyminąłem dryfującą plamę wodorostów. Nagle słońce znowu zakryły chmury, a woda zrobiła się ciemna. Znajdowałem się dobre piętnaście metrów od brzegu, kiedy ujrzałem kolejkę Tony'ego Duke'a.

Posiadłość Duke'a była szersza i wyżej położona od pozostałych, jej linia brzegowa przybierała kształt wijącej się sinusoidy, skalne zbocza zostały obsadzone zielenią ale teraz pozostały z niej tylko szarozielone plamki; erozja i tutaj dawała o sobie znać głębokimi i długimi bruzdami. W dole znajdował się kawałek prywatnej plaży Duke'a, owalny kształt, widoczny tylko od strony wody. Kolejka składała się z wagonika z sekwojowego drewna i szyn z ciemnego metalu. Wagon znajdował się na szczycie, ocieniony przez brązowy, metalowy łuk, który zapewne stanowił część urządzenia zasilającego cały mechanizm. Metalowe szyny opadały niemal pionowo na piasek. Skoro rośliny nie mogły tu zapuścić korzeni, dlaczego mielibyśmy ufać metalowym bolcom?

Ktoś jednak im ufał. Na plaży bawiła się dwójka małych, jasnowłosych dzieci w towarzystwie siedzącej na leżaku kobiety. Byłem zbyt daleko, żeby ocenić jej wiek. Nosila wielki, słomiany kapelusz i luźną białą sukienkę. Dzieci wyglądały na cztero – lub trzyletnie. Mniejsza – dziewczynka w różowym jednoczęściowym kostiumie – siedziała na piasku z rozkraczonymi nóżkami, kopała jaskrawo-pomarańczową łopatką i wsypywała piasek do zielonego kubelka. Parę metrów przed nią nagi chłopiec biegał wzdłuż brzegu, kopał fale, podnosił kupki wodorostów i wrzucał je bezskutecznie do wody.

Kobieta leżała na leżaku w sposób, który mógł oznaczać tylko sen albo stan hipnozy. W piasku pod jej prawą ręką lśniło coś szklanego.

Przestałem wiosłować, lekko poruszyłem wiosłem, żeby stanąć w miejscu. Obserwowałem. Nagi

chłopiec zauważył mnie i podniósł rękę. Nie w geście powitania – mocno zaciśnięta pięść groziła mi. Kobieta nie poruszyła się. Ponownie zacząłem wiosłować. Uderzyłem o falę, do wnętrza kajaka nalało się trochę wody. Zrobiło się chłodno, a moje bose stopy zsiniały z zimna. Kiedy minąłem posiadłość Duke’a, spojrzałem za siebie. Chłopiec przestał się mną interesować, stał po uda w wodzie i rozpryskiwał ją rękami.

Przepłynąłem jeszcze koło kilku posiadłości, zauważyłem parę domów wielkości katedry, ale żadnych ludzi. Wiatr się wzmaczał. Pokonałem jeszcze kilka fal, znalazłem kawałek spokojnej wody i dryfowałem przez chwilę, wpatrując się w ocean. Zastanawiałem się, po co właściwie tu przypląnąłem. Zobaczyłem na wodzie szybko poruszający się cień, spojrzałem w górę: wielki, gruby, szarawy ptak, może ten sam, którego widziałem na moło, leciał w stronę horyzontu. Patrzyłem, jak ląduje na wyspie z wodorostów, czeka. Zanurza dziób, podnosi łeb, połyka. Zajęty tylko sobą, niczym wyniosły monarcha.

Powiosłowałem jeszcze trochę, fale stawały się coraz wyższe. Minęło już pięćdziesiąt pięć minut, czas wracać.

Nie miałem dla Norrisa żadnych opowieści o gołych panienkach ani niczego, co mogłoby zainteresować Mila. Jasnowłose dzieciaki były prawdopodobnie dziećmi Tony’ego z drugiego małżeństwa. Kobieta mogła być kimkolwiek.

Płynąc do przystani, zdecydowałem, że nie wspomnę Milowi o swojej wycieczce. Może zadzwoni dzisiaj, może nie. Szybko machałem wiosłem, starałem się trzymać jak najbliżej brzegu ze względu na wiatr i coraz większe fale. Nieźle się spociłem, kiedy pojawił się znany mi już wyciąg.

Wagonik znajdował się ciągle na górze, nieruchomy, ale kobieta w białej sukience wstała z leżaka. Była bez kapelusza, jej długie złote włosy powiewały na wietrze, rozpostarła ramiona. Miała otwarte usta, biegła w kierunku wody.

Znajdowałem się zbyt daleko, żeby usłyszeć słowa, ale ton krzyku był oczywisty: przerażenie.

Dziewczynka w różowym kostiumie nie ruszyła się, nadal grzebała łopatką w piachu. Nie widziałem jednak chłopca.

Zauważyłem go po chwili. Mała biała kropka podskakująca na wodzie, jakieś dwadzieścia metrów na północ od mojego kajaka.

Sama głowa, nie widziałem ramion. Podskakiwała jak piłeczka pingpongowa, tak mała, że trudno ją było zauważyć.

Złotowłosa kobieta wbiegła do wody wtedy właśnie, kiedy ocean wezbrał, a główka chłopca zniknęła. Wiosłowałem w kierunku dziecka. Zobaczyłem przed sobą falę – dużą, spienioną i lśniąca.

Ani śladu chłopca.

Kobieta w wodzie. Dziewczynka wstała i zaczęła za nią biec.

Wiosłowałem szaleńczo, nadal za wolno. Wygramoliłem się z kajaka i zanurkowałem w lodowatą wodę.

Nawet spokojny ocean może przekonać człowieka o jego słabości. Ten ocean nie dbał zupełnie o moją samoocenę.

Przebierałem energicznie ramionami, nakrywany falami, starałem się skoncentrować wzrok na miejscu, gdzie ostatni raz widziałem główkę chłopca. Wiatr wiał mi prosto w oczy. Fale nie były na tyle wysokie, by stanowić zagrożenie dla kogoś o mojej wadze, ale zwalniały pościg i utrudniały orientację.

Płynąłem tak szybko, jak potrafiłem, zbliżyłem się do miejsca, w którym poprzednio widziałem dziecko. Nie ma go... tam jest, dziesięć metrów dalej. Nie widać ramion, ale główka unosi się nad wodą, dobrze pływa jak na swój wiek, ale jak długo wytrzyma? Woda była lodowata, czułem jak tężeją mi mięśnie. Rzuciłem się do przodu, nie spuszczać z oczu blond główki. Patrzyłem bezsilnie, jak znowu znika pod powierzchnią wody i wynurza się jeszcze pięć metrów dalej od brzegu, wolno, lecz nieubłagane spychany na otwarte morze. Za mną, wśród huku fal, słyszałem krzyk kobiety.

Zmieniłem kierunek, biorąc poprawkę na ruch fal. Przez głowę przebiegały mi myśli o tych wszystkich przytopionych dzieciach, które badałem w Zachodnim Pediatrycznym. Na ogół byli to aktywni mali chłopcy, którzy przeżyli, ale z uszkodzeniami mózgu...

Dotarłem na miejsce. Chłopca ani śladu. Źle wymierzyłem? Gdzie on, do cholery, jest? Szybkie spojrzenie za siebie przekonało mnie, że płynąłem w dobrym kierunku. Kobieta w białej sukience płynęła w tę samą stronę, ale była dopiero w jednej trzeciej drogi, luźna tkanina utrudniała jej ruchy. Puciołowata dziewczynka wchodziła do wody.

Zauważyłem głowę chłopca, potem całe jego ciało – trzy metry przede mną – miotane przez fale jak kępa wodorostów, zniknęło na chwilę z pola widzenia. Rzuciłem się w jego kierunku. Woda znowu go nakryła. Machał dziko rękami, był przestraszony, zaczynał tracić kontrolę.

Zanurkowałem w falę, która go pochłonęła, wyciągnąłem ręce, chwyciłem go za mokre włosy, chude ramię, potem kościsty tułów, który wił się nerwowo. Objąłem go jednym ramieniem i trzymając jego głowę nad wodą, zacząłem płynąć w stronę lądu.

Walczył, kopał mnie w żebra, bił pięściami, wrzeszczał. Małe zębki wpijały mi się w ucho. Nie puszczałem go.

Silny jak na swój wiek i pomimo strachu, jaki czuł przed chwilą, tryskał energią. Warczał, pluł, znowu usiłował mnie ugryźć. Zdołałem unieruchomić obydwie jego ręce i głowę za pomocą własnego podbródka.

Kiedy woda zrobiła się wystarczająco płytka, stanąłem na dnie i odsunąłem ruchliwe ciało na odległość ramienia. Trójkątna twarzyczka była wykrzywiona od krzyku wzburzenia i wściekłości. Silne płuca, ładny chłopczyk. Cztery, pięć lat.

– Puszczaj! – wrzeszczał. – Puszczaj, słyszysz?! Ty głupi ćwoku, ty kupojadzie!

– Za chwilę, mój mały dżentelmenie – powiedziałem, łapiąc oddech. Kobieta za mną płakała: „Baxter!” Jej cienkie, białe palce, zakończone długimi czerwonymi paznokciami zabierały ode mnie chłopca.

Rozejrzałem się za dziewczynką.

Po kolana w wodzie. Kobieta w białej sukni tuliła chłopca, odwrócona tyłem do drugiego dziecka.

Pokazałem dziewczynkę palcem.

– Ja mam po nią pójść, czy pani?

Kobieta obróciła się gwałtownie. Młoda, bardzo młoda, taka sama trójkątna twarz jak u Baxtera. Zielononiebieskie oczy podążyły za moim palcem, zastygła. Luźna sukienka przywarła do ciała, biała, cienka bawełna nabrała cielistego koloru, klejąc się do brzucha, uwypuklając zbyt pełne piersi, szaro-fioletowe sterczące sutki, płaski brzuch, zagłębienie pępka, białe majtki od bikini.

– Och! – westchnęła, ale nadal stała bez ruchu, a dziewczynka zanurzyła się już do pasa, śmiejąc się i taplając w wodzie. Maleństwo, jakieś dwa i pół roku, tłuściutka, z okrągłym brzuszkiem i szeroko otwartą zdziwioną buzią. Platynowe loczki, cała utyłana w piachu. Wiatr szeleścił w drzewach na skarpie, fale z hukiem uderzały o brzeg.

– Baxter – powiedziała kobieta łamiącym się głosem. – Patrz, co robi Sage. Zamordujecie mnie kiedyś. – Wciąż trzymając chłopca, zbliżała się do dziewczynki. Potknęła się, upadła, wypuściła chłopca, który zadławił się piaskiem. Zaczął się krztusić i krzyżeć.

Pośpieszyłem w stronę Sage. Słyszałem krzyk kobiety:

– O, Boże, jaka jestem głuuupia!

Chwyciłem dziecko, które właśnie usiadło na pupie, łyknęło wodę i zaczęło płakać. Kiedy wyciągnąłem ją z wody, natychmiast przestała płakać. Roześmiała się. Przyłożyła paluszek do swoich ust. Znowu się roześmiała i spróbowała wykluć mi oko.

– Hej, słonko – powiedziałem.

– Słonko, he, he – roześmiała się, raz po raz, próbując dźgnąć mnie paluszkami. Uznała, że to zabawne.

Oddałem ją kobiecie. Usta Baxtera były czyste i szczerzyły się w krzywym uśmiechu. Spojrzał na mnie i wrzasnął:

– Nie mam ryb! – Potrząsnął piąstką.

– Myśli, że łowił ryby – powiedziała kobieta. – Uważa, że to pana wina, że nic nie złapał.

– Przepraszam – odparłem.

Baxter nadąsał się.

– Wielki rybak – powiedziała kobieta. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobił. To pierwszy raz. Nigdy tego nie robił.

– Tak już jest z dziećmi – zauważyłem. – Ciągle coś nowego.

– Nie mam ryb – żalił się Baxter.

– Jib – zawtórowała Sage.

– Ty, malutka, też masz coś do powiedzenia, moja dzikusko? – zwróciła się kobieta do dziewczynki. Pochyliła się i spojrzała na dzieci. – To było głupie, naprawdę głupie. Oboje głupio zrobiliście, tak?

Brak odpowiedzi. Baxter zaczął się wyraźnie nudzić, a jego siostrzyczka zainteresowała się piaskiem.

– Wy dzikusy, przecież tam są rekiny, które mogą was zjeść! Rekiny! – Do mnie: – Prawda?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, powtórzyła:

– Rekiny! Zjeść!

Na myśl o rekinach Baxter roześmiał się szeroko. Nic mu się nie stało oprócz paru otarć od piasku.

– Oo, uważasz, że to zabawne. Chciałbyś zostać zjedzony? Co? Żeby rekin połknął cię jak hamburgera?

– Nie ma mowy – powiedział Baxter – Ja jego zjem.

Dziewczynka się roześmiała.

– Jesteście niemożliwi – oznajmiła kobieta. – Obydwoje.

Wyprostowała się, skrzyżowała ręce pod biustem, jej sutki sterczały jak dwie torpedy. Miała głęboki, ale dziewczęcy głos, piękną lekko piegowatą białą skórę, wyglądała, jakby dopiero co przestała być nastolatką. Pełne miękkie usta, zgrabny podbródek, wielkie zielononiebieskie oczy pod wyskubanymi brwiami. Bez makijażu, tylko pomalowane na czerwono paznokcie u rąk i nóg.

– Piepsony rekin – ozwał się rezolutnie Baxter.

– Piepsiony jekin – powtórzyła dziewczynka.

– O Chryste! – zawołała kobieta, chwytając dzieci za ręce i potrząsając z dezaprobatą głową.

Oddychała ciężko i szybko, ale jej piersi prawie się nie poruszały. Za duże, zbyt twarde, reszta ciała była za szczupła, żeby podtrzymywać taki wybujały biust. Robota specjalisty ze skalpelem.

Nie wydaje mi się, że się na nią gapiłem, ale może... bo nagle uświadomiła sobie, że mimo ubrania jest praktycznie naga. Uśmiechnęła się lekko ze zrozumieniem, zajrzała mi głęboko w oczy, a ja starałem się nie spuszczać wzroku z wypukłości poniżej. W pełnym świetle spostrzegłem bursztynowe cętki w błękitno-zielonych tęczęwkach. Spojrzała na swoje ciało. Potem podniosła na mnie oczy, przyjrzała się mojemu mokremu kombinezonowi. Znowu się uśmiechnęła, odwróciła i poprowadziła dzieci w kierunku leżaka. Szła wolno, kołysząc biodrami i pupą.

Szedłem za nią, musiała to wiedzieć, ale nie zwracała na mnie uwagi, aż doszła do swojego leżaka. Słomiany kapelusz leżał do połowy zakopany w piachu. Szkło, które zobaczyłem z oddali, okazało się butelką evian. Zdałem sobie sprawę, że zapomniałem o kajaku, spojrzałem za siebie.

Łódka przybiła prawie do brzegu i kołysała się w miejscu, gdzie Baxter ugryzł mnie w ucho. Podbiegłem do niej i zacząłem wyciągać z wody.

Uświadomiłem sobie, że boli mnie ucho, dotknąłem go, spojrzałem na palec. Nie było krwi, ale małe ząbki zrobiły swoje. Wyczułem ślady po ugryzieniu.

Wróciłem na plażę, kobieta stała w mokrej sukience i tłumaczyła coś dzieciom. Sage patrzyła na nią, ale Baxter znowu zainteresował się oceanem. Kiedy ruszył w kierunku wody, kobieta powstrzymała go.

Wtedy pomachała do mnie. Podbiegłem.

– Proszę mu powiedzieć – powiedziała, kiedy się zbliżyłem – że tam są rekiny. – Poprawiła sukienkę.

– Piepsony rekin – powtórzył Baxter, warcząc i szczerząc ostre ząbki. – Jeść, jeść, jeść, jeść! Wrrr!

Sage roześmiała się.

– Prawda, że tam są? – dopominała się mojej odpowiedzi kobieta. – Wielkie ludojady, tak duże jak smoki, jak ten ze *Szczęk*... – Też wyszczerzyła zęby. Równe i białe. Jej sutki urosły do rozmiarów wiśni.

– Tam naprawdę mogą być rekiny – potwierdziłem. – Różne rodzaje rekinów i innych ryb.

– O, proszę – powiedziała kobieta. – Słuchajcie, co pan mówi. Baxter, pan wie, co mówi. Rekiny i inne morskie potwory mogły cię zjeść, kochanie, naprawdę.

Chłopiec znowu próbował się wyrwać. Kobieta trzymała go i narzekała:

– Przestań, to boli. Naprawdę mnie zamordujesz. Dzikus! A ty powinnaś być mądrzejsza, Sage. Co w ciebie wstąpiło, przecież nienawidzisz wody!

Sage spuściła główkę. Zadrżały jej wargi.

– O, nie – powiedziała kobieta, gładząc ją. – Nie płacz, kotku. Żadnych łez, kochanie. Jesteś dobrą dziewczynką, nie musisz płakać. Dobre dziewczynki nie płaczą.

Sage pociągnęła nosem i rozbeczała się.

– Och, proszę, Sage. Mamusia nie chce, żeby coś ci się stało. Dobrze? Rozumiesz?

Sage zaczęło kapać z nosa, oblizwała smarki, a Baxter powiedział:

– Fuj, gile. – Pociągnął matkę za rękę.

Kobieta podniosła głos:

– Uspokójcie się, oboje. – Popchnęła dzieci na piasek. – Dobrze. Siedzcie spokojnie. Nie ruszajcie się albo... albo nie będzie telewizji, pizzy, pokemonów ani niczego innego. Zrozumiano?

Dzieci milczały.

– Dobrze. – Do mnie: – Myśli pan pewnie, że jestem okropną matką. Ale on jest niemożliwy, nie może usiedzieć spokojnie. Kiedy był młodszy, za każdym razem, kiedy przechodziłam przez drzwi, niosąc go na rękach, walił specjalnie głową we framugę! Nabijał sobie guzy! Martwiłam się, że ktoś pomyśli, że znęcam się nad dzieckiem, wie pan? – Spojrzała na Sage: – A teraz ty!

– Aaaaaa! – powiedziała dziewczynka.

Kobieta zaczerwieniła się. Poprawiła znowu sukienkę, która teraz jeszcze bardziej przywarła do ciała.

– Zwykle jest dla mnie dobra. Co za dzień!

Uśmiechnąłem się. Odwzajemniła uśmiech. Wyciągnęła rękę.

– Jeszcze nawet panu nie podziękowałam. Jestem naprawdę okropna. Bardzo panu dziękuję. Jestem Cheryl.

– A ja Alex.

– Dziękuję, Alex. Naprawdę bardzo, bardzo dziękuję. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie... – Zielononiebieskie oczy znowu omiotły mój kombinezon. – Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

– Nie, tak tylko sobie pływałem.

– I całe szczęście. Gdyby nie to... – W jej oczach pojawiły się łzy. – O, mój Boże, dopiero to do mnie dociera, co mogło się... jestem taka... – Zadrżała, objęła się ramionami, spojrzała na mnie, jakby oczekując, że ją przytulę. Ale ja stałem nieporuszony.

Zaczęła płakać. Sage wyglądała na zdumioną, Baxter po raz pierwszy wydawał się skruszony.

Przykucnąłem przy nich, przesypując piasek przez palce.

– Mama pacie – powiedziała Sage zdziwiona.

– Mamie nic nie będzie – oświadczyłem, rysując na piasku małe kółko.

Sage postawiła w środku kropkę.

– Mamusia? – odezwał się Baxter.

Cheryl powoli się uspokajała. Przykucnęła i przytuliła dzieci do swoich sztucznych piersi.

– Mama dobrze? – spytała dziewczynka.

– Tak, moja mała. Dzięki temu miłemu panu, dzięki Aleksowi. – Spojrzała na mnie. – Słuchaj, chcę ci coś dać. Za to, co zrobiłeś.

– To niepotrzebne – zapewniłem.

– Proszę – nalegała. – Dzięki temu lepiej się poczuję. Uratowałeś moje maleństwa, chcę ci coś dać. Proszę. – Wskazała na górę. – Mieszkamy tutaj. Wejdz na sekundkę.

– Na pewno mogę?

– Ależ oczywiście. Ściągnę na dół wagonik i wjedziemy na górę. Zresztą przyda mi się pomoc. Ta kolejka mnie przeraża. Zawsze się boję, że dzieci wypadną. Możesz potrzymać Baxtera?

– Jasne.

Uśmiechnęła się ciepło, pocałowała mnie w policzek. Poczulem krem do opalania i perfumy. Baxter zawarczał.

– Bardzo dziękuję za to, że będę mogła jakoś ci się odwdzińczyć.

Podeszła do słomkowego kapelusza, uniosła rondo i wyciągnęła spod niego małego białego pilota. Naciśnięcie guziczka i wagonik bezgłośnie ruszył w dół.

– Fajne, nie? – zauważyła. Do dzieci: – Fajne, prawda? Niewielu ludzi ma coś tak fajnego.

Żadne z dzieci nie odpowiedziało. Powiedziałem:

– Na pewno lepsze od wspinaczki.

Cheryl zaśmiała się, odrzuciła do tyłu włosy.

– Trudno by ci się było na to wspiąć, chyba że byłbyś jaszczurką. Sama nie wiem. Lubię ćwiczyć

na siłowni i tak dalej, mam w domu świetną siłownię, ale nie umiałabym się wspiąć na coś takiego.

– Racja – zgodziłem się.

– Jacja – powiedziała Sage.

– Ja bym umiał – zauważył Baxter. – To łatwe.

– Jasne, że byś umiał, kotku. – Cheryl poklepała go po główce. – Ale to jest całkiem fajne, tak sobie jeździć z góry na dół i w ogóle, kiedy się chce.

Przez ostatnie dziesięć centymetrów jazdy wagonik buczał.

– Dobra jest, wszyscy na pokład. Ja wezmę Sage, a ty Baxtera, dobrze?

Wagonik nie miał dachu. Szklane szyby osadzono w ramach z sekwojowego drewna. Sekwojowe ławeczki wewnątrz. Dość duże, żeby pomieścić cztery dorosłe osoby. Wsiadłem ostatni, poczułem, jak wagonik zakołysał się pod moim ciężarem. Cheryl posadziła Baxtera, ale on natychmiast wstał.

– Nie ma mowy, kolego – powiedziała, posadziła go z powrotem na ławeczce. Złapałem jego rączkę, a on znowu zaczął warczeć. Poczułem się dość dziwnie, jak ojczym.

Zamknij drzwi, Alex. Upewnij się, że są dobrze zamknięte. Dobra, jedziemy.

Wcisnęła przycisk i zaczęliśmy wjeżdżać na górę. Przezroczyste ściany nadawały naszej podróży wrażenie lekkości, jakbyśmy lecieli w nieskończonej przestrzeni. Tylko niebo i ocean. Norris mógł mieć rację, że bogacze mogli się wygrzewać tylko na maleńkich skrawkach plaży, ale jazda takim urządzeniem to też było coś.

Umilana wrzaskami Baxtera przejażdżka trwała mniej niż minutę, Sage zrobiła się senna, a Cheryl wpatrywała się we mnie spod półprzymkniętych powiek, jakbym miał czegoś jeszcze oczekiwać. Jej nogi były długie, gładkie, ładnie umięśnione, doskonałe. Kiedy się przeciągała, rozchyłała je, pozwalając mi ujrzeć miękką, świeżo wywoskowaną skórę wewnętrznej strony ud i skąpe majtki.

Baxter przyglądał mi się uważnie. Mocno trzymałem go za rękę. Kiedy wjechaliśmy na górę, wagonik zatrzymał się na chwilę, zmienił kierunek, podryfował poziomo, odskoczył lekko i zatrzymał się pod metalowym łukiem.

– Nie ma jak w domu – powiedziała Cheryl. – A to prawie dom.

Wagonik osiadł na betonowej płycie, przeszliśmy dwadzieścia metrów do sekwojowo-szklanego ogrodzenia, które sięgało mi do pasa i ciągnęło się przez całą szerokość posiadłości – przynajmniej sto metrów – oraz wzdłuż połowy jej północnej granicy. Krzepki mężczyzna w szarym uniformie pochylał się i spryskiwał szyby ogrodzenia płynem z niebieskiej butelki. Obszar rozciągający się od brzegu klifu pokryty był brunatną ziemią i musiał być wart ze sto tysięcy dolarów. Widziałem przed sobą nie mniej niż piętnaście akrów, może nawet więcej.

Piętnaście drogocennych akrów. Ziemia została ukształtowana w zbyt łagodne zielone pagórki, których symetria musiałaby zdumieć Matkę Naturę. W trawie wycięto ogródki z tropikalną roślinnością i medaliony obsadzone jaskrawo kwitnącymi kwiatami. Granitowe ścieżki: niektóre były ocienione łukami z różowego marmuru, inne zbieleły od słońca lub osłonięte gałęziami drzew różnych gatunków. Było tu jakieś pół tysiąca drzew, starannie zasadzonych i przystrzyżonych, o kształtach i rozmiarach równie wykalkulowanych co rozmiary i kształt piersi Cheryl. Za nami nadal było słychać ocean, ale towarzyszyła mu teraz muzyka małych wodospadów, strumyków i sadzawek. Fontanny wystrzelały prosto w niebo z „górskich” jezior, w których pływały łabędzie, kaczki i różowe flamingi. W dali słychać było odgłosy ptaków, które nie występują raczej w tej części świata, oraz coś, co mogło być krzykiem małpki.

– Wygląda na to, że ktoś ma tutaj zoo – zauważyłem.

– Mamy różne gatunki zwierząt – powiedziała Cheryl z enigmatycznym uśmiechem, idąc kilka kroków przede mną. Długie jasne włosy powiewały lekko na wietrze. Sage zasnęła w jej ramionach. Baxter trzymał mnie grzecznie za rękę. Szedł coraz wolniej i robił się coraz bardziej senny. Wziąłem go na rękę. Nie protestował.

Szedłem za Cheryl i przyglądałem się posiadłości. Żadnych budynków jak okiem sięgnąć, tylko zieleń i zagłuszające już ocean fontanny. W pewnym momencie trawnik zmieniał się w srebrzyste lustro: nieogrodzony basen wielkości małego jeziora. Żadnych ptaków. Jak je stamtąd przepędzano?

Nikt się nie kąpał. Byliśmy tylko my i mężczyzna myjący szyby. Miejsce było tak intymne jak ekskluzywny kurort i czekałem, kiedy zza któregoś krzaczka wyskoczy jegomość w uniformie i zapyta o moją kartę członkowską.

Cheryl weszła na jedną z granitowych ścieżek, minęliśmy wysoką kwitnącą pampasową trawę, żywopłoty upstrzone pomarańczowymi kwiatkami, lasek wysokich jałowców, obsypanych szarogranatowymi owocami. Drzewa zasłaniały widok na posiadłość. Dogoniłem Cheryl. Kiedy parokrotnie szturchnęła mnie biodrem, a ja nie zareagowałem, zacisnęła mocniej szczęki i znowu wysforowała się przede mną. Jałowce ustąpiły miejsca kępom tataraku i znów mogłem się skupić na oględzinach posesji.

Przed nami, na prawo, ukazały się pokryte brzoskwiniowym tynkiem mury. Niezapalone reflektory kortowe sugerowały tenis, gumowe pach-pach oznaczało spokojną, relaksującą rozgrywkę, a nie mecz finałowy na kortach Wimbledonu.

Za ostrym zakrętem dróżki zobaczyłem budynek usytuowany na wzgórzu obsadzonym palmami. Znowu brzoskwiniowe mury, dom w stylu włoskim wielkości Białego Domu, z niebieskim dachem. Droga rozwidliła się, Cheryl poprowadziła mnie obrośniętą pomarańczami ścieżką, która oddalała się domu. Kilka mniejszych budynków w podobnej kolorystyce, obsadzonych drzewami i krzewami. Potem kilkoro ludzi: kobiety w niebieskich fartuchach, zamiatające ścieżki. Tęgie ciemnowłose baby z krzywymi nogami. Norris i jego koledzy z parkingu byliby zdruzgotani.

Weszliśmy w ciemną, otoczoną bambusami alejkę, przeszliśmy nią jakieś sto pięćdziesiąt metrów, skręciliśmy gwałtownie na wschód. Na końcu drogi ukazał się jednopiętrowy dom, tylko dwa razy większy od przeciętnej, podmiejskiej zabudowy. Balustradę lodzii oplatały zwoje na wpół zwiędłych winorośli. Z tyłu więcej bambusów. Te same brzoskwiniowe ściany i lazurowy dach. Zauważyłem, że tynk został podmalowany jaśniejszym odcieniem brzoskwini i pociągnięty lakierem. Sztucznie postarzony na wzór śródziemnomorskiej willi. Efektu dopełniały rysy w rogach, które odsłaniały cegły. Wielkie, podwójne, orzechowe drzwi wyglądały na stare, ale wszystkie te próby odwzorowania egejskiej lub południowo-francuskiej architektury zostały udaremnione przez dachówki; jakiś kosmiczny kompozyt, zbyt jaskrawy, zbyt niebieski i tak przaśny, że cygański król by się nie powstydział.

– Jesteśmy – rzuciła Cheryl przez ramię. – Mój dom.

– Ładny.

Odrzuciła włosy.

– To tylko chwilowe mieszkanie. Kiedyś miałam swoje własne, ale potem... Nieważne. – Pośpieszyła do podwójnych drzwi, nacisnęła klamkę. Wyprężyła się z wysiłku, aż podskoczyła główka Sage.

– Zamknięte? – powiedziała. – Zostawiłam otwarte. Kurde, ktoś musiał je zamknąć. – Sprawdziła kieszenie w sukience. – Kurde, nie wzięłam klucza. Teraz naprawdę mi głupio.

– Hej, każdemu się zdarza.

Odwróciła się do mnie, przymrużyła swoje zielononiebieskie oczy.

– Zawsze jesteś taki miły?

– Nie – odparłem. – Mam dzisiaj dobry dzień.

– Założę się, że masz dużo dobrych dni – powiedziała takim tonem, jakby to była wada charakteru, i musnęła mój policzek małym palcem. Oblizwała wargi. Słodka buzia kalifornijskiej dziewczyny. Świeża, zdrowa, gładka. Nawet piegi rozrzucone były we właściwych miejscach. Hojnie obdarowana przez naturę, nie licząc, rzecz jasna, agresywnego biustu, który z naturą nie miał nic wspólnego.

– Dobra – powiedziała – wygląda na to, że muszę znaleźć kogoś, kto mnie wpuści. Zostawię cię z Baxterem i wezmę Sage... nie, może lepiej chodź ze mną.

– Jasne – zgodziłem się.

Roześmiała się miękko.

– Pewnie nie masz pojęcia, gdzie jesteś? Nie wiesz, do kogo to wszystko należy?

– Do kogoś, kto ma dobrego maklera giełdowego.

Zaśmiała się.

– To zabawne. – Zamknęła oczy, otworzyła je wolno. – Skąd dokładnie jesteś, Alex?

– Z Los Angeles.

– Z Valley?

– Z Zachodniej Dzielnicy.

– Aha. – Zamyśliła się. – Bo Valley to daleko stąd, ludzie stamtąd często nie wiedzą co dzieje się za wzgórzem.

– Więc to jest jakieś sławne miejsce? – Wzruszyłem ramionami. – Przepraszam.

– Cóż... – Puściła oko. – Założę się, że wiesz, tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy. Zgadnij.

– Dobra. To dom jakiejś sławnej osoby... gwiazdy filmowej. Jeśli jesteś aktorką to przepraszam, ale cię nie poznaję...

– Nie, nie – zaśmiała się. – Grałam, ale nie o to chodzi.

– Chodzi o kogoś bogatego i sławnego...

– Już ciepłej.

Owinęła mały palec wokół mojego palca i przypomniałem sobie, że tak robiła Robin, gdy trzymała mnie za rękę podczas snu.

– No, dalej – nalegała. – Zgaduj.

Nagle orzechowe drzwi się otworzyły. Cheryl odskoczyła, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

W drzwiach stanęło dwoje ludzi.

Kobieta była wysoka, chuda, nieco przygarbiona, pod czterdziestkę, z szerokimi ramionami i długimi kończynami. Kwadratowa szczęka, czarne oczy, mahoniowe włosy związane w kucyk, za dużo zmarszczek na czole jak na jej wiek. Pomimo pomarszczonego czoła, pozostałości po trądziku młodzieńczym na brodzie i policzkach oraz wąskich ust była atrakcyjna. W typie kobiet nie do

zdobycia. Niektórzy mężczyźni zwariowaliby na jej punkcie.

Miała na sobie dobrze skrojony bordowy garnitur z klapami i mankietami z czarnego aksamitu. Wszelkie okrągłości zostały maskowane przez luźne ubranie, ale jej sylwetka była mimo wszystko bardzo kobieca. Żadnej biżuterii, tylko gruba warstwa pudru mającego maskować niedoskonałości cery. Rozpoznałem ją bez trudu: Anita Duke. Córka Marca Anthony'ego i jego następczyni jako prezes Duke Enterprises.

Młodsza siostra Bena Duggera. Staralem się dopatrzeć podobieństwa między nimi, dostrzegłem niuanse; to samo smutne spojrzenie świadczyło o tej samej puli chromosomów.

Mężczyzna był parę lat od niej młodszy – trzydzieści dwa albo trzy – trzy centymetry niższy. Miał na sobie beżowy lniane spodnie, różową jedwabną koszulkę z krótkimi rękawkami, na bosych stopach beżowe sandały. Na lewym nadgarstku błyszczał platynowy zegarek z tarczą wielkości talerza. Grube nadgarstki miał porośnięte kręconymi rudymi włoskami i pokaleczoną od golenia szyję. Długie, grube, falujące włosy koloru brudnego mosiądzu spływały na wysokie wypukłe czoło, za uszami i na kołnierzu. Spuchnięte dolne powieki piwnych oczu nadawały mu zaspany wyraz twarzy. Miał mały prosty nos, pozbawione górnej wargi usta. Ale dolna była gruba i wilgotna, i kiedy uśmiechnął się do Cheryl, ukazały się śnieżnobiałe proste zęby. Mocno zbudowany, początki brzuszka. Jeśli o siebie zadba, będzie przystojny jeszcze przez dziesięć, dwadzieścia lat. Jeśli nie, zamieni się w falstaffową karykaturę.

– Cheryl – odezwała się miękko Anita Duke.

Patrzyła na mnie.

– Co tu robicie? – zapytała Cheryl. – To wy zamknęliście drzwi? Zostawiłam je otwarte.

– Nie wiedzieliśmy, gdzie się podziewasz, więc je zamknęliśmy. Kim jest twój towarzysz?

– To Alex. On... byłam na plaży i... pomógł mi.

– Pomógł ci? – Anita obejrzała mnie od stóp do głów. Zlustrowała mnie w ten sam sposób co Cheryl na plaży, ale raczej podejrzliwie i bezosobowo, bez odrobiny flirtu. Wyćwiczone oko, przyzwyczajone do oceniania ciał.

Długowłosy mężczyzna przyglądał się mokrej sukience Cheryl. Jedną ręką zaczął gładzić połe marynarki.

– Miałam małe... kłopoty – odparła Cheryl.

– Kłopoty? – dopytywała się Anita.

– Nic wielkiego – powiedziała Cheryl. – Więc... co tu robicie?

– Wpadliśmy do ciebie – odparł mężczyzna. Miał wysoki nosowy głos. Nie patrząc na mnie, zapytał: – Nurkowaliście?

Cheryl odpowiedziała za mnie:

– Pan pływał kajakiem, Kent. Baxter wszedł za daleko do wody i pan mi pomógł. Więc pomyślałam, że byłoby miło...

– Czy chcesz powiedzieć, że Baxter mógł się utopić? – wtrąciła się Anita.

– Nie, nie. To nie było nic tak poważnego. Po prostu wszedł do wody... i fale zrobiły się trochę... Sama bym sobie z tym poradziła, ale Alex właśnie przepływał i był na tyle miły, że wskoczył do wody, to wszystko.

– Alex – powiedział mężczyzna o imieniu Kent. – To brzmi bardzo interesująco...

Anita Duke rzuciła mu ostre spojrzenie, zamknął się.

– To naprawdę nie było nic takiego – tłumaczyła Cheryl. – Wiecie, jak świetnie Baxter pływa. Tylko że musiałam też pilnować Sage i kiedy... Alex pomógł mi i chciałam mu podziękować, więc zaprosiłam go na górę, żeby mu coś dać.

– Napiwek – powiedział Kent.

– No cóż, to bardzo uprzejme z twojej strony – powiedziała Anita. Do Kenta: – Może okażesz odrobinę wdzięczności, złotko, a potem możesz pana odprowadzić.

Mówiła miękkim głosem, ale z lekko władczą nutą. Nie ma rzeczy bardziej zniechęcającej przez mężczyzn niż słuchanie rozkazów kobiety w obecności innego mężczyzny. Długowłose Kent uśmiechnął się i zanurzył dłoń w kieszeni spodni, ale przymrużył ze złości oczy i zacisnął usta. Swoją złość wyładowywał na mnie.

Wyciągnął portfel z krokodylej skóry, wyjął dwudziestkę i pomachał mi banknotem przed oczami.

– Proszę, przyjacielu.

– Trochę więcej, Kent – zaordynowała Anita. – Za taką przysługę...

Kent wykrzywił usta, oczy zginęły w fałdach skóry.

– Ile?

– Sam zdecyduj.

– Jasne – powiedział Kent, siląc się na uśmiech. Dołączył drugą dwudziestkę.

– Dałabym jeszcze jedną – zawyrokowała Anita.

Uśmiech zastygł mu na twarzy. Dołożył kolejną dwudziestkę i agresywnym ruchem ręki podał mi banknoty.

– Moja żona należy do hojnych.

– Nie, dziękuję – powiedziałem. – Nie trzeba żadnych napiwków.

– Proszę je wziąć – odezwała się Anita. – Przynajmniej tyle możemy zrobić.

– Jak mówiła Cheryl, to nic takiego.

– Tak czy siak, muszę zabrać dzieci do domu – powiedziała Cheryl.

– Pomogę ci – zaofiarowała się Anita. – Daj mi Baxtera, zawsze masz z nim kłopoty. – Podeszła do mnie, wzięła chłopca, przybliżyła do mnie twarz. – Zaokrąglimy do stu dolarów i potem będziesz mógł sobie iść, Alex.

– Nie – odparłem. – I tak sobie pójdę.

– Och, mój Boże – powiedziała Anita i trzymając mocno Baxtera, weszła do domu.

Cheryl rzuciła mi bezbronne, przeproszające spojrzenie i poszła za Anita.

Kent powiedział:

– Pozwolisz, że coś ci poradzę: kiedy ktoś coś oferuje, należy to przyjąć. Z czystej uprzejmości. – Pomachał trzema dwudziestkami.

– Niech pan to przeznaczy dla biednych – powiedziałem.

Uśmiechnął się.

– Myślałem, że to właśnie robię. Dobra, jesteś uparty. Odprowadzę cię do twojego kanoe.

Położył mi rękę na ramieniu. Ścisnął je trochę zbyt mocno, a kiedy próbowałem się bronić, przycisnął jeszcze mocniej. Uwolniłem się od jego uścisku, podniósł obronnie ręce. Instynkt boksera. Ale wciąż się uśmiechał.

Skreśliłem i ruszyłem ścieżką. Dogonił mnie ze śmiechem. Na jego różowej koszulce widać było krople potu. Używał mocnej wody kolońskiej; pomarańczowa brandy, anyżek i inne zapachy, których nie zdołałem rozpoznać.

– Co dokładnie stało się z Cheryl i Baxterem?

– Cheryl już wszystko opowiedziała.

– Dzieciak nie tonął? Próbowaleś zgrywać bohatera?

– Wtedy wydawało mi się to potrzebne.

– Pytam, bo Cheryl jest czasami nierozważna – wytłumaczył. – Nie żeby świadomie, ale raczej...

czasami niedostatecznie uważa. – Pauza. – Pomachała do ciebie czy to ty wykazałeś inicjatywę?

– Zobaczyłem chłopca w wodzie, nie mogłem ocenić, czy jest dobrym pływakiem, i wskoczyłem za nim do wody. To wszystko, – O kurczę – powiedział, chichocząc – niewłaściwie cię potraktowałem. Przepraszam, po prostu chciałem wiedzieć. Jestem ich wujkiem i często odpowiedzialność spada na moją żonę i mnie.

Nie odpowiedziałem.

– Mówimy tu o dobru dzieci, przyjacielu – oświadczył.

– To była moja inicjatywa. Być może, przesadziłem.

– Okej – powiedział. – Nareszcie dostałem prostą odpowiedź. – Uśmiech. – Napociłem się z tobą, brachu. – Otarł czoło.

Resztę drogi do ogrodzenia przeszliśmy w ciszy. Kiedy dotarliśmy na miejsce, oparł się o furtkę.

– Słuchaj, zrobiłeś dobry uczynek, a ja chciałbym cię jakoś wynagrodzić. Co powiesz na dwie stowy w gotówce. Umowa stoi? Byłbym też wdzięczny, gdybyś zatrzymał tę całą historię dla siebie. Mieszkasz w okolicy?

– Komu niby miałbym opowiadać?

– No, komukolwiek.

– Jasne – powiedziałem. – I tak nie ma o czym.

Spojrzał na mnie uważnie.

– Nie wiesz, kim ona jest?

Pokręciłem głową.

Zaśmiał się, wyciągnął portfel.

Znowu pokręciłem głową.

– Nie ma o czym mówić.

– Poważnie? – zapytał. – Kim, do cholery, jesteś? Jakimś samarytaninem, czy co? Okej, słuchaj, jeśli jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić... jakbyś potrzebował pracy... pracujesz może w budownictwie? Ciągle coś buduję. Przypłynąłeś z Paradise Cove?

Potaknąłem.

– Z restauracji – powiedział. – To jedna z moich. Remontujemy ją, więc jeśli potrzebujesz takiego

zamówienia... – Wyciągnął białą wizytówkę.

KENT D. IRVING

Wiceprezes i Dyrektor Inwestycyjny

Duke Enterprises

– Duke – zauważyłem. – Ale nie ten od pisma?

– Jasne, że ten od pisma, brachu. Między innymi.

Uśmiechnąłem się.

– Hej, to co powiesz na darmową prenumeratę?

– No, to jest nawet dobry pomysł. – Klepnął mnie w plecy, odchylił głowę i spojrzał w słońce. Zbliżył się do mnie. – Zadzwoń do mojego biura, przyślemy ci egzemplarze z ostatnich paru lat.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie chciał pan, żebym o tym rozpowiadał – zauważyłem.

– Mogę na ciebie liczyć? – Kolejne siarczyste klepięcie. – O to mi właśnie chodzi. Liczę, że wykażesz się klasą. Brak klasy mógłby unieszczęśliwić wielu ludzi, a nie wyglądasz mi na faceta, który lubi rozsiewać nieszczęście.

– Broń Boże.

– Bóg nie zawsze tego zabrania – powiedział. – Czasem sami musimy o siebie zadbać.

Otworzył furtkę, zaczekał, aż wejść do wagonika, potem wyciągnął z kieszeni pilota. Wielki uśmiech, ruch palcem i już zjeżdżałem na plażę.

Pomachał mi na do widzenia. Też mu pomachałem, ale wpatrywałem się w widok za jego plecami, gdzie dwadzieścia metrów dalej, przy jednym ze stawów, stał mężczyzna w białym stroju do tenisa i rzucał coś flamingom.

Duży tors, wielkie masywne bary, czarne, ostrzyżone na jeża włosy.

Czarny Garnitur w tenisowej bieli. Karmił ptaszki. Drapał się w głowę. Przypatrywał się jedzącym zwierzętom.

Kent Irving nie spuszczał ze mnie wzroku, dopóki nie zniknąłem za urwiskiem.

Gdy wróciłem na połamane molo, Norris siedział na piasku w pozycji kwiatu lotosu i palił skręta. Kiedy wyciągnąłem kajak na brzeg, podniósł się wolno i spojrzał na goły nadgarstek.

– Hej, w samą porę. Widziałeś jakąś dziką zwierzynę? – Zaproponował mi jointa.

– Nie, dzięki. Tylko ptaszydła.

– No cóż – powiedział, zaciągając się głęboko. – Słuchaj, jak tylko będziesz chciał se popływać, daj mi znać. Przynoś mi gotówkę, a ja będę ci udzielał rabatu.

– Będę o tym pamiętał.

– No to klawo.

Zachwiał się, usiadł, wciągnął łapczywie dym i spojrzał na ciemniejący ocean.

Wyjechałem z zatoki na autostradę, skręciłem w prawo i zaparkowałem na skraju szosy, sto metrów od bramy Tony’ego Duke’a. Jeszcze godzinka śledztwa nie zaszkodzi.

Włączyłem magnetofon, rozparłem się na siedzeniu. Stare nagranie Oscara Alemana, grającego na błyszczącej, srebrnej gitarze National w jakimś nocnym klubie w Buenos Aires w latach trzydziestych. Aleman i jego zespół grał przeróbkę *Besa me mucho*, która wprowadziłaby w dumę Spike’a Jonesa.

Siedem kawałków później miedziana brama rozsunęła się i pojawiła się w niej ciężarówka ogrodnika, skręciła w lewo i śmignęła koło mnie. Potem nic, aż do końca albumu. Wetknąłem następną kasetę – L. A. Guitar Quartet – wysłuchałem całej pierwszej strony i właśnie miałem się zbierać, kiedy brama znowu się otworzyła i wyjechał z niej czarny SUV expedition, który skierował się na południe.

Srebrzystoszary pas u dołu drzwiczek, duże opony, chromowane felgi, zaciemnione szyby. Według opisu Norrisa, samochód Cheryl, ale nie wiadomo, czy właśnie ona siedziała teraz za kierownicą. Pojechałem za samochodem, utrzymując bezpieczną odległość. Światła hamowania expeditiona nigdy się nie zapalały, nawet na ostrych zakrętach, kierowca nie przestrzegał też ograniczeń prędkości.

Była pani Duke jak zwykle w pośpiechu? Nie okazywała zniecierpliwienia ani na plaży, ani w ogrodzie. Dlaczego rok po rozwodzie nadal mieszkała w rezydencji Duke’a? Może nie z własnej i nieprzymuszonej woli? Pojawienie się Anity Duke i Kenta Irvinga wyprowadziło ją z równowagi. Bez zapowiedzi wprosilili się do domku gościnnego. Anita rządziła się jak u siebie. Cheryl szybko przed nią skapitulowała.

Była na rozkazy rodziny Duke’ów? Może chodziło o coś związanego z opieką nad dziećmi? Kent

Irving robił aluzje, że nie była dobrą matką, a niebezpieczeństwo utonięcia Baxtera mogłoby je potwierdzić. Być może klan Duke'ów naciskał, żeby zrzekła się dzieci, i wynegocjował, aby mieszkała nadal w pobliżu byłego męża.

Czy dzieci były z nią w samochodzie? Czarne szyby wozu uniemożliwiały odpowiedź na to pytanie.

Przejechałem za expedition obok Uniwersytetu Pepperdine, skręciłem w Cross Creek, minąłem fast-foody i inne sklepy przed centrum handlowym i wjechałem w Malibu Country Mart, który składał się z rzędu niskich, drewnianych sklepów ustawionych wokół parkingu w kształcie litery U. Za nimi ładny widok wzgórz Malibu i domków w oddali.

O tej porze dnia nie było tam zbyt wielu samochodów, czekałem aż expedition zaparkował w pobliżu perfumerii Dream Babies i butiku ze świecami. Sam zaparkowałem tak daleko, jak tylko się dało. Koło kosza na śmieci. Znowu.

Cheryl Duke wygramoliła się ze swojego SUV, zatrzasnęła drzwi i skierowała się do sklepu ze świecami. Sama, bez dzieci. Przebrała się w luźną bluzkę z czerwonego jedwabiu, która odsłaniała jej płaski biały brzuch, oraz w obcisłe białe dzinsy i białe sandały na szpilkach. Włosy miała podpięte luźno spinkami, a na nosie duże okulary przeciwsłoneczne w białych oprawkach, które zasłaniały górną połowę jej twarzy. Nawet z daleka dolna połowa wydawała się ponura.

Otworzyła szklane drzwi Dream Babies i wkroczyła do środka, a ja spacerowałem i oglądałem sklepy. Więcej „boutique'ów” niż „butików”, ubrania sportowe, bikini, olejki wygładzające skórę i pieszczące ego, pamiątki, parę kawiarenek.

Jadłodajnia najdalej od sklepu ze świeczkami reklamowała kawę i kanapki. Na zewnątrz stały dwa stoliki. Udałem się tam, nadkładając drogi, żeby nie zostać zauważonym, kupiłem bajgla oraz kubek palonej kenijskiej kawy od chorowicie wyglądającego dzieciaka z niebieską bródką i tatuażem Marynarza Popeye'a na szyi. Ktoś zostawił na ladzie zwinięty egzemplarz „Timesa”, który zagarnąłem i wziąłem ze sobą na zewnątrz. Oba stoliki były brudne, wytarłem jeden z nich, usiadłem i zająłem się krzyżówką, od czasu do czasu spoglądając spode łba w kierunku perfumerii.

Dziesięć minut później Cheryl Duke wyszła, niosąc parę reklamówek. Skręciła natychmiast do Bikini Brynny, spędziła tam kolejny kwadrans, a ja bez wysiłku rozwiązywałem krzyżówkę, aż napotkałem hasło „stare skrzypki” na pięć liter. Wyszła, niosąc jeszcze jedną torbę, zniknęła w Tkaninach Boliwijskich na następne trzynaście minut, a kiedy stamtąd wyszła, trzymając w ręku o trzy torby więcej, nie wyglądała wcale na szczęśliwszą.

Zmierzała w moją stronę.

Pochyliłem głowę, wypełniłem kilka kolejnych kratek, wymyśliłem, że te skrzypki to „gęśle”, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy. Właśnie kiedy głowiłem się nad hasłem „kompozycja Catullusa”, usłyszałem jej głos:

– Alex?

Spojrzałem w górę i z udawanym zdziwieniem zobaczyłem swoje bliźniacze odbicia w szklach jej okularów. Uśmiechnięte. Zdziwione. Zupełnie niewinne.

– Hej – powiedziałem. – Szałas indiański na cztery litery? Kończy się na...

Zaśmiała się.

– Nie wiem, nie umiem robić takich rzeczy. To dziwne, że znów cię widzę. Często tu przychodzisz?

– Jak tylko jestem w Malibu. A ty?

– Czasami.

– Pewnie mijaliśmy się tutaj, nic o sobie nie wiedząc.

– Pewnie tak.

– Jakieś wielkie zakupy?

Postawiła torby na ziemi.

– Nie, tylko... Tylko tak, żeby czymś się zająć. Może to karma czy jak tam. Że cię znowu widzę. Albo jak się o kimś myśli, a ta osoba rzeczywiście się pojawia, rozumiesz?

Uśmiechnąłem się. Szklka okularów mówiły, że dobrze mi poszło.

– Karma brzmi całkiem nieźle. Ró propoz, zjesz coś?

– Nie, dziękuję. – Szklka okularów poruszały się to w prawo, to w lewo. Przyglądała się parkingowi. Jej nieosłonięte ramiona były gładkie, lekko obsypane piegami. Nie miała stanika. Znowu te sutki. – Ale chętnie napiję się kawy.

– Pozwól, że ci postawię. – Wstałem i wręczyłem jej krzyżówkę. – W międzyczasie może coś wymyślisz. Z cukrem i śmietanką?

– Trochę śmietanki i słodzik.

Kiedy już miałem odejść, chwyciła mnie za ramię. Pochyliła się do przodu, spojrzałem na pełne białe piersi w dekolcie.

Narysowała palcem małe kółeczko na moim łokciu, – I bez kofeiny – dodała.

Kiedy wróciłem, pochylała się nad gazetą, ścisnęła mocno długopis. Włosy miała rozpuszczone. Wyglądały na świeżo przeczesane.

– Chyba udało mi się kilka rozwiązać – oznajmiła. – Rys to „dziki kot”, prawda? A „aktor Bruce” to Willis. Ale ten szafas indiański... nie mam pojęcia. Może „hopi”, to coś indiańskiego prawda?

– Hm – powiedziałem, podając jej kawę – Raczej nie. Pionowo mamy już „okapi”, więc drugą literą musi być „i”.

– Och, rzeczywiście... przepraszam.

Usiadłem, uniosłem swój kubeczek. Zrobiła to samo.

– Mmm, dobra – powiedziała. – Ludzie, którzy rozwiązują krzyżówki, muszą być bardzo mądrzy. Mnie nigdy właściwie nie obchodziła szkoła. Wychowywałam się raczej na ulicy.

– Gdzie?

– W Phoenix w Arizonie.

– Musiało być gorąco.

– Jak w piecu. I było do chrzanu. Wyjechałam stamtąd, kiedy miałam siedemnaście lat. Nie skończyłam nawet liceum. Skłamałam, że jestem starsza, i dostałam pracę w Las Vegas, w *Magicznych kółkach*.

– Rewia na wrotkach? – zgałęm.

– Tak, widziałeś ją? Kiedyś byłam świetną wrotkarką. Jeździłam na wrotkach, jeszcze zanim nauczyłam się chodzić.

– *Magiczne kotka* – powiedziałem. – To chyba długo szło, prawda?

– No, całe lata. Ale ja byłam tam tylko sześć miesięcy. Zwichnęłam nogę w kostce, wszystko dobrze się wyleczyło, ale nie na tyle, żebym mogła jeździć wyczynowo. Potem dostałam rolę w *Follies du Monde*.

Spojrzała na mnie wesoło znad okularów. Rozmowa o własnej przeszłości rozluźniła ją. Rozsiadłem się wygodnie, założyłem nogę na nogę, patrzyłem na trzy pierścionki z brylantami na prawej dłoni i trzykaratowy rubin na lewej.

– Byłaś tancerką?

– Nic specjalnego, takie tam skakanie i wymachiwanie nogami – odparła. – Pierwszą rzeczą którą zrobili producenci, było zmienienie mi nazwiska. Powiedzieli, że będę na plakatach i potrzebuję nowego imienia.

– Co jest nie tak z Cheryl?

– Cheryl Soames – powiedziała. – Nie brzmi zbyt francusko.

– Więc co ci wymyślili?

– Sylvana Spring. – Spojrzała na mnie wyczekująco. – Wymyśliłam to z naszym choreografem.

– Sylvana. Ładnie.

– Też tak myślę. Bo to znaczy las, więc to takie jakby zaproszenie na spacer po lesie. A nazwisko dlatego, że jaka jest najlepsza pora do spacerowania po lesie? Wiosna. To było bardzo świeże i poetyckie. Nieważne. Przetąńczyłam tam z rok, nigdy nie byłam na plakatach, ale pseudo zatrzymałam.

– Kolejna kontuzja?

– Nie – zmarszczyła brwi. – Raczej polityka. Kto i co dla kogoś robi.

– To jak znalazłaś się w Malibu?

– To dopiero długa historia. – Zastukała palcami w gazetę, odwróciła wzrok. – Czy mogę urwać sobie kawałek twojego bajgla? Przez cały dzień nic nie jadłam. Jestem trochę głodna.

– Weź cały.

– Nie, nie, tylko kawałek.

– Nie mów mi, że jesteś na diecie.

– Nie – powiedziała – ale uważam, co jem. No wiesz, tego, co się ma, nie ma się na zawsze.

Oderwała kawałek, przeżuła, połknęła, oderwała większy, w końcu zjadła pozostałą połowę bajgla.

– Dzieci leżakują? – zapytałam.

– Tak. Nareszcie! Strasznie trzeba się napracować, żeby zmęczyć je na tyle, żeby poszły spać. Dlatego zabrałam je na plażę. Ale to był dzień! Więc pomyślałam, że pozajmuję się trochę sobą.

– Słusznie – zauważyłem. – Chcę być z tobą szczerzy, Cheryl. Twój brat powiedział mi, do kogo należy ta rezydencja.

– Mój brat?

– Kent Irving. Powiedział, że jest wujkiem Baxtera i Sage, więc to czyni z niego chyba twojego brata, prawda? Dał mi swoją wizytówkę z napisem *Duke Enteiprises*. Nie wiedziałem, że gościłem u kogoś tak sławnego.

Zmarszczyła brwi.

– On tak naprawdę nie jest ich wujkiem. Mówi tak tylko, żeby nie musieć wszystkiego tłumaczyć.

– To znaczy?

– Jego żona Anita jest tak naprawdę siostrą Baxtera i Sage. Przyrodnią. A nie ciotką. To znaczy, że jest moją pasierbicą, więc Kent jest chyba moim zięciem. – Zachichotała. – Dziwne, nie?

– No, trochę skomplikowane.

– Anita jest ode mnie dużo starsza, a ja jestem jej macochą. Nie śmieję się! Jak zacznę się śmiać, kawa wleje mi się do nosa. – Zsunęła okulary i popatrzyła na mnie niewinnie. – No, bardzo skomplikowane. Czasami mnie samej trudno w to wszystko uwierzyć.

– Hej, bez przesady – zauważyłem. – Wiele jest takich rodzin.

– Chyba tak.

– Więc Kent jest twoim zięciem – podjąłem. – I pracuje dla... twojego męża, tak? Jesteś żoną sławnego Tony'ego Duke'a.

– Już nie. – Zajrzała do jednej ze swoich toreb. Wyciągnęła czerwone bikini i rozłożyła je. – Co o tym sądzisz?

– W tej postaci niewiele widać, ale ładne.

– Och, wy mężczyźni – powiedziała. – Nie potraficie sobie wyobrazić.

– Dobra – mruknąłem, zamykając oczy – wyobrażam sobie. Niewiele widać, ale wygląda szalowo.

Zaśmiała się i schowała kostium do torby.

– Faceci myślą, że nagość jest najlepsza, ale uwierz mi, że dobrze ubrana kobieta jest znacznie bardziej seksowna. – Sięgnęła po kubeczek z kawą, przy okazji musnęła moją dłoń.

– Więc jesteś byłą panią Duke.

Uderzyła mnie lekko w nadgarstek.

– Nie mów w ten sposób. Nienawidzę tego.

– Bycia byłą?

– Bycia jakąś tam panią. Mam dwadzieścia pięć lat. Po prostu myśl o mnie jako o Cheryl, dobrze? Albo Sylvanie. „Pani” mówi się o starych babach. – Oddychała głęboko, jej piersi ledwo się poruszały.

– W takim razie: Cheryl. – Dokończyłem kawę, poszedłem po następny kubeczek i przy okazji

kupiłem drugiego bajgla. – Proszę, podwieczorek.

– Nie ma mowy – powiedziała, zasłaniając się ręką. – Jeszcze kilka gryzów tego czegoś i spuchnę tak, że będziesz mnie musiał poturlać do domu.

– Ale po kolejnym łyku kawy zaczęła odrywać kawałeczki obwarzanka, w chwilę później przeżuwała już ćwierć bajgla.

– Posłuchaj – powiedziała – nie powinnam o tym rozmawiać... o Anicie, Kencie, Tonym. Jesteśmy rok po rozwodzie, jeśli chcesz wiedzieć. Ale co tam, nikt mi nie będzie mówić, co mam robić, racja?

– Racja.

– Chodzi o to, że Tony nadal jest mi bliski. Jest naprawdę cudownym człowiekiem, wcale nie takim, jak myślisz.

– A jak myślę?

– No wiesz, seks i te sprawy. Że to jakiś stary playboy, czy coś takiego. Naprawdę go kochałam... Kocham nadal, ale inaczej. On... – Potrząsnęła głową. – Naprawdę nie powinnam o tym mówić.

– Nie chcę być wścibski.

– Wcale nie jesteś, to ja gadam jak najęta. Chodzi o to, że to wszystko to moje życie, nie? Dlaczego mam ciągle słuchać innych?

– Kogo masz słuchać? Anity i Kenta?

Podniosła krzyżówkę, popatrzyła na nią i zamrugła.

– Te literki są za małe. Chyba powinnam pójść do okulisty i zmienić szkła kontaktowe... Wiesz co? Myślę, że ten szafas to może być „tipi”. Druga litera „i”, tak jak mówiłeś. Zobacz, co o tym sądzisz?

Przybliżyła się do mnie, biust na blacie stołu, przysunęła do mnie gazetę.

– Wiesz – powiedziałem. – Chyba masz rację, świetnie.

Kiedy wpisywałem odpowiedź, szeroki uśmiech rozświetlił jej twarz. Przez moment wyglądała bardzo młodo.

– Musisz być bardzo mądry, bo rozwiązujesz te krzyżówki. Może też powinnam zacząć to robić – powiedziała. – Żeby trochę rozruszać szare komórki, często się nudzę, nie mam zbyt wiele do roboty.

– Na terenie posiadłości?

– Tak, wiem, wiem, każdy myśli, bo to raj, dlaczego w ogóle zrzędzę? Ale uwierz mi, to straszna nuda. Jest tenis, ale nie lubię tenisa, bo słońce świeci mi w oczy, a ile basenów można przepłynąć,

jak długo możesz jeździć tym wagonikiem w dół i w górę, w dół i w górę, i gapić się na ocean? Nawet zoo Tony'ego... mamy takie rzadkie kozice, małpki i inne zwierzęta, ale wszystkie śmierdzą i hałasują. A poza tym nie przepadam za zwierzętami. Nawet dzieciaki się już tym wszystkim znudziły. Kiedy nie śpią i biegają jestem bardzo zajęta, ale kiedy śpią jak teraz... Chcę je posłać do przedszkola, ale na razie mi się to nie udało.

– Dlaczego?

– Za dużo do opowiadania – odparła. – Trzeba znaleźć odpowiednie miejsce, zorganizować transport. Załatwić odpowiednią ochronę.

– Ochronę? – zapytałem. – To znaczy ochroniarzy?

– Przynajmniej takie miejsce, w którym byłyby bezpieczne. W Malibu mieszka wiele znanych osób i posyłają swoje dzieci do przedszkola, ale my chcemy być bardziej ostrożni.

– Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Mogę na nie nie odpowiedzieć?

– Dobra – powiedziałem. – Skoro od roku jesteś rozwiedziona, dlaczego nadal tam mieszkasz?

– To kolejna długa opowieść. – Położyła swoją dłoń na mojej. – Nadal chcę ci podziękować. Że tam byłeś, rozumiesz? Bo Baxter umie pływać, ale mógł mieć kłopoty. Nie chciałam robić wokół tego szumu przed Anitą więc muszę ci jeszcze podziękować, że nic nie powiedziałeś.

– Drobnostka.

– Jak zarabiasz na życie? – zapytała.

– Robię to i owo. Inwestuję.

– Uuu – powiedziała. – Jesteś bogaty. Ale założę się, że nie tak jak Tony.

– Nie zamierzam się o to spierać.

Jej dłoń powędrowała wzdłuż mojego ramienia, połaskotała moją klatkę piersiową, dotknęła moich ust, wycofała się.

– Więc dlaczego nadal tam mieszkam – podjęła. – Cóż... po rozwodzie miałam własny dom. Na wzgórzach Los Feliz, naprawdę fajne miejsce. Tony mi je kupił, bo było tam bardzo bezpiecznie; brama, ochrona i tak dalej. Tony chciał dla mnie jak najlepiej.

– Wygląda na to, że to był przyjazny rozwód.

– Był taki kochany... W każdym razie zamieszkałam z dziećmi w tym dużym starym domu w Los Feliz. Ogromny teren, wszystkie wygody, wielka łazienka z cudnym widokiem na wzgórze, I blisko

Hollywood, więc któregoś dnia zabrałam dzieci do Egipskiego Teatru na *Żywot robaka*. Świetne przedstawienie i w dodatku mieli tam różne rzeczy o owadach, gry komputerowe, programy edukacyjne, zabawki. Baxter i Sage świetnie się bawili. Potem poszliśmy na kolację i lody, zrobiło się późno i kiedy wróciliśmy do domu, Sage już spała, a Baxter słał się na nogach. W każdym razie przekręcam klucz, wchodzimy do domu, a Bingles, to nasza suczka, pudelek, zamiast nas przywitać szczekaniem, leży na podłodze w przedpokoju z wywalonym ozorem i zamglonymi oczami. I w ogóle się nie rusza.

– O kurczę – powiedziałem.

– Jezu, ale się przestraszyłam. Gdyby nie dzieci, chyba bym krzyczała. Baxter podbiega do Bingles, żeby ją pogłaskać, ale ja od razu wiedziałam, że pies nie żyje, więc krzyczę, żeby jej nie dotykał. Sage się budzi, zaczyna płakać, a ja zaczynam czuć ten zapach. Gaz. Wyprowadziłam dzieci z domu tak szybko, jak mogłam, zadzwoniłam do Anity. Przysłała po nas samochód, przyjechaliśmy tutaj, zadzwoniliśmy na pogotowie gazowe. Okazało się, że to był jakiś ogromny wyciek gazu. Dom był stary, rury w nie najlepszym stanie i coś się tam zablokowało tak, że cały dom wypełnił się gazem, bo było zimno i wszystkie okna były zamknięte. Powiedzieli, że mieliśmy szczęście, że nie było nas w domu, bo umarlibyśmy we śnie. Albo jakbym zapaliła zapałkę, wszystko wyleciałoby w powietrze. Naprawili to, ale już tam nie wróciliśmy. W końcu dostanę inny dom, ale bliżej Tony'ego, bo... to ich tata.

– Straszne – powiedziałem.

– Niewiele brakowało. Tak jak dzisiaj. – Potarła mój kciuk dwoma palcami, kamienie zamigotały.
– Jakiś anioł musi nade mną czuwać, czy coś.

Skończyła bajgla.

– Tak czy siak, w ten właśnie sposób przestałam być dziewczyną z Hollywood i stałam się znowu dziewczyną z Malibu.

– Ale nie opowiedziałaś mi, jak w ogóle stałaś się dziewczyną z Malibu.

– Och, rzeczywiście – powiedziała, ocierając usta z okruchów. – Kiedy nie chcieli mi dać głównej roli, znudziło mi się i postanowiłam spróbować szczęścia w Los Angeles. Uznałam, że mogę spróbować zostać modelką albo aktorką, albo kimś takim. Miałam trochę oszczędności, wynajęłam porządne mieszkanie w Marina, zaczęłam łączyć po agencjach. Ale nie chcieli dziewczyn z pełnymi figurami, a ja nie chciałam robić nic obsłizgłego, rozumiesz?

Kiwnąłem głową.

– Żadnej golizny czy pornosów. Znaczą się, ciało jest piękne, ale trzeba przestrzegać pewnych norm... W każdym razie, wynajęłam paru agentów od reklam, ale byli do dupy. Zaczęłam myśleć o podjęciu jakiejś nudnej roboty. Ale któregoś dnia zobaczyłam w gazecie reklamę, że dają dobre pieniądze za udział w jakimś eksperymencie psychologicznym. I powiedziałam sobie: dziewczyno, jeżeli na czymś się znasz, to właśnie na psychologii. Bo kiedy tańczyłam, to była wszystko

psychologia. Trzeba było wiedzieć, na których facetów z widowni spojrzeć, udawać, że się znamy. To stwarzało nastrój, robiło się realistycznie, rozumiesz. A to się publiczności podoba. A jak publiczność jest zadowolona, wszyscy są zadowoleni.

– Trzeba było nawiązać kontakt z publicznością?

– Właśnie. – Znowu pogładziła mój kciuk. – Więc uznałam, że co mi tam, może być zabawnie robić takie psychologiczne eksperymenty. Więc poszłam tam i okazało się, że człowiek, który prowadził te badania, był uroczy i miły, a wymagał tylko, żebym siedziała w takim pokoju z kilkoma facetami, po prostu była sobą i patrzyła, jak oni się zachowują.

– I to wszystko?

– On, ten psycholog, mierzył reakcje na bodźce, czy jakoś tak. Pracował dla reklamy, zresztą nie wiem. Chyba uznał, że jestem niezłym bodźcem.

Kolejnym plusem było to, że badania odbywały się w Newport Beach, więc w czasie lunchu mogłam siedzieć na plaży. Zawsze kochałam ocean; w Phoenix nie mieliśmy czegoś takiego.

– Tylko tam siedziałaś i płacili ci za to?

– Tak – powiedziała. – Tak jakbym była modelką. Tylko to było lepsze, bo nie było fotografa, który każe się ustawiać w dziwnych pozach. A Ben, ten psycholog, był naprawdę słodki, nigdy nie próbował mnie poderwać. To była dla mnie, nie powiem, nowość, rozumiesz? – Ścisnęła mój kciuk.

– Pewnie, że rozumiem – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Z początku myślałam, że czeka na odpowiedni moment, ale potem zauważyłam, że po prostu go to nie interesuje, więc zaczęłam myśleć, że jest gejem. Wiesz, to w porządku, lubię gejów. Rozumiesz, nie byłam zawiedziona ani nic takiego. Nie jestem taka.

Nagle jej głos zrobił się twardszy, jakbym ją o coś oskarżał. Wbiła paznokiec w mój kciuk, podniosłem go delikatnie.

– Mężczyźni podrywają cię nawet wtedy, kiedy ich nie zachęcasz?

– Dokładnie. Umiesz słuchać. Naprawdę.

– Jak mam dobry dzień.

– On też taki jest. Ben. Umie słuchać. Tak czy inaczej, robiłam ten eksperyment z jakiś miesiąc i w końcu zaprosił mnie na obiad. Ale nie na randkę, to było raczej jak spotkanie ojca z córką. Był przyjazny, chciał wiedzieć, jak mi się podoba praca. Zabrał mnie do Ivy. Był dżentelmenem, chciał mnie poznać jako osobę, bardzo dobrze mi się z nim rozmawiało, chociaż nie iskrzyło między nami, rozumiesz. A potem, to będzie najdziwniejsze, wychodzimy z restauracji do samochodu, czekamy aż

parkingowy go podstawi, a tu podjeżdża wielka limuzyna. Bentley azure. I wysiada ten inny facet, starszy, naprawdę dobrze ubrany, doskonale ostrzyżony, ale ja głównie patrzę na samochód, bo rzadko się takie widuje; szofer, chromowane felgi, wspaniałe lakier. Ale Ben patrzy prosto na tego faceta. Zna go. A ten drugi – jego. Zaczynają się ścisnąć, obcałowywać. No to myślę, miałam rację, gej jak nic. A Ben mówi: „Cheryl, to jest mój ojciec, Tony”, a ten drugi się kłania, całuje mnie w rękę i mówi: „Bardzo mi miło, Cheryl. Jestem Marc Anthony Duke”. Zamurowało mnie. Bo oczywiście słyszałam to nazwisko i skojarzyłam twarz, ale nie spodziewałam się, że ktoś taki jak Tony może znać kogoś takiego jak Ben, nie mówiąc już o tym, że jeden jest ojcem drugiego. Ben nawet nie nazywa się Duke, tylko używa prawdziwego rodzinnego nazwiska. I wcale nie jest podobny do Tony’ego. Ale to wcale. Trudno sobie wyobrazić ludzi, którzy byliby bardziej różni. – Przerwała, żeby wziąć oddech. Oblizwała wargi, wyprostowała się, wypięła piersi. – W ten sposób poznałam Tony’ego. I musiałam mu się spodobać, bo następnego dnia do nie zadzwonił. Powiedział, że dostał pozwolenie od Bena. Co było bardzo słodkie. Zaprosił mnie i nim zdążyłam się zorientować, już leciałam do Acapulco, a reszta jest, jak to się mówi, historią. W skrócie, oczarował mnie.

– O kurczę – powiedziałem.

– No. A teraz opowiedz mi coś o sobie i bądź szczery, dobra?

– Dobra.

– Założę się, że kiedy usłyszałeś, że jestem żoną Duke’a, pomyślałeś, że pozowałam dla niego i tak mnie poznał, nie? Pomyślałeś, że byłam Daniem Miesiąca?

– Właściwie, nie...

– Na pewno tak sobie pomyślałeś – nie dawała za wygraną. – Każdy tak myśli. I to jest w porządku. Ale Tony zawsze mi mówił, że ma mnie tylko dla siebie, że jestem jego daniem. Wiedziałaś, że jestem pierwszą kobietą, z którą miał dzieci od czasu, kiedy umarła mama Anity i Bena? I urodziłam mu wspaniałe dzieci.

– Naprawdę wspaniałe.

Jej palce wędrowały jak pajak po mojej dłoni.

– Jesteś bardzo miły. Więc jakimi inwestycjami się zajmujesz?

– Jestem właścicielem paru rzeczy.

– Wygląda na niezły zysk.

– Nie narzekam.

– Fajnie – powiedziała. – Masz czas na wypoczynek. Ale jesteś intelektualistą. Wyczuwam ludzi. Więc co jeszcze robisz oprócz pływania kajakiem, kiedy masz wolny czas?

– Gram trochę na gitarze.

– Uwielbiam muzykę. Tony jest głuchy jak pień, ale udaje, że lubi muzykę. W czasie swoich imprez, rozumiesz? Zaprasza najlepsze zespoły. Catch 159, Wizard, ostatnio mieliśmy Stone Crew.

– Brzmi całkiem nieźle.

– Czasami jest bardzo fajnie – odpowiedziała. – Kiedy indziej po prostu tysiąc obcych ludzi, którzy się napychają, i wszystkie te wywłoki z pisma, pakujące wszędzie swoje cycki. Flirtujące z Tonym. Czasami urządzał bale dobroczynne i wpuszczał też innych ludzi. Na przykład upośledzonych albo ofiary oparzeń. Na szczęście już nie będę musiała się tym zajmować.

– Dzięki rozwodowi? – zapytałem.

– No. A poza tym Tony nie organizuje już takich imprez.

– Dlaczego?

– Ludzie się zmieniają. – Uwolniła moją rękę, ugryzła bajgla. – Na pewno po tym spuchnę.

– Wątpię. Więc Ben okazał się w końcu gejem?

Spojrzała na mnie.

– Kogo to obchodzi?

– Nie mnie, po prostu chcę jeszcze z tobą trochę porozmawiać.

– Nie jest gejem – odparła. – Tylko jednym z tych, no, wiesz, których to nie interesuje. Jak księży.

– Jest asekualny?

– Są tacy ludzie, wiesz.

– Życie byłoby nudne, gdyby wszyscy byli tacy sami – skonstatowałem.

Uśmiechnęła się.

– Lubisz różnorodność?

– Jeszcze jak.

– Ja też... Może się jeszcze kiedyś spotkamy?

– Kiedy? – zapytałem, gładząc ją po twarzy.

Odsunęła się. Uśmiechnęła.

– Może teraz? Nie, żartuję, muszę wrócić, żeby nakarmić dzieci, zanim ktoś oskarży mnie, że je zaniedbuję. Ale może kiedyś mógłbyś podpłynąć w swoim kajaku, a ja przez przypadek byłabym właśnie na plaży. Może w tym. – Pokazała nowe bikini.

– Brzmi bardzo zachęcająco – powiedziałem.

Sięgnęła do torebki, wyjęła mały notesik, zapisała numer, wydarła kartkę.

– To moja osobista komórka.

– Czuję się zaszczycony – powiedziałem, biorąc karteczkę. Wyciągnęła rękę, ujęła obiema dłońmi moją twarz, pocałowała mnie mocno w usta, wsuwając język między moje zęby.

– Bardzo fajnie się z tobą gadało, Alex. Ostatnio jakoś nikt mnie nie docenia. Pa, na razie!

Hipoteza potwierdzona: Ben Dugger wykorzystywał swoje badania, żeby podrywać kobiety – młode blondynki. Zrzekł się swojej zdobyczy, która spodobała się tatusiowi.

Wabił kobiety, ale zachowywał się jak „prawdziwy dżentelmen”. Aseksualny. Przynajmniej na początku. Śmiech Monique Lindquist, że nie będzie chciał rozmawiać o seksie, dzwonił mi w uszach.

Uwaga Cheryl Duke o tym, że nie chce zostać uznana za nie dość opiekuńczą, świadczyła o tym, że bała się stracić dzieci. Przypadkowy wyciek gazu. Zamieszkała na terenie posiadłości, dawała sobą rządzić całej rodzinie.

Czarny Garnitur też tam przebywał. Grał w tenisa. Musiał być kimś więcej niż tylko człowiekiem wynajętym do mokrej roboty.

Coś wisiało w powietrzu. Czuję to. Ale nic nie wskazywało na powiązanie ze śmiercią Lauren. Nie miałem Milowi nic do zakomunikowania.

Kiedy jechałem do domu, zastanawiałem się, jak opowiedzieć o swoim dniu Robin. „Cześć, kochanie, udawałem żabę i większość popołudnia spędziłem na flirtowaniu ze znacznie młodszą kobietą. A ty co dzisiaj porabiałaś?” Prywatny telefon Cheryl znajdował się w moim portfelu. Ciągle zdawało mi się, że czuję zapach olejku do opalania i dobrych perfum.

Przyjechałem do domu o piątej. Spike powitał mnie w drzwiach lekceważącym warknięciem. Robin nie było. Pies zaprowadził mnie do kuchni i drapał pazurami w podłogę tak długo, aż dałem mu resztki naszego jedzenia i właśnie wtedy znalazłem karteczkę: „Robię sobie drzemkę. Budzik nastawiony na szóstą trzydzieści”.

Odsłuchałem automatyczną sekretarkę. Cztery wiadomości, żadnej od Mila. Włączyłem komputer, podłączyłem się do Internetu, wklepałem „Anita Duke”, znalazłem prywatną stronę innej kobiety o tym samym imieniu i nazwisku – informatyczki z Nasłwille – która dawała światu wgląd w swoje prywatne życie. Po jaką cholere ludzie coś takiego robią?

Dwanaście trafień o Anicie, której szukałem. Prawie wszystko już czytałem: o tym, że zastąpiła ojca na stanowisku w firmie. Ale na samym dole listy znalazłem artykuł z „Entertainment News” sprzed dwóch lat:

Ślub dyrektora „Duke’a”: Naczelną pisma, Anita Duke, wychodzi za swojego chłopaka w Malibu.

Otworzyłem cały artykuł i wydrukowałem:

W zeszły weekend, jedyna córka magnata prasowego Marca Anthony'ego Duke'a wyszła za swojego długoletniego towarzysza. W ceremonii brało udział wiele znanych osobistości. Anita Catherine Duke, 33, absolwentka Wellesley College i Szkoły Biznesu Uniwersytetu Columbia oraz od niedawna prezes Duke Enterprises, została w ostatnią niedzielę oddana przez swego ojca i macochę Sylvanę Kentowi Irvingowi, 31, byłemu dyrektorowi M'Lady's Couture, producentowi odzieży, a teraz także wiceprezesowi Duke Enterprises. Ślub odbył się w głębokiej tajemnicy w Shadowridge Lodge na wzgórzach Malibu, ale źródła potwierdzają obecność wielu gwiazd showbiznesu, włącznie z...

Reszta artykułu zawierała nazwiska znanych osób oraz szczegóły dotyczące podawanych na weselu dań. Nie wspomniano o miodowym miesiącu. Ani o obecności braciszka Bena.

M'Lady's Couture.

Przemysł odzieżowy. Lauren miała tam kontakty, jeszcze zanim Kent wzenił się w rodzinę Duke'ów.

Teraz musiałem pogadać z moim przyjacielem detektywem.

Dorwałem go w pokoju Wydziału Zabójstw.

– Och, co za radość – oznajmił. – Pomimo moich wyraźnych instrukcji Andy Salander zniknął. Próbowałem się z nim skontaktować, żeby go jeszcze podpytać o te koneksje w odzieży. Dwa ostatnie dni strawiłem na badaniu tego tropu i nic. Nikt z Fashion Mart jej nie pamięta, nie zapisała się też do żadnej agencji. Więc to pewnie kolejne kłamstwo; tak naprawdę pracowała jako dziwka, a nikt nie chce się przyznać, że miał z tym coś wspólnego. Znalazłem u niej parę koszul po obniżonych cenach, ale to wszystko.

– Zabawne, że wspomniałeś właśnie o tej branży. Mąż siostry Bena Duggera się tym parał. Był szefem firmy M'Lady's Couture.

– Kurczę – powiedział – może po prostu pożyczę ci swoją odznakę i pojedę na parę dni do Palm Springs?

– Nienawidzisz pustyni.

– Ta sprawa nie podoba mi się jeszcze bardziej... M'Lady's Couture... Mam tu listę firm z Fashion Mart, zaczekaj... Nie, nie ma tam niczego takiego. Może w książce telefonicznej... Też nic.

– To nic dziwnego – powiedziałem. – Artykuł mówił o „byłym dyrektorze”. Irving ma teraz bardziej lukratywne zajęcie.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

Zastanowiłem się, czy mu powiedzieć o moim dniu na plaży.

– Myszkowałem w cyberprzestrzeni. Powiązanie z M’Lady’s znalazłem w artykule o ślubie Anity Duke. To zastanawiające: Irving ożenił się z Anitą dwa lata temu, ale prawdopodobnie chodzili ze sobą już jakiś czas wcześniej; powiedzmy sześć miesięcy, może nawet rok. Czyli wtedy, kiedy Lauren twierdziła, że pracuje w Fashion Mart. Zgoda, że praca modelki była tylko przykrywką dla prostytutki. Ale te powiązania z przemysłem odzieżowym mogły być mimo wszystko prawdziwe. Jeśli Irving był jednym z jej klientów, może nawet stałym, wydawał na nią sporo pieniędzy, jego ślub z miliardami dolarów mógł sprawić, że ta część jego życiorysu stała się dla niego niewygodna. A może Lauren próbowała na tym zarobić, zwierzyła się Michelle i tak dalej, i tak dalej, a Michelle chciała pójść jej śladem. Albo ktoś po prostu myślał, że chciała. Na przykład Gretchen. Ona też może znać Irvinga od tej strony. A on po prostu postanowił zadbać o swoją reputację.

Długa cisza.

– Więc teraz masz nowego złego faceta.

– W grę wchodzi duże pieniądze. To typ człowieka, który lubi rządzić. To by pasowało do scenariusza. Włącznie z zostawianiem ciał na widoku. To by też tłumaczyło zniknięcie laptopa Lauren. Irving ma teraz wysokie stanowisko w Duke Enterprises i jest współnikiem w firmie, która przejęła Piaskowy Dolar. Facet ma wiele do stracenia. Jest jakiś sposób, żeby sprawdzić, czy jego nazwisko pojawia się w kartotece Gretchen?

– A co z doktorem Duggerem? Porzucasz pomysł ukrytych zboczeń seksualnych?

– Nie – powiedziałem – ale sugeruję alternatywne rozwiązanie. A nawet jeśli Dugger nie był bezpośrednio związany z tymi zabójstwami, mógł przecież bezwiednie wprawić wszystko w ruch, kiedy zaczął się zalecać do Lauren i zabrał ją do posiadłości Duke’a. Powiedzmy, że tam spotkała także Irvinga i zaczęła go szantażować. To by tłumaczyło reakcję Duggera na wiadomość o śmierci Lauren. Był zaskoczony. Ale mógł być przy tym świadomy, jaką rolę odegrał w całej sprawie. Może podejrzewać Irvinga, ale trzyma język za zębami, żeby ochronić rodzinę. Więc twierdzi, że jest niewinny, do pewnego momentu współpracuje z nami i zaczyna się pocić jak mysz, kiedy dotykamy jego życia osobistego.

– I to wszystko z cyberprzestrzeni... A gdzie tutaj znajdziesz miejsce dla Shawny Yeager?

– Nie wiem. Może Irving też z nią kręcił...

– Z twojej hipotezy wynika, że facet kręci się po prostu wszędzie.

– Bo ja wiem – powiedziałem. – Może myślę się na całej linii, ale chyba wgląd w kartotekę Gretchen może stanowić dobry punkt wyjścia.

– Kartoteka Gretchen, powiadasz? Może być z tym problem. Przejęli ją federalni, to oni ją oskarżyli i pertraktowali z nią. W tym całym zamieszaniu przy jej procesie nigdy nie ujawniono ani jednego nazwiska jej klienta, a możesz mi wierzyć, że dziennikarze stawali na głowach, żeby położyć łapy na tej kartotece. Przecież o to głównie chodziło federalnym: ochronić bogatych dziwkarzy. Gretchen trzymała język za zębami w zamian za krótki wyrok. Zadzwoń do prokuratury, ale nie

liczyłbym na to za bardzo. Poza tym, najpierw chciałbym dorwać Andy'ego Salandera. Jego ucieczka naprawdę mnie niepokoi...

– Kiedy dał drapaką?

– W środku nocy, bez ostrzeżenia, zalega z czynszem za miesiąc, ale po prostu spakował walizki, zostawił nawet meble. Właściciel jest bardzo niezadowolony i ja też. Salander był ostatnią osobą, która widziała Lauren żywą. Z całym szacunkiem dla twoich zdolności teorio-twórczych, cała sprawa może się sprowadzać do kłótni między współlokatorami...

– Naprawdę wyobrażasz sobie Salandera w roli dominującego wściekłego samca, który najpierw zabija Lauren, a potem wyrzuca jej ciało na śmietnik? – zapytałem. – A potem robi to samo z Michelle i Lancem i pali ich zwłoki?

– Alex, pracuję w tym fachu zbyt długo, żeby cokolwiek mogło mnie zdziwić. Nie mamy żadnych dowodów na to, że śmierć Michelle i Lance'a wiąże się z zabójstwem Lauren.

– A Jane?

– Mel Abbot zastrzelił Jane, przyjacielu. W tym kierunku prowadzone jest śledztwo, a ja nie mam tu nic do gadania. Bardziej interesuje mnie, że Salander zniknął po tym, jak przyrzekł, że tego nie zrobi. Właśnie wstąpiłem do Cloisters. Szef mówi, że Andy nie był w pracy ani dziś, ani wczoraj, a na dodatek nie zadzwonił. Przedtem zawsze dzwonił. Coś tu naprawdę nie gra.

– Może się przestraszył – powiedziałem. – Wie o czymś, o czym nie powinien. Właśnie pisano o śmierci Jane Abbot. Może Salander uznał, że też tak skończy, jeśli nie weźmie nóg za pas, bo wie to, co wiedziała Jane.

– Co? Lauren знаła jakąś wielką tajemnicę i wszystkim o tym rozpowiadała?

– Lauren była samotna. Salander w rozmowie ze mną podkreślał, jak świetnie umie słuchać. Być może nie powiedziała mu wszystkiego, a tylko dała coś do zrozumienia albo opowiedziała część historii. A teraz, kiedy ludzie umierają przestraszył się, że wie dość, żeby też umrzeć.

– Świetnie – mruknął z przekąsem. – Ale jeśli coś wie, tym bardziej mam powody, żeby go jak najszybciej znaleźć. Szef baru twierdzi, że Salander miał chłopaka, z którym się rozstawał, a potem znowu schodził. To już jest jakiś ślad.

– Może znowu są razem? Kiedy pierwszy raz rozmawiałem z Andym, czekał na kogoś, dał do zrozumienia, że to ktoś, z kim miał się pojednać. Kim jest ten jego chłopak?

– Agent filmowy, pracuje dla jakiejś wielkiej wytwórni. Szef Cloisters mówi, że chyba dla Williama Morrisa. Facet pojawiał się co jakiś czas w barze, swiergotał z Andym, niezbyt przyjazny dla innych. Ostatnio zjawił się kilka miesięcy temu, ale mam jego rysopis. Pod czterdziestkę, szczupły, ciemne włosy, takie małe okulary, garnitury od Armaniego. Szef twierdzi, że słyszał, jak Andy nazywał go Jason albo Justin. Właśnie wybieram się do Morrisa. Może kupię mój scenariusz.

– Nie wiedziałem, że coś takiego napisałeś.

– Rzuć mi forszę, a napiszę takie coś w parę dni i jeszcze dostanę Oscara. Widziałeś to gównno, które teraz grają w kinach?

– Co? Gliniarz przeciwko światu?

– Czarujący, genialny glina z wrażliwą duszą ocala świat.

Zaśmiałem się.

– Jeśli nie zdobędziesz żadnych informacji w Beverly Hills, można jeszcze spróbować zadzwonić do rodziców Salandera. W jego pokoju widziałem zdjęcie zrobione w...

– Tak, w Bloomington, w Indianie. Dzwoniłem tam dzisiaj rano. Matka nie rozmawiała z nim od jakiegoś roku, a Salander senior nie pochwała stylu życia jedyne go synka. Junior opuścił gniazdo rodzinne przed maturą i nigdy nie wrócił. Posyła mamusi kartki na święta, a ona śle mu pieniądze zaoszczędzone w tajemnicy przed mężem. Kiedy odkładałem słuchawkę, beczała mi do ucha. Uwielbiam swoją robotę. Tak czy inaczej, dziękuję za cynk o Irvingu. Jak będziesz miał coś nowego, daj mi znać.

– Właściwie...

– Co?

– Tylko się nie zdenerwuj – powiedziałem.

– Najpierw musiałbym się uspokoić. O co chodzi?

– Myszkowałem nie tylko po cyberprzestrzeni. – Opowiedziałem mu o swoim dniu w Paradise Cove, o rozmowie z Cheryl Duke, o spotkaniu z Anitą i Irvingiem, o tym, że widziałem osiłka grającego w tenisa.

– Więc naprawdę poznałeś Irvinga?

– Rozmawiałem z nim parę minut.

Długa cisza.

– Pływałeś cholernym kajakiem?

– To niezłe ćwiczenie. Dobrze robi na kondycję.

– Alex... – zaczął.

Urwał. Chwila ciszy. W końcu: – Facet od modnych szmat chodzi w lnianym garniturze, a zbir gra w tenisa. Sporty letnie w czasie zimy. Ładnie, ale może Gianni Mafioso jest innego rodzaju

profesjonalistą. Może przyjechał, bo Tony chciał poprawić swój backhand.

– Z postury przypomina raczej faceta od podnoszenia ciężarów.

– Dobra, dobra, ale to, że przebija piłeczkę ze starym Tonym, znaczy, że raczej nie jest wynajęty do mokrej roboty. Gdyby był, nie przyjechałby na wczasy do rezydencji Duke'ów. Alex, nie mogę uwierzyć, że wypożyczyłeś tę cholerną łódkę i zabawiałeś się w morskiego szpiega.

– Nie ma prawa, które zabraniałoby takich wycieczek – odparłem. – Na szczęście tam byłem. Gdyby nie to, chłopak by utonął.

– Nienaturalnie wysoki szept w słuchawce: „Mój bohaater. Więc teraz mamusia czuje się wdzięczna. Masz zamiar ją poderwać?”

– Bardzo zabawne.

– Wziąłeś jej numer telefonu.

– A co niby miałem zrobić?

– Co powiesz na oburzenie się? Mogłeś mi od razu powiedzieć, że znasz Irvinga nie tylko z Internetu.

– Czekałem na odpowiedni moment.

Zaśmiał się.

– Po co? Dobra, więc czy jest jeszcze jakiś powód, oprócz powiązań z modą, że Irving cię zainteresował? Jaki jest w kontakcie osobistym?

– Słucha rozkazów żony, ale chce uchodzić za twardziela. Nosi się jak gliniarze ze starych odcinków *Policjantów z Miami*, sprawiał wrażenie faceta, który chce być postrzegany jako wielki gracz, gruba ryba.

– Gdyby zły gust był zbrodnią, Los Angeles zamieniłoby się w jedno wielkie więzienie – zauważył. – Dobra, więc facet nie zna się ani trochę na modzie i dlatego skończył w przemyśle odzieżowym. Daj mi coś innego, coś, nad czym mógłbym popracować, zanim zacznę ganiać po mieście jak jakiś idiota.

– Nie mam niczego innego – przyznałem. – Po prostu staram się połączyć te wszystkie punkty. Jest jeszcze coś, co może mieć znaczenie. Cheryl boi się, że zostanie uznana za złą matkę. A Irving zasugerował mi, obcemu facetowi, że była pani Duke nie sprawdza się w roli matki. Myślę, że zależy mu na informacjach, które by to potwierdziły. Konsultowano się ze mną przy wielu sprawach o prawo do opieki, więc mam nosa do tych rzeczy. A tym mi właśnie załatuje jego zachowanie. Bogate rodziny są najgorsze; mają dość pieniędzy, żeby opłacać prawników, i nigdy nie chodzi im o dzieci, tylko o władzę. I pieniądze. W tym wypadku wielkie pieniądze. Cheryl mówiła, że rozstała się z Dukiem w przyjaźni, ale mogło jej się tylko tak wydawać albo skłamała. Albo zabranie jej dzieci nie

jest pomysłem samego Duke'a. Mam wrażenie, że stary Duke zszedł na dalszy plan. Od prawie dwóch lat nie zorganizował żadnego party, oddał szefostwo firmy Anicie i Irvingowi, Cheryl dała też do zrozumienia, że już... no wiesz... nie może. Dzieciaki są konkurencją do spadku. Jeśli Anita i Kent zdołają przejąć nad nimi opiekę, będą mieli w ręku całe imperium. Może właśnie dlatego Kent musiał się pozbyć szantażystów. Mogę sobie wyobrazić, że Irving wynajął zabójcę, a nawet że był na tyle arogancki, by umieścić go w rezydencji teścia. To by było w jego stylu, gangsterzy są modni.

– Zapomnij o tym, co powiedziałem o scenariuszach – odparł. – Ty będziesz pisał, a ja zajmę się marketingiem.

– I jeszcze jedno – powiedziałem. – Miałem rację, że Dugger używa swoich eksperymentów, żeby wabić kobiety. – Opowiedziałem mu o tym, że Cheryl też pracowała przy badaniu intymności. O tym, że Dugger zapraszał ją na obiady, a potem przekazał pałeczkę Tony'emu Duke'owi.

– Eksperyment, powiadasz. Nauka stosowana. Wierny syn.

– Młode blondynki – dopowiedziałem. – Tak ojciec, jak i syn lubią młode blondynki. A więc bez względu na to, co twierdzi Dugger, nie wykreślam Shawny z żadnego scenariusza.

– Seks, pieniądze, do wyboru, do koloru, hę? Niezła mieszanka.

– Próbuję brać pod uwagę wszystkie ewentualności, Lauren kupiła pistolet, żeby się bronić, i mogła mieć go przy sobie, kiedy została zamordowana, ale go nie użyła. To by znaczyło, że знаła zabójcę. Nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia. Podobało jej się, że mogła zarobić prostytutką, ale prawdziwym konikiem była władza. Dominacja. Jeśli zabójca był jej klientem, mogła się oszukiwać, że to ona pociąga za sznurki. Zabójca ją rozbroił, zabił, wyrzucił na śmietnik, ale zatrzymał pistolet, licząc, że może się przydać. Zaaranżował zabójstwo Jane Abbot; użył broni Lauren, a potem podłożył ją Melowi Abbotowi. Rodzinny pistolet, wszystko wskazuje na nieszczęśliwy wypadek.

– Bardzo zmyślne – zauważył. – Aż się boję.

– Dostrzegasz jakieś słabe punkty w moim rozumowaniu?

Nie odpowiedział.

– Warto by było zajrzeć w papiery Jane – kontynuowałem. – Sprawdzić, czy zostawiła po sobie coś prowokacyjnego. A co z Lyle'em Teague'em? Już wrócił?

– Podejrzany numer tysiąc sto pierwszy? – zapytał. – Nie, dzwoniłem do szeryfa z Castaic i obiecano mi, że poszukają jego samochodu. Jeszcze do mnie nie dzwoniли, więc zakładam, że ciągle pałęta się po lasach ze swoją flintą. Też powinienem wrócić do mojego polowania.

– Wciąż mam dla ciebie te zdjęcia Duggera z osiłkiem w czerni.

– A tak, pamiętam. Nie wiem, czy będę miał czas wpaść. Powiedzmy, że moi ludzie zadzwonią do twoich ludzi w tej sprawie, dobra?

Zadzwoił do mnie czterdzieści minut później.

– Byłem w agencji Morrisa. Przyjaciół Andy’ego Salandera najprawdopodobniej nazywa się Justin LeMoyne. Pasuje do rysopisu, a wczoraj zadzwonił, że jest chory i odwołał wszystkie spotkania. I zgadnij, co jeszcze? Jest twoim sąsiadem, mieszka na Beverly Glen, jakiś kilometr od ciebie. Właśnie tam jadę. Jak chcesz, możemy się tam spotkać i weź ze sobą te zdjęcia. Jeżeli Andy tam jest, będziesz miał okazję popatrzeć, jak wyśmienicie prowadzę przesłuchanie. Przyspilię kołosa do ściany.

Robin będzie spała jeszcze pół godziny. Powiedziałem:

– Świetnie.

Justin LeMoyne mieszkał w niedużym, białym, świetnie utrzymanym domku, który kiedyś musiał służyć za dom dla gości przy hiszpańskiej willi kolonialnej, która stała obok. Dwie sosny z Wysp Kanaryjskich przed wejściem. Numer domu i ulicy widniał na ręcznie malowanej, porcelanowej płytce ozdobionej winoroślami. Ogródek przed domem był świeżo obsadzony roślinnością wytrzymałą na mróz. Do bocznej ściany domu przylepiony był garaż na jeden samochód. Na podjeździe nie było żadnego auta.

Na Beverly Glen był korek, przyjechałem na miejsce przed Milem, zaparkowałem i czekałem. Żadnego ruchu ani w domu, ani wokół niego, ale to samo można było powiedzieć o wszystkich sąsiednich budynkach. Jedynymi śladami życia, jakie widziałem, były zbolące twarze kierowców, którzy utknęli właśnie w tym martwym punkcie. Wyglądało to tak, jakby wszyscy opuszczali Los Angeles w obawie przed nadchodzącą katastrofą.

W końcu zobaczyłem służbowy wóz Milla, który wjeżdżał właśnie na trawnik przed posesją LeMoyne’a. Stanął za moim seville’em, wysiadł, poprawiając krawat, i skierował się prosto do drzwi wejściowych. Kiedy do niego dołączyłem, przyciskał dzwonek. Nikt nie odpowiadał. Mocne pukanie dało ten sam skutek.

– Hej – powiedział, patrząc na ruch uliczny. – Niezły ścisk. – Jego twarz była szarawa, a oczy zmęczone.

Podaliśmy mu kopertę ze zdjęciami. Wepchnął ją do kieszeni marynarki. Znowu nacisnął dzwonek. Nic.

– Chodźmy do sąsiadów.

W hiszpańskiej willi obok otworzyła nam jasnowłosa służąca w czarnym mundurku i z napuchniętą twarzą. Milo zapytał o Justina LeMoyne’a.

– Aaaa, uon – powiedziała z wyraźnym słowiańskim akcentem. Na twarzy miała wypisaną pogardę.

– Kłopotliwy sąsiad, proszę pani?

– On, znacie... – Podniosła rękę z rozluźnionym nadgarstkiem. – Fru-fru.

– Jest gejem.

– Nu, tak, homo.

– Czy dlatego sprawia problemy, panno...

– Ovensky, Irina. Wy tu, znaczy problemy. – Wielki uśmiech. Ze złotym zębem. – Szto on zrobił, panie władzo? Cóż z dzieckiem?

– Czy przyprowadza tu dzieci?

– Nie, ale zna ich pan.

– Czy pan LeMoyne w czymś konkretnie pani przeszkadza, panno Ovensky?

– Tak, z psami. Pani Ellis ma psy i uone trochu szczekają. Po temu, że one psy, nie? No ale uon – pokazała palcem dom LeMoyne'a – jest jak wielkie dziecko, zawsze narzeka, zawsze z tym swoim: uciszyć psy, uciszyć psy.

Irina Ovensky przesunęła palcem po gardle.

– Chce, żeby im pani wycięła struny głosowe.

– Nu, tak. Okrutnik, nie?

– Nie jest przyjacielem zwierząt – powiedział Milo.

– Przyjacielem chłopców on jest.

– Sprowadza sobie tutaj chłopców?

– Tolko jednego.

– W jakim wieku?

Irina Ovensky wzruszyła ramionami.

– Dwadzieścia, dwadzieścia dwa.

– Młody mężczyzna.

– Nu tak, ale mały jak chłopczik. Chudzinka taka i ma tu na górze żółte włosy. I tatuaż, o tu. – Poklepała się w ramię.

– Co jest na tym tatuażu? – zapytał Milo.

– Nie znaju, ja nie podchodziła tak blisko. – Ovensky wystawiła język.

– Kiedy widziała pani ostatnio pana LeMoyne’a i tę drugą osobę? – zapytał Milo.

– Ostatniej nocy. Oni pojechali maszyną. – Machnęła ręką.

– Samochodem pana LeMoyne’a?

– Tak, czerwonym mercedesem.

– O której to było godzinie, panno Ovensky?

Widok notatnika Mila wykrzeszał iskry w jej brązowych oczach.

– Jedenasta, jedenasta trzydzieści – powiedziała. – Ja słyszała, jak oni rozmawiają, no i wyjrzała przez uokno.

– O jedenastej, jedenastej trzydzieści – powtórzył Milo.

– Nu, tak. Czy to ważne?

– Możliwe, proszę pani. Czy wie pani, dokąd pojechali?

– Ja nie... Nu tam, gdzie takie typy jeżdżą.

– Czy mieli ze sobą jakieś bagaże, walizki?

– Nu tak, dwie, duże walizy. Może pojechali daleko i nie będzie tego uciszyć psy, uciszyć psy. Psy mają prawo, coby śpiewać, nie?

– Dwie walizki – powiedział Milo, kiedy byliśmy już przy jego samochodzie. – Roczny wyjazd to chyba nie jest, ale też nie dwudniowy.

Spojrzał jeszcze raz na willę. Irina Ovensky ciągle stała w drzwiach. Uśmiechnęła się i pomachała nam.

– Święta kobieta – zauważyłem.

– Typ dziewczyny, którą chciałbyś przedstawić mamusi. – Też jej pomachał z uśmiechem na ustach. Mięśnie szczęk drgały mu, kiedy otwierał drzwiczki. Wsiadł, wyjął kopertę, którą mu wręczyłem. – Dobra, przypatrzmy się temu. – Przejrzał szybko zdjęcia, zatrzymał się na zbliżeniu twarzy osiłka. – No, wygląda trochę jak robot... Ale nadal podtrzymuję to, co powiedziałem. Gdyby był płatnym mordercą, Duke’owie nie gościliby go we własnym domu. Jak będę miał czas, zlecę tym ze Zorganizowanej Przystępności, żeby go sprawdzili.

– Nie wiedziałem, że w Los Angeles jest taki wydział – powiedziałem.

– Od lat pięćdziesiątych. Nie było tu mafii, więc ludzie ze Zorganizowanej mogli sobie chodzić na bardzo długie lunche. Teraz rozpracowują gangi narkotykowe Azjatów i Latynosów, ale kto wie, może ta gęba znajdzie się w ich kartotekach. Biuro Morrisa jest już zamknięte, ale pójdę tam z samego rana. Muszę się dowiedzieć, dokąd zwykle jeździ LeMoyne, zanim mnie wykopią do South Rodeo. Myślisz, że powinienem założyć garnitur od jakiegoś sławnego projektanta?

– A masz taki?

– No jasne. Sir Kay z Fashion Mart. Dzwoniłem jeszcze do faceta z prokuratury, który zajmował się sprawą Gretchen. Próbuję wydusić z niego, czy w dokumentach pojawia się nazwisko Kenta Irvinga. Przedzwoniłem też po raz trzeci do Leo Rileya, ciągle nie odpowiada.

– I tak się zachowuje kolega z pracy – zauważyłem.

– Pewnie nie ma mi nic do powiedzenia. My, policjanci nie lubimy roztrząsać swoich porażek. Na razie zwijam żagle. Rick poinformował mnie, że dziś wieczorem wybieramy się do autentycznej restauracji. Będziemy udawać, że zasługujemy na dobrą kuchnię i nienaganną obsługę. A potem idziemy do kina. Ostrzegł mnie, że jeżeli będę miał przy sobie komórkę, rozmontuje ją z chirurgiczną precyzją.

– Czyżby był sfrustrowany?

– Ludzie tak już na mnie reagują.

Uchyliłem drzwi do sypialni. Robin leżała zwinięta na skraju łóżka, odkryta do pępka. Miała rozchylone usta, oddychała wolno. Kiedy podszedłem do łóżka i wyłączyłem budzik, otworzyła oczy.

– Za minutę szósta – wyszeptałem. – Dzień dobry.

Ziewnęła i przeciągnęła się.

– Zmęczyłam się... Nie widziałam cię dzisiaj. Co porabiałeś?

– Przejechałem się nad wybrzeże.

– O... Myślałam właśnie, że moglibyśmy zjeść kolację gdzieś na plaży. Ale skoro już tam byłeś...

– Plaża to jedno – powiedziałem – a plaża z tobą to zupełnie co innego. Pocałowałem ją w podbródek. Jaki ze mnie czuły facet. Ale cały czas myślałem: Malibu to dziura, gdybym wpadł na kogoś, kogo znam, mogłoby się zrobić nieprzyjemnie.

Kiedy wychodziliśmy z domu była ósma wieczorem, a na autostradzie znaleźliśmy się dwadzieścia minut później. Minąłem wszystkie modne snobistyczne lokale i postarałem się znaleźć miejsce, w którym jeszcze nigdy nie byliśmy – szarą, drewnianą, stojącą na wzgórzu przy autostradzie Pacific Coast kafejkę, która z zewnątrz przypominała dużą oborę. Od strony lądu, zaraz za Big Rock, rozciągają się błotniste osuwiska oraz posiadłości z plażą dziesięciometrowej szerokości, które kosztują półtora miliona dolarów każda. Na dekorację wnętrza składały się chwiejne stoły biesiadne, wysypane trocinami klepisko, codziennie drukowane menu z wszelkimi ozdobnikami, jakie można zobaczyć w gazetkach szkolnych, okopcone ruszty, piwne rozmowy. Chatka usytuowana była na tyle wysoko, że mogliśmy patrzeć przez okna na czarny ocean. Kelnerka w wieku mojej babci powitała nas słowami: „Witam, moi drodzy”. Jeżeli kiedykolwiek próbowała swoich szans w showbiznesie, to musiało to być jeszcze w czasach kina niemego.

Byliśmy kilka kilometrów przed Paradise Cove i Piaskowym Dolarem.

Wybraliśmy mały stolik w rogu, zamówiliśmy owoce morza z grilla, świeżą kukurydzę, krem ze szpinaku, niezłe chablis i okropną lurowatą kawę.

Bawiliśmy się świetnie, kiedy Robin zauważyła:

– Wydajesz się teraz bardziej rozluźniony. – Ukryłem swoje zakłopotanie i skinąłem twierdząco głową z niewinnym wyrazem twarzy. Numer do Cheryl Duke nadal znajdował się w moim portfelu, ale Robin nigdy nie przegląda moich rzeczy. Zostawia mi dużo swobody.

Wziąłem ją za rękę. Pozwoliła mi ją trzymać przez parę minut, po czym cofnęła. Zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno byłem takim Rudolfem Valentino, za jakiego się miałem.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Świetnie. Tylko jestem trochę zmęczona.

– Nadal?

– Na to wygląda.

Poszliśmy do łóżka bez miłosnych igraszek, miałem niespokojny sen. Rano Robin wstała przede mną, a kiedy wreszcie przyszedłem do kuchni, ona wychodziła właśnie ze Spike'em.

– Znowu praca?

– Jeszcze raz ten Elvis. Upiera się, że potrafi śpiewać. Uważaj na siebie.

– Ty też.

– Ja? – zdziwiła się. – Mnie to nie dotyczy.

Wyszła, zanim zdołałem odpowiedzieć.

Nie miałem wiadomości od Mila aż do trzeciej po południu.

– Nie ruszyłem ani kroku do przodu z wyjazdem LeMoyne'a i Salandera, nie potrafiłem sforsować sekretarki u Morrisa, a ten prokurator od Gretchen dostał kopa w górę, awansowali go i przeniósł się do Waszyngtonu. Jego była asystentka mówi, że Kent Irving z niczym jej się nie kojarzy. Ale i tak poprosiłem ją, żeby na wszelki wypadek sprawdziła. Jest szansa, że nawet to zrobi. Pytałem ją też o facetów od mody i przyznała, że dziewczynki Gretchen pracowały w Fashion Mart, obsługiwały klientów. Ale dzwonię przede wszystkim dlatego, że zidentyfikowałem twojego zbira.

– Ci ze Zorganizowanej o nim słyszeli?

– Nie musiałem szukać tak daleko. Miałem te zdjęcia rozłożone na biurku, kiedy Rick przyszedł zabrać mnie na kolację. Spojrzał na nie i pyta: „Skąd znasz Maccaferriego?” Doktora Maccaferriego. Facet ma na imię Rene. Jest znanym lekarzem, Alex. Prowadzi badania w Paryżu, ale działa też w Narodowym Instytucie Raka. Rick go rozpoznał, bo chodził w zeszłym roku na jego seminarium. O raku prostaty. To jego specjalność.

– Och – powiedziałem. – Tony Duke jest chory.

– A wierny syn pojechał na lotnisko po jego lekarza.

Roześmiałem się.

– Moja teoria o mafii wędruje do kosza.

– Nie rozpaczaj. Przynajmniej próbowałeś.

– Może pozostałe teorie też są do niczego. Rak... dlatego nie wydaje już przyjęć. Dlatego Cheryl

powiedziała, że przyjąć już w ogóle nie będzie. Tony przekazał pałeczkę Anicie, bo nie ma już zdrowia do interesów. To może też być powód tego, że Cheryl zamieszkała z dziećmi blisko niego. Opowieść o wycieku gazu miała być tylko przykrywką, żeby utrzymać w tajemnicy chorobę Tony'ego.

– Zaczekaj – powiedział. – Maccaferri nie jest żadnym zbiorem, ale Lauren i inni nadal nie żyją, więc nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. Nadal tropię małego Andy'ego. Alex, im więcej myślę o jego ucieczce, tym bardziej mi się to nie podoba. Resztę dnia spędzę, zdaje się, na rozmowach przez telefon z liniami lotniczymi. Może mi się poszczęści. Tak czy inaczej, dzięki, że próbowałeś. Miłego dnia.

Znany lekarz.

Intuicja mnie zawodzi, nie ma co. Milo był bardzo łaskawy, ale czy cała reszta moich domysłów – łącznie z Benem Duggerem – też była do kitu?

W końcu Dugger był dziwnym człowiekiem, który płacił Lauren, Cheryl i Bóg jeden wie ilu jeszcze innym pięknym blondynkom, żeby siedziały w zimnym pokoiku i drażniły facetów.

Wynajmował piękne kobiety, zbierał dane, których ani nie publikował, ani nie robił z nich żadnego innego użytku.

Ukryte kamery, czujniki w podłodze... podglądactwo w przebraniu nauki. Dugger uciekł od luksusowego życia Tony'ego Duke'a, ale... dokąd?

Zastanawiałem się nad łatwością, z jaką Dugger oddał Cheryl Duke'owi, kiedy tylko Tony wyraził nią zainteresowanie. Osobiście pojechał na lotnisko po Maccaferriego. Mógł to przecież za niego zrobić byle totumfacki, jakich z pewnością wielu kręciło się koło Duke'a.

Może Dugger mocno przestrzegał piątego przykazania? Ale teraz, kiedy jego ojciec był poważnie chory, jego motywy mogły być bardziej prozaicznej natury.

No i pieniądze: milionów dolarów, które dostarczały silnej motywacji.

Śmierć Tony'ego Duke'a była już nie tylko teoretyczna. Pewnego dnia – raczej wcześniej niż później – firmę ojca trzeba będzie podzielić pomiędzy spadkobierców. Co prawda, styl życia Duggera nie był zbyt wystawny, ale jego firma badająca rynek nie przynosiła, jak się zdaje, zbyt dużych dochodów, a ktoś musi płacić za apartament z widokiem na ocean, za biura w Newport i Brentwood.

Był na łasce ojca. Ale czy przy założeniu, że jego siostra będzie rządzić Duke Enterprises, groziło mu odcięcie od dopływu gotówki? Informacje o tym, jak wyglądały stosunki Bena i Anity, bardzo by mi pomogły. Ale wiedziałem tylko, że artykuł o ślubie nie wspominał o jego obecności.

Pozostawała jeszcze sprawa młodszego rodzeństwa: Sage i Baxtera.

I Kenta Irvinga, twardziela w różowej koszulce.

W sumie duże ryzyko konfliktów. Sprawa spadkowa w sądzie mogła pozbawić kogoś wielkich pieniędzy i spowodować wielkie rozczarowanie lub złość.

Cheryl vel Sylvana nie była geniuszem, ale musiała zdawać sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji finansowych. To tłumaczyłoby jej lęk przed oskarżeniami o złą opiekę nad dziećmi. Ale nie powstrzymało jej to od drzemki na plaży. Albo podania mi swojego numeru telefonu.

Kiepski osąd sytuacji.

Inaczej niż w przypadku Lauren, którą ulica nauczyła życia. Wielkie napiwki.

Przypomniałem sobie pierwszą rozmowę telefoniczną z Jane Abbot. Była przerażona zniknięciem Lauren, chociaż córka od lat mieszkała sama i w przeszłości podróżowała.

Zaczęły się w końcu dogadywać i Lauren coś jej wyznała. Może nawet przechwalała się, jak dużo może zarobić.

Być może Jane próbowała wyperswadować Lauren plan szantażu – kłótnia, po której poskarżyła się Andrew Salanderowi.

Lauren nie dała się namówić. Podpisała na siebie wyrok śmierci. I na przyjaciółkę Michelle. I na własną matkę.

Milo ścigał Salandera i może to dokądś nas zaprowadzi. Ale nie mogłem się oprzeć myśli, że rozwiązanie zagadki czai się gdzieś za murami posiadłości Duke'a. Wysokie ogrodzenie, elektryczne bramy, kamery, wagonik jeżdżący w dół i w górę zbrocza. Wszystko to wysyłało wyraźny sygnał:

Trzymaj się z daleka, głupcze!

A ja nie miałem pojęcia, jak dostać się do środka.

Pierwsze przykazanie w Los Angeles: kiedy bijesz się z myślami, wsiądź do samochodu i jedź przed siebie.

Lata, wieki temu, kiedy przybyłem do tego miasta jako student, najpierw zauważyłem, że ulice tutaj to asfaltowe rzeki. W liceum grywałem na gitarze na weselach i pomagałem w biurze pewnego architekta, żeby uciuć na chevroleta nova w kolorze rzygowin, którego mój ojciec – wielbiciel fordów – nie uważał nawet za samochód. (Cytat z Harry’ego Delaware: „To gówno, ale przynajmniej na niego zarobiłeś. To, na co sam nie zarobiłeś, nie jest warte nawet połowy gówna”) – Ten czterokołowy powóz zawiózł mnie z Missouri do Kalifornii i kiedy dojechałem już do akademika, rozkraczył się. Przez większość pierwszego roku byłem na łasce transportu publicznego, co w Los Angeles oznaczało właściwie areszt domowy. Następnego lata, pracując po nocach, zarobiłem na plymoutha valianta i chroniczną bezsenność. Wtedy też nabrałem zwyczaju wyskakiwania z łóżka w środku nocy i jeżdżenia po ciemnych pustych ulicach miasta.

Teraz śpiam dobrze, ale nadal często mam ochotę jechać przed siebie bez celu. To już nie to samo miasto, co za moich studenckich czasów, ruch jest teraz większy, coraz mniej przestrzeni, chyba że dojedzie się do gór Santa Monica lub wjedzie na jakąś starą szosę, którą zastąpiła autostrada, ale nadal uwielbiam jeździć ot tak, dla samego jeżdżenia. To upodobanie dzielę z dużą grupą psychopatów, ale co z tego – introspekcja bywa niebezpieczna.

Kiedy skończyłem rozmawiać z Milem, siedziałem za biurkiem, przysłuchując się odgłosom pustego domu. Zastanawiałem się, czy coraz dłuższe nieobecności Robin są związane wyłącznie z jej pracą. Zastanawiałem się, jak mogłem się tak pomylić co do Rene Maccaferriego („Nie wygląda mi na chirurga”) i gdzie jeszcze nawaliłem. Wsiadłem do seville’a. Włączyłem magnetofon na cały regulator, słuchałem Fabulous Thunderbirds. Wjechałem w Mulholland, skręciłem na wschód w kierunku Hollywood Hills, próbując oczyścić umysł.

Niepostrzeżenie znalazłem się w sercu Hollywood i na Sunset Boulevard. Nadal spięty, z tuzinem niepotwierdzonych hipotez w głowie. Myślałem, jak Lauren przeobraziła się z buntowniczej nastolatki w ekskluzywną prostytutkę, a potem w... tę osobę, którą była, kiedy kula przeszywała jej mózg.

Przypomniałem sobie pracę, którą napisała na zajęcia z Gene’em Dałbym. *Ikonoografia w przemyśle mody*.

Kobiety jako mięso.

Gorycz z powodu dokonanych wyborów? Czy to nią powodowało, kiedy zdecydowała się na szantaż, czy po prostu była chciwa?

Jazda przez Beverly Hills i wschodnie Bel Air – przez „Trzy B”, cel aspiracji Shawny Yeager – była powolna, a kiedy wjechałem w dolinę, utknąłem w korku, czując się jak członek jakiegoś wielkiego spisku ludzi w inercji.

Nie odczuwałem stresu związanego z zagradzającym mi drogę żelastwem; korek na ulicy odpowiadał dokładnie ruchowi neuronów w mojej głowie. Zastanawiałem się właśnie, co zrobić z resztą dnia, kiedy zdałem sobie sprawę, że znajduję się tuż przy białym domku LeMoyne'a. Kiedy go mijalem, zauważyłem ruch na terenie posesji.

Drzwi garażu właśnie się zamykały. Jeszcze trzydzieści centymetrów i drewniana kłapa zasunie się całkowicie. Na pierwszym następnym skrzyżowaniu udało mi się przejechać przez oba pasy i zaparkować na rogu. Czekałem. Siedem minut później drzwi garażu otworzyły się i wyjechał z nich czerwony mercedes kabriolet z rozłożonym dachem. Stanął na końcu podjazdu, mrugając lewym migaczem. Ktokolwiek siedział za kierownicą, chciał przeciąć jeden pas i pojechać na południe.

Przepuszczenie mercedesa nie zrujnowałoby niczyjego dnia, ale ludzka uprzejmość była w stanie zaniku i czerwony wóz stał długo, migając światłami. W końcu kierowca ciężarówki zmiłował się nad kabrioletem, który mógł się teraz przyłączyć do ślimaczego ruchu. Dziesięć długości samochodu później poszedłem w jego ślady.

Próbując wykorzystać swoje doświadczenia ze śledzeniem Duggera i Maccaferriego, starałem się nie spuścić mercedesa z oka. Czerwony wóz precyzyjnie przesunął się na zielonym świetle na Sunset, a ja stanąłem w kolejce pięciu samochodów. Wpatrywałem się w prostokątne tylne światła. Skręt w prawo. Kiedy wreszcie znowu zapaliło się zielone światło i mogłem kontynuować swój pościg, nie było już ani śladu czerwonego wozu. Jechałem w tłoku z zawrotną szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Wtem pozapalały się wszystkie światła hamowania i w korku przed wjazdem na autostradę 405 ujrzałem znowu czerwonego mercedesa.

Znajdował się trzydzieści metrów przede mną na lewym pasie. Parokrotnie zmieniając pas w niezbyt uprzejmy sposób, zdołałem się przybliżyć do mercedesa na tyle, że gdy skręcił w Sepulveda, zobaczyłem w plastikowym okienku kabrioletu zarys głowy samotnego kierowcy.

Mercedes jechał teraz Sepulveda, mijając Wilshire, Santa Monica i Olympic tak szybko, jak tylko pozwalał na to ruch uliczny. Przez Pico i Venice, do Culver City, potem zakręcił w prawo na Washington i pół kilometra później zjazd na parking hotelu Palm Court.

Dwupiętrowy hotel w stylu kolonialnym usytuowany był po północnej stronie Washington, pomiędzy stacją benzynową ARCO i kwiaciarnią. Biała fasada, tak jak w domu Jane i Mela Abbotów. Duży, poszarzały od słońca parking był wypełniony w jednej trzeciej. Mercedes zatrzymał się na jego lewym krańcu, daleko od innych samochodów.

Wysiadł z niego mężczyzna, który pośpieszył w kierunku oszklonych drzwi motelu. Pod czterdziestkę, wysoki, szczupły, o długich chudych ramionach, brudne szpakowate włosy, na nosie okulary. Miał na sobie żółtą koszulkę polo, obcisłe spodnie khaki, na nogach brązowe mokasyny. W rękach trzymał tekturowe pudło na kartotekę. Justin LeMoyne obejrzał się trwożliwie przez ramię, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Budka telefoniczna przy stacji ARCO śmierdziała starym burrito, ale sygnał w słuchawce był czysty i wyraźny. Wykręciłem numer do Mila i nim zdołał cokolwiek powiedzieć, oznajmiłem z triumfem:

– Wreszcie coś mam.

– Tak, są tu obaj – powiedział po powrocie z recepcji, pochylając się do okna seville’a. – Pokój dwieście piętnaście. Zameldowali się wczoraj pod nazwiskiem LeMoyne.

Minął kwadrans, zanim do mnie dołączył. Zaparkował swój nieoznakowany wóz po przeciwnej stronie parkingu, konferował parę minut z recepcjonistą.

– Pomocny człowiek? – zapytałem.

– Etiopczyk, który uczy się właśnie do egzaminu z angielskiego, żeby dostać obywatelstwo. Nad wyraz uprzejmy, ciągle tylko: „tak, proszę pana”, „nie, proszę pana”. Obiecałem, że nie ściągnę brygady antyterrorystycznej, jeśli nie powiadomi LeMoyne’a i Salandera. Był pod wrażeniem mojej odznaki. Skąd, biedaczek, ma wiedzieć, że taka akcja bez nakazu jest tak prawdopodobna jak ślub Kaddafiego z Barbrą Streisand.

– To zasługa telewizji.

– A ja już myślałem, że to moja wspaniała aura. Był w dodatku uprzejmy poinformować mnie, że piętnaście minut temu Salander zadzwonił, by się dowiedzieć, gdzie może zamówić pizzę. Polecił mu Papa Pomodoro z Overland, powiedział mi, że firma gwarantuje dostawę w ciągu pół godziny albo pizza jest za darmo. Więc zapukam do ich drzwi za jakieś pięć minut i może otworzą, myśląc o zapachu pepperoni.

– A co będzie, kiedy pojawi się chłopak z pizzą? – zapytałem.

– Urządzimy sobie imprezę. Dzięki, że zauważyłeś samochód LeMoyne’a, Alex.

– Trudno, żebym nie zauważył. Miałem go przed samym nosem.

– A powiadają, że w Los Angeles nikt nie zna swoich sąsiadów.

– Jeśli LeMoyne zameldował się pod własnym nazwiskiem, chyba nie zależało mu specjalnie, żeby się ukryć. I jeszcze ta przejażdżka do domu w świetle dnia. I to, że zatrzymali się tak blisko. Nie wygląda mi to na ucieczkę w panice.

– To co tu, u licha, robią? Zrobili sobie wakacje?

– Może chcieli trochę odetchnąć – podsunąłem. – Andy Salander mógł wykombinować, że potrzebuje trochę czasu, żeby pomyśleć, co zrobić z informacjami, które ma od Lauren.

– Albo był z Lauren w znowie.

– Zyskami raczej się nie dzielili. To ona miała wystawną garderobę i konto u maklera. Salander ledwo zarabia na życie w Cloisters. Nie, myślę, że przygarnęła go dla towarzystwa i jak powiedział Salander, tylko mu się zwierzała. Może nie opowiadała mu o szczegółach, ale powiedziała tyle, że mógł się wszystkiego domyślić, kiedy ludzie wokół zaczęli umierać. Pogodzenie się z LeMoyne’em

nie mogło nastąpić w lepszym momencie – pozwoliło mu opuścić mieszkanie i wprowadzić się do LeMoyne’a. Opowiedział mu o swoich podejrzeniach, LeMoyne się przestraszył i zadekował się tutaj.

– I nie zadzwonił do mnie, ponieważ...

– A dlaczego miałyby do ciebie dzwonić, Milo? Jeśli ogląda telewizję, to wiele razy widział, jak źle może się skończyć ochrona świadków. Nie mówiąc o wszystkich historiach o korupcji w policji, fikcyjnych i nie tylko.

– Że niby nie można mi ufać? – Spojrzał na hotel. – A może próbują wykombinować, jak przejąć interes z szantażem? – Popatrzył na zegarek. – Dobra, czas zagrać Simona od pizzy. Poczekaj tutaj, dam ci znać, kiedy będziesz mógł do nas dołączyć. Jeżeli pojawi się chłopak z dostawą, możesz powiedzieć, że pizza jest twoja, i zapłacić.

– Czy policja mi to zrefunduje?

Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął portfel.

– Daj spokój – powiedziałem. – Żartowałem.

– Jasne – odparł, błyskając zębami w uśmiechu. – Można mi ufać.

Siedem minut później niewysoki chudy Murzyn przed trzydziestką wyszedł z recepcji hotelu Palm Court, rozejrzał się po parkingu, zauważył mojego seville’a i zamachał. Podbiegłem do niego, przytrzymał mi drzwi. Przeprowadził mnie przez ciemny korytarz, który nosił dumne miano „holu”, zaprosił do obdrapanej brązowej windy, przyłożył rękę do ust i wyszeptał tak cicho, że musiałem się pochylić w jego kierunku:

– Detektyw Sturger powiada, że może pan wznieść się na górę, proszę pana.

– Dzięki.

– Pokój dwieście piętnaście, proszę pana. Może pan skorzystać z windy. Proszę.

Winda zakołysała się niebezpiecznie, jazda na pierwsze piętro trwała ponad minutę. Korytarz na piętrze był pomalowany na różowo, po obu stronach znajdował się rząd szarozielonych drzwi zaopatrzonych w tandetne zamki. Żółto-kremowa wykładzina dywanowa nie tłumiała całkowicie kroków. W połowie korytarza buczała maszyna do lodu. Na trzech klamkach wisiały tabliczki NIE PRZESZKADZAĆ, a zza winylowych drzwi słychać było przytłumiony śmiech.

Na drzwiach pokoju 215 nie wisiała żadna tabliczka. Zapukałem, głos Milo odpowiedział:

– Wejdz.

Niebieskie ściany. Podwójne łóżko posłane w pośpiechu i przykryte niebieską narzutą, czarne biurko i krzesło, dziewiętnastocalowy telewizor przymocowany do ściany, a na nim konsola do gier wideo. Żadnej szafy, tylko półki koło drzwi do łazienki, na których znajdował się sześciopak budweiserów i kolekcja kartoników po chińszczyźnie. Para smutnych, starych walizek od Vuittona wepchnięta w kąt pokoju.

Justin LeMoyne siedział na brzegu krzesła, obracając w palcach niezapalonego papierosa. Był bez butów, a karton, z którym go widziałem, leżał niedaleko jego bosych stóp. Na kolanach trzymał scenariusz w czarnych okładkach, na biurku leżał telefon komórkowy. Z bliska wyglądał na starszego – pod pięćdziesiątkę – skóra szyi i twarzy obwisła we wszystkich nieodpowiednich miejscach, ledwo trzymając się kości. Włosy miał długie, sięgające do ramion, ale precyzyjna linia grzywki nad czołem zdradzała przeszczep. Oczy za małymi okularkami były ciemne, bystre i niepewne.

Andy Salander siedział w nogach łóżka. Ubrany był podobnie jak LeMoyne: w spodnie khaki i koszulkę polo, tym razem białą, z oliwkowym kołnierzykiem. Na nocnym stoliku koło niego stała otwarta puszką budweisera. Popielniczka na drugim stoliku była wypełniona po brzegi petami, a powietrze cuchnęło tytoniem.

Milo stał za nimi, oparty o beżową zasłonę, przez którą przeświecało dzienne światło.

– Dzień dobry, doktorze – powitał mnie Salander łamiącym się głosem.

– Dzień dobry.

– To jest Justin – powiedział Andy.

– Miło mi cię poznać, Justin.

LeMoyne odchrząknął, wertując scenariusz.

– Pan Salander i pan LeMoyne „wypoczywają” – oznajmił Milo. – Ciekawe tylko dlaczego.

– Wydawało mi się, że to wolny kraj – zauważył LeMoyne, nie podnosząc wzroku.

– Justin – powiedział Salander.

– Tak, Andrew?

– Ja, my... Nieważne.

– Świetnie, Andrew.

– No, no – powiedział Milo. – Takie proste pytanie.

– Wcale nie proste – zauważył LeMoyne. – I nie macie prawa zakłócać naszego spokoju. – Do Salandera: – Nie musiałeś go wpuszczać, a już na pewno nie ma żadnego powodu, żebyśmy odpowiadali na jego pytania.

– Wiem, Justin, ale... – Do Mila: – On ma rację. Może powinien pan już sobie pójść, detektywie Sturgis.

– Naprawdę mnie ranisz – odparł Milo.

– Proszę przestać – powiedział LeMoyne. – Może pan sobie darować takie teksty. Dość, że jesteśmy tu przetrzymywani i przeszukał pan nasze rzeczy. Jeśli ma pan nam coś do zakomunikowania, to proszę. A potem niech się pan wynosi.

Milo odsłonił zasłonę i wyjrzał przez okno.

– Ładny widok na stację. – Zasłonił okno. – Gdybym mieszkał w Beverly Glen, nie wypoczywałbym w takim miejscu, panie LeMoyne.

– Kwestia gustu. Pan akurat powinien to wiedzieć.

Milo się uśmiechnął.

– Chodzi o to, Andy, że to całe gadanie o wolnym kraju to bujda, wcale nie jesteśmy tacy wolni. W kieszeni mam kajdanki i mogę je w każdej chwili wyjąć i założyć na twoje ręce, a potem zabrać cię do więzienia. I zrobię to wszystko w świetle prawa.

Salander zadrżał.

LeMoyne, nadal przeglądając scenariusz:

– Chce cię wyprowadzić z równowagi, Andy. – Do Mila: – To bzdury. Jakim prawem?

– Chodzi o to, Andy – powtórzył Milo – że jest takie pojęcie prawne jak „kluczowy świadek”, które może dość poważnie ograniczyć twoją wolność. Tak samo „podejrzany”.

Salander zbladł.

– Niczego nie widziałem, niczego nie wiem.

– Możliwe, ale moja praca polega na wyłanianiu podejrzanych, a nie usprawiedliwianiu ich. A po kilku dniach w areszcie...

– Gówno prawda – wtrącił się LeMoyne, wstając z krzesła. – Niech go pan nie straszy.

– Proszę siedzieć, proszę pana.

– Gówno prawda – powtórzył LeMoyne, ale usiadł. – To niedopuszczalne. To karygodne. Powinniście...

Milo odwrócił się do niego plecami.

– Wiesz, co nie daje mi spokoju, Andy? Wyraźnie prosiłem cię, żebyś nigdzie nie wyjeżdżał i był ze mną w kontakcie, bo jesteś ostatnią osobą, która widziała Lauren Teague żywą. A to znaczy, że jesteś kluczowym świadkiem. Z mojego punktu widzenia to, że zgodziłeś się być ze mną w kontakcie, a potem dałeś nogę, wygląda bardzo intrygująco.

Długa cisza.

– Przepraszam – wymamrotał Salander.

– Jezu Chryste – oburzył się LeMoyne. – Przestań paplać, Andrew. Po prostu się zamknij...

– Złamałeś dane mi słowo, Andy. A to, że ukrywasz się w tym motelu...

– Wcale się nie ukrywamy – zaproponował LeMoyne, chwytając telefon. – Dzwonię po swojego adwokata. Eda Geismana. Z Geisman i Brandner.

– Proszę bardzo – powiedział Milo. – Oczywiście, kiedy pan to już zrobi, nie będę mógł zapobiec rozgłosowi. Agent filmowy i podejrzany zatrzymani w tanim hoteliku. Jestem pewien, że wie pan, jak to będzie wyglądało – powiedział, odwracając się w kierunku LeMoyne'a. – Wydawało mi się, że agenci wolą sprzedawać scenariusze, a nie być ich bohaterami.

– Jeśli tylko pan mnie zniesławi, pozwę pana do sądu.

– Gdybym to ja pana zniesławił, zasługiwałbym na sąd, proszę pana. Ale ujawnienie prawdziwych faktów nie jest jeszcze zniesławieniem.

– Justin – powiedział Salander – to szaleństwo, dlaczego w ogóle się kłócimy? Przecież ja nic nie zrobiłem. Chcę tylko... Nie zależy mi na scenariuszu.

– Cicho – przerwał mu LeMoyne.

Milo uśmiechnął się i podszedł do łóżka.

– Scenariusz... Więc to spotkanie w sprawie scenariusza. – Roześmiał się.

– To nie tak... – zaczął Salander, ocierając wilgotne oczy.

– Przestań paplać – zakomenderował LeMoyne.

– Przepraszam, Justin...

– I przestań wreszcie przeproszać!

– Niech zgadnę – powiedział Milo, wkraczając pomiędzy obu mężczyzn. – Zagadka zabójstwa pięknej blondynki. Myślicie o wielkim ekranie czy telewizji?

– Nie – odparł Salander – nie, to nie tak. Tylko Justin powiedział, że jeśli zarejestrujemy ten

pomysł w Gildii Pisarzy, będziemy zabezpieczeni, że to będzie jak polisa na życie.

– Aha, myślicie, że jak ktoś przyjdzie do was, wywijając gnatem, to naślecie na niego Gildię Pisarzy? To musi być jakaś nowa usługa, bo jeszcze o niej nie słyszałem.

Salander zaczął płakać.

– Ty dupku – powiedział LeMoyne – podoba ci się to, sadysto, nie? Lubisz straszyć ludzi?

– On był już przestraszony – odparł Milo. – Prawda, Andy?

– Proszę mu nie mówić po imieniu. To niedopuszczalne. Ma pan do niego mówić: „proszę pana”. Z szacunkiem.

– Nie obchodzi mnie, jak się do mnie zwraca, Justin. – Salander odchrząknął. – Po prostu chcę być bezpieczny.

– I to jest właśnie twój problem – powiedział LeMoyne.

– Co takiego? – zapytał z paniką w głosie Salander.

– Że ciebie nic nie obchodzi. Zawsze nawalasz w takich sprawach. Tak samo jak w myśleniu.

– Przestań, Justin...

LeMoyne zatrzasnął scenariusz.

– Co za pieprzony burdel. Jestem na jutro poumawiany, odwołałem spotkania. Rób, co chcesz, Andy. To twoje życie, nie zamierzam ci przeszkadzać...

– Chodzi o to – powiedział Milo – że nie obchodzi mnie, czy zarejestrujesz swoją historyjkę. Zarób sobie na śmierci Lauren milion dolców, po amerykańsku, ale najpierw powiedz mi, co wiesz. Bo jak coś opuścisz, to będę cię mógł przymknąć za utrudnianie śledztwa.

– Gówno prawda – zripostował LeMoyne. – Gówno prawda. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, Andrew.

– Potrzebuję twojej pomocy, Justin.

LeMoyne uśmiechnął się krzywo.

– Nie wydaje mi się, Andy. Myślę, że idzie ci doskonale beze mnie.

– Nieprawda. – Salander otarł nos rękawem. – Naprawdę potrzebuję wsparcia, Justin...

– To nowa koszulka, weź chusteczkę, do cholery jasnej!

Salander rozejrzał się stropiony po pokoju. Milo zauważył na podłodze pudełko kleenexów i podał

je Andy'emu.

– Co mam robić, Justin?

– Rób, co chcesz.

Cisza.

– Nie wiem – wydusił z siebie Salander, rozkładając bezradnie ręce. Sięgnął po puszkę z piwem.

– Nie pij więcej – powiedział LeMoyne. – Już dość wypięś.

Salander cofnął rękę. Objął się.

– Och! – powiedział. – To jest takie... tak dużo zakazów.

LeMoyne potrząsnął głową.

– Wychodzę. – Ale nie ruszył się.

– Co mam zrobić? – dopytywał się Salander.

– Może powiesz w końcu prawdę? – zaproponował Milo.

Salander zaczął bujać się w przód i w tył, nadal obejmując się rękami. Zmarszczył czoło. Myślał gorączkowo. LeMoyne powiedział: – I po to zrezygnowałem z obiadu w Le Dome!

Chwilę później Salander podjął decyzję, której nadejście obwieściło ciężkie westchnięcie.

– Tak, boję się – powiedział, trzęsąc się. – Najpierw Lo, teraz jej matka. Nie wspomniał Michelle i Lance’a. Miał więcej powodów do obaw, niż myślał.

– Śmierć Jane Abbot potwierdziła twoje podejrzenia? – spytał Milo.

Salander skinął twierdząco głową. Milo pochylił się nad nim.

– Muszę ci to powiedzieć, Andy. Prawdopodobnie byli jeszcze inni.

– O mój Boże...

– Znowu zastraszenie – burknął LeMoyne.

Milo podszedł do biurka.

– Panu też trochę strachu by nie zaszkodziło. Twarz LeMoyne’a straciła kolor, ale uśmiechnął się.

– Pływałem już z rekinami, przyjacielu.

Milo odwzajemnił uśmiech.

– Pływałeś z płótkami, przyjacielu. A tutaj mówimy o wielkich białych ludojadach.

– Ach – powiedział LeMoyne – trzęsę się ze strachu.

– Jacy inni? – zapytał Salander.

– Znajomi Lauren – odparł Milo. – A teraz powiedz mi, co cię przestraszyło.

– Wydaje mi się, że mogę wiedzieć, kto zamordował Lo... to znaczy, nie mam pewności... ale od początku się nad tym zastanawiałem.

– Nad czym, Andy?

– Nad pieniędzmi. Zawsze chodzi o pieniądze, prawda?

– Bardzo często.

Salander znowu kiwał się w przód i w tył.

– Opowiedz mi o tych pieniądzach – poprosił Milo.

– Ona... Lo... Zawsze zastanawiałem się, skąd bierze pieniądze. Bo nigdy za dużo nie pracowała,

oprócz tych badań, a to nie wystarczyłoby na Moschino i Pradę, i Jimmy Choo, prawda? I jeszcze ten jej stosunek do pieniędzy.. . Zachowywała się jak ludzie, którzy nie muszą się o te sprawy martwić, rozumie pan? Prawdę mówiąc, kiedy ją poznałem, wziąłem ją za bogatego dzieciaka; za kogoś, kto zawdzięcza bogactwo swoim przodkom. Ale powiedziała, że od lat sama się utrzymuje, więc... To znaczy, nie byłem wścibski, ale zacząłem się zastanawiać. Była na dziennych studiach. Skąd brała tę całą kasę? Potem, kiedy się do niej przeprowadziłem, jakiś miesiąc później zostawiła na stole w kuchni swoją pocztę. Na wierzchu leżały papiery inwestycyjne od maklera z Seattle. Nie wtykam nosa w nie swoje sprawy, ale te papiery leżały na samym wierzchu i nie mogłem nie zauważyć tych wszystkich zer.

– Wielu zer.

– No – potwierdził Salander. – Nigdy jej o to nie pytałem, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Poza tym była bardzo hojna; kiedy chodziliśmy razem coś zjeść, zawsze oferowała, że zapłaci cały rachunek. A kiedy kupowaliśmy antyki, przy okazji kupowała mi różne rzeczy, spinki do mankietów, jakiś drogi ciuch.

– Pewnie przez ten twój chłopięcy wdzięk – mruknął LeMoyne.

Salander pokręcił głową.

– Kiedyś ty tak o mnie myślałeś! Przestań się mnie w końcu czepiać!

LeMoyne zasłonił się scenariuszem.

– Jesteś zrzędą, ale i tak cię kocham, Justin.

LeMoyne wymamrotał coś pod nosem.

– Co powiedziałeś? – zapytał Andy.

– Też cię kocham.

Salander się uśmiechnął.

– Dzięki.

Niski pomruk:

– Proszę.

– Więc zastanawiało cię, skąd Lauren bierze pieniądze – powiedział Milo. – Czy opowiadała ci kiedykolwiek o tym, jak przed studiami zarabiała na życie?

– Mówiła, że pracowała jako modelka – odparł Salander. – Już to chyba panu mówiłem, prawda?

– A oprócz pracy modelki?

Salander wbił wzrok w narzutę na łóżku.

– Nic. Co pan ma na myśli?

– Była dziwką – powiedział LeMoyne. – Ciągle ci to powtarzam.

– Wcale tego nie wiesz, Justin!

– Jezu, Andy, przecież ją widziałem. Miała to wypisane na twarzy.

– Ile razy się pan z nią spotkał, panie LeMoyne? – zainteresował się Milo.

– Dwa, trzy razy w przelocie. Ale to wystarczyło, żeby się zorientować, kim była. Drogo się ceniła, to prawda. Ale to nie zmienia postaci rzeczy – miała ruchy dziwki, chodziła jak dziwka, udawała kobietę z klasą jak dziwka. Mogłaby pracować dla Gretchen Stengel.

– Zna pan Gretchen Stengel?

– Słyszałem o niej – powiedział LeMoyne. – Jak każdy w moim fachu. Nigdy nie jedliśmy wprawdzie razem lunchu, ale widywałem ją czasem, kręciła się tu i ówdzie. I wielokrotnie wpadałem na jej dziewczynki. Kiedy Gretchen była w biznesie, nie dało się nigdzie pójść i nie potknąć się o którąś z nich.

– Łatwo je było zauważyć – podsumował Milo.

LeMoyne przewrócił oczami.

– Nawet ty byś je rozpoznał, Sherlocku. Gretchen zatrudniała dziewczyny w tym samym typie. Z dystansem, ale przyjazne, w ładnym opakowaniu, o ciałach modelek. Zawsze można je było poznać po ubraniu. Dziewczyna, której nie stać na garderobę za pięć tysięcy dolarów, ale ją nosi. I to z klasą. – LeMoyne uśmiechnął się i zamknął scenariusz. – Ale to i tak nie pomagało. Jeśli ktoś umiał odróżnić prawdziwą klasę od bajeru. Każda z tych dziewczyn miała w sobie coś... pospolitego. Tylko udawały Grace Kelly, a naprawdę powinny chodzić po Sunset. – Założył nogę na nogę. – Proszę mi wierzyć, detektywie Sturgis, żeby mieć klasę, nie wystarczy chodzić na aerobik i przejść krótki kurs posługiwania się sztuczkami. Ale większość ludzi i tak się na to nabiera... Była dziwką, Andy.

Salander spojrzał na Mila.

– Rzeczywiście miała za sobą takie doświadczenia – potwierdził Milo.

– Och... – westchnął Andy. – Jestem *trës nadf*, prawda? Chyba miałem to przed samym nosem przez cały czas, ale nie chciałem dopuścić do siebie takiej myśli. Chociaż to i tak było bez znaczenia. Nie oceniam ludzi. Kim jestem, żeby ich oceniać? I przysięgam, że przez cały czas, kiedy mieszkaliśmy razem, nie zrobiła nic niezgodnego z prawem, nigdy nikogo nie przyprowadziła... Nie możecie mnie winić za to, że jej wierzyłem. Dobra, świetnie, jestem naiwny i głupi. – Spojrzał na LeMoyne'a.

LeMoyne potrząsnął głową i zabrał się do czytania scenariusza.

– Co ci mówiła, kiedy wyjeżdżała na weekendy, Andy? – zapytał Milo.

Salander oblał się rumieńcem.

– Nie powiedziałem, kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy, bo nie byłem pewien. A teraz wydaje mi się, że to nie miało żadnego znaczenia, skoro powiedzieliście mi, że była... Chodzi o to, że nie chciałem niepotrzebnie komplikować całej...

Śmiech LeMoyne'a przerwał jego słowa.

– Bredzisz, Andrew. Oni nie mają pojęcia, o czym, do cholery, mówisz.

Milo przysunął się do Salandera.

– O co chodzi, Andy?

– O jej rodzinę – podjął Salander. – Jej prawdziwą rodzinę. Mówiła, że jeździ do Malibu, żeby się z nią lepiej poznać. Odkąd się dowiedziała, kto był jej prawdziwym ojcem. Że to Tony Duke. Chyba po prostu... fantazjowała, prawda? To takie marzenie wielu ludzi. Żyją sobie normalnie, a potem nagle dowiadują się, że tak naprawdę należą do zupełnie innego towarzystwa.

Milo usiadł na łóżku.

Wyciągnął notatnik, rozluźnił krawat.

– Kiedy i w jaki sposób dowiedziała się o tym, Andrew?

– Kiedy? Rok temu – odparł Salander. – Pewnie niedługo przedtem, nim z nią zamieszkałem. Jak? Matka jej to powiedziała. Kiedy zaczęły się dogadywać. Długo ze sobą nie rozmawiały, a potem Jane wykonała pierwszy ruch i zaczęły się spotykać. Od czasu do czasu chodziły razem na lunch. I właśnie podczas jednego z takich lunchów Jane jej powiedziała. Wypiły butelkę wina, zaczęły swobodnie rozmawiać i Jane się wygadała. Powiedziała, że poznała Duke'a, kiedy pracowała jako stewardesa w samolocie, który Duke czarterował, kiedy zabierał modelki i innych ludzi na Hawaje na sesje zdjęciowe i balangi. Jane usługiwała samemu Tony'emu, a on zaprosił ją do jakiejś willi, którą wynajmował. No i... stało się. Jane i tata Lo, ten przyszywany, ten dupek, chodzili ze sobą, ale jeszcze nie zdecydowali się na ślub. Kiedy Jane dowiedziała się, że jest w ciąży, przekonała go, żeby się pobrali.

– Nieźle, prawda? – powiedział LeMoyne. – To naprawdę świetny materiał na film.

– Zabawne było to – kontynuował Salander – że nagle Lauren wszystko zrozumiała. To, dlaczego nie mogła znieść Layle'a. Mówiła, że nigdy nie umiała się z nim dogadać, zawsze wydawał jej się obcy, jakby był między nimi jakiś mur. A teraz zrozumiała.

– Jane nigdy mu nie powiedziała, kto był prawdziwym ojcem Lauren? – spytałem.

– Lauren mówiła, że miał zbyt gwałtowny charakter, żeby znieść coś takiego. A małżeństwo i tak się rozpadło. Ale Jane powiedziała Lauren, że kiedy była z nią w ciąży, cały czas bała się, że on się dowie i zrobi jej coś złego. Na szczęście Lauren była podobna do matki.

– Bała się, ale zatrzymała dziecko – zauważyłem.

– Powiedziała Lauren, że zawsze chciała mieć dziecko. Przypomniało mi się to, co mówiła Tish Teague o wizytach Lauren: „Nic wam się ode mnie nie należy, nie jesteście dla mnie nawet rodziną; ani on, ani jego dzieci”.

Między Lauren i małymi córeczkami Lyle’a nie było żadnego pokrewieństwa, a jednak Lauren przynosiła im prezenty na święta, a potem zniknęła! Ambiwalentne zachowanie. Musiała czuć się bardzo samotna...

– Więc Jane powiedziała Lauren o wszystkim rok temu – podjął Milo. – A kiedy ty się o tym dowiedziałeś?

– Wkrótce po tym, jak się wprowadziłem, może po paru miesiącach. Na początku, kiedy się wprowadziłem, ciągle była w skowronkach, szczęśliwa i uśmiechnięta. Pewnie dlatego, że niedawno się o wszystkim dowiedziała. Ale potem jakoś przycichła. Myślałem, że to może dlatego, że uświadomiła sobie, że straciła tyle lat, mogła być księżniczką. Zrobiłem na ten temat jakąś uwagę, ale ona powiedziała, że to wcale nie to. Nie zamieniłaby swojego życia na inne, ale cała ta sprawa wytrąciła ją z równowagi. A także, i to był główny powód – po tym, jak wszystko jej powiedziała, Jane zaczęła się wycofywać. Mówiła, żeby Lo o tym zapomniawsza i nie próbowała się zbliżyć do Duke’a. Lauren uznała, że to okrutne i że matka próbuje ją manipulować. Chyba miała rację, prawda? Nie można tak po prostu mówić takich rzeczy, a potem zabraniać cokolwiek z tym robić. Lo była wściekła na matkę z tego powodu.

– To wtedy narzekała na to, że Jane próbuje ją kontrolować – zauważyłem.

– Tak, właśnie. Powiedziała, że Jane jest tchórzliwa i kłamliwa, a ona, Lauren, nie da sobie dmuchać w kaszę i nie będzie tańczyć, jak jej zagrają. Była też wściekła, że matka próbowała ją przekupić, żeby trzymała język za zębami. Powiedziała, że to okropne.

– Przekupić ją? Jak?

– Po rozwodzie Jane była przez jakiś czas naprawdę biedna. Więc napisała do Tony’ego Duke’a, a on zaczął jej przysyłać pieniądze. Dla niej i dla Lauren. Chociaż Lauren zniknęła już z horyzontu, nie utrzymywała z matką żadnego kontaktu. Jane twierdziła, że wydawała tylko swoją część i odkładała część Lauren. Kiedy znowu się zeszły, zaczęła dawać Lo pieniądze, ale nigdy nie mówiła, skąd je brała.

Wymieniliśmy z Milem spojrzenia. Obaj pamiętaliśmy wpłaty na konto Lauren. Sto tysięcy cztery lata temu, a potem co rok pięćdziesiąt tysięcy.

– Dużo było tych pieniędzy?

– Lauren nie wdawała się w szczegóły, ale chyba dużo, nie? – powiedział Salander. – Te wszystkie zera. I sposób, w jaki się ubierała. Ale chodzi o to, że Jane nie była z nią szczerą. Kłamała, jeśli chodzi o pochodzenie tych pieniędzy.

– Co takiego mówiła?

– Że pochodziły od jej drugiego męża. Że dawał je Jane, a ona dzieliła się z córką z dobroci serca.

– I Lauren w to uwierzyła?

– Pan Abbot był bogatym producentem telewizyjnym. Był naprawdę hojny dla Jane. Jane żyła jak wielka dama. Ale wtedy, kiedy Jane próbowała naciskać na Lauren, żeby nie zdradziła nikomu udziału Duke'a w całej sprawie, powiedziała Lauren, skąd naprawdę brały się te pieniądze. Próbowała robić z siebie świętą. „Poświęciłam się dla ciebie, odkładałam twoje pieniądze, a ty nawet się do mnie nie odzywałeś”. A potem zaoferowała Lauren jeszcze więcej pieniędzy, jeśli Lo będzie się trzymać z daleka od Tony'ego Duke'a.

– Dlaczego tak jej na tym zależało?

– Powiedziała Lauren, że narobi wielkiego bałaganu, a nic nie można na tym zyskać, Lauren podejrzewała, że Jane boi się, że Tony Duke się wścieknie i odbierze jej pieniądze. Że dbała o własny tyłek. Z punktu widzenia Lo, Jane próbowała ją kupić, a ona nie miała już ochoty się sprzedawać. – Salander umilkł na chwilę. – Teraz już wiem, co miała na myśli.

– Brawo – odezwał się LeMoyne i zaklaskał.

– Więc Jane napisała list do Duke'a, a on zaczął jej przysyłać pieniądze? – podjął Milo.

– Jane nie wtajemniczyła Lo w szczegóły. To też denerwowało Lauren. Jane upiła się i wygadała, a potem zamknęła się i już nic więcej nie chciała dodać.

– Czy można ją za to winić? – zapytał LeMoyne. – Dziewczyna była dziwką. Jej matka trzymała kurę znoszącą złote jajka za kuper i wiedziała, że jeśli Duke dowie się, że jest ojcem dziwki, wszystko weźmie w łeb. Gość jest Królem Gołych Cycków. Gdyby okazało się, że jego córka zarabia na życie na klęczkach, jego PR dostałby zawału. – Uśmiechnął się do Mila: – Racja?

– Pasuje do scenariusza.

– Taką mam pracę. – Chichocząc, LeMoyne powrócił do swojej lektury.

– Jane starała się powstrzymać Lauren – powiedziałem – ale Lauren się nie dawała. Skontaktowała się z Duke'ami i pojechała się z nimi zobaczyć w Malibu.

– Nigdy nie opowiadała mi szczegółów, ale mówiła: „Dzięki Bogu, mam komputer”. – Używała go do zdobywania informacji o Duke'ach, nie potrzebowała matki, bo miała technikę po swojej stronie. Nawet mi pokazywała. Miała takie zabawne drzewo genealogiczne. Takie z jabłuszkami, na których były imiona i nazwiska.

– Czy zapamiętałeś jakieś imiona albo nazwiska? – zapytał Milo.

– Nie, nie dopuściła mnie tak blisko. Chciała mi tylko pokazać to drzewko, a potem zaniósła komputer do swojego pokoju. Była z niego dumna. Powiedziała, że to specjalny program genealogiczny; sama go zainstalowała. – Salander skurczył się, jakby ze strachu. – A potem, kiedy pan zadzwonił i zapytał o komputer, zdałem sobie sprawę, że zniknął... I zacząłem się bać.

– Że ktoś z rodziny nie chciał dopuścić do upublicznienia takich informacji?

– Tak i że ktoś się do nas włamał. Potem, kiedy usłyszałem o Jane... – Salander przygryzł wargę – zacząłem się zastanawiać. Może Lauren źle oceniła swoją matkę. Może Jane nie chciała, żeby Lauren zbliżała się do swojej rodziny, bo obawiała się, że to niebezpieczne. A jeśli Jane naprawdę na niej zależało, a Lauren po prostu tego nie dostrzegала?

Milo wstał, zaczął się przechadzać od łóżka do okna.

– Czy Lauren kiedykolwiek zwierzyła się, że widziała się z Tonym Dukiem?

– Nie – powiedział Salander. – Wiem tylko o tym drzewku. Ale on mieszka w Malibu, prawda? W takiej wielkiej rezydencji, gdzie organizuje te wszystkie zabawy.

– Co jeszcze powiedziała ci Lauren? Czy pamiętasz coś, co mogłoby mi pomóc, Andy?

– To wszystko, przysięgam. Po tym, jak raz się wygadała, zamknęła się w sobie, jak Jane. Głównie przesiadywała w swoim pokoju, przed komputerem.

– Czy kiedykolwiek rozmawiała z tobą o innych członkach rodziny? Nie licząc Tony’ego Duke’a?

Salander pokręcił głową.

– A o dziewczynach, z którymi pracowała?

– Nie przypominam sobie.

– O Michelle Salazar?

– Nie.

– O Shawnie Yeager?

– Nie. Nigdy nie mówiła o swojej przeszłości. I jak już wcześniej powiedziałem, nie miała żadnych przyjaciół. Była samotnikiem.

– Dziewczyna i jej komputer – podsumował Milo.

– To takie smutne – powiedział Salander. – I co teraz?

– Czy mówiłeś o tym komukolwiek oprócz pana LeMoyne’a?

– Nie – Spojrzenie na LeMoyne’a. – A Justin chciał tylko spisać pomysł i go zarejestrować... – przerwał. – To mogło być niebezpieczne, prawda? Gdyby ktoś w Gildii zobaczył to i...

– No, nie – powiedział LeMoyne. – Nikt w tym przemyśle nie czyta.

– Ale mimo wszystko – zauważył Milo.

– Dobrze, dobrze – urwał LeMoyne. – Dobrze.

Milo zwrócił się do Salandera.

– Andy, będziesz musiał to wszystko powtórzyć na formalnym przesłuchaniu.

Salander zbladł.

– Dlaczego?

– Takie są reguły. Zrobimy to za parę dni. Albo na posterunku, albo w jakimś przyjemniejszym miejscu, jeżeli znowu gdzieś nie znikniesz.

– W jakimś miłym miejscu – powiedział Salander. – Wolałbym tę możliwość. Czy myśli pan, że możemy się wprowadzić z powrotem do domu Justina? To znaczy, jeżeli Lauren i Jane zginęły, bo Lauren była córką Tony’ego Duke’a, a ja o tym wiem...

– Właśnie o to chodzi, synu – powiedział Milo. – Nikt nie wie, że coś wiesz. Jeśli będziesz dyskretny, nie widzę żadnego poważnego niebezpieczeństwa. Ale jeśli będziesz paplał, to niczego nie mogę ci obiecać.

Salander zaśmiał się głucho.

– Powiedziałem coś zabawnego, Andy?

– Tak sobie myślę. O tych czasach, kiedy przychodził pan do Cloisters, a ja tam podawałem. To naprawdę świetna robota, za barem. Ma się w rękach ludzkie nastroje. To nie tylko alkohol, ale cała otoczką, słuchanie, rozmowy. Wiedziałem, że pan jest gliniarzem, ktoś mi powiedział. Na początku mi to przeszkadzało. W jakim okropnym świecie pan musi żyć. Miałem nadzieję, że nie zacznie pan o tym mówić i wysyłać złych wibracji. Ale nigdy nic takiego się nie zdarzyło. Tylko pan siedział i pił. Pan i ten przystojny doktor. Żaden z was nie mówił, tylko siedzieliście i piliście. Zaczęło mi być pana żal, bez urazy. Że pan tak wszystko trzyma w sobie. Ale dobrze się czułem, że panom pomagam. Oczywiście nie chodzi mi o to, że mieliście jakieś problemy, ale wie pan, co mam na myśli. Od razu nalewałem piwo i drinki i wszyscy byli szczęśliwi. A teraz... – Znowu śmiech. – Będę dyskretny, w porządku? – dodał Salander. – Będę samą, chodzącą dyskrecją.

Na zewnątrz powiedziałem:

– Nie ma żadnego wielkiego niebezpieczeństwa? – Nie, jeśli będzie trzymał język za zębami.

– Nie ma podstaw do ochrony świadka?

– Tylko w telewizji, w świecie LeMoyne’a. Tak jak moja odzywka o Salanderze jako kluczowym świadku. Tak naprawdę i on, i stary Justin mogą sobie całkiem legalnie polecieć na Antiguę. – Spojrzał za siebie na Palm Court, strzelił palcami. – Zawsze wiedziałem, że chodzi o pieniądze, ale córka Tony’ego Duke’a... To się dopiero nazywa szantaż z wysoką stawką.

Przyglądałem się ruchowi ulicznemu na Washington Boulevard i rozmyślałem o tym, co powiedziała mi kiedyś Lauren; że rodzice wychowali ją w kłamstwie, że zalegalizowali swój związek, kiedy Jane była już dawno w ciąży. O lodowej ścianie dzielącej ją od Lyle’a. O uwadze Michelle, że Jane „spaprała” sprawę.

Jak wcześnie zaczęła odczuwać, że coś jest nie tak? Jak podziałało na nią poznanie prawdy?

Jane zadzwoniła do mnie spanikowana, kiedy Lauren zniknęła. Podejrzewała, w co się wpakowała, podejrzewała, że pięć dni bez wiadomości oznaczało coś więcej niż przedłużony weekend. Próbowwała namówić policję, żeby zajęła się sprawą, ale ukrywała fakty, które mogłyby pomóc. Nawet po śmierci Lauren Milo czuł, że Jane nie chce współpracować. Pomyślałem o wypowiedziach, które mogłyby nas poprowadzić we właściwym kierunku, przypomniałem sobie tylko jedną: „Lauren nigdy nie dostała nic od swojego ojca i może to była moja wina”.

Czuła się winna, musiała przeżywać piekło. Ale nawet to nie skłoniło jej do powiedzenia prawdy. Bała się o własne bezpieczeństwo. Słusznie.

A może było w tym coś jeszcze: więzi, które spajały tę rodzinę, były oparte na kłamstwach.

– Czas się zgadza – powiedziałem. – Lauren została aresztowana za prostytutkę w Reno, kiedy miała dziewiętnaście lat, zadzwoniła do Lyle’a po pieniądze na kaucję, ale on odmówił. Zawsze mnie zastanawiało, że nie skontaktowała się z Jane, ale może było tak dlatego, że nadal zależało jej na tym, i co Jane myśli. I może Jane przyszła jej w końcu z pomocą. Ale nie dała jej pieniędzy od Tony’ego Duke’a, ponieważ uznała, że Lauren nie będzie umiała ich wykorzystać we właściwy sposób. Zamiast tego próbowała nawiązać z Lauren kontakt. To musiał być długi proces. Lauren od trzech lat była na ulicy, pełna złości, nadal się rozbierała i prostytutkowała. Ale Jane nie dała za wygraną i w końcu coś zaskoczyło, wytwarzała się jakaś więź. Bo dwa lata później – kiedy Lauren miała dwadzieścia jeden lat – Jane dała jej te pieniądze, posługując się Melem Abbotem jako przykrywką. Pamiętasz, jak Jane podkreślała, że Lauren i Mel bardzo się lubili? – Pokiwał głową. – Mel w roli fajnego faceta sprawił, że Lauren łatwiej we wszystko uwierzyła.

– Zaraz po tym, jak Lauren dostała sto tysięcy, założyła sobie konto inwestycyjne, wróciła do szkoły, a potem poszła do stanowego college’u, przestała pracować dla Gretchen. Może to wszystko było częścią umowy z Jane albo Lauren naprawdę chciała wziąć się w garść. Potem, rok po roku inwestowała wszystkie otrzymywane pieniądze.

– Umowa, powiadasz – mruknął Milo. – Zmień swoje życie, zostań bogata. – Położył rękę na moim

ramieniu, a jego oczy przybrały ten smutny, współczujący wyraz, który pojawia się zawsze, gdy Milo ma do przekazania jakąś złą wiadomość.

– Wiem – powiedziałem. – Lauren nadal się prostytuowała. Gotówka, której nie zgłaszała nawet w urzędzie skarbowym, gotówka na bieżące wydatki.

„Świetne napiwki”. Drogie przyzwyczajenia. Pogodzona z matką czy nie, Lauren pozostała pełną złości młodą kobietą. Bolało ją, że straciła tyle lat, nie wiedząc, że jest córką Tony’ego Duke’a. Bolało ją to, przez co musiała przejść w swoim życiu.

To, co Andy Salander nazwał marzeniem każdej małej dziewczynki, stało się dla Lauren rzeczywistością. Tylko koniec był nagły i tragiczny.

– Może to wcale nie był szantaż – powiedziałem. – Lauren mogła po prostu chcieć skorzystać ze swoich praw jako córki, przejęła inicjatywę i wyprowadziła swoją nową rodzinę z równowagi.

Co, ktoś ją związał i zastrzelił dlatego, że chciała emocjonalnego zadośćuczynienia? – Oczy Mila były nadal smutne, a głos miękki. – Wiem, że chcesz wierzyć, że było w Lauren coś dobrego, ale ta zimna egzekucja i wszystkie te zabójstwa świadczą o tym, że szantażowała starego Tony’ego i to mocno. Pięćdziesięciotysięczna renta na rok to jedno, a kawał Duke Enterprises to co innego.

– Może próbuję to z siebie wyprzeć – odparłem. – Ale pomyśl, Milo. Szantaż mógł być skuteczny tylko przy założeniu, że Duke ma coś do ukrycia. Ale on przez lata przysyłał Jane i Lauren pieniądze. Gdyby chciał się ich pozbyć, mógł to zrobić od razu, na samym początku, prawda?

– Ale kontaktował się z Jane, a Jane była rozsądna. Kiedy Lauren poznała prawdę, sprawa się zaogniła. Och, ta niecierpliwa młodzież. Jane wiedziała, na co stać jej córkę. Dlatego próbowała ją powstrzymać od kontaktów z Dukiem. I dlatego po zniknięciu Lauren podejrzewała, że święci się coś złego. Chociaż nie powiedziała mi o tym.

– Jane najpierw wyjawiała, kto jest tatusiem Lauren, a potem chciała ją powstrzymać – zauważyłem. – To było fatalne zagranie.

– Albo pomyłka. Ludzie czasem się mylą. Salander ma rację z tanim winem. Jane żyła z tą tajemnicą przez dwadzieścia lat. Na chwilę przestała nad sobą panować i wszystko wyznała. Potem zdała sobie sprawę, co zrobiła, próbowała zagonić Furie z powrotem do puszki.

– Ale jednak – zauważyłem – obecność doktora Maccaferriego w rezydencji świadczy o tym, że Duke jest poważnie chory. Dlaczego teraz miałby się martwić tym, że Lauren jest jego córką? Przeciwnie, myślę, że mógł chcieć poznać swoje dziecko. Ale są ludzie, którzy mogli postrzegać Lauren jako wielkie zagrożenie, jako kandydatkę części spadku.

Włożył ręce w kieszenie marynarki.

– Dugger i jego siostra.

– Lauren miała pistolet, ale nigdy go nie użyła. Wydaje mi się, że знаła mordercę i ufała mu.

Przyrodnie rodzeństwo pasuje tu jak ulał. Zwłaszcza taki ktoś jak Ben Dugger, na zewnątrz całkiem uroczy człowiek. Lauren myślała, że ma go po swojej stronie, przestała się pilnować. Myślała, że to ona jest aktorką, a on widownią. I to ją zgubiło.

Mała ciężarówka z dostawą pizzy wjechała szybko na parking, zatrzymała się. Kierowca sprawdził adres, podjechał do drzwi wejściowych, zatrzymał się z piskiem opon w miejscu oznaczonym napisem ZAKAZ PARKOWANIA. Dzieciak w niebieskiej bejsbolówce wysiadł z dwoma białymi, płaskimi pudełkami.

Milo zawołał: „Hej!” i zamachał. Dzieciak zatrzymał się, a my podbiegliśmy do niego. Latynos, może osiemnastolatek, z wygoloną głową, azteckimi rysami i zdumionymi, czarnymi oczami.

– Proszę, przyjacielu – powiedział Milo, wręczając mu dwie dwudziestki. – Pokój dwieście piętnaście, po prostu zapakuj i zostaw pizzę pod drzwiami. Reszta dla ciebie.

– Dzięki, człow... proszę pana. – Chłopak pobiegł do hotelu, pchnął drzwi i zniknął.

– Gdyby na olimpiadzie było roznoszenie pizzy, mielibyśmy złoty medal – powiedział Milo i pomaszerował w kierunku swojego służbowego samochodu, a ja za nim.

– Lauren prawdopodobnie wydawało się, że zależy jej na pieniądzach, a tak naprawdę szukała ojca. Smutne – zauważyłem.

– Ciekawe – powiedział – czy Lyle w ogóle podejrzewał, że Lauren nie była jego córką.

– Dlaczego?

– Bo Lauren mogła mu chlapnąć coś takiego na odchodnym. To by tłumaczyło jego wrogość, kiedy go informowaliśmy. I to, dlaczego wypytywał mnie o testament Lauren. To, że nie jest jej krewnym, znaczy, że nie ma prawa do niczego, co po niej zostało. Ale teraz, kiedy Jane też nie żyje, nikt nie będzie z nim kruszył o to kopii. W świetle prawa może nadal być jej ojcem. Duke'owie na pewno nie będą przeciwko temu protestować i Lyle zagarnie inwestycje Lauren. A nawet jeśli połączy Lauren z Duke'ami, będzie trzymał język za zębami, bo to pozbawiłoby go trzystu tysięcy dolarów. Dla nich to i tak grosze. Dla Lyle'a to forsa na resztę życia.

– Lauren rzeczywiście powiedziała coś takiego Tish Teague. Że jej córki nie są dla niej rodziną a ona mogła to powtórzyć mężowi. Ale on sam mówił nam, że próbowali mieć z Jane inne dzieci, ale udało się tylko z Lauren. Więc to był głównie problem Jane. Tak czy inaczej, Lauren mogła w ten sposób podkopać jego męskość, a to mogło prowadzić do czego innego. Lyle jest pełen złości, otacza się bronią. Mógł stracić nad sobą panowanie. Załatwić Lauren, a potem Jane. Z zemsty za kłamstwa. A teraz liczy, że coś mu z tego jeszcze skapnie.

– Alternatywny scenariusz – mruknął. Po pięciu krokach: – Nie, nie podoba mi się. Gdyby Jane podejrzewała Lyle'a, na pewno by nam o tym powiedziała. Poza tym Lyle nie znał Michelle i Lance'a. Nie mógł ich znać. Nie, sposób, w jaki Lauren została zamordowana, wyklucza zbrodnię w afekcie. Lyle jest po prostu zwykłym sęmem, nigdy nie zależało mu na Lauren. Dziewczyna miała

niezłe życie.

– Krótkie – zauważyłem i łzy zaczęły napływać mi do oczu.

Doszliśmy do samochodu.

– Lauren siedziała cały czas przy komputerze – powiedział. – Zbierała dane o swojej rodzinie.

– Odkryła Bena Duggera. Dowiedziała się o jego eksperymentach. Zgłosiła się na badania. Nie dla pieniędzy, tylko żeby go poznać. Zatrudnił ją jako „sadzonkę” użyła swoich sztuczek, żeby wkraść się w łaski Duggera. Pocił się, był podenerwowany, kiedy zacząłeś go wypytywać o osobiste związki z Lauren. Może podobala mu się i wykorzystał ją bo taką miała pracę. Ale w końcu powiedziała mu prawdę.

– Wiesz co? Jestem twoją siostrą.

Kiwnąłem głową.

– Jak na rodzinne spotkanie, musiało to być niezłe zaskoczenie. Pieniądze, ale może coś jeszcze. Zawsze wydawało mi się, że Dugger ma jakieś seksualne zahamowania albo przynajmniej odbiega w tych sprawach od normy. Jeśli Lauren go podniecała, to wiadomość, że jest jego siostrą mogła spowodować głęboki lęk przed kazirodztwem. I wściekłość. Dorzuć do tego to, że Lauren chciała kawałek jego spadku i katastrofa gotowa. Nie mogła sobie wybrać gorszego momentu na ujawnienie się.

„Duże napiwki”. Lauren oszukiwała się, że to ona ma władzę, że rozdaje wszystkie karty. Ale tasował je kto inny.

Otworzył drzwiczki i wsiadł do samochodu.

– Spadek każe mi myśleć jeszcze o jednym, Alex. Pamiętasz tę historyjkę o gazie, którą opowiedziała ci Cheryl Duke? A jeśli to wcale nie był wypadek, tylko próba zmniejszenia liczby osób, czekających w kolejce po majątek?

Ścisnęło mnie w gardle, przez chwilę nie mogłem złapać powietrza.

– Baxter i Sage. Martwy pies ostrzegł Cheryl, mieli szczęście. Ale w końcu zamieszkali u Duke’a. Pod kontrolą całej rodzinie. To nadaje nowe zabarwienie sugestiom Kenta Irvinga o tym, że Cheryl bywa nieuważna, jakby przygotowywał scenę na kolejne zabójstwa. Żeby nikt się nie dziwił, gdy dzieci utoną w basenie albo spadną ze skały do oceanu.

– Cheryl zasnęła na plaży, więc niczego nie podejrzewa, daje im nieświadomie pole do działania.

– To prawda – powiedziałem. – Geniuszem to ona nie jest. Dlaczego miałyby coś podejrzewać? Ludzie niezdolni do zbrodni nie potrafią sobie nawet wyobrazić takich rzeczy.

– Ludzie bez wyobraźni mogą być ponętnym celem.

– Te dzieci. – Wyobraziłem sobie wysokie mury, metalowe bramy, kamery, fale oceanu.

Pokręcił głową.

– O Chryste – powiedziałem.

– Słuchaj, Alex, ci ludzie są źli, ale nie głupi. Wykończenie dzieciaków to bardzo brudna robota. A zrobienie tego niedługo po zabójstwie Lauren byłoby koncertowo nierozważne.

– Ale może im zależeć na czasie. Tony Duke wybiera się do Krainy Wiecznych Łowów, trzeba się pośpieszyć, zanim jego testament zostanie odczytany. Czy nie można by tam wkroczyć chociaż po to, żeby ich nastraszyć?

– Na razie mogę zadzwonić do Ruiza i Gallardo i poprosić, żeby zajrzeli do finansów Jane. Jeżeli wychwyć jakieś powiązanie z Dukiem, będziemy mogli przycisnąć Duggera i jego rodzinę. Ryzykujemy oczywiście, że Dugger, Anita i Irving pozbędą się dowodów, zatrudnią armię adwokatów i tak dalej.

– Pieniądze i władza – powiedziałem. – Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Zapalił silnik.

– Ludzie z ich pozycją... Nie będę cię okłamywał, dobranie się im do skóry nie będzie łatwe.

Robin nie było w domu i nie byłem z tego zadowolony. Ale poczułem również ulgę i to też zaczęło mnie gryźć.

Zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce. „Alex, ciągle jestem uwiązana u wiesz kogo. Teraz jego agent chce, żebym została na sesji zdjęciowej – mam pozować, pokazując mu, jak trzymać gitarę i układać palce przy akordach... Straszne głupoty, ale płacą mi od godziny... Po sesji, która pewnie późno się skończy, możemy wyjść na kolację. Całą grupą – facet potrzebuje *entourage* ‘u. Pewnie w Rue Faubourg na Hillhurst, spróbuj mnie tam później złapać. Albo wcześniej, tutaj w studio. Przenieśliśmy się z jego domu do Golden Horse Sound, tu masz numer... Bądź grzeczny, Alex”.

Zadzwońłem do studia nagrań, zostawiłem wiadomość na sekretarce. Myślałem o Baxterze i Sage, gdy Robin oddzwoniła.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć. Przepraszam, że cały dzień mnie nie ma. – Miała zmęczony głos, ale w przeprosinach nie doszukałem się nawet nuty żalu.

– Wszystko gra?

– Jasne, a co u ciebie?

– Nie jesteś chyba ciągle na mnie zła?

– Dlaczego miałabym być na ciebie zła?

– Nie wiem, może byłem ostatnio trochę nieobecny.

– Cóż – powiedziała – nie mogę powiedzieć, że do tego nie przywykłam.

– Jesteś zła.

– Ależ skąd. Słuchaj, Alex, naprawdę nie mogę teraz z tobą rozmawiać, wołają mnie...

– Ach, ta sława.

– Daj spokój – odparła. – Porozmawiamy później. Musimy gdzieś się wybrać. I nie mam na myśli kolacji ani orgazmu. Ale wakacje, takie prawdziwe, na jakie jeżdżą normalni ludzie. Pasuje do twojego harmonogramu?

– Jasne.

– Na pewno? Bo to, czym się zajmujesz, sprawa tej dziewczyny, wystrzeliło cię w zupełnie inną

galaktykę.

– Dla ciebie zawsze mam czas – powiedziałem.

Cisza.

– Słuchaj, nie pójdę na kolację z tymi ludźmi. Strasznie się tym podniecają, Elvis i cała świta. To jak obóz letni, wszyscy robią wszystko razem. Ale ja do nich nie należę, nie muszę z nimi iść.

– Nie – powiedziałem. – Skończ tę sesję i rób to, co powinnaś.

– I mam cię zostawić samego? Wiem, że potrzebujesz samotności, ale myślę, że już masz jej przeze mnie za dużo, właśnie to próbuję ci powiedzieć. Oboje nie mieliśmy ostatnio dla siebie czasu.

– To moja wina – powiedziałem. – Ty byłaś w porządku.

– Po prostu świetna – odparła. – Chcesz mnie ukarać letnimi komplementami?

– Daj spokój, Robin...

– Przepraszam, chyba jestem... trochę dziwnie się czuję, jakby nie na miejscu.

– Kończ pracę i wracaj do domu, a potem poudajemy normalną parę i zaplanujemy wakacje. Gdzie tylko chcesz.

– Wszędzie, byle nie tu, Alex. Nie dzieje się nic takiego, czemu nie zaradziłaby odrobina luzu, racja?

– Racja – powiedziałem. – Wszystko się ułoży.

Odczekałem dłuższą chwilę, aż głos Robin, jego barwa i znaczenie słów przestał rezonować w mojej głowie. Wyciągnąłem z portfela karteczkę.

Dziewięta piętnaście wieczorem. Okna w moim gabinecie były już czarne i wyobraziłem sobie czarny ocean, malutkie główki miotane przez fale, wsysane w głęb, krążące rekiny, niekończący się płacz matki.

Cheryl Duke odebrała po piątym sygnale.

– O, cześć.

– Cześć.

– Jejku. Zadzwońeś.

– Czyżbym słyszał zdziwienie w twoim głosie?

– No, wiesz... nigdy nic nie wiadomo.

– Pomyślałem, że może się jakoś spotkamy.

– Serio? Hmm. No to co miałeś na myśli?

– Trochę już za późno na kolację, ale jeżeli jeszcze nie jadłaś, mogę się poświęcić. A może skoczymy na drinka?

– Jadłam – zachichotała. – Myślałeś o jedzeniu i piciu, he?

– To byłby jakiś początek.

Myślałem o tym, jak mordują twoje dzieci. O tym, jak mogę cię ostrzec.

– Gdzieś trzeba zacząć – powiedziała. – Gdzie i kiedy?

– Jestem otwarty na sugestie.

– Do tego otwarty, hmm?

– Tak mi się wydaje.

– Hmm... Właśnie położyłam dzieci spać... Może za pół godziny?

– Gdzie?

Znowu chichot.

– Tak po prostu, he? Na wszystko z miejsca się zgadzasz?

– Kiedy mam motywację.

– No pewnie – powiedziała. – To co powiesz na miłą rozmowę, ale bez drinków?

– Świetnie.

– Tylko rozmowa. Przynajmniej na razie.

– Ależ oczywiście.

– Zgadzasz się?

– Tak.

– Hmm... Nie mogę odchodzić za daleko... dzieci...

– A co powiesz na to samo miejsce, co poprzednio? Country Mart?

– Nie, za dużo ludzi. Spotkajmy się na plaży przy starym moło Paradise Cove. Tam, gdzie

wypożyczyłeś kajak. Tam będzie spokojnie, miło i intymnie. No i ładnie. Często tam sama chodzę, popatrzeć na ocean.

– Dobra – powiedziałem. – Ale przy dawnej stróżówce jest szlaban.

– Zaparkuj przy szosie, resztę drogi przejdiesz na piechotę. Ja tak zrobię. Jak zobaczysz mojego expedition, od razu będziesz wiedział, że jestem na miejscu. Jeżeli nie przyjadę, to znaczy, że coś mi wypadło. Dzieci się obudziły albo coś takiego. Ale postaram się.

– Znakomicie. Bardzo się cieszę.

– Ja też, Alex.

Bez problemów dojechałem do zjazdu z Pacific Coast do Paradise Cove. Była 9.55. Zwolniłem i zacząłem się rozglądać za expedition Cheryl. Nie zauważyłem go, nawet gdy dojechałem do budki ze szlabanem, skręciłem w lewo i zaparkowałem samochód. Siedziałem przez chwilę w środku i zastanawiałem się, jak przemienić randkę w poważną i bolesną rozmowę.

Randka. Miałem nadzieję, że zdołam wrócić do domu przed Robin. Gdyby stało się inaczej, powiem, że po prostu jeździłem bez celu samochodem.

Siedziałem w seville’u jeszcze przez chwilę i żaden łatwy scenariusz nie przychodził mi do głowy. Zastanawiałem się, czy Cheryl rzeczywiście się zjawi i czy rozmowa z nią wystarczy, bym mógł spokojnie wyjechać z Robin na wakacje i posmakować tego, co nazwała normalnym życiem.

Wysiadłem z samochodu i poszedłem w kierunku placu budowy, posługując się księżycem jako kompasem. Wymijałem sterczące gwoździe, deski i kamienie.

Mroźna noc, fioletowo-czarne niebo upstrzone gwiazdami, woda w dole była atramentowa z białymi iskierkami. Skierowałem się na południe, w stronę pozostałości molo, wdzierającego się niebezpiecznie w ocean. Ktoś zwinął siatkę odgradzającą wejście na molo od plaży i przez moment zastanawiałem się, czy jestem sam. Ale kiedy zatrzymałem się, nie zauważyłem żadnego ruchu oprócz gnących się na wietrze jaworów, nie usłyszałem nic oprócz szumu fal.

Przechadzałem się bez celu, nie siląc się na spostrzegawczość. Od strony drogi dobiegł mnie chrypliwy pomruk silnika. Potem odgłos zatrzaskiwanych drzwi. Kroki. Szybkie kroki.

Przypominająca kształtem klepsydre sylwetka Cheryl Duke pojawiła się kilka sekund później i zbliżała do mnie lekkim krokiem. Była dobrze widoczna dzięki obcisłemu jasnemu cardiganowi, białej koszulce i białym džinsom. Szła, machając rękami, rozluźniona i pewna siebie.

– Tutaj – powiedziałem, a ona skierowała się w moją stronę.

Spojrzała na mnie, zamachała.

Kiedy do niej podszedłem, uśmiechała się. Cardigan był zrobiony z różowego kaszmiru. Opinał jej

talię i biust. – Ubrałam się tak, żebyś mnie mógł łatwo zauważyć.

– No, od razu cię zobaczyłem.

Roześmiała się, zarzuciła mi ramiona na szyję, pocałowała w usta. Jej język przedarł się pomiędzy moimi zębami, musnął podniebienie, wypełnił mi gardło, wycofał się. Ze śmiechem odrzuciła do tyłu głowę. Wystawiła język – duży i zwężony na końcu – zawinęła go do góry, polizała koniuszkiem nos.

– Widzisz – powiedziała – rozmiar liczy się w wielu sprawach. – Przytrzymałszy moją głowę dłonią, zaczęła gryźć swoimi ostrymi ząbkami mój podbródek, a ja przypomniałem sobie, jak jej synek ugryzł mnie w ucho. Rodzina mięsożerców. Trzymałem ręce przy sobie, chwyciła je i położyła na Swojej pupie. Jej piersi przyciskały się do mnie, twarde, nieustępliwe. Jej miednica ocierała się o moją, potem odepchnęła mnie.

– Teraz dostaniesz tylko tyle. – Miała rozpuszczone, białe od księżycowego światła włosy.

– Kurczę blade – powiedziałem, nadal czując jej język w gardle.

– Och, moje biedactwo. – Znowu odepchnęła mnie lekko. – Dlaczego miałabym dać się zerznąć facetowi, którego prawie nie znam?

– Facet zawsze może mieć nadzieję.

Wzięła mnie ze śmiechem za rękę i poprowadziła w kierunku budowy.

– Dokąd idziemy? – zapytałem.

Wskazała na szczątki molo.

– Uwielbiam to molo. Ono tak po prostu wychodzi w nicość.

– W wieczność.

– Właśnie.

Kiedy zbliżyliśmy się do zwiniętego ogrodzenia, powiedziałem:

– Czy tu jest bezpiecznie?

Znowu śmiech.

– Kto wie? – Popchnęła mnie na połamaną konstrukcję, puściła moją rękę i zaczęła iść dalej po chwiejnych deskach. Czułem, jak drewno ugina się pod moimi stopami. Nadepnałem na drzazgę i prawie straciłem równowagę. Cheryl była daleko przede mną, tańczyła na deskach, przez szpary lśnił czarny ocean. Patrzyłem, jak rozpędza się, biegnąc w kierunku wody, jakby chciała zanurkować.

Zatrzymała się parę centymetrów przed krawędzią, wyrzuciła w tył ramiona, wzięła się pod boki.

Dogoniłem ją właśnie, gdy skrzyżowawszy ręce, ściągnęła sweter, potem koszulkę i odrzuciła je do tyłu. Sztuczne piersi zakołysały się, gdy śmiech zatrzęsł jej ciałem. Sutki, wielkie i twarde, mierzyły w niebo niczym torpedy.

Pięty jej sportowych butów zawisły nad wodą, kiedy stojąc przodem do mnie zrobiła kroczek w tył. Zakręciło mi się w głowie, gdy zaczęła lekko podskakiwać w górę i w dół, cofnąłem się.

– Och – powiedziała. – No, dalej. To fantastyczne uczucie.

– Wierzę ci na słowo.

– Nie lubisz latać?

– Nie dzisiaj.

Popodskakiwała jeszcze trochę, rozpostarła ramiona.

– Pewnie w ogóle. A co jeśli to znaczy, że nie będziemy się pieprzyć?

– Jak już powiedziałem, kurczę blade.

Zachichotała głośniej.

Zaczęła przesuwać się wzdłuż krawędzi. Oddychała szybko, znowu się odezwała:

– Fajowo, nie? Zawsze świetnie łapałam równowagę.

– Imponujące.

– Potrafię też połykać miecze.

– Pracowałaś w cyrku?

– Coś w tym rodzaju. – Dotarła do rogu, zaczęła się przesuwać w odwrotnym kierunku, stanęła na jednej nodze, druga noga zawisła w pustej przestrzeni nad wodą. Patrzyłem na nią, nic nie mówiąc, i zastanawiałem się, w jaki sposób przekonam ją, że jest w niebezpieczeństwie. Zaczęła mruzczyć, zamknęła oczy. Przeszła na ślepo kilka kroków.

Mruczała, ale wyczułem nutkę strachu. Oświetlone przez gwiazdy strużki potu spływały spod jej pach po pełnych piersiach. Zaczęła łapać powietrze, ale nie przestawała iść i mruzczyć z zamkniętymi oczami.

W końcu – bez ostrzeżenia – odsunęła się od krawędzi i krzyknęła w niebo: „Tak!” Rozmasowała piersi i wykrzyknęła jeszcze raz. Potem usiadła na deskach, podparła brodę kolanami, spuściła głowę.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Świetnie. Chodź tutaj.

Zbliżyłem się, wyciągnęła ręce i przyciągnęła mnie do siebie.

– Jesteś cykor, ale podobasz mi się. – Dotknęła nosem mojej szyi, oparła głowę o mój bark. – Moglibyśmy to tutaj zrobić, teraz. Gdybym miała na to ochotę. – Chwyliła mnie za włosy, potargała lekko, potem mocniej. – Wyobrażam sobie, że jesteśmy tam – pokazała kciukiem koniec mola. – Ty jesteś na dole, ja na górze, głowa zwisa ci nad wodą i patrzysz na mnie, głęboko we mnie, twoje jaja obijają się o moją dupę, podoba ci się to, co z tobą robię tak bardzo, że nawet nie czujesz strachu. Co ty na to?

– Jestem otwarty na nowe doświadczenia, ale...

– Mówisz „nie”?

– Mówię, że chciałbym jeszcze przeżyć parę wiosen.

– Cykor – powiedziała ze złością. – Odmawiasz z powodu odrobiny niebezpieczeństwa? – Uśmiechając się, poklepała mnie po głowie, wstała, pochyliła się, przybliżyła piersi do moich ust, odsunęła się.

– Wielka szkoda, mały człowieczku. Potrzebuję oddania – oznajmiła twardym głosem. – Mam już dość cykorów i patałachów...

Wstałem.

– Tony Duke jest patałachem?

Podeszła do mnie, uśmiechając się. Wyciągnęła rękę i znowu pociągnęła mnie za włosy. Błyszczące paznokcie odbijały światło gwiazd. Złapała mnie za podbródek i trzasnęła otwartą ręką w usta. Poczułem, jakby przez zęby przepływał mi prąd elektryczny.

– Nie znasz mnie, więc nie traktuj mnie w ten sposób. Bolała mnie warga. Kiedy jej dotknąłem, poczułem, że jest mokra.

– Zepsułeś mi nastrój – oznajmiła.

– Dlatego, że nie chciałem zwisać nad wodą?

– Och – powiedziała. – Naprawdę straszny z ciebie cykor. Twoja strata. – Poklepała swoje krocze. – To, co tutaj mam, wciągnęłoby cię jak wir i wyssało do ostatniej kropli.

Wyćwiczony gest. Gadka kurwy.

Sprzedawała się między jazdą na wrotkach i tańcem, jak Lauren? Czy to było jej główne zajęcie, zanim poznała Bena Duggera i Tony’ego Duke’a?

Podbiegła do swojej koszulki i swetra, rozstawiła szeroko nogi – postawa bojowa, a nie zaproszenie do łóżka. Pokazała mi środkowy palec.

– On myśli, że jest taki mądry. Mówiła o mnie w trzeciej osobie. Gramatyka więcej niż symboliczna i wiedziałem, że nie chodziło jedynie o to, że odmówiłem seksu.

Widownia. Zanim zdołałem oszacować niebezpieczeństwo, zdecydować, co zrobię, ze spowitego w mroku wejścia na molo wyszedł mężczyzna. Zbliżał się do nas.

Cheryl odwróciła się do mnie plecami i podeszła do niego. Był ledwo widoczny, bo, ubrał się na czarno.

Czarny dres, czarne buty. Spotkali się z Cheryl w połowie mola. Wszystko było wyreżyserowane, tylko ja nie zostałem wtajemniczony.

– Myśli, że jest mądry – powtórzyła Cheryl. Kent Irving nie odpowiedział. Jego jasne włosy były związane w kucyk, podkreślając szerokość okrągłej, ogorzalej twarzy. Zaciętej twarzy. W prawym ręku miał coś srebrzystego i połyskliwego.

Cheryl błysnęła zębami, przyciskając mocno koszulkę do piersi.

– Kotku – powiedziała.

Usta Irvinga nadal pozostawały zamknięte.

– Dobrze, że przyszedłeś właśnie teraz, kotku – powiedziała. – Już miał mnie zerznąć do nieprzytomności. Zgwałciłby mnie i wrzucił do wody.

Pocałowała go w ucho. Irving nadal nie reagował. Podeszedł bliżej. Nie miałem dokąd uciekać, ale i tak zrobiłem parę kroków w tył. Automatyczny pistolet w jego dłoni znajdował się na wysokości mojej twarzy.

– Myśli, że jesteśmy głupi, kotku – powiedziała Cheryl. – Myśli, że nie zorientujemy się, że nie przepływał tak po prostu obok, a potem nie rozwiązywał jak gdyby nigdy nic krzyżówki. Że nie będziemy nic podejrzewać. Dupek.

– Podejrzenia są obopólne. Policja wie, że tu jestem – odparłem.

– Akurat – powiedziała. Irving nadal milczał i stał nieruchomo. Jak daleko za mną znajdowała się krawędź, jak wysokie były fale? Czy uderzę o wodę, czy o twarde dno i złamię kręgosłup jak suchy patyk? Gdybym mógł oszacować odległość, czy powinienem się przeturlać, czy wtedy zdołam ujść tylko ze strzaskanymi zębami i wewnętrznymi obrażeniami? Nie czytałem, jaka będzie fala, bo nie miałem po temu powodu. Świetne planowanie, nie ma co.

Kent Irving zbliżył się nieco, ja stałem w miejscu. Lufa pistoletu znajdowała się trzy metry ode mnie. Chromowe wargi i małe, czarne usteczka, które mówiły O.

Cheryl wydeła wargi.

– Tak, kotku. Uratowałeś mnie, kotku. To bydlę, zerznąłby mnie bez litości, wykorzystałby mnie, a potem wyrzucił. – Położyła dłoń na jego mięsistym ramieniu.

– Tak – powiedział.

– Tak, tak, kotku, więc mnie ocaliłeś. Nie będziesz tego żałował.

– Naprawdę myślisz, że to sielanka? – zapytałem. – Policja naprawdę wie, że tu jestem. Że spotykam się z tobą, Cheryl. On nie może sobie na to pozwolić. Zresztą jesteś tylko zabawką w jego rękach, wykorzysta ciebie, Baxtera i Sage...

– Dosyć – powiedział miękko Irving. Tego samego słowa użył w stosunku do Cheryl. Brak modulacji w jego głosie mówił wszystko.

Bez problemu, bez wysiłku. Oczy równie żywe co kamienie. Po prostu biznes.

Może wynajął kogoś do zabicia Lauren, Michelle, Lance'a i Jane, ale jeśli tak, to dla wygody, a nie ze strachu. Mógł pociągnąć za spust tak, jak myje rano zęby, i zaraz potem zjeść śniadanie, nie myśląc o tym ani przez chwilę.

– Wiesz, że mam rację, Kent – powiedziałem. – Nie możesz ryzykować, że zabrają ją na policję. Prędzej czy później ona musi odejść. Jest głupia, szalona i nieodpowiedzialna. Naprawdę wierzy, że zostawisz dla niej Anitę, razem podzielicie się pieniędzmi Tony'ego i będziecie żyć długo i szczęśliwie. Jak dzielny rycerz i księżniczka. Ale ona nie jest księżniczką, tylko kurwą, możesz mieć takich na kopy. Jeszcze jedna głupia cipa z plastikowymi cyckami...

Cheryl ruszyła w moim kierunku, ale Irving zatrzymał ją wolną ręką.

– Pierdol się! – wrzasnęła. – Pierdol się, fiucie! Nie pozwól, żeby tak o mnie mówił, kotku. Nie może mnie tak obrażać, nie pozwól mu, kurwa, na to.

Wrywała się z uścisku Irvinga, ale jego dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku. Podczas całej szamotaniny ramię z pistoletem ani drgnęło. Jeżeli mrugnął, to nie zauważyłem tego. Podłączenie go do wykrywacza kłamstw mogłoby dać ciekawe wyniki. Z naukowego punktu widzenia.

– Daj mi pistolet – powiedziała Cheryl. – Pozwól mi go wykończyć – Potrafię to zrobić, wiesz, że potrafię. Zastrzelę go na miejscu tak jak ją, pozwól mi!

– Ją? – zapytałem. – Lauren czy Michelle, czy Jane, czy Shawnę? Dźwięk ostatniego imienia spowodował przez ułamek sekundy błysk zaskoczenia w oczach Irvinga. Niepewność. Nieznana osoba.

– Tę sukę Lauren – powiedziała Cheryl, zadowolona. Splunęła na molo. – Tę pizdę Lauren. Myślała, że może zostać moją przyjaciółką. Myślała, że coś nas łączy, że byłam taka jak ona...

– I miała rację – przerwałem jej. – Obie sprzedawałyście swoje ciała.

– Pierdol się!

– Cicho – powiedział Irving. Jego ręka nadal ścisnęła jej nadgarstek. Zrobił coś, co sprawiło, że krzyknęła: „Auu”.

Potem:

– Kotku?

– Lubisz ból – stwierdziłem. – Co za dobrana z was para. Więc jak zwabiliście Lauren?

– Sztuką – odparła Cheryl takim głosem, jakby chodziło o chorobę. – Myślała, że jest taka fajna, umówiliśmy się na spotkanie w muzeum sztuki, a potem...

Irving wykręcił jej nadgarstek, żeby przestała mówić.

– Ćśśśś – uspokoił ją.

– On jest szefem, namówił cię, żebyś wystawiła mu Lauren – podjąłem. – Przy kobiecie się nie pilnowała. Dwie dziewczyny i ładne obrazki. Już wyznała ci swój sekret. Powiedz, patrzyłaś, jak ją wiązał? Czy pomogłaś mu wyrzucić jej ciało do śmietnika?

– To było świetne...

Irving znowu wykręcił jej rękę, ona znowu krzyknęła.

– Twoje zdrowie, Cheryl – powiedziałem. – Może to nie stanie się dziś, ale radzę ci: daruj sobie długoterminowe inwestycje. Nawet gdybyś nie była głupia i nieprzewidywalna, nie byłoby dla ciebie miejsca w jego planach, bo twoje dzieci stoją mu na przeszkodzie. Pomyśl o tym wycieku gazu... Powiedz, co teraz przygotowujesz, Kent? Zrzucisz Baxtera ze skały? A Sage znajdzie się przypadkiem pośrodku basenu? A może oboje utoną w oceanie?

Irving uśmiechnął się. Cheryl nie mogła tego widzieć, ale jego milczenie spowodowało, że jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

– Może pozwolę ci go wykończyć – powiedział do niej.

– Grunt to kreatywność – zauważyłem. – Jej odciski palców znajdują się na pistolecie, a jedna z kul trafi w jej głowę. Morderstwo i samobójstwo w czasie kłótni kochanków na moło. Masz już doświadczenie w takich sprawach, zabrałaś Lauren pistolet i tydzień później zastrzeliłaś z niego Jane Abbot. Podłożyłaś pistolet staremu Abbotowi. W jaki sposób namówiłaś Lauren, żebyście zostały same, Cheryl?

– Babskimi rozmowami, dupku...

– Cśśś – powiedział Irving. – Dość tego gadania. Tak, dam ci go wykończyć. – Robi się niezły stosik trupów – zauważyłem. – Przynajmniej to nie jakaś bezsensowna zbrodnia wariata. Masz swój plan. Tony wkrótce umrze, a o to, co po sobie zostawi, na pewno warto się starać. Odwalasz brudną robotę za Bena i Anitę i może nawet pozwolą ci się cieszyć częścią łupu. Ale nigdy nie wiadomo, bogaci nie potrafią być wdzięczni.

Irving ani drgnął.

– Kotku? – zapytała miękko Cheryl. – Kochasz je, prawda? Baksa i Sage?

– Jasne – odparł Irving.

– On ma takie zdolności do miłości jak ty do fizyki kwantowej – powiedziałem. – Bardzo je pokocha jako dwa małe trupy. Nie ma mowy, żeby dotrwały do pierwszej klasy, kotku. Jesteś świetną mamą, kotku.

Cheryl podniosła zaciśnięte pięści.

– Zamknij się! Daj mi to, załatwię go!

Irving nie ugiął się.

– Kie-ent! – jęknęła.

Puścił jej nadgarstek i kiedy ruszyła do przodu, oplótł ramię wokół jej talii. Cały czas mierzył we mnie. Sięgnął do jej piersi. Ścisnął ją uszczypnął sutek.

– Och – powiedziała, Znowu ją uszczypnął.

– Au u, teraz za mocno!

– Przepraszam – powiedział Irving.

Pocałował ją w czubek nosa.

Pchnął ją mocno.

Kiedy podnosiła się, patrząc na mnie, błyskawicznie wymierzył i strzelił dwa razy prosto w jej twarz. Odskoczył, żeby nie poplamić się rozbryzgującą się krwią. Zanim upadła na ziemię, pistolet znowu wycelował we mnie.

Upadła na bok.

– Dzięki – powiedział do mnie. – Podsunąłeś mi dobry pomysł. Tak, miałem już na nią plany, ale tak będzie nawet lepiej.

– Jestem szczęśliwy, że mogłem pomóc – odparłem. – Ale może nie tylko ona miała złudzenia.

Przemyśl sobie to, co powiedziałem: czy Anita i Ben na pewno tak chętnie się z tobą podzielą? Rozpieszczone bogate dzieciaki rzadko okazują wdzięczność.

Wzruszył ramionami. Spod głowy Cheryl wyciekała krew, czarna w świetle gwiazd jak smoła. Odsunął się od powiększającej się kałuży.

– To nieważne, tak? – zapytałem, patrząc na martwe ciało. – Dla nich też masz swoje plany. Naprawdę sądzisz, że ujdzie ci to wszystko na sucho?

Odchrząknął, szepnął:

– Dobra, skończmy tę rozmowę.

– Nie kłamałem o policji – oznajmiłem. – Jesteś głównym podejrzanym. Wiedzą o twoich sprawkach z czasów działalności w przemyśle odzieżowym, o tym, że znasz Lauren jeszcze z Fashion Mart. Musiałeś się nieźle zdziwić, kiedy zobaczyłeś ją w rezydencji z Benem. Dobry, stary Ben znowu nawalił, poderwał kolejną głupią lalę. Podobają mu się takie, prawda? Wykorzystuje swoje badania, żeby je poznawać, ale kiedy już je ma, oferma nie wie, co dalej z nimi robić. Cheryl, Lauren, Shawna Yeager, co się z nią stało? W jaki sposób zawadzała?

Ten sam błysk zmieszania w martwych oczach. Krew Cheryl rozlewała się coraz szerzej i znowu musiał się odsunąć, żeby nie poplamić sobie butów. Mimo że byłem w niebezpieczeństwie, patrzyłem na nią. Życie wyciekało ze strzechy blond włosów, krew zbierała się w zagłębieniach desek, skapywała do wody. Powiadają, że rekin może wyczuć kroplę krwi w milionach galonów wody. Czyżby wszystkie rekiny siedziały teraz pod moło?

Irving uniósł pistolet.

– Kolejna blondynka – powiedziałem. – Ale Lauren nie była głupia. Tego nie można o niej powiedzieć. Stwarzała podwójne zagrożenie; знаła cię ze starych czasów, kiedy dupczyłeś dziwki na prawo i lewo. Wiedziała o rzeczach, o których Anita nie może się dowiedzieć. A na dobitkę mówi ci, kim jest i czego chce. Niezły pasztet.

Irving westchnął. Dres sprawiał, że wyglądał grubo. Z kucykiem miał powierzchowność faceta przeżywającego kryzys wieku średniego. Kiedy mierzył mi w twarz, przez głowę przemknęła mi przykra, kwaśna myśl: więc to tak się stanie? Z rąk takiego błazna. Potem: Przepraszam, Robin.

Wtem głos za Irvingiem krzyknął:

– Kent? Co ty robisz? Co się tu dzieje? – Irving mrugnął i odwrócił się w kierunku kroków bębniących po deskach.

Biegł ku nam jakiś mężczyzna. Irving zamyślił się na moment, zdał sobie sprawę ze swojego błędu, zaczął się odwracać w moją stronę, ale ja już się na niego rzuciłem i wykręciłem rękę z pistoletem.

Wystrzelił w powietrze.

Głos krzyknął:

– O mój Boże!

Irving wrywał mi się. Nacierałem na niego, walcząc o broń. Przybysz złapał Irvinga za dres. Irving, dysząc, znowu wypalił.

Stracił równowagę, a ja przycisnąłem kolaniem jego klatkę piersiową i wyprostowanymi palcami zaatakowałem jego oczy.

Poczułem pod opuszkami coś miękkiego, Irving zawył z bólu i zaczął się wrywać. Ale ja biłem go, okładałem, usiadłem na nim i waliłem bez opamiętania. Od dawna już nie ćwiczyłem karate, a moje ciosy, zadawane w ślepych szale, nie miały wiele wspólnego ze sztukami walki. Waliłem go po głowie i szyi krawędziami dłoni, sztywnymi palcami, pięściami, które zrobiły się mokre od krwi. Skończyłem go bić dłuższy czas po tym, jak przestał się ruszać.

Pistolet wylądował kilkadziesiąt centymetrów od jego ramienia. Podniosłem go i wycelowałem w Irvinga.

Nie ruszył się. Jego twarz wyglądała jak marmolada.

Jakiś metr dalej jęczał Ben Dugger. Podeszedłem, żeby zobaczyć, w jakim jest stanie.

– Myliłem się – powiedziałem. – I to bardzo.

Dugger uśmiechnął się.

– Co do czego?

– Co do pana. I wielu innych spraw.

Była jedenasta rano, trzy dni po tym, gdy patrzyłem na śmierć Cheryl Duke.

Przez ten czas Robin zostawiła mi na sekretarce jedną wiadomość. „Przepraszam, rozminęłam się z tobą. Spróbuję jeszcze zadzwonić... „ W książce telefonicznej nie znalazłem domowego numeru jej przyjaciółki Debby, a kiedy zadzwoniłem do jej biura, nagrany głos poinformował mnie, że pani doktor nie będzie w tym tygodniu przyjmować.

Przez te trzy dni moje życie stało w miejscu, ale za to Ben Dugger podróżował: z karetki, po którą zadzwoniłem, na ostry dyżur w szpitalu św. Jana, stamtąd na trzyipółgodzinną operację – łątanie naczyń krwionośnych w udzie – potem do sali pooperacyjnej, a jeszcze potem na dwie doby do prywatnego pokoju w szpitalu.

Jaskrawożółte ściany dużego, ciemnego pokoju, powietrze wypełnione słodkim zapachem cynamonu i środków odkażających, inkrustowane, francuskie meble – wszystko bogato zdobione i antyczne oprócz za małego jak na przestrzeń pokoju szpitalnego łóżka stoliczka na lekarstwa oraz kroplówki.

Pokój znajdował się na trzecim piętrze rezydencji jego ojca. Regularnie pojawiały się pielęgniarki, ale Dugger potrzebował przede wszystkim spokoju i odpoczynku.

Zadzwoniłem wczoraj z prośbą o zezwolenie na odwiedziny, czekałem pół dnia, aż kobieta, która przedstawiła się jako osobista asystentka asystentki Tony’ego Duke’a, oddzwoni. Pół godziny temu wpuszczono mnie przez miedzianą bramę.

Podjechałem, czekałem kilka minut, obserwując, jak obraca się kamera, potem brama otworzyła się i wyszedł do mnie wielki osiłek w brązowym garniturze, który pokazał mi, gdzie mogę zaparkować. Wsiadłem z samochodu, mężczyzna poprowadził mnie przez lasek paproci i sosen do brzoskwiniowego budynku z niebieskim dachem, towarzyszył mi, kiedy weszliśmy do środka, trzymał mnie za łokieć, ciągnąc przez akr posadzki z czarnego granitu, nad którą trzy piętra wyżej wisiał dwutonowy kryształowy żyrandol. Hol był na tyle przestronny, że mógłby pomieścić wszystkich kongresmenów i urzędników prezydenckich razem. Flamandzkie obrazy, połączane płaskorzeźby, niebieskie aksamitne ściany, winda tak ukryta, że mogłem jej nie zauważyć.

W końcu ten pokój z kanarkowymi ścianami. Zła kolorystyka dla kogoś, kto wraca do zdrowia. Dugger wyglądał jakby przechodził żółtaczkę.

Zakasłał.

– Potrzebuje pan czegoś? – zapytałem.

Znowu się uśmiechnął, pokręcił głową. Cienkie włosy przykleiły mu się do czoła, jego skóra miała barwę brudnego śniegu. Kroplówka przymocowana do jego ramienia wydzielala płyn kropla po kropli, urządzenia monitorujące jego czynności życiowe migaly, pikały, rysowały. Sufit ozdobiony był realistycznie odmalowanymi winoroślami. Głupiutkie w każdym kontekście a w tym – w szczególności. Gdybym czuł się lepiej, na pewno bym się uśmiechnął.

– Tak czy inaczej – powiedziałem. – Chciałem..

– Cokolwiek pan myśli, że pan zrobił źle, zostało wymazane tym, co pan zrobił dobrze. – Wskazał drżącym palcem swoją obandażowaną nogę. Zabłąkana kula Irvinga przeszła jego udo, uszkadzając arterię. Podwiązałem mu nogę, żeby zatamować krwawienie, z telefonu komórkowego, który znalazłem w spodniach od dresu Irvinga, zadzwoniłem po pogotowie.

– Nie może być nawet mowy o wyrównaniu rachunków – powiedziałem. – Gdyby pan się wtedy nie pojawił...

– Hej, psychologia jest pokrętną nauką – przerwał mi. – Zbieramy dane, zgadujemy, czasem mamy rację, czasem... – Uśmiechnął się słabo.

Otworzyły się drzwi i wkroczył doktor Rene Maccaferri. Te same nieruchome oczy. Biały, szpitalny fartuch przykrywał czarną koszulę i garniturowe spodnie w tym samym kolorze, na za małych stopach buty z wężowej skóry. Wyglądał jak płatny morderca, który przebrał się za doktora, i powiedziałem sobie, że moja pomyłka wobec niego była wybaczalna.

Maccaferri zignorował mnie, sprawdził monitory, podszedł do Duggera.

– Dobrze się tobą opiekują?

– Aż za dobrze, Rene.

– Co to znaczy „za dobrze”? – Nie przywykłem do tego.

– Spróbuj – powiedział do niego Maccaferri. – Rozmawiałem z chirurgiem od naczyń. Przyjdzie jutro, żeby do ciebie zajrzeć, sprawdzić, czy nie masz żadnego zakażenia lub skrzepów.

– Jak sobie życzysz, Rene. Jak tata?

Maccaferri zmarszczył czarne włochate brwi, spojrzał na mnie.

– W porządku, Rene.

– Tata jest ciągle w takim samym stanie – powiedział lekarz, odwracając się do wyjścia.

– Dobrze, Rene. Dzięki. Jak zawsze.

Maccaferri zatrzymał się w drzwiach.

– Jedno zawsze drugiemu nierówne. W oczach Duggera błysnęły łzy.

Kiedy drzwi się zamknęły, powiedziałem:

– Przepraszam, że dołożyłem panu zmartwień, Obaj wiedzieliśmy, co miałem na myśli; życie rzuciło na niego podwójną dawkę smutku. Oczekiwanie na śmierć ojca, utrata siostry, której nie zdołał dobrze poznać.

Poznał ją tylko po to, żeby zaraz ją stracić.

Odwrócił głowę na bok, walcząc ze łzami.

– Wiem, że dobrymi intencjami jest wybrukowane piekło, ale jestem jednym z tych, którzy nadal liczą się z intencjami. Cokolwiek pan zrobił, wynikało to z tego, że zależało panu na Lauren. Trochę zaschło mi w gardle, czy może mi pan podać to 7 UP?

Wlałem napój do papierowego kubeczka, przystawiłem mu do ust. Wypił.

– Dziękuję. Jak długo pan ją właściwie leczył? Proszę mi o tym opowiedzieć. Wszystko, co pan może.

Opowiedział mi już swoją historię. Nie miałem innego wyjścia, musiałem się zrewanżować. Mówiłem automatycznie, sucho. Resztę mózgu miałem zaprzątniętą przypominaniem sobie zdarzeń, słów, obrazów.

Lęk w jego oczach, kiedy Milo go przesłuchiwał na temat Lauren. Ból nagłego osamotnienia poczytałem za poczucie winy.

– Lauren i ja zgodziliśmy się, że trzeba to zrobić stopniowo, bez zbytniego zaskoczenia. Trzeba było pomyśleć o Anicie. Choroba taty podziałała na nią bardzo źle, była przygnębiona, a nigdy nie umiała sobie radzić z nagłymi zmianami. I jeszcze sam tata. Obawiałem się, jak to na niego podziała. Lauren była tego samego zdania. Chciała, żeby wszystko przebiegło tak gładko, jak to możliwe. Powiedziała, że tata o niej wie. Wiele lat temu, kiedy matka Lauren napisała do niego, zadzwonił, chciał się spotkać, ale matka odłożyła to na później, powiedziała, że Lauren ma problemy emocjonalne, że nie jest gotowa. Tata próbował jeszcze parę razy, potem się wycofał. To było bardzo w jego stylu; proponuje, ale nigdy nie nalega. Może to wada charakteru, emocjonalne lenistwo, nie wiem. Czasami, gdy dorastałem, wydawało mi się, że tata jest zbyt nonszalancki, jakby mu nie zależało. Ale z drugiej strony to było chyba lepsze, niż gdyby próbował zdominować Anitę i mnie... W przypadku Lauren, może gdyby naciskał... Trudno tak zgadywać. Kiedy w końcu Lauren zebrała się na odwagę i powiedziała mi, kim jest, tata był już chory i słaby. Obawiałem się szoku. Może ja... Ale po co to rozgrzebywać? Od samego początku świetnie się z Lauren dogadywaliśmy. Od razu coś między nami zaskoczyło, jakbyśmy znali się całe życie. I to zabrzmiało dziecinnie, ale doskonale się razem bawiliśmy. Zastanawialiśmy się, jak to będzie, kiedy... Nazywaliśmy to naszym

małym eksperymentem; jak wprowadzić Lauren do rodziny.

– Budka telefoniczna – powiedziałem.

Pokiwał twierdząco głową. Skrzywił się boleśnie. Ruszył nogą, złapał oddech.

– To była część naszego... planu. Kiedy zbierzemy odwagę, żeby zaprowadzić Lauren do domu taty. Miała do mnie zadzwonić do Point Durne i jeśli wszystko byłoby w porządku, w domu spokój, miałem ją wprowadzić. Mówiłem ludziom, że była moją przyjaciółką. Dziecinne, wiem. Myślę, że obojgu nam podobał się posmak płaszcza i szpady w tym wszystkim. Tak bym chciał poznać ją lepiej... moją... małą siostrzyczkę.

W tym momencie załamał się i zaczął płakać. Odwróciłem głowę, czując, że przeszkadzam. Po chwili zaczął mówić.

– Proszę się nie martwić, przeszedłem dość terapii, żeby nie wstydzić się swoich uczuć. Chyba chcę, żeby pan wiedział, że Lauren wiele dla mnie znaczyła. Cholera, zasługuje na to, żeby ją opłakiwać. Może właśnie to najbardziej mnie dręczy. Nikt nie został, żeby po niej płakać, tylko ja. Wtedy, kiedy pojawił się pan z detektywem Sturgisem w moim mieszkaniu i dowiedziałem się, co się stało – to tak jakby zapadł się cały mój świat. Nie jestem zbyt spontaniczny, ale wtedy byłem.. bliski szaleństwa. Oczywiście za bardzo się kontroluję... zbyt wiele do stracenia... Chodzi o to, że kiedy przebywałem z Lauren, czułem się jak dzieciak, a to zdarzało się nader rzadko, kiedy naprawdę byłem dzieckiem. Oboje knuliśmy i planowaliśmy, śmialiśmy się ze swoich wspólnych cech i różnic. Kiedy wynajdywaliśmy takie różnice, których nie widać na pierwszy rzut oka, śmiała się i mówiła: „Tyle, jeśli chodzi o chromosomy”. I nikt o tym nie wiedział. Ani Anita, ani kobiety w biurze, nikt. Tak mi się przynajmniej zdawało... Potem zacząłem zauważać. Spojrzenia wymieniane przez Kenta i Cheryl, Lauren wymykająca się z Cheryl na rozmowy. Kiedy ją o to zapytałem, po prostu powiedziała, że Cheryl jest miła, ale niezbyt bystra. Nigdy nie lubiłem Kenta, ale nie miałem pojęcia... Jak można w ogóle podejrzewać takie rzeczy? Biedna Anita. Na zewnątrz jest twarda, ale to tylko pozór, poza. Zawsze była delikatna, ma astmę, migreny. Większość dzieciństwa spędziła w gabinetach lekarskich... Kent był... wulgarny, ale skąd mogłem wiedzieć? Ciągłe zadaję sobie to pytanie... Lauren wychodząca coraz częściej z Cheryl... Czy można było temu jakoś zapobiec?

– Nie – powiedziałem mu. – Nikt nie mógł temu zapobiec.

Poprosił znowu o 7 UP, wypił, opadł na poduszki, zamknął oczy.

Kontrolujący się człowiek. Miły. Bez żadnego pokrętnego motywu przynosił zabawki do kościoła. Piętnaście procent swojego funduszu przeznaczał co roku na cele charytatywne.

Nikt nie miał o nim do powiedzenia złego słowa, bo nic złego nie można było o nim powiedzieć.

A ja upierałem się, by widzieć w nim demonicznego mordercę.

„Czasami cygaro jest tylko cygarem”.

Pewnie uratowałem mu życie, ale zważywszy, że wziął na siebie kulę, przeznaczoną dla mnie, nie czułem, że mu się odwdzieczyłem.

Był na tyle miły, by uznać, że też zależało mi na Lauren. Jakby wyrzuty sumienia terapeuty mogły się równać braterskim uczuciom.

Miły facet. W innym miejscu, w innych okolicznościach mógłbym się z nim zaprzyjaźnić. Moglibyśmy rozprawiać o psychologii, dowiedziałbym się, jak to jest, kiedy się dorasta w cieniu skandalu i sławy Tony'ego Duke'a.

Ale nie miałem mu nic do zaoferowania w zamian, a to, przez co przeszedł – przez co przeszła Lauren – będzie mi towarzyszyło jeszcze przez długi, długi czas.

Także Anita. Baxter i Sage.

I miałem swoje własne problemy do rozwiązania.

Kiedy dzwoniłem po pielęgniarkę, zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie nigdy nie zobaczę już ani jego, ani nikogo z rodziny Duke'ów. I wszystko wróci do normy.

Pielęgniarka zadzwoniła po kogoś, kto miał mnie odprowadzić, i zjawił się kolejny dryblas, świński blondyn ostrzyżony na jeża w żółtozielonym garniturze i czarnej koszulce z krótkim rękawkiem. Pożegnałem się z Duggerem i wyszedłem z żółtego pokoju.

– Ładny dzień, proszę pana – powiedział przewodnik, trzymając mnie za łokieć i prowadząc przez ciemny, wyłożony orzechowym drewnem korytarz. Połączone nisze ze statuetkami, wazony z kwiatami, co dziesięć metrów monogram „D” na niebiesko-złotym dywanie.

W drodze do windy przeszliśmy obok podwójnych drzwi, które były zamknięte, kiedy wchodziłem. Teraz były otwarte na oścież i zobaczyłem pokój wielkości sali balowej z biało-czarnymi ścianami.

Kolejne szpitalne łóżko, przy którym stał doktor Maccaferri.

Kolejne za małe łóżko. Malutka, siwa głowa ledwo widoczna nad niebieską, satynową pościelą. Zaszuszone, elfowate. Śpiąca lub zasypiająca. Otwarte usta, bezzębne. W bezruchu.

Poczułem większy ucisk na łokciu. Pan Ładny Dzień powiedział:

– Proszę iść dalej, proszę pana.

Pojechałem do domu, wiedząc, że będzie pusty. Po tej nocy na molo spędziłem długie godziny w Szpitalu św. Jana. Dwukrotnie dzwoniłem do domu, za każdym razem słyszałem automatyczną sekretarkę. Wróciłem po drugiej nad ranem i zastałem Robin w sypialni. Pakowała walizki.

Kiedy spróbowałem ją przytulić, powiedziała: „Nie”.

– Wcześniejsze wakacje? – zapytałem. Wszystko było nie tak, a ja gadałem głupstwa.

– Samotne wakacje – powiedziała.

– Kochanie...

Wrzuciła ubrania do walizki.

– Wróciłam do domu o dziesiątej, zamartwiałam się na śmierć, aż zadzwoniłeś. O północy.

– Kochanie, ja...

– Alex, po prostu nie mogę już tego znieść. Potrzebuję czasu, żeby dojść do siebie.

– Oboje go potrzebujemy – powiedziałem, gładząc ją po włosach. – Trzymajmy się pierwotnego planu i wyjedźmy gdzieś razem. Obiecuję...

– Może za parę dni – odparła i rozplakała się. – Nawet nie wiesz, jakie okropności przychodziły mi do głowy. Ty... znowu. Potem Milo powiedział mi, co się wydarzyło. Co ty sobie, do cholery, myślałeś? Randka z jakąś lalą? Kolejna tajna operacja, przygoda, w której mogłeś zginąć!

– To wcale nie była przygoda. Próbowałem pomóc... pewnym dzieciom. Ostatnią rzeczą, która przyszlaby mi do głowy...

– Możesz pomagać dzieciom tak, jak zostałeś do tego wykształcony. Siadając i rozmawiając z nimi...

– Tak to się zaczęło, Robin. – Nie umiałem zapanować nad głosem. – Lauren była moją pacjentką. Tylko że...

– Wszystko wymknęło ci się spod kontroli? I właśnie o to mi chodzi. Kiedy się angażujesz, wszystko zaczyna się rozrastać. Jakbyś przyciągał do siebie zło. Znasz mnie, jestem poukładaną osobą, pracuję z drewnem i metalem, i z narzędziami, z rzeczami, które można zmierzyć. Nie twierdzę, że to ideał, w każdym razie nie jedyny. Może to znaczy, że ze mną jest coś nie w porządku. Ale, Alex, ta niepewność, którą przez ciebie odczuwam. Za każdym razem, kiedy wychodzisz, nie jestem pewna, czy wrócisz.

– Zawsze wracam. – Znowu spróbowałem ją pogłaskać, ale powiedziała:

– Puść mnie.

– Przepraszam, porozmawiajmy o tym...

– Muszę... złapać dystans. Potem możemy porozmawiać.

– Dokąd się wybierasz?

– Do San Diego, do mojej przyjaciółki Jan.

– Tej dentystki?

– Tak – odparła. – Kiedyś świetnie się razem bawiłyśmy. Kiedyś miałam przyjaciół. Teraz mam tylko ciebie, Spike'a i pracę. Potrzebuję odmiany.

– Ja też – odparłem. – Znajdę sobie hobby, zacznę grać w golfa.

– Jasne – powiedziała, uśmiechając się wbrew sobie. – To dopiero będzie.

– Co, uważasz, że to niemożliwe?

– Gdyby było coś mniej możliwego od niemożliwego; byłaby to właśnie twoja gra w golfa, Alex. Nie chcę cię poskramiać. Chcę, żebyś był zdrowy, na tym mi zależy. Zabawne buty, trawa i strata czasu to nie jest recepta na dobre samopoczucie. Nie przedłużajmy tego. Zadzwoń.

Wzięła walizkę i ruszyła w stronę drzwi.

– Spike jest w moim samochodzie. Jestem pewna, że ci to nie przeszkadza.

– Nie tylko mnie porzucasz, ale jeszcze dla innego faceta.

Pocałowała mnie mocno w usta, przekreśliła gałkę u drzwi, powiedziała:

– Trzymaj się.

– Kiedy zadzwonisz?

– Wkrótce. Za parę dni. – Zaśmiała się.

– Co takiego? – zapytałem.

– Właśnie chciałam powiedzieć: „Uważaj na siebie, kochanie”. Jak zawsze, kiedy nasze drogi się rozchodzą. Zły zwyczaj. Nie powinnam tak mówić.

Pierwszego dnia po jej wyjeździe czułem się okropnie, drugi dzień zaczynał się podobnie, gdy o dziewiątej rano wpadł do mnie Milo i pokazał korespondencję Jane Abbot z Tonym Dukiem.

– Zatrzymała kopie – powiedział. – W sejfie. Na samym dole, pod akcjami giełdowymi.

Dwa listy. W pierwszym Jane przypominała Duke’owi ich wspólny pobyt na Hawajach i informowała go, że ma córkę. Adnotacja ołówkiem na dole strony nosiła datę późniejszą o pięć dni:

TD zadzwonił, o 15, żadnych probl. z \$, chce poznać L. Powiedziałam, problemy, może później.

W drugim liście Jane dziękowała Duke’owi za szybką odpowiedź, przepraszała, że nie przedstawi mu Lauren, którą opisała jaką „bardzo bystrą, młodą dziewczynę, ale niestety – nie z twojej winy, drogi Tony – w tej chwili Lauren jest emocjonalnie rozchwiana i ma duże problemy”.

TD dzwonił 3 razy, mówi, że zna lekarzy. Prosiłam o cierpliwość.

Lauren zniknęła, znowu, nie wiem gdzie. Następnym razem wpłacić kaucję czy nie?

Na ostatniej stronie Jane ułożyła umowę finansową. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie na fundusz dla Lauren, który ma być zarządzany przez Jane, z zastrzeżeniem, że Jane będzie robiła wszystko, co w jej mocy, żeby doprowadzić do spotkania córki z ojcem, które nastąpi po ukończeniu przez Lauren dwudziestu sześciu lat.

Ojcu i córce zabrakło sześciu miesięcy.

Oddałem mu papiery.

– A jak wygląda sytuacja Mela Abbota?

– Wkrótce powinni go wypuścić, chociaż nikt nie jest pewien, gdzie go umieścić. Najbliższym krewnym, jakiego znaleziono, jest kuzyn z New Jersey, prawie tak stary jak Mel. Na razie Irving siedzi w celi obok Abbota. Nieźle go pokiereszowałeś. Prokuratura wystąpi z oskarżeniem wielokrotnego morderstwa pierwszego stopnia z uwzględnieniem szczególnych okoliczności za masowy mord, okrucieństwo i motyw zysku. Gretchen pomaga w całej sprawie, żeby uniknąć wyroku za współudział. W końcu zgłosili się federalni i potwierdzili, że Irving był jednym z jej stałych klientów. Wszystko, co na nią mamy to zeznanie jej koleżanki Ingrid, która wiedziała, że szukaliśmy Michelle, oraz to, że widziałeś, jak Gretchen następnego dnia pojechała do Duke’ów.

– Gretchen znowu wykręci się sianem – zauważyłem.

– Prokurator chce przede wszystkim Irvinga na półmisku, a Gretchen może pomóc. Tylko ona może dostarczyć motyw zabójstwa Michelle, która, jak się okazuje, nie próbowała żadnego szantażu i w ogóle nie jest pewne, czy wiedziała cokolwiek o całej sprawie. Ale Irving był innego zdania. Jeśli mam być szczery, brutalna prawda jest taka, że pytając Gretchen o Michelle, zapewne podpisałem na nią wyrok śmierci. Ale nie, nie obwiniam się o to, po prostu wykonywałem swoją robotę. Tak to już czasem bywa. – Potarł twarz. – A Gretchen nadal twierdzi, że nigdy nie słyszała o Shawnie. Więc chyba miałem rację, że sprawa Shawny nie jest z tym powiązana, ale w tej chwili nie wiem już, co jest prawdą, a co kłamstwem. Irving mógł przecież cyknąć jej zdjęcia, zgwałcić i zabić.

– Gretchen wystawiła mu Michelle i Lance’a, ale nie pójdzie siedzieć.

– Może w końcu też dostanie to, na co zasługuje... Dowiedziałem się również, że biznes Irvinga z odzieżą splajtował z powodu „nieregularności finansowych”. Zostawił na lodzie całą armię inwestorów, to samo zresztą dotyczy restauracji w Paradise Cove. Wszyscy ostrzą sobie na niego pazury. Facet nie znajdzie zbyt wielu świadków, którzy mogliby go określić jako prawego obywatela.

– A co z Anitą?

– Do tej pory wygląda na czystą – odparł. – Kiedy się z nią zobaczyłem, wyglądała gorzej od Duggera. Jakieś problemy żołądkowe, zwymiotowała cztery razy podczas godzinnej rozmowy. Wydaje się autentycznie zszokowana tym, co wyrabiał jej mąż i Cheryl. Jest po prostu zdruzgotana. Na mój nos jest niewinna. Kiedy się zbierałem, ten lekarz mafioso podał jej leki uspokajające... Co jeszcze... A tak. Czarujący Lyle Idealny Ojciec w końcu się pokazał. Wygląda na to, że naprawdę polował. Straż leśna capnęła go za strzelanie do jeleni poza sezonem, złapali go, jak oprawiał łanię przy swoim samochodzie. Zabuli za to sporo kasy. Odesłali go do domu, klął całą drogę. Dupek znowu do mnie wczoraj zadzwonił, chciał się dowiedzieć, czy wiem już coś o testamencie Lauren.

– I co mu powiedziałaś?

– Cóż – odparł – zapanowałem nad sobą, powstrzymałem się od otwartego wyrażenia uczuć.

Podszedł do lodówki, wsadził swój wielki łeb do środka, niczego nie wyjął, podszedł do okna i zaczął się bawić geranium w doniczce.

– Powiedziałem mu, że Lauren umarła w biedzie. Co było prawdą, nie?

Drugiego dnia Robin także nie zadzwoniła, a ja próbowałem wydobyć się z bezwładu za pomocą spacerów z depresją u boku.

Znalezienie Agnes Yeager okazało się łatwe.

Moja przyjaciółka i była mentorka w Zachodnim Pediatrycznym, Olivia Brickerman, teraz profesor opieki socjalnej w mojej starej dobrej szkole, miała pełny dostęp do danych Medi-Cal i prywatnych ubezpieczeń i w trzydzieści sekund znalazła informacje o Anges Yeager.

– Agnes Mavis, pięćdziesiąt jeden lat... Wygląda na to, że leżała jakiś czas w powiatowym... Wnioskując z kodów rachunkowych, endokrynologia, kardiologia, coś z płucami... konsultacje psychologiczne – krótkoterminowe, cztery sesje. Potem została przeniesiona na rehabilitację do Casa de los Amigos na miesiąc, wypisana do uzdrowiska San Bernardino w SweetHaven.

Nazwa jak z książeczki dla dzieci. To ostatni zapis, jaki mam. Ostatni rachunek pochodzi sprzed trzynastu miesięcy. – Dała mi telefon do uzdrowiska. – A jak tam prześliczna Robin?

– Świetnie:

– A ty?

– Tak samo.

– Doprawdy?

– Co? Nie wyglądam świetnie?

– Pan doktor robi się drażliwy – powiedziała wesoło. – Zapominasz, kochaniutki, że zanim zostałam akademicką szyczą, robiłam to, co ty. A w tej chwili moje trzecie ucho mówi mi, że rzadko się ostatnio uśmiechasz.

– No dobrze, masz trochę racji – odparłem, uśmiechając się z wysiłkiem. – Co ty na to?

– Na zewnątrz w porządku. Na pewno wszystko gra?

– Naprawdę świetnie. A co u ciebie?

– Zmieniasz temat. Nie sądzisz, że zasługuję na bardziej wyrafinowaną formę obrony? Ja mam się wyśmienicie, Alex. Menopauza jest tym wszystkim, co się o niej mówi i jeszcze czymś więcej. Ale moje wyśmienite samopoczucie jest chyba oczywiste. Czego nie można powiedzieć o innych.

– Brak snu, to wszystko.

– Brak snu i Agnes Mavis Yeager?

– Nie – odparłem. – To skomplikowane.

– Często tak się dzieje, kiedy zabierasz się do czegoś. Powinniśmy kiedyś zjeść razem lunch, dawno się nie widzieliśmy. Będiesz mi mógł poopowiadać swoje historie, a ja będę udawać twoją matkę.

– Umowa stoi, Liv.

– Tak, tak, tak. W międzyczasie nie będę nic jadła, żeby nie odebrać telefonu z napchaną gębą.

Zadzwoiłem do uzdrowiska SweetHaven i dzięki kilku kłamstewkom dowiedziałem się, że Agnes Yeager wyprowadziła się stamtąd trzy miesiące temu. Podała nowy adres: hotel Four Seasons na Doheny. Biuro zatrudnienia w hotelu potwierdziło, że pani Yeager sprząta tam pokoje od ósmej rano do trzeciej po południu.

Znowu pracowała. A więc wyzdrowiała. Fizycznie. Wróciła do Los Angeles, więc może się nie poddała.

O drugiej piętnaście po południu podjechałem do Four Seasons, wręczyłem odźwiernemu dychę i poprosiłem, żeby zaparkowano mojego seville'a przed hotelem. Właśnie niedawno umyłem go i nawoskowałem, więc parkingowy uśmiechnął się i ustawił go między bentleyem arnage i ferrari testarossą.

Hol roił się od ponurych, ubranych na czarno chudych ludzików. Przecisnąłem się i skorzystałem z wewnętrznego telefonu. Kiedy połączono mnie z szefem obsługi, gadałem szybko i wieloznacznie, powiedziałem, że muszę porozmawiać z panią Yeager, starą przyjaciółką, w ważnej sprawie rodzinnej.

– Czy to coś naglącego, proszę pana?

– Trudno powiedzieć. Potrzebuję paru minut rozmowy.

– Proszę chwilę poczekać.

Kilka minut później usłyszałem w słuchawce słaby, kobiecy głos.

– Słucham?

– Pani Yeager? Nazywam się Alex Delaware. Jestem psychologiem współpracującym z policją, właśnie przeglądam akta Shawny. Dopiero zacząłem, nie mam pani nic do powiedzenia na jej temat, niestety. Ale zastanawiałem się, czy moglibyśmy porozmawiać.

– Psycholog? Co to, jakieś badania?

– Nie, proszę pani. Jestem konsultantem policji, próbuję znaleźć odpowiedzi na pewne pytania. Wiem, że minęło już dużo czasu...

– Lubię psychologów. Jeden z nich mi pomógł. Byłam chora... tak myśleli... Gdzie pan teraz jest?

– Na dole, w holu.

– Tutaj? Och. No cóż, kończę za kilka minut, spotkajmy się na Burton Way, przy wejściu dla pracowników.

Czekała na mnie. Drobną, chudą, siwiejącą kobietą w różowym fartuchu. Na nosie miała okulary w metalowej oprawce z prostokątnymi szklami. Świeżo nałożona szkarłatna szminka krzyczała z popękanych warg, na policzkach róż. Długie nogi, mały biust, wyglądała na dziesięć lat starszą, niż była.

– Dziękuję bardzo, że pan się tym zajął, doktorze... Delavalle?

– Delaware. Niestety, nie mogę pani nic obiecać...

– Obietnice mam już za sobą. Mój samochód stoi parę przecznic stąd, przejdzie się pan ze mną?

– Oczywiście.

– Ładny dzień, prawda? – powiedziała. – Przynajmniej jeśli chodzi o pogodę.

Poszliśmy na wschód po Burton, a ona dziękowała mi, że znowu otworzyłem sprawę Shawny. Próbowałem zaprzeczać, ale nie chciała o tym słyszeć. Żaliła się, że policja nie traktowała całej sprawy zbyt poważnie.

– A ten detektyw, którego wydelegowali do śledztwa, Riley. Nie ruszył nawet palcem. Nie żebym chciała źle mówić o zmarłym.

– Umarł?

– Nie wiedział pan? Jakies dwa miesiące temu. Przeszedł na emeryturę, przeprowadził się na pustynię i grał w golfa. Umarł podczas gry. Wiem, bo dzwoniłam do niego, niezbyt często, bo szczerze mówiąc, nigdy w niego nie wierzyłam. Ale... to była jakaś forma kontaktu z Shawną. On nie był złym człowiekiem, ten Riley. Tylko... mało energicznym. Kiedy przeszedł na emeryturę, dał mi swój domowy telefon. Kiedy ostatnio dzwoniłam, jego biedna żona powiedziała mi i skończyło się na tym, że musiałam ją pocieszać. Więc widzi pan, nie liczę na cud, ale przynajmniej jestem otwarta. Bo według mnie, Riley i innych nie było na to stać. Nie twierdzą, że świadomie nie chcieli nic zrobić, ale wydaje mi się, że do tej pory wszyscy myśleli, że sprawa Shawny jest beznadziejna, więc nie starali się za bardzo.

Mówiła bez złości. Jakby często powtarzała ludziom tę opowieść.

– Jak pani sądzi, co mogli zrobić?

– Nagłośnić bardziej całą sprawę. Próbowałam się dostać do gazet. Ale trzeba być bogatym i

sławnym, żeby chcieli się tobą zająć. Albo zostać zabitym przez kogoś znanego i bogatego.

– Tak, tak to jest w Los Angeles – potwierdziłem.

– Pewnie nie tylko tu, ale mnie się to przydarzyło w Los Angeles. Bo tu umarła moja Shawna. Widzi pan, już tego nie wypieram. Przeszłam ten etap. Ostatnim razem, kiedy z nim rozmawiałam, Leo Riley próbował mnie przekonać, że nie powinnam zbyt wiele oczekiwać. To było dość zabawne, zaczął się zacinać i jąkać, jakby mówił mi coś, o czym nie wiem. Ale doszło to do mnie dawno temu. Nie ma mowy, żeby Shawna tak długo się nie odzywała, gdyby żyła. Wszystko, czego chcę, to wiedzieć, co się z nią stało. Wiedzieć, gdzie jest, zorganizować jej chrześcijański pochówek. Pani psycholog, z którą rozmawiałam, doktor Yoshimura, mówiła, że wszyscy robią wiele hałasu z pełnym powrotem do zdrowia, zabliznianiem się ran, ale to bzdura. Jak można się wyleczyć z czegoś takiego? – Uderzyła się w piersi. – To zostawia wielką dziurę, której nic nigdy nie załata. Trzeba tylko się uczyć, a może rana przestanie tak bardzo krwawić. Była świetna. Yoshimura. Chodziłam do niej, bo pewnego dnia straciłam przytomność. Wszystko zrobiło się czarne i upadłam. Lekarze myśleli, że to zawał, zrobili mi wszystkie badania, jakie do tej pory wymyślono, okazało się, że mam wysoki cholesterol, ale serce jest w porządku. W końcu powiedzieli, że to nerwy. Lęk. Doktor Yoshimura nauczyła mnie, jak się rozluźnić. Zostałam wegetarianką, przestałam palić. Słuchałam tego, co mi mówiła, bo inaczej niż inni nie gadała o absolutnym pogodzeniu się. Inaczej Riley, on był zawsze rozluźniony, tylko nie wtedy, kiedy do niego dzwoniłam. Widocznie czuł, że nie wywiązał się ze swojego zadania. A teraz odszedł... O, tutaj zaparkowałam.

Skręciliśmy w ulicę domów z luksusowymi apartamentami i poprowadziła mnie do starego nissana sentry, kiedyś czerwonego, teraz rudawo-różowego. Maską samochodu była obsypana liśćmi.

– Można parkować tylko dwie godziny – powiedziała, wskazując palcem znak – ale zwykle tego nie sprawdzają. Czasem stoję na parkingu dla pracowników przy hotelu, ale czasem nie ma tam miejsca. Poza tym nie lubię tych podziemnych konstrukcji. Są straszne.

Otworzyła samochód.

– Czy zechce pan wsiąść? Trzymam tu wszystkie pamiątki po Shawnie.

Usiadłem na siedzeniu obok kierowcy, a ona otworzyła bagażnik, zamknęła i wróciła z czterdziestocentymetrowym kwadratowym pudełkiem z napisem RZECZY KUCHENNE, przewiązanym żółtą wstążką.

– Wiem, że nie powinnam tego trzymać w samochodzie – powiedziała – ale lubię mieć te rzeczy przy sobie. Czasami zabieram kanapkę i przychodzę tutaj, żeby je przejrzeć. Doktor Yoshimura mówiła, że mogę.

Spojrzała na mnie w poszukiwaniu potwierdzenia. Kiwnąłem głową. Wyciągnęła z pudła mały, oprawiony w różową satynę album i podała mi go.

– To jest Shawna, kiedy była mała.

Trzydzieści stron zdjęć, od noworodka do szóstej klasy. W większości fotografie samotnej, prześlicznej, złotowłosej dziewczynki. Od najwcześniejszych lat Shawna wiedziała, jak pozować.

Agnes Yeager była obecna na kilku zaledwie fotografiach, ciemnowłosa, spokojna. Na kilku innych – starych, wyblakłych – był też bardzo wysoki jasnowłosy mężczyzna z twarzą gwiazdora filmowego i dużymi, odstającymi uszami. Na zdjęciach, na których był razem z Agnes, oboje palili. Shawna w otoczeniu kochających uśmiechów i dymu.

– Tata Shawny? – zapytałem.

– Mój Bob. Jeździł ciężarówką, najpierw sam, potem w Von Markets. Został zabity przez pijanego kierowcę, kiedy Shawna miała cztery latka. Nawet wtedy nie prowadził. Wracał z ubikacji do samochodu na postoju dla ciężarówek w Indio. Shawna go nie pamiętała. Nawet kiedy żył, rzadko bywał w domu. Ale był kochanym mężem i dobrym ojcem. Nie umiał za bardzo wyrażać swoich uczuć, ale nigdy nie odezwał się złym słowem. I bardzo kochał Shawnę. Ma po nim urodę, karnację i wzrost. Miał metr dziewięćdziesiąt, był wielką gwiazdą koszykówki w liceum. Shawna miała metr siedemdziesiąt pięć.

Gdy przyglądałem się twarzy Boba Yeagera, coś mnie tknęło. Zatrzymałem to dla siebie, oddałem album, otrzymałem kolejny, większy, w niebieskiej oprawie.

– To zdjęcia z konkursów – powiedziała Agnes. – Artykuły z lokalnych gazet, za każdym razem, kiedy wygrywała. Nigdy nie namawiałam jej do tego. Kiedy pierwszy raz zobaczyła wybory Miss Ameryki w telewizji, powiedziała: „Mamuś, chcem to”. Miała cztery latka.

Przeglądałem zdjęcia, jeden szeroki uśmiech za drugim.

– Wiem, że to panu nie pomoże – powiedziała – ale może to się przyda. Artykuły tego chłopaka ze studenckiej gazetki. Naprawdę interesował się Shawną, napisał wiele artykułów...

– Adam Green.

– Rozmawiał pan z nim?

– Tak.

– Czy powiedział panu o swoich podejrzeniach na temat Shawny?

– O podejrzeniach?

– Że pozowała bez ubrań do brudnych zdjęć. Nie powiedział mi tego wprost. Pewnie myślał, że robi to delikatnie, ale z pytań, jakie zadawał, domyśliłam się, dokąd zmierzał. Więc oczywiście się wkurzyłam, zakończyłam rozmowę i nie odpowiadałam więcej na jego telefony. Później zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam. Bo ten chłopak był jedynym, któremu zależało na tym, żeby dowiedzieć się, co stało się z Shawną. I chociaż poczułam się urażona...

– Myśli pani, że Shawną mogła pozować?

Wzruszyła ramionami.

– Chciałabym móc panu powiedzieć, że nie. Ale czas mija i zaczyna się trzeźwiej myśleć. Prawda jest taka, że Shawną uważała się za bardzo piękną. Kochała swoje ciało. Pewnego dnia przyszła do domu z lustrem, które kupiła w jakimś sklepie ze starymi gratami, i powiesiła je w swoim pokoju. Wielkie lustro. Miała czternaście lat. Nie sprzeciwiałam się. Nie chciałam się z nią kłócić. Była bardzo uparta. Prawda jest taka, że gdyby zechciała powiesić lustra na każdej ścianie, dopięłaby swego. To pewnie moja wina, codziennie mówiłam jej, jaka jest śliczna. A jeśli nie ja, to słyszała to od innych ludzi.

– Czy miała chłopaka w Santo Leon?

– Jak to bywa. Chłopcy przychodzili i odchodzili. Rzucała ich bez litości. Jeden z nich, taka tyczka o imieniu Mark, też koszykarz, jak jej tata, wydawał się bardziej poważny, ale kiedy zapytałam, czy ze sobą chodzą, powiedziała: „Nie, mam”. Wie pan, jakim tonem, prawda? „Nie, mam. To tylko kolega”.

– Mark był w jej wieku? – spytałem.

– Nie, był w ostatniej klasie, a ona była w pierwszej licealnej. Zawsze interesowali się nią starsi chłopcy, a jej to odpowiadało. Lubiła dojrzałych, wyglądających na więcej lat, niż mieli. I wysokich, naprawdę wysokich. Dlaczego pyta pan o Marka?

– Po prostu staram się w nią wczuć.

– Myśli pan, że to dlatego, że straciła tatę, szukała w nich ojca, tak? Kogoś wysokiego i starszego. Może jakiś starszy facet poprosił, żeby pozowała dla niego, a ona się zgodziła, bo miała do takich słabość.

Spojrzałem na nią.

– Miałam wiele czasu do namysłu. Więc mam rację? – powiedziała.

– Rzeczywiście przeszło mi to przez myśl.

– Mnie też. I doktor Yoshimurze. Analizowałyśmy to razem. Ale Shawna nie miała raczej starszego przyjaciela w Santo Leon. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie miała czasu na randki, koncentrowała się na swoich konkursach i nauce, zawsze poważnie traktowała naukę. Nigdy nie musiałam jej mówić, że ma się uczyć. A kiedy nie dostała piątki, to była wielka tragedia, potrafiła się wyklócać z nauczycielami. – Słaby uśmiech. – I czasami dostawała, czego chciała. Pokażę panu. Świadczenia są na dnie.

Kiedy szperała w pudle, zapytałem:

– Gwoli dokładności, gdzie teraz jest Mark?

Spojrzała na mnie.

– Hm? O nie. Wstąpił do wojska zaraz po skończeniu szkoły, stacjonuje w Niemczech, ożenił się z Niemką. Kiedy Shawna zaginęła, był poza krajem. Napisał mi śliczny list z kondolencjami. Też go przechowuję. O, tutaj.

Na mojej dłoni wylądowała kartka z serduszkami i kwiatami. Ckliwy wierszyk i ręcznie dopisane:

Droga pani Yeager!

Proszę przyjąć nasze najszczerze kondolencje z powodu Shawny. Wiemy, że fruwa z aniołami,

Astrid i Mark Ortega, Kaylie

Do drugiej strony przypięte spinaczem zdjęcie chudego, młodego blondyna ostrzyżonego na jeża, puciołowatej brunetki i uśmiechniętej, okrągłej dziecięcej buźki.

– Miły chłopak – powiedziała Agnes. – Ale nie dla Shawny. Potrzebowała kogoś, kto by ją inspirował intelektualnie. Bóg mi świadkiem, że ja nie mogłam jej tego zapewnić, nigdy nie ukończyłam szkoły średniej. O, tu są jej świadectwa.

Wręczyła mi plik papierów spiętych gumką. Od pierwszej klasy podstawówki do czwartej klasy liceum prawie same piątki. Adnotacje nauczycieli: „*Shawna jest bardzo bystrą dziewczynką, ale lubi zagadywać kolegów*”. „*Sama radość, szkoda, że wszyscy nie są tacy*”. „*Świetnie opanowała materiał i lubi się uczyć*”. „*Uparta, ale zawsze wykonuje swoją pracę*”.

Na dole wydruk ocen z uniwersytetu.

Cztery kursy z semestru, którego nie zakończyła.

– Przyszło, kiedy zniknęła – wyjaśniła Agnes. – Jak otworzyłam kopertę, po prostu straciłam nad sobą panowanie. To słowo: „nie ukończyła”. Kiedy jest się w takim stanie, wszystko ma podwójne znaczenie. Szuka się czegoś, żeby wylądować złość. O mało nie podarłam tego na strzępy. Teraz cieszę się, że tego nie zrobiłam. Chociaż oddałam ubrania po Shawnie. Kilka miesięcy temu. W końcu było mnie na to stać.

Przypatrywałem się chwilę wydrukowi, potem dołączyłem go do reszty papierów.

– Była bystra – powiedziała Agnes. – Wie pan, co mam na myśli?

– Tak, proszę pani. Czy jest coś jeszcze?

– Cóż, mógłby mi pan powiedzieć, co pan zamierza.

– Przejrzę akta Shawny. Wiem, że to brzmi jak biurokratyczny wykręt, ale dopiero zaczynam. Jeśli coś znajdę, dam pani znać.

– Mam nadzieję. – Wzięła mnie za rękę. – Czuję, że jest pan poważnym człowiekiem. Niezależnie od tego, co z tego wyjdzie, będzie pan robił wszystko, co się da. Dziękuję panu bardzo, bardzo gorąco.

– Dziękuję – powiedziałem. – Mam nadzieję, że pani nie zawiodę.

– Nie proszę o to, żeby zwrócił mi pan córkę – odparła. – Chcę tylko ją pochować. Wiedzieć, gdzie jest, żeby móc ją odwiedzać na święta i urodziny. To chyba nie tak wiele, prawda?

– Tak, proszę pani. Dziękuję za czas, który mi pani poświęciła. – Otworzyłem drzwi samochodu.

– Mogę je zatrzymać? – zapytała, wskazując plik świadectw.

– Och, tak, oczywiście. Przepraszam.

– Jeśli będzie pan potrzebował kopii czegokolwiek, proszę dać znać.

Uścisnąłem jej rękę i odszedłem.

Piąta po południu. Budynek psychologii był prawie pusty. Zauważyłem Dalby'ego na korytarzu. Stał przy drzwiach do swojego gabinetu z kluczami w garści.

– Przychodzisz czy wychodzisz? – zapytałem.

– Alex, cześć. Właściwie wychodzę.

– A mógłbyś mi poświęcić kilka minut?

– Patrzcie no – powiedział. – Nie widuję go całe lata, a teraz przychodzi prawie codziennie.

Nie odpowiedziałem. Wyraz mojej twarzy zabił jego uśmiech.

– Coś nie w porządku, Alex?

– Wejźmy do środka, Gene.

– Naprawdę mi się śpieszy – odparł. – Mam spotkania, pracę.

– Chyba warto poświęcić mi kilka chwil. – No nie, to brzmi groźnie.

Nie odpowiedziałem.

– Dobrze, dobrze – powiedział, otwierając zamek u drzwi. Pęk kluczy dzwonił mu w rękę.

Usiadł za biurkiem. Ja nie usiadłem.

– Pozwól, że ci wytłumaczę – powiedziałem. – Z jednej strony nigdy bym się nie dowiedział o Shawnie, gdybyś o niej nie wspomniał. Więc to punkt na twoją korzyść. Dlaczego miałbyś otwierać puszkę z robalami? Z drugiej strony, okłamałeś mnie. Udałeś, że jej nie znałeś. „Jakaś kampusowa królowa piękności”, tak to chyba ująłeś. „Shane jakaś tam albo Shana... Nie przypominam sobie dokładnie jej imienia”. Ale chodziła na twoje zajęcia. Właśnie oglądałem wydruk z wykazem jej zajęć. Psychologia 10, Dalby: poniedziałki, środy i piątki o trzeciej po południu. Oprócz społecznej wykładałeś także wstęp. Opowiadałeś mi o tym.

Przezesął ręką włosy, aż się nastroszyły.

– Och, daj spokój, nie mówisz chyba poważnie. Wiesz, jak wiele dzieciaków mam w...

– Dwadzieścia osiem osób – powiedziałem. – Sprawdziłem w sekretariacie. Twoją grupę dodano w ostatnim momencie, dla tych, którzy nie zmieścili się w czterech poprzednich. Dwadzieścioro ośmiu dzieciaków, Gene. Zapamiętałbyś każdego z nich. A zwłaszcza studentkę, która wyglądała jak Shawna...

Wyciągnął żyrafią szyję.

– Co to za bzdury? Nie muszę siedzieć i wysłuchiwać... – Nie, nie musisz. Ale mógłbyś chcieć, bo to cię nie minie. Wpił palce w blat biurka. Zdjął okulary, powtórzył:

– Co za bzdury.

– Ale nie wyrzucasz mnie – powiedziałem.

Milczał.

– Więc kłamałeś, Gene, i musiałem się zastanowić, dlaczego. Potem, kiedy dowiadywałem się o Shawnie coraz więcej, sprawa zaczęła wyglądać bardzo intrygująco. Na przykład to, że pociągali ją starsi mężczyźni. Starsi, bogaci mężczyźni. Bardzo chciała zasmakować lepszego życia. Jeździć ferrari. Ceniła także inteligencję, co nazywała intelektualnością. I znowu, kto lepiej od ciebie, Gene, spełnia ten warunek? Na doktoranckich byłeś jednym z najlepszych. Miałeś talent do mówienia ważkich rzeczy.

– Alex...

– Widziałem też – kontynuowałem – fotografie jej ojca. Umarł, kiedy miała cztery lata, więc go nie pamiętała. Pewnie go idealizowała. Czy pokazywała ci kiedykolwiek jego zdjęcie, Gene?

Spojrzał na mnie. Zarumienił się. Chwycił okulary i rzucił nimi o ścianę. Odbiły się o książki i wylądowały na dywanie.

– Nie rozbiły się – powiedział. – Nie potrafię nic porządnie zrobić.

– Bob Yeager – kontynuowałem. – Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, rudawe blond włosy, odstające uszy, gwiazda koszykówki w liceum. Coś ci to przypomina?

Schowal twarz w dłoniach. Wymamrotał:

– Dni mojej sławy...

– Podobieństwo jest uderzające, Gene. Mógłby być twoim bratem.

Wyprostował się.

– Wiesz doskonale, co mogło się zdarzyć. Tak, pokazywała mi to cholerne zdjęcie. Pierwszy raz, kiedy do mnie przyszła, na dyżur. Porozmawiać o egzaminie. Podobno. Miała na sobie taką małą, czarną sukieneczkę, ona siada, a sukienka podjeżdża w górę... Ale trzymajmy się tematu, była bystrą dziewczyną... Potem wyciąga zdjęcie swojego starego. Uznałem, że to zabawne. Powiedziałem jej, że nie jestem freudystą. Alex, ja nic nie zrobiłem. Nie uwiodłem jej, to nie tak jak myślisz, to wszystko było okropnym... o, kurde. Nie uwierzysz mi, prawda?

– Czy ci uwierzę czy nie, nie o to chodzi, Gene. Policja już wie.

– O nie...

– O tak.

– Ale co oni mogą wiedzieć?

Nic nie odpowiedziałem.

– Wy tłumaczę ci, Alex. Proszę. Dobrze?

– Żadnych obietnic – powiedziałem.

– Sam powiedziałeś, że gdybym ci nie powiedział o niej...

– Ale powiedziałeś, Gene. Jakaś część ciebie chciała, żebym się tym zainteresował.

– Och – westchnął ciężko. Jego oczy zwęziły się, a dłoń zacisnęła się w pięść. – Teraz jestem na kozetce. Co za bzdura.

Ruszyłem od drzwi.

– Czeka! Nie możesz tak wpadać i oczekiwać, że od razu skapituluję...

– Niczego nie oczekuję – powiedziałem. – A szczerze mówiąc, w tym momencie twój spokój ducha nie bardzo mnie interesuje. Właśnie spędziłem trochę czasu z kobietą, która od ponad roku przeżywa koszmar. Wiedząc, ale nie wiedząc jednocześnie. Dokładnie tak, jak mi powiedziałeś przy pierwszym spotkaniu: „najgorszy koszmar rodzica”. I wiesz co? Ona ma z tobą coś wspólnego, Gene. Oboje nienawidzicie wyrażenia „zagojenie ran”. Ty uważasz, że to banał popularnej psychologii, ale ona głębiej rozumie jego nieadekwatność..

– Alex, proszę...

– Ona nie oczekuje cudu, Gene. Ale chciałaby się pożegnać, odwiedzić od czasu do czasu grób córki, położyć na nim kwiaty.

Znowu opuścił głowę, zakrył oczy rękami.

– Chryste, tak, chciałem, żebyś się tym zainteresował. Chyba... nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nie chciałem nic mówić, a potem zaczęłaś opowiadać o tej drugiej dziewczynie, której naprawdę nie znałem, mówię prawdę, Alex. I synapsy same zaiskrzyły. Wspomnienia, siedzi mi to cały czas w głowie, ale co ja sobie myślałem? Bo pamiętam ciebie z doktoranckich. Co ja sobie, kurwa, myślałem?

– Może nic nie myślałeś – powiedziałem. – Wina potrafi nas zmotywować. Może po prostu czułeś. – Wiedziałem, że coś jeszcze łączy go z Agnes Yeager. Wielka pustka, której nic nie może zapełnić.

– Kurwa – powiedział. – Policja już wie?

Kiwnąłem głową. Kłamstwo, ale nie zasługiwał na nic lepszego. A te wielkie ręce mogły narobić wiele szkód.

– Ja nie... Dobra, słuchaj, po prostu daj mi wytłumaczyć. To był wypadek, cholerny, głupi wypadek, rozumiesz?

Stałem bez ruchu.

– Kurwa. Potrafisz być jak sfinks.

– Słucham cię, Gene.

– Racja. – Jego jabłko Adama podjechało w górę. Pod pachami mokro od potu. Przez rozczochrane włosy prześwitywała różowa skóra. – Tak, miałem z nią... mieliśmy romans. I nie pouczaj mnie. To ona to zaczęła. Jasne, że mogłem się opierać, ale się nie opierałem. Prawda jest taka, że ona była najseksowniejszą dziewczyną, jaką w życiu spotkałem. Jestem żonaty od dwudziestu trzech lat i zwykle byłem wierny. Ale ta dziewczyna to było co innego. Ona była jak w rui, była wszystkim, o czym marzy nastolatek w liceum, ale... Nieważne. Mieliśmy romans, była we mnie szaleńczo zakochana. Tak mówiła. Wiedziałem, że to bzdury, że to tylko przelotny romans, że nie chcę zostawić Marge. Ale w międzyczasie... potrafiła robić takie rzeczy ze swoją... Poza tym była cholernie bystra, nie tylko śliczna. Mogliśmy normalnie rozmawiać. Nawet w tak młodym wieku miała coś do powiedzenia. Była najlepsza w grupie, więc nie zachodził żaden konflikt interesów...

Przełknął ślinę, zakrztusił się, zakasłał, nalał sobie zimnej kawy i wypił.

– Mówimy o miesiącu, góra pięciu tygodniach, Alex.

– Od samego początku semestru.

– No tak. Zaczęło się, kiedy przyszła do mnie drugi raz. W małej białej sukieneczce. Jak do tenisa. Pachniała tak świeżo, tymi perfumami młodości.

I stało się, nie mogę tego zmienić. Ale potem byłem dyskretny. Spotykałem się z nią tylko poza kampusem. Zwykle jeździliśmy na wzgórze koło Bel Air. Wynajdywaliśmy odpowiednie miejsce. – Uśmiechnął się. – Parkowałem. Robiła wokół tego wszystkiego wielkie przedstawienie. Och, człowieku, to było jak wymarzona, idealna młodość. Potem sytuacja zaczęła się komplikować. Była również... oprócz tego, że była taka inteligentna, była narcystyczna. Naprawdę narcystyczna, kochała swoje ciało, swój mózg, wszystko. Kiedyś powiedziała mi, że mogłaby mieć prezydenta, gdyby chciała.

– To niezbyt wielkie wyzwanie.

– Ale ona mówiła tak w ogóle, globalnie, Alex. Każdego prezydenta. Każdego kraju. Myślała, że ma nieograniczoną władzę... I cała ta seksualna pewność siebie osiemnastolatki. – Poblądł. – Nawet teraz, kiedy o niej myślę. .. nie mogę zmienić tego, co się stało. Spróbuj wczuć się w moje położenie, człowieku, jesteś psychologiem, a nie sędzią.

– Narcystyczna, powiadasz – podjąłem. – W jaki sposób to komplikowało sytuację?

– Zaprowadziło ją w bardzo złe miejsce. Do niewłaściwych ludzi, podejmowała głupie decyzje. Przeczytała jakąś reklamę w „Daily Cub”, ale nie jedną z tych o badaniach, o których ci mówiłem. Chyba wspomniałem o nich, żeby zmylić trop. Chciałem, żebyś się zainteresował sprawą ale zarazem nie chciałem. Jezu, jestem popierdolony. Cała ta terapia, wszystkie te lata po obu stronach kozetki i...

– O jakiej reklamie mówisz?

– Dla modelek do fotografii. Z jakiejś dziury w Hollywood, nawet nie pamiętam nazwy. Twierdzili, że współpracują z „Dukiem”, „Playboyem” i „Penthousem”. Nigdy nie zapytała mnie o zdanie, pewnie nie posłuchałaby, gdybym był przeciwny. Ona i jej koleżanka z pokoju poszły tam i pozowały. To miały być zdjęcia w bikini, okazało się, że mają być nagie. Potem zaczęli je namawiać na jakieś lesbijskie pozy. Jej współlokatorka nie zgodziła się i sobie poszła. Kurde, tak bardzo była w sobie zakochana. Przeprowadzili inną modelkę i ona... one obie to zrobiły. Musieli się zorientować, że Shawnę można łatwo zbajerować, więc wprowadzili jeszcze faceta, a skończyło się na tym.. zrobili jej zdjęcia, jak obciąża kozła. A następnego dnia ona przynosi mi te zdjęcia, taka z nich dumna. Przyniosła całą kolekcję, w bikini, nago, miękkie porno, a potem, na samym dole, jej usteczka liżące Matołka. Najlepsze zostawiła na koniec. A ja miałem to docenić. Podniecić się tym.

Walnął pięścią w biurko. Aż podskoczyły papiery.

– Straciłem panowanie, człowieku. Wybuchłem, zacząłem na nią wrzeszczeć, przeklinać. A ona, zamiast się rozplakać, też zaczyna krzyczeć, robi się agresywna. Mówi, że ten fotograf pracował dla najlepszych czasopism, obiecał jej rozkładówkę w „Playboyu” albo „Penthouse”, albo „Duke’u” – to – miał być jej bilet do sławy i fortuny. Uwierzysz w to, Alex? Bystra, inteligentna dziewczyna i dała się nabrać na coś takiego. Ten narcyzm... naprawdę zależy mi, żebyś zrozumiał, jak bardzo kochała samą siebie, Alex. Przez połowę czasu, kiedy byliśmy razem, czułem się jak żywy wibrator. Przestał mówić. Spojrzał na ścianę. Jego oczy zrobiły się szkliste.

– Co się wydarzyło, Gene?

– To poszło tak szybko. Wkurzyłem się, ona się wkurzyła, wrzeszczeliśmy na siebie, wyskoczyła z samochodu. Byliśmy przy jeziorze Hollywood. Na wzgórzach, w miejscu, które pamiętałem z czasów, kiedy chodziłem z Marge. Wysiadła i zaczęła biec drogą, ja pobiegłem za nią, a ona potknęła się, upadła, uderzyła głową w kamień i po prostu tam leżała. Nagle całe pieprzone miasto ucichło, jakbym był w środku wielkiej, mydlanej bańki, jak z komiksu. Pochyliłem się nad nią. Brak pulsu, brak oddechu. Próbowałem reanimować, nic. Potem spojrzałem na jej głowę i już wiedziałem, że tylko traciłem czas. Uderzyła się tu. Mózg jej wyciekał. – Dotknął miejsca, gdzie szyja spotyka się z czaszką. – W potylicę, Alex. Część, odpowiadająca za oddychanie. Nie mogłem nic zrobić. Wyciągnąłem z samochodu folię... trzymam ją tam, bo przydaje się, kiedy kupujemy z Marge sadzonki... Owinąłem ją i zabrałem gdzieś.

– Dokąd?

Nie odpowiedział.

– Może powinienem pogadać z adwokatem?

– Jasne – powiedziałem. – Będziesz miał mnóstwo czasu na rozmowy. Ale pomyśl o tym; każdy gest, który wzbudzi sympatię, może ci pomóc. Agnes Yeager chciałaby się pożegnać.

Otworzył szufladę biurka i przez jeden paniczny moment myślałem, że trzyma tam broń. Ale on wyjął ołówek i kartkę. Narysował kwadrat. Kilka nierównych, gnących się linii.

– Rysuję ci mapę. Zadowolony?

– Szczęśliwy – powiedziałem głosem kogoś innego, martwego.

Dobra mapa. Gene zawsze był precyzyjny. Wzgórza Hollywood, niedaleko od miejsca, w którym Shawna upadła. Najpierw zadzwoniłem do Mila, poprosiłem o zgodę, żeby poinformować Agnes Yeager.

– Dlaczego nie pozwolisz mi ściągnąć tam najpierw policji? – zapytał. – Żeby upewnić się, że facet nie kłamał. I upewnić się, że nam nie zwieje. Pełne imię i nazwisko?

Powiedziałem mu, mając przed oczami obraz chrześcijańskiego pogrzebu Shawny. Bez wątpienia Agnes mnie zaprosi. Może przyjdę, może nie.

– Dobra – powiedział Milo – dzwonię do Petry, bo to jego rewir. Spotkamy się tam i zobaczymy, co mamy. Jak ty to robisz, Alex... nie, nie mów mi. Pogadamy później.

– Jasne – odparłem, rozłączyłem się i wykręciłem następny numer.

– Hej, cześć – odezwał się Adam Green.

– Adam? Tu Alex Delaware.

– Al... a... ten psycholog. Co, coś się wyjaśniło o Shawnie?

– Może – powiedziałem. – Pewnie napiszą o tym w gazetach. Tak jak przyrzekłem, chciałem ci dać znać pierwszemu.

– W gazetach? Hej, miał mi pan dać jej historię. Do mojego scenariusza.

– Obawiam się, że niestety nie ma żadnej historii, Adam.

Trzeciego dnia wieczorem, kilka godzin po moim powrocie od Bena Duggera zadzwoniła Robin. Leżałem, próbowałem wypoczywać, oglądać telewizję. Wyłączyłem telewizor, kiedy zobaczyłem początek wiadomości o szóstej, nalałem sobie potrójne chivas.

Uśmiechnięty prezenter. Zdjęcia znanych mi twarzy.

– Profesor aresztowany pod zarzutem spowodowania śmierci studentki. Łyknąłem whisky, słuchałem, jak płyn szumi mi w gardle, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć, to ja.

– Cześć.

– Dobrze się czujesz?

– Wypoczywam.

– Zgadnij, gdzie dzisiaj byłam? – zapytała.

– W zoo.

Cisza.

– Skąd wiedziałeś?

– Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, kiedy myślę o San Diego, to zoo. – No więc właśnie tam byłam.

– Z dentystką?

– Nie, sama. Dentystka ma chłopaka, wybrali się na cały dzień do Xijuany. Zaprosili mnie, ale...

– Cię zostawili – dokończyłem za nią. – Przykro mi. Więc jak zwierzęta?

– Dobrze. Nie mogę uwierzyć, że zgadłeś to zoo.

– Ślepy traf.

– Albo nikt mnie tak nie zna jak ty.

– No, nie wiem.

– Dołącz do mnie – powiedziała. – Wynajmę dla nas pokój w Del Coronado.

– Kiedy?

– Im szybciej, tym lepiej. Nie chcesz przyjechać. Jesteś na mnie zły?

– Nie – odparłem. – We wszystkim, co powiedziałaś, miałaś rację. Staralem się to przemyśleć.

– Miałam rację, ale mimo wszystko zostawiłam cię samego. Trafiło to do mnie, kiedy chodziłam po zoo. Jak ja to zrobiłam? Jak mogłam cię tak porzucić. Przyjedziesz, Alex? Spotkamy się w hotelu?

– A co ze Spikiem?

– Jan ma małą suczkę, pekińczyka. Bardzo się zaprzyjaźniła ze Spikiem.

– Poczekaj, aż ukradnie jej jedzenie – zauważyłem.

– Alex?

– Zajmie mi to parę godzin. Na pewno tego chcesz?

– Jak możemy naprawiać nasz związek, jeśli nie jesteśmy razem? Jeśli biorę nogi za pas?

– San Diego – powiedziałem.

– Wiem, że to nie Paryż, ale... Wolałbyś, żebym wróciła do domu? Mogę pojechać do mieszkania Jan i się spakować.

– Nie – powiedziałem. – Będę tam tak szybko, jak tylko się da.

– Załatwię wszystko w Del Coronado. Przyjdź do mnie do pokoju. Kocham cię, skarbie. Tak bardzo cię kocham.

– Nawet kiedy wariuję?

– Nawet wtedy.

Zamknąłem dom, byłem już prawie przy samochodzie, kiedy zmieniłem zdanie.

Wróciłem do gabinetu, włączyłem komputer, bawiłem się przez chwilę, aż znalazłem internetową agencję podróży. Porównałem stawki i kupiłem dwa bilety do Paryża.

Table of Contents

[Jan Hensel](#)